

SARA Macdonald:

MUZYKA FAL:

Przełożyła MARIA OLEJNICZAK-SKARSGARD
Warszawskie Wydawnictwo Literackie I IZA SA
(SA LE fe IA.

Tytuł oryginału: Sea MusicProjekt serii: Maciej Sadowski

" , .

,i " .

Karolina MichałowskaProjekt okładki:

Studio graficzne INDYGORedakcja: Jan KabatRedakcja techniczna: Zbigniew

KatafiaszKorekta: Anna Załuska

^^

Sara MacDonald 2002

for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2005 for the Polish translation by Maria

Olejmczak-Skarsgard

ISBN83-7079-716-4

Warszawskie Wydawnictwo LiterackieMUZA SAWarszawa 2005

^ .

DlaMilly,

która powiada, że przeszłość minęła i ważna jest terażniejszość - oraz przyszłość.

Prolog

W tej krainie niebieskiego morza nie jest zimno, a jednak drzazgilodu przebijają mi skórę wspomnieniem zimna.

Czasem śni mi się śnieg, który zasypuje mnie ciszą.

Śni mi się gładka połać śniegu, który łśniw słońcu wychwytyjącym drobinki niebieskawego lodu, roziskrzonym, oślepiającym.

Budzę się spowitaciemnością, w dziwnym miejscu, gdzie szaleją burze, i przypominam sobie, jaką grozę może skrywać ciche piękno śniegu.

Słucham oddechu Freda, który leży obok, pogrążony w głębokim śnie;
czuję ciepło jego ciała.

W ciemnościach opadają mnie twarze ludzi, ich głosy unoszą się w powietrzu jak szepty z oddali, których nie mogę wychwycić.

Wstaję, schodzę na dół i krążę po małym wiejskim domku, pełna lęku, że to życie jest tylko snem i że zaraz się obudzę.

Siadam na krześle kątowym przy oknie i czekam, aż z czarnej toni wyłoni się słońce.

Będę wiedziała, że Fred się obudził; usłyszę skrzypienie łóżka i bosostopy na schodach.

Podejdzie do mnie i delikatnie dotknie, żebym przestała się kołysać.

Obejmie mnie ramionami, a potem weźmie na ręce, jakbym nic nie ważyła, i odrzucając włosy z oczu, zanieśnie z powrotem do sypialni.

Będzie trzymał mnie mocno w ramionach, a ja będę wdychała jego zapach.

To jest moje życie.

Życie teraz, tutaj, z nim.

Czuję, jak się uśmiecha, zanurzając twarz w moje włosy i opowiadając mi o naszym nowym domu, który stanie pod drugą stroną ogrodu.

Jak ten piękny człowiek może mnie kochać?

A Jednak kocha.

Kocha.

Nie zawsze będę tą zawieszoną w próżni osobą, która przechadza się powydmach nad połyskliwym morzem i obserwuje swój cień przed sobą- dziewczyną, którą byłam kiedyś, i kobietą, którą jestem teraz.

Duży dom jest niemal wykończony.

Właściwie cały czasmieszkaemyteraz w małym wiejskimdomku.

Dom wygląda wspaniale.

Wszędzie jestjasno; światło docierado każdego kąta, prześlizguje się po podłodze i maluje pokoje na maślany kolor słońca.

Przez ogromne otwarte oknawdziera się do środka nieujarzmiona zieleńogrodu.

Drzę ze szczęścia.

Niemogąc wydobyć z siebie głosu, całuję ręceFreda.

Biegnę ze śmiechemprzez puste pokoje, aFred staje oparty o framugę drzwi, krzyżując długie nogi.

Nabijafajkę i spogląda na mnie ciemnymi oczami pełnymi miłości i rozbawienia.

Zmuszam się,żeby chodzić do wioski.

Początkowo robię to z lękiem.

Ludzie mi się przyglądają, bo jestem cudzoziemką.

Czasem, gdy wchodzędo sklepu, przerywają rozmowy.

W zdenerwowaniu dukampo angielsku.

Potem, z wolna, zaczynają ze mną rozmawiać i poznają ich nazwiska.

Robotnicy pracujący na polach zadużym domem przynoszą miwarzywa.

i tłustemleko z farmy.

Fred żartuje sobie ze mnie -mówi, żebezwstydnie flirtuję - dodając, że przynoszą mito wszystko niedłatego, żejestemtaka atrakcyjna, tylko dlatego, że taka chuda.

Uprzątnięto już gruz zplacubudowy.

Wreszcie się wprowadzamy.

Mogę już zakładać ogród.

Będzie doskonały.

Pewnego dnia Fred przynosido domu małego kundelka - dajemymu na imię Puck.

Uwielbiam go.

Gdy spacerujemy popłaży, ludzie podchodządo mnie ipytają: "Jak sięmiewa Puck?

Cou pani słyhać?

".

Nastalo lato; ostry wiatr jest trochę cieplejszy.

Nie mogę jednak wychodzić na dwór, bo się rozchorowałam.

Fred jest bładyzemartwienia.

Lekarz oznajmia miniespodziewanie, że jestem w ciąży.

Nie mogę w touwierzyć, nieustannie powtarzam to sobie każdego dnia.

Wbrew temu,

co nammówiono, będę miała z Fredem dziecko.

fi

Fred radzi mi,bym nie upajała się nadzieją.

To pierwsze tygodnie,muszę być ostrożna.

Ale ja wiem.

Wiem, że to dziecko przyjdzie na świat.

Gdy Fred wyjeżdża doLondynu, żebyprzygotowywać się do końcowych egzaminów, i nie może mnie widzieć, tańczę w ogrodzie i śpiewam,szczęśliwa, że dokonałsię ten niewiarygodny cud.

NadeszłoBoże Narodzenie, a potem Nowy Rok.

Leżę w łóżku albo siedzę na krześle,które Fred stawia przy oknie, w słońcu.

Jestem ostrożna, czekam.

Na wiosnę i na moje małeństwo.

Nasze dziecko, syn, rodzi się bez-komplikacji 18 marca 1951 roku.

Waży sześć funtów i dwie uncje.

Dajemy mu na imię Barnaby, po jednym z ulubionych wujów Freda.

Co za angielskie imię!

Moje stopy wypuszczają delikatne pędy, które kielkują w tym świetle, w tej piaszczystej glebie.

Zakorzeniam się w niezwykłym i obcym miejscu, gdzie jest tyle niebieskiego morza i nieba.

Przeszłość odeszła.

Marta odeszła.

Tu jest moja przyszłość.

Teraz.

Jestem Martha Tremain, żoną lekarza.

To ja.

Rozdział pierwszy

Lucy znajduje Abi pod wiśnią.

Kotka przyczołgała się na swoje ulubione miejsce i tam zdechła.

Lucy dotyka palcami jeszcze ciepłego futerka.

Wie, że to bez sensu martwić się z powodu starego przegowanego kota, zwłaszcza gdy na Bałkanach giną ludzie, ale to małe stworzenie towarzyszyło jej przez prawie całe dzieciństwo.

Lucy kopie głęboki dół, gdzie pochowa kotkę obok grobu Pucka.

Nie chce, żeby borsuciczy lisy wyczuły ją i odgrzebały.

Układa miękkie jeszcze ciało w kolebce zkorzeni, jakby zwierzę wciąż spało na słońcu, nie może jednak zdobyć się na to, żeby przysypać mały pyszczek ziemią.

Zbiera dzwonki, miętę i kwiaty czosnku, przykrywa nimi łepki i oczy kotki, osłaniając je od nasiąkniętej deszczem ziemi.

Bierze łopatę i zasypuje dół.

Gdy Abi znika, Lucy nagle wyobraża sobie, że też leży pod ziemią, a po jej grobie przechadzają się zimni, nieczuli ludzie.

Z domu wychodzi Barnaby.

Bierze od Lucy łopatę, wygładza mały grób i głośno się zastanawia, jakie kwiaty posadzą dla Abi.

Lucy opowiada mu o swojej strasznej wizji.

Na pytanie, czy jest ona jakimś znakiem, Barnaby śmiecha się pocieszająco, jak to on potrafi.

- Pamiętasz, Lucy, jak razem zabraliśmy ją z farmy?

Miałaś wtedy zaledwie sześć lat.

Ta kotka była częścią

11.

twojego dzieciństwa.

Po prostu pochowałaś kawałek swojego życia.

Lucy przyznaje mu w duchu rację.

Barnaby był najważniejszą osobą w jej dziecięcych latach.

Dawał jej poczucie

bezpieczeństwa i bezwarunkową miłość.

Nigdy jej niezawiódł.

Nigdy.

Odwraca się i osłaniając oczy przed słońcem, bacznie spogląda na duży dom.

Przez szyby oranżerii widzi dziadków, którzy krążą bez celu, zawsze blisko siebie.

Fred szuka gazety.

Martha włożyła kilka warstw wełnianych ubrań, choć dzień jest ciepły.

Lucy ma wrażenie, że spogląda nadziwaczne dekoracje jakiejś surrealistycznej sztuki.

Coś ściska ją w gardle na myśl, że ich porzucą.

Zostawia Barnaby'ego, który będzie musiał sam radzić sobie z wszystkim.

Co więcej, wciąż nie ma odwagi mu o tym powiedzieć.

Czuje się wewnętrznie rozdarta i nagle pełna niepokoju o przyszłość.

Boi się o Barnaby'ego, o Tristana, o siebie.

Przecież to są jej dziadkowie, powinna tu być, opiekować się nimi.

Odwraca się znowu pochyla nad małym grobem, przyklepując ziemię.

Barnaby przygląda się jej z uwagą.

- Co ci jest?

- pyta.

- Tristan został oddelegowany do Kosowa.

- Tak mi przykro, Lucy - wzdycha Barnaby.

Bierze łopatę, pomaga Lucy wstać i obejmując ją ramieniem, prowadzi do domu.

- Tristan wróci zdrowy i cały, Lucy, jesteśmy tym przeświadczeni.

Martha niepewnie macha doniczką.

Choć Lucy jest

przekonana, że babcia ich niepozna, oboje machają do niej.

Babunia.

Znowu ogarniają smutek.

Chce chronić tendom, zapewnić wszystkim poczucie bezpieczeństwa, które towarzyszyło jej w dzieciństwie, ale wie, że to niemożliwe.

liwe.

Jest bezradna wobec starości dziadków, pogarszającej się sprawności ich umysłów i w końcu ich śmierci.

Barnaby zamyka kluczem drzwi kościoła i staje przed sionkiem, spoglądając w morze otaczające półkolem cementarz.

Jest przypięty, ujścierzki rysuje się czernią wody, na brzegach rosną niskie, pochylone dęby.

Schodzi nad morze, mijając stare nagrobki.

Nie ma ochoty przejść przez ulicę i wrócić do domu.

Zatrzymuje się, spoglądając na przystań, wsłuchany w terkot silników kolorowych łodzi rybackich, które ostrożnie manewrują po ławicy, zanim przybiją do nabrzeża.

Pragnie spędzić ten wiosenny wieczór z kimś dorosłym, najchętniej z kobietą.

Krótko i boleśnie przesywa go znajome poczucie zmarnowanych lat.

Doskwiera mu nie tylko samotność, tym bardziej dotkliwa, bo żyje w bezżenności, lecz także trapi go powolne, tragicomiczne niewinne dzieciństwo obojga rodziców, przybierające formę obopólnej rezygnacji z dorosłości.

O tym może porozmawiać tylko z Lucy i razem z nią sobie żartować, gdy zbiera musieć na płacz,

Lucy jest wspaniała, rzadko traci cierpliwość i zawsze odnosi się do swoich dziadków z troską

i czułością.

Alenależy do innego pokolenia, nie może dzielić z nim wspomnień.

Ma Tristana i całe życie przed sobą.

Jest też Anna, lecz jego siostranie chce zaakceptować tego, co się dzieje z rodzicami.

Jak zawsze jest zaabsorbowana pracą zawodową i mężem.

Anna, na co dzień tak praktyczna, nie przyjmuje do wiadomości faktów.

Barnaby zawraca, idzie ścieżką przykościelną i przecina ulicę.

Martha zerka przez okno w korytarzu, pogrążona w swoim mglistym świecie, wypatrując jego lub kogoś znajomego.

13.

Barnaby otwiera drzwi i woła:

- Wróciłem!

Matka spieszy ku niemu, stawiając drobne kroczki jak w tańcu.

- Miło mi pana widzieć - mówi uprzejmie.

- Nazywam się Martha Tremain.

- A ja jestem Barnaby Tremain, twój syn.

- Ściska delikatną dłoń i z uśmiechem patrzy, jak natej wciąż pięknej twarzy pojawia się niedowierzanie.

Widząc rozbawienie w jego oczach, Martha parska śmiechem.

Naturalnie, przecież to Barnaby.

- Och, kochanie - mówi.

- Głuptas ze mnie!

Coraz gorzej z moją głową.

- Bzdura!

- Barnaby całuje ją w policzek.

- Gdzie jest Fred?

- Fred?

- Martha wzrusza wymownie ramionami.

Jej twarz jest znowu pozbawiona wyrazu.

Barnaby zdążył już dostrzec w ogrodzie swego ojca i panią Biddulph.

Ojciec trzyma na smyczy Erica, rudego kocura, i próbuje nauczyć go siadać.

Kot nie jest bynajmniej zachwycony tą lekcją.

Opodal siedzi na trawie mały Homer, labradormieszaniec, zaintrygowany całą sytuacją.

Biedna pani Biddulph wygląda tak, jakby dokuczalo jej zimno i była gotowa iść do domu.

Barnaby otwiera przeszkłone drzwi, wołając do ojca.

Staruszek promienieje natwarzy i z zadziwiającą zwałością rusza w jego stronę.

Eric, któremu pani Biddulph natychmiast odpina smycz,

dumnym krokiem odchodzi w zarośla, z irytacją machając cienkim ogonem.

Pani Biddulph jest niezadowolona.

- Już ponad godzinę namawiam doktora Tremana,

żeby wszedł do domu.

Niemogłam podać mu podwieczorku.

14

- Nic się nie stało - odpowiada Barnaby, obdarzając ją czarującym uśmiechem, i zwraca się do

ojca: - Czy nie czas na szklaneczkę whisky?

- Doskonała myśl, kolego.

Najwyższapora.

Barnaby przytakuje ze śmiechem i bierze ojca pod ramię.

- Bardzo pani dziękuję - mówi do pani Biddulph.

- Czy zobaczymy się jutro?

- Trudno mi powiedzieć.

Pani Thomas przyjęła nowe opiekunki.

Te młode dziewczyny nie zagrzeją nigdzie miejsca.

Sądziłam, że zadzwoni do pana w tej sprawie.

Barnaby modli się w duchu, by przez dom nie przewijało się wiele obojętnych dziewcząt, co tylko bardziej zdezorientowałoby Marthę.

Pani Thomas, kierowniczka Agencji Serdecznej Troski, z której korzysta Barnaby, jest powszechnie nielubiana przez swoich pracowników.

"Płaci grosze, oczekuje cudów i wszystkim olewa", powiedziała mu kompetentna dziewczyna o fioletowych włosach, która wytrwała w agencji przez tydzień.

Barnaby wchodzi do domu i zamyka przeszkłone drzwi.

Pani Biddulph wkłada obszerny wełniany płaszcz, który nosi niezależnie od pory roku.

- Może się zobaczymy, a może nie, księżo pastorze.

Dobranoc państwu - żegna się i wychodzi pospiesznie, już zaprzątnięta myślami o podwieczorku dla męża, autobusie i serialu telewizyjnym, na który nie chce się spóźnić.

Barnaby bierze rodziców, prowadzi do salonu, po czym nalewa whisky do grubych szklaneczek.

Oboje patrzą na niego jak wyczekujące dzieci zachłannie biorą trunek.

- Dziękuję, kochanie.

Matka unosi szklaneczkę i obdarza go swym słodkim, nieobecny uśmiechem.

- Też się napijesz, kolego?

- pyta ojciec.

15.

- Z chęcią.

Barnaby opada zmęczony na fotel i spogląda czule rodziców.

Wszystko wydaje się takie normalne.

Spokojny niedzielny wieczór.

Gdyby zamknął na chwilę oczy, poczułby się znowu jak dwudziestolatek, który spędza kolejny senny weekend z rodzicami, znajdując ukojenie

w domowej rutynie, lecz z niecierpliwością oczekując chwili wyjazdu.

- Ciekawa jestem, co Hattie zrobi dziś na kolację - dochodzi go głos Marthy.

Otwiera oczy i widzi, że ojciec przygląda się bacznie matce.

- Hattie już nie ma.

Umarła.

Oczy Marthy wypełniają się łzami.

- Mój Boże!

Czy nie powinniśmy byli pójść na pogrzeb?

Wysłać kwiaty?

Barnaby pociąga duży łyk whisky i mówi:

- Mamusiu, Hattie przeszła na emeryturę z dziesięć lat temu, a potem umarła.

Wysłałaś kwiaty i byłaś na pogrzebie, więc wszystko zostało załatwione, jak należy.

- Och, kochanie, czasem mam dziury w pamięci.

Głuptas ze mnie.

- Dokończę drinka i zacznę szykować kolację.

Na zdrowie.

' Za piękne lato!

- Na zdrowie, kochanie.

- Na zdrowie, kolego.

W milczeniu popijają whisky, bacznie mu się przyglądając.

Wiśnia, która wkrótce obsypana kwiatami, rozbrzmiewa donośnym wołaniem kosa.

- Niegrzeczny kotek ten Eric - mamrocze pod nosem Marthy, na co Barnaby się uśmiecha i

trochę odpręża.

Matka wstaje z fotela i krąży po pokoju.

- Jestem głodna - oznajmia.

- Pójdę do kuchni powiem Hattie, żeby zrobiła dla wszystkich omlety.

16

- Przed chwilą mówiłem ci, że Hattie już tu nie ma.

- Barnaby wzdycha z rezygnacją podnosi się z fotela.

- Ja zrobię dziś kolację.

Masz ochotę na omlet?

- Dlaczego nie ma Hattie?

Nie dałam jej wolnego.

Toni dobrze.

- Hattie nie żyje, mamo - powtarza Barnaby podniesionym głosem, choć tak bardzo stara się zachować spokój.

- Włączę ci telewizor.

Obejrzyj z tatą serial, a ja za chwilę podam kolację.

Gdy wychodzi z pokoju, zamykając drzwi, słyszy słowa matki:

- Nie wiedziałam, że Hattie umarła.

Kiedy to się stało, kochanie?

- Wieki temu, wieki temu - odpowiada ojciec.

- Chyba się jeszcze napiję.

Barnaby, owładnięty straszliwym zmęczeniem, wpatruje się w otwartą lodówkę.

Nie widzi nigdzie jajek i ogarnia go przygnębienie.

Słyszy, jak otwierają się drzwi wejściowe, a potem dociera do niego trzask wewnętrznych; hałas sprawia, że prawie się krzywi.

- Cześć, Barnes, to ja!

- woła bez potrzeby Lucy i biegnie do kuchni, żeby z nim porozmawiać, zanim Marthawybiegnie swym tanecznym krokiem z salonu na spotkanie ukochanej wnuczce.

- Pomóżmi, Lucy.

Cóż, u licha, dam im na kolację?

W lodówce nic nie ma.

- Cholera, na śmierć zapomniałam.

- Lucy łapie się zagłową.

- Powiedziałam pani Biddulph, że sama zrobię zakupy, bo przyniosłaby ze sklepu to, co lubi, a czego nieznoszą dziadkowie.

Otwiera zamrażalnik i zamaszystym ruchem wyjmuję frytki i paluszki rybne.

- Proszę bardzo!

Babunia to uwielbia.

- Mam wrażenie, że tylko tym się żywi - mówi Barnabyz niepewną miną.
- Twój dziadek nie będzie zachwycony.

- Mój kochany, na lunch zjedli dużą porcję pieczeni.

Wierzmi, że nie muszą jeść dwóch gorących posiłków dziennie.

Tylko dokładasz sobie roboty.

- Wiem, mądrało, ale jedzenie jest dla nich jedyną przyjemnością i rozrywką.

O, mamy jeszcze kawałek sera.

To za dowoli Freda.

- A ja zjemz babunią frytki.

Barnaby unosi brwi.

- O ile pamiętam, ty też zjadłaś niezły lunch.

Czy mi się tylko przywidziało?

Lucynie maczasu odpowiedzieć, bo do kuchni wpada Martha.

- Lucy, Lucy, jak to wspaniale.

Unosząc głowę, podstawiła wysmukłej wnuczce policzek do pocałowania.

Lucy przytulają do siebie.

- Cześć, babuniu.

Zaraz usmażę ci paluszki rybnej frytki.

Będziemy się obżerały.

- Kochane dziecko, jak wspaniale!

Barnaby trzykrotnie wyjmuje cztery tace, a Martha, chcąc być pomocna, za każdym razem chowa je na miejsce.

- Mogę w czymś pomóc, kochanie?

- pyta co chwila wnuczkę.

Lucy potrafi pobudzić ją do życia tak, jak nawet ja nie umiem - myśli Barnaby.

- Młodzi ożywiają starych swą energią i pogodą ducha.

Wszyscy jedzą kolację w salonie, trzymając tace na kolanach.

Barnaby siedzi obok Freda; obaj jedzą herbatniki iser.

- Barnaby i dziadunio pograżą się w marzeniach, natomiast my troszkę utyjemy - szepcze

Lucy do Marthy.

Fred przygląda się swojej drobnej żonie i wysokiej, chudej wnuczce, które siedzą naprzeciwko niego na kanapie.

18

- Jestem wysoce zaniepokojony - mówi z przekąsem

- czy moja zabytkowa kanapa nie zawali się pod waszym ciężarem.

Zerka znad półokrągłych okularów z taką powagą, że wszyscy parskają śmiechem.

Przelotne, powracające obrazy ludzi, których kochamy

- przychodzi na myśl Barnaby'emu.

Rozdział drugi

Od morzawieje wiatr północno-wschodni.

Uderzaw maływiejski domek, aż drżą ściany.

Sztorm szaleje na wybrzeżu od kilkadziesiąt kilometrów; porywisty wiatr zrywa dachy, unosi wszystko na swej drodze i rzuca po ogrodach.

Traci się z pierwszym blaskiem dnia i powraca o zmierzchu.

Drzewa uginają się i łamią; ulica jest zasłana gałęziami, przypominającymi złamane kołczyny.

Od ujścia rzeki dochodzą ponure krzyki kulików.

Lucy się niespokojnie, przewraca się z boku na bok.

Raptem się budzi i leży pełna niepokoju w ciemnościach, jakby czekała na jakąś katastrofę, która jest coraz bliżej.

Siada na łóżku, dygocząc na całym ciele.

Z ciemności za oknem wynurza się bryła kościoła.

Niebo rozjaśnia się, różowieje nad nagrobkami, wyrastającymi z ziemniczymi skalnymi głazami.

Lucy wstaje z łóżka i na dziecięcą piżamę wkłada sweter.

Ogarnia ją tęsknota za ciepłym Abi, która lubiła przytulać się do jej pleców.

Schodzi na dół, żeby zrobić sobie herbatę, i zapala światło w całym domku.

Potem idzie na górę, siada na ławie pod oknem wykuszowym i obejmując dłońmi ciepły kubek, słucha zamierającego wiatru.

Gdy w dzieciństwie przyjeżdżała tu na wakacje, często siadała w tym miejscu, słuchając kościelnych dzwonów

i krzyków ptaków morskich, spokojna i zadowolona, że jest u dziadków.

Czekała na pierwsze promienie słońca, wkładała szorty i podkoszulek, po czym biegła przez ulicę, dalej wąską ścieżką przy kościele, na plażę.

Przed laty Fred i Martha od czasu do czasu wynajmowali domek, ale po przejściu Freda na emeryturę pokój gościnny w dużym domu przeznaczono na jego gabinet, a domek czekał na Barnaby'ego lub Annę i Lucy.

Kiedy Lucy przyjeżdżała sama, sypiała w gabinecie Freda, gdzie zawsze unosił się kojący zapach tytoniu i skórzanych mebli.

Jednak najlepiej czuła się w wiejskim domku, który uważała za swoją kryjówkę.

Stamtąd każdego ranka szła z Anną czy Barnabym przez ogród do dużego domu, żeby zjeść z dziadkami śniadanie przy okrągłym stole w oranżerii wypełnionej pelargoniami Marthy.

Po latach, gdy Lucy przyjeżdża tu z Tristanem, nadal często chodzą przez ogród na śniadanie, ale teraz tonie dziadkowie smażą bekon i robią grzanki, lecz Barnaby.

Lucy ogarnia nagle tęsknota za Tristanem.

Kosowo jawi się jako miejsce obce i nieprzewidywalne, niczym inna planeta.

Lucy zrywa się z ławy.

Uwolni ją od tego nastroju tylko spacer na świeżym powietrzu.

Wkładając sweter, idzie na dół.

Homer, który spędza noce przy Lucy, otwiera jedno oko, lecz ani drgnie.

Lucy wychodzi z domku i biegnie przez ulicę, popychana podmuchami wiatru.

Wchodzi po schodkach na cichy ciemny cmentarz kornwalijskim żywopłotem.

Ten cmentarz nigdy nie wzbudzał w niej strachu - znała go tak dobrze jak ogród Marthy.

Słońce wschodzi powoli.

Piękny złoty łuk, niczym krawędź talerza, wylania się nad horyzont, gdy Lucy maza sobą pole golfowe i staje na plaży.

Jest przypływ.

Lucy siada na skałach i obserwuje pomarańczowo-złote słońce,

które wznosi się nad przystanią i zalewa blaskiem powierzchnię wody.

Nie chce stąd wyjeżdżać.

Tomiejsce, gdzie żyją dziadkowiei Barnaby, zawsze uważała za swój dom.

W ciągu minionych miesięcy nagle i niepostrzeżenie role się odwróciły.

Ci, którzy sprawowali opiekę, i ci, którzy byli dziećmi, zamienili się miejscami.

Martha i Fred oddalając się od niej ichyla ku starości.

Lucy niemoże znieść tego, że jedno z nich nagle umrze, kiedy jej tunie będzie.

Choćma na sobie dwa swetry, wstrząsa niądreszcz.

Ogarnia ją niepokój nie tylko na myśl o dziadkach - także na myśl o Tristanie i pracynauczycielki.

O tym, że będzie musiała radzić sobie sama w Londynie.

Anna też tam będzie, ale Lucy nie zamierza powiedzieć matce, że jest niespokojna i boi się niepowodzenia.

Usłyszałyby, że zbyt długo siedziała w Kornwalii, że tak właśnie jest, gdy wypada się z rytmu, choćby na krótko.

Słyszy głos matki i nagle na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech - myśli o Tristanie, który powiedziałby to samo co matka, ale w inny sposób: "Wpadasz w panikę, ponieważ wbrew swoim oczekiwaniom dostałaś cholernie dobrą pracę.

Daj spokój, Lu, chyba nie po to studiowałaś języki, żeby pracować jako kelnerka".

Lucy wzdycha i zeskakuje zeskakał na piasek.

Nie zwykła popadać w melancholię.

Rusza wolnym krokiem do domu.

Skoro jest już na nogach, może równie dobrze zabrać się za porządkowanie swoich rzeczy.

Tyle rupieci nagromadziła przez te lata.

Powinna pójść na strych i zobaczyć, czy nie znajdzie się tam miejsce na pamiątki z dzieciństwa, których nie ma serca wyrzucić.

Lucy wchodzi po drabinie na strych i otwiera kłapę.

Manie jasne poczucie winy, jakby wkraczała na cudzy teren.

22

Powinna wcześniej zapytać Barnaby'ego, czy może tu wejść.

Oświetla wnętrze latarką i po lewej stronie znajduje kontakt.

Matowa, zakurzona żarówka lekko się kołysze.

Pomieszczenie jest obszerne.

Lucy widzi fachowo położone deski podłogowe i zastanawia się, dlaczego dziadek ciągle powtarzał, że nikt nie powinien tu wchodzić, bo może zaważyć się podłoga.

Wokół czuć zapach myszy, kurzu i światła, który przeminął.

Jest tu stare poplamione lustro, w pozłacanej butwiejącej ramie.

Ciężkie staromodne kije golfowe.

Pudełko z cynowymi kufelkami - pamiątka po szkolnych meczach krykietowych.

Karton z książkami.

Ogromny, ponury obraz przedstawiający szare, wzburzone morze.

Wypłowiały postrzępiony kapelusz ze sztucznymi kwiatami.

Skórzane walizki, równo ułożone jedna na drugiej.

Zrolowane dywany, połamane krzesło wiklinowe i rozlatujące się pudła z naczyniami stołowymi i wazonami.

Lucy zatacza latarką łuk i po lewej stronie dostrzega przepiękne z płyty pilśniowej, za którym zmieściłby się zbiornik na wodę.

Dykta jest pogryziona przez myszy, zaczyna się rozpadać.

W ścianie znajdują się toporne drzwi, zamykane na małą zasuwkę.

Lucy podciąga się i pełznie w stronę drzwi.

Gdy próbuje je otworzyć, spadają, całkowicie zbutwiałe przy zawiasach.

Kłęcząc, odsuwa je ostrożnie na bok i oświetla latarką ciemne wnętrze, gdzie stoi stary uczniowski kufer.

Nic więcej.

Nie ma tam zbiornika na wodę, ukrytych przewodów elektrycznych ani rur.

Wsuwa się głębiej do sekretnego pomieszczenia i widzi, że wiekokufru, na którym widnieją inicjały dziadka, wypaczyło się ze starości, a na podłogę wysypały się papiery.

Zardzewiała kłódka pękła, ale wciąż wisi na skoblu.

23.

Lucy zdejmuje kłódkę i podnosi wieko.

W środku gnieździł się myszy, widać ich odchody i skrawki ogryzionego papieru.

Na wierzchu leżą tekturowe skoroszyty z dokumentami i pismami medycznymi oraz pliki listów, niektóre w plastikowych teczkach.

Lucy kieruje światło latarki do kufra, awolną ręką szperawo w środku.

Dlaczego dziadunio zbudował specjalne pomieszczenie, żeby schować ten kufer?

Spod listów i starych papierów wygrzebuje niespodziewanie wyblakłe

różowe pudełko, wepchnięte na samo dno, pod dzienniki i wiekowe księgi.

Pochyla się nad kufrem i ostrożnie odsuwa nabok pliki listów, poczym wyjmując pudełko stawia na podłodze.

Jest przewiązane szarą wstążką, a na wierzchu widać wyblakły napis po polsku.

Ręka Lucy zastyga w powietrzu.

Babcine pudełko?

Serce wali jej w piersi.

W tej krótkiej chwili niepewności Lucy czuje, że powinna włożyć pudełko z powrotem do kufra i więcej w nim nie grzebać, ale już zsuwa wstążkę i podnosi wieko.

Listy.

Pozółkłe listy, cudzoziemski charakter pisma.

Duża koperta z maszynowym nadrukiem po niemiecku:

Wydział Opieki Zarządu Miejskiego Warszawy.

Kopertanie jest zaklejona.

Lucy wyjmując pogniecioną, wyblakłą

kartkę papieru w tekturowej okładce, wyglądającą jak dokument tożsamości.

Papier jest cieniutki, ma poszarpane brzegi, niemal rozpada się w palcach.

Tekst, również po niemiecku, brzmi jak prymitywny akt urodzenia: "Anna Estera.

urodzona 8 lutego 1941 roku.

Miejsce urodzenia: Warszawa, Polska".

Nazwisko jest nieczytelne; wygląda tak, jakby zostało wytarte gumką.

"Matka: Marta Estera.

". W miejscu gdzie powinno być nazwisko, widać zamazane litery, a na nich dopisane późno
'niej "Ołowska".

"Ojciec:.

". Tu papier jest jakby specjalnie przedarty.

Nadruki na tekturowej okładce są nieczytelne, pozostała tylko data 1943 i urzędowa niemiecka pieczęć.

Co to wszystko znaczy?

Jej matka urodziła się w Londynie w 1945 roku.

Tak twierdzili dziadkowie.

Z tego dokumentu wynika, że jest cztery lata starsza, niż się uważa.

Nie wiadomo, o co tu chodzi.

A poza tym dlaczego wymazano nazwiska?

Lucy wstrząsa dreszcz.

Drżącymi palcami odsuwa odsiebie dokumenty i wkłada do pudełka.

Woli niewiedzieć.

Zamyka je i wsuwa do kufra, między rzeczy leżące na wierzchu.

Wycofuje się niezdarne, chcąc szybko zejść ze strychu.

Zbutwiały drzwi i tak nie zdoła wstawić namiejsce.

Z trzaskiem opuszczając kłapę i odstawia drabinę.

Starając się nie myśleć, co mogą oznaczać znalezione dokumenty, Lucy biegnie przez ogród, żeby ubrać Marthę i zdążyć do hotelowej restauracji na poranną zmianę.

Rozdział trzeci

Anna wychodzi z gmachu sądu ogromnie zadowolona z siebie.

Nie była pewna, czy wygra tę sprawę, ale pomógł jej zadufany radca prawny ze strony oskarżyciela, który nie przygotował się należycie do rozprawy.

Przystaje na chwilę i mruga oczami, zaskoczona słońcem wczesnego wieczoru.

Jest wysoka, ubrana w granatowy kostium.

Ma zaczesane do tyłu włosy, wystające kościpoliczkowe i intensywnie niebieskie oczy.

Mijający ją ludzie zerkają na nią, a potem się odwracają, jakby wydawała się im znajoma.

Anna spogląda na zegarek: teraz, w godzinach szczytu, jest już zapóźno, żeby wrócić do pokoju adwokackiego i zająć się wynikami sekcji zwłok.

Łapie taksówkę bez trudu, ku irytacji jakichś dwóch biznesmenów.

Postanawia jechać do Old Vica; jeśli zjawi się w teatrze przed Rudim, wypiję drinka.

Wolno jadąc zakorkowanymi ulicami, Anna wraca myślami do człowieka, którego dopiero co bronila w sądzie.

Pewnego dnia zadzwonił do niej jego adwokat.

Nie reprezentował zespołu, który zazwyczaj angażował Annę do prowadzenia spraw; powiedział, że jego klient zlecił mu skontaktować się z nią i przekazać prośbę, aby to ona występowała w jego obronie, gdyż w powszechnej opinii na 26

1 leży do najlepszych prawników z tytułem radcy królewskiego.

Adwokat uprzejmie przeprosił, że zwraca się z tą prośbą do osoby mającej niewątpliwie wypełniony terminarz, ale chciałby spełnić obietnicę złożoną klientowi.

Gdy wymienił nazwę firmy podejrzewanej o malwersacje, Anna natychmiast zainteresowała się sprawą.

Poza tym jej rozmówca reprezentował renomowaną kancelarię, która ewentualnie mogłaby zatrudnić ją w przyszłości.

Umówiła się więc na spotkanie z prawnikiem na jedyną wolną godzinę, jaką jeszcze miała tamtego tygodnia.

Na spotkaniu klient przyszedł sam, ponieważ jego adwokat uczestniczył w posiedzeniu sądu.

Wyraźnie przygnębiony, podziękował Annie, że zgodziła się go przyjąć.

"Nie mam nic do stracenia, prosząc panią o pomoc - powiedział.

Drżały mu ręce, gdy podawał Annie kopertę:

- Czy to wystarczy jako zaliczka na pani honorarium?

".

Anna była rozbawiona, a jednocześnie pełna podziwu, z jaką odwagą i determinacją stara się ją przekonać, by wzięła jego sprawę.

Wiedziała, że jej reputacja może onieśmielać.

Punkt po punkcie przeanalizował z nią szczegóły, a potem poprosiła asystentkę, która od lat wykonywała swą pracę bez słowa skargi, aby poprzekładała jej obowiązki i wcisnęła jeszcze sprawę.

Ślepawiara, jak pokładał w niej ów człowiek, z jakiegoś nieokreślonemu powodu napawała ją smutkiem.

Zadzwoniła do jego prawnika i poprosiła, aby zorientował się, jakie są możliwości skorzystania z funduszu na pomoc prawną.

Oskarżyciel starał się wykazać, że oskarżony w sposób bezwzględny i wyrachowany zataja prawdę, twierdząc, jakoby nic nie wiedział o oszustwach dokonywanych w jego własnej firmie.

Linia obrony przyjęta przez Annę polegała na przekonaniu sądu, że oskarżony jest człowiekiem

prostodusznym, który niezłomnie wierzył w uczciwość swego wspólnika w interesach i źle ulokował swą ufność.

Twierdziła, że dokonanie malwersacji na tak wielką skalę przekraczało jego możliwości, i starała się zrobić z niego człowieka naiwnego w oczach sądu, wykazując, że ślepe zaufanie drogo go kosztowało.

Za swą pracę wzięła nikłą część zwykle otrzymywanego honorarium i wbrew wszelkim oczekiwaniom wygrała sprawę.

Anna wyjmując z torebki telefon komórkowy i dzwoniąc do Alice, swojej asystentki. Relacjonuje jej pokrótce przebieg sprawy, a następnie prosi, żeby zwróciła klientowi pieniądze i potrąciła drobną kwotę jako honorarium, i powiedziała mu, że koszty pokryto z funduszu na pomoc prawną.

Ten niski, dość żalony człowiek, który nie był ani na jotę zgorzkniały czy zgryźliwy, i tak stracił już żonę, dom i wszystkie pieniądze.

Na koniec Anna pyta jeszcze, co przyszło w porannej poczcie jakie spotkania czekają ją następnego dnia.

Popołudniu będzie miała niecodzienne zebranie w prokuraturze, która chce zasięgnąć jej opinii na temat możliwości postawienia przed sądem dawnego nazisty, osiadłego w hrabstwie Dorset.

Anna przeciąga się, czując zmęczenie, ogarniające ją niezmierzennie, gdy mija podniecenie po wygraniu sprawy.

Kątem oka dostrzegawisnę, która lada dzień obsypana się kwiatami, inagle przypomina jej się ogród Marthy.

Chciałaby zabrać Rudiego do Kornwalii, pokazać mu ten region w wiosennej szacie.

Jak wielu Niemców, jej mąż ma romantyczne wyobrażenie o zachodnim wybrzeżu Anglii.

Uważa, że Barnaby wyolbrzymił trudności związane z opieką nad Martha i Fredem.

Jest przecież dochodzącą opiekunką, no i Lucy.

Kornwalia leży za daleko, aby Anna mogła odwiedzać rodziców tak często, jak by tego chciała.

28

Wyjazdy na wakacje musi planować niemal jak kampanię wojskową.

Nie chcąc myśleć dłużej o niedołęstwie rodziców, Anna

chwyta znowu komórkę, żeby zadzwonić do Rudiego.

Dowiaduje się od jego sekretarki, że właśnie wyszedł do teatru.

Rozsiada się wygodnie w jadącej wolnotaksówce

i przymyka oczy.

Wciąż ledwo może uwierzyć, że po tylu latach znalazła szczęście w małżeństwie.

Rudi, zatrudniony jako konsultant finansowy w banku szwajcarskim, też dużo pracuje i ze zrozumieniem traktuje ambicje i rozliczne obowiązki zawodowe żony.

Jako dziecko Anna miała wrażenie, że Martha i Fred

nie pochwalają jej skłonności do rywalizowania z innymi.

Przekonała się, że otwarte wyrażanie ambicji na gruncie domowym jest uważane za przejaw arogancji.

Tak się niepostępuje.

Choć jej rodzice nigdy nie powiedzieli tego wprost, wiedziała instynktownie, jakie jest ich zdanie.

Gdy wysłano ją do szkoły internatowej, wyobrażała sobie po nocach, że jest adoptowanym dzieckiem albo że po narodzeniu została oddana niewłaściwej rodzinie.

Leżała w łóżku, myśląc tęsknie o spotkaniu z zamożną i wytworną rodziną Freda, mieszkającą na odległych, ciemnych dzikich polach w Yorkshire.

Podczas wakacji czuła się wyobcowana w towarzystwie Marthy, Freda i małego, dobrotliwego Barnaby'ego.

Rodzice dokładali wszelkich starań, żeby ją ugłaskać, a ona była wściekła na nich, że są tak cierpliwi, tak cholernie wyrozumiali.

Już w bardzo młodym wieku czuław sobie moc, siłę swej osobowości.

Czuła satysfakcję z myśli, że Martha i Fred zrobią niemal wszystko, by ją udobruchać, dobrze wiedząc, że w przeciwnym razie atmosfera w domu będzie nie do zniesienia.

Narzucając rodzicom

29.

swoją wolę, miała jednak coraz większe poczucie pustki i osamotnienia.

Przez całe dzieciństwo szukała czegoś, co zwiąże ją z domem, z Marthą i Fredem.

Potem, w młodszych latach, jej rojenia się zmieniły.

Zacząła szukać w myślach osoby, która dostrzegłaby, jak bardzo córka przerasta swych przeciętnych rodziców, prowadzących zaściankowe życie w West Country.

Człowiek ten - w jej marzeniach jawił się jako młody, przystojny mężczyzna - wydobywa ją z całkowitego zapomnienia kornwalijskiej prowincji i zapewnia należną jej pierwszoplanową pozycję, jaką bez trudu uzyskała w szkole.

Mimo to Anna gorąco pragnęła zająć miejsce, jakie Barnaby miał w sercach rodziców.

Choć Martha i Fred ciągle powtarzali, jak bardzo są z niej dumni, była pewna, że woleliby mieć córkę miłszą, łagodniejszą, inną.

Wydawali

się zaskoczeni - nie mniej niż ona - że wyrosła na kogoś takiego.

Po zakończeniu roku szkolnego i powrocie do domu Anna wpadała w szał zazdrości na widok Barnaby'ego, spokojnego malca, grzecznego chłopczyka, na którym podczas jej nieobecności koncentrowała się uwaga rodziców.

Przez całe wakacje robiła cichaczem różne rzeczy, żeby doprowadzić go do łez.

Potem, gdy brat wyjechał do szkołyz internatem, a ona poszła na studia, nadal dręczyła go złośliwymi uwagami.

Barnaby, przesiąknięty odwiecznymi barbarzyńskim duchem prywatnej szkoły, nigdy na nią nie naskarżył, nigdy nic nie wypaplał.

Miał w sobie jakąś

apatyczność, a przy tym nieugiętość, co bezgranicznie irytowało ją przez całe życie.

Gdy taksówka podjeżdża pod teatr, Anna dostrzegameżę przed wejściem.

Najej widok Rudi rozpromieniasię i macha ręką.

Zatrzymuje spojrzenie na jej twarzy.

Kiedy Anna wysiada z wozu, podchodzi, żeby zapłacić 30
kierowcy.

Anna doznaje przyjemności i odczuwa znajome podniecenie, jak zwykle, gdy mąż jest przy niej.

Poznali się na konferencji w Zurychu.

Gdy skończyła prowadzić seminarium, usłyszała przypadkiem jego rozmowę z kolegą: wyrażał się o niej z aprobatą i uznaniem, nie wiedząc, że biegle mówi po niemiecku i rozumie każde jego słowo.

Później Rudi opowiada jej, że przeżył wstrząs na widok tej "pięknej angielskiej pani adwokat", był tak oszołomiony, jakby dostał obuchem w głowę.

W ów weekend Anna miała serię wykładów dla błyskotliwych i hałaśliwych uczestników konferencji; skupić na sobie ich uwagę było prawdziwą sztuką.

W wolnym czasie spacerowali po miejskich parkach, chodzili do opery, rozmawiali o swoich nieudanych małżeństwach, o pracy, o własnym życiu.

Mówiąc przez cały weekend tylko po niemiecku, Anna odnosiła dziwne wrażenie, jakby się od czegoś uwolniła albo ocknęła podługim okresie samotności i uśpienia.

Miała doskonały nastrój, czuła się swobodnie w tym kraju i w towarzystwie Rudiego.

Wygłosiła również pierwszy z serii wykładów, które cieszyły się dużym uznaniem w różnych krajach.

Rok później Rudi został oddelegowany do londyńskiego oddziału Banku Szwajcarskiego i wynajął mieszkanie w Chiswick.

Jego nastoletni synowie regularnie przyjeżdżali na święta i na wakacje, chętnie korzystając z atrakcji Londynu.

Traktowali Annę uprzejmie, a ona dawała sobie z nimi radę o wiele lepiej niż z Lucy, która zawsze była dla niej zagadką.

Anna i Rudi pobrali się rok później, gdy dzieci przywykły do nowej sytuacji.

Lucy koniecznie chciała opuścić szkołę z internatem w Dorset i przenieść się do college'u, gdzie przez dwa lata uczyłaby się do egzaminów państwowych na zakończenie szkoły średniej, mieszkając w tym czasie z Barnabym

31.

i dziadkami.

Po rozmowie z dyrektorką Anna w końcu wyraziła zgodę, choć przez długi czas razem z Rudim starała się namówić Lucy do pozostania w Londynie, gdzie jej zdaniem poziom nauczania był znacznie wyższy.

Lucynie dała się jednak przekonać.

Nie chciała mieszkać pod

jednym dachem z matką, Rudim i jego synami, którzy co jakiś czas odwiedzali ojca.

Anna nie była zaskoczona decyzją córki.

Cokolwiek lubko gokolwiek lubiła Anna, Lucy zasady traktowała niechętnie.

Anna musiała również przyznać, że mieszkanie jest za małe, żeby pomieścić trójkę nastoletnich dzieci.

Pozatym doznała ogromnej ulgi na myśl, że, pomijając wizyty chłopców, będzie miała Rudiego wyłącznie dla siebie.

Lucy zdała egzaminy zadziwiająco dobrze.

Mieszkając z Barnabym, Marthą i Fredem, czuła się tak szczęśliwa, jak Anna poirytowana i wyobcowana.

Uprzymiarniając sobie, że Lucy jest już dorosłą kobietą, Anna wzdycha z ulgą.

Życie jest teraz dużo łatwiejsze.

Czuje na policzku pocałunek męża i rozkoszuje się przychylnością losu.

Rudi, który już zaspokoił większość swoich ambicji, postanowił zrezygnować z awansu i przy niej doczekać emerytury w Londynie.

Anna mawia, że jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa.

Ścisła rękę Szwajcarowi, którego Rudigości w Londynie, i wszyscy kierują się do baru.

Dłoń Rudiego zawisa zarmancko w zagłębieniu jej talii, Anna przypomina sobie, że tak samo zachowywał się Fred, idąc obok Marthy, i ogarnia ją wzruszenie.

Czuje się bezpieczna, gdyż stałość uczuć, jakie Fred żywi do Marthy, jest niczym stałość pór roku.

'Rozdział czwarty

Wieczorne nabożeństwo dobiegło końca.

Lucy pomaga Barnaby'emu położyć Marthę do łóżka.

Fred doskonale umie zatroszczyć się o siebie, ale już nie potrafi zająć się żoną, co wprawia go w przygnębienie.

Dziadkowie Lucy śpią teraz w osobnych łóżkach, ustawionych na tyle blisko, żeby mogli się dotykać i trzymać nocą za ręce, lecz by nie zakłócali sobie nawzajem snu.

Martha zawsze kładzie się pierwsza.

Potem Lucy siada przy niej, trzyma za ręce, sprawdza termofor, podaje tabletki, gawędzi z nią i podziwia jej wciąż piękną twarz.

Martha wkłada niezmiennie do łóżka śliczne nianie koszule nocne.

Gdy leży, jest odprężona; jej twarz, nienaznaczona niepokojem i zmarszczkami, przypomina drobną, gładką buzię dziecka.

Zaczyna nagle składować myśli snując długie, pełne dygresji opowieści o budowie dużego domu, o zakładaniu ogrodu na gołej ziemi.

O tym, jak poznała Freda w Londynie.

O miłości od pierwszego wejrzenia.

Fred wychodzi z łazienki, wykąpany, nienagannie ubrany w piżamę i szlafrok, po czym mówi do Lucy grzecznie, choć stanowczo:

- Dobranoc, dziecko.

33.

To jest sygnał, że ma zostawić ich samych.

Lucy pochyla się i całuje babcię.

Martha oplata chudymi ramionami szyję wnuczki i mówi:

- Tak cię kocham, moja najdroższa!

- Ja ciebie też, babuniu.

Śpij dobrze.

Dobranoc.

Pochyla się nad przygarbionym dziadkiem.

- Dobranoc, dziaduniu.

Niech Bóg czuwa nad tobą.

- I nad tobą, dziecko.

Każdy wieczór wygląda tak samo.

Za chwilę przychodzi Barnaby, żeby ich otulić, a potem staje w nogach łóżki odmawia modlitwę przed snem.

- Dobranoc, drogi Barnaby - szepcze jego matka.

Z zamkniętymi oczami, już niemal pogrążona we śnie.

- Dobranoc, mamusiu.

- Dobranoc, kolego - mówiojciec.

- Dobranoc, tato.

Śpij dobrze.

Ten rytuał daje poczucie bezpieczeństwa.

Barnaby zamyka drzwi sypialni i opiera się o nie plecami.

"I bezładnych trosk" - szepcze.

Fred zapadnie w głęboki, ciężki sen, ale Martha będzie wstawała wiele razy i chodziła po mieszkaniu, zanim nastanie noc.

Lucy nalewa wino do dwóch kieliszków.

Oboje siadają i piją w milczeniu.

Od tygodnia chce powiedzieć Barnaby'emu o pudełku znalezionym na strychu.

Nigdy nie

miała przed nim tajemnic, ale teraz, gdy widzi jego zmęczoną twarz, milczy.

- Barnaby, nie możesz tak daleko żyć - odzywa się po chwili.

- Niedziele są dla ciebie mordegą.

Także w weekendy trzeba zatrudnić opiekunkę.

Nie wystarczy stara pani B.

, która przychodzi na kilka godzin.

Wkrótce będziesz potrzebował pomocy przez całą dobę.

- Po chwili wahania ciągnie przygnębionym głosem: - Pamiętasz, jak pojechałam do Londynu na rozmowę kwalifikacyjną?

Szukali

nauczycieli angielskiego dla zagranicznych studentów.

No więc dostałam tę pracę.

- To wspaniale!

- Barnaby zrywa się i miejscami całuje Lucy.

- Mądra z ciebie dziewczyna.

Tak się cieszę, że ci się udało.

Pomyśl tylko - wykorzystasz zdobytą na studiach wiedzę i zarobisz przyzwoite pieniądze.

- Nie płacą rewelacyjnie, ale cieszę się, że pojedę natrzymujące do Włoch i będę tam uczyć.

Tylko jak ty dasz sobie radę sam?

Z babunią będzie coraz gorzej.

- Lucy wstaje i dolewa Barnaby'emu wina.

- Zaczynam pracę dopiero za parę miesięcy, ale Tristan chce spędzić ze mną urlop przed wyjazdem do

Kosowa.

Ato oznacza, że wkrótce mnie tu nie będzie.

- Posłuchaj, Lucy - mówi zdecydowanym tonem Barnaby.

- Nie jesteś odpowiedzialna za to, jak sobie poradzę.

Musisz zająć się własnym życiem.

- Spogląda na nią z uwagą.

Przypuszcza, że Lucy z lękiem myśli o wyjeździe z Kornwalii i martwieniu o domowników.

- Pobyt w Londynie sprawi ci frajdę.

Nie musisz zostawać tam na zawsze.

Przeżyjesz wielką przygodę i będzie ci łatwiej ułożyć sobie życie z Tristanem po jego powrocie z Kosowa.

Oczywiście, będzie mi cię brakowało, Lu.

Byłaś wspaniałą przez te ostatnie miesiące.

Ale świat stoi przed tobą otworem.

Lucy wybuchła płaczem.

- Nie powinnam stąd wyjeżdżać.

Moje miejsce jest tu, przy mojej rodzinie.

Pewno boisz się przyznać, że potrzebujesz pomocy, aby opiekować się babunią i dziaduniem.

Robi mi się słabo na myśl, że zostawiam cię samego.

- Widzę, że popełniłem błędzi za bardzo się tobą wyręczałem - mówi Barnaby, zaskoczony reakcją Lucy.

- Czuję się źle, gdybyś uważała, że nie możesz żyć własnym życiem albo że musisz uwzględniać moje potrzeby czy potrzeby

Marthy i Freda.

Wiem, jakie uczucia wzbudza w tobie Konwalia, ale przecież ten dom zawsze będzie na ciebie czekał.

Masz przed sobą całe życie z mężczyzną, którego kochasz i który cię uwielbia.

- To prawda - odpowiada Lucy, uśmiechając się przez łzy.

- Tylko proszę cię, Barnes, pomyśl o zatrudnieniu opiekunki, która tu zamieszka.

Nie musisz zwracać się do agencji, są przecież emerytowane pielęgniarki.

Mógłbyś przeprowadzić się do małego domku i miałbyś dużo miejsca i więcej spokoju.

Dobrze by ci to zrobiło.

- Lucy, całodobowa opieka jest bardzo kosztowna.

Możemy myśleć o zatrudnieniu opiekunki na stałe tylko wtedy, gdy znowu wynajmiemy mały domek.

Poza tym nie zapominaj, że domek nie jest wyłącznie moją własnością, należy także do Anny.

- Mama będzie musiała, do cholery, pomóc finansowo.

Najwyższy czas, żeby przejęła część odpowiedzialności.

A ty powinieneś mieć swoje życie, możliwość wyłączenia się.

Zwariujesz z tymi wszystkimi opiekunkami.

- Potrafię zadbać o siebie, Lucy - przerywa jej Barnaby.

- Natomiast ty pomyśl, czym chcesz się zająć, co sprawi ci radość, i spróbuj to osiągnąć.

Nagle rozlega się dzwonek telefonu i oboje aż podskakują.

Barnaby'ego ogarnia przygnębienie, bo domyśla się, kto dzwoni.

- To pewnie Anna - mówi Lucy.

- Niedzielny telefon obowiązkowy i poczucia winy.

Nie pozwól, żeby cię zdołowała, Barnes.

Barnaby już jest spięty.

Słyszając zdecydowany, pewny siebie głos Anny, denerwujesz się jeszcze bardziej.

Anna zamierza wziąć krótki urlop i przyjechać z Rudim w odwiedziny do Marthy i Freda.

Sugeruje, że najlepiej będzie, jeśli zatrzymają się w dużym domu, gdyż nie chciałaby,

żeby Rudi znosił niewygody i niehigieniczny tryb życia, jaki Lucy prowadzi w wiejskim domku.

- Obawiam się, Anno, że to nie jest dobry pomysł - odpowiada Barnaby, tłumiąc irytację.

- Opiekunki przychodzą wcześniej.

Rano panuje tu zamęt, bo mamy tylko jedną łazienkę.

Poza tym Martha i Fred są dość dezorientowani, zwłaszcza w obecności osoby nieznajomej.

Przykro mi, ale uważam, że tonie będzie w porządku wobec opiekunek, a ja też nie dam rady zajmować się jeszcze dwiema osobami w domu.

Czy nie mogłabyś tym razem przyjechać sama i zatrzymać się w małym domku?

Od twojej ostatniej wizyty minęło sporo czasu, więc obawiam się, że zauważysz dużą różnicę w zachowaniu Marthy i Freda.

- Najwyraźniej kiepsko sobie radzisz, Barnaby - odburkuje zirytowana Anna.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej.

Widzę, że trzeba pomyśleć o jakimś domu opieki.

Porozmawiamy o tym, gdy przyjadę.

- W żadnym wypadku!

- woła Barnaby, nie mogąc dłużej opanować gniewu.

- Trudno mi uwierzyć, że w ogóle mogłaś coś takiego zaproponować.

Zanim zaczniesz wyrażać swoją opinię, powinnaś przyjechać tu i rozeznaczyć sytuację.

Powiem Lucy, żeby przed twoim przyjazdem posprzątała mały domek.

Daje znak Lucy, żeby była cicho.

Lucy podskakuje w miejscu, wałąc pięścią w powietrze i unosząc kciuki do góry.

- Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu, żebyś przyjechała z Rudim.

- Barnaby przerywa i bierze głęboki oddech.

- Rzecz w tym, że jeśli przyjedziesz sama, będziesz mogła spędzić odrobinę czasu z Marthą i Fredem.

Wakacje z Rudim zrób sobie innym razem.

Zwłaszcza Fred będzie zadowolony z twojego przyjazdu.

Przemyśl to i daj mi znać.

Dobranoc.

37.

Odłożywszy słuchawkę, Barnaby uświadamia sobie, że trzęsie się cały ze zmęczenia i tłumionej wściekłości.

Spośród wszystkich ludzi, których zdarzyło mu się spotkać, Anna jest największą egocentryczką.

Lucy wciąż podskakuje w miejscu.

- Ona jest stuprocentową egoistką - powtarza głośno myśl Barnaby'ego.

- Tylko mi nie mów, Barnes, że odczuwanie niekiedy awersji do własnej matki jest niestosowne.

Doprowadzam niedo szału.

Czy kiedykolwiek spytała, jak ty się czujesz?

Akurat!

Całe szczęście, że się nie dałeś.

Co za tupeciara!

O rany, jestem wykończona.

Idę do łóżka.

- Lucy traci raptownie wigor.

- Śpij dobrze - mówi oschle Barnaby icałując ją na dobranoc.

- Twój sposób wyśławiania się nic nie zyskał natym, że masz wujka pastora.

Patrzy, jak Lucy idzie po wilgotnej trawie i znika za małą furtką prowadzącą do domku.

Jak to możliwe, że Anna wydała na świat dziecko tak bliskie jego sercu?

Kuliki, osiadłe przy ujściu rzeki, szczebioczą żałośnie w ciemnościach.

Niespodziewanie dla samego siebie Barnaby przyznaje wdychu, że i jemu zdarzają się odczuwać gwałtowną awersję do siostry.

Chętnie wysłałby ją na odległe stepy Mongolii - co więcej, to pragnienie towarzyszy mu od zawsze.

Wspomnienia Marthy, tak długo odsuwane i zacierane, powracają z wolna i ukradkiem.

Czas stracił dla niej znaczenie.

Przeszłość i teraźniejszość łączą się i zamazują.

Głosy i twarze przepływają przez głowę jak cienie, opowiadają o dawno zapomnianych żywotach, które wydają się jej bardzo realne, bardzo bliskie.

Ma wrażenie, jakby wystarczyło otworzyć drzwi, by znów znalazła się w przestrzeni swego dawnego życia.

Ci ludzie, znani

38

w dzieciństwie, przyciągają ją długimi ramionami, spowijają swoją bliskością.

Martha wyciąga rękę, żeby w przelocie dotknąć rękawa

sukienki, szorstkiego tweedu marynarki.

Czuje zapach świeżego chleba w piecu.

Widzi ukochane twarze, które pochylają się nad nią z uśmiechem, strofują za porywczosć.

Z tęsknotą w sercu Martha unosi głowę, chce poczuć oddech na policzku.

Odwraca się, by usłyszeć cichy śmiech, poczuć dotyk ciepłej dłoni.

Słucha, jak wiatr szarpie wysokimi oknami: ich stukot roznosi się po całym domu, trzaskają drzwi, wybrzuszą się zasłony, falują dywaniki, jakby duch przeszedł korytarzem.

Mama i tato popijają herbatę z niemieckim doktorem i jego żoną.

Marta i jej rodzice wybrali się pociągiem z Łodzi do Warszawy, żeby ich odwiedzić.

Martę i synka doktora wysłano do ogrodu pod opieką pani, aleniania, zamiast pilnować dzieci, flirtując z ogrodnikiem.

Marta przygląda się zafascynowana małemu Niemcowi,

któryma włosy niemal białe, intensywnie niebieskie oczy olśniewają białymi zębami.

Jest ubrany w krótkie skórzane spodnie i jasną koszulę z krótkimi rękawami.

Odświeżone ręce i nogi są mocno opalone i gładkie jak skórka jabłka.

Chłopiec odpowiada jej lekceważącym spojrzeniem.

Jest niezadowolony, że musi bawić się w ogrodzie z dziewczynką.

Marta stoi na schodach tarasu, czujna i lekko wystraszona,

Jak mały zając gotów szybko czmychnąć.

Chłopiec podchodzi do niej, trzymając rękę na biodrze, i spogląda na nią z góry.

- Ile masz lat?

- pyta.

- Pięć - odpowiada Marta.

Prostuje się jak struna, żeby wyglądać na wyższą.

39.

- Jestem starszy.

Mam osiem lat - chwali się chłopiec.

- Muttimówi, że będę wyższy od taty.

- Po chwili milczenia dodaje zduszonym głosem: - Idę do koni.

Możesz pójść ze mną.

Odwraca się i maszeruje w stronę stajni.

Marta idzie za nim.

Boi się koni, ale nie zamierza się do tego przyznawać.

Konie wyglądają ze swoich boksów i potrzęsają wielkimi łbami, opędzając się od much.

Są tak wyszczotkowane, że aż lśni im skóra i połykują grzywy przy każdym ruchu.

Chłopiec podchodzi do rosnącego ogiera.

- To jest Tylicz, mój ulubieniec.

Kiedy urosnę, będę na nim jeździł, ale teraz jest dla mnie za duży i zasilny.

- Wyjmuje

z kieszeni jabłko i odwraca się do Marty.

- Masz.

Jeśli chcesz, możesz je dać Tyliczowi.

Patrzy na nią z uwagą, nagle na jego twarzy pojawia się uśmiech.

Marta błędnie myśli, że miałyby zbliżyć się do tego wielkiego pyska.

On wie, że się boją - przebiega jej przez głowę.

Chłopiec wyciąga jej jabłko i prowadzi do konia.

Marta ociąga się, jak tylko może, ale on szarpie ją gwałtownie, mówiąc, że nie ma się czego bać, a potem niezdarnie podnosi ją ku końskiej głowie.

Na widok opuszczającego się łbów i długich żółtych zębów Marta krzyczy, puszcza jabłko i próbuje się wyrwać.

Chłopiec traci równowagę i upuszcza dziewczynkę na ziemię.

Wybuchając śmiechem: widzi, że nic się jej nie stało, a na dodatek wygląda tak zabawnie.

Marta nie zamierza płakać - wzbiera w niej gniew.

Wstaje, podnosi jabłko, ociera o brzeg sukienki i gryzie na części.

Przypomina sobie słowa mamy i kładzie kawałki jabłka na wyprostowanej dłoni.

Podchodzi do Tylicza, staje rozdygotana na palcach i unosi rękę wysoko do góry, drugą opierając się o drzwiczki boksów, żeby zachować równowagę.

Tylicz spogląda na nią z góry, jakby się uśmiechał, i bardzo powoli, łagodnie, pochyla się nad drzwiczkami, wyciągając szyję.

Ledwo dosięga jabłka, ledwo muska jej rękę wąsami.

Zgar40

nia owoc i łaskocze jej dłoń aksamitnym pyskiem.

Marta parska śmiechem, słysząc głośnie chrupanie.

Zadowolona, że koń jej nie ugryzł, śmieje się serdecznie, całując go w łeb.

Już nie boi się tego chłopca.

Nie boi się konia.

Gdy się odwraca, widzi, że chłopiec też się śmieje, teraz nie patrzy na nią lekceważąco.

Słyszając wołanie mamy Marty, dzieci biegną przez trawnik do domu.

Marta trzyma wysoko głowę, wyprężona z dumy.

Matka chłopca stoi obok mamy w otwartych na oścież przeszkłonych drzwiach tarasu.

Wyciąga rękę i wicherzy gęstwą włosów.

Jest śliczna, złocista, myśli Marta, ale się nie uśmiecha.

Jej mama jest drobna i owiele piękniejsza - maśnięte ciemne włosy i wesołe brązowe oczy.

Niemiecki doktor wychodzi z tatą do ogrodu i pochyla się nad Martą.

- Twój ojciec i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi - mówi.

- Razem studiowaliśmy.

Mam nadzieję, że ty i mój syn też się przyjaźnicie.

Twój tato zgodził się pracować ze mną.

Pomożemy prowadzić klinikę.

A dla ciebie wybuduje dom na tamtym kawałku ziemi pod lasem.

Marta zerka na chłopca, który stoi za swoim ojcem - narozstawionych szeroko nogach, z rękami na biodrach, wlepiając w niego turkusowe oczy.

Matka obejmuje go ramieniami szepcze mu coś do ucha.

Chłopiec odsuwa się z zażenowaniem, strząsa jego dłoń i błyskawicznym kopnięciem przewraca krzesło ogrodowe.

Rozlega się skowyt małego pieska, który wyskakuje spod krzesła i ucieka w głąb ogrodu.

Chłopiec się wzdryga.

Marta przypuszcza, że niezauważyła psa.

Czas się żegnać.

Ojciec bierze ją za rękę.

Odchodząc, Marta spogląda przez ramię.

Chłopiec wciąż stoi w tym samym miejscu, odprowadza ją wzrokiem, a jego jasne włosy rozwiewa wiatr.

Nagle wydaje się jej tak samotny i dziwnie piękny.

Niezwykły.

Martą wstrząsa dreszcz.

Rozdział piąty

Lucy budzi się wcześniej.

Wkłada podkoszulek i spodnie od dresu.

- Przykro mi - mówidoHomera, wypuszczając go doogrodu, żeby się załatwił.

- Nie dotrzymasz mi kroku, gdybędę biegała.

Pójdziemy na spacerpóźniej.

Z miną męczennika Homer wraca na posłanie.

-No już, nie rób z tego tragedii.

Unosi jego ciężki łeb i całuje, ale pies nie daje się udobruchać.

Lucy otwiera drzwi frontowe i biegnie ścieżką przy kościele, a potem w dół, na plażę.

W powietrzu czuć ciepłą atmosferę oczekiwania.

Ptaki śmigają nisko nadposzyciem, zbierają piórka, puszek, żdźbła trawy i gałązki.

Lucy

zbiega po schodkach i zeskakuje na piasek.

Jest odpływ, można okrążyć prawie cały cypel.

Wyteża siły, biegnie rytmicznie, przeskakując przezrozlewające się na jej drodze fale.

Czuje, że zaczyna sięz wolna odprężyć.

Plaża jest pusta i jednorodna w świetle wczesnego ranka, ciągniesz siędaleko.

Nagle ogarnia ją poczucie szczęścia, radości życia.

Narzuca sobie szybsze tempo.

Włosy falują w rytm jej kroków.

Gdy przybywadnia, zawsze budzi się wcześniej, a teraz to nie jasność poranka wybija ją ze snu.

42

W szybkim tempie przebiegła jużspory odcinek plaży.

Zaczyna zwalniać, czując zmęczenie w nogach i zastanawiając się, dokąd chce dobiec.

Odsuwa od siebie myślę niepozornym, niezrozumiałym świadectwie urodzenia- woli pomyśleć o Tristanie.

Dociera na koniec plaży i siada ciężko przy skałach, spocona i zdyszana.

W oddali widać wypływające w morze łodzie rybackie, które zmagają się z przeciwnym wiatrem.

Lucy zastanawia się, jak to będzie, gdy znowu zamieszka z dala od morza - nie tylko w

Londynie, ale i tam, dokąd Tristan zostanie wysłany po powrocie z Kosowa.

Nie jest pewna, czy przez dłuższy czas potrafiłaby żyć daleko od wybrzeża.

A jeśli, co gorsza, Tristan pojedzie gdzieś sam, a ona będzie musiała mieszkać osobno w wojskowych kwaterach?

Mruży oczy i spogląda w niebo.

Z tyłu, od strony wydm, dochodzi śpiew skowronków.

Ślub, którym nigdy tak naprawdę nie rozmawiali, wydaje się przesądzony.

Tristan jest co prawda niepraktykującym katolikiem, ale jego rodzice bez wątpienia wypełniają swe obowiązki religijne.

Gdy Tristan i Lucy przyjeżdżają do nich w odwiedziny, matka zawsze przygotowuje dla nich osobne sypialnie, choćwie zapewne, że sypiają ze sobą.

Nie jest pruderyjna ani ich nie krytykuje, lecz, jak delikatnie im wyjaśniła, nie akceptuje podwójnej moralności.

Najmłodsza siostra Tristana, Laura, wciąż mieszka z rodzicami i w żadnym wypadku nie dostałaby pozwolenia na to, żeby przyprowadzić do domu chłopca i z nim spać.

Lucy uśmiecha się szeroko.

Z tymi osobnymi sypialniami było zabawnie: Tristan przynosił jej co rano herbatę do łóżka, zjawiając się w pożyczonym od ojca szlafroku i fularze zawiązanym pod szyją; miał zakręcone wasy, wymalowane jej kredką do oczu, i nieudolnie próbował udawać

43.

Noela Cowarda, ale bardziej przypominał Davida Suchetaw roli Poirota.

Lucy czuje chłód i obejmuje się ramionami.

- Czy skończy się tym, że co roku będę miała dziecko i grubą talię jak beczka?

- zapytała Tristana.

- Tak właśnie się skończy- odparł.

- Mam słabość dokobiet pozbawionych talii.

-Nie chcąc, by wpadła w popłoch, szybko dodał: - Czomoja matka ma tuzin dzieci?

Nie przejmuję się, zastosujemy naturalną metodę regulacji poczęcia: coitiisinterruptus.

- Widząc jej minę, wybuchnął śmiechem.

-Tylko żartowałem, głuptasie.

- Wziął ją naręce i obrócił w koło.

-Poza tym, kto wie, czy nie porzucisz mnie dla jakiegoś rybaka i osiądziesz w swoim najukochańszym miejscu, gdzieś na końcu świata.

Uśmiechnął się, ale w jego oczach dostrzegła powagę.

Tris.

Nie wyobraża sobie życia bez niego.

Gdyby nie on, wszystko, co tutaj ma, znaczyłoby o wiele mniej.

Lucy wstaje, przeciąga się kilkakrotnie podskakując w miejscu, żeby rozluźnić mięśnie nóg.

Biegnie z powrotem, już wolniej.

Odpyw zostawił na mokrym piasku falistą linię piany.

Tristan przyczynił się do tego, że dorosła.

Nie zawsze mówi to, co chciałaby usłyszeć, ale i tak go słucha, zwłaszcza gdy chodzi o Annę.

Jej sercem znowu targaniepokój.

Jak po przebudzeniu, gdy człowiek wie, że coś jest nie tak.

Mocno zamyka oczy, żeby pozbyć się niepewności.

Anna przysłała jej kartkę z krótkimi gratulacjami po otrzymaniu nauczycielskiej posady.

Nie był to zwyczajowy gest Anny.

Lucy podejrzewała, że kartkę kupiła Alice, asystentka Anny, albo Rudi.

Na koniec Anna napisała:

"Nadszedł czas, żebyś wróciła do cywilizowanego świata.

Sądzę, że cię zainspiruje.

Ściskam, mama".

44

Rozgniewana Lucy rzuciła kartkę ką, ale gdy powiedziała o niej Tristanowi, zauważył z rozumą:

- Wydaje mi się, że jesteś zbyt surowa dla Anny.

Przysłała ci kartkę, bo jest z ciebie dumna.

Nieważne, kto ją kupił.

- Nie jestem dla niej surowa!

Anna nigdy w życiu nie zrobiła ani nie powiedziała niczego, co nie byłoby jakimś zakamuflowanym przytykiem.

Przynajmniej do mnie.

- A może jest tak, że cokolwiek by zrobiła czy powiedziała, ty i tak zajmiesz pozycję obronną?

- Nic nie rozumiesz- odparła z urazą Lucy.

- Jeśli tak będzie, to tylko dlatego, że przez całe moje życie krytkowała.

- To błędne koło, Lu.

Nie będziemy się kłócić o megierę w sędziowskiej peruce.

Masz rację: nie wiem, jakie to uczucie być jej córką.

Nie wiem, co czuje człowiek wychowany przez ambitną czy pracującą matkę.

Uważam, że bardzo się różnicie, szkoda, że nie umiecie się porozumieć.

Jestem przekonany, że jest dumna jak paw, mając taką córkę, a ty jesteś równie dumna z niej.

Lucy dobiega do schodków i znowu się zatrzymuje, zlaną potem.

Rzecz w tym, że istotnie jest dumna z swojej matki.

Przypomina sobie, jak Anna wygłaszała w jej szkole pogadankę na temat wyboru zawodu.

Było to tuż po egzaminach państwowych, które Lucy zdawała razem z innymi szesnastolatkami.

Już na początku oszołomiła wszystkich nieskazitelnym wyglądem.

Gdy zaczęła mówić, w auli zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Lucy była nią zafascynowana.

Miała wrażenie, że patrzy na osobę, której w ogóle nie zna.

Anna, obrońca sądowy, mówiła błyskotliwie i ze swadą, zachęcała do wymiany zdań, prowokowała do dyskusji.

Anna, pełna życia, robiła to, co umiała najlepiej.

Przez dwie godziny potrafiła skupić na sobie uwagę czterdziestu dziewcząt i trzydziestu chłopców z pobliskiej szkoły.

Zadyszana Lucy wspina się po schodkach.

Tego samego dnia, gdy matkamiąla pogadankę w szkole, powiedziała jej, że zamierza wyjść za mąż za niemieckiego bankiera.

Tej nocy, leżąc w łóżku w cichej sypialni winternacie, Lucy pomyślała: Anna jest zakochana i dlatego wyglądała tak pięknie, dlatego była taka błyskotliwa.

Zanim usłyszała tę wiadomość, podjęła decyzję, że opuści szkołę i przeniesie się do college'u, gdzie przez dwa lata będzie przygotowywać się do egzaminów państwowych na zakończenie szkoły średniej.

W żadnym wypadku nie zamierzała wracać do małego mieszkania i żyć pod jednym dachem z Anną i jej nowym mężem.

Już sama myśl budziła w niej niesmak.

W tym czasie Barnaby zajmował mały domek, korzystając z urlopu po pobycie w Irlandii Północnej.

Lucy zadzwoniła do niego z pytaniem, czy może tam zamieszkać zdawać egzaminy w Kornwalii.

Zdaniem Barnaby'ego siostrzenica była za młoda, by mieszkać sama w wiejskim domku, a dziadkowie byli za starzy, by nastąpiło przyjęcie do siebie siedemnastolatki.

Lucy przekonywała go, że w małym domu spędziła wszystkie wakacje, poza tym wystarczy przejść dziesięć kroków, by znaleźć się pod drzwiami Freda i Marthy.

Dziadkowie zachwycili się tym pomysłem.

Wtedy Lucy po raz pierwszy dostrzegła smutek na twarzy Barnaby'ego.

Wystąpił z wojska i najwyraźniej dręczył go jakiś niepokój.

Po urlopie wybrał się w samotną podróż.

Lucy zastanawiała się, czy już nie chce być księdzem.

Barnaby wrócił do domu, gdy miała wyjechać na studia.

Poprosił o przydzielenie mu parafii w Kornwalii, żeby być blisko Marthy i Freda.

Martha nie czuła się dobrze, ale nie było jeszcze wiadomo, co jej dolega.

Pod samym domem Lucy zdarza się w furtce z Barnabym.

46

- O rety, jak ty wyglądasz?

- woła ze śmiechem na jej widok.

- Po co się tak wysilasz, skoro nie masz ani gramat łuszczy?

Przyszedłem tu, bo Homer wyłjak opętany.

- Homer to rozpieszczony smarkacz - mówi Lucy i spogląda z naganą na psa.

- Jasne.

Prawie odurodzenia mieszkał z twoimi dziadkami.

Przeniósł swe uczucia na ciebie tylko dlatego, że chodził z tobą spacerować i dajesz mu bez ograniczeń herbatniki.

Zjesz śniadanie czy idziesz do pracy?

- Zjem.

Babunia już wstała?

Usmażysz jajka na bekonie?

- Twoja babcia jak zwykle je śniadanie w łóżku, a ja nie zamierzam smażyć jajek na bekonie.

Nie pojmuję twojej logiki - najpierw trening, a potem śniadanie na ciepło.

- Nie pojmujesz tego, bo jesteś mężczyzną - odpowiada przymilnie Lucy.

- Dzisiaj pracuję oddwunastej dotrzeciej muszę dobrze się najeść, żeby jakoś przetrwać.

- Może dostaniesz jajko na miękko.

Co zarzypuszczona smarkuła.

Barnaby odwraca się pochylając głowę, przechodząc przez furtkę w ogrodzie.

Za nim wlecze się Homer.

Lucy śmiecha się szeroko i idzie zadzwonić do Tristana.

Rozdział szósty

Anna miała wyjątkowo dobry dzień i wraca do domu dość wczesnej porze.

Otwierając drzwi, słyszy najpierw Marię Callas.

Suicidio!

In questi fieri moment!

Zatrzymuje się i słucha, oparta o framugę.

Kolorowe szyby słońca wieczornym słońcu, refleksy światła padająca korytarz.

Dochodzą zapach cygara Rudiego.

Czuje cudowność tej chwili i nie chce jej zburzyć.

Idzie wolno po schodach na górę.

Mieszkanie jest dwupoziomowe.

Pokój frontowy, do którego wchodzi się z korytarza, służy jako gabinet Anny lub trzecia sypialnia.

Przylega do niego mała sypialnia z jednym palnikiem i płytą gazową i niewielkim zlewem.

Przeszkłone drzwi otwierają się na niewielki taras od strony ogrodu, gdzie Anna i Rudi odpoczywają w lecie.

Na pierwszym piętrze jest salon, dwie sypialnie, łazienka i kuchnia.

Anna uwielbia mieszkanie - całkowicie zaspokaja jej potrzeby.

Mieszka tu od dawna, włożyła w nie sporo pieniędzy, ale teraz jego wartość czterokrotnie przewyższa sumę, za którą je kupiła.

Otwiera cicho drzwi do salonu przez chwilę przygląda się Rudiemu, który siedzi w obrotowym skórzanym fotelu, na wpół zwrócony w stronę okna.

Na kolanach trzyma rozłożonego "Timesa", alego nie czyta.

Mazanki nie toczy z głową opartą o fotel słucha muzyki.

48

Anna stoi nieruchomo, patrząc na niego.

Widzi szpakowate włosy nad uszami, śniadą twarz, wyraźnie zarysowane usta i cienkie, pionowe zmarszczki.

Prawą ręką, o długich palcach, zwiesza się luźno przez poręcz.

Jest coś zmysłowego i intymnego w obserwowaniu drugiej osoby, gdy jest tego nieświadoma, w obserwowaniu twarzy kochanej osoby, która sądzi, że jest sama.

Siła miłości sprawia, że Anna odczuwa bolesny skurcz żołądka, jest tak poruszona, że musi oprzeć się o ścianę.

Widząc cień, który rzuca jej ręką, Rudi obraca się w fotelu, zaskoczony.

Dostrzega wyraz jej twarzy, nim pojawi się na niej uśmiech.

Patrzy jej w oczy i czuje, jak wali mu serce.

Anna ma w sobie głębię, której on nigdy nie dołączył.

Jednak ten ulotny wyraz twarzy jest tak wymowny, że Rudi wie wszystko, co pragnął wiedzieć.

Miłość Anny jest tak namiętna, że czyni ją bezbronną.

Anna już raz została zdradzona.

Czar chwili przyska.

Rudi wyciąga z uśmiechem ramiona i wstaje z fotela.

- Cóż za cudowna niespodzianka!

Wróciłaś wcześniej do domu!

- Tak, to cud - odpowiada Anna ze śmiechem.

Obejmują się, wciąż pod wrażeniem tamtej chwili.

W łagodnym uścisku dotykają nawzajem swych pleców,

awokół nich płynięło Marii Callas.

- Pomyślałam, że zaproszę cię na kolację - mówi Anna, odchylając się do tyłu i patrząc

Rudiemu w twarz.

- Zarezerwowałam stół w tej nowej włoskiej restauracji niedaleko stąd.

Wieczór jest taki piękny, że moglibyśmy się tam przejść.

Rudi odsuwa się od niej, żeby ciszyć muzykę.

- Czy uczymy w ten sposób coś więcej niż twój wczesny powrót do domu, kochana Anno?

49.

- Wiesz, dowiedziałam się dzisiaj, że znowu wysunięto moją kandydaturę na sędziego okręgowego.
- Wspaniale, Anno!

Chcesz tego?

Będziesz miała więcej czy mniej pracy?

- Raczej inną pracę.

Oznaczano częstsze podróże, ale jest również awansem.

Nie prowadziłabym tylu spraw coteraz.

- Uśmiecha się i bierze torebkę.

- Już raz odmówiłam i sądzę, że znowu to zrobię.

Uwielbiam potyczki

sali sądowej.

Ale mam satysfakcję, że biorą pod uwagę moją osobę!

Idą razem do kuchni.

Rudi wyjmuje z lodówki butelkę wina.

- Jutro zabieram się za sprawę Pipera.

Wiesz, chodziło o zaniedbania w firmie farmaceutycznej.

Wspominałam ci.

To będzie prawdziwy maraton.

Więc dzisiaj świętujemy cały długi wieczór tylko we dwoje.

Rudi podchodzi do niej i zakłada jej za ucho cienkie pasemko włosów.

- Czy mamy czas na długi przyjemny prysznic przed kolacją?

- Pod dostatkiem - zapewnia cicho Anna.

Jest ciemno.

Nocna cisza otacza, oblega i osacza Annę.

Z oddali dociera natrętne echo płaczu.

Krajobraz jest ponury i surowy - nie widać domów, tylko zarys zgarbionych postaci, które poruszają się na tle ogni rozbłyskujących w mroku.

Jacyś ludzie przytrzymują ją z całych sił, zasłaniają nos i usta, nie pozwalają zaczerpnąć powietrza.

Anna budzisz się gwałtownie, serce jej wali młotem, jakby ktoś nagle potrzęsła ją zimną ręką.

Jest środek nocy.

Rudi leży obok, pograżony we śnie.

Anna ociera się o jego odsłonięte ramię, wilgotne i chłodne, i wstrząsa nią dreszcz.

ne, i wstrząsa nią dreszcz.

Za oknem po prawej stronie jest zimna, bezchmurna noc, widać niebo usiane odległymi, blednącymi gwiazdami, niewyraźne dachy domów wierzbę.

Anna nie pamięta, dlaczego się obudziła, ale sen pozostawił w niej uczucie niepokoju.

Leży w łóżku, analizując sprawę, którą stanęła na wokandy w przyszłym tygodniu, i zastanawia się, czy uwzględniła wszystkie jej aspekty.

Rozmyśla o czekających ją w tym tygodniu spotkaniach i o wykładzie, który wygłosi w piątek w Berlinie.

Nie znajduje niczego, co budziłoby niepokój lub mogłoby spędzić sen z powiek.

Myśli o matce, o postępującym wolno i ukradkiem niedołęstwie rodziców.

Czy to o nich śniła?

Raczej nie.

Wie jednak, że sytuacja w Kornwalii jest coraz trudniejsza, a ona nie chce przyjącego dowiadomości i robi uniki.

Całodobowa opieka jest możliwa, ale kosztowna.

Pewno dlatego Barnaby tak bardzo stara się brać wszystko na swoje barki.

Anna wzdycha.

Ma nadzieję, że pieniądze Marthy i Freda nie wyczerpią się przed ich śmiercią.

Fred zawsze martwił się o finanse i gdyby musiał sprzedać dom, pękłoby muserce.

Rozwiązanie tej sytuacji nie będzie proste.

Ale on przynajmniej stara się w praktyczny sposób zadbać o pomyślność rodziców, natomiast

Barnaby po prostu ulega sentymentom.

Jest zbyt mocno związany z Marthą i Fredem, a to nie jest dobre.

Powinien mieć żonę i dzieci, mieszkać w skromnej, ale łatwej do utrzymania i nowoczesnej plebanii w drugiej parafii, którą ma pod opieką.

Powinien wieść samodzielne życie, odrębne od życia rodziców.

Nagle ogarnia ją współczucie dla Barnaby'ego.

Gdyby ta skromna pielęgniarzka, z którą był zaręczony, nie zginęła w zamachu bombowym w Irlandii Północnej, być może Barnaby miałby teraz własne życie.

Jej rodzice zawsze byli biedni.

Jako dziecko nie mogła tego znieść, a potem, gdy już miała swoje pieniądze, niechętnie je wydawała.

Fred zawsze powtarzał dzieciom, że nie odziedziczą po nim gotówki, zostawi im jedynie duży dom, wiejski domek i działkę z ogrodem Marthy.

Anna i Barnaby już w wczesnej młodości wiedzieli, że między Fredem a jego rodzicami doszło powojnie do niezgody.

Od tamtej pory rodzice nie utrzymywali z nim kontaktów i nie uznawali jego rodziny.

- Ale dlaczego?

- Pewnego razu Anna zapytała ojca.

- Dlaczego nie chcą nas widzieć?

- To nie was, lecz mnie chcą widzieć, kochanie

- odparł Fred.

Martha przestała na chwilę szyć i półgłosem odezwała się z drugiego końca pokoju:

- Prawda jest trochę inna.

- Po czym spojrzała na Annę i dodała: - To mnie nie chcą widzieć ani uznać.

Fred uśmiechnął się do Marthy i popatrzył na nią taką miłością, że Anna spytała szybko:

- Dlatego, że jesteś Polką?

- Dlatego, że jestem Żydówką, i do tego cudzoziemką.

Anna zauważyła, jak bardzo słowa zabrały ojca, i poczuła chłód w sercu.

Uznała, że nieobchodzą ją dziadkowie, którzy przysparzają smutku jej rodzicom.

Niemniej jednak ta historia pobudzała wyobraźnię, a Anna lubiła fantazjować.

Stryj, po którym nadano imię Barnaby'emu, był również jego ojcem chrzestnym i uczestniczył w ceremonii chrztu.

Tylko on utrzymywał z Fredem bliskie kontakty i przysyłał Barnaby'emu i Annie pięknie zapakowane prezenty na Boże Narodzenie.

Pewnego razu, gdy Anna studiowała na uniwersytecie w Durham, zaprosił ją do restauracji. Gdy zaczęli rozmawiać

o wykluczeniu Freda, Anna zauważyła, że mimo upływu lat w oczach tego starego już człowieka wciąż kryje się gniew.

- Sam zadają sobie ból - powiedział stryj.

- Ignorują jedynych wnuków, jakich mają, a następnych nie mogą się spodziewać.

- Na jego twarzy pojawił się przewrotny uśmiech.

- Młodszy syn sprawił im ogromny zawód.

Żadnego żeniaczki, ani do pracy.

Anna nigdy nie wierzyła, że rodzina zostawi Freda bezśrodków do życia.

Na starość ludzie są skłonni do wybaczenia.

Lord i lady Tremain na pewno zechcą przed śmiercią pogodzić się z synem.

Wciąż pamięta, jak ojciec pojechał na pogrzeb lady Tremain - wtedy zdawała akurat egzaminy obowiązujące piętnastoletków.

Ojciec wyruszył w samotną podróż samochodem do Yorkshire i nie wrócił, tak jak się spodziewano, następnego dnia.

Martha była bardzo niepokojona.

Gdy w końcu przyjechał do domu, na jego twarzy malował się smutek i przygnębienie, miał zabłocone buty i wymięte ubranie.

Ów przykry dzień spędził na wędrowkach po rodzinnej posiadłości: odwiedzał mieszkających w majątku ludzi, wracał wspomnieniami do szczęśliwego dzieciństwa.

Żegnał się z duchami z przeszłości.

Próbował pogodzić się

- jak Martha wyjaśniła dzieciom - z uczuciem ogromnej straty, bez sensu nieprzejednanania własnych rodziców.

Żeby z premedytacją stracić syna.

Martha nie mogła zrozumieć takiego postępowania.

Jakby uznali, że Frednie żyje.

Lady Tremain, postarzała i zgorzkniała, nie zgodziła się, żeby syn uczestniczył w pogrzebie swego ojca.

"Jakież to okrutne.

- Anna wielokrotnie słyszała te słowa, wypowiedane przez Marthę w rozmowie z Fredem.

- Mają prawo udawać, że nie istnieją, nawet że nasze

53.

dzieci nie istnieją.

Ale jak mogą wyrzekać się ciebie, ukochanego starszego syna?

Nigdy tego nie zrozumie.

Nigdy.

Nie mieścimi się to w głowie".

Nawet teraz, leżąc w ciemnościach, Anna odczuwa irytację, gdy przypomina sobie kwiecisty, teatralny sposób mówienia matki.

Martha może uważa się za Angielkę, może przejęła wszystkie niuanse angielskiego sposobu bycia, ale jej dobór słów, gestykulacja, ujmowanie rozmówcy za ramię nie są właściwe Anglikom.

W czasach szkolnych Anna odczuwała z tego powodu zażenowanie; o wiele bardziej podobał jej się cichy, typowy dla Anglika głos ojca.

Gdyby nie pieniądze z funduszu powierniczego, w którym dziadkowie Freda kupili mu udziały - czemu rodzice nie mieli prawa się przeciwstawić - Anna musiałaby uczęszczać do szkoły państwowej.

Na myśl o tym oblewasz zimnym potem.

Nigdy by nie osiągnęła takiej pozycji, jaką ma teraz.

Niemal wszyscy czynni zawodowo prawnicy w jej wieku otrzymali wykształcenie w prywatnych szkołach.

Bezwzględnie lojalna wobec Freda i skłonna w dzieciństwie do nadstawiania ucha, Anna wciąż pamięta dalekie ciotki i wujów, którzy z poczuciem winy składali im wizyty, jeśli przejeżdżali akurat przez Kornwalię.

Fred czasem wybierał się do Londynu na spotkania z dawnymi przyjaciółmi - ku radości Marthy.

Ale nigdy więcej nie zobaczył się ze swoimi rodzicami.

Powrócił do Yorkshire tylko raz,

by pochować matkę.

Brat Freda też już nie żyje.

O czym rozmawiali w dniu pogrzebu matki?

Dlaczego się nie pogodzili?

Zbyt wielegoryczy?

Zdrada?

Fred nigdy o tym nie mówił.

Niepokój nie opuszcza Anny.

Czy obudzi Rudiego, gdy wstanie, żeby zrobić sobie herbatę?

Ostatnio rzadko ma bezsenne noce i obawia się zakłócić mężowi sen.

54

Rozmyśla o Lucy.

To dobrze, że znowu zamieszkała w Londynie.

Będzie można wynająć mały domek zgodnie z aktualnymi stawkami.

Barnaby nigdy nie zgodził się przyjąć od Lucy pieniędzy za czynsz, choćby ją stać - zdaniem Anny - na pokrycie kosztów mieszkania z pensji, którą otrzymywała w hotelu.

Anna nie byłaby zaskoczona, gdyby okazało się, że Tristan mieszka tam podczas weekendów czy urlopu.

Rudi poradził jej, by nie pytał o to Lucy, argumentując, że utrzymywanie córki w Londynie byłoby dla nich dużo bardziej kosztowne, poza tym jego synowie musieliby ograniczyć swoje wizyty, a przecież trzeba traktować dzieci tak samo.

Anna nie poruszyła tego tematu.

Rudi miał rację: bywa surowa wobec Lucy.

Dreszcz przebiegającej po plecach na myśl o tym, co przeżywają ich przyjaciele i koledzy, których dzieci żyją na ich koszt jak długo się da.

Lucy nigdy nie poprosiła o pieniądze, zawsze starała się znaleźć jakąś pracę wakacyjną.

Zaczyna świtać.

Anna wyciąga się wygodnie w łóżku, mając nadzieję, że zaśnie.
Nie może już dłużej odkładać wyjazdu do Kornwalii.
Musi omówić z Barnabym plany na przyszłość.
Powinna się również zastanowić, jak załatwić dla siebie pełnomocnictwo, by zorientować się w sytuacji finansowej Freda i Marthy.
Zapewne spotka opór Barnaby'ego, którego cholernie trudno nakłonić do zmiany decyzji.
Wolałaby przeprowadzić tę rozmowę w obecności Rudiego, utrudniając Barnaby'emu sytuację.
Chyba nie namawiał jej, by przyjechała sama, tylko dlatego, że Rudie jest Niemcem?
Fred zawsze był nadziejście opiekuńczy - odwodził dzieci od poruszania w obecności Marthy tematów związanych z wojną.
Rozstanie z rodziną i samotna ucieczka do Anglii były zapewne ciężkim przeżyciem dla młodziutkiej Marthy.

Ale to wszystko działo się tak dawno temu.

Odtamtęczasu wiele się zmieniło.

Nigdy nie myślała o tym, że w jej żyłach płynie żydowska krew.

Ponieważ miała jasną karnację, bardziej utożsamiała się z Niemcami i mieszkańcami Północnej Europy, zwłaszcza od kiedy zaczęła jeździć z wykładami doróżnych krajów.

Bóg jeden wie, jakie cechy przodków w niej się ujawniły.

Wśród przodków Freda był jakiś Skandynaw.

Jej blond włosy mają tęradką cechę, że nieplowieją, lecz zachowują nordycką srebrzystość.

Anna zawsze była dumna ze swego wyglądu i trochę próżna, zadowolona, że przyciąga wzrok.

Lucy ma śniadą cerę i ciemne włosy, choć ostatnio zaczęła robić sobie jasne pasemka.

Szczupła i zgrabna, przypomina Marthę, tyle że jest dużo wyższa.

Ma jej skórę koloru kawy z mlekiem i krucze włosy o granatowym połysku.

Oczywiście odziedziczyła też pewne cechy po ojcu: jego oczy i ruchy rąk.

Claudio pochodził z Włoch, był muzykiem.

Anna miała z nim przelotny romans i, o dziwo, zaszła wciąż.

Wzięła ślub dla przyzwoitości i wkrótce potem, jeszcze przed narodzeniem Lucy, rozstali się ze smutkiem, ale po przyjacielsku.

Claudio miał tylko jedno życzenie: żeby dziecko nosiło jego nazwisko.

Anna nie miała pojęcia, jak potoczyły się jego losy - po prostu zniknął z jej życia bez śladu.

Lucy jeszcze teraz ma jej to za złe i od czasu do czasu wykrzykuje teatralnie, choć nieźby serio:

"Każdy człowiek chce wiedzieć, kim jest!

".

Barnaby był i jest dla Lucy ojcem, bratem i najbliż-

szym przyjacielem.

Lucy, jako osoba pragmatyczna, umie znaleźć zadowolenie w życiu.

Anna nigdy nie czuła się blisko związana z córką i przypuszcza, że pewnego dnia, mając już własne dzieci, Lucy zechce odnaleźć ojca.

56

Natura nie dała jej instynktu macierzyńskiego.

Anna oddawała małą Lucy pod opiekę niani lub Marthy i Freda.

Barnaby często jeździł z nią na wakacje, gdy miał urlop.

Zabierał dziewczynkę i jej koleżankę do Francji czy Włoch i bez skrępowania rozpieszczał.

Niezaplanowane dziecko pojawiło się w niedogodnym momencie w karierze Anny.

Od niedawna była adwokatką i pożerała ją ambicja - chciała należeć do grona najmłodszych prawników z tytułem radcy królewskiego.

Jeśli trzydziestoletnia kobieta nie osiągnie sukcesu, zepchną ją boczny tor młodszej konkurencji, przede wszystkim mężczyźni, którzy już deptali Annie po piętach.

Otrzymała upragniony tytuł w wieku trzydziestu sześciu lat.

Wciąż nie może zasnąć.

Słyszyciche pochrapywanie Rudiego, czuje ciepło jego ciała - przyjemne i uspokajające.

Mimo to dalej dręczy ją niejasny, choć znajomy niepokój, jakby przez okno sypialni wpadały strzępki stłumionej rozmowy.

Znowu czuje bolesne łomotanie serca i rzuca ku nadchodzącemu dniu słowa:

- Boże, spraw, żeby znowu nie nachodziły mnie te koszmary.

Barnaby siedzi na sofie w orangerii, doznając niemal fizycznego poczucia beczasowości: z zalem myśli o latach, które ukradkiem przeszły za jego plecami.

Gdy przemyka oczy, znowu jest uczniem szkoły podstawowej, który z przerażeniem myśli o kończącej się przerwie wielkanocnej.

Wspomina, jak siadywał skulony w tej przesyconej zapachem brzośkwini orangerii i słuchał śpiewających zmierzchu ptaków.

Podmuchy wiatru przynosiły wonie kwitnących wiśni i laków, rozwiewały nasiona pospornicy.

Gdy w powietrzu zaczynały unosić się pyłki kwiatów, Barnaby pociągał nosem i kichał, leżąc wygodnie na kanapie obserwując w mroku drzewa.

Słuchał głosu Freda, który cichoczytał książkę matce.

Na poręczy jego fotela stała szklaneczka whisky; przy nieostrożnym ruchu mogła spaść na podłogę. Rodzice siedzieli w garderobie Marthy, sąsiadującej z oranżerią i połączonej z nią przeszklonymi drzwiami.

Wiersze T.

S. Eliota, Edwarda Thomasa, Siegfrieda Sassoon, Wilfreda Owena - zmarłych poetów, smutnych i wspaniałych.

Przez całe życie powracały do niego urywki ich wierszy, a wraz z nimi sugestywne zapachy: kiełbasek, kwiatów, kordytu, psów, a także roślin domowych, whisky, kurzu i własnych niemytych stóp.

Modulowany głos ojca uśmierzał ból głowy Marthy, natomiast w Barnabym, który siedział tuż za ścianą, wywoływał nagłe poczucie samotności.

Chłopiec miał wrażenie, że rodzice są tak silnie ze sobą związani, że dla niego nie ma już miejsca.

Nocą słyszał we śnie przejmujący, zwierzęcy lament.

Krzyk szept.

Przyciszone głosy.

Rankiem przelotne uśmiechy przypominały mu prawdziwej i trwałej straty.

Barnaby nie mógł zrozumieć, dlaczego ta szczęśliwa i kochająca się rodzina nie daje mu takiego poczucia bezpieczeństwa, jakiego należałoby się spodziewać.

Martha i Fred nie byli obojętni czy nieczuli.

Dom był pełen ciepła.

A jednak Barnaby wiedział, że jego doznania nie są tworem wyobraźni.

W dzieciństwie czuł się tak, jakby szedł ciemnym korytarzem, wiedziony strzępem jakiejś melodii, a gdy skręcał za róg, zamiast śpiewaka napotykał jedynie wibrujące w mroku powietrze. Miał bolesne poczucie straty.

Był przekonany, że gdyby tylko potrafił wychwycić to zawieszane

gdzieś w przestrzeni echo, rozpoznałby owego śpiewaka i jego natrętą pieśń.

Może wówczas opuściłby go przytłaczający smutek.

Rodzice nie zniknęli w mrokach, lecz stali się ludźmi z krwi i kości.

Wyczuwał, że jest jakaś prawda, dla której nie ma miejsca w ich życiu.

Jak w każdym dziecku niedopowiedzenia i tajemnice wywoływały niepokój.

Stojąc na ponurym peronie dworca, przed odjazdem doszkoły, Barnaby czekał, aż Martha przytuli go do siebie, a Fred pochyli się i pocałuje w policzek.

Zawsze tak było.

Potem wsiadał do pociągu, pośpiesznie szedł korytarzem do przedziału dla uczniów i przeciskał się do okna, żeby jeszcze raz spojrzeć na rodziców.

Za każdym razem pragnął, aby to oni zobaczyli jego, Barnaby'ego Tremaina, którym ma osiem i pół roku.

Żeby dostrzegli właśnie jego, a nie jakiegoś bladego chłopca w szkolnej czapce marynarce z metalowymi guzikami, podobnego do setek innych z nosami przyklejonymi do szyb pociągów szkolnych, jadących do Paddington.

Wiedział, że go kochają, ale nim pociąg ruszył, oni odwracali się ku sobie i idąc ramię w ramię, oddalali się od niego.

Matka - taka drobna i szczupła.

Ojciec - pochylony ku niej, z ręką spoczywającą opiekuńczo w zagłębieniu jej talii.

Nigdy nie odwrócili się i nie pomachali mu na pożegnanie, choć zawsze na to czekał, ze ściśniętym tęsknoty gardłem, wychylony przez okno, żeby ostatni raz popatrzeć na nich, gdy pociąg pogwizdywał i ruszał wolno.

Jednak oni ani razu nieodwrócili się i nie pomachali.

Dla nich już odjechał.

Byli skupieni wyłącznie na sobie.

Barnaby odsuwał się od okna, żeby nieprzyłapał go wychowawca, i ciężko opadał na siedzenie, z uwagą podciągając skarpetki, by czymś zająć myśli i stłumić płacz.

59.

Zawsze, zawsze chciał krzyknąć za oddalającymi się rodzicami: "Jeszcze tu jestem!
Jeszcze nie odjechałem!
Jeszcze tu jestem!
".

Siedząc nawypłowiej kanapie i popijając whisky, Barnaby szepcze do siebie:

- Jeszcze tu jestem.

Wydaje mu się, że przenikliwe echo tajemnic rodziców wciąż unosi się gdzieś pośród cieni tego domu.

Gdy Fred i Martha są już prawie u kresu życia, owa tajemnica przybliża się coraz bardziej.

Rozdział siódmy

Berlin

Już od ponad roku przychodziła Freie Universität.

Niegdyś regularnie wykładał w Institut für Physiologie, aż nagle poczuł, że młodzież go znużyła - zapragnął podróżować.

Pewnego dnia zadzwonił do niego niespodziewanie Ulrich Scheffell z prośbą, żeby przyszedł do instytutu i pomógł mu zaplanować cykl wykładów w Europie.

- Dlaczego zwracasz się do tak starego człowieka jak ja?

- spytał.

- To zrozumiałe - odparł Ulrich.

- Należysz do najwybitniejszych ortopedów w Berlinie.

- Jestem już na emeryturze.

- Ale mimo swoich lat wciąż możesz podróżować po świecie i wygłaszać wykłady.

Przyznaj, że cię to zainteresowało.

- Nie zamierzam składać żadnych deklaracji, ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś zaprosił mnie na lunch.

- Świetnie.

Z trudem znajduje miejsce na parkingu, myśląc: ludzie przestali chodzić pieszo.

Wszyscy mają samochody.

Dlatego tyjemy tak samo jak Amerykanie.

Wchodzi do budynku Szkoły Prawa Gospodarczego i Prawa Ochrony Środowiska.

Ulrich umówił się z nim

61.

właśnie tutaj, ponieważ jego wnuk, student prawa europejskiego, poprosił go o wygłoszenie kilku słów na powitanie jakiegoś zaproszonego wykładowcy.

Jest lekko poirytowany, że musi tkwić w tłumie przechodzących ludzi i czekających na Scheffella studentów.

Odwraca się i nagle przegotwane drzwi widzi wysoką blondynkę o uderzającej urodzie, ubraną w czarną tożę, i trzymającą stos książek.

Kobieta stoi w pewnej odległości od grupy rozmawiających ze sobą ludzi.

Przygląda się jej uważnie.

Wie, że widzi ją po raz pierwszy, ale jednak wydaje mu się znajoma.

Nie może oderwać od niej wzroku i czuje narastające ucisk w piersiach.

Kobieta olśniewa urodą.

Od razu widać, że jest inteligentna i ambitna.

Poruszony odwraca się gwałtownie.

Nagle u jego boku wyrasta Scheffell.

- Przykro mi, że musiałyście czekać - mówi i dodaje z uśmiechem: - Piękna kobieta, prawda?

Przeciskają się między studentami, którzy chcą wejść do auli.

Gdy już są na świeżym powietrzu, oddycha kilkakrotnie głęboko.

- Kto to jest?

- pyta.

- Adwokatka z Anglii.

Ma na imię Anna.

Jest żoną Rudiego Gersteina, przyjaciela mojej żony.

Gdzie zaparkowałaś?

- Ulrich prowadzi go przez trawnik do swojego gabinetu.

- Najpierw porozmawiamy, a potem zapraszam na dobry lunch.

Chętnie bym cię widział w moim zespole.

Mam nadzieję, że przynajmniej rozważysz tę propozycję.

Jest sobota.

Powoli przegląda gazetę.

W lewym policzku czuje słabe pulsowanie.

Na dworze pada deszcz; jednostajna ulewa dudni w okna, aż w pokoju drżą wielkieszyby i czuźimny powiew.

62

Jest.

Znalazł je tam, gdzie się spodziewał: zdjęcie uśmiechniętej brytyjskiej pani adwokat, zrobione na Freie Universität.

Baczniemu się przygląda, wygładzając papier.

Jej twarz przyciąga wzrok.

W notatce napisano, że spędziła w Berlinie trzy dni, prowadząc dla studentów prawa wykłady na temat oszustw gospodarczych i różnic w brytyjskim i niemieckim sądownictwie.

Autor notatki podziwia jej doskonałą znajomość niemieckiego, intelektu i urodę.

Wspomina, że ma wszelkie dane zostać sędzią w Wielkiej Brytanii.

Gdy patrzy na zdjęcie, znowu ogarnia go dziwne uczucie.

Kobieta odpowiada na jego spojrzenia tak, jakby rzucała mu wyzwanie.

Z drżeniem składa gazetę.

Te oczy.

te oczy przywodzą mu kogoś na myśl.

Podchodzi do okna.

Świat na zewnątrz jest wyludniony.

A on nie należy do samotników.

Zawsze ktoś był.

Zawszemiał jakąś kobietę.

Przechodzi do lustra i wpatruje się w swoje odbicie:

oczy wciąż w odcieniu intensywnego błękitu, sylwetka szczupła, zadbana.

Kobiety zawsze uważały, że jesto dziesięć lat młodszy niż w rzeczywistości.

Dotyka zwiotczalejskórą pod oczami.

Pierwsze oznaki, że ostatnio źle sypia.

Od kiedy Inga się wyprowadziła, mieszkanie wydaje się większe, puste.

Oczywiście spodziewał się, że to zrobi.

Z powodu różnicy wiekumusiło dotego dojść.

Nawet niewprowadziła się do niego na stałe.

Przycupnęła na obrzeżach jego życia, a parę ubrań i rzeczy osobistych ułożyła porządknie w szafie iszufladzie, żeby nie zabierały zbyt wiele miejsca.

Inga czekała cierpliwie, z nadzieją, że ona je to, czego dać jej niemógł.

Nie spodziewał się, że zostanie z nią tak długo.

Czasami zabierał ją ze sobą w podróż.

Zazwyczaj wolał jednak być sam.

63.

"Nie odczuwasz samotności?"

- spytał go Scheffell podczas lunchu, po kilku kieliszkach czerwonego wina.

- Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego się nie ożeniłeś.

Kobiety wciąż oglądają się za tobą".

"Rzadko bywam sam - odparł.

- Nie ciągnęło mnie do żeniaczki, choć tonie znaczy, że nie lubię kobiet".

Znowu podchodziło okna.

Wiewiórka przebiega w deszczu przez ławkę, wskakuje na drzewo przed domem i spogląda na niego wyczekująco.

Idzie do kuchni po orzechy, potem otwiera rozsuwane drzwi i kładzie smakołyki na stole.

Inga wciąż jest dość młoda, żeby znaleźć sobie męża i mieć dzieci.

Powiedział jej to.

"Czy ty kogoś naprawdę kochałeś?"

" - spytała cicho, z goryczą.

"Bardzo cię lubię - odparł szczerze - ale od początku wiedziałam, że nie mam ochoty zostać ani mężem, ani ojcem.

Nigdy nie udawałem i nie obiecywałem, że będzie inaczej".

Wypowiadając te słowa, miał wrażenie, że powtarzał je zbyt wielu kobietom.

Gdy był młody, a także później - jak sądził - starał się, żeby kobiety, które pełen nadziei dzieliły z nim życie, dobrze się bawiły.

Jeśli chciały mieć dzieci, usatkwować się, oddać monotonnym zajęciom domowym, powinny były szukać kogo innego.

To nie jego wina, że każda z nich spodziewała się, iż akurat ją potraktuje inaczej.

Przypuszcza, że Inga była ostatnią kobietą w jego życiu.

Jest już za stary, żeby udawać człowieka, który nie kieruje się przede wszystkim własnymi potrzebami.

Inge, o połowę od niego młodszą, lubił najbardziej spośród wszystkich swoich kobiet.

Zawsze fascynowała go siła instynktu macierzyńskiego.

Jest przekonany, że Inga, choć darzyła go uczuciem, chciała również wykorzystać ostatnią szansę, by zająć w ciąży.

64

Wiewiórka zeskakuje z karmnika dla ptaków, przebiega po balustradzie balkonu i daje susana drzewo.

Znowu sięga po gazetę i wpatruje się w fotografię.

W pokoju zalega cisza, wszystko zastyga w bezruchu - awtedy coś zaczyna w nim drgać: zapamiętany, natrączywy ból, którego nawet liczne podróże nie mogą zagłuszyć.

Wytrącony z równowagi podnosi słuchawkę niepewnie wykręca numer telefonu - numer, pod który dzwonił już wielokrotnie, z różnych powodów, przez wiele lat.

Hans zdobędzie każdą informację o kimkolwiek bądź.

Żywym czy umarłym.

Rozdział ósmy

Fred karmi ptaki okruszkami ze śniadania Marthy.

Jest bezwietrzny, łagodny poranek.

Barnaby zamocował karmnik dla ptaków nagałęzi starej nieszupełki, poza zasięgiem postarzałego Erica, który wciąż potrafi wyskoczyć niespodziewanie z gęstwiny chwastów czy zza kępy dzwonek.

Fred podejrzewa, że skrzycone gałęzie nieszupełki usychają.

Drzewo zgubiło na wietrze wszystkie liście, a tylne gałęzie sięgają zbyt blisko sosny kalifornijskiej. Co zaszkoła.

Jakie to trzy gatunki drzew sadzono koło siebie za czasów jego dziadka?

Nieszupełkę, morwę i.

Niech tolicho, nie może sobie przypomnieć trzeciego.

Idzie po trawienia drugą stroną ogrodu i przygląda się wzruszonej ziemi pod wiśnią.

Tu razem z Martha pogrzebali Pucka.

Tu Lucy i Barnaby pochowali niedawno kotkę.

Fred uśmiecha się do siebie.

Nie zliczyłby, ile tu leżało chomików, dopóki Martha nie wpadła na pomysł, żeby zwierzęta na próbę umieszczać w podgrzewaczu.

Z przerażeniem stwierdzili, że wiele z nich poprostu zapadło w sen zimowy.

Barnaby miał straszne wyrzuty sumienia, gdy przypomniał sobie, że większość jego chomików została pogrzebana żywcem.

Fred nie przypomina sobie, skąd wziął się u nich zwyczaj grzebania zwierząt domowych pod drzewami.

Może

66

stać, że tam zawsze wylegiwały się psy, trochę na słońcu, trochę w cieniu.

Wypatruje w krzakach kosa z osobliwym białym ogonem i rzuca mu skórę chleba.

Oswajanie ptaków przez ludzi, którzy trzymają w domu kota, zawsze jest ryzykowne.

Cieszy się, że dzień jest taki piękny i że nie boli go głowa.

Rzadko się zdarza, żeby mógł jasno myśleć.

Najbardziej lubi tę porę, nim dzień rozpocznie się na dobre.

Czas na prywatne obcowanie z ogrodem.

Przez kilka minut może udawać.

Czy to naprawdę udawanie, czy raczej sięganie pamięcią wstecz?

Tak jak to robią wieki ludzie.

Może udawać, że właśnie wstał z łóżka i widzi, że Martha jest już w ogrodzie, sprawdza nasiona kiełkujące na małych tackach w starej drewnianej cieplarni.

Idzie przez trawnik z jej filiżanką herbaty.

Martha podniesie głowę z miną podekscytowanej dziewczynki i powie mu, jakie rośliny są na każdej tacce i gdzie będą posadzone.

Martha była taka zorganizowana.

Na rumowisku porośniętym bujnymi chwastami założyła ogród, który rozrastał się z roku na rok. Miała niewielki, czerwony zeszyt z zapiskami: notowała, gdzie rośliny nie weszły albo nie miały dobrych warunków do rozwoju.

Rysowała plany rabat, dobierając kwiaty pod względem koloru i zapachu;

dbała o to, żeby zimą przyciągały wzrok kolorowe jagody, błyszczące liście krzewy.

W końcu musiał zatrudnić kogoś do pomocy.

Początkowo Martha była niechętnie nastawiona do tego pomysłu - uzurpowała sobie wyłączne prawo do ogrodu i pilnie strzegła swej prywatności - wiedział jednak, że musi znaleźć pomocnika, który nie będzie próbował postawić na swoim, lecz postara się zrozumieć, jaki ogród ona chce stworzyć.

67.

Pierwsze dwie osoby się nie sprawdziły, potem Hattie poleciła im swego szesnastoletniego siostrzeńca.

Ani Martha, ani Fred nic nie wiedzieli o tym chłopcu, co wyszło tylko na dobre, bo w przeciwnym razie Fred na pewno by go nie zatrudnił.

Pewnego dnia Hattie przyszedł gburawy młodziemcem o imieniu Adam, który wyglądał tak, jakby siłą doprowadzono go pod drzwi wejściowe.

Martha, udając, że nie dostrzega jego naburmuszonej miny, posadziła go w kuchni, podała herbatę i ogromny kawałek domowego ciasta.

Następnie zaprowadziła go do ogrodu, powiedziała, co zamierza tam zrobić, i poprosiła o radę: Czy uważa, że to dobre miejsce na sadzawkę?

Czy warto powiększyć taras i zrobić schodki do ogrodu?

Fred kręcił się w pobliżu i widział, jak Hattie spogląda z niepokojem przez okno kuchenne.

Chłopak odpowiadał monosylabami.

Fred zastanawiał się, kogóż to Hattie impodesłała.

Wkrótce miał wyjechać do szkoły medycznej i też był zaniepokojony, ale zdał się na Hattie.

Gdy przyjechał z Londynu następnego weekend, stwierdził, że Martha ma świetnego dopraczonego i zdolnego niewolnika.

Chłopak nie przybierał już naburmuszonej miny, na bladej twarzy pojawiła się lekka opalenizna, a sadzawka była w połowie wykopana.

Martha pracowała z Adamem dwa razy w tygodniu przez dziesięć lat.

Metodą prób i błędów, stopniowo nabywając doświadczenie, stworzyli wspaniały ogród.

Chłopiec miał wrodzony talent.

Gdy zaproponowano mu stanowisko młodszego ogrodnika w posiadłości nad rzeką Helford, Martha nakłoniła go do przyjęcia tej pracy.

A potem już nie chciała szukać następcy.

Fred odchodzi odkarmnika i spaceruje po ogrodzie.

Stara drewniana szklarnia zaważyła się dawno temu, na 68

tura z powrotem zapanowała nad dużą połacią ogrodu.

Już nie wiadomo, gdzie były kiedyś rabatki.

Tulipany i żonkile wyrastają gdzie bądź między dzwonkami i kępami wysokiej trawy.

Sadzawkę w rogu ogrodu zagłusza jarosłiny i przykrywają zielone glony.

Ciężki posąg anioła z epoki wiktoriańskiej, który Martha znalazła w sklepie ze starociami, wciąż stoi niewzruszony, przodem do domu.

W ugiętych rękach anioła gnieźdzą się skupiska ślimaków, twarz i ciało pokrywają porosty przypominające żurową szatę.

Wiele lat później Martha powiedziała Fredowi, że Adam, zanim do nich trafił, nieustannie popadał w kłopoty z względu na swój gwałtowny, porywczy charakter.

Hattie wzięła chłopca do siebie, gdyż jej siostra miała go już dość.

Siedział w domu ze nudzoną, ponurą miną tylko czytał czasopisma ogrodnicze.

Adam wyjawiał Marcie, że ojciec ciągle go bił - i pewno by go zatłukł na śmierć, gdyby nie Hattie.

Fred pomyślał wtedy: jak to dobrze, że Martha i Adams się spotkali.

Stworzyli ten ogród z niczego.

Początkowo praca ta była dla nich zajęciem zastępczym, lecz potem stała się obsesją i niegasnącą pasją.

Chyba powinien wracać już do domu.

Nie może pozwolić, żeby Barnaby na niego czekał.

Stało się to, czego najbardziej się obawiał - oboje są ciężarem dla syna.

Jaki to niesprawiedliwie.

Czuje pulsowanie w głowie.

Przeklęta głowa.

Czasem trudno mu zbierać myśli.

Czy poświęca Barnaby'ego dla Marthy?

Nie, nie.

Niewolno tak myśleć.

To bezsensowne.

Barnaby, podobnie jak on, nie zgodziłby się na domopieki.

Wolnym krokiem idzie przez trawnik z powrotem do domu, a koło niego pomyka duch Marthy.

Tak bardzo chce zachować w pamięci tę młodą kobietę, pełną werwy

69.

i radości, która potrafiła przemienić zwykły dzień w święto.
Młodą kobietę, która stworzyła ogród.
Młodą kobietę, która płakała w ciemnościach, gdy zbierały się cienie, i wyciągała rękę, żeby go dotknąć.

Młodą kobietę, którą trzymał w ramionach i z którą się kochał.

Którą oddychał jak powietrzem.

W którą tchnął nowe życie.

Podnosi wzrok.

Stara kobieta, ubrana w koszulę nocną, stoi w przeszklonych drzwiach i macha doniego ręką.

Widzi Freda?

Ogrodnika?

Kogoś innego?

Jej pięknotwarz jest pusta, nie pozostało w niej nic z ich wspólnego życia.

I to właśnie jest najgorsze ze wszystkiego, coesałmu los.

Opiekunka, która przysłała tego ranka po raz pierwszy, robi wrażenie.

Ma sterzące ciemne włosy, kolczyk w nosie, sweter w ludowe wzory, lekką spódnicę mocno ściągniętą w talii skórzany pasek i do tego wysokie buty.

Barnaby oprowadził ją po domu i poinformował, jakiej opieki wymaga Martha.

Potem dziewczyna robi kawę dla starszych państwa i zanoszą do oranżerii.

Stoi nad Martha z filiżanką stygnącej kawy.

Starsza pani cicho płacze.

Dziewczyna przygląda się jej wspaniałym, wystającym kościom policzkowym i widzi płynące z zamkniętych oczu łzy.

Jest przejęta i wzruszona widokiem tej drobnej staruszki, oderwanej w swym niedoleństwie od rzeczywistości.

- Co się stało?

- pyta, pochylając się.

- Co ci jest, Martho?

Popatrz, przyniosłam ci filiżankę kawy.

Na dźwięk swego imienia Martha otwiera oczy.

Już ma powiedzieć: "Jestem dla ciebie pani Tremain", ale na widok ślicznej dziewczyny, która stoi tuż nad nią z niepokojem na twarzy, uśmiecha się radośnie i woła:

- Hanna!

Skąd się tu wzięłaś?

Wieki cię nie widziałam!

70

- Mam na imię Kate - mówi dziewczyna, podając Marcie filiżankę.

- Czy Hanna jest twoją córką?

- Nie, chyba nie - odpowiada zakłopotana Martha.

- Przysłano mnie z agencji.

Będę się tobą opiekować.

- Jesteś taka śliczna.

- Ty też - mówi dziewczyna.

Twarz Marthy się rozpromienia.

- Kiedyś, kochanie, rzeczywiście byłam ładna.

Kate jesturzeczona jej drobną twarzą, którą nagle rozjaśnia radość, i czułym słowem wypowiedzianym z naturalną swobodą.

Fred odkłada "Daily Telegraph", którego wcale nie czytał, i spoglądania z uśmiechem.

- Dzień dobry, Kate.

Witaj w naszym domu.

- Dziękuję, doktorze Tremain.

Zaraz przyniosę panu

kawę.

Wraca z filiżanką kawy i przysiada na krześle obok

Freda.

- Pastor zaproponował, żeby państwo wybrali się po południu na przejażdżkę samochodem do Newlyn.

Wspominał, że chętnie odwiedzają państwo tamtejszą galerię, a potem idą pieszo lub przejeżdżają bulwarem przy porcie.

Fred unosi głowę.

- Wspaniały pomysł.

Martha będzie zachwycona.

To bardzo miło z twojej strony.

Pani Biddulph niestety nie

prowadzi samochodu.

- Tak słyszałam - odpowiada Kate z uśmiechem.

- Czymogę zostawić państwu chwilę i pójść posprzątać?

- Ależ oczywiście.

Damy sobie radę.

Z przyjemnością

posiedzimy na słońcu.

Kate ściele ich łóżka i sprząta łazienkę.

Intryguje ją tendziwność ze sfatygowanymi kanapami i pięknymi meblami, jego spatynowana elegancja, ogromna oranżeria, przez którą do każdego zakątka wpada słońce.

Wszędzie

71.

czuć tu ziemisty zapach, jak w cieplarni, i atmosferę wyczekiwania.

Czy ten bezruch znamionuje wyczekiwanie?

Czy raczej jakiś nieokreślony smutek, zbliżający się kreszycia?

Kate nie jest pewna.

Agencja Serdecznej Troski skwapliwie skorzystała z sposobności i zatrudniła Kate, choć wiadomo było, że dziewczyna szuka tymczasowej pracy i nie zagrzeje tu długo miejsca.

Płaca jest szokująco niska, ale Kate przywykła pracować za marne wynagrodzenie.

Zgodziła się przyjąć pomoc tylko od ciotki, dla której pracowała w Londynie, na opłacenie kilkutygodniowego pobytu w hotelu, zanim znajdzie sobie mieszkanie na lato.

Idzie sprawdzić, co porabia para starszków.

Doktor Tremain siedzi obok Marthy i trzyma ją za rękę.

Oboje są zwrócony twarzą do przeszklonych drzwi wychodzących na ogród.

Doktor Tremain czyta na głos Marcie:

Na siew wymarzony Dzień ten był, A ziemia słodka, sucha Jak tytoniowy pył.

Syciłem się tą porą Między cichym chichotem Pierwszej w oddali sowy A pierwszej gwiazdy złotem".

Kate się uśmiecha.

Jakie to cudowne.

Z wiktuałów, które przygotował Barnaby, zaczyna szykować lunch dla starszych państwa.

Po pobycie w Londynie tutejsza cisza aż dzwoni w uszach.

Kate ma przez chwilę poczucie dezorientacji, jakby nagle przenosiła się w czasie i znalazła w cudzej kuchni.

Edward Thomas?

Oczywiście!

Uczyła się o nim, gdy miała zdawać egzaminy państwowe na zakończenie szkoły średniej.

"A teraz deszcz mówi / Nam dobranoc - większa - / Lekki i bezwietrzny, / Pół pocałunek, pół łza"2.

Edward Thomas, Sowing (Siew).

Przekład Jacka Majewskiego (przyp.

Oum.

). Tamże.

72

Martha nagle zaczyna się niecierpliwić, wchodzi chwilą do kuchni, zadaje to samo pytanie:

- Co będzie dzisiaj na lunch?

- Może kurczak z frytkami?

- Wspaniale!

Staruszka znika, obchodzi dom i pojawia się od strony oranżerii.

- Dzień dobry.

Kim pani jest?

- pyta.

- Nazywam się Kate.

Przygotowuję ci lunch.

- Wspaniale, kochanie.

Co podasz?

- Kurczaka z frytkami.

Odpowiadaci?

- Moje ulubione danie.

- Świetnie.

Niedługo będzie gotowe.

Może włączę telewizor, aby obejrzyś sobie wiadomości?

- Dziękuję - mówi Martha obojętnym tonem.

Okazuje się, że Fred już włączył telewizor.

- Usiądź, kochanie.

Obejrzymy razem wiadomości - zaprasza Marthę.

- Za chwilę - odpowiada Martha.

- Niepokoję się
o lunch.

Co..

- Kurczak z frytkami - oznajmia Kate zdecydowanym tonem i sadza Marthę obok meża.

- Zaraz przyjdę.

Zastanawia się, jak to możliwe, że pastor nie zaczął zaglądać do kieliszka.

Przygotowanie lunchu zabrało jej mnóstwo czasu.

Mąci jej się w głowie od ciągłego odpowiadania na to samo pytanie.

Stawia talerz jedzenia na tacach i niesie je do salonu.

W pokoju nikogo nie ma.

Telewizor gada do pustego pomieszczenia.

Kate nie wierzy własnym oczom.

Starając się nieulegać panice, pędzi do kuchni, odstawia tace i biegnie po pustym domu, wołając Marthę i Freda.

Jak to się stało, u licha, że oboje zniknęli tak szybko i bezszelestnie?

73.

Wypada z domu na podjazd, trzęsąc się z niepokoju.

Dlaczego to zdarzyło się akurat pierwszego dnia pracy?

Barnaby wychodzi z kościoła, trzymając pod ramię każdego z rodziców.

Gdy przechodzi przez ulicę, posyła Kate uśmiech i pyta żartobliwie:

- Ktoś ci się zawieruszył?

Kate, zawstydzona i bliska płaczu z napięcia, odwraca się i biegnie z powrotem do domu.

Barnaby sadza rodziców przed telewizorem, podaje każdemu tacę z jedzeniem i kieliszek sherry, a potem, czekając, aż nowa opiekunka wyjdzie z łazienki, robi dla nich obojga kawę.

Kiedy zażenowana Kate jawiasię w kuchni, mówi łagodnym tonem:

- Wszystko w porządku.

Tylko żartowałem.

Nie masz ochoty z tyłu głowy.

Poza tym wcale nie chcę, żeby moi rodzice czuli się więźniami we własnym domu.

- Nachwilę milknie, zdając sobie sprawę z sytuacji.

- Widzę, że niedługo będę musiał zatrudnić dwie opiekunki - jednanie da sobie radę.

Bardzo mi przykro, Kate, że tak się wystraszyłaś.

Sam wiem, że opieka nad moimi rodzicami jest bardzo męcząca.

- Uśmiecha się do niej szeroko.

- Jedną zbikowaną osobą to ciężar, ale dwie to istny koszmar!

Nikt nie będzie miał pretensji, jeśli u nas, żeto dla ciebie za dużo.

- W żadnym wypadku!

- zapewnia pośpiesznie Kate.

- Po prostu ich oceniłam, niewiedziałam, że są tak sprawni.

Niezamierzam poddać się po jednym dniu!

- Cieszę się.

- Barnaby podaje jej kubek z kawą.

- Zjedz lunch w ogrodzie.

Odpręż się.

Jest dziś niemiła pogoda.

Posiedzę godzinę z rodzicami.

Lubię być z nimi, gdy mam trochę czasu.

Kate wygrzebuje z torby książkę i kanapkę; siada oparta o pień wiśni, pod rozłożystą koroną, obsypaną dojrzewającymi

cynamonowymi

Zastanawia się, dlaczego taki przystojny dość młody - jak na duchownego - pastor jeszcze się nie ożenił i sam sprawuje opiekę nad niedołężnymi rodzicami.

Barnaby kładzie Marthę do łóżka na popołudniową drzemkę i opatula kocem.

Fred poszedł tymczasem do ogrodu rozwiązywać krzyżówkę.

Barnaby'ego zastanawia zachowanie ojca - czyżby po prostu wycofał się z życia, skoro jego ukochana żona zbikowała?

Czasami Barnaby ma wrażenie, że Fred też zbikował, innym zaś razem przypuszcza, że ojciec tylko stwarza takie pozory, aby nie borykać się z codziennymi trudnościami.

Mógłby się wydawać, że depresja lub poczucie straty spowiły go niczym czarna chmura i ogłuszyły, że wygląda na niedołężnego, choć wręcz wiście jego umysł jest nadal sprawny.

Barnaby żegna się z rozpoznaną Kate i jedzie do domu ludowego na spotkanie rady parafialnej.

Zwyczaj z niechęcią uczestniczy w tych comiesięcznych zebraniach, podczas których ludzie się o coś spierają, ale tym razem na spotkaniu zapada jednomyślna decyzja, żeby zorganizować zbiórki pieniędzy dla uchodźców z Kosowa.

Martha leży podparta poduszkami i patrzy, jak wiatr porusza różowymi cynamonowymi

Drzewo jest już stare i sękatę, gałęzie krzywią się i skrzywiają, wyginają się i rozrastają na wszystkie

strony.

Wkrótce zwisające niemal doziemi gałęzie obsypią się kępkami kwiatów, a potem płatki opadną na trawnik jak konfetti.

Ten widok coś Marcie przypomina.

Jakieś inne miejsce.

Uczucie, którego nie potrafi określić, przyprawia ją skurczzoładka, jakby ciało uchwyciło wspomnieniewymykające się umysłowi.

Przymykaoczy, próbując pozbyć

75.

się niepokojącego wrażenia, i nagle przenosi się do innego ogrodu, gdzie nie ma kwiatów, lecz rosną same warzywa.

Widzi, jak tato zdejmuje z kapusty gąsienicę.

Z poważną miną zwraca się do mamy, która stoi w drzwiach ich domu.

- Pora, by porozmawiać o wysłaniu Marty do Anglii, Estero.

Nie wiem, ile czasu nam pozostało.

- Nie, Pawle.

Proszę, poczekajmy.

Nie bądź takim pesymistą.

Mamy tu tylu przyjaciół.

Wszyscy cię szanują.

Jesteś bardzo lubiany przez pacjentów i personel.

Mamy tu dobrą pozycję, mój drogi, i środki do życia, jeśli sytuacja się pogorszy.

Tato wpatruje się w mamę i kręci głową.

- Estero - mówi cicho - proszę cię, nie chowaj głowy w piasek.

Sytuacja nie jest zła, jest prosto groźna.

Po co nam pieniądze, jeśli nie zdołamy zapewnić Marcie bezpieczeństwa?

Musiś sobie uświadomić, co się dzieje.

Wszyscy obawiają się najgorszego.

Zarówno Niemcy, jak i Polacy są podminowani i przestraszeni.

Każdy dba o własny interes.

Nie wolno liczyć na nikogo - jedynie Żydzi ci pomogą.

Zobaczysz, że gdy Polska zostanie zaatakowana, nasi polscy sąsiedzi i niemieccy koledzy nie będą chcieli nas znać.

Patrzą na siebie ponad ogrodem, który kiedyś był pełen kwiatów, a teraz rośnie w nim tylko to, co nadaje się do jedzenia.

Marta zdaje sobie sprawę, że plany ojca udaremnia matka, która nigdy nie doświadczyła trudności ani straty i nie rozumie, co się dzieje.

Nie potrafi albowiem zaakceptować faktu, że nastąpił kres ich dotychczasowego życia.

- Heinrich zadba o nasze dobro, nie pozwoli, żeby nam się coś stało.

Jestem tego pewna.

Łączy was wspólna praca, Pawle, i przyjaźń.

Nasze dzieci bawiły się razem od najwcześniejszych lat.

Tato rusza zdecydowanym krokiem w stronę domu.

Nie zauważa Marty, która siedzi w oknie i przysłuchuje się tej rozmowie.

76

- Estero!

- woła ze złością.

- Jesteśmy Żydami.

Żona Heinricha wywodzi się ze starej cesarskiej rodziny.

Naprawdę sądzisz, że Heinrich przed czymkolwiek nas ochroni?

Co ci się stało?

Oślepląs?

Nie widzisz, co się wkoło dzieje?

Myślisz, że pieniądze ochronią nas przed narastającą falą antysemityzmu?

Naprawdę tak uważasz?

Matka Marty błędnie na widok rozgniewanego męża.

Paweł jest łagodnym człowiekiem, nie zwykł podnosić głosu.

Estera niestykała się z ludźmi, którzy by ją źle traktowali.

Była rozpieszczonym dzieckiem i jeszcze jako piękna młodziutka kobieta zdała się na opiekę męża.

- Nasze dzieci znały się.

bawił się razem od najwcześniejszych lat -powtarza.

- Te czasy już się skończyły.

Minęły.

Nasze dzieci dorastają.

Nie chcę, żeby ten chłopiec, który mazał datki na małego nazistę, kręcił się koło Marty.

Znamy się z Heinrichem od niepamiętnych czasów - mówi ze smutkiem.

- Ale niezależnie od jego opinii na temat bieżących wydarzeń musimy pamiętać, Estero, że nasi sąsiedzi są Niemcami i że jesteśmy na krawędzi wojny.

Ta rodzina już traktuje nas z rezerwą.

W klinice zabierają mi pacjentów, odsuwają mnie od wielu prac.

Jeśli Niemcy napadną na Polskę, zwolnią mnie ze wszystkich obowiązków.

Zrozum, Estero, mogę stracić klinikę, dorobek mojego życia i zapewne wszystkie pieniądze.

- To niemożliwe!

- W głosie mamy słyszeć panikę.

- Anglii powstrzyma Niemców, zobaczysz.

- Przykłada dłoń do ust.

- Chciałbym za wszelką cenę ochronić ciebie i Martę przed tym, co nas czeka - mówi cicho tato.

- Ale nie jestem w stanie.

Nie mogę stąd wyjechać - jestem lekarzem i będę tu potrzebny.

Jedynym, co mogę zrobić, to wysłać was do Anglii.

Mama nie odrywa wzroku od ojca i nagle nabiera pewności siebie.

- Nie, Pawle, zostaniemy tutaj, całą rodziną.

Cokolwiek się

stanie, będziemy trzymać się razem.

77.

Marta siedzi w oknie swojego pokoju i drży na całym ciele.

Jejrące pokrywa gęsia skórka, jakby naglepowiał zimny wiatr.

Zbiega po schodach, mija matkę i rzuca się ojcowi w ramiona.

- Tato, nigdzie mnie niewysyłaj!

- woła.

-Boję się!

Przez chwilę ojciec trzyma ją za ręce i przeprasza, że napędził jej strachu.

Stara się zmienić temat, choć trochę ją rozweselić.

Woła Pepe, ich psa, i idą razem na wieczorny spacer.

Po drodze opowiada Marcie o Anglii, o swoich znajomych, którzy tam mieszkają.

- Anglia to piękny kraj, pełno tam lasów i rzek.

W miastach są parki, gdzie ludzie przesiadują na słońcu.

Całymi rodzinami urządzają pikniki i pływają po jeziorach.

Są bardzo przyjacielscy, Martusiu.

- Tato bierze ją pod rękę.

-Mój daleki kuzyn zaproponował, że weźmie cię pod swój dach.

To doskonała okazja, żebyś zdobyła wykształcenie, pogłębiła wiedzę.

Masz duże zdolności językowe.

Drogie dziecko, muszę namówić mamę, żeby pozwoliła ci wyjechać, nawet jeśli sama nie będzie chciała mnie zostawić.

Zaufaj mi i pomóż mi ją przekonać, że tak będzie najlepiej.

Marta milczy, wie, że mama ma rację - muszą trzymać się razem.

Wieczorną porą ptaki zlatują się nawielką kwitnącą jabłonią, która rośnie u sąsiadów, na końcu ogrodu, gdzie Marta zwykle bawi się z tamtym chłopcem.

Słucha świergotania i znowu ogarnia ją strach, drży na całym ciele.

Ojciec prowadzi ją dalej; okrążają las i wracają do domu na kolację.

Marta pamięta ten spacer.

Po raz ostatni spacerowała wówczas z ojcem bez lęku, bez zniechęcenia, żółtej opaski z gwiazdą.

Kate wchodzi do sypialni i widzi, że Martha trzęsie się zimna, choć w pokoju jest ciepło - siedzi wyprostowana na łóżku, nie mogąc panować nad drżeniem drobnych dłoni.

Kate zagląda do szafki, wyciąga jasnoniebieski sweter

wy sweter i otula nim Marthę.

Pomaga jej włożyć spodnie, które leżały przyłóżku.

Nogi staruszki są chude jak patyki i lekko zdeformowane.

Dziwne nożyny.

Ubierając Marthę, Kate próbuje z nią rozmawiać, ale szybko orientuje się, że starsza pani przeżywa myślami daleko stąd i ponownie przeżywa tylko jej znane wydarzenia.

Dwadzieścia minut później staruszkowie są ulokowani na tylnym siedzeniu samochodu.

Kate wyjeżdża przez bramę i skręca w stronę Newlyn.

Po drodze zastanawia się, jak sobie poradzi po zaparkowaniu samochodu.

Będzie musiała pilnować ich bojga, nie zachowując się jednocześnie jak strażnik.

Nie dopuści do tego, żeby się jej zgubili dwukrotnie tego samego dnia.

Włącza radio i cicho nastawia muzykę klasyczną.

Gdy wyjeżdża na drogę wzdłuż wybrzeża, Fred z zadowoleniem odwraca się w stronę morza.

Grzywiaste fale odbijają się od nabrzeża.

Słońce połyskuje na powierzchni wody, refleksy wyglądają jak tańczące iskierki.

Martha nie widzi morza, wciąż pogrążona w przeszłości.

Martwisie, gdzie jest jej drut do robótek ręcznych.

Czy ktoś go ukradł?

Ten drut jest jej koniecznie potrzebny.

Przed pójściem spać chce przetkać dziury i wygonić to drażniące robactwo, które przeszkadza jej

spać.

- Mójdrut - mruży podnosem.

Kate widzi jej twarz w lusterku wstecznym.

- Nie martw się - mówi tonem pocieszenia.

- Znajdziemy go po powrocie do domu.

Fred kładzie dużą dłoń na dłoni Marthy.

Tęgest działa na nią uspokajająco.

Martha wygląda przez okno i patrzy z zachwytem na lśniące błękitne morze i kolorowe łodzi rybackie, które krążą po przybrzeżnych wodach.

Mijają port, gdzie stoją duże trawlerzy i eleganckie jachty.

79.

Słysząc przyjemny dźwięk, gdy wiatr uderza w słupki,
na których zaczepiono linki jachtów.

Martha jest oczarowana.

- Jak tu pięknie - mówi, odwracając się do Freda.

- Jaktupięknie, kochanie.

Widząc jej uroczy uśmiech, Fred też się uśmiecha.

Sercem się ściska z miłości istrachu.

Przez całe życie ochraniał Marthę, a teraz wie, że dłużej już nie może - i ta świadomość powoli go zabija.

Muskaję rękę ustami.

- Moja kochana małeńka Martha - mówi szeptem.

Kate zawraca na końcu drogi i jedzie z powrotem wzdłuż morza, a potem do galerii.

Patrząc na twarze starszych państwa, dochodzi do wniosku, że za rzadko przebywają na świeżym powietrzu.

Spróbuje to zmienić.

- Co pan powiedział?

- pyta doktora Tremaina.

- Powiedziałem, że dawno mniemu nie było - mówi Fred jasno i wyraźnie.

Kate się uśmiecha.

Rozdział dziewiąty

Anna siedzi na obrotowym krześle w swoim gabinecie, plecami do biurka, zwrócona twarzą w stronę wysokiego okna.

Uwielbia te wczesne poranki.

Cisza pozwala jej lepiej myśleć.

Jest spokojna i odprężona, jakby nie osłoniła się jeszcze pancerzem przed nadchodzącym dniem.

Smugiróżowych chmur pokrywają intensywnie niebieskie niebo.

Przypomina jej się Kornwalia - tam dzień zaczyna się czernią nad oceanem, by potem rozlać się pasmem barw odbitych w wodzie.

Jeszcze przed świtem jasność kryjesię tuż za ciemnością, trwa w oczekiwaniu.

Anna niemal zapomniała, jak wyglądają te kornwalijskie poranki.

' Zagłębia się w myślach i chłonie błękitne niebo za oknem.

Próbuje sięgnąć wspomnieniami do czasów dzieciństwa, wolnego od obowiązków i wymogów, gdy budziła się letnim rankiem i biegła nad morze odkryte jeszcze mrokiem.

Przypomina sobie przejmujący dreszcz osamotnienia i zadziwiający widok bezmiaru wód toczących się z hukiem ku pustej, piaszczystej plaży, która rozciągała się wokół niej.

Mała Lucy też tak robiła.

Największą dla niej frajdą było wyjść z domu tak, żeby nikt nie słyszał.

Zabierała z sobą Pucka, małego psa, labradora mieszańca, ulubieńca

Marthy.

A może to było później?

Może piespojawił się domu, gdy Lucy podrosła?

Smugi intensywnie różowych chmur rozpraszają się nad Tamizą, płyną nad miastem, rozmazując się po niebie jak rozlane akwarele, barwią rzekę i muskają dachy domów.

Anna słyszy głos Marthy: "Czerwone niebo o wschodzie ostrzega o złej pogodzie".

Ile miała lat, zanim Martha nauczyła się poprawnie wymawiać angielską końcówkę "ing"? Tego też nie możesz sobie przypomnieć.

Nigdy nie potrafiła chronologicznie ułożyć swoich wspomnień z dzieciństwa.

Złą pamięć tłumaczysz sobie tym, że niemal przez całe dzieciństwo bardzo się nudziła, żadne znaczące wydarzenie nie przerwało monotoniitych nieskończone długich lat.

Anna wstaje, podchodzi do wysokiego okna i spogląda na szeroką ulicę ze szpalerem drzew, na eleganckie edwardiańskie domy po drugiej stronie.

Ulica jest pusta, widać tylko zaparkowane rzędem samochody.

Zasłony w oknach są zaciągnięte.

Wszyscy jeszcze są.

Dochodzą do wniosku, że chyba się starzeje, skoro pamięć płata jej takie figle i osnuwa nostalgiami nieskończone długie kornwalijskie lata.

A jednak edwardiańskie domy znikają na chwilę przed jej oczu.

Słyszy szum liści palmy, która pochyla się na wietrze w ogrodzie Marthy.

Widzi srebrzystą wodę i oświetlone białe domy po drugiej stronie przystani.

Słyszy krzyk mew, krążących nad jej głową, i czuje zimny, mokry piasek przywierający do stóp.

Widzi Freda, który stoi na schodkach prowadzących na plażę i macha do niej ręką.

Dolatuje ją zapach pieczonego ciasta i w staroświeckiej kuchni pojawia się Martha, odsuwa krzesło i daje jej do wylizania misę.

Coś chwytają za gardło z tęsknoty z tym, jak mogłoby wyglądać jej dzieciństwo.

Gdyby tylko była inna.

Gdyby

82

oni byli inni.

Mawrażenie, jakby dotykała palcem rany.

Jest przekonana, że miała te koszmarne sny, gdy była dzieckiem.

Pewno dlatego, że Martha tak często wtedy chorowała - leżała całymi dniami w łóżku albo nie mogła jeść, co było zapewne spowodowane nie jakąś dolegliwością fizyczną, lecz stanem emocjonalnym.

Anna dobrze pamięta, że wiele czasu spędzała wtedy z Hattie.

Dzieci wyczuwają lekki smutek innych.

Anna bała się czegoś, co dostrzegała w Marcie.

Tym bardziej że tego nie pojmowała.

Tylko jeden obraz mocno utrwalił się w jej pamięci.

Jest wściekła na matkę, rzuca się na nią i łapie ją za nogi, przepełniona gniewem.

Nic więcej nie pamięta - jedynie to, że nie chce jej puścić.

Nie przypomina sobie twarzy, dłońi ani głosu.

Tylko te nogi, które próbują się wyswobodzić.

Anna odsuwa od siebie to wspomnienie.

Przeciąga się oddychając głęboko.

Słyszy kroki Rudiego na piętrecie.

Odwraca się twarzą do biurka.

Na miłość boską, powinna teraz analizować akta sprawy.

W Berlinie odniosła sukces, ale wróciła wyczerpana, i w tym stanie będzie musiała prowadzić wkrótce skomplikowaną sprawę o odszkodowanie za odniesione obrażenia.

Przeraza ją nawał pracy w tym roku.

Idzie do kuchni, miele kawę i nastawia ekspres.

Wkłada do teczki akta i dokumenty.

Wypije z Rudim kawę, a później zje gdzieś pośpiesznie kanapkę.

Rudi, pachnącymydlęm, wchodzi do kuchni i całuje Annę.

- Mam wrażenie, że każdego dnia wstajesz wcześniej- mówi.

- Prowadzisz dwie skomplikowane sprawy w tym samym czasie.

Coś cię trapi, kochanie?

- Raczej nie.

Mam dobry zespół - odpowiada z uśmiechem Anna.

- Choć druga strona też.

Więc muszę być przygotowana na wszelkie ewentualności.

- Lekko dotyka jego ramienia.

-Przepraszam, jeśli cię zanudziłam wczoraj wieczorem.

Chciałam tylko poćwiczyć na tobie.

83.

- Nigdy mnie nie nudzisz.

Poza tym sporo wiem o firmach ubezpieczeniowych.

- Wciąż jestem przekonana, że oni, to znaczy linie lotnicze, przeciągają sprawę, grają na zwłokę.

Nie wiem tylko, czym się kierują.

Mój klient z pewnością nie odzyska władzy w nogach.

Nie uda im się dłużej uchylać od odpowiedzialności.

Przypuszczałam, że na początek zaproponują, jak to zazwyczaj bywa, jakieś mieszkaniowe odszkodowanie, które będzie nie do przyjęcia.

Ale oni poprosili o odroczenie na cztery dni, żeby ustalić pewne fakty "mające pierwszorzędne znaczenie dla wyniku postępowania".

- Jak to rozumieć?

- Albo dowiedzieli się czegoś, co obciąża linie lotnicze, i wtedy się wycofują, albo mają informacje, które do mnie dotarły, świadczące o tym, że mój klient ponosi całkowitą lub częściową odpowiedzialność za odniesione obrażenia.

- Anna odstawi kubek z niedopitą kawą.

- Tak czy owak, dziś rano okaże się, w czym rzecz.

Muszę już iść.

- Wstaje i całuje Rudiego.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Zobaczyłem ten błysk w twoich oczach.

Boże, miej wopiecz stronę przeciwną.

Anna parska śmiechem.

- Chyba niewrócę dziś zbyt późno do domu.

- W takim razie ugotuję ci coś pysznego i zdrowego.

- Wspaniale - mówi Anna, przytulając policzek do jego twarzy.

Gdy wychodzi z domu, różowych smug już nie widać, całe niebo przykrywają szare chmury.

W drodze do metra przypomina sobie, jak to pewnego razu nauczycielka kazała im napisać wypracowanie zatytułowane "Moje najwcześniejsze wspomnienie".

Na tablicy napisała pierwsze zdanie: "Moje najwcześniejsze wspomnienie jest związane z...".

84

Anna długo siedziała nieruchomo przed białą kartką papieru, nie mogła wziąć doreki pióra.

Po jakimś czasie nauczycielka podeszła do niej i spytała: "To do ciebie niepodobne, Anno.

Coci jest?

".

Anna zbladła i zaczęła się trząść.

Nie napisze ani słowa, nie chce, nie może zebrać myśli.

wcześniej.

zanim.

przed.

Pierwszy raz w życiu zemdląca.

Fred przyjechał do szkoły i zabrał ją prosto do domu.

Nie wiadomo dlaczego, ale zezłościł się na nauczycielkę i powiedział: "Namięć boską, Anna ma zaledwie dziewięć lat.

Wiem, że jest inteligentna, ale nie chcę, żeby moja córka była doczelegokolwiek zmuszana".

"To nie była wina pani Poole - wyjaśniła Anna, gdy jechali samochodem.

- Wiesz, tatusiu, w ogóle nie pamiętam, co się działo, zanim zaczęły się te złe sny.

Ao koszmarach nie chciałam pisać".

Fred spojrział na nią i przez chwilę Anna miała okropne uczucie, że ojciec się rozpłacz.

Po przyjeździe do domu położył ją na kanapie, okrył kocem i zapalił ogień w kominku, choć było

dopiero popołudnie.

Martha, która byławówczas w ciąży, siedziałaz nią przy kominku i graław "Węże i drabiny", a potem upiekły razem ciasteczka.

Tego dnia jakoś nie zepsułam- myśliAnna z cierpkimhumorem.

- Pewno byłam chora.

Czego z takim lękiem nie chciałam sobieprzypomnieć?

Pokazuje bilet okresowy,przechodzi przez bramkęi staje na peronie, czekając napociąg.

To jestnajgorszachwila.

Dzięki Rudiemu w końcu oswoiła się z metrem.

Ale wciąż nie znosi chwili, gdyludzie się tłoczą,pociągwejźdza na peron i wszyscy pchają się pospiesznie dośrodka.

O tak wczesnej porze jakośdaje sobie radę,lecz w godzinach szczytu nie odważyłaby się jechaćmetrem.

85.

Moje dzieciństwo chyba było szczęśliwe - dochodzi downiosku.

- Dopiero później, gdy dorosłam i zdałam sobiesprawę, jak ograniczone jest ich życie, zaczęłam odczuwać znudzenie i pogardę.

Może bałam się, że gdy dorosnę, będę takajak oni.

Pociąg wjeżdża na stację.

Anna wsiada do wagonu, zajmujemyjsce i otwiera teczkę.

Czekają ciężkidzień w sądzie.

Uśmiechasię, widząc swoje odbicie w szybie.

Jest dużoszczęśliwsza, gdy musi zmagać się z nawałem pracy, niż gdysnuje rzewne i jałowe wspomnienia z dzieciństwa.

Rozdział dziesiąty

Berlin

Wjeżdża do miasta dość wcześnie.

Jest piękny wiosenny poranek, a przed nim rozpościera się czyste, pełneblasku miasto.

Obok,na siedzeniu pasażera, leży torba Ingiz resztą jejrzeczy.

Inga nie chciałado niego przyjechać i poprosiła,żeby spotkali się, zanim rozpocznie pracę.

Jedzie aleją Unter den Linden w stronęMuzeum Bauhausu, gdzie pracuje Inga.

Chciał zaprosić ją nakawę naKreuzbergu, aleodmówiła, tłumacząc, że jest zajęta i niemoże wyjść z budynku.

Nie cieszy się na to spotkanie, pragnie jedynie zachować poprawne, przyjacielskiestosunki.

Ponieważ mająwspólnych znajomych, chciałby oszczędzić im kłopotuidojsć z nią do porozumienia.

Przypuszcza jednak, żejestto małoprawdopodobne, skorotakchłodno rozmawiałaz nimprzez telefon.

Parkuje samochód, bierze torbę i kieruje się w stronęgłównego wejścia.

Zawszepodobała mu się ta nowoczesna, prostasylwetka budynku,który powstał zruin powojennego Berlina.

Inga stoi przy wejściuz poważną miną.

Chłodna i sztywne, nadstawia mu policzki do pocałowania.

87.

- Co u ciebie?

- pyta ją.

- W porządku.

- Napewno nie znajdziesz czasu, żeby wypić ze mną kawę?

Muzeum otwierają dopiero za dwie godziny.

- Dobrze wiesz, że zajmuję się eksponatami i mojej godziny pracy nie pokrywają się z godzinami otwarcia muzeum.

- Tak, oczywiście - odpowiada z uśmiechem.

- Chciałbym tylko wypić z tobą kawę i porozmawiać parę minut, jeśli znalazłabyś czas.

Inga zastanawia się przez chwilę.

Na jej twarzy maluje się smutek, który dowodzi, że ten mężczyzna wciąż nie jest jej obojętny.

Zapewne oszczędziłby jej przykrości, gdyby po prostu wręczył torbę i odszedł, ale jest w nim jakaś determinacja, by zakończyć tę znajomość elegancko.

I bez urazy.

Niechętnie otwiera drzwi i mówi:

- Wejdź naszybką kawę.

Gdy są już w jej pokoju, Inga zaczyna się krzątać przy ekspresie, a on ją obserwuje.

Nadaje sympatię tęsliczną kobiecie, ale nie odczuwa żalu, że się rozstali.

- Ingo, zależy mi na tym, żebyś była szczęśliwa.

Napewno wiedziałas, równie dobrze jak ja, że jeśli zwiążesz się z mężczyzną dużo starszym od ciebie, rozstanie będzie nieuniknione.

Inga przynosi mu filiżankę z kawą, stawia cukier i mleko, ale nie siada przystoliku.

- Nasze rozstanie stało się nieuniknione, kiedy ty tak postanowiłaś.

Znudziłaś się mną, bo chciałam od ciebie czegoś więcej.

I tak przetrwałam dłużej niż inne, więc powinno mi to pewnie pochlebiać.

- To ty podjęłaś decyzję, że lepiej się rozstać - odpowiada zdziwiony.

88

- Sam podjąłeś tę decyzję - śmieje się cierpko Inga.

- Rozumiem cię.

Nie potrafisz zaangażować się emocjonalnie.

Wmówiłaś sobie, że odeszłam, bo chciałam mieć dzieci.

Wcale tak nie było - nie kieruję się instynktem macierzyńskim.

Odeszłam, bo nagle zobaczyłam, że nasz związek nie ma przyszłości.

Nic by się nie zmieniło.

- Raptem w jej głosie słyszę gniew.

- Zasluguje na więcej.

Tobie wystarczy, że możesz być ze mną, gdy poczujesz się trochę samotny.

A potem, gdy sytuacja wraca do normy, nie jestem ci już potrzebna.

Rzeczywiście, miłośpedzaliśmy czas - jesteś interesującym i czarującym człowiekiem - ale to za mało.

Chciałam dzielić z tobą życie, natomiast ty dałeś mi do zrozumienia, że nie masz nato ochoty.

Ileż razy wyjeżdżałaś beze mnie.

- Odwraca wzrok i baw się filiżanką.

- Odnoszę wrażenie, że tobie ludzie nie są potrzebni.

Mam swoją dumę.

Odeszłam, ponieważ niszczyłaś we mnie poczucie własnej wartości, traciłam wiarę w siebie i w sens mojej pracy.

- Szybko podnosi wzrok i patrzy prosto w oczy.

- Żal mi cię.

Chcąc uniknąć w miłość bólu, tracisz jej radość.

Jak wielu ludzi twojego pokolenia, jesteś nieszczerzy jeśli chodzi o własne motywacje postępowania.

W milczeniu patrzą na siebie.
Kawa parzygo w usta.
Słowa wiszą między nimi.
Oboje są poruszeni zagniewani.
Jak wielu ludzi z twojego pokolenia.
Uświadamiasz sobie, że Inga chciała mu to powiedzieć już wcześniej.
Zanim zdążyła się pohamować, wyrzuciła z siebie te słowa- ku własnemu i jego zaskoczeniu.
Słowa, których nie da się już cofnąć, których sens jest aż nazbyt oczywisty.
Zapada cisza.
Wstaje z krzesła i rusza do wyjścia.
W progu słyszy jej głos, dużo cichszy.
- Wiem, że chciałeś elegancję zakończyć.
Byłoby łatwiej, gdybyśmy spotkali się w miejscu publicznym.

Ale takie zakończenie nie zawsze jest możliwe.

Prawdziwe życie jest nieprzyjemne i bolesne.

Nie odwracając się, idzie zdecydowanym krokiem do samochodu.

Nie wie, że Inga ze łzami w oczach wpatruje się w jego wysoką, oddalającą się postać.

Dziesięć lat temu miała trzydzieści dwa lata.

Mogłaby być jego córką.

Czuła, że jest niebezpieczny, ale to ją frapowało i podniecało.

Była dla niej wyzwaniem, któremu niesprostowała.

Znajomi strzegali ją przed nim.

Teraz zna go niewiele lepiej niż dziesięć lat temu.

Zdecydowanym ruchem zamyka drzwi, nie chce widzieć, jak odjeżdża.

Gdy wraca do domu, ruch jest dużo większy.

Stoi w korku między dwoma szkolnymi autobusami, z niecierpliwością stukając palcami w kierownicę i leniwie obserwując ludzi na chodniku - jedni idą w pośpiechu, inni wchodzi do tureckiej kawiarenki, gdzie czasem czekał na Inge.

Z twojego pokolenia.

Jego pokolenie widziało, jak Berlin odradza się z gruzów.

Czego nie zniszczyły amerykańskie i brytyjskie bombowce, dokończyła Armia Czerwona.

Jego pokolenie patrzyło, jak krojono Berlin na cztery części.

TERAZ OPUSZCZASZ SEKTOR AMERYKAŃSKI - tablica, która służyła się człowiekowi po nocach: jeden niewłaściwy skręt, jeden drobny błąd i lądujesz w sektorze wschodnim.

Samochody ruszają.

Wyjeżdżasz miasta, zaczyna swobodnie jechać.

Mutti podjęła szybką i mądrą decyzję, wyprowadzając się ze starego rodzinnego domu na wschód, zanim wkroczyła Armia Czerwona.

Nie znosiła brytyjskich i amerykańskich nalotów bombowych, ale jeszcze bardziej bała się nadciągających Rosjan.

W Berlinie znalazł się ponownie z jednostką medyczną pod koniec wojny.

Do obrony stolicy, która wkrótce miała

90

walczyć o życie, pozostali jedynie starcy, inwalidzi i dzieci.

Choć było to miasto dzieciństwa Mutti, a nie jego, ogromniszczeńzrobił na nim wstrząsające wrażenie.

Niewierzył, że Berlin zostanie kiedykolwiek odbudowany.

Dojeżdża do domu, parkuje samochód i wchodzi do mieszkania.

Czuje złość do Ingi, że przypominała mu jego przeszłość i wiek, a także fakt, że pokolenie jej i jej dzieci nigdy nie wybaczy jego pokoleniu ani nie zapomni.

Wszystko dlatego, że bezustannie, każdego dnia i na każdym kroku, przypomina im się o tym - w filmach, książkach, prowokacyjnych wypowiedziach lewicowców.

Można odnieść wrażenie, że ludzie w jej wieku są przekonani o własnej nieomyślności, choć w gruncie rzeczy nic nie wiedzą.

Zapalał cygaro i nagle widzi zaskoczony, że dostał takoczekiwanyfaks.

Gwałtownym ruchem wyciąga kartkę.

Od tygodnia czeka z niecierpliwością na odpowiedź Hansa.

Do czego zmierzam?

Co ja w ogóle robię?

Hans zalecał rozwagę.

Wszelkie przejawy irracjonalności wprawiały go w nerwowy stan.

Do Londynu pojechał niechętnie, bez słowa.

Aż za dobrze wie, że obsesja zwykła narasta.

Jakiś migawkowy obraz, zapach, wspomnienie - i człowiek chce więcej.

Pogrzebana przeszłość zawsze wychodzi na jaw.

Od kogo to słyszał?

Nagle chce się dowiedzieć, co jest cieniem zrodzonym z niedoskonałej pamięci, a co materią.

Z rozczarowaniem stwierdza, że faks jest krótki, niewiele mówi.

Bynajmniej nie jest zaskoczony wiadomością, że kobieta jest inteligentna i ambitna.

Hans wylicza kolejno osiągnięcia akademickie.

Szczegółowo relacjonuje etapy kariery.

Natomiast prawie nic nie pisze o życiu osobistym.

Czy robi to celowo?

A przecież potrafi dowiedzieć się, na którym boku człowiek zasypia, jak kocha

91.

się z żoną, co je na śniadanie.

Potrafi zdobyć każdą informację, gdy mu na tym zależy.

Jeśli mu zależy.

Kobieta urodziła się i wychowała w zachodniej Anglii.

Szkoła z internatem.

Jedenbrat.

Jedno dziecko z krótkiego małżeństwa z Włochem.

Od czterech latw związkumałżeńskim zRudim Gersteinem, bankierem, ze szwajcarsko-niemieckiej rodziny.

Doskonale włada językami, podobnie jak jejcórka.

I to wszystko?

Ta adwokatka niczym się nie wyróżnia spośród przedstawicielek angielskiej klasy średniej.

Pragnie dowiedzieć się oniejtylko jednego, ale Hansw żaden sposób nie może uzyskać tej informacji.

Patrzyw okno, za którym widać ukośne strugi deszczu, zamazujące widok, trzymającego wpotrzasku z duchami, którewydobywają się jak szepty z ciemnych kątów pokoju.

Nagle przeszłość napierana niego ze wszystkich stron.

Podczas długich samotnych nocy czuje z przerażeniem, że dopadły go wspomnienia, które, jak sądził, głęboko pogrzebał.

Rozdział jedenasty

Na zamkniętych powiekach Marthy tańczapromieniesłońca.

Światło i ruchome kolory, wzory i punkciki.

W ogrodzieniustannie śpiewa drozd.

Deszcz przestał padać i przez okno wlewa się zapach skoszonejtrawy, niesiony lekkim wiatrem.

Za chwilę mama albo Hanna, ichsłużąca, stanieu dołu schodów i krzyknie, żeby obudzićMartę.

Hanna, niewiele starszaodMarty, bardzo się złości, gdy Marta leży w łóżku i nie zwraca uwagi na wołania mamy.

Hanna, szczupła i posłuszna dziewczyna, pochodzi z ortodoksyjnej żydowskiej rodziny, która traktuje Ołowskich z pewną dezaprobatą.

Tato mawia, żetarodzina jest bardzo biedna, więc nic dziwnego, że mała Hanna nie mapoczucia humoru.

Martauwielbia poranki.

Tego dnia już o brzaskuwymknęła siędo ogrodu, biegając boso pocudowniezimnej, mokrejtrawie.

Lubi leżećnieruchomo w łóżku, z twarząskapaną w jasnożółtymśłońcu, i marzyć.

Uwielbia tańczące kolory podpowiekami i poczucie bezpieczeństwa, gdy znowu otwiera oczy i słyszy znajome, stłumionedźwięki, odgłosy budzącego się domu.

Marta chciałaby nazawsze być dzieckiem.

Gdy snuje takie

93.

myśli, przypomina sobie.
przypomina sobie dreszczem i raptownie otwiera oczy.

Otwiera oczy i obejmuje wzrokiem nieznamy pokój z beżowymi ścianami i białymi framugami.
Przez wysokie okna widać trawnik, ciągnący się do linii krzewów o lśniących liściach i starych jodeł, które tworzą ścianę zieleni.

Podrywa się, ale czując zawroty głowy, siada na łóżku.
Po chwili wstaje, wolno idzie do drzwi i nasłuchuje.
Niedocierado niej żaden dźwięk, więc przekręca gałkę w drzwiach i wychodzi na korytarz, wyłożony kamiennymi płytami.
Widać stąd salon, zalany ciepłym popołudniowym słońcem, które przez lata rozjaśniło poduszki i pokrycia mebli tak, że zrobiły się jednolicie beżowe.

W salonie nikogo nie ma, w rogu pokoju miga tylko ekran telewizora.
Martha zagląda do zatęchłej oranżerii, przesyconej zapachem pelargonii, lecz nie widzi ani rodziców, ani Hanny.
Dławi w sobie narastający strach, że ich w wszystkich gdzieś zabrano, gdy ona spała - ale jak się tu znalazła?

Ostrożnie stawiając drobne białe stopy, podchodzi do przeszklonych drzwi i spogląda na ogród.
Dopiero teraz słyszy głosy ludzi.
Pod wisnią stoi mężczyzna i razem z jakąś dziewczyną coś sadi.
Marta nie ma pojęcia, kim są ci ludzie.

Rozpaczliwie usiłuje opanować mętlik w głowie, znaleźć nic, która połączy ją z tym miejscem.
Odwraca się idzie z powrotem do salonu, gdzie na małym ekranie bezgłośnie migoczą ruchome obrazy.
Widzi ludzi na drodze, w masie, kolumna za kolumną.
Idą, kuśtykają, jadą wozami lub traktorami.
Wielka fala ludzkiej niedoli, rzeka ludzi, którzy chcą się dowlec w bezpieczne miejsce - poruszają się jak roboty, w osłupieniu, w przerażeniu.

94

Kamera przesuwa się po udręczonych twarzach, a Martha stoi sparaliżowana, znowu czuje ten strach i ten zapach, ruch ludzkiej masy płynącej niekończącym się potokiem.
Stado ludzkich istot, znienawidzonych, wysiedlonych, pędzonych aż po ostateczny kres ich podróży.

Martha osuwa się na podłogę, wciąż patrzy, już pamięta.

Siedzi na podłodze i kołyszesię, za mamę, za tatę, za biedną małą Hannę, zawsze pełną powagi, za wszystkich, których kocha.

Nie może oderwać wzroku od małego migoczącego ekranu.

Nagle pojawia się obok niej starszy mężczyzna, powtarza kilkakrotnie jej imię.

Gaśnie ekran telewizora.

Mężczyzna pochyła się, pomaga jej wstać, sadzają na krześle, mówi coś łagodnie, z miłością, znajomym głosem.

Martha patrzy się w niego.

To Fred.

Oczywiście.

To Fred.

Jest

u siebie w domu.

Uśmiecha się do niego i z niewysłowioną ulgą przytacza go, czując, jak słabnie w niej

napięcie.

Nosi nazwisko Tremain, jest Angielką.

Barnaby zabiera Lucy do centrum ogrodniczego, żeby kupić pierwiosnki na grób Abi.

Niewiele roślin przyjmiesz pod wiśnią.

Wybierają sześć kremowych pierwiosnków i białego fiołka alpejskiego dla Marthy.

Barnaby ogląda paczuski z nasionami, zastanawia się, czy kupić ziemię, żeby Martha mogła wysiać rośliny natackach i hodować je w oranżerii.

Cieplarni nie da się już zbudować, zapadła się do środka, przysypując tacki, doniczki, wyblakłe koszyki z nawozem dla roślin, wszystkiego gromadzone tam od lat rzeczy.

Prawie nie widać jej spod pokryw i dzikiego wina.

Barnaby ciągle zamierza coś z tym zrobić, ale przeszkadza mu brak czasu i zmęczenie, może także przygnębienie,

95.

w które na pewno wpadnie, gdy się przekona, ile pracygo czeka.

Rozgląda się za Lucy, która skręciła gdzieś bok, i w końcu znajduje ją w dziale roślin wodnych.

- Dobrzebyłoby oczyścić sadzawkę.

Bardzo lubiłam lilię te rośliny podobne do jaskrów, które dawniej tam rosły.

Oboje spuszcza ją głowyna wspomnienie, jak kiedyś wyglądał ogród.

Lucy nagle mówi:

- Babunia wyjechała z Polski w 1940 roku, prawda?

- Tak - odpowiada z uśmiechem Barnaby.

- Dlaczego raptem o to pytasz?

- Po prostu zastanawiałam się, czy mama urodziła się w Kornwalii czy w Londynie.

Zawsze mi się wydawało, że w Londynie, ale nie przypominam sobie, żeby ktokolwiekmi o tym mówił.

- Na pewno w Londynie.

Fred i Martha mieszkali tam pod koniec wojny.

Regularnie przyjeżdżali do Kornwalii, choć podróż była długa, i mieszkali w małym domku, żeby nadzorować prace nad budową dużego domu.

- Aha.

Wiem, że poznali się w Londynie, kiedy dziaduni był na przepustce.

Ale kiedy się pobrali?

- Chyba niedługo potem.

W czasie wojny ludzie nie odwlekali takich spraw.

Chwyta się szczęście, bo nie wiedzieli, co się wydarzy za chwilę.

- Więc w 1943 roku dziadkowie byli już małżeństwem?

- Tak.

Skąd to nagle zainteresowanie?

- Barnaby obrzuca Lucy baczny spojrzeniem.

- Zastanawiałaś się, czy Anna nie urodziła się przed ich ślubem?

Lucy oblewa się rumieńcem i szybko próbuje wyjaśnić powody swej ciekawości.

- Wiesz, kiedy byłam młodsza, wypytywałam ich, jak się poznali.

Babunia zawsze mówiła, że dzień, w którym poznała dziadka, był najwspanialszy w jej życiu.

Ale mia-

96

łam wrażenie, że żadne z nich nie ma ochoty rozmawiać o tamtych czasach, a mama zawsze odpowiadała ogólnikami na moje pytania o Londyn.

- Nic dziwnego - śmieje się Barnaby.

- Gdy dziadkowie mieszkali w Londynie, była niemowlęciem, a kiedy przeprowadzili się tutaj, była małym dzieckiem.

Pamiętasz coś z czasów, gdy miałaś zaledwie parę lat?

- Chyba nie - odpowiada Lucy po namyśle.

- Z najwcześniejszych wspomnień pamiętam, jak zabrałaś mnie wieczorem na festyn, a potem jak Anna dała mi klapsa za to, że zamknęłam w szafie tę okropną dziewczynę, która się mną zajmowała.

- Gdy zabrałam cię na festyn, miałaś.

niech pomyślę.

ze cztery i pół roku.

Przez cały czas byłaś niezadowolona.

Zaczynało ci się przeziębienie i nie mogłaś znieść tłumy ludzi.

A gdy pojawiła się ta okropna dziewczyna.

bo ja wiem.

miałaś pięć, sześć lat.

Idą do kasy.

Podrodze Barnaby wkłada do koszyka kilka tacek do wysiewu nasion, dwie paczuszki malcolmiinadmorskiej i małe opakowanie kompostu.

- To dla Marthy?

- pyta Lucy.

- Tak.

Może będzie miała zajęcie.

Gdy siedzą w samochodzie, Barnaby mówi:

- Nie zapominaj, Lucy, że Martha przyjechała do obcego kraju.

Była wtedy młodsza niż teraz i zostawiła najbliższych, by zamieszkać wśród obcych ludzi, których nie znała.

Nie mamy pojęcia, w jakich warunkach żyła przed wyjazdem.

Do końca wojny dręczyła ją samotność i strach o rodzinę.

Miała świadomość, że prawdopodobnie przeżyją.

Prowadząc samochód, zerka na Lucy.

- Nie wiem, w jakim była stanie psychicznym, gdy poznała Freda.

Wiem tylko, że twój dziadek zabronił Annie

97.

i mnie wypytywać ją o cokolwiek, co miało związek z wojną i jej życiem w Polsce.

- Tak, Anna mówiła mi, że nic nie wie o dzieciństwie Marthy - przyznaje Lucy.

- Rozumiem, że w domu nierozmawiało się o latach tuż przed wojną, ale dlaczego babunia nie wspominała swojego dzieciństwa, jeśli było szczęśliwe?

Przecież każdy wraca myślami do takich chwil w życiu, prawda?

- Pamiętam z dawnych czasów, że gdy potłukłem się albo miałem gorączkę, Martha czasem śpiewała mi piosenki.

Po polsku.

W słuchiwałem się w jej głos i po chwili zawsze wyczuwałem jakiś żalobny ton.

Martha nagle milkła.

Dotykałem jej twarzy, a ona kładła dłoń na mojej.

Choć byłem wtedy małym chłopcem, wyczuwałem ogrom jej cierpienia, nie zdając sobie oczywiście sprawy, jakiego jest powodu.

Lucynie może wydobyć z gardła ani słowa.

Barnaby mówi dalej, niemal do siebie.

Lucy nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek rozmawiał z nią w taki sposób.

- Gdy trochę podrosłem, bardzo chciałem czegoś się dowiedzieć, czułem, że to by nas wzbogaciło, Annę i mnie.

Z tamtych czasów wylaniały się tylko strzępy: jakiś przepisk kucharski, zabawa dziecięcą.

Fred powtarzałam, że mamy prawo wiedzieć jedynie to, co Martha sama zechce nam powiedzieć.

Może któregoś dnia opowie o szczęśliwych latach w Polsce.

Ale jeśli tak się stanie, musimy ją zrozumieć.

- A teraz - mówi wolno Lucy - nawet gdyby chciała nam powiedzieć, nie może.

Toni sprawiedliwe, że pod koniec życia spotyka ją coś takiego.

Bóg jest okrutny.

- Życie jest okrutne, kochanie.

Często wydaje mi się - oczywiście, mogę się mylić - że Anna bywa taka.

kłopotliwa.

- Chcesz powiedzieć, Barnes, trudna we współżyciu.

- Nie przerywaj.

Anna bywa trudna we współżyciu może dlatego, że Martha i Fred musieli się do siebie dostosowywać, do powojennego życia, do wszystkiego, co ich spotykało po jej narodzinach.

Pamiętam, że gdy byłem jeszcze dzieckiem, oni nie widzieli poza sobą świata, jedno troszczyło się o drugie.

- Czułeś się samotny?

- Każde dziecko odczuwa czasami samotność.

W naszym pokoleniu stosunki między rodzicami a dziećmi kładły się inaczej niż teraz.

Fred i Martha ogromnie nas kochali, ale był między nami większy dystans, niż to zazwyczaj jest w twoim pokoleniu.

Wysyłanie dzieci do szkoły z internatem, jak wiesz, było czymś normalnym.

Mijają bramy.

Jest wczesne popołudnie - Martha zapewne odpoczywa, a Fred zasnął, przykryty gazetą.

Pani Biddulph ogląda serial.

Gdy zajeżdżają pod dom, Lucy czuje, że nadszedł właściwy moment, by zapytać Barnaby'ego o dokumenty, które znalazła na strychu.

Otwiera usta, ale w tym momencie odzywa się Barnaby:

- Może życie nie jest takie okrutne.

Może teraz, kiedy Martha znowu jest jak dziecko, przypomina sobie szczęśliwe lata w Polsce, zdarzenia, które wymazała z pamięci, bo były zbyt bolesne.

- Wyjmuje kluczyk ze stacyjki i spogląda na Lucy.

- Może teraz ja i Fred musimy odczuwać smutek, bo pamiętamy ją, gdy była młoda, bystra i wesoła.

Tak bardzo się boję, że zapomnę, jaka była kiedyś.

Twarz Barnaby'ego.

W zarysie ust widać poczucie straty, którego codziennie doświadcza i które ciągle skrywa.

Lucy obejmuje go i przytula głowę do jego szyi.

Po raz pierwszy uświadamia sobie, jak strasznie męczy go opieka nad Marthą i Fredem, dzień za dniem, bez wytchnienia.

99.

- Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać - szepcze zduszonym głosem, przyciskając twarz do jego koszuli.

-Ja też,kochanie.

- Całuje ją w czubek głowy.

-Chodź,korzystając ztego, że wszyscyśpią, zjemy kanapkę z serem,a potem posadzimy pod drzewem pierwiosnki.

Gdy Lucy podlewa pierwiosnki na malutkim grobieAbi, uprzytamnia sobie, że od lat nie rozmawiała z Barnabym tak długo.

Kiedy już położą Marthę i Freda do łóżek,zazwyczaj są zbyt zajęci albozbyt zmęczeni,żeby prowadzić dłuższąrozmowę.

Lucy myśli swoimójcu, którego nigdy nie poznała.

Annanawet nie wie, gdzie teraz przebywa.

Claudio Pedrazzini.

Majakiś niewyraźne zdjęcie zrobione w Mediolanie, na którym stoi ze zmrużonymi oczami,patrząc w słońce.

Mogłabywpaść na niego na ulicy i nawetby go nie rozpoznała.

Barnaby twierdzi, że nadejdzie zapewne czas,gdy postanowi go odszukać.

Nie odziedziczyła po nim zdolności muzycznych,ale jest, zdaniem Anny, równie niefrasobliwa jakon.

Przydeptując mokrażemię wokół pierwiosnków, Lucy zastanawia się,czy ojciec kiedykolwiek o niej myśli.

I tak dopisało jej szczęście -zawsze miała Barnaby'ego.

Idzie odnieść konewkę do rozpadającego sięgarażu, pełnego starych rowerów i zardzewiałychpuszek po farbie.

Instynkt podpowiada jej, że słusznie postąpiła, nie mówiącBarnaby'emu o znalezionych dokumentach.

Albo Barnabyi tak onich wie i uważa, że nie należyich nikomu pokazywać, albo jest to jeszcze jednarzecz dotycząca życia Marthy, która by go zasmuciła.

W końcu to nie jej sprawa,tylko babuni.

Skoro jestrzymanaw tajemnicy, nie ona powinna to ujawnić.

Rozdział dwunasty

Po zakończeniu porannej zmiany w hotelu Lucy jedzie do domu.

Jest oszłamiająco piękny, bezchmurny dzień.

Chłodny, ale rześki.

Na drzewachpojawiają się jasnedziwiczne listki podobne do małych piąstek.

Wszędziewidać wiosnę, a Tristan wkrótcewyjedzie do zimnegoi wrogiego kraju,gdzie ta pora roku przychodzi późno.

Staje na poboczu i wyciąga z torby telefon komórkowy.

Wysiada i idzie nanabrzeże, obserwuje fale, które rozbijają sięw dole o skały.

Rozmowa z Barnabym dobrze jej zrobiła, na pewien czas.

Gdy jest zajęta, przestaje myślećo dziwnej kartce papieru w brązowej kopercie, a leten obraz powraca uparcie.

Co jeszcze leży wkufrze na strychu?

Jakie wstrząsającieniespodzianki kryją się w wypłowiałym pudełku?

Początkowo nie chciała wiedzieć.

Gdy jednak mijają kolejne dni i zbliża się chwila wyjazdu do Londynu, jest coraz bardziejrozdarta.

Z jednej strony chciałaby znaleźć w tym pudełkucoś, co rozwieje jej niepokój,z drugiej zaś pragnie,a zarazem boi się poznać prawdę.

Nic nie mówiła otym Tristanowi.

O takiej sprawie niemoże rozmawiać przez telefon.

Rozmowa ją urealni, zamiastzepchnąć gdzieś w zakamarkiumysłu.

Lucy chce wierzyć, że jest proste wyjaśnienie, że wszystko jest dokładnie tak,
101.

jak mówiono jej przez całe życie.

Historia przyjazdu babuni do Anglii w czasie wojny.

Romantyczne spotkanie i miłość do Freda.

Wojenny ślub, zawarty w pośpiechu, przed powrotem z przepustki.

Narodziny Anny pod koniec wojny.

Chce dalej to wierzyć.

Małe wyblakłe pudełko zostało najwyraźniej schowane, by nikt go nie znalazł - w takim razie dlaczego od razu nie spalono tych papierów?

Lucy długo się nad tym zastanawiała.

Jest to trudne, jeśli w ogóle możliwe, zniszczyć własną czy cudzą tożsamość lub mienie.

Ostatecznie mówią one o tym, kim człowiek jest.

Lucy wie, że ona wymazałaby wiele spraw z pamięci, gdyby musiała zostawić swoich bliskich, gdyby zginęła w wojnie lub w obozie koncentracyjnym.

A zatem dlaczego ten niemiecki dokument poświadcza narodzinymatki w roku 1941, a dowód tożsamości jest wydany w 1943 roku?

Czy Annareczywiście urodziła się w Warszawie, a nie w Londynie?

Czy rzeczywiście jest o cztery lata starsza, niż sądzi?

Może Martha przybyła do Londynu później.

Może dziadek poznał ją gdzieś indziej i urodziło im się dziecko, zanim wzięli ślub.

Może Martha i Anna musiały mieć niemieckie dokumenty, żeby wyjechać do Anglii.

To by znaczyło, że dziadek.

Lucy drży ze strachu, jakby przeszłość Marii miała wrócić i rzucić cień na nich wszystkich i pograżyć ich w ciemnościach.

Podobnie jak Barnaby, Lucy nie znosi tajemnic: nieoczekiwanie wychodzą na jaw i boleśnierzanią.

Wykręca numer telefonu Tristana.

Patrzyna fale i czujena rękach zimne drobinki wody.

Nie może pogodzić się z myślą, że Tristan jedzie do kraju, gdzie jest tyle nienawiści, amerykańskie bomby i tłumy uchodźców.

Słyszy,

102

jak telefon dzwoni bezkońca po drugiej stronie, i wreszcie odpowiada zdyszany Tristan.

- To tylko ja - mówi Lucy.

- Wiem, że jest wcześniej, ale po prostu chciałam usłyszeć twój głos.

- Sentymentalna dziewczyna.

Uff.

Poczekaj.

tylko złapię oddech.

Przed chwilą biegałem.

Uff.

Wspaniały dzień.

- Tu też.

Ogromne morze.

- Wszystko w porządku, Luce?

- Tak.

Boję się myśleć o twoim wyjeździe.

Tris, czy bombardowanie Belgradu było konieczne?

- Sprawa dyskusyjna - wzdycha Tristan.

- Uspokój się, Luce, jeszcze nie wyjeżdżam.

Przed nami urlop.

Jesteś nieswoja, promyczku słońca.

Czyżbyś coś przede mną krywała?

Może zamierzasz mnie rzucić?

Nie dla jakiegoś rybaka, ale, quelle horreur, dla umięśnionego surfmogowca o tlenionych włosach?

- Chciałbyś!

Lucy chce mu powiedzieć, co ją dręczy, ale pora jest niewłaściwa.

- Muszę kończyć, Luce.

Jeszcze prysznic i wskakuję w mundur.

Zadzwoń do ciebie później.

Ciesz się tym wspaniałym dniem, skarbie.

Lucy jedzie do domu.

Parkuje samochód na podjeździe i przez chwilę siedzi w środku, patrząc na ogród, słuchając śpiewu ptaków.

Ogród babuni jest najokazalszy wiosną - wkrótce wszystko zacznie mienić się kolorami.

Lucy otrząsa się z przygnębienia i odsuwa od siebie niepokojące myśli.

W tak piękny dzień nie można się zadrećcać.

Wchodzi do domu.

Barnaby, który przygotowuje pospiesznie tacę ze śniadaniem dla Marthy, oddycha z ulgą na jej widok.

103.

- Dzięki Bogu, że już jesteś, kochanie.

Twoja babcia ubrała się tak, jakbyśmy mieli środek lata.

Rozgniewała się na mnie, bo chciałem, żeby włożyła coś cieplejszego.

Teraz jest w łazience.

Fred pije herbatę w łóżku i czeka, aż będzie wolna łazienka.

A ja mam dziesięć minut, żeby dotrzeć do Świętego Michała na komunię.

- Masz również dżem pomarańczowy na sutannie

- mówi Lucy z uśmiechem.

- Chyba niewspomniałaś, że dziś rano nikt nie przyjdzie?

- No tak, przepraszam, Lucy.

Mają jakiś kurs albo coś w tym rodzaju, nie pamiętam dokładnie.

Kate przyjdzie dopiero o południe, a przed chwilą dzwoniła pani Biddulph, że zastąpi cię o dziesiątej.

Może tak być?

- Jasne.

O dwunastej muszę być w pracy.

Szkoda, że znowu minę się z Kate.

Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

Co o niej sądzisz?

- Jest.

inna.

Spokojnie robi swoje i na szczęście prowadzi samochód.

Nieco struchlałem na jej widok: kolczyki w nosie, włosy obcięte na jeża, ale Martha i Fred nawet nie mrugnęli okiem.

Śliczna twarz, jak u młodej Audrey Hepburn.

Przypuszczam, choć mogę się mylić, że ma zbyt wysokie kwalifikacje i pewno nie zostanie tu dłużej.

- A więc zwróciłaś na nią uwagę.

- Lucy unosi brwi.

- Trudno nie zwrócić na nią uwagi - mówi Barnaby, zabierając swoje książki z małymi zakładkami podobnymi do chorągiewek.

Martha wychodzi z łazienki.

Wygląda oszałamiająco w musztardowo żółtej sukni, z szalem narzuconym na ramiona i w eleganckich czółenkach na bosych nogach.

- Babuniu, wyglądasz wspaniale, wprost rewelacyjnie}

- Dziękuję, kochanie - odpowiada uprzejmie Martha, uśmiechając się do wnuczki, a synowi, który zmierza do drzwi, posyła nienawistne spojrzenie.

104

- Zobaczymy się później.

- woła Barnaby.

Zulgą wybiega z domu i pędzi do samochodu.

Lucy chichocze, znowu szczęśliwa.

- Wiesz co, babuniu, włóż płaszcz.

o tak.

Pokażę ci swój ogród - wygląda olśniewająco - a potem powiesz mi, czy ciepłociw tym ubraniu.

Zerka przez drzwi sypialni nadziedka, pomagając Marcie włożyć płaszcz.

- Wszystko w porządku, dziaduniu?

Barnaby właśnie wyszedł.

Zabieram babcię na przechadzkę po ogrodzie.

- Czuję się świetnie, Lucy, dziękuję.

- Fred stawia filiżankę i z kpiącą miną puszcza oko do wnuczki.

- Wstanę za pięć minut.

Zaprowadź babcię do młodnika.
Poddrzewami zakwitły zawilce.
są przepiękne.

Lucy idzie z Marthą po wilgotnej trawie.

W porannym słońcu jest trochę ciepło, ale od morza wieje chłodny wiatr.

Martha owija się mocno płaszczem, gdy kierują się na koniec ogrodu, gdzie w wysokich chaszczach gnieźdzą się grzywacze.

Obie wydają okrzyk zdumienia na widok dużej, kolistej chmury błękitu, bieli i złota pod wątlami drzewkami i starymi jaworami.

Lucy staje za Marthą, żeby osłonić ją od wiatru, i oplata jej szyję ramionami.

- To ty je sadziłaś, babuniu?

- Nie.

Fred robił to co roku, aż wyrósł taki ogromny dąb.

Są śliczne.

Przepiękne.

- Wszystko właśnie zakwita.

Spójrz na te żółte.

i te różowe w rogu, koło tego białego kolczastego krzewu.

- To pigwa - mówi ze śmiechem Martha.

- Tak sądzę.

- Po chwili dodaje ni stąd, ni zowąd: - Nie chcę, żeby ję wykopano i posadzono zamiast nich warzywa.

- Ależ skąd, babuniu.

Kto chciałby to zrobić?

- Zdarza się.

- Martha wstrząsa dreszczem.

Zsuwa z nogi pantofelek i zanurza stopę w wysokiej mokrej trawie,

105.

która przetrwała zimę.

Lucy chce ją ostrzec, że może się przeziębic, ale widząc twarz Marthy, milczy.

Martha, wsparta o Lucy, przysmyka oczy i wsuwa palce w wilgotną trawę.

Przez krótką chwilę czuje przejmujące zimno, które przynosi ją o całe lata, w inne miejsce i inne czasy.

Z uśmiechem na twarzy raduje się śpiewem ptaków, blaskiem młodych, półprzezroczystych liści żółtej barwie, kwitnącymi czerwono kameliami, zamkniętymi pączkami wiśni.

Unosi twarz, by poczuć zapach wiosny, tę pierwszą, podniecającą zapowiedź lata, młodości i nadziei, całego życia, które mieni się przed nią swym bogactwem.

- Babuniu - szepcze po chwili Lucy.

- Żebyś się nie przeziębiała.

Otwierając oczy, Martha spodziewa się zobaczyć Hannę, którą mama po nią wysłała.

Ale to jest.

to jest.

- Rzeczywiście jest chłodno, kochanie.

Lucy pochyla się i wkłada pantofelek na drobną zdeformowaną stopę.

Ramię w ramię wracają do domu.

Fred poszedł już do łazienki i zabrał ze sobą radio.

Lucy sadza Marthę na łóżku, bierze ręcznik i delikatnie rozciera jej stopy.

Martha kładzie rękę na włosach Lucy, ciemnych, jedwabistych, ze złotym odcieniem.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła, kochanie?

Nie powinnaś tak się mną zajmować.

Lucy unosi głowę i mówi znaciskiem:

- Dlaczego?

Opiekowałaś się mną przez całe moje życie, a teraz ja opiekuję się tobą.

Nagle oczy Lucy - i Marthy - wypełniają się łzami; to, co je łączyło, już przeminęło.

Lucy bardzo chciałaby powiedzieć: "Och, babuniu, znalazłam na strychu coś, czego nie powinnam była zobaczyć."

Co tak naprawdę spotkało

106

cię podczas wojny?

". Nie może jednak o to spytać.

Już zapóźno.

Kilka lat temu mogłyby jeszcze to zrobić.

Ale nieteraz.

Babci z jej dzieciństwa już nie ma, lecz osoba, którą była, wciąż jest, ożywiona tym samym nienasyconym duchem.

Lucy ujmując drobne dłonie Marthy przykładają sobie do policzków, zamykając oczy na myśl, jak wiele utraciła.

Po chwili unosi powieki i mówi z werwą:

- No, babuniu, wkładasz wełnianą rajstopy, zwykłą wełnową spódnicę i rozciągnięty sweter.

Jak na jeden chłodny wiosenny poranek dość już się naszałaś.

- Ależ, kochanie - odpowiada ze śmiechem Martha - trochę szaleństwa to wielka przyjemność.

Fred wychodzi z łazienki ogolony, w czystej koszuli, w krawacie.

Obejmuje wzrokiem dwie kobiety oraz rozrzucone na łóżku ubrania i parska śmiechem.

- Szaleństwa to wasza specjalność.

Za oknami w ogrodzie rozchyła się pierwszy pączek wiśni, a NATO zrzuca przez omyłkę bombę na most pęłenbańskich uchodźców z Kosowa.

Rozdział trzynasty

Deszcz ustał.

W cichą berlińską noc słyhać jedynie przytłumiony szum samochodów na autostradzie. Budząc się w ciemnościach, jest przez chwilę przekonany, że wrócił do czasu dzieciństwa. Czuje zapach róż w ogrodzie matki jeszcze mocniejszy zapach koni i tego wszystkiego, o czym wolałby nie pamiętać.

Słyszy głośne bicie własnego serca.

Wokół zalega obezwładniająca cisza.

Dlaczego, po tylu latach, znowu nachodzą go wspomnienia?

Pogrzebał przeszłość, i to głęboko.

Tamto życie minęło.

To jest inne.

Pamięta, gdy pierwszy raz wyraźnie zobaczył tę dziewczynkę.

Miała długie, lśniące ciemne włosy, których chciał dotknąć.

Była drobna jak lalka i bardzo bała się koni.

Ale nie jego.

Mutti rozgniewała się na jego ojca.

Nie chciała, żeby prowadził praktykę wspólnie z Żydem.

Stała tamtego dnia w ogrodzie bez cienia uśmiechu, z lodowatą twarzą.

Przywołała go do siebie i szepnęła dość głośno: "Jak ja nie widzę tej ich śniadości".

Odsunął się od niej.

Kopnął ogrodowe krzesło, bo zrobiło mu się niedobrze.

Spod krzesła wyskoczył z piskiem szczeniakoogrodnika.

Drżęna wspomnienie jej oczu.

Niedopuszczam do siebie echa jej śmiechu.

108

W dzieciństwie Mutti ciągle opowiadała mu historie, potworne bajki o rasie ludzi, którzy zjadają swoje dzieci, którzy, choć stoją niżej, stanowią zagrożenie dla wszystkich dobrych Niemców. Gdy poznał tę dziewczynkę, serce mówiło mu coś zupełnie innego.

Jakże byli samotni - on i ta nieustraszona dziewczynka.

W sąsiedztwie nie było dzieci.

Dzielił ich tylko żywopłot i trawnik.

Wbrew Muttinie chciał myśleć o dziewczynce jako o Żydówce.

Byli przyjaciółmi.

Przyjaciółmi.

Choć był starszy, to ona miała bujną wyobraźnię.

Nakrańcu rozległego ogrodu, pod lasem, budowali szalasy z gniazda ze starych końskich derek i słomy, dla ochrony przed zimnem i wilgocią.

Stawiali kilka jednocześnie, żeby przechytrzyć Mutti.

W jakiś sposób dziewczynka zawsze wiedziała, dokąd Mutti wysze na poszukiwania niani lub ogrodnika.

Wiedziała, że jeśli będącicho, dorośli nie odważą się zapuścić w gęszcz suchych gałęzi jodłowych, nie wejdą pod zwieszające się konary drzew.

On miał praktyczny zmysł: starannie ocieplał podłogętych drzewnych jaskiń.

Podkradał jedzenie z kuchni, ukradkiem zabierał stare palta z wieszaka w stajni, żeby nie marzli.

Zaczeptał kawałki materiału na drzewach dla oznaczenia drogi, którą przyszli.

W środku zimy, gdy nie mogli bawić się w ogrodzie, często chowali się w małej siodłarni.

Zapalali niewielkie ognisko i grali w gry planszowe, rysowali albo czytali.

Stajenny i jego pomocnik ostrzegali ich, gdy Mutti wkraczała na ścieżkę wojenną.

Jego matka doskonale wiedziała, że syn bawi się z dziewczynką, inie mogła tego znieść.

W obecności Mutti nie mógł przyprowadzać jej do domu.

Ale nawet gdy matka wyszła gdzieś albo wyjechała, dziewczynka była
109.

niespokojna i podskakiwała na każdy dźwięk - nie lubiła przebywać w jego domu.

Ze względu na ojca matka nie mogła zabronić dziewczynce wstępu do domu i do ogrodu, nie mogła zakazać zabaw i przyjaźni.

Ojciec uwielbiał małą - zawsze potrafiła go rozbawić.

Podziwiał też jej matkę, kobietę łagodnym charakterze, niezwykle czytającą.

Mutti była bystrytna, żeby przed ojcem otwarcie wyrażać niechęć wobec tej rodziny, okazywać zazdrość czy ujawniać uprzedzenia.

Dzięki dochodom z nowej kliniki miała pieniądze i prowadziła życie na odpowiednim poziomie.

Dzieciom jednak trudniała wzajemne kontakty i niegodziła się, by dorośli, pomijając zwykłe grzeczności, utrzymywali stosunki towarzyskie.

Nie było w tym nic niezwykłego ani zaskakującego.

Początkowo obie rodziny doskonale znały swoje miejsce i ściśle przestrzegały zasad.

Żydzi trzymali się razem i obracali w własnym kręgu, a nie w kręgu Polaków czy Niemców.

Zdaniem Mutti tak właśnie powinno być.

Za jej plecami chłopiec - podobnie jak jego ojciec - bywał w domu dziewczynki.

Z czasem zazdrość o dziewczynkę i jej matkę, w połączeniu z uprzedzeniami, całkowicie opanowała Mutti i stała się obsesyjna, co podsycali jeszcze wypowiedzi polityków, artykuły w gazetach, nastawienie zarówno polskich, jak i niemieckich przyjaciół.

Można było odnieść wrażenie, że przez całe życie wyczekiwała czasu, który właśnie nadchodził.

Doszło do tego, że była syna szpicrutą, gdy tylko zamienił parę słów z dziewczynką.

Małżeństwo jego rodziców się rozpadło.

Polska zaczęła przygotowywać się do wojny.

Rdzenni Niemcy tylko czekali na sposobność, żeby przejąć posiadłości domy opuszczone przez uchodźców, którzy przepelnionymi pociągami uciekali z kraju, kiedy jeszcze mogli.

110

On i dziewczynka byli jak brat i siostra.

Dopóki nie przeniósł się do nowej szkoły.

Dopóki towarzystwo rówieśników nie stało się bardziej interesujące.

Dopóki nie zaczął zdawać sobie sprawy, że czystość rasy germańskiej jest zagrożona.

Nagle przestali być dziećmi i nie mogli się

już przyjaźnić.

On był Niemcem.

Ona Żydówką.

Nie dopuszczam do siebie myśli o niej.

Nie dopuszczam dręczącego wspomnienia tych ciemnych oczu.

Nie dopuszczam tego, co zrobiłem i kim się stałem.

Zamykam oczy przed nadchodzącym dniem, przed obrazem chłopca, którym kiedyś byłem.

Przed świadomością własnej zdrady.

Rozdział czternasty

Kate znalazła na skraju wsi mały hotel, w którym podawano wegetariańskie posiłki.

Z pokoju ma widok naujścierzki.

Otwiera szeroko okno, ale powietrze jest ciężkie i duszne.

To lokum musi jej wystarczyć, dopóki niewynajmiemieszkania.

W oddali gromadzą się fioletowe chmury.

Kate cieszy się na myśl, że idzie burza.

Boliją głowa, czuje się spięta i lekko podenerwowana.

Myśli o Marcie.

O Marcie i Fredzie, którzy mieszkają w tym piętrowym, beczasowym domu, mającym w sobie coś z epoki kolonialnej.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, robi herbatę, na którą wcale nie ma ochoty, a potem opada na łóżko i zamyka oczy.

Z oddali dobiega ją dudnienie grzmotu, przypominające tłumioną groźbę, i wzmagają jej niepokój.

Chyba wie, jaka jest jego przyczyna.

Gdy weszła do tego domu, od razu pomyślała o Dorze.

Poczuła budzącą pamięć zapachy starego domu, którego dawno wypłowieła zasłony i obicia mebli wywołują wspomnienia z dzieciństwa.

I podsycają nadzieję.

Kolejna wizyta, jeszcze jednasposobność, żeby powiedzieć i zrobić to, co należy.

Myśli o tamtej niezwyklej burzy w Londynie, którą skierowała aż tutaj, wytrąciła ze snu pełnego radości,

112

choć próbowała kurczowo się go trzymać.

Nie chciała obudzić się w mieszkaniu swojej ciotki, w centrum Londynu, gdzie w każdej chwili można usłyszeć głuhy dźwięk ruchu ulicznego.

Leżała, słuchając gwałtownego wiatru, który tu, w kolejnym mieście, jakby podkreślał jej samotność.

Miała poczucie odosobnienia i chęć, by zmienić bieg, jaki nagle przybrało jej życie: stałe zatrudnienie, pensja, jak przystała na duże miasto, wyczerpujące godziny pracy.

Wiedziała, że powinna być wdzięczna.

Powinna cieszyć się, że pisze artykuły o podróżach, że zarabia przyzwoicie.

Ale tęskniła za Indiami, za pracą, którą uwielbiała, za przyjaciółmi.

Zaczął wiekiem, jakim w jej oczach był Richard.

Świadomość, że już nigdy tam nie wróci, nie zazna tamtych radosnych chwil, przeszywała jej serce bólem.

Wszystko odeszło tak nagle i Kate wie, że nigdy już nieuzna radości czy spełnienia za rzecz pewną.

Jej brat Lukę zadzwonił do niej z wiadomością, że Dora umiera; w tym samym tygodniu żona Richarda niespodziewanie przyleciała do Karaczi, żeby z nim zamieszkać.

- Muszę podjąć jeszcze jedną próbę, Kate.

Mam czteroletnie dziecko.

- Oczywiście.

Rozumiem.

Zostanę w Anglii.

Nie wrócę.

- Tak będzie łatwiej nam obojgu.

Świadomość, że jesteś w pobliżu, byłaby dla mnie straszna.

- Też tak sądzę.

Kate była oszołomiona, wstrząśnięta; Richard starał się nie okazywać, że spadł mu kamień z serca.

Później, kiedy powróciła jasność myśli, uprzytomniła sobie, że Richard do miesięcy musiał

wiedzieć o przyjeździeżony.

Kobieta, która żyje w separaciz mężem, niepokonuje tysięcy mil z małym dzieckiem, łudząc się nadzieją, że zostanie serdecznie przyjęta przez męża.

113.

Kate wstaje z łóżka, bierze kubek z chłodną herbatą i podchodzi do okna.

Dlaczego Richard, oddalony o tysiące mil, po miesiącach milczenia postanowił zadzwonić do niej akurat wtedy, w środku burzy, zamykając rozdział w jej życiu, którego sama nie mogła domknąć.

Miała przeczucie, że to właśnie on dzwoni.

Kate wierzy w prawokarmy.

- Cześć, Kate, to ja, Richard.

- Cześć.

Stało się coś?

- Po prostu chciałem usłyszeć twój głos, kochanie.

Mam wrażenie, że w ogóle nie jesteś zaskoczona.

- Ani trochę.

- Kate, skąd ten.

chłód?

- To nie chłód, ale zdrowy rozsądek.

Sam chciałaś, żeby się nim kierowała.

Zapadło milczenie.

Po chwili Richard powiedział:

- Jesteś na mnie zła.

Przepraszam, że cię zraniłem.

Kate nie była zła, była wściekła.

- Posłuchaj, Richard.

Mieszkałam i pracowałam z tobą przez dwa lata.

Mówiłeś, że twoje małżeństwo się rozpadło.

Definitywnie.

Twoja żona dzwoni do ciebie ni stąd, ni zowąd, oznajmiając o swoim powrocie, a ty mi raptem oświadczasz, że musisz podjąć jeszcze jedną próbę ze względu na dziecko.

"Och, Kate, no wiesz, skoro musisz wracać do Anglii, bo umiera twoja matka, to może byłoby lepiej, łatwiej, gdybyś tu nie wracała".

Czy nie byłoby?

Może się mylę?

- Sądziłem, że i ty uznałaś takie rozwiązanie za najlepsze.

Uważałem, że muszę spróbować jeszcze raz.

- Więc dlaczego do mnie dzwonisz?

- Bo bardzo za tobą tęsknię i nie wiem, czy da się uratować to małżeństwo.

- Rozumiem.

Chcesz zostawić sobie furtkę, na wszelki wypadek, gdyby znudziło ci się naprawianie związku zewzględu na dziecko!

114

- Kate, na miłość boską, przekreśl każde moje słowo.

- Ależ skąd!

Wróciłam do domu, bo umierała moja matka.

I nagle wszystko stało się jasne i zrozumiałe.

Zobaczyłam, jak naprawdę wygląda sytuacja.

Pozbyłam się złudzeń.

Ani przez sekundę nie wątpiłam w nasz związek, dopóki nie pognałeś z powrotem do żony.

Nawet nie zadzwoniłeś do mnie, żeby spytać, jak się miewam, czy moja matka umarła - dodała ze łzami w oczach.

- Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi, ale ty potrzebowałeś mnie tylko na pewien czas.

Byłam ot tak pracownicą pomocy społecznej, która wkrótce przeniesie się gdzieś indziej.

Ni kim ważnym, bo w przeciwnym razie powiedziałabyś szonie, że jest już za późno, że spotkałeś

kobietę, na której cizależy.

Zresztą, niema to już znaczenia.

- Oczywiście, że ma.

Posłuchaj, Kate, bardzo żałuję.

Popelniłem ogromny błąd.

- Trudno.

- Czy przynajmniej mogę przylecieć do Anglii i porozmawiać z tobą?

- Nie.

Jest na to o wiele zapóźno - takuważam.

Pomyśloinnych.

O żonie i dziecku.

Postaraj się uratować to małżeństwo.

Przecieżpół roku tak ci na nim zależało, że zerwałeś ze mną.

Mam nadzieję, żewszystko dobrze się ułoży.

Nie chcę przeciągać tej rozmowy.

Odkładam słuchawkę.

Poczuła, jak Marjorie obejmuje ją ramieniem, a serceuderza boleśnie.

- Brawo, moja ulubiona siostrzenico.

- Jestem twoją jedynąsiostrzenicą.

- Zgadza się.

Marjorierzuciła na stół dwie mapy.

- Dokąd tym razem?

Jaki kraj wybierasz?

- Ty więdźmo.

Zostaję w Anglii.

Przynajmniej na pewien czas.

115.

Rozłożyły mapy na podłodze.

- Zamknijoczy i pokaż palcem - powiedziała Marjorie.

-Czy mówiłam ci, że jesteś moją ulubioną ciotką?

- Jestem twoją jedyną ciotką.

Marjorieobróciła mapęw jej stronę.

Kate zamknęłaoczy i na chybił trafił wycelowała palcem.

Przypuszczała, że natrafi na morze, ale gdy otworzyła oczy, okazało się, że wskazała sam czubek Półwyspu Kornwalijskiego.

- Trafny wybór - mruknęłaMarjorie.

- Czubek dlaczubków.

Kate wstaje teraz z łóżka i podchodzi do okna.

Skądwiadomo, że człowiekpostąpił słusznie?

Lubi opiekowaćsię obcymi ludźmi, a nie zdołała w żaden sensowny sposób dotrzeć do własnej matki.

Jak tak dalej pójdzie, stanie się nieistotnym elementem w życiu ludzi, którzy nie mają z nią nic wspólnego.

Ludzi, którzyżyją nie tyle w obliczu śmierci, ile z poczuciem straty.

Ich umysł umieracicho i ukradkiem.

Czytonie za wcześniej pośmierci Dory?

Widoczny na tle fioletowego nieba rybak w woderachwyciąga węgorze, nie zważając na nadchodzącą burzę.

Wysoka dziewczyna idzie wolno plażą z podstarzałym psem.

Maspięte spinką ciemne włosy z nieregularnymi jasnymi pasemkami.

Jest młoda, porusza się niczymzrebak, z niewinnym wdziękiem.

Ma na sobiekrótką koszulkę odsłaniającątalię i białe dżinsy z obciętymi nogawkami.

Stajena kamienistej plaży i spogląda w stronę ujściazeki, gdzie wrazz przypływem pojawiają się białe grzywy fal.

Nad jejgłowąkołują na wietrze ptaki; kuliki pikują nisko kuziemi, uciekają z krzykiem przed burzaw głąbłądu.

Cóżza ponure, odludne miejsce; w dodatku ta pogoda - kapryśna i zmienna.

Dziewczyna stoi przezdługi czasbez ruchu.

W tej drobnej, delikatnej postaci jest coś, co intryguje Kate.

Nagle

116

uświadamia sobie, że widzi scenę rozstania, długiego, bezgłośnego pożegnania.

Wzbiera wniej smutek, sercewrywa się do tej dziewczyny.

To niewątpliwie Lucy-Kate rozpoznaje psa.

Ma wrażenie, jakby patrzyła na osobę, która w samotności coś oplakuje, jakby patrzyłana samą siebie, pogrążonąw rozpaczynad czymś, czego nie może zmienić.

Kate stoi w oknie niczym wartownik, nieruchomo jakdziewczyna tam w dole, której sylwetka rysuje sięna tleburzowego nieba.

Słychać kolejny, stłumiony grzmot, gdzieś daleko nad morzem, i uderzenia zacinającego deszczu o szybę.

Dziewczyna z wolna odchodzi, pies dźwigasię i ruszaza nią.

Powoli znikają zacyplem, a Kate patrzy na opustoszałą plażę.

Rozdział piętnasty

Berlin

Siedzi w mieszkaniu, pochylony nad planem Londynu.

Wpatruje się w maleńki rząd domów, gdzie, jak powiedział Hans, mieszka ta kobieta.

Miękkimolówkiem zakreśla dom, gmach sądu i budynek, gdzie mieści się pokój adwokacki.

Rysuje następne kółko na mapie Anglii, na samym dole, po lewej stronie, zaznaczając miejsce, gdzie kobieta dorastała.

Daleko od Londynu, ale Londyn nie jest aż tak daleko od Berlina - zaledwie o parę godzin podróży.

Nalewa sobie kawę, otwiera przeszklone drzwi i siada na niewielkim balkonie.

Gdyby przyjął propozycję Scheffella, miałby istotny powód, żeby jechać do Londynu.

Dwutygodniowe seminarium dobrze mu zrobi: nie wyjdzie z wprawy i ożywi umysł.

Spogląda przed siebie na rozległy park i migoczące dole światła miasta.

Dochodzą go stłumione odgłosy jadących autostradą samochodów.

Myśli o swoim życiu zawodowym, o latach, które przeminęły zbyt szybko.

O czasie, który tak łatwo brać za coś oczywistego, gdy człowiek jest młody i ma jeden cel: dojść do szczytu kariery.

O torach życia, przemyślanego i wykalkulowanego - kariera, podróże, kobiety - w tej kolejności.

Tory biegły osobno, jeśli sam nie postanowił inaczej.

118

Lata satysfakcji naukowej.

Emocjonujące.

Z powodu władzy.

Każdy chirurg z czasem uświadamia sobie uwodzicielską moc, jaką ma w rękach, dreszcz podniecenia, jaki daje wiedza, nauczanie, zdobywanie mistrzowskich umiejętności.

Uzdrawianie spracowanych, chorych, złamanych kości.

Naprawianie uszkodzonych kończyn, spinanie klamrami, składanie poszczególnych kawałków jak w skomplikowanych układankach.

Nowe techniki operowania i rehabilitacji.

Zdobywanie sławy.

To wszystko jest już za nim.

Przychodzi taki czas, gdy każdy lekarz nadużywa swej boskiej pozycji.

Niekoniecznie w wyniku działania rąk, gdy uzdrawia ludzi, ale w wyniku działania serca, gdy nonszalancją wybiera sobie lub odrzuca ludzi pojawiających się w jego życiu.

Masz na myśli kobiety.

Popija kawę małymi łykami i zauważa, że coraz silniejszy wiatr wzbija w powietrze pyłki roślin.

Czy to niezdumiewające, że człowiek wyraża się oględnie, gdy chce oszukać siebie samego?

Obojętność kogoś niezaangażowanego.

Enigmatyczne "wszyscy" i "my", żeby się dystansować i uchylić od odpowiedzialności.

Przez całe życie się dystansowałem.

Ile kobiet, młodych i starych, na gruncie zawodowym i prywatnym, zraniłem swoim postępowaniem?

Łajałem instrumentariuszki za drobne błędy.

Pacjenci i młodzi lekarze schlebiali mi, żeby nie paść ofiarą mojej złośliwości.

A teraz siedzę tu, emerytowany lekarz, pozbawiony już władzy - lecz, dzięki Bogu, wciąż sprawny umysłowo - i zastanawiam się, ileż to razy musimy uczyć się tego samego.

Przez całe życie możemy uciekać od wszystkiego, co jest z nami, uważając, że przydarzyło się to osobie, którą już nie jesteśmy.

Moje pokolenie już na emeryturze.

119.

Ilu takich jak ja przekona się, że gdy przestaną uciekać, przeszłość i tak ich dopadnie?
Kobiety kochałem intensywnie i krótko, ponieważ nie były wolne, należały do innych.
Jakże delectowałem się łowami!
Uwielbiałem pięknerzeczy.
Wciąż je uwielbiam.
Wciąż cieszę się towarzystwem inteligentnych kobiet.
Zawsze chciałem sprostać wyzwaniu i osiąść to, co domnie nie należało.
Raz za razem.
Jakby pewnego dnia ktoś mógł mnie dotknąć.
I ja mógłbym poczuć.
coś.
Rzecz nie w tym, że nie pamiętam miłości.
Rzecz w tym, że nie mam odwagi.
Jest chłodno.
Wraca do pokoju i niepewną ręką znów udotyka mapy.
To upokarzające, że człowiek starzeje się zewnątrz, a wewnątrz pozostaje taki sam, że pamięć
mataką moc.
Już prawie zapomniał, jakie emocje może wzbudzać ponętna i inteligentna twarz.
Przeszłość wzbiera jak ogromna fala.
Stojąc na jej drodze, opada z sił, boi się zniszczenia, boi się, że go pochłonie.
Boi się, że człowiek, jakim się stał, nagle zniknie, a on znów będzie taki jak kiedyś.
Tęskni go przeraża.
Dlaczego nagle nawiedza go wspomnienie twarzy, słyszy echo śmiechu, widzi ślady stóp na
trawniku?
Jak to możliwe, by w ciszy tego śpiącego miasta słyszeć tętent koni galopujących po mokrych
liściach przez las?
Albo czuły zapach deszczu na sosnowych igłach czy smagających policzki kosmyk
kruczoczarnych włosów, rozwianych nawietrze?
Tęskni za tym, co zniknęło mu z pamięci.
Pogrzebał dziecko, którym był kiedyś.
Wymazał obraz chłopca, stał się upadłym pięknoduchem.
Pogrzebał całe swoje życie - skutecznie, całkowicie i na zawsze.
Odwraca się gwałtownym ruchem od mapy, znów podchodzi do okna, jakby leżące w dole
miasto miało się za 120
walić i przemienić w dymiące ruiny dawnego Berlina.
Zamyka przeszklone drzwi.
Przyjmuje propozycję Scheffella.
Pojedzie do Londynu.
Zobaczy, jak wygląda życie tej kobiety.
Może się podać za wykładowcę uniwersyteckiego albo po prostu turystę.
W wielkim mieście ludzie są anonimowi.
Nie będzie postępował nierozważnie, skoro przez całe życie zachowywał ostrożność.
Dostrzega ironię swojej sytuacji.
Chce po prostu zobaczyć kobietę jeszcze raz.
Musi ujrzeć ją na żywo, z bliska.
Musi się dowiedzieć, co takiego w jej twarzy wywołało tamto wspomnienie.
Innego czasu i miejsca.
Innego świata.

Rozdział szesnasty

Fred zabrał Marthę do Florencji, gdy Barnaby miał osiem lat. Chłopiec był na tyle duży, by docenić dzieła sztuki i zbytnio się nimi nie znudzić. Anna pojechała wtedy na szkolny obóz narciarski.

Z trudem nakłonił Marthę, żeby na pewien czas rozstała się z domem i ogrodem. Musiał uciec się do argumentu, że podróż będzie pouczającym doświadczeniem dla syna. Ponieważ dotąd nigdy nie wyjeżdżali na wakacje za granicę, chciał udowodnić Marcie, że jest to możliwe i po powrocie zostaną dom w stanie nienaruszonym.

Z pomocą przyszedł mu Barnaby.

Jego entuzjazm był zaraźliwy.

Przepakowywał swoją szkolną walizkę co najmniej piętnaście razy.

Dzień przed odjazdem pojechali pociągiem do Londynu i z nocowali w hotelu w Gatwick.

W przeciwnym razie Martha z pewnością przeżywałaby katusze z obawy, że spóźni się na samolot.

Fred patrzył wzruszony na syna, który z ogromnym podnieceniem oczekiwał swej pierwszej podróży samolotem.

Wyjazd wiązał się również z pewnym ryzykiem: Martha wciąż miała okropne napady niepokoju i bezsenności, co trudno byłoby zataić w małym apartamencie hotelowym.

Barnaby właśnie zaliczył pierwszy semestr w szkole podstawowej.

Z trudem przystosowywał się do nowych warunków.

122

Niewiele pomagało przekonywanie go, że z czasem będzie lepiej.

Fred zdawał sobie sprawę, że tak i gdzieś powinno chodzić do zwykłej szkoły i gdyby sytuacja w domu była inna, nigdy niewysłałby go do internatu.

W samolocie Barnaby'emu nie zamykały się usta.

Martha wciąż go upominała: "Jedź, Barnaby.

Siedź spokojnie, kochanie, bo zrzucisz tacę".

Fred widział, że Martha też jest podekscytowana.

Namówił ją do wyjazdu, gdyż pragnął jej udowodnić, że może wzbogacić swoje życie o nowe doświadczenia i że niczym to nie

grozi.

Z lotniska pojechali taksówką pod katedrę, skąd było najbliżej do ich apartamentu.

Pokonując niewielki odcinek Via del Calzaiuoli i dźwigając walizki, Fred nabrał przekonania, że wszystko będzie dobrze.

Martha szła powoli, rozglądając się z uwagą i chłonąc widoki Florencji.

"Och, Fred, jakie to piękne - powtarzała.

- Popatrz, Barnaby, tylko popatrz na te rzeźbione drzwi".

Apartament mieścił się na trzecim piętrze.

Zasapani i roześmiani zaszczyli na górę walizki.

Pokoje były czyste i przestronne, na stole czekały na nich kwiaty i owoce.

Z tarasu nadachu rozciągał się widok na całą Florencję, z drugiej zaś strony stare opactwo Badia Fiorentina.

W dole było widać otoczone krzewami ogrody, gdzie owocowały małe drzewka cytrynowe.

Dzwony wzywające na mszę obwieszczały rankiem i wieczorem godzinę.

Barnaby biegł z pokoju do pokoju, chcąc wybrać sobie sypialnię.

Martha weszła po stromych schodach na dach i w zachodzącym wrześniowym słońcu spoglądała na miasto, trzymając się mocno balustrady.

Długie, spięte spinkami włosy muskały na wietrze jej twarz.

Stała nieruchomo tak długo, że Fred zaczął się niepokoić.

Oparł się o framugę drzwi prowadzących na dach i zamyślony nabijał fajkę.

Nie zamierzał wyrwać

123.

jej z zadumy.

Z czasem zrozumiał, że Martha często odczuwa potrzebę powrotu w miejsca, gdzie nie może jej towarzyszyć, i że nie powinien pytać, dokąd się udała i dlaczego, a jedynie czekać, aż wróci.

W końcu zbliżył się do niej cicho i otoczył ją ramionami, tuląc do niej twarz.

Poczuł, że Martha się śmiecha.

Oparła się niegoplecami i położyła dłońmi na jego rękach.

Nie odrywając wzroku od rozciągającego się przed nią miasta, powiedziała:

"Mama uwielbiała książki podróżnicze.

Zajmowały całą półkę.

Czytałam je w deszczowej dni.

Tato zamawiał książki z Anglii i Niemiec, a mama tłumaczyła je, obłożona słownikami.

Och, Fred, nie czujesz tego, jak pada światło, jak cienie zmieniają kolor budynków, jak pachnie cytryna, mimoza, gotowane potrawy.

Nie słyszysz gwaru pod oknem.

- Po chwili dodała:

- Mama wyszła za mąż, mając siedemnaście lat.

Nigdy nie podróżowała.

Nigdy nie wyjechała poza granice Polski".

Fred objął ją mocniej, stał w milczeniu, nieruchomo jak Martha, patrząc na zachodzące słońce, które barwiło domy na różowo, połyskiwało na dachach, zamazywało barwy; wszystkostało się kalejdoskopem obrazu, zapachu i dźwięku.

Martha dobrowolnie dała męczątkę siebie.

Tę chwilę przerwał dochodzący z dołu głos Barnaby'ego.

Fred jest zaprzątnięty myślami: jednowspomnienie pociąga za sobą inne, które zebrały się przez lata życia.

Podczas tych wakacji dowiedziałem się wiele nowego o mojej żonie - i o moim małym synu.

Te pierwszewe wspólne wakacje dużo nam dały.

Okazało się, że Martha ma szeroką wiedzę na różne tematy.

Ja kupowałem przewodniki, ale to ona znała obrazy, posagi, eksponaty, to ona znała historię.

Bez trudu obudziła w Barnabym szacunek i podziw dla miasta, które

ma w sobie tyle piękna, że nie da się go poznać podczas jednego pobytu.

W niedzielę poszli w trójkę na mszę do katedry, wspaniałej katedry Santa Mariadel Fiore.

Martha pokazała Barnaby'emu, jak zapala się świecę i ofiarowuje modlitwę.

Ta msza - pierwsza prawdziwa msza katolicka, w której uczestniczył Barnaby - miała wszelkie cechy opery, także ksiądz śpiewał tenorem jak anioł.

Dźwięki cudownej muzyki rozbrzmiewały w całej budowli i krążyły wokół nich.

Msza pochłonięła Barnaby'ego bez reszty, nie mógł oderwać oczu od księdza.

Wstawał, siadał i klękał wraz z innymi.

Uczestniczył w ceremonii z ogromnym skupieniem, wodząc wzrokiem za ministrantami, łądką z kadzidłem, chórzystami podążającymi w procesji.

Fred i Martha zafascynowani spoglądali na niego kątem oka.

Gdy wychodził z katedry, chłopiec wyjął z kieszeni jednolirową monetę, zapalił świecę i pomodlił się z całą powagą, a potem odwrócił się do nich z uśmiechem promiennym jak słońce.

W przeddzień wyjazdu z Florencji poszli do kawiarni z ogródkiem przy ulicy.

Sąsiedni stolik zajęła para bardzo młodych Niemców, którzy byli niewątpliwie czymś wzburzeni, mówili tak szybko, że Fred nie mógł ich zrozumieć.

Wiedział, że Martha przysłuchuje się rozmowie, choć siedzi od nich tyłem, z kieliszkiem wina w dłoni.

Barnaby jadł ze skupieniem lody.

Fred poczuł, że jego szklanka z piwem nagle zrobiła się lodowata.

Niemcy zwrócili się do kelnera, ale ten nie rozumiał, o co im chodzi.

Raz po raz wskazywali na coś pod stołem imówili każdą chwilą głośniejsze, coraz bardziej zdesperowani.

Po kilkunastu minutach Martha nie wytrzymała.

Odwróciła się i spytała, w czym rzecz.

125.

Zaskoczeni Niemcy umilkli na chwilę i spytali z szerokim uśmiechem, czy jest Niemką. Martha zaprzeczyła.

Dziewczyna uniosła spódnicę, odsłaniając na nodze brzydką ranę przykrytą chusteczką do nosa. Martha spojrzała na Freda, który podniósł się z krzesła, obejrzał ranę i oświadczył, że trzeba założyć szwy.

Uważał, że powinni pójść do miejscowego lekarza lub do szpitala.

Oni byli jednak zdania, że ranę wystarczy opatrzyć
- najbliższa apteka była, niestety, nieczynna.

Dziewczyna miała łzy w oczach.

Fred poszedł do apartamentu po torbę lekarską.

Zdezynfekował ranę odrobiną brandy, podał dziewczynie szklaneczkę trunku i założył szwy, przygryzała tylko wargi, zachowując stoicką cierpliwość.

Zanim młodzi Niemcy wyrazili swą wdzięczność, chłopak zwrócił się do Marthy z pytaniem:

- Jest pani Czeszką?

Może Polką?

Fredowi zdawało się, że przez dobrą minutę trwało milczenie, aż wreszcie Martha odparła:

- Jestem Angielką.

- A potem spojrział na chłopaka prosto w oczy i dodała: - Urodziłam się w Polsce.

- Bardzo mi przykro - odparł, patrząc jej w oczy.

Martha pokiwała i odpowiedziała:

- Nie ma powodu, żeby było panu przykro.

- Mimo to jest mi przykro.

Jeszcze raz bardzo dziękuję za pomoc.

- Wszystko w porządku, mamusiu?

- spytał Barnaby, gdy Niemcy już odeszli.

- Oczywiście, kochanie - odparł pogodnie.

- Wiesz, chyba też się napiję brandy.

A potem pomyślimy, co robić dalej.

Tego wieczoru, gdy siedzieli na tarasie na dachu, Martha powiedziała do Freda:

- Czuję się świetnie, kochanie.

Nie patrz na mnie z takim niepokojem.

Byłam trochę poruszona, ponieważ po raz pierwszy

szy odczasów wojny usłyszałam język niemiecki.

Dobrze, że tak się stało.

Oni byli jeszcze dziećmi.

A gdzie jest Barnaby?

To nasz ostatni wieczór we Florencji.

Może pójdziemy tuczyć?

Później, gdy leżeli w sypialni na tyłach apartamentu, zezgaszonym światłem i otwartymi okiennicami, by widzieć nocne niebo, wieżę i klasztor, Martha oparła się na łokciu i zwróciła twarzą do Freda.

Wyglądała tak młodo w świetle wpadającym przez okno, rozpuszczonymi ciemnymi włosami, które okalały jej twarz i spływały na ramiona.

Pochyliła się i pocałowała go.

- Kocham cię, Fred.

Dziękuję ci, że przywiozłeś mnie do tego pięknego miasta.

Byłam taka szczęśliwa.

Całowała go raz za razem.

Wciągnęła go na siebie i zniknęła pod jej włosami.

Tej nocy kochali się namiętnie i żarliwie, jakby Martha chciała mu powiedzieć, że już nie jest taka krucha, że nie musi się niałykać.

że się nie załamie.

Fred szuka tabletek w starej szufladzie z lekarstwami w swoim gabinecie i znajduje dwie czarno-białe fotografie Marthy, zrobione we Florencji.

Przez uchylone okiennice wpada światłoczesnego poranka.

Widzi młodą, rozpromienioną dziewczynę, która leży na łóżku.

Ciemne włosy rozrzucone na poduszce.

Ma na sobie cienką białą koszulę nocną, spod której prześwituje nagie ciało.

Uśmiecha się do obiektywu, do niego - bo to on robi zdjęcie.

Na drugiej fotografii leży wsparta na łokciu, spogląda na niebo bacznie i zmysłowo - widać, że zaprasza go wzrokiem.

Fred czuje, jak stare serce bije mu żywiej, gdy przypomina sobie, co potem robili.

Obraz tej dziewczyny zapiera mudech w piersi - jest tak młoda, pełna życia, przejmująco piękna.

127.

Przez lata Martha pilnie wklejała wszystkie zdjęcia rodzinne do albumów, podpisywała starannie i opatrywała datą.

Wszystkie oprócz tych dwóch.

Te należały tylko donich.

Natwarzy Freda pojawia się uśmiech.

Co dziecisobie pomyśla, gdy znajdą te zdjęcia po ich śmierci?

Żedwoje kochanych staruszków uprawiało kiedyś miłość.

Barnaby puka i zagląda do gabinetu.

- Chciałem zobaczyć, czy wszystko w porządku, tato.

Fred wsuwa zdjęcia do koperty i chowa w szufladzie.

- Jak najbardziej.

Szukałem paracetamolu.

Tu goniema.

- Ależ, tato - odpowiada zdziwiony Barnaby - tabletkisą w apteczce w łazience.

Od wieków tam je trzymamy.

- No tak, oczywiście.

Ale wiesz, jak to ze mną jest.

Zawsze przechowywałem różne proszki i smarowidła w szufladach.

- Znalazłeś chyba wszystko prócz tabletek - mówi z uśmiechem Barnaby, ogarniając wzrokiem rozrzuconą podłogę zawartość szuflady.

- Prawo Murphy'ego - oświadcza Fred i usiłuje wstać krzesła.

Barnaby podchodzi, żeby mu pomóc.

- Przyniosę ci paracetamol z łazienki.

- A może znajdzie się nurofen?

Głowa mnie trochę boli.

- Poszukam.

Posłuchaj, tato, kiedy widziałeś się ostatnio z Brianem?

- Nie dalej jak w zeszłym tygodniu.

Nic mi nie jest.

Zapewne powinienem sobie sprawić nowe okulary.

Gdy są przy drzwiach salonu, Fred pyta:

- Pamiętasz nasze wakacje we Florencji?

Chyba nie.

Byłeś wtedy bardzo mały.

- Pamiętam.

Oczywiście nie wszystko.

Po raz pierwszy leciałem wtedy samolotem.

Tobyły nasze pierwsze wakacje za granicą, prawda?

128

- Zgadza się.

Z łazienki dochodzą hałasy i chichoty.

Lucy kąpie właśnie Marthę.

Gdy Fred siada na krzesło, Barnaby mówi:

- Pamiętam, że wszyscy gapili się na mamę, bo wyglądała tak oszalałająco, choć Włoszki też były piękne.

- Coś takiego!

Zauważyłeś to, mając zaledwie osiem lat!

Nie sądzisz, że twoje wspomnienie jest trochę późniejsze?

- Pamiętam taras na dachu.

I tych dwoje Niemców, którzy siedzieli obok nas.

Założyłeś dziewczynie szwy na nosie, a mama była zielona na twarzy.

- Tak, byli bardzo wdzięczni.

-Ale najlepiej pamiętam mszę.

W katedrze.

Fantastyczna!

Przypominasz sobie tendzień, tato?

- Bardzo dobrze.

Zapaliłeś świecę i wypowiedziałeś życzenie.

- Zmówiłem modlitwę.

- śmieje się Barnaby.

-Przepraszam, tato, już idę po tabletki.

Jesteś szary na twarzy.

- To oznaka starości - żartuje Fred, choć czuje bolesne pulsowanie w głowie.

-Wiesz, o co się wtedy modliłem?

- pyta Barnaby, przystając w drzwiach.

-Żebym został księdzem jak ten Włoch, który odprawiał mszę.

- Dobry Boże!

- woła zaskoczony Fred.

-Nie wiedziałem, że skłaniałeś się ku katolicyzmowi.

- Przez pewien czas.

Przelotne zainteresowanie, gdybyłem nastolatkiem.

Dobiła mnie nieomyślność papieża, kontrola urodzin i przede wszystkim celibat.

Obaj zanoszą się głośnym śmiechem.

Lucy i mokrzejscze Martha wychodzą zaintrygowane z łazienki, chcąc usłyszeć najnowszy dowcip.

Rozdział siedemnasty

Następnego dnia Kate wstaje wcześniej i idzie skrajem solniska na plażę zalewaną przyplływem.

Zaskakuje ją niewiarygodna cisza.

Fale uderzają łagodnie o brzeg, morze świeci jasnożółtym blaskiem.

W zasięgu wzroku nie ma nikogo.

Czuje się tak, jakby świat należał do niej.

Nie może oderwać oczu od krzewu szkarłatnej kamellii, której płatki padają na falującą powierzchnię wody.

Coś się pojawia.

Nagły dreszcz, gwałtowny oddech.

Tutaj.

Teraz.

To. Jestem.

Część jej istoty, która od dawna nie mogła zaznać spokoju, nagle odzyskuje równowagę.

Przez chwilę czuje, że łączy się z wodą, kolorem, fakturą i zapachem wiosny.

Nagle uświadamia sobie, że jest w niej coś, do czego dotąd nie przyznawała się przed sobą.

Chce tu na pewien czas zamieszkać.

Jest otym przekonana.

Mija podłużne, bujne ogrody przy wiktoriańskich domach, wchodzi na zbocze, oddalając się od ujścierzki, a potem odwraca się niechętnie i idzie z powrotem do hotelu.

Musi wziąć udział w szkoleniu, zorganizowanym przez agencję.

Czuje, że się odprężyła - skoro już wie, gdzie chce zamieszkać, znalezienie domu nie będzie problemem.

Właścicielka hotelu uważa, że sprawa nie jest taka prosta.

130

- Ludzie, którzy wynajmują domy, przyjmują zazwyczaj lokatorów latem, na krótki czas.

Daje im to większy zarobek.

Na pewno coś znajdziesz, ale niekoniecznie w wiosce.

- Uśmiecha się do Kate.

- Spytaj na pocztę.

Dave Pasco wie wszystko o wszystkich, zanim sami to sobie uświadomią.

- Niesamowite - mówi Kate.

W drodze do Penzance zatrzymuje się przy pocztę.

Dave Pasco ostrzega kolegów w nosie - co wywołuje jego dezaprobatę - ale także urodę i miły głos dziewczyny.

- Trudno mi zaproponować coś tak, na poczekaniu.

Ale mogę poprosić.

Zdaj się na mnie.

- Będę wdzięczna.

Mieszkam w hotelu Banyan.

- Zdaj się na mnie - powtarza Dave.

- Gdy tylko dowiem się czegoś, dam ci znać.

Agencja zorganizowała dwa krótkie szkolenia - to jest drugie.

W trakcie zajęć Kate musiała gryźć się w język, dobrze wiedząc, iż byłoby błędem przyznać się, że ma dyplom z psychologii i sama prowadzi tego rodzaju szkolenia.

Kupuje mapy, spodnie, buty turystyczne i wysyła pocztówkę do Marjorie.

Jedząc lunch w pubie, przegląda mapy i widzi, że z wioski można chodzić bardzo długi spacer brzegiem morza.

Wraca do hotelu.

Właścicielka spogląda z zaintrygowaniem na nową, praktyczną odzież.

Kate ulega chwilowemu rozdrażnieniu.

Powinna już przyzwyczać się do takiej reakcji, ale nie lubi, gdy ludzie oceniają ją według wyglądu.

Słońce stoi wysoko na czystym błękitnym niebie, a przed nią ciągnie się jasna, pusta plaża.

Ten blask ją oślepia.

Czuje się jak dziecko u progu wielkiej przygody, w pierwszy dzień wakacji, przekonane, że otwierają się przed nią niezliczone możliwości.

Zdejmuje buty i biegnie po jasnym piasku.

Jedno życie się skończyło, następne jeszcze nie zaczęło.

Ona trwa w zawieszaniu.

Z kępy nadmorskich traw, zajej plecami, dobiega głos skowronków - śpiewają i wzlatają, śpiewają i wzlatają.

Woddali widzi małełodzierybackie ciągnące sieci.

Mewy krążą z krzykiem wysoko naniebie.

Katekładzie się na plecach na piasku i poddajemasażowi popołudniowego ciepła.

Ku własnemu zdziwieniu zanosi się bezgłośnym płaczem.

Doznaje uczucia ulgi,coś sięw niej uwalnia niczysmprężyna.

Żałuje,że nie przyjechała tu dużo wcześniej.

Zenie mogła tak płakać przy Dorze.

Czy płacz pohamowałby wściekłość umierającej Dory?

Czystłumiłby jej własnygniew z powodu oczekiwania, których w żadnym wypadkunie mogła spełnić?

Gwałtownie siada.

Niesłuszne oczekiwania nie studząmiłości i nadziei; w dorosłym człowieku zawsze tkwidziecko, które pragnie się przypodobać.

Dopiero śmierćczłowieka kładzie kres nadziejom na zdobycie jego uznania i bezkrytycznej miłości: nie ma już żadnych szans,pozostaje tylko żal i smutek.

Siedzi wchłonięta przez tę rozległą plażę i wie, że musiruszyć wdalszą drogę.

Śmierć Dory niszczy jąod środka.

W wiekudwudziestu dziewięciu lat nie ma dzieci, niemapartnera,nie ma rodziny, tylko Marjorie, no i Luke'a, którego nigdy nie widuje.

Co robi ze swoim życiem?

Czego oczekuje?

Nie potrafiodpowiedzieć na te pytania.

Wietylko, że przebywanietutajjest sensowniejsze niż powrót do Londynu, gdziekażdego dnia miała świadomość, jak płytkie jestjej życiepo powrociez Indii.

Przez miesiąc zarabiała tyle, ilejejjnajomi zarobiliby przez rok - co za absurd.

Nie było dlakogo pracować.

A dobra materialne nigdy jej nie interesowały.

132

W Indiach nie miała czasu na rozmyślania o własnymżyciu czy stosunkach z Dorą.

Jak to możliwe, że ma poczucie straty pośmierci matki, z którą nigdy nie potrafiłasię porozumieć, której nieustannie sprawiała zawód?

Katedrzy na wspomnienie tego okropnegoczuwaniaprzy umierającej Dorze, tej udreki spowodowanej niemożnością pocieszenia czy wsparcia, gdyż oczy matki byłynieustannie utkwione w drzwiach hospicjum, za plecamiKate.

Matka czekała na Luke'a, całą swą energię skupiała na tym, by przywołać do siebie ukochanego syna.

Gdy Kate uświadomiła sobie, żejej obecnośćniewieleznaczy dla matki, nawet u kresużycia, zachwiał się jejświat.

Nadzieja, której wytrwale się trzymała, umarła razem z matką.

A przecież tak bardzo starałasię robić to, conależy,być tam, gdzienależy, gdzie jest potrzebna.

Chciała, bypadły ostateczne słowapojednania, by doceniłysię nawzajem, nawet jeśli niemogły się kochać.

Jesteś moją matką.

Ja jestem twoją córką.

W obliczuśmierciwyzbijmy się wzajemnej wazy.

Ale wycieńczone ciało matki ijej uporczywe myśli koncentrowały się jedynie na tym, by przywołać syna, by pozostać przyżyciu, dopóki się nie pojawi.

Nie warto było poświęcać czasu i energii dla Kate, która w oczach matki nigdy nie dokonała niczego istotnego.

Nie interesowała się pieniędzmi, nie miała ambicji i nie urodziła jej wnuków.

Zarabiała grosze, włączając się do poświęceń i pracując dla jakichś dziwnych organizacji niosących pomoc humanitarną.

Nie było wzruszającego pojednania na koniec, nie było grand finale.

Luke, który ściągnął Kate z końca świata, nie czuł przy umierającej matce.

Prysnął z powrotem do Francji, twierdząc, że właśnie prowadzi rozstrzygające negocjacje w interesach.

Choć Kate błagała go przez telefon, żeby

przyjechał, nie zdążył na czas.

Dora umarła, czekając na niego, nie odrywając wzroku od drzwi, przekonana, że zaraz usłyszy jego głos: "Gdzie jest ta najpiękniejsza kobieta na świecie?"

". - I wtedy serce Dory Oppenheimer by się otworzyło.

Kate znów doznaje bólu, jakim była przygnębiająca śmierć i zmarnowane, pozbawione radości życie jej matki.

Ma poczucie, że trwa w zawieszeniu, balansując na krawędzi własnego istnienia.

Wie jednak, że musi iść dalej.

Powzięła decyzję i jej nie zmieniła.

Pokierowała swoim życiem tak, jak chciała, niezależnie od oczekiwań matki.

Teraz musi tylko uwolnić się od wspomnień.

Co takiego powiedziała Marjorie przed wyjazdem?

Kate, nie pozwól, żeby towarzyszyli ci Dory.

Kate znów spoglądana bezmiar niebieskiego morza.

Dostrzega młodą dziewczynę, która poprzedniego dnia spacerowała z psem.

Na widok Kate Lucy macha ręką.

- Ty pewnie jesteś Kate.

- A ty pewnie jesteś Lucy.

- Cześć.

Wyglądałaś na osobę zatopioną w myślach.

Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - śmieje się Kate, odpowiadając na spojrzenie Lucy.

- Towszystko - zatacza łuk ręką - sprzyja refleksjom.

Siedziałam tu i rozmyślałam o matkach.

Moja niedawno umarła.

Nieustannie sprawiałam jej zawód.

Lucy siada na piasku koło Kate.

- Totak jak ja!

- prycha.

- Jestem największym rozczarowaniem w historii tego świata.

Moja matka jest gwiazdą wśród adwokatów - strasznie mądra i niezwykle atrakcyjna, jak na swój wiek.

Miała mniema karku i ciągle była niezadowolona.

- Chyba żartujesz!

Marzę o tym, żeby być taka smukła i wiotka jak ty, tak łatwo się opalać.

134

Na twarzy Lucy maluje się zadowolenie.

- Mój ojciec był Włochem.

przynajmniej takie chodzą

słuchy!

Dziewczyny uśmiechają się szeroko i idą razem plażą,

kierując się w stronę domu.

- Zostaniesz tu dłużej?

- pyta Lucy.

- Słyszałam, że

jesteś w agencji tylko na próbę.

- Jeśli będę mogła, to zostanę.

- Widzisz, ja muszę stąd wyjechać.

Nie ma tu dla mnie dobrej pracy.

Bardzo się martwię, jak Barnaby poradzi sobie z parafią, z Marthą i Fredem.

Mieszkałam tu tyle czasu, choć przerwami.

Wolałabym stąd nie wyjeżdżać.

- Posłuchaj, Lucy.

Powiadomiłam agencję, że chcę opiekować się twoimi dziadkami.

Nie wiem, jak długo, ale.

- Przynajmniej przez jakiś czas.

- Tak.

- Co za ulga!

Barnaby mówił, że babunia i dziadunio

polubili cię od pierwszej chwili.

Do tej pory mieli tylko starą panią B.

i bardzo młode dziewczyny.

- Musisz zająć się własnym życiem, Lucy.

- Moje życie jest tu - odpowiada Lucy, wzruszając ramionami.

- Nigdy bym stąd niewyjechała, gdyby nie Tristan.

- To twój chłopak?

- Tak.

- Jesteś rozdarta wewnątrz, prawda?

- Kompletnie.

Wiem, że muszę stąd wyjechać, pracować w zawodzie, zarabiać pieniądze.

"Dorosnąć", jak mawia Anna, moja matka - ale.

- Ale tu jest bezpiecznie - wtrąca z uśmiechem Kate, czując coraz większą sympatię do Lucy.

Lucy siękrzywi.

- Jesteś psychologiem czyco?

135.

- W rzeczy samej.

Obie parszają śmiechem.

Lucy jest jednak trochę zaskoczona.

- Dlaczego wykonujesz pracę, która nie daje żadnych perspektyw?

Jestem pewna, że długo w agencji nie wytrzymasz.

Przez tych ludzi zaczniesz zaglądać do kieliszka.

- Posłuchaj, Lucy.

Nie lubię podlegać obowiązkom.

Nie lubię państwowych posad.

Ale nigdy nie podejmuję pracy, która nie daje żadnych perspektyw.

Lucy wie, że została skarcona.

- Przepraszam.

Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

- Jasne.

Opowiedz mi o swoich dziadkach.

Twarz Lucy się zmienia.

Dziewczyna odwraca głowę po chwili mówi:

- Pewno już wiesz, że babunia pochodzi z Polski.

Kiedy byłam mała, dochodziło do śmiesznych sytuacji, ponieważ wydawało jej się, że mówi doskonale po angielsku.

Gdy ludzie pytali ją, skąd pochodzi, nie mogła zrozumieć, dlaczego chcą to wiedzieć.

Dziadkowie są najwspanialszymi ludźmi pod słońcem.

Spędziłam z nimi dużą część życia.

- Spogląda na Kate.

- Ciężko jest patrzeć, jak

słabną coraz bardziej.

Starość jest cholernie przykra.

Dochodzono schodków i wspinają się ścieżką prowadzącą do kościoła.

- Dziadunio był lekarzem rodzinnym, bardzo dobrym lekarzem w dawnym stylu, takim, który jeszcze odwiedza swoich pacjentów.

Ciężko pracował i późno przeszedł na emeryturę, ponieważ pacjenci wpadali w histerię za każdym razem, gdy mówił, że "trzeba przekazać pałeczkę".

No a potem ta historia z babunią.

Okropność.

Chyba zdołała ukrywać to tak długo dlatego, że jest trochę oderwana od rzeczywistości - jak ja - tylko dziaduniocostwo podejrzewał.

136

- Nie wiem, czy to cię pocieszy - mówi Kate - ale dawno niewidziałam tak szczęśliwego domu jak wasz.

Uważam, że ty i twój wuj spisujecie się doskonale.

A w twoich dziadkach zakochałam się od pierwszego wejrzenia.

- Naprawdę?

- Twarz Lucy promienieje.

- Skoro tak, toz wzajemnością.

Dziadkowie są zachwyceni, gdy do nich przychodzisz.

Biedna pani Biddulph zachowuje się niemal jak pies pasterski: jest uczynna, ale koniecznie chce zagonić ich w jedno miejsce i mieć stale na oku.

Dziewczyny zanoszą się śmiechem.

Gdy są przy furtce małego domku, Lucy mówi z zakłopotaniem:

- Chętnie zaprosiłabym cię do środka, ale muszę pomóc Barnaby'emu przy kolacji.

Wieczorysa dość wyczerpujące.

Odpowiada ci towegetariańskie lokum?

- Jest w porządku, choć trochędziwaczne.

-Jesteś wegetarianką?

- Nie.

Wybrałam ten hotel ze względu na jego położenie,a pieczoną soczewicęda się znieść - przez pewien czas.

Lucy uśmiechasię szeroko.

- Będziesz u nasjutro?

-Z samego rana.

- Świetnie.

Powiem Barnesowi, że to ty masz dyżur.

Dobranoc.

- Dobranoc, Lucy.

Kate idzie wolnym krokiem do hotelu.

Na ulicy nie malatarni, a pod koronami drzew mrokwydaje się jeszczeciemniejszy.

Kate myśli oLucy: ta dziewczyna ma w sobiejakąś wzruszającąniewinność -jest otwarta, nieskrępowana.

Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, że ona i Barnaby sąwyjątkowi, bo takchętnie oddają się tym, których kochają.

Kate odwraca głowę.

Patrząc na ten spłowiałydom, mawrażenie, że przenosi się w dawne czasy.

Jest pokrzepiona widokiem oświetlonych okien prześwitujących przez

137.

gęsty żywopłot.

Wyobraża sobie, że przez dziesiątki lat nie naruszyło rytmu życia tych ludzi, dopiero teraz dopadła ich okrutna starość i wszystko zmieniła.

Więź łącząca tych ludzi jest nierozdzielna i równie niepodważalna jak duma, którą czerpią z siebie nawzajem.

Znad rozlewiska dobiega świergot morskich ptaków, łagodny pogłos, melancholijny, smutny dźwięk, który nagle uświadamia Kate jej samotność.

Rozdział osiemnasty

Doktor Saurer bierze Martę za rękę.

Patrzą, jak z boksów są
wyprowadzane konie.

- Już poznałaś Tylicza, mojego największego konia, więc nie
ma powodu, żebyś się go bała.

Marta ma niepewną minę.

Patrząc poziomo wybrukowanego podwórza, wydaje się, że Tylicz jest wielki jak góra.

Doktor Saurer wskakuje zamaszyście na konia, a stajenny zbliża się do Marty, żeby ją
podnieść i posadzić na siodle przed doktorem.

Serce wali jej jak młotem.

Ma wątpliwości, czy przyjemnie będzie znaleźć się tak wysoko nad ziemią.

Spogląda na chłopca, który siedzi na swoim koniu i patrzy, czy Marta okaże strach.

Nie będę się bała, myśli Marta.

Niedam po sobie poznać, że się boję.

Stajenny sadza Martę przed doktorem Saurerem, który przytrzymuje ją obu stron ramionami
i ujmując wodze.

Marta nie podejrzewa, by mogła spaść z konia, ale woli nie patrzeć w dół.

Chwyta obiema dłońmi grzywę Tylicza.

Czuje, jak jego skóra

faluje pod palcami.

- Pojedziemy wolno alejką, a potem kawałek lasem, żebyś poczuła rytm końskich ruchów.

Tylko dziesięć minut, nie

więcej.

Z początku Marta nie potrafi się rozluźnić, siedzi sztywno i trzyma się kurczowo szorstkiej
grzywy.

Napięcie stopniowo

139.

mija, gdy konie idą pod zwieszającymi się gałęziami.

Czuje podsobą senne ruchy zwierzęcia i słyszy, jak kopyta plaskają namokrych liściach.

Tylicz nie zerwie się nagle do biegu, unosząc nagrzbiecie.

Ona, Marta, nie spadnie na ziemię.

Rozgląda się wkoło.

Widok z taką wysokością jest zupełnie inny.

Można wyciągnąć rękę i dotknąć gałęzi, z których spadną im nagłowygęste, zimne krople.

Gdy schodzą z alejki, widzą dolinę z małymi domkami, obłoczkami i smużkami dymu unoszącymi się z kominów.

Gdy są na szczycie pagórka, doktor Saurer ściąga wodze.

Chłopiec mija ich klusem, odwracając się, żeby sprawdzić, czy Marta patrzy na niego, a potem unosi pejcz i mknie jak wiatr.

Galopując pod drzewami, znika w mgiełce wodnej, tylko ziemiadrzy pod uderzeniami kopyt.

Marta z zapartym tchem wpatruje się w miejsce, gdzie chłopiec zniknął jej z oczu.

Tylicz przebiera nogami, potrząsa łbem, a ona popiskuje ze strachu, że koń pogalopuje za chłopcem, unosząc ją na swym grzbiecie.

Doktor Saurer przemawia do konia cichym, łagodnym głosem, jak do małego dziecka.

- Spokojnie.

spokojnie.

jeszcze nie.

poczekaj.

Słychać tętent galopującego konia - coraz bliżej.

Koń i jeździec wyłaniają się z pagórka i pędzą w ich stronę.

Chłopiec ciągnąc ugle i zatrzymuje się tuż przed Tyliczem, który niecierpliwie potrząsa łbem.

Chłopiec ma wypiekinatwarzy, spocony koń prychnął, a Marta, wyczuwając podekscytowanie chłopca, myśli: też chcę to zrobić.

chcę tak jeździć.

Doktor Saurer zsiada z konia i stawia Martę na ziemię.

Wskazuje na siodło, a wielki Tylicz natychmiast zaczyna przebierać nogami i otrząsać się, jakby tańczył, po czym zrywa się do galopu, dudniąc kopytami.

Pozostaje po nim tylko woń.

Marta nie może się nadziwić, że jeszcze sekundę temu miała ich przed oczami.

140

- Wciąż się boisz?

Masz dalej ochotę się uczyć?

- pyta ze śmiechem chłopiec.

Marta nie odrywa wzroku od miejsca, gdzie zniknęli.

Wkrótce słyszy parskanie konia.

Rumak i jeździec tańczą na grzbiecie pagórka, na tle słońca; wydaje się, jakby pływali w złocie.

Marta czuje każdą cząstką swego ciała, że musi jeździć konno.

Musi nauczyć się lecieć pod drzewami i przez pola, daleko, daleko, gdzie nikt jej nie dogoni.

Tak jak ci dwaj.

Dopiero wtedy będzie wolna.

Tylko ona i koń, pokonujący galopem przestrzeń.

By zniknąć za pagórkiem i wtopić się w blask słońca.

Rozdział dziewiętnasty

Wyjazd do Londynu nie nastęczał trudności.

Powiedział Scheffellowi, że samznajdzie sobie mieszkanie.

Chciał zatrzymać się w hotelu położonym niedaleko szpitala akademickiego i korporacji adwokackiej Lincoln'sInn.

Miał wygłosić w ciągu dwóch tygodni cykl czterechwykładów.

Niezbyt wyczerpującapraca.

Przylatuje do Londynu dzień wcześniej.

Zamierza postępować jak turysta.

W Angliibędzie robił towszystko, czego nie robił już od lat.

Poprosił Hansa o wynajęcie samochodu.

Był rozdrażniony, gdy okazało się, że to mercedes, niemal taki sam, jakim jeździ u siebie.

Wolałbymniejszy wóz, który łatwiejzaparkować.

Pierwszego rankawstaje o świcie, studiuje plan Londynu i jedzie na drugi koniec miasta.

O tej porze ruch jestniewielki.

Parkuje samochódi idzie szeroką, wysadzanądrzewami ulicą, przyktórej mieszka Anna Gerstein.

Przygląda się wysokim szeregowcompo drugiej stronieulicy.

W podłużnychoknach jej domu nie widać żadnegoruchu.

Zasłony na dole nie sązaciągnięte.

Wszystkie domy przytej ulicy są eleganckie, drogie i zadbane.

Wraca do samochodu, wsiada i obserwuje jaśniejącenad miastem niebo.

Nie spodziewa się, że ją zobaczy - aniteż tego nie chce.

Byłtylko ciekaw, gdzie mieszka.

142

Odjeżdża, zanim obudzą się mieszkańcy, i odstawiamercedesa nahotelowy parking.

Dopóki nie pozna Londynu, nie zamierzakorzystać z samochodu w godzinachszczytu.

Chce jednak miećpoczucie, że może się swobodnie poruszać.

Po śniadaniuspaceruje po Hyde Parku ibrzeziem Tamizy.

Przed lunchem odwiedza Muzeum Wojska, a po południu Muzeum Wiktorii i Alberta.

Wieczorem idzie doteatru i wtapia sięw tłum niemieckich, amerykańskich, japońskich i francuskich turystów.

Są tu ludzie z całegoświata.

Niczym nie różni się od innych.

Do jego uszu dochodzą rasistowskie uwagi, wypowiedane półgębkiemprzez londyńczyków.

Bawi go ta hipokryzja, właściwa Anglikom - narodowi, który nigdy by się nie przyznał dotakich skłonności, który zrzuca bomby na kraje dokonujące czystek etnicznych.

Następnego dnia, o wpół do dziesiątej, przyjeżdża poniegosamochód.

Już zdążył zapomnieć, ile satysfakcji może dawać nauczanie.

Dzielenie się swym doświadczeniem zawodowym zbystrymi, żądnymi wiedzy studentami wciąż sprawia mu, o dziwo, przyjemność.

Pod koniecwykładu chętnie odpowiada na trudne i inteligentne pytania, przekraczając wyznaczony na to czas.

Je lunch w towarzystwie swego angielskiego gospodarza i kilkustarannie wybranych studentów.

W rozmowieporuszają zagadnienie bliskie jego sercu.

Chodzi o tempopowrotu do zdrowia pacjentów, ofiar wypadków samochodowych, które ulegają paraliżowi w wyniku niefachowej pomocy pełnych najlepszych intencji świadków przedprzybyciem sanitariuszy.

Następnego dnia budzi się zmęczony, ale nie brak mu chęci dodziałania.

Po późnym śniadaniu zamawia taksówkę i jedzie do Lincoln's Inn.

Gmach sądu wygląda

okazale niczym katedra.

Jak widać na planie miasta, odległość dzielącą pokoje adwokatów od siedziby sądu można pokonać pieszo.

Przemierzawolnym krokiem Strand, podziwiając architekturę.

Pokoje adwokatów mają wysokie okna i mieszczą się w imponujących budynkach z szarego kamienia lub starej czerwonej cegły.

Skupiają się wokół dziedzińców wąskich pasaży.

Nad drzwiami frontowymi wiszą solidne tabliczki z nazwami zespołów adwokackich.

Za ogrodzeniem jest trawiasty i zadrzewiony teren, który przypomina mały, prywatny park.

Tu ówdzie stoją w grupach adwokaci z tytułem radcy królewskiego i radcy prawni, prowadzą rozmowy, żartują.

Przygląda się, zafascynowany.

Niespodziewanie dostrzega tę kobietę: wynurza się dziedzińca i rusza schodami w stronę Strandu, Idzie pochylona, jest zajęta rozmową z kolegą.

W rękach trzyma plik papierów przewiązanych różową wstążką.

Biała apaszka powiewana wietrze.

Kobieta spieszy się, za nią podąża grupka ludzi.

Nie spodziewał się, że zobaczy ją poza salą sądową.

Ogarnia go dziwne, przyprawiające o mdłości podniecenie.

Odwracając się idzie z powrotem na dziedzińiec.

Obawa, że będzie zwracał na siebie uwagę, była nieuzasadniona: taksówki suną nieprzerwanym strumieniem, chodniki roją się od ludzi robiących zakupy, zaferowanych prawników i ich pomocników, którzy nieustannie krążą między kancelariami a sądem.

Większość z nich trzyma w rękach pliki papierów przewiązanych różową wstążką.

Nim ochrona przepuszcza go do gmachu sądu, kobieta znika.

Jest całkowicie zaskoczony okazałością i pięknem wnętrza.

Staje i obserwuje tłum ludzi: jedni czytają wykazy rozpraw, zawieszane na ciemnej boazerii, inni rozmawiają z adwokatami w holu, po którym niesie się głuchy pogłos.

144

Ma półtorej godziny do jej rozprawy.

Przysiadła na ławce, obserwując ludzi, ale po chwili wstaje z niecierpliwionymi krąży w tłumie.

Wchodzi po kamiennych schodach na górę, gdzie ciągną się długie korytarze z drzwiami, które prowadzą do sal sądowych - mniejszych, niż przypuszczał.

Kilka razy dostrzega w przelocie jej sylwetkę: znika zadrzwiami, z pochyloną głową siedzi na ławce, pogrążona w poważnej rozmowie, staje przy otwartym oknie, by zaczerpnąć świeżego powietrza, w pośpiechu pijawkę z plastikowego kubka.

W końcu pojawia się woźny sądowy, kobieta w średnim wieku, z kartką papieru przyklejoną klipssem do podkładki, i woła: "Armed przeciwko Millerowi.

Sala numer li".

Wraz z tłumem ludzi, wśród których jest wielu Azjatów, wchodzi do małego pomieszczenia wyłożonego boazerią.

Anna Gerstein, radca królewski, występuje jako oskarżyciel.

Sprawa ma charakter gospodarczy.

Z raportu Hansa wynika, że kobieta specjalizuje się w oszustwach gospodarczych, przestępstwach zwinionych na skutek zaniedbań i szkodach fizycznych.

Ponieważ doskonale zna niemiecki, występuje również jako konsultant w sprawach międzynarodowych, dotyczących przestępstw gospodarczych.

Oskarżonym jest mieszkaniec północnej Anglii, nieokrzesany, choć elokwentny człowiek, który zatrudniał bardzo młode analfabетки z Azji, głównie z Indii, w swojej fabryce w Hull.

Większość tych kobiet przybyła do Wielkiej Brytanii nielegalnie.

Na skutek wadliwego działania maszyny doszło do wypadku i jedna z dziewcząt straciła rękę.

Oskarżony i jego towarzystwo ubezpieczeniowe odmówili wypłaty odszkodowania, ponieważ dziewczyna nosiła sari, a kazano jej ubierać się na sposób zachodni. Poszkodowaną i jej rodziców "przekonano", by nie wnosili pozwu.

145.

Gdy pracownicy Urzędu do Spraw Bezpieczeństwa i Higieny Pracy wraz z policją wszczęli dochodzenie, stwierdzili, że maszyny pracują nieprawidłowo, a warunki pracy stanowią pogwałcenie wszelkich zasad: znaleźli też dowody handlu żywym towarem. Oskarżonemu przedstawiono również zarzut fałszowania ksiąg rachunkowych, uchylanie się od płacenia podatku i zaniedbania.

Młoda Azjatka nie była pierwszą osobą, która doznała obrażeń.

Ona i wielu jej podobnych stanowili "niewidzialną" niewolniczą siłą roboczą.

Sprawa wydaje się jasna i oczywista.

Słucha z przejęciem, jak Anna Gerstein zwodzi oskarżonego, by uspić jego czujność.

W dzisiejszych czasach ciężko jest zapewnić napływ siły roboczej?

Mając tyle przedsiębiorstw, trudno chyba wiedzieć, co się dzieje w każdym z nich?

Rozpoczyna przesłuchanie spokojnym tonem.

Oskarżony zdaje sobie zapewne sprawę, że te pytania do czegoś prowadzą, ale jego umysł pracuje o wiele wolniej niż jej.

Zdecydowanie chce obarczyć winą swego hinduskiego kierownika.

Nie słucha uważnie pytań.

Niemal mimochodem Anna Gerstein wyciąga od niego oświadczenia będące przejawem rasizmu, antypatii do kobiet i chciwości.

Obrońca też jest bystrym, zdolnym prawnikiem, wynajętym ze względu na jego cięty język, co skutecznie wykorzystuje podczas przesłuchania przerażonych dziewcząt z Azji.

Prawnicy obu stron raz po raz wnoszą sprzeciw.

Podrywają się z miejsc i po chwili siadają.

Odwołują się do sędziego, podważając metody stosowane przez stronę przeciwną przy przesłuchiowaniu świadków.

Sędzia wydaje się zauroczony postępowaniem adwokackim.

Patrzy na nią z sympatią, nawet gdy podtrzymuje sprzeciw obrony.

Przysłuchujesz się rozprawie rozbawiony i zafascynowany.

To tylko teatr, choć zależy od niego życie ludzkie.

146

Ujawnianie są kolejne aspekty, które zdecydowanie świadczą na niekorzyść oskarżonego.

Anna Gerstein porusza z pozoru nieistotne kwestie i przypiera go do muru.

Coraz nieustępliwie, z zjadłością teriera.

Wobec przestraszonych świadków, niemal jeszcze dzieci, jest łagodna, często zwraca się do tłumacza, żeby dodać im otuchy.

Przed przerwą na lunch sędzia przypomina, że mimo zebranych dowodów należy "udowodnić ponad wszelką wątpliwość", iż oskarżony wiedział, co się dzieje w tej konkretnej fabryce, kierowanej przez człowieka, który był żywo i zainteresowany w ściąganiu nielegalnych imigrantów do tego kraju.

Czy sędziemu chodziło o to, iż nie wystarczy wiedzieć, że człowiek popełnił zarzucane mu czyny?

Że należy je jeszcze udowodnić?

Po ogłoszeniu przerwy na lunch opuszcza gmach.

Świeci słońce.

Ludzie siedzą na schodach, oparci o ścianę, palą papierosy lub jedzą kanapki.

Anna Gerstein wychodzi z budynku wraz ze współpracownikami i na chwilę zatrzymuje się całkiem blisko.

Z trudem opanowuje chęć, by do niej podejść.

Tamci odbywają krótką naradę, wymieniają się notatkami, a potem kobieta energicznym krokiem przemierza dziedziniec, kierując się w stronę pokoju adwokackiego, i znika.

Idzie kupić butelkę wody mineralnej i kanapkę.

Pół godziny później kobieta znowu się pojawia.

Podchodzi dotaksówki, pochyla się szybko wydaje polecenia.
Odwraca się i w pośpiechu zmierza do gmachu sądu, a za nią podążają jej współpracownicy,
wszyscy w powiewających czarnych togach.

Wchodzi do holu sądu i siada obok ludzi czekających na wznowienie rozprawy.
Ktoś stracił, jak się zdaje,

147.

świadka.

Woźni biegną zaaferowani tam i z powrotem, rozmawiają przez telefony komórkowe.

Wreszcie niski, przestraszony mężczyzna w lśniącym garniturze zostaje wciągnięty po schodach na górę, gdzie spotyka Annę Gerstein, gdy ta wychodzi z poczekalni.

Prawniczka unosi do góry ręce z ulgą i mężczyzna znika w sali.

Sąd wznawia posiedzenie.

Wystraszony mężczyzna w lśniącym garniturze jest nakłaniany do złożenia zeznań.

Trwa to dość długo.

Następnie zostaje odsłuchana kasetka, na której nagrano rozmowę tego człowieka z właścicielem fabryki.

Zapada cisza.

Obrona się wycofuje.

Oskarżony zostaje uznany winnym.

Będzie wszczęte przeciwko niemu postępowanie przed sądem karnym w Londynie.

Zarzuca mu się doprowadzenie do śmierci i poważnych uszkodzeń ciała przynajmniej czterech Azjatów.

Nie ulega wątpliwości, że oskarżyciel zmierzał do rozszerzenia listy zarzutów w oparciu o zeznanie jednego świadka.

Anna Gerstein zbiera swoje papiery, uśmiecha się do kolegi, który wystąpił jako obrońca, i razem wychodzą z sali sądowej.

A zatem to jest treść jej pracowitego życia.

Idzie na kawę.

O wpół do szóstej gmach sądu pustoszeje.

Przechodzi przez dziedziniec, gdzie zobaczył ją tego ranka.

Zbliża się wieczór, a on wciąż nie ma ochoty się odejść.

Stoi w mroku i patrzy na ludzi, którzy skończyli pracę i wracają do domów.

W jednym z okien pali się nagle światło.

Jest przekonany, że kobieta wciąż siedzi w swoim pokoju.

Co skłania ją do tak ciężkiej pracy?

Z raportu dostarczonego przez Hansa i opisującego szczegółowo jej życie zawodowe wynika, że pozostaje jej niewiele czasu na cokolwiek innego.

Zna odpowiedź na swoje pytanie.

Zna tę siłę, niepokonaną ambicję i ekscytację, które pchają człowieka do przodu.

Nie wystarczy być dobrym.

148

Trzeba być najlepszym.

Dostrzegaw tej kobiecie determinację, która pozwala dotrzeć na sam szczyt kariery.

Pod koniec tego długiego dnia odczuwa dziwny smutek i pustkę.

Wrażenie swojskości, jakiego doświadczył w akademii medycznej, wciąż mu towarzyszy, ale w tym otoczeniu, w Anglii.

Co, u licha, ma nadzieję jeszcze odnaleźć, będąc uprzą starości?

Idzie złapać taksówkę, zostawiając za sobą to świecące w mroku okno, które jarzy się jak lampka na pustym dziedzińcu.

Rozdział dwudziesty

Jest niedziela.

Lucy pakuje swoje rzeczy, trochę poirytowana, że przy tak ładnej pogodzie nie może pójść napłażę albo położyć się z walkmanem w ogrodzie.

Wykluczone, by zdołała zabrać tyle pudeł do Londynu, a stos rzeczy, które ma zanieść na strych, tylko się powiększa.

Nie mogła się przemóc, żeby znowu tam wejść.

Jeszcze powiedziała Barnaby'emu o swoim odkryciu.

Nie wie,

co robić.

Nad ulicą unoszą się dźwięki muzyki organowej z kościoła.

W powietrzu czuć nadchodzące lato.

O tej porze roku najtrudniej stąd wyjeżdżać, ale gdyby została, byłoby to nie w porządku wobec Tristana.

Postanowili wziąć ślub po jego powrocie z Kosowa.

wrocie z Kosowa.

Obojciec są z tego planu, więc teraz Lucy musi zarobić jakieś przyzwoite pieniądze.

Słyszy głos Barnaby'ego, który stoi przy furtce prowadzącej do kościoła i żegna się z dwiema starszymi paniami.

Lucy wychyla się z okna i macha do niego dużym kuflem piwa, czym zaskakuje staruszki.

- Już ci nałamałam ginu, Barnes, zimnym tonikiem, mnóstwem lodu i plasterkiem cytryny.

Pospiesz się, jeśli chcesz wykończyć butelkę przed lunchem.

Barnaby marszczy brwi z niezadowoleniem, lecz staruszki tylko uśmiechają się pobłażliwie.

150

- Młoda damo, jeśli chcesz zawstydzić swego wujaw naszej obecności, musisz się bardziej postarać.

- A ja, moja droga Lucy Tremain z domu Pedrazzini, nie omieszkam dać ci w pupę.

Przypomnij sobie, jak dostawałaś ode mnie klapsa, gdy byłaś trochę młodsza.

Lucy uśmiecha się szeroko do emerytowanej naczelniczki poczty.

- Ależ, pani Pasco, terazby panią za to aresztowano.

- Zapewne, ale świetnie byłoby przez to lepszy - przychajronicznie pani Pasco.

- Do widzenia, księżepastorze.

Do

widzenia, pyskata panno.

Gdy Barnaby staje w drzwiach, Lucy pyta:

- Czy mogłabym przechować część moich rzeczy na strychu?

Tyle się tego uzbierało.

Nie zdołam zabrać wszystkiego ze sobą, a skoro domek ma być wynajęty, trzeba to gdzieś schować.

- Jeśli jest tam miejsce, nic nie stoi na przeszkodzie.

- Jest mnóstwo miejsca, Barnes.

Kiedy ostatnio byłeś

na strychu?

- Od lat tam nie zaglądałem.

Fred przesiadywał na

strychu godzinami, pakując stare papierzyska, rachunki, niepotrzebne dokumenty lekarskie.

Dbał, żeby było tam sucho.

Twoje rzeczy będą bezpieczne.

mnie niepozwalano wchodzić na strych, bo mogłaby odwalić się podłoga.

Jeśli masz ciężkie paczki, w wolnej chwili pomogę ci wnieść je na górę.

Barnaby spogląda na zegarek.

- Jesteś gotowa, Lucy?

Muszę zwolnić panią Biddulph.

Dziś rano dałam do zrozumienia, że musieliją błagać, żeby przyszła tu w drugą niedzielę z rzędu.

- Pani B.

uwielbia, gdy się ją błaga.

Tak, jestem gotowa.

Posłuchaj, Barnaby, któregoś dnia zajrzałam na

strych i.

151.

- Potem mi powiesz, Lucy.

Bądź za pięć minut przysamochodzie.

- Dobrze, dobrze.

Lucy dochodzi do wniosku, że nigdy nie nadejdzie odpowiednia chwila, by porozmawiać z Barnabym.

Zabierają Marthę i Freda do restauracji na niedzielny lunch.

Będzie to wymagało od nich samozaparć i cierpliwości, ale dziadkowie uwielbiają takie wyprawy. Wieluokolicznych mieszkańców leczyło się u Freda, a Martha przez dużą część swojego życia zapraszała ich na popołudniową herbatkę, wysłuchiwała zwierzeń i proponowała konkretną pomoc. Mieszkańcy wioski wspominają ich obojętnie, witają wylewnie, nawet jeśli dziadkowie nie mają pojęcia, kim jest ich rozmówca.

Po południu Fred przygląda się z uśmiechem śpiącej Marcie.

Zawsze uwielbiała niedzielne obiady.

Były dla niej rodzinnym świętem, uczczeniem przyjazdu Anny i Barnaby'ego na ferie.

Rozbawiony obserwował, jak zwoziła do domu ogromne zakupy, a w niedzielny poranek przez długie godziny szykowała pudding Yorkshire do pieczonej wołowiny.

Nawet gdy dzieci wyprowadziły się z domu, lubiła przygotowywać dla niego niedzielny lunch.

Kiedyś Barnaby powiedział ze śmiechem: "Według mamy niedzielny lunch należy pisać przez duże N i L."

W przeciwnym razie grożą poważne konsekwencje".

Tradycja wygasła, gdy Martha nie mogła już prowadzić samochodu.

Fred sadowi się w oranżerii i nagle przypomina sobie dzień, gdy Martha po raz ostatni siedziała za kierownicą.

Poszedł do furtyki i wyrzwał na ulicę, żeby zobaczyć, czy nie nadjeżdża.

Był zaniepokojony, że tak długo jej niema.

Zdawał sobie sprawę, że jakoś będzie musiał jej po 152

wiedzieć, żeby zrezygnowała z poruszania się samochodem.

Ale Martha bardzo sobie ceniła niezależność, jak dawno te przejażdżki.

Z przykrością myślała o tym, że będzie musiał całkowicie ograniczyć jej swobodę.

Nie był pewny, czy Barnaby, który niedawno wrócił z urlopu po tych okropnych wydarzeniach w Irlandii Północnej, zdaje sobie sprawę, że z wolna, choć nieubłaganie pogarsza się stan umysłowy jego matki: nagle traci pamięć, zapomina o codziennych czynnościach, nie potrafi przypomnieć sobie imion dobrze znanych osób.

Przez lata nauczyła się tuszować swoje pomyłki w kontaktach towarzyskich, ale teraz zwykle przedmioty, znak drogowy, znak stopu czy ronda stały się dla niej prawdziwymi pułapkami.

Już sam proces starzenia się przypomina wkraczanie na pole minowe, niezależnie od pierwszych budzących przerażenie symptomów choroby Alzheimera.

A nato, zdaniem Freda, niewątpliwie zapadła Martha.

Gdy tamtego dnia stała na ulicy i z niepokojem wyglądała, w pewnej chwili pojawił się jadący niepewnie, mały niebieski peugeot.

Fred był zaskoczony siłą uczuć, którego wtedy ogarnęły: ulgi i przejmującego smutku.

Życie jest cholernie niesprawiedliwe.

Martha dość już wycierpiała, by na starość gubić się w kolejnym przerażającym krajobrazie.

Przez całe życie dbał o to, żeby była zdrowa, żeby nie zakłócała jej poczucia bezpieczeństwa czy szczęścia.

A teraz był całkowicie bezsilny, Martha zaś bezbronna.

Stojąc przy furcie przed domem, gdzie upływały im dni, Fred chciał wyć z rozpacz.

Martha podjechała pod furtkę, nie próbując skrócić napodjazd, i z wysiłkiem uśmiechnęła się do Freda.

Była blada, roztrzęsiona, przerażona.

Podszedł do samochodu jej strony i z udawaną pogodą duchapowiedział:
153.

- Cześć, kochanie.

Zastanawiałem się, dokąd się wybrałaś, i pomyślałem, że zacznę się na ciebie przy podjeździe. Może zaparkuję samochód?

Wyglądasz na zmęczoną.

- Gdybyś był tak dobry - odparła z wdzięcznością.

Gdy pomagał jej wysiąść z auta, wyczuwał koniuszkami palców, że caładygocze.

Przypomniawsobiesytuacjesprzed pięćdziesięciu lat: napadyniekontrolowanegodrżenia czy tamte noce, kiedy nie pozostało mu nic innego, jak mocno trzymać ją w ramionach i godzinami rozmawiać z nią o nieistotnych rzeczach.

- Samochód może poczekać.

Najpierw zaprowadzę cię do domu.

Trochę przeholowałaś.

- Tak mi głupio, Fred, całkowicie straciłam orientację.

Myślałam, że nie trafisz powrotem do domu.

A kiedy chciałam kogoś zapytać, nie mogłam sobie przypomnieć adresu.

Mieszamicięw głowie, Fred.

- Bzdury!

To tylko starość, kochanie.

Zemną jest taksamo.

- Naprawdę?

Dobry Boże.

Fred posadził ją w salonie i poszedł zagotować wodę.

Potem wstawił samochód do garażu.

Gdy położył obok niej kluczyki, Martha wzięła je do ręki i trzymała przez chwilę, ważąc w dłoni jak coś niezwykle cennego.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy z takim wyrazem, jakby doskonale wiedziała, co się z nią dzieje.

- Wydaje mi się, kochanie, że lepiej będzie, jeśli je zatrzymasz.

Moje przejażdżki już się skończyły - powiedziała.

Wsunęła mu kluczyki do ręki i zacisnęła jego dłoń, a on pochylił się, pocałował ją w czoło, po czym odwrócił się i włożył je do górnej szuflady biurka.

Mógł się jedynie domyślać, jak bardzo się boi.

To zdarzenie było pierwszą szczeliną, która utworzyła się między nimi.

Martha zaczynała odchodzić w jakieś miejsce,

154

dokąd Fred nie mógł za nią pójść.

Znajdzie się na wyspie, odcięta od świata, samotna, a on nie będzie mógł do niej dotrzeć ani jej pocieszyć.

Wieczorem tego samego dnia, gdy Barnaby oglądał z Marthą "Wiadomości", Fred poszedł do swojego gabinetu, żeby przejrzeć książkę medyczną.

Nie znalazł żadnych odpowiedzi, żadnych reguł.

Musiał jednak wziąć pod uwagę kwestię czasu.

Nie chciał stawiać Barnaby'ego w trudnej sytuacji.

Nie mógł oczekiwać, że syn będzie sprawował pieczę nad dwiema parafiami i jeszcze zajmował się z Marthą.

Dom starców był wykluczony.

Aż się zdrygnął na myśl, że jego żona miałaby mieszkać w zamknięciu, nie mogła swobodnie się poruszać, wychodzić nadwór, być sama.

Absolutnie wykluczone.

Fred miał poczucie, że na starość sprawia Marcie zawód.

Był przekonany, że Martha go przeżyje.

Podszedł doszafkiz dokumentami i zaczął w nich szperać, aż znalazł kopertę, a w niej mały skrawek papieru.

To była przeszłość, głęboko zagrzebana i niemal zapomniana.

Martha zatarła wszelkie wspomnienia i bez wahania wkroczyła w bezpieczne życie u boku Freda w Anglii.

Jakiegokolwiek ustalanie faktów zmusiłoby ją do przyznania, że kiedyś jej byt był niepewny i przerażający, że była inną osobą, miała inną rodzinę, żyła w innej, niemal zapomnianej kulturze.

Powrót do życia był równoznaczny z tym, że niemożna dłużej wypierać cierpienia i śmierci z umysłu, że trzeba pogodzić się z całkowitym unicestwieniem poprzedniego bytu.

W przypadku Marthy umysłowe przetrwanie zależało od Freda i od tego życia.

Życia w Anglii.

Fred patrzył na ten niezwykle wzruszający skrawek kruchego papieru, który wraz z innymi dokumentami został przysłany po wojnie przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

Znalazł go przypadkiem, gdy chował podniszczone

różowe pudełko z rzeczami, które pozostały z dzieciństwa Marthy, i włożył za wyklejkę małego słownika medycznego.

Na kartce widniały słowa "Doktor Ołowski" i nazwa szwajcarskiego banku.

Martha chciała otworzyć pudełko w samotności.

Fred kręcił się w holu, gdyby go potrzebowała, ale wiedział, że pod żadnym pozorem nie może wejść do pokoju, dopóki nie zawoła.

Kiedy usłyszał straszne zawrozczenie, na przemian stłumione i donośne, tak obce temu domowi wypełnionemu słoncem, niewytrzymał i wyszedł do ogrodu.

Przytulił się do pnia wiśni, na nowo czując ogrom straty, jaką przeżywa Martha.

I on sam.

Chciał płakać.

Nic nie był w stanie zrobić.

Miłość niewystarczała.

Miał wrażenie, że nigdy nie będzie w stanie nic zrobić, by pomóc jej uleczyć rany czy wyzdrowieć.

Stojąc przy drzewie i wbijając palce w korę, był przytłoczony własną samotnością.

I on stracił wiele z tego, co było dla niego znajome, znane i pocieszające.

Zamknął oczy i odetchnął, chcąc uchwycić woń domu, w którym dorastał.

Misa z kwiatami na stoliku w holu.

Psy leżące na podłodze z kamiennych płyt, które matowiały od ich oddechów.

Rzeźbiony wieszak na ubrania i mosiężny stojak na parasole.

Zapach matczyńskich perfum, unoszący się w szerokiej klatce schodowej.

Fajka o jędrze spoczywająca w dużej szklanej popielnicy w gabinecie.

Pokryte plamami, ogromne lustro złocone ramie, w którym rok po roku odbijało się ich życie.

Drobiazgi, które stanowiły część jego istnienia - być może nieistotne, lecz przyjmowane za rzecz pewną.

Zgromadzona w salonie rodzina, którą mógł zapytać:

Co mam teraz zrobić?

Powiedzcie mi, czy mogę coś jeszcze zrobić, żeby pomóc Marcie?

156

Wyciągnął starą kosiarkę elektryczną i kosił trawnik, pozostawiając za sobą długie, równe pasy.

Po pewnym czasie Martha przybiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Fred, kochanie, zobaczyłam z okna twoją twarz i niemogęnieść, że przez mnie jesteś taki smutny.

Teraz idę na długi spacer z Puckiem.

Bardzo cię proszę, spał terazczy.

Nie dlatego, że nic nieznaczają, ale dlatego, że znaczą zbyt wiele.

Niemogę spoglądać za siebie - tam jest wielka, czarna dziura.

Pochłonij mnie, ciebie, Annę i przyszłość.

Martha była przekonana, że Fred spalił jej przeszłość.

On jednak nie potrafił tego zrobić.

Duży dom miał długi, dość płaski dach; poddasze było niskie i niewielkie.

Wobec tego położył podłogę z desek na strych małego domku i uszczelnił strop.

Do pudełka z wyblakłej czerwonej tektury schował z powrotem dzienniki Marthy z dzieciństwa, kilka przysłanych książek, listy i prywatne dokumenty, po czym zaniósł wszystko na strych.

Właśnie wtedy znalazł ten mały, smutny zapisek, potwierdzający datę urodzin Anny.

Anna, ponownie narodzona, otrzymała nowiutki akt urodzenia.

W zamęcie, jaki panował w powojennej Anglii, nietrudno było wystarać się o taki dokument.

Freda zawsze dręczył niepokój, że ukrywa prawdę, ale Marcie ogromnie zależało na tym, żeby

dziewczynka, zdradzająca już uraz psychiczny, wzrastała jako Angielka, w poczuciu bezpieczeństwa, nieświadoma okoliczności swych narodzin.

Czyw ogóle mógł siętemu przeciwstawić?

Udało im się tylkodatego, że Anna byładrobna, niedożywiona i późno weszła w okres dojrzewania. Wydawało się, że nic nie pamięta.

Po prostu wymazała wspomnienia z tych wczesnychlat.

Fred bał się, że zczasem pudełkozbutwieje albo zostanie przeżarte przez myszy, więc umieścił je w swoim starym uczniowskim kufrze, razem z własnymdziennikami,

157.

listami i dokumentami z czasów wojennych.

Odłożył jej przeszłość wraz zesoją.

W dzieciństwie Annie i Barnaby'emu zabraniano wchodzić na strych.

Gdy postanowiono wynajmować mały domek, Fred zrobił ściankę działową i założył kłódkę nadrzwiach.

Mijały lata i myśl o przechowywanych na strychu rzeczach nawiedzała go coraz rzadziej.

Nawet gdy chował kolejne papiery do kufra albo taszczył na strych stare książki medyczne, ledwo pamiętał o pudełku Marthy.

Fred zawsze miał nadzieję, że Martha, żyjąc z nim w poczuciu bezpieczeństwa, sięgnie do wspomnień swojego szczęśliwego dzieciństwa.

Ale tak się stało.

Po pobycie w brytyjskim szpitalu wojskowym ani raz nie wspomniała o tamtych latach.

Fred to rozumiał.

Rozumiał tę ciszę, która zapadła i niczym maksymalna narzucała tłumia wszelkie dźwięki, tak, aby żaden do Marthy nie dotarł.

Krzyk, koszmar senny, upiorne wspomnienie przemocy były czym prędzej dławione.

Tonęły w niezmaconej ciszy.

Nie wiadomo, dlaczego wziął ten skrawek papieru z nazwą szwajcarskiego banku i trzymał go osobno, w solidniejszej folii z dokumentami.

Sądził wtedy, że kiedyś może okazać się zabezpieczeniem Marthy.

Tamtego dnia, gdy przestała jeździć samochodem, Fredowi przyszło na myśl, że tachwila właśnie nadeszła.

Wziął pióro i napisał list do swojego prawnika.

Martha wciąż śpi.

Promienie popołudniowego słońca padają na jej twarz.

Czas nie był łaskawy dla Marthy, ale jej twarz pozostała piękna.

Fred zastanawia się, gdzie jest Lucy.

Ciężko wstając z krzesła, znowu czuje tępy ból czaszki.

Weźmie tabletkę, choć potem maćmu się w głowie.

Może uda mu się obejrzeć mecz krykieta.

158

Barnaby spaceruje z Homerem popłaży.

Fred ogląda mecz krykieta, a Martha śpi.

Lucy też poszłaby chętnie na plażę, ale wie, że Barnaby powinien trochę odpocząć przed wieczornym nabożeństwem, które racznie odprawiać za godzinę.

Ostatnią niedzielę budzą w niej niechęć.

Choć uwielbia Barnaby'ego, nie może zrozumieć, dlaczego koniecznie chce sam opiekować się rodzicami i z takim uporem odrzuca fachową pomoc.

I on, i ona są już wyczerpani.

Lucy nagle uświadamia sobie, że niecierpliwie wyczekuje dnia, gdy uwolni się od tych nieskończonych długich niedziel.

W wielkim mieście czeka ją wolność, nie będzie mogła jednak biegać po białym piasku, spoglądając na niebieskie morze, które ciągnie się szerokim łukiem aż po widnokrąg.

Oprzerowadzce myśli z lękiem.

Życie w Londynie bez Tristana to nie to samo.

Nie będzie już codziennych rozmów telefonicznych, na które teraz czeka z utęsknieniem.

Tristan został postawiony w stan pogotowia i gdy tylko wojska ładowe wejdą do Kosowa, polecą do Macedonii.

Lucy z obawą myśli o jego wyjeździe, ale przy nawale pracy, który ją czeka, będzie miała przynajmniej mało czasu, żeby się martwić.

Podnosi głowę i napotyka spojrzenie dziadka, takie samo jak w czasach jej dzieciństwa.

- Masz smutnąminę, kochanie - mówi Fred.

-Tylkodlatęgo, dziaduniu, że jestem leniem patentowanym - odpowiada z szerokim uśmiechem.

- Muszę jechać do Londynu izabrać się porządnie do pracy, ale będęokropnie zawszyszkimi tęsknić.
NatwarzyFreda też pojawia się uśmiech.

- Kiedyś bardzo lubiłem Londyn.

Będiesz do nas częstoprzyjeżdżać, prawda?

- Oczywiście, gdy tylko nadarzy sięokazja.

159.

- Mam nadzieję, że ta praca ci odpowiada.

-No cóż, nie zabardzo- będącym cudzoziemców angielskiego - ale i tak miałam szczęście, że ją dostałam.

Razem z dawną koleżanką ze szkoły wynajęłam mieszkanie na pół roku.

Po powrocie Tristana weźmiemy ślub, więc muszę zarobić jakieś porządne pieniądze.

- Świetnie, świetnie.

Czy ten.

hm..

młody człowiek też mieszka w Londynie?

- Jest w wojsku, dziaduniu.

Wkrótce pojedzie do Kosowa.

- To niedobrze, kochanie.

Bardzo niedobrze.

- Wiem.

Nie rozmawiajmy o tym.

Fred podchodzi bliżej i poklepuje ją po ramieniu.

- Miałabyś ochotę na filiżankę herbaty?

-Razem ją zaparzemy.

Zostawiają śpiącą Marthę i idą do kuchni.

- Martwię się o Barnaby'ego - mówi niespodziewanie Fred.

- Będziemy potrzebowali kogoś do pomocy, tym bardziej gdy zabraknie ciebie.

Lucy jest zaskoczona.

Już dawną nie prowadził z dziadkiem sensownej rozmowy.

- Masz rację.

Też mu to mówiłam.

- Przypuszczam, że chodzi o pieniądze.

Martwią głośno, Lucy.

Kapitał kiedyś się wyczerpie.

Parę lat temu.

jak pamiętam, napisałem do mojego prawnika.

Widziałem, co się dzieje z Marthą.

- Fred milknie, usiłując przypomnieć sobie, jak to było.

- Starał się pomóc.

Zadzwoił do mnie z wiadomością, że próbował się czegoś dowiedzieć w tej sprawie.

Niestety.

Banki nie chciały niczym słyszeć.

- Głos Freda zamiera.

- Chciałeś wziąć pożyczkę z banku?

-Nie, nie.

nic z tych rzeczy - mówią poruszony.

- Martha zawsze była temu przeciwna.

Ale pomyślałem, że trzeba spróbować.

Ostatecznie, jeśli są tam jakieś pieniądze

te, to należą do niej.

- Wpatruje się w Lucy.

- Chcę, żeby miała jak najlepszą opiekę lekarską.

- Wiem, dziaduniu.

Lucy nalewa wrzątek do czajniczka, a Fred wyjmując cienkie porcelanowe filiżanki Marthy.

- Martha będzie za tobą tęsknić - mówi nagle.

- Ja też, kochanie.

Ita bardzo.

Lucyprzełyka z trudem.

- Zaraz się rozplączę, dziaduniu.

Nie wiem, co zrobię bez ciebie i babuni.

- Wyjmuję tacę.

- O czym to mówiłaś?

O jakie pieniądze ci chodziło?

- Pieniądze?

- Przed chwilą wspominałaś o jakichś pieniądzach.

Przypuszczałaś, że babunia ma gdzieś pieniądze?

- Cóż, chyba niepotrzebnie.

Zapomnij o tym, kochanie.

- Patrząc na nią.

- Prawnik powiedział mi, że minęło zbyt wiele czasu i nikt nie może indywidualnie rościć.

trzeba wielu dowodów, akty zgonu, rozumiesz.

rodziców Marthy.

Beznadziejna sprawa, bankinie chciały o niczym słyszeć.

- Dziadku!

- Lucy odstawia tacę.

- Masz na myśli szwajcarskie banki?

- Otóż to.

Martha miała skrawek papieru z nazwą szwajcarskiego banku.

Jej ojciec.

Lucy, nie chcę dalej tym rozmawiać.

Martha bardzo by się zdenerwowała.

Zanieśmy herbatę do salonu.

Jestem pewien, że już się obudziła.

Fred rusza przodem, powłóczę nogami i stawiając drobne kroczki jak ludzie w podeszłym wieku.

Lucy kraje się serce.

Martha już się obudziła, spokojnie obserwuje ptaki, które skrzeczą i skaczą pod krzakami w ogrodzie.

- Witaj, kochanie - mówi.

- Herbata?

Jak to miło.

161.

Lucy stawia filiżankę Marthy na stoliku.

Fred tymczasem ogląda "Wiadomości" w telewizji, poklepując Marthę ręką.

Lucy patrzy na niego i myśli sobie, że dziadek czasem wyraża się całkowicie jasno.

W jego przypadku niedołęźnienie przejawia się zupełnie inaczej niż u Marthy.

Babci, takiej jak kiedyś, już nie ma.

Dziadek zaś jest zawsze obecny, ale w takim oddaleniu, że trudno czasem do niego dotrzeć.

Barnaby wpada do domu, żeby zostawić Homera, i natychmiast spieszy na nabożeństwo wieczorne.

- Dziaduniu?

- pyta Lucy.

- Mogę was zostawić na pół godziny?

Chciałabym pójść do domku i spakować trochę rzeczy.

- Oczywiście, drogi dziecko.

Oczywiście.

Zmykaj.

Lucy wychodzi, a za nią wlecze się Homer.

W ogrodzie słychać ostatnie uderzenie dzwonu wzywającego na nabożeństwo wieczorne.

Czuć zapach palonego na ognisku drewna.

Raptem przed jej oczyma pojawia się obraz: ubrana w niebieski szkolny płaszczyk, najlepszy jaki ma, idzie w podskokach między Martha a Fredem, którzy roześmiani i jak zawsze spóźnieni spieszą na nabożeństwo; za ich plecami słońce chyli się ku zachodowi.

Uderza ją myśl, czy dziadkowie regularnie zabierali ją na niedzielną mszę dlatego, że chcieli zapewnić dziecku poczucie bezpieczeństwa, którego nie dała mu matka, stworzyli dla niego miejsce w życiu wioski.

Może z tego samego powodu Martha podkreślała swoją przynależność do Kościoła anglikańskiego. Dzięki temu miała takie same korzenie jak Fred.

Angielka w każdym calu.

Przyjęła w ogrodzie.

Jajecznicę pokrojoną w paski grzankami, serwowaną po nabożeństwie wieczornym.

Lucy nigdy nie wątpiła w szczerść przekonań religijnych dziadków.

Ich autentyczność była równie oczywista

162

jak u Barnaby'ego, choć może bardziej stonowana.

Gdy skończyła kilkanaście lat, już nie nalegali, by chodziła z nimi do kościoła, i sami nie zawsze uczestniczyli w nabożeństwach.

Lucy pamięta, jak podczas kazania ścisnęła drobne, zdeformowane ręce Marthy "Za dużo pracowałam w ogrodzie, kochanie".

Obracała pierścionki na palcach, żeby złapać w nich promienie słońca, wpadające przed witrażowe okna.

Martha zaciskała dłoń na jej dłoni, a wtedy serce Lucy wzbierało tak wielką miłością do babci, że aż łzy kręciły jej się w oczach.

Dziecięce przecucie, że miłości strata są ze sobą nierozdzielnie związane.

W czasie wakacji, gdy Martha przychodziła opatulić ją przed snem, Lucy zarzucała jej ręce na szyję i mówiła:

"Nie możesz umrzeć, babuniu.

Nie możesz umrzeć i mnie zostawić".

Wtedy Martha odpowiadała uspokajającym tonem, z lekkim smutkiem na twarzy: "Kiedyś muszę umrzeć, moja kochana.

Jestem dużo, dużo starsza od ciebie".

Potem szybko zmieniała temat, zaczynała żartować albo czytać jej książkę przed snem.

W późniejszych latach, gdy Lucy mieszkała w internacie i popadała w przygnębienie, zamykała

oczy, leżąc w łóżku, i wyobrażała sobie, że jest w swojej sypialni, w domu w Kornwalii, o oknoskrzynkowe tłucze wiatr, a babcia siedzi przy niej niczym anioł stróż.

Lucy dźwiga na półpiętro rzeczy do przechowania.

Przystawia drabinę i wchodzi na strych, żeby przygotować miejsce.

Gdy włącza światło, jej wzrok pada na kufier stojący po drugiej stronie.

Po chwili wahania idzie na czworakach do zbutwiałej sianki działowej, podnosi wieko kufra i wyjmuje wyblakłe pudełko.

Z dołu dociera jakiś hałas.

Lucy schodzi szybko po drabinie i widzi dziadka, zdyszanego i zdenerwowanego.

163.

- Nie pamiętam, co mówiłem.

Plącze mi się w głowie.

Pewno bez sensu.

Nie zwracaj na mnie uwagi.

Lucybije sięz myślami, wreszcie siada ciężko na pudle, jednym z wielu, w które zapakowała swój dobytek.

- Wiesz co, dziadku?

- odzywa się.

-Parę dni temu weszłamna strych, żebyzobaczyć, czy jest dość miejscna moje rzeczy.

Znalazłampudełko z dokumentamiw tym starym uczniowskim kufrze.

Za zbutwiałą ścianką.

Czyone dotyczą babci i wojny?

Fred stoi nieruchomoi patrzy na niąz powagą.

Z trudemszuka słów.

Wkońcu odzywasię takim tonem, jakimnigdy do niej nie mówił.

- Nie wolno ci wchodzićna górę.

Ani ruszaćnadnychdokumentów.

To prywatne rzeczy, należą do mnie i twojejbabci.

Ciebie w ogóle nie dotyczą.

Masz je włożyćz powrotem do kufra.

Zrozumiałaś?

Martha nie chciała, byktokolwiek cierpiał.

- Nie zamierzałam szperać w cudzych rzeczach - mówiurazona Lucy.

- Ścianka działała zbutwiała.

Kufer niebył zamknięty na klucz.

Wiekosię wypaczyło i wygięło.

Wystawałystamtąd jakieś papiery.

Zobaczyłam, że zagnieździły się tam myszy.

- Oddycha głęboko.

Tak pragnie, by Fred wyjawiał jej prawdę.

- Leżała tamkoperta, a w niejdokument, jakbyświadectwo urodzenia.

Zerknęłam na nie, alenie rozumiałam.

Fred nie zamierza jednak powiedzieć prawdy.

- Odłóż to na miejsce, Lucy.

Położ tam, gdzie leżało, i zamknij kufer.

Zapomnij otych dokumentach.

Obiecujmi, że będą zabezpieczone.

Lucy.

?

Fred ciężkooddycha, chwyta się drabiny.

W jego głowiekłębią się myśli: obiecałem Marcie.

Obiecałem, że spalęte rzeczy, ale nie mogłem się na tozdożyć.

Tylko one pozostały po całymżyciu.

Chciała zapomnieć, na zawsze.

164

Ale uważałem, że kiedyumrzemy, przeszłość staniesięzrozumiała, może dla naszych dzieci.

Lecz jeszczenieteraz.

nie teraz.

Widząc jego podenerwowanie, Lucy zapewnia spiesznie:

- Nie martw się, dziadku.

Obiecuję.

Przyrzekam, że je zabezpieczę.

Zamknę kufer.

Chciałaby krzyknąć, że tak nie można.

Nie wolno mieć tajemnic.

Jesteśmy tym, kim jesteśmy, i jesteśmy tacy, jacy jesteśmy - zawsze.

Nic tego nie zmieni.

Lucy jednak milczy.

Bierze Freda pod ramię, uspokaja go, a potem zmienia temat i mówi o kolacji.

W zapadającym mroku wracają przez ogród do domu.

Wśród drzew grucha gołąb.

Tę głęboki, pokrępiający dźwięk zawsze kojarzył się Lucy z domem i szczęśliwymi chwilami z dzieciństwa.

Za drzewami widać przyływ, grafitowe wezbrane morze.

Słychać, jak trzaskają drzwi samochodów.

Skończyło się nabożeństwo wieczorne.

Za chwilę Barnaby będzie w domu.

Lucy dopilnuje, żeby pudełko Marthy znalazło się z powrotem w bezpiecznym miejscu, a ewentualnie również, że najpierw sprawdzi, co w nim jest.

Dziadek, najłagodniejszy człowiek na świecie, ukrywa coś, co ma związek z Anną i wojną.

Lucy chce przejrzeć rzeczy schowane na strychu.

Chce poznać prawdę.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zawsze lubił jeździć samochodem po mieście.

Czasem wstaje wcześnie rano, innym razem wsiada do wozu wieczorem i jeździ po Londynie.

Poznał dzielnice, w których ta kobieta mieszka i pracuje.

Był również w szwajcarskim banku, gdzie pracuje jej mąż.

Jazda samochodem po zatłoczonych ulicach jest dużym wyzwaniem, powoduje również gwałtowny przypływ adrenaliny jak branie konno niebezpiecznych przeszkód.

Człowiek sam kontroluje sytuację, ocenia prędkość i odległość.

Gdy jest u siebie w Berlinie, wsiada do auta i jeździ późną nocą.

Duże miasto nigdy nie śpi.

Zamknięty w ciepłym wnętrzu, gdy deszcz obmywa ciemne ulice, a

wycieraczki suną monotonnym ruchem po szybie, ma złudzenie spokoju i bezpieczeństwa.

Widzi na ulicach innych ludzi - spacerują, prowadzą samochód, jedzą i bawią się.

Nie on jeden nie śpi od drugiej nad ranem.

Woli zgiełk miasta od ciszy swego podmiejskiego mieszkania.

Pobyt w Londynie dobiega końca.

Wygłosił już ostatni wykład.

Nie ma powodu, by zostawać tu dłużej.

Zazwyczaj jeździ do Lincoln's Inn.

Czasem, jak wielu turystów, spaceruje niedaleko siedziby zespołów wokalnych, chłonąc atmosferę obciążonych pracą sądów, jakby chciał w ten sposób zbliżyć się do owej kobiety.

166

Przy ciepłej pogodzie asystenci i adwokaci zalegają ławki na dziedzińcach, siedzą na ławkach, odpoczywają, jedzą kanapki.

Oczami wyobraźni widzi ludzi wyciągniętych na trawie w letnie dni.

Sceneria jest typowo angielska.

Wszędzie słychać gwar, powiewają poważne czarnetogi zabieganych prawników.

Najpierw sprawdza na wokandzie, czy ona tego dnia występuje w sądzie, potem wraz z grupką ludzi wchodzi do sali.

Czasem ma przy sobie notatnik, udając postarzałego pismaka, który szuka tematu do artykułu w gazecie.

Nie wyróżnia się w tłumie - jeszcze jeden człowiek w szarym garniturze pośród wielu mu podobnych.

Zafascynowany obserwuje Annę Gerstein i funkcjonowanie tutejszego prawa.

Niewątpliwie wyląduje to inaczej niż w Niemczech.

Ta kobieta jest zwięzła, konsekwentna i niezwykle szybka.

Budzi respekt, gdy walczy na argumenty ze stroną przeciwną albo gdy słodkim głosem przeprosza sędziego.

Tego dnia reprezentuje bagażowego z lotniska.

Człowiek doznał urazów ciała na skutek wadliwego działania klapy bagażowego - wypadł z samolotu i prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł chodzić.

Towarzystwo ubezpieczeniowe linii lotniczych kwestionuje wysokość żądanej odszkodowania.

Anna Gerstein w wymowny sposób przedstawia dowody na to, że linie lotnicze wiedziały o uszkodzeniu klapy i, czy to w wyniku zaniedbania, czy też błędu człowieka, nie usunęły usterki.

Sąd nakazuje wypłacenie maksymalnego odszkodowania - pięciocyfrowej kwoty - jej klientowi, niskiemu mężczyźnie, który nerwowym ruchem poprawia sobie co chwila kołnierzyk.

Można odnieść wrażenie, że ta prawniczka lubi stawać dowalki z wielkimi tego świata.

Jest przekonany, że tylko ją wybrałby na swego obrońcę.

167.

W pewnej chwili, wychodząc z sali sądowej, kobieta spogląda w jego kierunku.
On zdaje sobie sprawę, że, jak aktor naszenie, prawniczka bynajmniej nie skupia uwagi na jegotwarzy, ale serce niemal zamiera mu w piersi.
Dostrzegalekkiruch głową, nieobecny wzrok, jakby myślami byłgdzieś daleko, delikatnygrymas warg, niepodobny do uśmiechu, i wyraz twarzy, który mówi: Udało mi się.
Dorwałam ich.

Gdy wychodzi z sądu, jest dżdżyste popołudnie.
Ludziesię przemykają, pochylając głowy przed deszczem, zatrzymują taksówki,spieszą do domów.
Nagle ogarnia gotęsknota za ciepłym mieszkaniem w Berlinie.
W mieście,które zna i rozumie.

Gdy jest już przy samochodzie i wkłada kluczyk wzamek, widzi, jak kobieta zbiega poschodach w towarzystwie innego adwokata.

Pędzą przezulicę, skuleni w rzęsistymdeszczu,a wiatr okręca czarne togi wokół ich nóg.

Nagle odczuwa przemożne pragnienie, żeby pobieczanią,odgarnąć jej rozwiane włosy ztwarzy, apotem cofnąsię spojrzeć jej prosto w oczy, byocenićukład genów,budowę szkieletu, wysokość kości policzkowych i odcieńkarnacji.

Czy ma białą, jasną, czystą cerę jak Niemcy, skórę delikatnąjak u dziecka?

Jakrosną jej włosy?

Jak układająsię na głowie?

Jest przekonany, że jej oczy powiedziałyby mu wszystko, co chcewiedzieć - gdybytylko zdołałsię do niej zbliżyć.

Pragnienie, by tozrobić,jest tak silne, że niemal sprawia mu ból.

Chce przebiecprzez ulicę, chwycić ją za ramię, przemówićdo niej we własnym języku.

Musiznałćodpowiedź na pytanie, które obsesyjnie nurtuje jego serce i umysł, zagłusza chwilę obecną głosami na wpół zapomnianych ludzi, którzy nawiedzają go nocą.

Kobieta odwraca się ku niemu, jakby wyczuwając intensywność jego uczuć,wzdrygasię niczym od chłodne168
go wiatru.

Jej kolega obejmuje ją ramieniem, które przypomina czarne skrzydło nietoperza, by osłonić ją przedzimnem.

Szybko schyla głowę i wsiada do samochodu.

To jestpiekło.

W tym obcym, dżdżystym kraju nagle nie znajduje punktu odniesienia.

Żadnego punktu orientacyjnego.

Nie możekonaćzadośćuczynienia, doprowadzić do pojednania, wyrazić swojego żalu wzrozumiały dla kogokolwiek sposób.

Zaciska dłonie na kierownicy.

Nie odejdzie z tego świata, dopóki nie podejmie próby.

Być może jesttoostateczny przejaw jego egoizmu.

Wie,że jeśli zacznie odgrzebywaćprzeszość, będzie to miałwpływ na terażniejszość i przyszłośćinnych ludzi.

Rozdział dwudziesty drugi

W małym domku jest gorąco.

Lucy otwiera okna, żeby wypuścić chłodne wieczorne powietrze.

Daleko stąd, w ciemnościach, ludzie łowią ryby i szmuglują towary, załodkami krążą czarne jak cienie mewy.

Lucy myśli o Tristanie, który szykuje się do wyjazdu.

Czy w ciemnościach nocy odczuwa strach?

Nigdy jej tego nie powie.

Oczami wyobraźni widzi go wraz z rodzicami w Nottingham, w pięknym domu z ogromnymi oknami i wspaniałymi obrazami przedstawiającymi ryby, z kolekcją kołowrotek wędkarskich, mapami rzek, wypchanymi rybami, pięknymi lekkimi meblami i miękkimi starymi kanapami.

Przypomina sobie, jak w jego łazience wpada światło przez cudowne witrażowe okno; człowiek mawia, że bierze kąpiel w kościele.

Tak jak Nottingham jest domem dla Tristana, tak Kornwalia jest domem dla niej.

Tristan chodzi teraz po mieszkaniu albo leży w swoim pokoju, rozmawia przez telefon z znajomymi, bierze ramiona matkę, gawędzi z ojcem o rybach.

Jest zadowolony.

Gdy Tristan pierwszy raz zabrał ją do swego domu rodzinnego, Lucy była zaskoczona, widząc, jak blisko utrzymuje z rodzicami, jak są serdecznie i bezkrytycznie wobec niego, jak bardzo syna dumni.

Żadnego

170

dogadywania, żadnych wymagań, żeby się zmienić.

Tylko miłość bezwarunkowej miłości.

Lucy uśmiecha się.

To dlatego Tristan jest taki sympatyczny.

Wychowywała się w szczęśliwej, porządnej katolickiej rodzinie.

Mogła pojechać z nim do Nottingham, ale wiedziała, że w głębi duszy pragnie pojechać do domu, że matka będzie chciała mieć go dla siebie przez kilka dni przed wyjazdem do Macedonii.

Próbuje wyobrazić sobie, co może czuć jego matka, wiedząc, że syn jedzie zaprowadzać porządek w kraju, gdzie jest niebezpiecznie, gdzie prawo nie jest respektowane, a życie ludzkie ma niewielką wartość.

Stara się nakłonić myślami Tristana, żeby zadzwonił do niej, zanim ona zacznie przenosić na strych swoje rzeczy.

Już sam jego głos poprawiłby jej nastrój.

Ale telefon milczy, a Lucy nie chce dzwonić do niego i przerywać wieczoru z rodzicami.

Idzie na półpiętro, przystawia drabinę, wchodzi na strych i przekręca kontakt koło klapy.

Ma ze sobą dwie torby z pluszowymi zabawkami, książkami dla dzieci, wypracowaniami szkolnymi.

Upycha je w wolnym miejscu na prawo od klapy.

Potem podciąga się górę i przesuwając zakurzonej podłodze w stronę kufra.

Pudełko znajduje się tam, gdzie je zostawiła.

Unosi głowę i widzi wąski prześwit w dachu - zapewne obsunęła się dachówka.

Trzeba powiedzieć o tym Barnaby'emu.

Podnosi przewiązany sznurkiem plik papierów Freda:

kartki pocztowe, listy ze stemplem "Ministerstwo Obrony" na kopercie, kilka dzienników z lat 1940-1945.

Przyciska to wszystko do piersi, przesuwając nogą kufra, żeby nie stał pod szczeliną w dachu, i dokładnie zamyka wieko.

Znosi plik papierów na dół i wraca po pudełko.

Gdy puszcza klapę, serce jej wali z poczucia winy.

Zgarnia

ścierką grubą warstwę kurzu i zostawia papiery na łóżku.

Potem idzie się wykapać, wkłada grubą dziecienną piżamę, robi sobie herbatę i kładzie się z kubkiem na łóżku.

Słyszy odgłosy kulików, krótkiewysokie trele niczym hymny kościelne dochodzące oddali.

Lucy dopiero teraz dostrzega pieczęć Międzynarodowego Czerwonego Krzyża na pudełku. Brązowa koperta leży tak jak przedtem, na samym wierzchu polskich listów.

Lucy bierze do ręki dziennik Freda z datą 1944.

Nieznajduje w nim jednak wzmianki o sprawach domowych;

są tam tylko krótkie opisy ruchów wojsk, manewrów i ćwiczeń.

Sięgając listy przewiązane wstążką i ku własnemu zdziwieniu rozpoznaje charakter pisma Freda na kopertach.

Ktoś zwrócił mu jego własne listy.

27 stycznia 1945 Kochana Mamo!

Wybacz, że piszę do Ciebie, gdy jestem tak bardzo przygnębiony, ale muszę opowiedzieć Ci o okropnościach, które dzisiaj widziałem.

Nie mogę w to prawie uwierzyć.

Ciągle mi się wydaje, że zaraz się obudzę i wszystko okaże się koszmarem sennym.

Razem z Charlesem, amerykańskim oficerem wywiadu, Peterem Cohenem, zastępcą dowódcy, i naszym kierowcą, kapralem Millerem, zgubiliśmy resztę naszego konwoju, który wykonywał zadania obserwacyjne.

W tej sytuacji musieliśmy przyłączyć się do jednostki rosyjskiej.

Niemcy ewakuowali obozy i starali się zniszczyć jak najwięcej dowodów przed nadejściem Armii Czerwonej.

Zapewne usiłowali wyprowadzić kobiety jak najdalej od Rosjan.

Zabijali więźniów nawet wtedy, gdy wiedzieli, że wszystko skończone.

Przy okropnej pogodzie i w strasznym zimnie jechaliśmy z Charlesem naszym land-roverem.

Rosyjski konwój

172

był gdzieś za nami.

Nagle zobaczyliśmy wielki stos ubrań koło stodoły.

Podjechaliśmy, z bronią gotową do strzału, ubezpieczając się przed uciekającymi Niemcami.

Wysiedliśmy i staliśmy przy samochodzie, rozglądając się wokół.

W pewnej chwili zauważyliśmy jakiś ruch i zamarliśmy.

Kilka szmat drgnęło, powoli podniosły się ze stosu ubrań i zataczając się, ruszyły w naszą stronę.

W pierwszej chwili nie mogliśmy zrozumieć, co się dzieje.

Potem zorientowałem się, że to człowiek.

Nie mogłem zrobić kroku, podobnie jak pozostali.

Włosy stanęły mi na głowie.

Postać wyciągnęła ku mnie przeraźliwie chude ręce, błagając żałośnie o pomoc.

Patykowane nogi, wystające spod jutowej spódnicy, zaczęły się uginać.

Podbiegłem do niej i złapałem ją, nim upadła na ziemię.

Wtedy wszyscy ruszyli się z miejsca.

Żołnierze zbliżyli się czym prędzej do stosu szmat, rzuconych jedna na drugą.

Mamo, to były same kobiety, większość martwa, ale kilka jeszcze żyło i oddychało.

Wzięliśmy jej naręce i pobiegliśmy - prawie nic nie ważyły - do polowego szpitala, który znajdował się nieco dalej przy drodze.

Ten widok będzie dręczył mnie do końca życia.

30 stycznia

Nie miałem sposobności, żeby wysłać ten list.

Dziewczyna, którą wtedy niosłem, drobna i zagłodzona istota w łachmanach, leży nieprzytomna w szpitalu.

Odwiedzam ją codziennie.

Podobno jest umierająca.

Znaleziono w jej kościach ślady arszeniku.

Nie płakałem podczas, gdy skończyłem osiem lat.

Ale dzisiaj płakałem.

Mamo, chcę, żeby ludzie się dowiedzieli, żeby cały świat się dowiedział o ogromnym okrucieństwie, jakie tu popełniano.

O tych potwornych "marszach śmierci" po opuszczeniu obozów pełnych trupów.

Zagłodzeni ludzie, mężczyźni i kobiety, wloką się długimi kolumnami, by zginąć

od kul, spłonąć żywcem lub umrzeć z głodu.

Zrób, co tytkomozliwe, aby mieszkańcy Anglii się dowiedzieli, jak Niemcy postępowali podczas tej wojny.

Już niedługo wrócę do domu.

Cieszę się na myśl, że będę jeździł konno z bratem i oddychał świeżym angielskim powietrzem.

Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę wszystkich i dowiem się, co słyhać.

Mam nadzieję, że dobrze sięmiewacie.

Serdecznie pozdrawiam,

Fred

PS Minęły już dwa tygodnie od dnia, gdy zacząłem pisać ten list.

Ta dziewczyna nie umarła.

Jest w niej niezwykła woła życia.

Dzisiaj wymówiła swoje imię.

"Nazywam się Marta - powiedziała -Marta Otowska".

Lucy siedzi skamieniała, chłód przejmują do szpikukości.

Patrzy na swoje dłonie,które spoczywają na kartcepapieru i zasłaniają słowa napisane przez dziadka.

Składa list.

Zaczyna szcżękać zębami, niemoże opanowaćdrżenia.

Wsusza się do ciepłego łóżka.

Dziadek mówił, żeby tego nie czytała, i miał rację.

O tak, miał rację.

Lucy kiwa się w przód iw tył, trzymasie zaramiona.

W cichym, pustymdomu słyhać jej płacz.

Babuniu.

babuniu.

babuniu.

Nie wyjechałaś do Anglii.

Niedotarłaś w bezpieczne miejsce.

Nic nie wiedziałam.

Tego wszystkiego doświadczył ktoś mi bliski.

Mojababcia.

Wszystko się zmienia, znika wjednej chwili, potrzebnej, by przeczytać list.

Nie chcę, żebyś była kimś innym, babuniu.

Chcę, żebyśbyła sobą, jak zawsze.

Nie chcę, byś była dziewczyną, która przeżyła potworności, jakie trudno mi sobie nawet wyobrazić.

Chcę myśleć otobietak jak dotychczas.

Że bez174

piecznie dotarłaś do Londynu, że poznałaś dziadka i znowu zaznałaś szczęścia.

Chcę, żeby było tak, jak mi zawszepowiadano.

Babuniu, proszę, bądź taka, jaka zawsze dla mnie byłaś.

Ale Lucy wie, że to niemożliwe.

Leży w łóżkuwstrząśnięta, skulona, patrzy tępym wzrokiemw okno.

Słyszy, jak wchodzi Barnaby i zabiera Homera na spacer, a potem popowrocie woła do niej.

Ale Lucy nie może się ruszyćani wydobyć głosu.

Z parterudochodzi ją dzwonek telefonu, a potem donośny, pogodny głos Tristana rejestrowany na automatycznej sekretarce.

Lucy nie może się poruszyć, pobiec dotelefonu.

W końcu, gdy zapada cisza i głęboka noc wkrada się dopokoju, ciężkai dławiąca jak skrzydła ćmy, Lucy wstaje z łóżka, wkłada solidny skórzany płaszcz Tristana, woła Homera i razem z nim wychodzi przez furtkę, a potemidzie ścieżką w stronę plaży.

Na niebie widać księżycwpełni; morze milczy, zakryte czernią.
Jest pięknie.
Spokojnie.
Bezpiecznie.

Długo stoi w miejscu, słuchającptakówna mokradłachz prawej strony, cichego pluskui szumu fal, które fosforyzują w mroku.

Na powierzchni morza, zmarszczonegoprzez wiatr, powstają cienie iniesamowite, połyskliweplamy światła, nie z tego świata, lecz z jakiejś tajemniczejkrainy w głębinie.

Lucy musi podjąć decyzję: czytać dalej czy umieścićpudełko i dzienniki z powrotem w dziadkowymkufrze.

W przeszłości.

Tego wieczoru Barnaby idzie do małego domku, żebyzabrać Homera na spacer.

Przypuszcza, że Lucy jest jużwłóźku, choć drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz

i pies wychodzi na dwór na zeszywniałych łapach, alez zadowoleniem.

- Powinna zamykać drzwi - mówi Barnaby do psa.

- Lata stróżowania masz już dawno za sobą.

Na ciemnej ścieżce prowadzącej do solniska spotyka Dave'a Pasco, pracownika poczty, który wyprowadza swego leciwego boksera.

- Dobrze, że cię widzę, Barnaby.

Jedną dziewczyną szuka lokum na dłużej.

Pomyślałem, że może chcesz znowu wynająć domek, skoro mała Lucy wyjeżdża.

- Chyba tak, Dave.

Nie stać mnie na to, żeby stał pusty, choć bardzo bym chciał.

- Tak przypuszczałem.

Zwłaszcza że pani Tremain coraz bardziej.

Opiekunką kosztowne, wiem coś o tym.

- Jaka jest ta dziewczyna?

- Hm..

inna.

Taka trochę alternatywna, jeśli mnie rozumiesz.

Kolczyki, gdzie tylko spojrzeć.

Ale akcent jaku wyższych sfer.

Ładna.

Mieszka w Banyanie.

Barnaby tłumi śmiech.

Drugą taką dziewczynę trudno spotkać w wiosce.

A zatem Dave nie wie wszystkiego.

- Dziękuję, Dave.

Jeśli zainteresuje się tym domkiem, powiedz jej, żeby się ze mną skontaktowała.

Znasz mój numer telefonu?

- Znalazłem napoczcie.

Dobrze, księżo pastorze.

Wyrazy uszanowania dla doktora i mamy.

Dobranoc.

- Dobranoc.

Na twarzy Barnaby'ego pojawia się śmiech.

Dave straci wiarę w siebie, gdy sobie uświadomi, iż jako ostatni dowiedział się, że Kateu nich pracuje.

Więc Kate szuka domu w wiosce.

Mało prawdopodobne, żeby chciała mieszkać w pobliżu miejsca pracy.

Jest wspaniały wieczór.

Ujście rzeki zalewają fale przypływu.

Nie może oprzeć się złudzeniu, że stoi się na dzio-

176

bie statku; światła przy grobli odbijają się w wodzie nabiało na żółto; noc zmienia barwę, gdy księżyc wyłania się cooliwiła zza chmur.

Homer raz po raz przystaje, jakby chciał dać do zrozumienia, że już pora spać.

Barnaby, choć niechętnie, wraca do domu.

Może Lucy już była z psem na spacerze.

Uwielbia wieczorną porę, gdy nikt niczego od niego nie wymaga, gdy nastaje spokój i odgłosy nocy tłumią troski dnia.

Często powraca wtedy uczucie samotności, melancholia, tęsknota za czymś więcej, ale najczęściej Barnaby odczuwa ulgę, że wysłano go do tej parafii, a nie do jakiejś ubogiej dzielnicy centrum miasta, gdzie przeżywałby duchowe rozterki.

Jak wyglądałoby teraz jego życie, gdybynie był potrzebny Marciei Fredowi?
Gdyby jedyna kobieta, z którąjakdotąd chciał się ożenić, nie była zamężna?
Nagle pojmuję, że nieświadomie zatrzymał biegwłasnego życia.
Wie, że nie zawsze będzie tak, jak jest, ale teraz skupia się wyłącznie na swoich rodzicach, na
potrzebach parafiii na tym, by utrzymać się na powierzchni.
Wielokrotnie budzi się rano z myślą: Panie Boże, przeprowadź mnie jakośprzez ten dzień.
Ale jednocześnieżywi niezachwianą wiarę w to, żeBóg właśnie tak uczyni.
Wpuszczając starego psa tylnym wejściem dodomku, Barnaby zauważa palące się napiętrze światło.
Wchodzido środka iwoła:
- Lucy?
Przyprowadziłem Homera.
Nie zapomnij zamknąć na klucztylnych drzwi.
Nasłuchuje, ale Lucy nieodpowiada.
Nie chce jej budzići wraca przez ogród do domu.
Zagląda jeszcze dosypialnirodziców: obojeśpią.
Potem bierze prysznic, odmawia modlitwy i cicho nastawia radio.
Dochódz wynajęcia domkuogromniesz przyda.
Ważne jednak jest to, żeby zamieszkała w nim odpowiednia
177.

osoba - sąsiedztwo jest tak bliskie, że nie można ryzykować.

Oczywiście, zawsze zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia Lucy ich opuści, ale mimo to jej nieobecność w tym domu będzie dotkliwie odczuwalna.

Czuje znajomy ból pod żebrami, gdzie skrył się smutek wywołany stanem zdrowiamatki, jej powolnym odchodzeniem.

Jego ostatni myśl każdego wieczoru i pierwsza każdego ranka.

Szybko nastawia radio odrobinę głośnieji słucha nocnej audycji: opowiadania P.

G. Wodehouse'a, po którym z uśmiechem na ustach natychmiast zasypia.

Rozdział dwudziesty trzeci

Podczas lotu do Berlina poczucie nierzeczywistości, które miał przez ostatnie parę tygodni, przeraża go ogromne wyczerpanie umysłowe.

Ledwo zdążył na samolot.

Postąpił głupio, decydując się na jazdę okrężną drogą, żeby po raz ostatni zobaczyć tę kobietę.

Niezmiernie głupio.

Z drugiej jednak strony pozostał mu w pamięci jeszcze jeden jej obraz - nie tylko ten z sali sądowej czy dziedzińca, po którym krążyła w czarnej toczce.

Zachował obraz szczęśliwej, eleganckiej kobiety w towarzystwie mężczyzny, z którym dzieli życie.

Utknął w korku, jadąc na dworzec Wiktorii.

Zależało mu na tym, żeby odstawić wynajętego mercedesa na miejsce.

Wpadł na dworzec, gdy pociąg ruszał.

Na samolot z Gatwick zdążył z dziesięciominutowym zapasem.

Znalazłszy się na pokładzie, od razu zamawia podwójną whisky.

Ciepłe powietrze, szum silników i strzępki rozmów, które do niego docierają, niemal natychmiast kołyszą go do snu.

Gdy wrócił do Berlina, wielu jego znajomych już nie żyło.

Niewiedział, gdzie przebywa Muttiani co się stało z ojcem - prawdopodobnie nie żył.

Rosjanie przedzierali się przez Prusy Wschodnie, najwyraźniej nikt nie był w stanie ich powstrzymać,

179.

rozjeżdżali czołgami wszystko, co stało im na drodze, zwłaszcza konwoje przeróżnych uchodźców. Dalej była już Polska.

Odesłano go do Berlina, ponieważ był ranny, nie mógł utrzymać broni w ręku i nigdzie indziej do niczego by się nie przydał - odesłano go tam, gdzie były dzieci, chorzy i starcy. Ponieważ miał wiedzę medyczną, oczekiwano, że będzie zszywał rany i składał kości niczym cudotwórca na rumowisku.

Wyczerpanie i brak snu, głód i odrealniony krajobraz, pozbawiony znanych dotąd punktów orientacyjnych, wszystko to potęgowało wrażenie jakiegoś surrealistycznego koszmaru sennego. Ze zniszczonych budynków, stojących jak szkielety, unosił się dym. Dzieci szperały w ruinach, szukając żywności, ubrań, czegokolwiek, co pozwoliłoby im przeżyć. Ludziewalczyli między sobą o łupy. Sklepy i domy ogołocoły ze wszystkiego, co nadawało się do sprzedania czy chroniło przed wilgocią i zimnem.

Ze wschodu napływali uchodźcy.

Na gruzach i w zniszczonych domach Berlinu powstawały siedliska, podobne do szurzych gniazd. A mimo to nadlatywały bombowce.

Najpierw brytyjskie, a potem amerykańskie.

Wytworzyła się atmosfera hysterii i jakiejś niewiary.

Mimo oficjalnego stanowiska partii, mimo codziennego rozstrzeliwania dezertersów, większość ludzi już nie salutowała.

A ci nieliczni, którzy oddawali honory, byli czasem opluwani.

Stracił zdolność jasnego myślenia.

Bandażował stopy dzieciom.

Opatrywał rany prześcieradłami podartymi na pasy.

Ratował, jak tylko mógł, rannych i umierających żołnierzy, których w jednym krokiem wysiadali z pociągów.

Zastanawiał się, co zrobi, kiedy nadejdą Rosjanie.

Często tak marzył i ślaniał się z zmęczenia, że było mu wszystko jedno, czy przeżyje.

Bolało go ramię, w które został zraniony.

Bał się, że dojdzie do infekcji.

Nieraz budził się rano, jak inni berlińczycy, z przerażeniem myślał o tym, co ma się wydarzyć.

180

Pewnego ranka udał się do mieszkania Mutti w Tiergarten.

Zachowała je, aby mieli gdzie się zatrzymać, gdy przyjeżdżał do Berlina.

Dom został zbombardowany, górne piętro już nie było.

Z sypialni na piętrze wystawało łóżko; wiatr szarpał postrzępione kotary w oknie, które jeszcze tkwiło w zburzonej do połowy ścianie.

Wspiął się na rumowisko i spojrzał w dół na parter zrujnowanego mieszkania.

Drzwi były zasypane gruzem, ale pozostało okno, przez które mógł dostać się do ciemnego wnętrza. Zapalił zapałkę.

Na podłodze walały się odłamki szkła i obrazy, mimo to pokój wciąż wyglądał znajomo.

Krzesło stało tam gdzie zwykle.

Małe biurko Mutti było zasypane kurzem.

Gdy wyciągnął szufladę, zobaczył książki rachunkowe i koperty, zapisane jej starannym, zdecydowanym, pochyłym pismem.

Otoczony niesamowitą ciszą, ukląkł w pyle i płakał, ściskając w ręku jej niewysłany list, płakał nad samym sobą, za normalnym życiem i porządkiem, które ledwo pamiętał.

Przeczołgał się przez drzwi z łóżka przysypanego gruzem, ściągnął koc.

Zaczął szukać żywności, ale nic nie znalazł.

Zauważył, że z kranu kapie woda, więc podstawił butelkę.

Czuł się nieswojo, chyba miał gorączkę.

Wrócił do dużego pokoju, owinał się kocem i zasnął.

Przebudził się o zmroku.

Odrzucił koc, wyjął ze zlewu butelkę z wodą i zaczął zasłaniać okno odzewnątrz.

To było jego miejsce: wiedział, że tu wróci.

Jedyny znajomy punkt pośród chaosu.

Szybko pobiegł na swój posterunek, nie chcąc, żeby uznali go za dezertera i rozstrzelali.

Na miejscu dotarły do niego pogłoski, że Armia Czerwona jest o dzień drogi od Berlina.

Spojrzał na grupę dzieci z karabinami, do których załadowano niewłaściwą amunicję, na żalostną, nieskuteczną armię przypadkowych ludzi: starców, młodych chłopców i rannych żołnierzy, którzy, podobnie jak on, nie mogli utrzymać broni w ręku.

181.

Zapewne ocalała go rana na ramieniu.
Następnego dnia miał wysoką gorączkę, niemal bredził.
Niebo było ciemne od samolotów.
Rosjanie, przygotowując się do szturm, bombardowali Berlin.
Jakiś stary lekarz zastał go przy czyszczeniu karabinu i wyciągnął z gruzów.
"Na nic tu się nieprzydasz.
Nawet nie możesz utrzymać w ręku broni - powiedział.
- Idź do szpitala.
Gdy minie gorączka, przynajmniej tam będzie z ciebie pożytek".
Gdy odchodził, chwiejąc się na nogach, lekarz zawołał: "Pozbądź się tego munduru, chłopcze".
Samolot koło jedo lądowania.
W dole migają światła Berlina.
Na powitanie.
Z zadowoleniem wraca do domu, choć jest też trochę spięty.
nie dlatego, że odczuwa smutek, raczej dlatego, że jest sam i po zmroku wraca do domu.
O tej porze zadzwoniłby do Ingi i zaprosił ją na kolację.
Inga ma rację.
Następnego ranka zapewne dałby jej jasno do zrozumienia, że jest zajęty.
Samolot podskakuje, dotykając ziemi.
Ku własnemu zaskoczeniu cisnąmu się na myśl pytania: Czy powinienem był się ożenić?
Mieć dzieci?
Czy poczucie straty, braku czegoś fundamentalnego w życiu spowodowałoby, że związałbym się z kobietą, czując wdzięczność i bliskość, jakiej nigdy nie doświadczyłem?
Czymiłość do kobiety, która jest matką moich dzieci, byłaby inna?
Zbiera swoje rzeczy i uśmiecha się przelotnie do stewardesy.
Nigdy się tego nie dowie.
Po powrocie do domu rozsuwa przeszkłone drzwi i spogląda na Berlin w dole.
Piękny, nowoczesny, pełen życia.
Przynajmniej w jego oczach.
Patrzył, jak go odbudowywano, dzielono na cztery części, potem nadwie z muru pośrodku.
Granica jest już niewidoczna.
Pozostało za ledwie kilka domów jako wieczne przypomnienie.
182
Czy przyczyniłem się do powstania życia?
Jakiś mały, przypadkowy gen przetrwał wszystko, żeby zdobyć wiedzę, odnieść sukces i przekazać chromosom z moją cząstką, żeby mógł żyć dalej?
By moje życie miało jakiś sens, jakieś znaczenie?
Czy to ma być ostatni przejaw mojej próżności?
Ostateczny akt okrucieństwa, który składa się na sumę tego, kim jestem?

Rozdział dwudziesty czwarty

Anna siedzi przy wielkim dębowym biurku w pokojuadwokackim i spogląda przez okno na platan, którewłaśnie zaczynają wypuszczać liście.

W budynku cochwila dzwonią telefony.

Anna słyszy, jak wsąsiednim pokoju jej asystentka rozmawiacichym głosem z maszynistką.

Uwielbia ten wysoki pokój z gzymsami, pobrzękującymi szybami w wielkichoknach, ścianami o stonowanychbarwach.

Biurko znalazła przed latyna wyprzedazy staroci; jego masywność i wielkość - tworzące dystans między nią a klientem - dodają jej pewności siebie i podnoszą na duchu.

W dawnych czasach, gdyrozpoczynała karierę adwokacką, czuła się niepewnie, widząc po drugiej stroniebiurka klientów,którzy przychodzili doniej zeswoimidoradcami, pełni niepokoju, czasem przerażenia, z poczuciem beznadziejności własnej sytuacji - pokładali w niejcałą nadzieję. Potrzebowała masywności dębowego drewna, żeby stworzyć dystansmiędzy ich lękiem a swoimbezsronnym sądem.

Utrzymuje tu porządek.

Szerokiesosnowe deski napodłozesą wypolerowane i przykryte dywanikami.

W rogu, przy dużym kominku, stoi fotel.

Wdolnejzafce trzy184

ma czajnik i torebki z herbatą Earl Grey.

Gdy rozmawiaz klientem, Aliceprzynosi na tacy kawę.

W górnej szafce ma niewielkie lustro, jaskrawoniebieską misęz papier-mache, prezent od Rudiego, w którejtrzyma szminkę i krem nawilżający; w szafce na stojakuprzechowuje też perukę. Gdy nikogo niema w pokoju,wkłada ją czasem i patrzy w lustro: tak będzie wyglądałana starość, gdy całkowicie posiwieją jej włosy, stracąmiętkość, staną się szorstkie i sztywne.

Poirytowana, zdejmuje ją szybko i zpowrotem wiesz nastojaku w szafce.

Anna nie znosi zbędnejpróżności,ale ma świadomość,że powstrzymała te niezauważalne lata, gdy kobiecośćznika bez ostrzeżenia.

Jednego dnia idziesz ulicą płynnym,sprężystym krokiem, ludzie odwracają się za tobąlub uśmiechają na twój widok, podziwiająją falujące włosy,szczupłą sylwetkę, kobiecość,którą emanujesz.

A nazajutrzwszystkoto nagle znika.

Nawet gdy masz na sobieto samo ubranie co wczoraj i świeżo umyte włosy, nikt niewodziza tobą wzrokiem.

Ulotniłaśsię, nikt nie zauważatwojej wyjątkowości.

W ciągu jednej nocy przeszłaś doinnego pokolenia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy,bo czujesz się dokładnietak samo jak wcześniej.

Anna zawsze wyglądała olśniewająco.

Wciąż tak wygląda.

Przyciągauwagę.

Zważywszy na rodzaj wykonywanejpracy iposiadaną władzę,to zrozumiało.

Ale ma świadomość, że coraz trudniejjest jej opóźniać nadejście tychlat.

Jużnieuważa, że majądrne ciało i może doprowadzićje do doskonałości.

Widok zwiotczalej skóry ją przygnębia.

Ma mniej czasu natenisa.

Zanim poznała Rudiego, nie przykładała do tego wielkiejwagi.

Nie zastanawiała się nad wyglądem swojegościała, tak jak nie muszą się nad tym zastanawiaćkobietyozgrabnej figurze,dopóki nie osiągną wieku średniego.

Była zbyt ambitna i zaabsorbowana pracą, żeby przejmować się drobnostkami, jakie wiążą się z tym, że jest się kobietą.

Przypomina sobie rozmowę ze starszą przyjaciółką.

"To było przerażające, Anno.

Jako profesor, wybitny naukowiec w swojej dziedzinie, cieszyłam się poważaniem.

Zawsze mnie rozpieszczano i chwalono, bo odznaczałam się zarówno urodą, jak i inteligencją.

Gdy moja uroda zaczęła przygasać, opuściła mnie również pewność siebie.

Zjechała po równi pochyłej.

O tak, wciąż byłam mądrą i szacowaną osobą.

Nic się nie zmieniło.

Tyle żepo wyjściu z sali wykładowej nie wpadałam już nikomu w oko.

Gardziłam sobą za to, że tak bardzo się przejmuję, iż moja wiara w siebie gdzieś się ulotniła, że przy całej swej inteligencji wciąż patrzę na siebie oczami mężczyzny".

Anna wstaje od biurka i pochyla się nad narcyzami w wazonie, które roztańczają intensywną woń.

Czeka na Rudiego, który ma po nią przyjechać, wracając z zebrania - obiecała mu, że nie będzie pracować do późna.

Zaczyna wkładać do teczek akta sprawy, którą teraz prowadzi.

Rozlega się brzęczyk linii wewnętrznej, a potem dźwięczny głos recepcjonistki, która oznajmia, że przyszedł Rudi, i pyta, czy ma go posłać na górę.

- Poproś, żeby poczekał - mówi Anna.

- Już schodzę.

Gdy bierze zamszową kurtkę z oparcia krzesła, wchodzi Alice.

- Na twojej twarzy widać zmęczenie, Anno.

Mam nadzieję, że teraz wypoczniesz.

- Spróbuję - odpowiada z uśmiechem.

- Włączę w samochodzie komórkę, więc dzwoń domnie bezskrupowanie.

Zapisałam ci też numer telefonu, pod którym będziesz mogła mnie złapać.

Jeżeli w sprawie mojego listu odezwie się prokuratura, daj mi znać.

186

Widząc minę asystentki, Anna wybuchła śmiechem.

Alice pracuje u niej odośmiulat.

Doskonale sobie poradzi ze wszystkim, co może się wydarzyć przez dwadzieścia cztery godziny.

- No dobrze, dobrze.

Już mnie niema.

Gdy schodzi na dół, Rudi odwraca się do niej z uśmiechem i mruży oczy.

Anna przeżywa z radością chwilę najczystszej satysfakcji.

Cieszy się na myśl o wyjeździe do Londynu.

Razem wychodzą na dziedziniec, gdzie Rudi zaparkował samochód.

Anna wsiada i zapina pas.

Gdy włączają się do ruchu, widzi zielonego mercedesa, który ruszył za nimi.

Już wcześniej zauważyła to auto, zaparkowane przy parkometrach niedaleko sądu.

- Myślisz, że tym zielonym mercedesem jeździ mafia?

- pyta Rudiego.

- Może mój nieśmiały pan Brown jest Ojcem Chrzestnym.

Rudi nie jest rozbawiony.

Też zauważył wcześniej ten samochód.

- Wspomniałaś o tym ochronie?

- To był żart, kochanie!

Jak wiesz, wszyscy właściciele mercedesów zwracają uwagę na inne mercedesy.

Gdy stają na światłach, Rudi wyjmuje pióro i zapisuje numer rejestracyjny zielonego wozu.

- Chyba się tym nie przejąłeś?

- Anna żałuje, że w ogóle wspomniała o tym samochodzie.

- Nie, ale z natury jestem ostrożny.

Jak każdy bankier.

Rudini mówi Annie, że ochrona w jego banku poinformowała go, iż ktoś dyskretnie pytał o nich.

Ani teżo tym, że widział ten samochód opodal ich domu.

Zważywszy, w jakich sprawach sądowych występuje Anna, jest przekonany, że ma wrogów, a poza tym jego obowiązkiem jest dbać o bezpieczeństwo banku.

187.

Gdy Rudi manewruje wśród samochodów na zatłoczonej wieczorną porą jezdni, Anna mówi:

- Moja sprawa została odroczone na kilka dni.

Pozatym jutro mam spotkanie w Bristolu.

Więc pomyślałam, że zostanę tam na noc, a następnego dnia pojadę do Kornwalii zobaczyć rodziców.

- Dobry pomysł - przyznaje Rudi.

Skupiony na prowadzeniu samochodu, kładzie rękę na jej dłoni.

- Przy takim nawale pracy trochę odpoczynku do przyczyni zrobić.

Zjemy kolację w restauracji?

Spogląda w lusterko.

Mercedes skręcił w lewo już jakiś czas temu, ale Rudi wciąż czuje dziwny niepokój.

- Jedź jutro ostrożnie.

Zapowiadają zmianę pogody.

W południowo-zachodniej Anglii szaleją wichury i będzie pewnie lało.

Może w taką drogę powinnaś wziąć ten samochód.

Jest cięższy.

- Uwielbiam mój wóz - odpowiada Anna ze śmiechem.

- Nie zamienię mojego małego, zrywnego merca na tę kolubrynę.

Chodźmy do włoskiej restauracji.

W środku tygodnia nie powinno być kłopotów ze stolikiem.

- Dzwoniłaś do brata?

Zawiadomiłaś go o swoim przyjeździe?

- Nie.

Chcę zrobić im niespodziankę.

Rozdział dwudziesty piąty

Noc jest spokojna i cicha.

Lucy spogląda na stare zbrązowiałe fotografie polskiej rodziny, o której nic nie wie.

Na odwrocie widzi imiona, daty i nazwy miejsc, o których nigdy nie słyszała.

"Słowacja 1823".

"Czwarte urodziny wuja Karela".

"Ślub Friedy i Marika, 1917".

"Marysia w ogrodzie w Łodzi".

"Marta, 2 lata, i kuzynka Ania, 3 lata, Kraków 1926".

Lucy siada i przysuwa się do światła.

Dwie młodziwczynki, Marta.

i kuzynka Ania, otulone w palta z dużymi guzikami, owinięte szalikami, w solidnych butach, stoją na śniegu przed drzwiami.

Na tej starej fotografii rysy twarzy straciły wyrazistość, ale widać, że dziewczynki są do siebie podobne, należą do rodziny, o której istnieniu Lucy nie miała pojęcia.

Bierze do ręki niewielki plik listów zaadresowanych do Marty Ołowskiej i napisanych po polsku.

Odkłada je na bok.

Znajduje kolejne trzy listy z jej nazwiskiem na kopertach, przewiązane słowiałą wstążką, ale bez adresu, jakby doręczono je osobiście.

Ostrożnie rozwiązuje wstążkę i wyjmuje pierwszy list.

Wszystkie trzy są napisane po niemiecku; trudno je odczytać, bo papier jest bardzo kruchy.

Kochana Marto.

Piszę ten list z wielką niechęcią.
Zawsze sprawiałaś mi radość i będę myślał o Tobie jak o własnej córce.
Jak wiesz, przyjaźniłem się Twoim ojcem od studiów.
Ale te czasy się skończyły.

Nasza przyjaźń naraża na niebezpieczeństwo obie rodziny.

Wiesz, dlaczego piszę do Ciebie, moja kochana.

Nie wolno Ci więcej spotykać się z moim synem, nawet gdyby zaprosił Cię na przejażdżkę konno.
Dla niego życie jest grą, a w tej grze mogłabyś stracić życie.

Obecnie przebywasz matką w Berlinie.

Wróć tu z przekonaniem, że jest wszęchmocny.

Twój tato zapewne nie wie, że wciąż utrzymujesz z nim kontakt.

Jeśli zdołasz, zachowaj w sercu pamięć o szczęśliwych czasach.

Opiekuj się rodzicami, Martusiu.

Bądź silna, aby im ulżyć.

Heinrich Sauer

Lucy składa list zgodnie z zagięciami i wsuwa do koperty.

Na drugiej kopercie przekreślono adres i dopisano, że list został odesłany do nadawcy.

Z koperty wypadają dwie różne kartki papieru.

Pierwszego prawie nie da się odczytać: atrament rozmazał się na papierze; list jest napisany łamaną, sztywną niemiecką.

Doktorze Saurer!

Proszę się nie martwić.

Od wielu tygodni pozostaję po tej stronie żywopłotu.

Chyba nie sądzi pan, że mogłabym nie zdawać sobie sprawy, co spotyka takierodź.

jak nasza, żydowska rodzina.

Tęświat się zacieśnia.

Tracimy wszystko.

Mój ojciec stara się wysłać mnie do cioci Reny w Anglii, więc, jak pan widzi, nie musi.

za mnie odpowiedzialny.

Dorosłam bardzo szybko.

Wiem, że samo to, iż

190

w przeszłości utrzymywał pan przyjacielskie stosunki z Żydami, będzie teraz niebezpieczne dla pana i rodziny.

Znaliśmy państwa od dawien dawna.

Ale nasze życie się skończyło i nic nie możemy zrobić.

Wie pan, że już niemogę chodzić do szkoły?

Wie pan, że tato nigdzie nie może pracować jako lekarz?

Wie pan.

w sklepach nie wolno nas obsługiwać?

Na pewno pan wie.

Tato zrezygnował ze wszystkiego, żeby pracować z panem w klinice.

Ufał panu.

Nie potrafię zrozumieć.

Nikt nie potrafi.

Zachowałam w pamięci pańską przyjaźń i serdeczność, ale nie jestem już dzieckiem.

kiedyś znał.

Muszę patrzeć, jak moi rodzice są poniżani, tracą resztki godności, wszyscy.

co zdobyli ciężką pracą przez lata.

Nie jestem już Martą, pana przyjaciółką.

Dla panieistnieję, a pan nie istnieje dla mnie.

Lucytrzymam list drżącą ręką.

Marta, ta stoletniadziejczyna, pisze nie o poniżeniu, jakiego doświadcza jej rodzice, lecz o poniżeniu, jakiego sama doznawała.

Goryczdziecka i zarazem kobietywzera się w serce Lucy, jakby dopiero co została przelana na papier, a przecież zachowała się na złożonej i wyblakłej kartce i przeleżała lata w kufrze na strychu, w innym kraju.

Na drugiej kartce papieru nie ma daty; list jest krótki i bezpośredni, również napisany po niemiecku.

Zwracam pani list.

Proszę adnąmiarą nie kontaktować się z moją rodziną.

Proszę pod żadnym pozorem nie liczyć na przyjaźń mego męża.

Zarówno mój mąż, jaki synsłużą wspaniałej Trzeciej Rzeszy.

Frau Saurer

191.

Przez otwarte okno wpada zapach lata: ciężka, stęchlawoń błotnistej rzeki i kwiatów.

Lucy wyciąga się na łóżku, mocno obejmując pudełko.

Czuje smutek, który przenika jąż do szpiku kości.

Skoro zaczęła odkrywać prawdę, niemoże zrezygnować w pół drogi.

Wie jednak, że gdy odsłoni jądo końca, będzie już innym człowiekiem.

Przypomina sobie, że zapytała kiedyś nauczycielkę historii, jak to możliwe, że Anglicy nic nie wiedzieli o istnieniu obozów koncentracyjnych.

Przypomina sobie, że jak ogromnym zainteresowaniem oglądała stare czarno-białe kroniki filmowe, wszystko dlatego, że babcia pochodziła z Polski.

Zawsze była dumna, że ma polską babcie, bo to odróżniało ją od innych.

Opowiadała znajomym, jak Martha uciekła z Polski, żeby schronić się w Anglii, i w Londynie poznała dziadka.

Co za romantyczna historia.

Niemieści się jej w głowie, że dziewczyna, która napisała te listy, to babunia.

Lucy ma wrażenie, jakby zetknęła się z dwiema różnymi osobami.

Ta dziewczyna, swobodna i śmieszna swoim zachowaniem, tak bardzo angielska w sposobie bycia, jako młoda dziewczyna żyła w brutalnym, obcym świecie, znosiła niewypowiedziane cierpienia, o których potem nie była w stanie mówić.

Nie dojechała bezpiecznie do Anglii.

Stała się częścią historii, utrwalonej w tych wstrząsających kronikach filmowych, które Lucy oglądała w angielskiej szkole.

Babunia jest inną osobą, więc i ona sama jest inną osobą.

To, kim jest teraz, wynika z tego, kim stała się jej babcia.

Ona, Lucy, jest ostatnim ogniwem opowieści.

Na w pół śpiąca dalej ogląda fotografie, z których spoglądają ciemne, poważne twarze tej licznej, wielopokoleniowej rodziny żydowskiej.

Czy wszyscy zginęli?

Odeszli, zostawiając babcie samą?

Ta myśl jest tak potworna, że aż nie dozniesienia.

Przekracza możliwości jej wyobraźni.

192

Lucy zastanawia się, jak to by było, gdyby Barnaby, jej matka, dziadkowie, przyjaciele i mieszkańcy wioski nagle zniknęli i słuch po nich zaginął.

Nie jest w stanie sobie tego wyobrazić.

Leży w łóżku i dotyka palcami fotografii małej dziewczynki, która siedzi na stołeczku w ogrodzie, trzymając ręce na kolanach i uśmiechając się promiennie do obiektywu, pełna powagi i zadowolenia jak małe dziecko, które docenia wagę chwili, gdy utrwała się jego wizerunek na zawsze. Wolna od wszelkich trosk.

Pismo na odwrocie wyblakło i stało się prawie nieczytelne.

Kiedyś, z dumą i radością, napisano tam: "Moja Martusia, 1928".

Lucy wyobraża sobie, jak młodzi rodzice pisali te słowa na odwrocie fotografii swojej córki, dumni i szczęśliwi, pełni wiary, że mają przed sobą całe życie.

Potem widzi ich nieco starszych, gdy zostali pokonani i nie mogą już chronić tej drobnej istoty, której dali życie.

Składali się i chowa razem z innymi dokumentami.

Wodzi palcami po pudełku, popożółkłych kartkach, pełna obaw, że się pokruszą i znikną, jak ci ludzie, których życie zostało zgaszone, choć na tych poruszających fotografiach wciąż pali się płomieniem.

Rozdział dwudziesty szósty

Pędzą galopem.

Tętent końskich kopyt tłumi warstwa mokrych igieł sosnowych, pokrywających leśne ścieżki. Nad ich głowami, z ruchomego zielonego nieba padają ukośnie promienie porannego słońca, przykuwają wzrok swoim migotaniem, raz ciemnym, raz jasnym.

Konie galopują traktem, łebw łeb.

Marta niemal kładzie się na klaczy, przejeżdżając pod niskimi gałęziami, które wyciągają smukłe palce i drapią ją po twarzy, ciągną za włosy.

Spogląda na chłopca i wybucha śmiechem.

Tym razem wygra, napewno wygra.

Chłopiec przywiera do końskiej szyi i pędzi z kamiennym wyrazem twarzy.

Nie może znieść myśli o przegranej.

Martę rozpiera radość.

Czuje zapach końskiego potu, wilgotnych liści i swoich włosów, które Hanna umyła jej zeszłego wieczoru w deszczówce z dodatkiem lawendy.

Gdy klacz się potyka, Marta ściska ją kolanami.

Jeszcze bardziej ponagla zwierzę, bo już widać prześwit i skraj lasu.

Słyszy, jak skrzypi skórzane siodło, i kładzie się na szyi konia.

Wypadają na żalaną słońcem łąkę.

Jest pierwsza.

Wygrała.

Zawraca konia i widząc wściekłą minę chłopca, parska śmiechem.

- Oszukiwałaś!

- krzyczy chłopiec.

- Pierwszą wystartowałaś.

Dobrze o tym wiesz.

194

Podczas jazdy zgubiła wstążkę i włosy opadają jej na twarz.

Zeskakuje na ziemię igdy tylko popuszcza wodze, klacz natychmiast wsadza delikatny pysk w wilgotną trawę.

Marta przytrzymuje opadające na twarz włosy i zerka na chłopca, żeby zobaczyć, czy zamierza dalej się dąsać.

Między gałęziami drzew przedzierają się ciepłe promienie słońca.

Marta unosi twarz i przymyka powieki, nie chcąc widzieć zagniewanej miny chłopca; dusi w sobie śmiech.

On zawsze musi wygrać.

Gdyżnowu otwiera oczy, wyraz jego twarzy jest zupełnie inny.

Chłopiec zsiada z konia i stoi wpatrzony w nią.

Nie odpowiada na śmiech Marty, tylko obejmuje ją dziwnym, intensywnym spojrzeniem.

Jego oczy stają się ciemnoniebieskie, pełne płamek i gwiazdek.

Gdy podchodzi bliżej, Marta słyszy i czuje na policzku jego przyspieszony oddech.

Są tak blisko siebie, że niemal się dotykają.

Marcie mrówki chodzą po skórze.

Stoi nieruchomo.

Za jej plecami rozciąga się las, słyszy szelest opadających liści.

Ogarnia ją lęk spowodowany uciskiem w gardle, nagłą świadomością swego ciała, obcisłością sukienki na piersiach.

Nagle wstrząsa nią dreszcz, krew uderza do głowy.

Cofa się o krok i rozpuszcza włosy, które opadają jej na ramiona, zasłaniając twarz.

Doznaje ulgi.

Chłopiec nagle uśmiecha się szeroko i wyjmuje z kieszeni kawałek sznurka.

- Daj, zwiążęci włosy - mówi.

- Jeszcze się zabijesz, jadąc powrotem do domu.

Marta odwraca się, a on zaczyna zaplatać warkocz, tak jak zaplata grzywę swego konia. Czuje dotyk jego palców na szyi i znowu wstrząsa nią dreszcz; palce na chwilę nieruchomieją, a potem suną w górę, w ciepłe miejsce pod włosami, i zatrzymują się tam, zimne, przez moment.

Chłopiec zaplata warkocze gdy związuje końce włosów sznurkiem, słyszą dudnienie niczym grzmot z oddali.

Niesie

195.

się po dolinie, choć wschodzące słońce lśni na błękitnym niebie.

Marta czuje, jak jego ręka zamiera w zagłębieniu talii.

Chłopiec cofa się kilka kroków, po czym mrużąc oczy, spogląda nazamgloną dolinę.

Dźwięk przybliża się, zaczyna przypominać brzęczenie roju pszczoł.

Marta spogląda w górę i w oddali widzi sznury nadlatujących samolotów, które kierują się nawschód.

Ich cień zasłania słońce.

Dudnienie niesie się po całym niebie.

Chłopiec nie odrywa wzroku od samolotów i mówi cicho:

- Wskakuj nakonia i pędź do domu!

Szybko!

Marta wbija w niego wzrok, nie mogąc zrobić kroku.

Chłopiec odwraca się gwałtownie, podnosi ją i niemal wrzuca na siodło.

- Wracaj tą samą drogą.

Pod żadnym pozorem się nie zatrzymuj, dopóki nie dojedziesz do domu.

Marta spogląda w dół na jego twarz.

Chłopiec jest wystraszony, a przy tym dziwnie podekscytowany.

- O co chodzi?

Cosiedzieje?

Dlaczego nie wracasz ze mną?

- pyta Marta.

Wie, co znaczy pojawienie się tych samolotów, ale nie chce w to uwierzyć.

W jego oczach płonie ogień.

Chłopiec patrzy na nią z rezerwą, zamknięty w sobie - już jest gdzieś daleko.

- Jadę do moich przyjaciół - mówi.

- W takiej chwili muszę być z nimi.

- Waha się, po czym nagle przybiera twarde, zimne wyraz twarzy, jak to mu się czasem zdarza.

- Gdy wrócisz do domu, powiedz swemu ojcu, że Niemcy zaatakowały Polskę.

Zawraca jej klacz i smaga mocno pejcem.

Gdy koń ruszabiegiem, głowa Marty odskakuje do tyłu.

Trzymając się mocno siodła, dziewczyna pędzi pod ciemnymi drzewami; słońcemigocze to ciemnymi, to jasnymi błyskami.

Kopyta uderzają igły sosnowe, wokół końskiego pyska zbiera się piana, na lśniącej skórze karku pojawia się pot niczym biały naszyjnik.

196

Marcie przychodzi do głowy myśl, że ze strachu spadnie z konia.

Rzuca wodze stajennemu.

Biegnie przez trawnik, przeciska się przez żywopłot i wpada do swojego ogrodu.

W domu czeka niania ojciec.

Na jej widok otwiera drzwi, wciąga ją do środka, a potem mocno przytula do piersi.

- Niemcy.

Niemcy zaatakowały Polskę - szepcze Marta, szara na twarzy, rozdygotana, tuląc się do niego.

- Wiem, słyszałem samoloty, ale są daleko od Warszawy.

Bogu dzięki.

Marto, nie wolno ci wymykać się samej z domu.

Twoja matka może wiedzieć.

Dlaczego tato nie wpadł w złość?

Przecież go nie posłuchała.

Nie wierzyła, że mówił o chłopcu.

Nie wierzyła, że Niemcy zaatakują Polskę.

Marta drży nacałym ciele.

Nie może myśleć o niczym innym, tylko o tym, że chłopiec zostawił ją bez opieki i kazał wracać samej do domu.

Jej serce przepięnia gorycz, ma poczucie, że została zdradzona.

Tato obserwuje jej twarz.

Domyśla się.

Mówi cicho:

- Świat, tam na zewnątrz, zamknij się przed nami.

Twoje dzieciństwo się skończyło, Martusiu.

Tutaj, teraz.

Bierze ją za rękę i sadza na krześle.

Na widok jego poszarzałej, spiętej twarzy Martę ogarnia lęk.

- Jak długo mogłem, chroniłem cię przed tym, co się dzieje wokół nas.

Tu, na wsi, nie było to takie trudne.

Nie musiałaś patrzeć codziennie na to, co się dzieje na ulicach Warszawy.

Ale nie jesteś ślepa ani głucha.

Słuchasz opowieści Hanny.

Musisz szybko dorosnąć i poznać prawdę.

Jesteśmy Żydami, moją dziecku, to oznacza, że ludzie będą wyrzekać się przyjaźni dopuszczając zdrady.

- Obróć rękę Marty w swą dłoń.

Gdy patrzą sobie w oczy, jego spojrzenie jest pełne smutku, a jednocześnie zdecydowania.

- Zapomnij o domownikach sąsiadów.

Niemcom nie wolno przyjaźnić się z Żydami.

Nigdy więcej ich nie prowokuj, Marto.

197.

Dziewczynka odczuwa przejmujące zimno.

Tego dnia, o świcie, chłopiec zagwizdał na nią - przeciągły, niski gwizd oznaczał, że czeka z osiodłanymi końmi.

Nie mogła oprzeć się wonideszczu, parskaniu klaczy ani chłopcu, do którego ojciecniemiał zaufania.

Przecież byli przyjaciółmi.

Był to ostatni dzień, kiedy śmiała się z czystej radości życia, z poczucia swobody, gdy na błękitnym niebie wstawało słońce.

Lucy otwiera cicho drzwi izerka na Marthę.

Przez cały dzień babcia była niespokojna.

Leży w łóżku, pogrążona we śnie, ale prześcieradło i koc są skotłowane w nogach, a puchowa kołdra spadła na podłogę.

Lucy poprawia pościel, opatula nogi Marthy, nakrywa drobną postać kołdrą, wsuwa brzeg podramionastaruszki.

Obserwuje jejtwarz.

Martha śpi niespokojnie, rzuca się przewraca z boku na bok.

Lucy siadana łóżku i głaszczeją po włosach.

Po chwili Martha się uspokaja i zaczyna oddychać równo.

Lucy opuszcza napalcach sypialni delikatnie zamyka drzwi.

Wychodzi do ogrodu i wsłuchuje się w dźwięk dzwonów.

Za tydzień już jejtunie będzie, nie dopilnuje babci, nie uspokoi jej, gdy Martha będzie miała zły dzień, gdy będzie zdenerwowana i wystraszona, nie pamiętając, jaki jest porządek codziennych zajęć.

Czy Barnaby znajdzie dla niej czas?

Czy zwróci na wszystko uwagę?

Niebo ma fioletowy odcień.

Ciężkie, niskie chmury przyprowadzają o duszność.

Przez całe życie, od wczesnego dzieciństwa, gdy miała dość opiekunek, nazbyt surowych niańczykropnej szkoły z internatem, mogła zawsze podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić do babci, żeby mieć pewność, że nic złego tak naprawdę się nie dzieje.

Łagodny głos, niczym kojąca muzyka, przemawiał tak długo, aż się uspokoiła i doszła do siebie.

198

Między nimi istniało zawsze coś, czego nie dało się wyrazić słowami.

Od chwili narodzin była połączona pępowiną z Marthą, a nie z Anną.

A teraz musi opuścić Marthę.

Niewykluczone, że Martha umrze podczas jej nieobecności - tamyśl jest niedozniesienia.

Lucy biegnie pędem domowego domku, gdy pierwsze strugi deszczu leją się z fioletowego nieba.

Rozdział dwudziesty siódmy

Przy śniadaniu właścicielka hotelu wręcza Kate kartkę papieru.

- Dave Pasco prosił, żeby pani zadzwoniła do pastora, jeśli wciąż chce pani zamieszkać w wiosce.

Siostrzenica pastora, Lucy, przeprowadza się do Londynu, więc domek pewnie będzie stał pusty.

- Kobieta wpatruje się w Kate.

- Sądziłam, że pani.

Kate uśmiecha się szeroko.

- Pracuję u pastora.

Nie wiedziałam, że jego domek będzie dowynajęcia.

Dziękuję za wiadomość.

- Będzie pani musiała porozmawiać z pastorem, dowiedzieć się, jakie ma plany.

Innymi słowy, czy będzie chciał, żeby zamieszkała u niego - myśli Kate.

- Domek należałoby odmalować, a poza tym nie wiem, czy lubi pani dźwięk dzwonów kościelnych.

Kobieta uśmiecha się i odchodzi.

Kate obraca w palcach kartkę papieru.

Czuje, jak narasta w niej ożywienie.

Ten domek stoi w zasadzie na plaży.

Stara się powściągnąć radość.

Rzadko kiedy człowiek ma takie szczęście.

A może pastornie będzie chciał, żeby mieszkała tak blisko?

Idzie przez wioskę w stronę kościoła.

Zastanawia się, kiedy najlepiej zagadnąć Barnabiego.

by'ego.

Nie wie, w jakich godzinach pracują pastory.

Wolałaby nie zwracać się do niego w niedogodnej chwili.

Najpierw obejrzy ten domek.

Kate ma na sobie jasnożółte dżinsy, kolorową kurtkę kupioną w Bombaju i nowe, lekkie buty turystyczne, ponieważ chce przejść się ścieżką nad brzegiem morza.

Tego ranka zauważyła, że odrastają jej krótko obcięte włosy, a jasna skóra zaczyna brązowieć za sprawą morskiej bryzy słonego powietrza.

Jej samopoczucie także się zmienia.

Już nie odczuwa przymusu wewnętrznego, pod wpływem którego ścięła długie kasztanowe włosy powrocie z Karaczi po śmierci Dory.

Dziecinny bunt, który kazał jej założyć sobie kolczyk w nosie, gdy była z grupą przyjaciół w Glastonbury, już dawno przygasł.

Stoi przy furtce prowadzącej na dziedziniec kościoła i spogląda na domek po przeciwnej stronie ulicy.

Z małych, otwartych na ościeżokien dolatuje dudniąca muzyka.

Okna i drzwi należałoby pomalować, ale to nie zakłóca idealnych proporcji domku ani nie mąci przyjemności, jaką daje jej ten widok.

Unosi twarz ku błękitnemu słońcu, wzdycha i nawet nie zdaje sobie sprawy, że na jej ustach pojawia się uśmiech.

Nie ma ochoty ruszać się z tego miejsca - stoi w słońcu, oparta o furtkę, wpatrzona w domek po drugiej stronie.

Nawet nie słyszy, jak Barnaby zamyka drzwi kościoła i rusza w jej stronę ścieżką.

Dopiero gdy jest blisko furtki, dochodzi do niej odgłos jej kroków.

Zaskoczona odwraca się, widzi rozbawione piwne oczy i przez chwilę jest zakłopotana własną radością.

- Dobry Boże!

To zapewne pani szuka w tej wioscedomku do wynajęcia.
Miło mi panią poznać.
Barnaby z całą powagą wyciąga rękę na powitanie.
Widząc, że z niej żartuje, Kate oblewa się rumieńcem.

201.

- Owszem, szukam - odpowiada, zażenowana, że jąprzyłapał, jak kręciła się przy wejściu na teren kościoła.

-Dave spali się zewstydu, gdyuprzytomni sobie, żestracił kontrolę nadwioskową elitą.

- Barnaby spoglądana rękę Kate: drobną, bardzo kobiecą,z jasnoróżowymipaznokciami.

Dotyk tejmlodej dłoni sprawia mu przyjemność, jakiej od dawna nie zaznał.

- Chciałabyś zobaczyć, jak wygląda wewnątrz?

Jest niewielki.

- Wystarczy dla mnie jednej.

Barnaby pcha furtkę prowadzącą do ogrodu i odsuwawisające gałęzie.

- Muszeje przyciąć - mruczy pod nosem.

Odwraca się,przytrzymując gałęzie, żebyKate mogła swobodnie przejść.

- Powiniennem cię ostrzec: Lucy się pakuje, więc Bóg raczywiedzieć, co zastaniemy w środku.

Lucy?

Jesteś tam?

Prowadzi Kate przez tylnewejście do małej kuchni wyłożonej kamiennymi płytami.

Na górze słyhać jakieś poruszenie, potem łomoti głośne "Jasna cholera!

".

- Lucy!

- upomina surowoBarnaby, ale widać, że niejest ani zgorzony, ani oburzony.

-Mogłabyśzejść nadół?

Mamy gościa.

Gdy zjawia się Lucy, podenerwowana, w wyświechtanym ubraniu, Kateorientuje się wjednej chwili, że niejest to odpowiednia pora na wizytę.

Spogląda na nią z zakłopotaniem, aleLucy nie odpowiada uśmiechem.

- Kate chciałabywynająć mieszkanie w wiosce -wyjaśnia Barnaby.

Widzącobojętą minę Lucy, Kate szybko dodaje:

- Przepraszam za towtargnięcie.

Chciałam poczekać zadzwonić później, ale pastor.

- Mów mi Barnaby.

-... natknął się namnie przy kościele,gdy spoglądałamrozanielonym wzrokiemna ten domek, i pewno czuł

202

się zobowiązany mnie zaprosić, zanim sobie pójdę.

Przepraszam, Lucy, wiem, że to nieodpowiednia pora.

Słyszac szczerość wjej głosie, Lucy niechętnieustępuje.

- Kiedyś musi nadejść dzień, gdy ktoś się tu wprowadzi.

Zawsze traktowałam ten domek jako swój prywatnyteren i nie mogę znieść myśli, że ktoś inny tu zamieszka.

- Doskonale cię rozumiem.

Też bym się tak czuła.

Niechciałabym, żeby jacyś ludzie go oglądali, gdy jeszcze tu jestem.

Barnaby z podziwem patrzy,jak Kate radzi sobiez Lucy.

- Czy mogłabyś oprowadzić Kate?

- prosi Barnaby.

- A ja skoczę do domu po teczkę i zamienię paręsłów zpaniąBiddulph.

Lucy, ubrana w wypłowiałe dzinsy i niezbytbiałą bluzę,patrzy z podziwemna wspaniałą kurtkę Kate.

Jakoś niemadoniej pretensji, żechce wprowadzićsię do jej ukochanego domku.

- Tu jest kuchnia,bardzo mała, jak widzisz, ale możnawytrzymać.

ubikacja na dole.

a dalej ganek przy drzwiach od frontu, których nigdy nie używamy.

A to salon.

Wspaniały i przestronny - zapewne powstał z połączenia dwóch pokoi.

- Lucy stara się załatwić sprawę
jak najszybciej.

Wbiega na schody, a Kate za nią.

Podest jest zastawiony pudłami i torbami pełnymi śmieci.

- Przepraszam za ten bałagan.

Z łazienką trzeba coś zrobić, ja już przywykłam, nie zwracaj na to uwagi.

Okna dużej sypialni wychodzą na ogród.

Zajmuje ją Anna, gdy tu przyjeżdża.

A to moja sypialnia, niewielka, ale z łóżka widzę morze i przez sen słyszę krzyki ptaków.

Kate wyczuwa, że Lucy biera się na płacz, więc kieruje wzrok w stronę okna: wieża kościelna, za nią połyskująca

203.

niebieska tafla wody - nie może się doczekać, kiedy tuzamieszka.

Odwraca się plecami dookna, słysząc głos Barnaby'ego kroki na schodach.

Widzi znikające pod łóżkiem pudełko, które Lucy szybko przesunęła nogą.

- Co będziesz robić w Londynie?

- pyta.

- Uczyć zagranicznych studentów angielskiego.

Potem jadę na trzy miesiące do Mediolanu w ramach wymiany.

- Szczęściara.

Schodzą na dół na kawę zaparzoną przez Barnaby'ego.

Kate pyta, w jakiej dzielnicy Londynu Lucy będzie mieszkać, i wychwala zalety Notting Hill.

Zachwyca się miastem i jego atrakcjami.

- Skoro tak lubisz Londyn, dlaczego się stamtąd wyprowadziłaś?

- Przez wiele lat mieszkałam w dużych miastach i naagle zaprzagnęłam odmiany.

- Czy się zajmowałaś?

- Pracowałam dla różnych organizacji charytatywnych, głównie na Dalekim Wschodzie.

Potem przez kilka miesięcy byłam zatrudniona w redakcji czasopisma podróżniczego.

Dzięki koneksjom rodzinnym.

Moja ciotka wydaje ten magazyn.

Lucy spogląda na nią z podziwem.

Biorą kubki z kawą i siadają w ogrodzie, w zacisznym miejscu osłoniętym dużym żywopłotem z eskalonii, który oddziela tę część ogrodu od domu Marthy i Freda.

Kate z zachwytem patrzy na domek: niczym z piernika, trochę zaniedbany, okap z płytek łupkowych, jakby przycupnął, czekając na nią.

- Jaka jest historia tego domku?

- pyta Barnaby'ego.

- Dziadek mojego ojca pozostawił mi ogromny dom, który widać tam, między drzewami.

Wyjątkowo brzydki

204

i ciemny.

Fred sprzedał go, ale zatrzymał działkę.

Postawił na niej dom dla siebie dla Marthy, tak usytuowany, żeby przez cały dzień do środka wpadało słońce.

Dlatego wszystko wypłowiło!

- Babunia stworzyła ten ogród z niczego - wtrąca Lucy.

- Rodzice przenieśli się tu z Londynu zaraz po wojnie.

Zamieszkali w małym domku należącym do majątku, a jednocześnie budowali nowy, większy.

To był ich pierwszy wspólny dom - tak więc wiąże się z nim wiele radosnych wspomnień - ale okazał się za mały dla większej rodziny, poza tym moja matka jest wrażliwa na zimno.

Tunie ma słońca przez cały dzień.

- Uśmiecha się do Kate.

- Rodzice poznali się w Londynie podczas wojny.

Martha, która, jak wiesz, urodziła się w Polsce, mieszkała tam, a Fred był na przepustce.

Podobno zakochał się w sobie od pierwszego wejrzenia.

- Wspaniała historia.

Urodziłaś się tutaj?

- Nie, w dużym domu.

Moja siostra Anna przyszła na świat w Londynie, zanim rodzice przeprowadzili się do Kornwalii, natomiast niewiele brakowało, by urodziła się tu Lucy.

Anna chciała rodzić w prywatnej klinice i uparła się, żebym zawiózł ją do Londynu.

Ale Lucy była tak nieznośnym dzieckiem - dodaje, uśmiechając się do siostrzenicy - że szybko znalazła się w Kornwalii, razem z surową nianią.

- Nigdzie nie mieszkałam tak długo jak w tym domku
 - wtrąca ze smutkiem Lucy.
 - Nawet gdybyła malutka, wolała spać tu, a nie w dużym domu - mówi Barnaby do Kate.
 - Nie przeszkadzała wam bliskość cmentarza?
 - Duchy rzadko mnie niepokoją.
 - Mam nadzieję, że cię nie zatrzymuję.
- Kate zwraca się do Barnaby'ego, widząc, że przegląda kalendarzyk.
- 205.

Rzeczywiście, odrywa go od obowiązków- powinien już być w Penzance - ale w tej chwili chce się upewnić, że wynajmuje domek właściwej osobie.

- Zanudzisz się - mówi Lucy.

- Jesteś przyzwyczajona do wielkomiejskiego życia, a tu niewiele się dzieje.

Człowiek, który stąd nie pochodzi, może czuć się bardzo osamotniony.

- Próbujesz mnie niechęcić?

- pyta Kate z rozbawieniem.

Lucy poraz pierwszy się uśmiecha.

- Skądże.

Jestem tylko ciekawa, dlaczego chcesz zamieszkać tak odległym miejscu i akurat tutaj.

- Sama nie wiem.

Też chciałabym się dowiedzieć.

Lucy jest zaskoczona sensowną odpowiedzią.

- A więcco sądzisz o domku?

- pyta.

- Przypuszczam, że doskonale wiecie - mówi Kate, czując na sobie baczne spojrzenie Barnaby'ego.

- Tak bardzo chcę tu zamieszkać, że aż boję się o tym myśleć.

Lucy podziwia jej szczerość.

Wybucha nagle śmiechem, odrzucając do tyłu głowę.

Jaśniej urodą jak wschodzące słońce.

W Kate znowu odzywa się lęk o tę dziewczynę, pragnienie, by ją ochronić.

Dostrzega w niej niewinność, którą sama utraciła.

Umiejętność cieszenia się chwilą.

- Co ty na to, Barnes?

- pyta Lucy zaczepnym tonem, dobrzewiedząc, że o takich sprawach należy rozmawiać na osobności.

- Moim zdaniem, jeśli już musimy wynająć komuś domek, to właśnie Kate.

- Nieczekając na odpowiedź, zwraca się do Kate: - Domek jest wspólną własnością mojej matki i Barnaby'ego.

Anna najchętniej obciążyłaby mnie czynszem, a teraz, gdy wyprowadzam się stąd, będę w siódmym niebie, wiedząc, że Barnaby nie ma już wymówki i musi pobierać pieniądze od najemcy.

- Jesteś niemożliwa, Lucy - karcija łagodnie Barnaby.

206

Kate podnosi się i oddaje Lucy pustą kubek.

- Muszę już iść.

Dziękuję za kawę.

Cieszę się, że zechciałaś pokazać mi wnętrze, Lucy.

- Odwraca się do Barnaby'ego i mówi: - Wiem, że musisz to wszystko przemyśleć.

Czy mógłbyś jednak dać mi odpowiedź możliwie szybko?

Patrzy mu w oczy, starając się nie zrazić go zbyt optymizmem.

Barnaby jest rozbawiony i wzruszony, widząc, jak bardzo jej zależy, by wprowadzić się do domku.

- Jeśli tylko chcesz, nie mam nic przeciwko temu, żebyś tu zamieszkała.

Czynsz wynosi dziewięćdziesiąt funtów tygodniowo.

Tylko zastanów się, czy chcesz mieszkać tak blisko miejsca pracy.

- Wcale mi to nie przeszkadza.

- Twarz Kate promienieje radością.

- Nawet nie muszę się nad tym zastanawiać.

- Więc sprawa załatwiona - oświadcza Barnaby.

Stoi obok Kate, czuje cytrynowy zapach jej olejku i bezmierną, cudownie zaraźliwą radość.

Kate żegna się i z wawym krokiem idzie do furki.

Niskie gałęzie zaczepiają o jej włosy.

Biegnie w stronę plaży, wspina się na wydmy i pokonuje szybko dobrą milę, nie posiadając się z radości.

Ach, ten domek, cudownymały domek.

Holender, życie jest fantastyczne.

Rozdział dwudziesty ósmy

Berlin

Jest łagodny, bezwietrzny dzień.

Wsiada do samochodu i jedzie do lasu na długi spacer.

Wiewiórki śmigają podzewach.

O wczesnej porze, w powszedni dzień, jest tucicho - słychać tylko śpiew ptaków.

Spacer gospokają.

Przychodził tu jeszcze za czasów studenckich.

W umyśle tłoczą się wspomnienia oderwanych, z pozoru nieistotnych zdarzeń, niczym fotografie wepchnięte doszuflady biurka i zapomniane.

Słyszy strzępy rozmów, które przepływają jak przez pajęczą sieć i wynurzają się na powierzchnię.

Miała czternaście lat, kiedy Mutti zabrała go do Prus, jadąc w odwiedziny do krewnych.

Pokazała mu dom, w którym dorastała.

Wydał się surowy, podobnie jak otoczenie i mieszkający tam ludzie.

Dalecy krewni wypytywali go, czym się zajmuje, sprawdzali jego lojalność wobec Fuhrera.

Sadzili go napotężne konie i kazali ćwiczyć szablę, jakby był Mongołem ze stepów.

Zapał pruskich kuzynów miał jednak w sobie coś zaraźliwego.

Nagle zapragnął być człowiekiem nieustraszoną.

Zrozumiał też, dlaczego matka z taką dumą opowiadała o rodzinie, którą rzadko widywała.

I dlaczego miała tyle przedzeń.

208

W dzieciństwie postrzegał Mutti jak kobietę piękną, silną, niemal doskonałą.

Wpoila mu przekonanie, że wszystko można osiągnąć - wystarczy zrobić krok, by odnieść sukces i mieć władzę.

Ojciec był inny.

Mutti uważała, że jest człowiekiem słabym; szeptała chłopcu do ucha, że to on musi być głową rodziny.

Mówiła mu, że jest podobny do jej ojca i do niej.

Wciąż powtarzała, jak dumny byłby z niego dziadek z Prus.

Przypominała, że pochodzi z arystokratycznej rodziny, że wiele się od niego oczekuje, że nie może jej zawieść.

Matka była piękną kobietą, ale z czasem jej serce przepelniło się goryczą.

Nie znosiła, gdy jej przypomiano, że ma polską krew w żyłach.

Uwielbiała swego ojca, natomiast nie cierpiała matki, która - o ile się orientował - zmarła w młodym wieku, mając doś ich obojga, i pozostawiła im swój majątek oraz dom w Polsce.

Dziadek z Prus, wrogo nastawiony do wszystkiego, co polskie, zdążył przed śmiercią roztrwonić pieniądze, zostawił córce niewiele więcej prócz domu w Polsce, którym zarządzali polscy krewni.

Dom był zaniedbany, dziadek nie pozwolił marnotrawić pieniędzy żony na utrzymanie jej posiadłości w Polsce.

Po jego śmierci matka przeprowadziła się do Berlina i tam poznała przyszłego męża.

Oglądał jej zdjęcia z tamtych czasów.

Jako osiemnastoletnia dziewczyna olśniewała urodą.

Jego ojciec był zamożny.

Na początku wieku jego rodzinę przetransportowano na przyłączone tereny polskie, aby zaludnić je rdzennymi Niemcami.

Podobnie jak jej ojciec, Mutti lubiła wydawać pieniądze.

Początkowo - jak sądzi - była zadowolona i wdzięczna, że mąż wkłada pieniądze w majątek i otwiera klinikę, z czasem świetnie prosperującą, na skraju lasu.

Jednak szybko zmieniło jej życie.

Bardzo lubiła dom,

ale tęskniła za atrakcjami miasta.

W marzeniach pragnęła wieść dotychczasowe życie, najchętniej w Berlinie.

Gdyby Mutti nie przypominała mu na każdym kroku, że ich sąiedzisą Żydami, gatunkiem ludzi całkowicie od nich różnym, czy postąpiłby inaczej?

Przywołując teraz swe odczucia z dawnych czasów, czy uważa, że zminimalizował albo odsunął w niepamięć młodzieńcze pragnienie posiadania władzy, gdy z taki zapałem i próżnością kroczył dumnie naprzód, aby ją sprawować?

Władzy, która umacniała się i rozszerzała, gdy Niemcy zaatakowały Polskę, a matka zaczęła bałwochwalczo wielbić Hitlera.

Nakłaniała go, żeby wyśmiewała się z ojca, pogardzała jego "miłością do Żydów".

W młodości nigdy nie śmiała przyznać przed matką, że podziwiała żydowską rodzinę, ich sąsiadów.

Byli interesujący, wykształceni; mieli książki w obcych językach, czytali amerykańską literaturę i fachowe dzieła medyczne, o których jego ojciec nawet nie słyszał, dopóki nie przyjechał do Warszawy.

Lubił tę rodzinę.

Zwłaszcza dziewczynkę.

Najlepiej pamięta jej śmiech, zaraźliwy śmiech, który niósł się jak fala po ogrodzie sięgającym skraju lasu.

Bawił się z nią w chowanego i wyskakiwał z nienacka z zawiłej, rozłożystej jabłoni.

Zapamiętał z dzieciństwa, jak matka siedzi z niezadowoloną miną pod jabłonią i patrzy na przejeżdżającą konno trójkę złożoną z niego, ojca i tej małej dziewczynki.

Była ona wesoła, szalona, ponad wiek rozwinięta.

Teraz to dostrzega.

Dziwne, ale ze wszystkich kobiet, które znał, właśnie ona najbardziej zasługiwała na imię przyjaciółki.

Zaraził ją pasją do koni.

Uwielbiała swobodę, pęd, podniecenie i ryzyko, jakie wiążą się z jazdą konno.

210

Była jedyną osobą, która się go nie bała.

Znała jego nastroje, stawiała czoło jego okrucieństwu i pokazywała mu, jakie jest bezsensowne.

Może domyślała się, że za ich wspólne zabawy dostaje od Mutti w skórę.

Dziewczynka akceptowała go takim, jaki był - przez całe dzieciństwo.

Potem, gdy piękniała i rozkwitała, a jej ciało nabierało krągłości, nawet przelotny dotyk jej dłoni sprawiał, że drżały mu nogi.

Ale to wszystko się skończyło.

Ją i jej rodzinę musiał sprowadzić do poziomu innych Żydów.

Nienależeli do rasy ludzkiej, nie byli godni pożądanego - należeli do kategorii podludzi, byli brudni i niebezpieczni.

Musiał tak postąpić.

Człowiek zawsze ma wybór, myśli teraz.

Ojciec poszedł jedną drogą, ja - drugą.

To właśnie wspomnienia tych zdarzeń, te migawki, ciągle przenoszą go do ogrodu, w którym stał ten polski dom.

Słyszy głosy: Mutti, ojca i jej.

Szepczą w ciemnościach.

Zawsze mu towarzyszą.

Poznał tysiące sposobów, żeby je uciszyć: alkohol, praca, kobiety.

To nieprawda, że nie zna samego siebie.

Zna aż nadto dobrze.

Ale trudno mu pogodzić się z tym, jakim był chłopcem, jak okrutnie postępował.

Nie sposób powiedzieć, w jakim stopniu kierowała nim czysta złośliwość, a w jakim żalony strach

własną skórę.

Niczym schizofrenik oddzielił murem chłopca od mężczyzny, czasy przed wojną od czasów po wojnie.

Nakreślił linię.

Zamknął drzwi.

Mutti zgorzkniała na starość.

Przegrana Yaterlandu.

Koniec romansu z Führerem.

Pewnego razu usłyszał, że jacyś rozbawieni chłopcy mówią o niej Frau Hitler.

Nie dożyła czasów, gdy powstał nowy, zamożny Berlin Zachodni.

Z Zachodu popłynęły pieniądze, które miały chronić przed sowieckim komunizmem.

Życie kulturalne rozkwitło.

Odbudowano przemysł.

Mutti patrzyła

211.

z chmurną miną, jak w latach pięćdziesiątych jego pokolenie odzyskało wolność i skorzystało ze sposobności, byraz jeszcze przeżyć młodość - jeździć rowerem po lasach, pływać w jeziorach, urządzać pikniki.

Spodobałyby sięjaj nowo powstałe teatry, galerie, muzea.

Berlin byłpodzielony, ale każdymógł przemieszczać się z jednej części do drugiej i mieć kontakt z obiema kulturami.

Jednak Mutti nie była już ani młoda, ani piękna, więc pewno nie odwiedzałyby tych przybytków.

Pewnego dnia, pod koniec wojny, szła aleją Unter den Linden, gdzie dawniej mieściły się budynki administracyjne Rzeszy i ambasady, i płakała na widok zburzonych pałaców.

Świat szedł dalej, Mutti zaś tkwiła w miejscu.

Nie dożyła dnia, gdy otrzymała tytuł doktora, a potem profesora na Freie Universität.

Umarła w swoim mieszkaniu, częściowo odnowionym, pełnym pamiątek po Hitlerze.

Gdy ją pochował, poczuł żal, że nie wie, kiedy i jak umarł jego ojciec.

Zawsze sobie wyobrażał, że ojciec upadł w śnieg i pozostawiony tam, umarł.

Niestety ojciec nie dowiedział się, że syn spełnił jego marzenie i został lekarzem.

Przysiągł czynić dobro i leczyć chorych.

Nie może powiedzieć ojcu, że dochował tej przysięgi.

Specjalizował się w ortopedii i całe życie zawodowe doskonalił i opracowywał metody składania złamanych kości.

Jednak zna siebie, wie, że jest oziębły.

Nie spowodowała tego wojna.

Zawsze taki był głęboko w środku.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Lucy budzi się, słysząc uporczywe pukanie do tylnych drzwi domku.

Gdy widzi na progu swoją matkę, jest zaskoczona i wściekła.

- Z jakiej racji się zjawiasz, nie racząc nikogo z nas uprzedzić!

Wystarczyło zadzwonić.

Chciałaś mnie nakryć, Anno.

To jasne.

- Trudno ci pewnie w to uwierzyć, Lucy - odpowiada Anna z westchnieniem - ale świat nie kręci się wokół ciebie.

Wczoraj po południu miałam spotkanie w Bristolu, więc tologiczne, że postanowiłam jechać dalej.

- Stawiam w holu podręczną walizeczkę.

- Zostaję tylko na jedną noc i nie mam ochoty na kłótnie.

Poza tym, Lucy, nie muszę prosić cię o pozwolenie, by zatrzymać się w własnym domu.

Mija Lucy i idzie do kuchni.

- Czy Barnaby odprawia mszę?

W kościele pali się światło.

Nie chciałam wchodzić do dużego domu, żeby nie zbudzić Marthy i Freda.

- Barnaby udziela komunii.

Jak zawsze w czwartki.

W ciasnej kuchni Anna manewruje wokół Lucy, żeby zagotować wodę w czajniku.

- Zostało trochę ciepłej wody w bojlerze?

Chciałabym wziąć prysznic, a potem zrobić dla nas śniadanie.

213.

- Wody jest mnóstwo - mamrocze pod nosem Lucy
-tylkonie wiem, w jakim staniezastanieszłazienkę.
- Na wszelki wypadek wezmę ze sobą to - odpowiadaż uśmiechem Anna, zabierając proszek do czyszczeniai ścierkę.

Gdy idzie poschodachna górę, słyszy ponury głos córki:

- Nie jadam śniadań.

Nie mam pojęcia, czy jest pieczywo.

- Przywiozłam francuskie rogaliki, płatki śniadaniowej świeżo zmieloną kawę.

Lucy odprowadza ją wzrokiem.

Nieznosi, kiedy matkawciągu kilkuminut przejmuję władzę nad całym domem i zaczyna rządzić, jakby tylko ona miała prawo tu przebywać.

Wie, że zachowuje się jak dziecko.

Za każdym razemgdy zostaje sama, z dala od matki, przysięgasobie, żewięcej jej nato nie pozwoli, że będzie się zachowywaćw sposób dojrzały i opanowany, co zirytuje Annę bardziej niż dziecinne grymasy.

Nigdy jednak nie potrafi wytrwaćw tym zamiarze.

Idzie na góręsię ubrać.

Gdy słyszy szumwody w łazience, znowuogarnia ją rozdrażnienie.

To w stylumatki

-wpaść bez zapowiedzi, naruszyć jej prywatną przestrzeńi zepsuć ostatnie dni w tym domu.

Raptem jej wzrok pada na pudełko Marthy, które znowu zostawiła na widoku.

Szuka wpośpiechu miejsca, gdzie jeschować.

Nie zdążyła przejrzeć wszystkich papierów.

Już nie może ich czytać.

Po prostu nie może.

Miała okazję porozmawiać z Barnabym, ale nie poruszyła tego tematu.

Z nikimnie chce dzielić się tym, co przeczytała.

Gdyby nie todziwne świadectwo urodzin, być może zwróciłaby się domatki z pytaniem, czy przeglądała kiedyś zawartość tego pudełka.

Czujejednak, że Anna o niczymnie wie.

Postanawia schować pudełko Marthyw sekretnej kryjówce z dzieciństwa, przyoknie wykuszowym.

Ława pod

214

spodem wygląda jakzwykły mebel pokryty grubymi warstwami lakieru, ale po naciśnięciu małej sprężynypodnosi się wieko i ukazuje się schowek, gdzie Lucy zawsze trzymała swoje skarby.

Sprężynę zamontował Fred, gdy miała jedenaście, może dwanaście lat i prowadziła pamiętnik.

Podejrzewała, że Anna przegląda jej rzeczy osobiste, wobec tego Fred, który odnawiał wtedy domek, zrobił jej tętajemnąskrytkę.

Anna była przekonana, że podczas ferii Lucy wpadła w nieodpowiednie towarzystwo, a Fred przypuszczał, że Annarzeczywiście grzebie wrzeczach Lucy.

Dzień jest szary i równie ponury jak jej nastrój.

Lucy wkłada dzinsy i sweter, poczym wychodzi z Homerem naspacer.

Na ścieżce przy kościele widzi Barnaby'ego, którego poważna mina dowodzi, że zdążył już zobaczyć srebrnego mercedesa, zaparkowanego przed domkiem.

Lucy zatrzymuje się przy bramie i czeka na wuja.

- Niespodzianka!

Anna załatwiała jakieś sprawyw Bristolu, więc przy okazji wpadła do nas.

Barnaby bije się myślami.

- Anna ma pełne prawo tu przyjeżdżać - mówi w końcu.

- Jasne.

Pewne jest też to, że nie minie południe, a atmosfera w domu stanie się okropna.
Anna zdenerwuje opiekunki i utwierdzi nas w przekonaniu, że czegoś nie zrobiliśmy, nie pamiętaliśmy, nie dopatrzyliśmy.

Barnaby uśmiecha się krzywo.

On też odczuwa znajomy lęk, że Anna, jak zwykle, wytkniemu jakieś potknięcia.

Poraz kolejny okaże wyższość nad młodszym bratem, da mu odczuć, że jest nieudacznikiem, niewydarzonym pastorem, którego można traktować protekcjonalnie, bo wiedzie zaściankowy żywot.

Szybko odsuwa od siebie temyśli, zanim podkopią jego poczucie wartości.

- Nie poznaję cię, Lucy.

Skądto przygnębienie?

Od kilku dni chodzisz z ponurą miną.

Głowa dogóry, musimy

215.

połączyć siły.

- Milknie, uświadamiając sobie, że jegosłowa brzmią jak kwestia Jacka Hawkinsa stojącego nadziobie fregaty w którymś z czarno-białych filmów wojennych.

Absurdalne.

-Wiesz, na jak długo przyjechała Anna?

- Tylko na jedną noc, dzięki Bogu.

Zaraz wracam.

Idę naplażę z Homerem.

- Grzanki na tarasie za dwadzieścia minut?

- pyta żartobliwie Barnaby i czule tarł jej włosy.

- Dwie - odpowiada z bladym uśmiechem.

Lucy biegnie ścieżką nad morze.

Czuje, że wiatr przyniesie deszcz.

Nad przystanią zbierają się świetliste chmury zwiastujące kolejną burzę.

Z niepokojem myśli o rozpoczynającym się dniu, o wyjeździe w przyszłym tygodniu, o nowej pracy.

O tym, czego się dowiedziała.

Nie chce żadnych zmian, a tu nagle całe jej dotychczasowe bezpieczne życie przewraca się do góry nogami, wszystkowsyglądając, niż sądziła.

Ludzie powinni zawsze mówić prawdę, wtedy trzeba się bać, że na czymś się ich przyłapie.

Lucy czuje zbierające pod powiekami łzy.

Dochodzi do wody i idzie brzegiem plaży.

Tuż przed burzą morze wygląda niesamowicie: mieni się intensywnymi kolorami, aż nazbyt śmiało, nazbyt jaskrawymi.

Oślepia.

Słychać grzmot, błyskawica przecina niebo, woda zaczyna się burzyć.

Żywioty dają znak ostrzegawczy.

Kolorowe łodzie rybackie zawracają, uciekają przed złowrogimi czarnymi chmurami.

Zbiornikowce szukają schronienia w osłoniętych zatokach.

Gdy spadają pierwsze krople deszczu, Lucy zawraca i biegnie w stronę domu, a za nią podąża zasapany Homer.

Lucy ma wrażenie, że czai się w niej jakiś ślepek, tak dziwny jak barwy tego dnia.

Nie potrafi stawić czoła matce choć wie, że zachowuje się niewłaściwie, przebiega koło

216

1

domku, nawet nie przystając.

Dostrzega kątem oka plecy Anny, która je śniadanie przy jej stole.

Wpada na podjazd i biegnie do dużego domu.

Martha czeka przy oknie.

Lucy chwytają w ramiona i tuli mocno, zalana łzami.

Zatroskana Martha próbuje otrzeć jej łzy drobnymi, zdeformowanymi palcami, choć nie ma pojęcia, dlaczego Lucy płacze.

- Och, kochanie - mówi.

- Uderzyłaś się?

- Nie, babuniu.

Nic się nie stało.

Jadłaś już śniadanie?

- Chybanie.

- Tu jestem - rozlega się głos Barnaby'ego.

Barnaby nakrył już do stołu w oranżerii.

Rozchodzi się cudowny zapach grzanek.

Barnaby pomaga usiąść Marcie, a obok niej robi miejsce dla Lucy.

Bez słowa wręcz siostřenicy chusteczkę higieniczną i każdej z nich podaje gorącą, posmarowaną masłem grzanekę.

Woła Freda, sam siada przy stole, po czym nalewa wszystkim herbatę z dużego czerwonego dzbanka.

Lucy wie, że właśnie w ten sposób Barnaby radzi sobie z sytuacją - jest łagodny, gdy nie ma ochoty na serdeczność, w rezultacie łagodność zwycięża, a on nie musi robić sobie wyrzutów.

Dostrzega początki łysiny i pękające żyłki zmęczonej szczerej twarzy.

Barnaby chronił ją przez całe swoje życie, a ona nie może teraz ochronić go przed niczym przed życiem.

Anną.

smutną starością rodziców.

.. samotnością.

Kto będzie nad nim czuwał po jej wyjeździe?

Lucy bierze do ust grzanekę i zaciska zęby, żeby powstrzymać łzy.

Anna zmywa naczyńia po śniadaniu, opłukuje zlew, porządkuje kuchnię, a potem obejmuje wzrokiem cały

217.

dom, nieopisanie brudny, zastawiony torbami, do których Lucy bez ładu i składu pakowała swoje rzeczy.

Całeszczęście, zeta dziewczyna wracado Londynu; będziemysiawziąć sięw garść, żeby utrzymać się w nowejpracy.

Barnabyją rozpieścił - zawsze to robił, od najwcześniejszych lat.

Pobyt w domu rodzinnym jak zwykleprawiająwprzygnębienie; nasuwa przytłaczającewspomnieniaz dzieciństwa.

Kornwalia.

Bezkręśna szarość kolejnychdługich wakacji.

Zazdrość, że rodzice koleżanek mogązafundować im wakacje w ciepłych krajach.

Ciągła nuda.

Dni podobne do siebie jak dwiekrople wody, mijającejedenzadugim.

Matka w kapeluszu z szerokim rondem, godzinamiw ogrodzie, głucha na wszystko, pogrążona w swoim małym świecie.

Przesiadywanie na plaży ze zniszczoną książką, obok Barnaby'ego, który budował zamki z piasku.

Anna nie mogła znieść tego powolnego rytmu.

Przygnębiali ją zadowoleni z siebieprovincjusze, szczęśliwi, że mogą mieszkać nad morzem, niezważający na to, że świat mknie dalej, zostawiając ich w tyle.

Teraz też niepotrafi zrozumieć, jak można wegetować w takim beztroskim chaosie.

Jej życiez Rudim upływa w szaleńczymtempie i najważniejszą rzeczą jestwłaściwa organizacjadnia.

A tu, w Kornwalii, musiborykać się z bałaganiarstwem Lucy i sentymentalizmem Barnaby'ego.

Zapalaukradkiem papierosa i idzie do salonu.

Komputer Lucy zajmuje dużączęść stołu.

Uwagę Anny przykuwa nagłówek artykułu leżącego na innych papierachz programem nauczania i informacjami dotyczącymi pobytu w Mediolanie.

Zaciekawiona siada i zaczyna czytaćtekst, który Lucy ściągnęła z internetu.

218

Wysokie wypłaty dlaofiar Holocaustu

Szwajcarskie banki wypłacą1,25 miliarda dolarów odszkodowania

1998Houston Chronicle News ServicesNOWYJORK: Przedstawiciele banków

szwajcarskich i żyjących ofiar Holocaustu doszliw śródeporozumienia, na mocy którego banki wypłacą 1,25 miliarda dolarów odszkodowania ofiarom z czasów nazizmu.

Kwota tazostanie przekazana w ciągu czterech lat.

W tejsumiemieszczą się również roszczenia wobec dwóch bankówhandlowych, w którychbyły zarejestrowane nieaktywnekonta.

Gdy hitlerowskie Niemcy podbijały Europę, dziesiątki tysięcy ofiar Holocaustu ulokowało pieniądze w bankach szwajcarskich z nadzieją na ich odzyskanie.

Po drugiej wojnieświatowej banki nie podjęły rozmówzżyjącymi właścicielami lokat i spadkobiercami ofiar, twierdząc, że dane tych kontzaginięły, lub żądając przedstawieniaświadczenia zgonu.

Dlaczego Lucy interesuje się tymi sprawami?

W dalszejczęści artykułu przytaczane są wypowiedzi osób w zaawansowanym wieku, które mogą nie dożyć realizacji warunków porozumienia.

Annę ogarnia dziwne uczucie: jakieś wspomnienie kołaczesej w jej głowie, jakiś znajomyból zaczyna ją drażyć.

Wstaje i spogląda przez małeoknona niebo, zasnutefioletowymi chmurami.

Ten widok maw sobie cośgroźnego, podobniejak nieuchwytnes wspomnienie z przeszłości.

Nagle przypomina sobie pewien deszczowy dzieńw czasie letnich wakacji; miała wtedy może dziesięć lat;

bardzo się nudziła.

Mały domek stał pusty- poprzednilokatorzy sięwyprowadzili, nowych jeszcze nie było.

Fred

219.

często go wietrzył i zostawiał szeroko otwarte okna, zwłaszcza gdy coś malował. Otwierała oścież drzwi wejściowe, żeby do holu wpadało słońce.

Lubiła wchodzić do środka, siadać na krześle, wędrować po pokojach. Fruwające w zatechłym powietrzu pyłki kurzu migotały w słońcu i łaskotały ją w nosie. Panowała tam zastygła, ciężka atmosfera, jakby ściany nasłuchiwały albo czekały na coś. Przychodziła tu i siadywała na ławie pod oknem, żeby poczytać lub porysować. Mogła być zupełnie sama; nikt nie zakłócał jej spokoju.

Fred wiedział, że Anna przychodzi do małego domku. Zwłaszcza gdy była mała, rozumiała jej potrzebę samotności. Nie oczekiwał od niej wyjaśnień, dlatego tak lubi atmosferę pustego domu. Na kuchennym stole zostawiał jej czasem herbatniki i coś do picia - jak niewidzialny przyjaciel.

Tamtego wrześniowego popołudnia poszła na górę i zobaczyła, że drabina jest przystawiona do ściany, a strychotwarty, żeby wyschła farba na suficie.

Anna podciąga się nakrawędzi otworu i wchodzi naczworakach do środka. Kieszonkową latarką oświetla zatechłe pomieszczenie. Na połowie poddasza, między belkami nośnymi, ułożone są deski, ułatwiające przechowywanie rzeczy i dostęp do nich.

Wszędzie jest pełno martwych pajaków, a nawet zdechła mysz. Na zakurzonej podłodze leżą dwie maski przeciwgazowe - wyglądają żłowieszco jak puste twarze ludzkie - i jakieś pozostałości z czasów wojny: zasłony do zaciemniania okien, konserwy wojskowe, żołnierski płaszcz z mosiężnymi guzikami, pogryziony przez myszy, które założyły w nim gniazdo. Pod ścianą stoją skórzane walizki z wyblakłymi, wytartymi nalepkami, książeczki z kuponami żywnościowymi i słomkowy kapeluszonek zdobiony różami, w którym Anna chyba widziała kiedyś Marthę na zdjęciu.

220

Odwraca się oświetlając latarką narożniki pomieszczenia, dostrzega coś w rodzaju tajemnego pokoiku, na tyłach strychu, w jego najciemniejszej części. Jest prawie niewidoczny, bo zasłania go podniesiona kłapa. Zaintrygowana podpełza bliżej, uważnie stawiając nogi. Wodzi latarką, żeby znaleźć wejście w przepierzeniu z płyty pilśniowej, i w końcu, podekscytowana, wyczuwa pod palcami zasuwkę, odsuwa ją, a wtedy jeden z paneli przepierzenia uchyla się jak drzwi.

W pokoiku stoi tylko kufer.

Anna z trudem wczołguje się do środka i oświetla wnętrze latarką. Rozpoznaje stary uczniowski kufer swego ojca. Obok niego widzi tekturowe pudła z dokumentami i nowiutką kłódkę. Ma wrażenie, że ktoś niedawno otwierał kufer i dokładał kolejne dokumenty dotych, które są porządnie upakowane.

Anna bierze dwie brązowe koperty leżące na samym wierzchu i przesuwając się w stronę otwartej klapy, żeby mieć więcej światła. W pierwszej kopercie znajduje zdjęcia Freda z dzieciństwa. Mały chłopczyk na kucyku prowadzony przez stajennego, w tle ogromna budowla. Zdjęcia rodzinne na szerokich kamiennych schodach z dwoma granitowymi lwami u dołu. Fred z swoimi braćmi małymi dziewczynkami w białych sukieneczkach. Fred z matką i ojcem. Fred z nianią.

Anna jest urzeczona - i onieśmielona.

Zna historię rodzinną:

dziadkowie nie chcieli zgodzić się na ślub jej ojca z polską Żydówką. I pomyśleć, że mogłyby spędzać wakacje w tym okazałym domu. Mogłyby urodzić się w zamożnej rodzinie zajmującej wysoką pozycję. Mogłyby przechwalać się przed szkolnymi koleżankami.

A tak jest córką niezamożnego lekarza rodzinnego i chodziło prywatnej szkoły tylko dlatego, że dostała stypendium.

Gdyby jej ojciec ożenił się z jakąś Angielką, nie zostałby wydziedziczony.

Odkłada kopertę na bok i bierze drugą, dużo większą.

Wyjmuj stare, zniszczone dokumenty, a na spodzie znajduje paskę na ramię z żółtą gwiazdą i jakiś naszyjnik.

Zamiera

221.

w bezruchu.

W tych rzeczach jest coś niesamowitego i znajomego.

Ogarnia ją przemożnyłęk i zaczyna się trząść.

Ma wrażenie, że jej pamięćto gęstamgła, która się przesuwa,ale nie unosi.

Palce same wędrująw stronę żółtej gwiazdy.

Niczym lunatyczka Anna podnosi opaskę i wsuwa w nią szczupłą rękę.

Opaska spoczywana jej ramieniu.

Słyszy,jak ktoś wołająz daleka po imieniu.

Pyłki kurzu wpadają jej do nosa,powietrze staje się jakieśinne: nieruchomei gęste.

Anna szybkozdejmujeopaskę i kładzie na zakurzonychdeskach.

Bierze do ręki naszyjnik z aksamitu.

Bezwiednie wywraca go nalewą stronę, awtedy ze środka wypadają drobneokruszki i kawałeczek pogniecionej tekturki.

Jak w transie ślinipalec i dotyka okruszków, które leżą w kurzu, wśród mysichodchodów.

Unosipalec doust i prawie przykłada go do warg,gdynagleprzytomnieje.

Gdzieś w dole, coraz bliżej, słyszy głos ojca.

Z nieczystymsumieniem, pospiesznie, wsuwa dokumenty do kopert, nawetich nie przeglądając.

Jedna kartka zostaje naddarta.

Anna próbujezłożyć ją na nowo, żebyzmieściła się w kopercie, inaglena tym dziwnym kawałku papieru dostrzega swoje imię.

"AnnaEstera.

". Wpatruje się w rozłożoną kartkę.

Przecieżmana nazwisko Tremain.

Tremain.

Znowu ślini palec i wycieranazwisko, które nie jest jej nazwiskiem, trze tak uporczywie, żeprawierobi dziurę, kropla śliny spada na papier, zamazując.

Rozgniewany głos ojca słysząc już na piętrze.

Wchodzi podrabinie.

Jego głowa za chwilępojawi się wotworze.

Annaw pośpiechu wrzuca kopertydo kufra i czołga sięszybko nadrugi koniecstrychu, ocierając sobie skórę na kolanach.

Jest przestraszona.

Wie, że nie wolno jej tutaj wchodzić.

Gdyojciec się pojawia, Annaspogląda naniego z góry; jasnewłosa,wilgotne od potu i zakurzone, opadają jej na oczy.

Ojciec unosigłowę i patrzy na nią.

- Zejdźna dół, Anno.

Natychmiast.

222

Rusza w dół podrabinie, Anna za nim,brudna izakurzona.

- Poczekaj tu.

Ani mi się waż stąd ruszyć.

Fredwchodiz powrotem na górę iwczółguje się na strych.

Anna słyszy,jak układa rzeczyizamyka kufer.

Rozlega siętrzask zamykanej kłódki, potem szuranie drzwi.

Ojciec schodzi na dół.

Anna nie widziała go jeszcze tak rozgniewanego.

- Nigdy więcej niewchodź na strych.

Deski mogą się rozsunaći zrobisz sobie krzywdę.

Zrozumiałaś?

Ale ojciec gniewa się na nią nie dlatego, że na strychu jestchybotliwa podłoga -Anna

doskonale to wyczuwa.

Widząc bladą, przejętą twarz i wystraszone niebieskie oczy, pochyla się nad nią i zdejmuje pajączyny z koszulki polo i szortów.

- Zapomnij o tym, co się wydarzyło dziś po południu, Anno.

Nigdy nie weszłaś na strych.

Nigdy nie grzebałaś w czyichś prywatnych rzeczach, bo wiesz dobrze, że nie wolno tego robić.

Zgadza się?

Anna drętwo kiwa głową.

Ojciec wyprowadza ją z małego domku.

- Napijemy się teraz herbaty.

Mama upiekła ciasto.

Co robiłaś po południu?

Byłaś na plaży?

Bawiłaś się w ogrodzie?

Dziewczynka w mig pojmuję, o co chodzi ojcu.

- Przez całe popołudnie zbierałam na plaży muszelki.

Ale tejnocy śni jej sięciemnowłosa dziewczyna o wymizerowanej twarzy.

Przez chwilę przytula Annę do piersi, a potem przekazuje ją jakiemuś człowiekowi ubranemu chyba w mundur.

Dziewczyna, która ma na sobie płaszcz z żółtą gwiazdą, płacze i obejmuje mocno Annę.

Ta czuje, jak zbierają się wokół niej ciemności i wciągają ją w głąb.

Nie może złapać oddechu.

Usiłuje się wydostać, alen nie może się poruszyć.

Zaczyna krzyczeć.

Zjawia się Fred, który bierze ją w ramiona i kołysze w ciemności, a ona trzyma się go kurczowo, zalana łzami.

Pierwszy i ostatni raz kogokolwiek tak kurczowo się trzyma.

223.

- To tylko sen, kochanie, niedobry sen.

Niedługo zrobisz jasno.

- Jesteś moim ojcem.

Jesteś moim ojcem - powtarza raz poraz Anna.

- Oczywiście, że jestem twoim ojcem, głuptasku.

A ty moją ukochaną córeczką.

Spróbuj teraz zasnąć.

Następnego ranka Anna nie dopuściła do siebie tych myśli.

Zawsze umiała wymazywać z pamięci przykre sprawy.

Niewchodziła na żaden strych.

Poprzedniego dnia spędziła całe popołudnie na plaży, zbierając muszelki, które wsypuje do słoika po dżemie na dowód, że właśnie tym się zajmowała.

A potem przyklejała słoika nalepkę i mozolnie, wyraźnie pisze na niej datę.

Rozdział trzydziesty

Anna idzie przez mały ogród przy domku, schylając głowę pod niskimi gałęziami drzew.

Furtka, prowadząca do zarosniętego ogrodu rodziców, jest otwarta.

Anna obejmuje wzrokiem trawnik usiany stokrotkami, krzewy i drzewa, rozrosnięte i splątane gałęziami.

Ten wiejski chaos ma w sobie coś atrakcyjnego.

Trochę przypomina "utracone ogrody" w Heligan¹ bez ich bogatej historii.

Zupełnie nieodpowiednie miejsce dla pary starych ludzi.

Tu czas się zatrzymał; pielęgnacja domu i ogrodu wymaga ogromnej pracy.

Anna staje i szybko przelicza w myślach, ile można dostać na wolnym rynku za taką nieruchomością: dom z rozległym ogrodem i wiejską chatę z widokiem na morze.

Całkiem sporo.

Ceny nieustannie rosną.

Jest zaszokowana, widząc, w jak kiepskim stanie to wszystko się znajduje.

Drzwi garażu wypadły praktycznie z zawiasów.

Obsunął się dach starego kurnika.

Trawniki przypominają łąkę porośniętą dzikimi kwiatami.

Dotychczas uważała, że rodzice powinni dalej tu mieszkać, ale teraz widzi, ile trzeba przeznaczyć pieniędzy na utrzymanie domu

¹ Heligan - posiadłość rodziny Tremaynew Konwalii.

Przeprowadzono tam zakrojone na ogromną skalę prace konserwatorskie, aby przywrócić do dawnej świetności łąki i parki, pozbawione opieki przez siedemdziesiąt lat (przyp.

Bum.).

225.

i ogrodu.

A na to rodziców nie stać.

Wkrótce wartość posiadłości zacznie spadać z powodu zaniedbania i wszyscy natym stracą.

A gdyby tak wspólnie z Rudim spłaciła Marthę Freda?

W ten sposób rodzice mieliby potrzebne im pieniądze.

To dobra inwestycja.

Znalazłaby im gdzieś w okolicy niewielki bungalow z małym, łatwym do utrzymania ogrodem.

Martha i Fred mieszkali tu całe życie, ale w końcu wszystko sprowadzają do tego, żeby zadbać o ich dobro.

Dysponowałaby jakimś kapitałem.

Bóg raczy wiedzieć, ile kosztuje w zimie ogrzewanie tego ogromnego domu.

Przynajmniej będą przygotowani na wypadek śmierci jednego z rodziców albo na konieczność umieszczenia któregoś z nich w domu opieki.

Z uzyskanych pieniędzy będą mogli pokryć koszty opiekuna.

Ten plan jest naprawdę sensowny.

Anna snuje te rozważania, choć dobrze wie, że Barnaby będzie się sprzeciwiał takiemu rozwiązaniu wszelkimi sposobami.

Zawsze kochał ten dom, jest z nim związany - w przeciwieństwie do niej.

Gdy dziadek Freda zapisał mu w spadku majątek ziemski w Kornwalii - wcześniej zakupiony przez jego ojca dla kaprysu, aby mieć teren do gry w golfa - wyrządził wnukowi ogromną przysługę, choć w owym czasie nie zdawał sobie z tego sprawy.

Fred posadził tam rzadkie i cenne drzewa, które oddzieliły dom od części ogrodowej.

Teraz, piękne i potężne, są chronione jako zabytki przyrody.

Fred sprzedał starą rezydencję i na terenie, gdzie niegdyś był kort tenisowy i ogród warzywny, postawił oryginalny i trochę dziwaczny dom w stylu kolonialnym.

Zaprojektował go wspólnie z Martha, która chciała mieć duże i przestronne pokoje, jeden po drugim pełne słońca cały dzień.

226

Kilka lat temu prawnik doradził Fredowi, żeby sporządził akt darowizny na rzecz dzieci, co pozwoliłoby im uniknąć płacenia podatku spadkowego.

Fred oddał mały domek Annie i Barnaby'emu, gdy Lucy przeprowadziła się do Kornwalii na stałe.

Barnaby zapewne zdaje sobie sprawę, że zasoby finansowe Freda będą się stopniowo kurczyły.

Fred nigdy nie miał innych dochodów oprócz tego, co zarobił jako wiejski lekarz rodzinny.

Nawet jeśli krewni pozostawili mu w spadku niewielkie kwoty, to jego fundusze niewątpliwie i tak są ograniczone.

Byłoby najsensowniej - myśli Anna - gdyby mogła występować jako pełnomocnik rodziców. Nie zamierza psuć krwi Barnaby'emu, ale przecież z racji swego zawodu lepiej potrafi ocenić ich potrzeby.

W przeciwieństwie do brata może spojrzeć na całą sytuację z dystansu i na chłodno przeanalizować.

Okrąża dom, przecina trawnik i schylona przechodzi pod rozłożystym figowcem, z którego spadają na nią rzęsiście krople rosy.

Widzi ględy osób siedzących przy okrągłym stole w oranżerii, pod winoroślą; zatrzymuje się i obserwuje domowników, korzystając z tego, że jeszcze jej nie zauważyli.

Wydają się tacy bliscy.

Na ulamek sekundy ogarnia ją dziwna, nieznajoma tęsknota - a może dziecięca zazdrość?

Znajduje się pozatą rodziną, spogląda na nią z zewnątrz, jak zawsze.

Wie, że zaburzy sielski spokój tej idyllicznej sceny, ale nie może się pohamować.

Rusza, a pod jej stopami szeleszczą duże liście figowca.

Widzi, jak twarz Barnaby'ego tężeje na jej widok, ale zaraz przebiega po niej przelotny uśmiech, padają słowa powitania.

Lucy dostrzegamatkę i odpowiada skinieniemgłowy, nie mogąc zdobyć sięna uśmiech.
Fredwstaje odstołu i podchodzi do Anny.

227.

- Jak to miło cię widzieć, kochanie.
- Ciebie też, ojcze - odpowiada Anna, całując go w policzek.
Odwracasz się do matki i napotyka obojętne spojrzenie.
Nie jest przygotowana na taką reakcję.
Tożak uderzenia w twarz.
- Mamo?
- mówi ze smutkiem.
Fred obchodzi stół szybkim krokiem i staje przy Marcie.
- Przyjechała Anna, kochanie.
Czy to nie wspaniałe niespodzianka?
Martha wciąż patrzy na Annę tak, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.
Anna podchodzi bliżej bierze matkę za rękę.
- To ja, mamo, Anna.
Martha zerka na swoje pokrzywione palce spoczywające w zadbanej, zgrabnej dłoni, po czym podnosi wzrok i mówi uprzejmie:
- Pani jest moją córką.
Pani nazywa się Frau.
Frau.
- Zwraca twarz do Freda i szepcze: - Kto to jest, kochanie?
Nie mogą sobie przypomnieć.
- Jeśli nie jestem twoją córką, mamo, to samajuz nie wiem, kim jestem - mówi Anna, spoglądając z góry na Marthę.
Parska śmiechem, obracając wszystko w żart, ale jest jej przykro.
- Chodź ze mną do kuchni, Anno - włącza się Barnaby, dotykając jej ramienia.
- Właśnie zaparzyłem kawę.
Gdy oboje są w kuchni, stara się wyjaśnić sytuację.
- Bywają dni, kiedy bardzo męci jej się w głowie.
Dziśma niedobry poranek.
Za chwilę przypomni sobie, kim jesteście.
Przepraszam, że taksję stało.
- Za co mnie przepraszasz?
Przecież tonie twoja wina - mówi burkliwie Anna.
- Nie miałam pojęcia, że jest z nią aż tak źle - ciągnie, spoglądając na Barnaby'ego
228
oskarżycielskim wzrokiem.
- Dlaczego nikt mi, do licha, nie powiedział, że tak się zachowuje?
- Prawie rok temu mówiłem ci, że mama cierpi na Alzheimera - odpowiada Barnaby, podając siostrze kubek z kawą.
- Od twojej ostatniej krótkiej wizyty minęło niemal dziewięć miesięcy.
Choć przez ten czas nie widziałamamy, chyba zdajesz sobie sprawę, że choroba się pogłębia.
- Dodaje łagodnym tonem: - Próbowałam ci powiedzieć przez telefon, że jest z nią coraz gorzej.
- Zawsze, gdy rozmawiam z nią przez telefon, wyrażasz może trochę mgliście, ale mniej więcej normalnie.
- To tak jak z psem Pawłowa.
W kontaktach towarzyskich mama zachowuje się normalnie: pyta o zdrowie, odpowiada na zwykłe pytania - robi to z nawyku.
Ale w sekundę po odłożeniu słuchawki już nie pamięta, z kim o czym rozmawiała.
Anna, o dziwo, milknie.
Jest szokowana pogarszającym się stanem Marthy, choć nigdy nie przyznałaby tego przed Barnabym.
Sama nie wie, co spodziewała się tu zastać.

Matka zawsze była drobnej budowy, ale teraz usycha.

Gasną ogromne ciemne oczy i żywy uśmiech, który niegdyś rozjaśniał jej twarz.

Już nie widać oznak bystrości umysłu.

Anna nie przypuszczała, że ogarnie ją tak dotkliwie poczucie straty.

Barnaby widzi, że Anna jest przygnębiona, ale nie wie, w jaki sposób ją pocieszyć i jednocześnie nienarazić się na opryskliwą odpowiedź.

Szuka słów, które nie będą brzmiały protekcyjnie, które Anna będzie w stanie przyjąć.

Lucy jest z Marthą w sypialni i pomaga jej się ubrać.

Fred zamknął się w ubikacji z "Daily Telegraph", jak to ma w zwyczaju o tej porze dnia.

- Za jakiś czas mama będzie mogła całkiem sensownie z tobą porozmawiać.

Niezbyt długo, ale.

229.

- Jak zamierzasz poradzić sobie z tym wszystkim bez Lucy?

- przerywa mu obcesowo Anna.

- Sytuacja będzie wkrótce beznadziejna.

Fred miewa się chyba nie najgorzej, ale trudnego zmuszać do życia w takich warunkach.

Być może stan mamy wpływa na jego zdrowie.

Zasięgałeś fachowej porady, Barnaby?

Zastanawiałeś się, czy nie oddać jej do domu opieki?

Twarz Barnaby'ego tężeje.

- Mammy doskonale opiekunki.

Powoli zbierzemy grupę osób, które mama lubi; będą przychodziły tu na zmianę.

W razie potrzeby postaram się pomóc w większym zakresie.

Fred i Martha zawsze żyli razem.

Nie rozumiem, jak coś takiego mogło przyjść ci w ogóle do głowy, Anno.

Na razie dajemy sobie świetnie radę.

- Ale jak długo?

- Mówiłem, że gdy zajdzie potrzeba, znajdę więcej opiekunek.

Martha i Fred nie zamieszkają w domu opieki, ani razem, ani osobno.

To nie jest konieczne.

- Jeszcze nie teraz, ale wkrótce może tak być.

Nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy, Barnaby.

A jeśli mama nie będzie mogła utrzymać moczu?

- Zastanowię się nad tym w odpowiednim czasie.

- Barnaby uprzytamnia sobie, że zacisnął pięści.

Tylko Anna potrafi tak go rozzłościć.

- Dlaczego chcesz umieścić ich w domu opieki, skoro dajesz sobie radę?

Wiesz doskonale, jak tam jest.

Nie wytrzymają w takim miejscu.

Anna spogląda przez okno i widzi, jak Fred idzie wolnym krokiem przez ogród w stronę karmnika dla ptaków.

Zbiera się na deszcz - ojciec przemoknie do suchej nitki.

Spodnie wiszą na nim luźno, powłóczy nogami jak starzec.

Sprawiawrażenie, żeszuka zajęcia, by wypełnić sobie czas.

- Czy to rzeczywiście takie złe rozwiązanie?

- pyta Anna cicho.

230

Barnabyśledzi jej spojrzenie.

Jak tyle razy przedtem, mrozi go wręcz patologiczna nienawiść Anny do wszystkiego, co nieuporządkowane albo nieprzydatne.

Rozgniewany, odwraca się do niej i mówi ostrym tonem:

- Wracaj do domu.

Nie musisz siedzieć tu urażona, żetwoi rodzice się starzeją.

W ogóle nie musisz się tym przejmować.

Nie proszę cię o pomoc finansową.

Nie musisz zajmować się tymi sprawami.

Kiedy oboje umrą, zawiadomię cię o tym listownie.

Czy to ci odpowiada?

Anna dopija kawę i wolno stawia kubek na stole.

- Nie dramatyzuj, Barnaby.

Jesteś tak zaabsorbowany codzienną opieką nad nimi, że nie możesz albo nie chcesz myśleć perspektywnie, zastanowić się, co będzie dla nich najlepsze z medycznego czy psychologicznego punktu widzenia.

Oczywiście, nie miałam na myśli byle jakiegodemu opieki.

Są dobre zakłady, gdzie wszystkie potrzeby Marthy będą zaspokajane w miarę pogarszania się jej stanu zdrowia.

- Przypuszczam, że realizacja twojego pomysłu będzie wymagała sprzedaży domu.

- A w jaki sposób pokryć koszty?

- Mam przez to rozumieć, że ty i Rudi uwolnicie ich od tego kłopotu za odpowiednią waszym zdaniem sumę?

Anna rumieni się ten jeden raz, czując, że została wymanewrowana.

- No.

niekoniecznie.

Oczywiście, będzie trzeba oszacować wartość domu i wystawić go na sprzedaż na wolnym rynku.

Barnaby nie może się otrząsnąć z przygnębienia i ruszać stronę drzwi.

- Muszę się zająć przygotowaniami do pogrzebu.

Wróć na lunch.

Już przy drzwiach odwraca się i mówi:

231.

- Nie chcę ciągnąć tej rozmowy.

Temat jest zamknięty.

Postaraj się nie denerwować opiekunek, bardzo cię proszę.

Dobrych ludzi ze świecą szukać.

- Barnaby!

- woła za nim Anna.

-Może byś się zastanowił, co kieruje twoim postępowaniem.

Czy to normalne, żeby rezygnować z własnego życia dla dwojga starych ludzi, którzy już swoje przeżyli?

A mozenie jesteś w stanie oderwać się od Marthy i Freda, nie potrafisz żyć samodzielnie?

Tak czy owak.

- zatacza łuk ręką- to wszystko wygląda dość smętnie, nie sądzisz?

Barnaby słyszy jej triumfalny śmiech, cichy inercyjny, który służył mu się w dzieciństwie.

Błąd z gniewu mówi:

- Wydaję się, Anno, że to nie ja mam problem.

Zamyka za sobą drzwi.

Lucy wybiega z domu i wsuwa głowę do samochodu.

- Słyszałam co nieco.

Nie pozwól, żeby ci dopiekła, Barnes.

Niezwracaj na nią uwagi.

Sam wiesz, że taksję zachowuje, gdy jest przygnębiona albo mapoczuwiny.

Coś nią wstępuje inie może się pohamować.

Musimy to jakoś przeżyć.

Nie martw się, proszę cię.

Sercami się kraje.

- Nie mapowodu do obaw, kochanie.

- Barnaby głaszcze Lucy po głowie.

-Zobaczymy się podczas lunchu?

- Tak.

Nie przejmuj się.

Będę się tu kręcić.

Dzisiaj przychodzi Kate.

Nie chcę, żeby było jej przykro.

Dziadkowie ją wielbiają, ale mama dostanie ataku apopleksji, gdy zobaczy ten kolczyk w nosie i wytatuowanego motyla.

Uzna, że Kate się nie nadaje.

O Boże.

oby ten dzień szybko minął.

Lucy wraca czym prędzej do domu.

Barnaby, podniesiony na duchu, śmieje się do siebie.

Dzięki ci, Boże, że mamy Lucy.

Rozsądna dziewczyna.

Wie, że przez Annę przemawia poczuwiny.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Mama ma piękną książkę, oprawioną w jasnobrązową skórę, ze złotym literami grzbiecie.

Jest to książka podróżnicza, wydana prywatnym sumptem, napisana przez Anglika,

który podróżował po Polsce na początku dwudziestego wieku.

Skrupulatnie przetłumaczył ją na polski dziadek Marty, ojciec mamy, a potem zilustrował pięknymi akwarelami i rysunkami, które robił podczas licznych podróży.

Zanim Marta może dotknąć książki, mama każe jej umyć ręce i usiąść przy stole, żeby nie poplamili się kartki i nie wygiął grzbiet.

Marta nie umie jeszcze czytać, mama siada więcobok niej,delikatnie podnosi bibułkę, która chronirysunki, i zarumieniona z radości przewraca stronice, pokazując Marcieksiążkę.

Książka jest wyjątkowo cenna dla mamy, ponieważ jejojciecbrał udział w powstaniu przeciwkoRosjanom i zginąłw walce.

Jak rzesze Polaków z klasy średniej, arystokracji i duchowieństwa, dzielnie walczył o niepodległą Polskę.

Ta książkabyła jego ostatnim podarunkiem dla żony.

Małeobrazki przykuwają uwagę Marty, ponieważ stroje Polaków sąatakudownie kolorowe, a ich twarzetakie smutne.

Mama mówi jej, że twarze są poważne,a nie smutne, aleMarta ma inne zdanie.

Z oczu tych ludzi bije melancholia, jakbydławił ich bezgłośny płacz.

233.

Marta jest oczarowana światem, który przeminał.

Oto pannamłoda w czepku mieniącym się czerwienią, żółcią i błękitem.

Biała bluzka z rękawami zmarszczonymi przy mankiecie i koronką pod szyją, gdzie widać czerwone korale.

Bogato zdobiony staniksukni i szeroki dół kwiaty.

Wielobarwna pelerynanarzuconana ramiona.

Dłonie spoczywają nieruchomo, bez życia, na kolanach.

Spod czepka wystaje kosmyk ciemnych włosów.

Kobieta ma gładką ziemistą cerę, gęste łukowate brwi, prosty nos i zaciśnięte usta.

Jej oczyprześladują Martę.

Ich spojrzenie jest skierowanewdół, nie na portrecistę.

Widać w nim bezmierny smutek, który sprawia, że Martę ściska coś w gardle - ułożenie rąk też świadczy o beznadziejności.

Smutekmalujesię na twarzach wszystkich Polaków z tych ilustracji.

- Dlaczego są tacy przygnębieni?

- kolejny raz pyta Martamamę.

- Tak widział ich artysta i oddał to na obrazach.

Takie miał odczucie, co nie znaczy, że wszyscy namalowani ludzie byli nieszczęśliwi.

W tych twarzach zobaczył odbicie ponurych czasów, w jakich przyszło im żyć.

Marta nie rozumie, co mama chce przez to powiedzieć.

W tej książce są wymienione dawno zapomniane miejscowości, miasta, które już nie istnieją albo inaczej się nazywają, ale i takie, które wciąż należą do świata Marty.

Zakopane.

Tatry.

Jest tam piękny obraz warszawskiej Starówki, pogrążonej w mrok.

U dołu widać małe postacie, namalowane cienką warstwą farby, okutane kolorowymi pelerynami, w czepkach zasłaniających twarze - zapalają świece w kościele, tłoczą sięna rynku.

Później, gdy Marta umie już czytać, książka przywołuje imiona dawnych księżniczeki królów, cesarzy i zdobywców, świat, który istnieje jedynie w podręcznikach historii.

Marta bardzo

234

chce wziąć tę książkę i czytać ją w samotności, ale mama nato nie pozwala.

Gdy Marta jest już starsza, pewnego popołudnia, tak mroźnego, że nie można wybrać się na konną przejażdżkę, ostrożnie zdejmując książkę z półki, siada przy stole i zaczyna uważnie czytać.

Hanna wcześniej niż zwykle rozpałała ogień w kominku, więc chłód tak bardzo nie dokucza.

Marta otwiera książkę, nachylił trafił, patrzy na swoje ulubione ilustracje i po raz pierwszy czyta dokładnie podpisy.

Angielski podróżnik jest nieodmiennie urzeczony pięknymi barwą wiejskich krajobrazów.

Mówi o dobroci, otwartości i wytrwałości Polaków, o trudnościach, jakie stwarza rosyjska biurokracja, o architekturze.

Potem opisuje "dzielnice żydowską".

Marta czyta wstrząśnięta, rozgorączkowana.

Autor pisze:

"Wszędzie Żydzi.

Złowrodzy.

śniadzi.

brudni.

służalcy.

Nieuczciwi.

Ulice zaniedbane, hałaśliwe, zatłoczone.

Okropnepejsy.

Kulę się ze strachu na myśl, że któryś do mnie podejdzie, będzie chciał mnie dotknąć.

".

"Kulisie się ze strachu".

Słowa uderzają Martę, przyprawiają ją o dreszcz.

Drżącymi palcami trzyma delikatną bibułę.

Przypomina jej się FrauSaurer, która zawsze patrzy na nią jak nabrudasa.

Zawsze.

Nigdy nie zwraca się wprost do niej, nie patrzy w oczy.

Serce Marcie wali, gdy czuje odrazę tej kobiety.

Do domu wchodzi mama itato, roześmiani, beztroscy, w zimowych paltach.

Wraz z nimi wpada powiew mroźnego powietrza.

Widzą minę drżące dłonie Marty.

Uśmiech zamiera na ich twarzach.

Wiedzą, że już poznało uczucie, którym saprzesiąknięte stronice książki, jest wstrząśnięta jawnym antysemityzmem, tak namacalnym i dziwnie zaskakującym w zderzeniu z pięknem małych ilustracji.

Tato zabiera Marcie książkę i stawia ją z powrotem na półce.

- Dlaczego nas nienawidzą?

- pyta Marta.

235.

- "Boją się" jest chyba właściwszym określeniem.

Mają przedzenia, nie rozumieją nas.

Ponieważ Żydom, traktowanym jako rasa ludzi, dobrze się powodzi.

Wszędzie nas widać - mówi tato.

Podchodzi mama i siada obok Marty.

- Twój dziadek mógł usunąć z książki te rozdziały, ale chciałem, żeby czytelnicy wiedzieli, co się mówi o Żydach.

- Uśmiecha się do Marty i ujmuję jej zimną dłoń.

- O ludziach takich jak my, zwykłych polskich Żydach.

- Ścisną Martę za rękę.

- Nie smuć się, maleńka.

Ludzie się zmieniają, mądrzeją.

Marta jest jeszcze dzieckiem, lecz bacznie przygląda się twarzy ojca, który patrzy na nią, i wie, że to, co mówi mama, nie jest prawdą.

Oni nie są zwykłymi polskimi Żydami, nie są biedni jak Hanna i jej rodzina.

Nie muszą targować się z ulicznymi handlarzami ani mieszkać w zatłoczonych, zawilgoconych czynszówkach w dzielnicy żydowskiej.

Nie sąsiadują z innymi bogatymi Żydami.

Mama jest wrażliwą osobą.

Nie lubi rozmawiać o nieprzyjemnych sprawach.

Ukrywa prawdę o tym, co dzieje się w dużym świecie, przed Martą i przed sobą.

Ojciec kocha mamę - Marta o tym nie wątpi - ale ich małżeństwo było skojarzone przez rodziców.

Mama miała siedemnaście lat, a tato trzydzieści.

Możew dniu ślubu mama wyglądała jak ta zasmucona, bezradna panna młoda z ilustracji w książce.

Ich małżeństwo jest bardzo udane i mama już nie pamięta, że zostało skojarzone.

Pamięta tylko pierwsze spotkanie z przyszłym mężem i radość z lat przeżytych w poczuciu bezpieczeństwa i w miłości.

Bywają jednak dni, gdy Marta widzi, że wzrok mamy biegnie w stronę lasu i wzgórz.

Widzi, że jej twarz okrywa się smutkiem, a ręce poruszają się niespokojnie przy szyciu.

Ma wrażenie, że tatom ogranicza mamę, że jej serce zwraca się ku światu, którego Marta nigdy nie pozna.

236

Mama jest mądra i zna języki.

Dwa razy w tygodniu daje Marcie lekcje angielskiego, po trosze dlatego, by samej niewyjsć z wprawy - tak przypuszcza Marta.

Mogła samodzielnie osiągnąć w życiu sukces, zrobić tyle rzeczy, ale nie miała potemu sposobności.

Nawet nie było jej dane mieć dużej rodziny.

W dzieciństwie spadła z konia i doznała urazu kręgosłupa.

Tato opowiadał Marcie, że była bliska śmierci, wydając na świat Martę, więc nie urodzi więcej dzieci.

Tutaj, w czterech ścianach swego królestwa, żyje bezpiecznie zdaleka od tego świata.

Marta wie jednak, że mama ma jeszcze inny świat - w swojej głowie.

Nie dam się zamknąć w czterech ścianach domu, nie wpadnę w pułapkę małżeństwa - myśli z zacięłością Marta.

Przenigdy.

Mamo, prześladuje mnie wspomnienie tych oczu z książki.

To są twoje oczy.

I moje.

Rozdział trzydziesty drugi

Barnaby jedzie samochodem przez wioskę i stara się zapamiętać o rozmowie z Anną. Nie mogła przyjechać w gorszej chwili. Tego akurat dnia kłótnia z siostrą nie była mu potrzebna. Jedzie do domu Edith Ash, żeby spotkać się jej siostrzenicą, osobą chłodną i rzadko tu widywaną, i omówić kwestie związane z pogrzebem staruszki. Barnaby wie, że choć nie powinien wtrącać się w cudzą sprawę, z trudem zdoła pohamować słuszny gniew.

Przez ostatnich dziesięć lat panną Ash troskliwie opiekowała się Molly Treen, mieszkająca w parafii Barnaby'ego.

Tuż przed śmiercią zamożna staruszka sporządziła nowy testament na korzyść swej siostrzenicy. Barnaby wie o tym, ponieważ poproszono go, żeby był świadkiem przy podpisywaniu dokumentu.

"Moja siostrzenica jest zawsze taka życzliwa i pomocna, gdy rozmawiamy przez telefon. Ma wiele pracy, księżo pastoro. Przesłała mi zdjęcia swoich dzieci - proszę popatrzeć, czyż nie śliczne? Mówi, że powinnam, oczywiście, zatroszczyć się o Molly, tysiąc funtów w zupełności wystarczy, Molly będzie zadowolona".

Barnaby, poproszony o udzielenie komunii świętej w domu panny Ash, powiada: "Czy pamiętasz, Edith, że wiele lat temu Molly wyprowadziła się ze swojego małego

238

domku, żeby zamieszkać tu i opiekować się tobą? Sama mówiła mi wtedy, jak bardzo ci zależy, żeby ktoś z tobą mieszkał. Wiem też, że w zamian obiecałaś zadbać o jej sytuację materialną. Zapewnię ci przyzwoite życie - tak to chyba ujęłaś. Molly nie stać teraz na kupno domu w wiosce. Dobrze o tym wiesz".

Edith Ash patrzy na Barnaby'ego bystrymi brązowymi oczami.

"Krew nie woda - mówi po chwili.

- Rzeczywiście, chciałam zapisać Molly dom.

Przez te wszystkie lata miałam w niej dobrą przyjaciółkę.

Ale moja siostrzenica i jej mąż nie pochwalają tego.

Jego zdaniem Molly zawsze chciała zagarnąć wszystko.

Rozumie księżo pastoro, oni są rodziną".

Barnaby, wzburzony, choć wcale niezaskoczony jej bezdusnością, miał wtedy ochotę zawołać: A kto pomaga ci podnieść się z podłogi, kiedy upadniesz?

Kto odwiedza cię w szpitalu, karmi twój kot, sprząta mieszkanie, robi dla ciebie zakupy cierpliwie wysłuchuje twoich narzekań?

Sytuacja jest przynębiająca, ale jakże typowa.

Ileż torazy słyszał: Ona jest najlepszą towarzyszką, przyjaciółką, sąsiadką.

Brak mi słów, żeby wyrazić wdzięczność, księżo pastoro, ale przecież to mój syn, córka, siostrzeniec, rozumie pastoro.

Powinien już do tego przywyknąć.

Wiele razy był świadkiem bolesnych przeżyć podczas rodzinnych pogrzebów.

Ludzie są zrozpaczeni po czyjejś śmierci, a potem wpadają w osłupienie i w ich sercach wzbiera gorycz.

Zaskoczeni tym, że zostali oszukani, z niedowierzaniem śmieją się nerwowo.

Ich twarze tężeją, drżąc ręką sięgają po kieliszek alkoholu następie i sączą trunek szokowani, oszołomieni.

Barnaby znał niezamężne córki w średnim wieku - postaci skarykaturowane w komediach sytuacyjnych, a dla niego jakże prawdziwe - które pielęgnują ojca czy matkę

239.

z miłością i anielską cierpliwością, rezygnują z własnego życia, a po pogrzebie dowiadują się, że obiecany domem muszą się z kimś podzielić albo że pieniądze na jego utrzymanie zostały zapisane nieobecnemu rodzeństwu, które wpadało od wielkiego dzwonu, żeby zrobić dobre wrażenie.

Spotykał synów, którzy latami tyraliz większym daniem, niż nakazywałyby poczucie obowiązku, narażając na szwank własne małżeństwo, zaniedbując żonę i dzieci, a potem czytali w testamencie jakąś surową klauzulę, która stawiała ich w trudnym położeniu.

Widział u ludzi rozgoryczenie manifestujące się nawszelkie możliwe sposoby, pulsujące jak tik nerwowy pod skórą.

Jedni udawali, że nic ich to nie obeszło; inni mieli poczucie winy, że aż tak się tym przejęli, bo przecież nie zależało im na pieniądzach, dobrach czy domu.

Dławił ich gniew i smutek, że to, co tak wytrwale i bezinteresownie ofiarowywali, zostało potraktowane jak rzecz czysto żywista.

Barnaby nie może pogodzić się z tym, że starzy ludzie mają w sobie tyle zwyczajnego okrucieństwa i złowrogiego egoizmu, że wymachują testamentem jak sztandarem, gdy są wystraszeni i osamotnieni, a potem pozostawiają swoich opiekunów własnemu losowi - czyż poufałość nie rodzi lekceważenia? - i okazują względy rodzinie, która zlatuje się jak sępy.

Barnaby skręca na podjazd przy domu Edith Ash.

Przed zaniedbanym, lecz wciąż okazałym domem z granitu stoi nowe duże volvo i mała furgonetka transportowa.

Z okna na parterze wychyla się drobna Molly przepasana fartuchem i machado niegospzątką od kurzu.

Na szczerej, otwartej twarzy maluje się życzliwy uśmiech.

Przeraża go myśl, że w następną niedzielę zobaczy w kościele Molly, która z pochyloną głową będzie się modliła.

I

dłi, przeprasząc za to, że jest tak niegodziwa i ma uczucie zawodu, z dziecięcą ufnością przyjąwszy złożoną obietnicę.

"Panna Ash dała mi słowo, księżo pastorze".

Barnaby przymyka oczy.

Zawsze zaskakuje go gwałtowność jego gniewu, który wzbiera w nim jak nagła gorączka, porywa jak wichura.

Dokąd zaprowadziła Molly jej własna dobroć, wiara w kochającego Boga?

Drzwi wejściowe otwierają się i wychodzi naprzeciw wysoka, piękna, zadbaną kobieta.

Uśmiecha się chłodną uprzejmością.

Dom już należy do niej.

Jest podobna do Anny, przebiega przez myśl Barnaby'emu.

- Zejdź mi z oczu, szatanie - przywołuje słowa Biblii, wysiadając z samochodu.

Kate wchodzi do domu i ku swemu zdumieniu napotyka w holu wysoką, uderzająco piękną blondynkę.

Kobieta wita jej uśmiechem, nie przedstawia się, więc Kate stoi skrepowana, niepewna, czy ma ją ominąć i pójść dalej.

Liczy na to, że zaraz pojawi się Lucy.

- Nazywam się Kate - mówi w końcu.

- Jestem z agencji.

Przyszłam do.

W tym momencie tanecznym krokiem wchodzi do korytarza Martha.

Widząc Kate, posyła jej promienny uśmiech, zbliża się do niej i całuje w policzek.

- Jak to miłocię widzieć, kochanie.

- mówi uradowana.

- Dokąd dzisiaj pojedziemy?

Nim Kate zdąży odpowiedzieć, zjawia się Lucy.

- Przepraszam, Kate, byłam w łazience.

To moja mama.

Mamo, to jest Kate.

Kate prowadzi samochód i kuradości dziadków zabiera ich na przejażdżki.

- Miło mi panią poznać.

- Anna wita się sztywnym skinieniem głowy, ale nie podaje ręki.

Chryste Panie, co ten Barnaby wyrabia?

- przelatuje jej przez myśl.

Ta

241.

dziewczyna wygląda jak Cyganka.

I może jest Cyganką, sądząc po tym okropnym kolczyku w nosie, włosach najeża i krzykliwym stroju.

Anna jest zdumiona, że rodzice zaakceptowali kogoś takiego w własnym domu.

- A gdzie jest pani Biddulph?

- pyta.

- Wciąż przychodzi.

Mamy dwie opiekunki na zmianę jedną w rezerwie.

Ale tylko Kate prowadzi samochód.

Babunia i dziadunio mają ogromną frajdę.

- Czy ma pani ubezpieczenie, żeby wozić moich rodziców samochodem?

- Oczywiście.

To załatwia agencja.

Anna zdobywa się na uprzejmy uśmiech, ale nie może pogodzić się z tym, że Martha tak serdecznie powitała tego dziwoląga, a jej w ogóle nie poznała.

- Czy ma pani kwalifikacje do pracy z takim ludźmi jak moja matka?

Kate patrzy na Annę ze zdumieniem i z coraz większą niechęcią.

- Agencja organizuje krótki kurs, na którym uczą, jak postępować z osobami starszymi czy niesprawnymi umysłowo, poza tym jeden wieczór jest poświęcony technice podnoszenia.

Na koniec dostajemy świadectwo, potwierdzające nasze kwalifikacje.

- Milknięła chwilę, śmiejąc się do siebie z tryumfalnej miny Anny.

- Prócz tego skończyłam studia na wydziale psychologii w Bristolu i w przyszłym roku, jak sądzę, zrobię doktorat w Exeter.

Ta ostatnia informacja, choć nieprawdziwa, wywołuje pożądaną efekt.

Lucy dusi w sobie śmiech.

Brawo, Kate!

To zamknie Annie usta w sekundę.

- Agdzie mieszkasz, Kate?

- pyta nagle Anna.

Kate wymienia spojrzenia z Lucy i uprzejmie odpowiada:

242

- Chwilowo w hotelu.

Wkrótce coś sobie wynajmę.

Chce przejść w głąb domu razem z Martha, która trzyma się jej ramienia.

Czuje, że wzbiera w niej gniew.

Co tę kobietę obchodzi, gdzie mieszka?

Dlaczego przeprowadza to śledztwo?

Czego, na miłość boską, oczekuje za niecałe cztery funty zagodzinę?

Lucy, chcąc wzmocnić pozycję Kate, wtrąca:

- Kate będzie wynajmowała mały domek, mamo.

Wszystko jest już załatwione.

- Ach tak?

- mówi spokojnie Anna.

- Zobaczymy.

Barnaby nic mi o tym nie wspominał.

Kate ma już dosyć tej rozmowy.

Odwraca się i mówi do Marthy:

- Co porabia doktor Tremain?

Jeszcze karmi ptaki?

- Chyba już nie - odpowiada przytomnie Martha.

- Sądzę, że siedzi z gazetą w oranżerii.

- Przejdźmy się po świeżym powietrzu, a potem zobaczymy, czy pan doktor ma ochotę na kawę.

Gdy już znikną za drzwiami, Lucy wybuchła:

- Jak możesz tak traktować ludzi!

Dlaczego zawsze ich poniżasz?

Kręci cię to czy co?

- Nie pleć głupstw, Lucy.

Nie przyszło ci do głowy, że przyjechałam tu na krótko i chcę mieć pewność, że twoi dziadkowie są pod dobrą opieką?

- Boże, mamo, jaki ty czasem przybierasz ton.

Sądysz, że Barnaby i ja nie potrafimy ocenić, komu można powierzyć opiekę nad babunią i dziaduniem?

- Nie zamierzam się z tobą kłócić, Lucy- odpowiada Anna, machając ze zniecierpliwieniem ręką.

- I co teraz?

Nie możemy wyjść z Fredem i Marthą na świeże powietrze, bo zbiera się burza.

Odgarnia włosy zszyi i Lucy zauważyła kropelki potu nadgórą wargą.

Anna jest najwyraźniej zmęczona.

243.

Na dworze robi się coraz mroczniej.

Woddali słysząc pomruki grzmotu.

- Przy takiej pogodzie dzień będzie się nam cholernie dłużył, możesz mi wierzyć - mówi z posępną miną Lucy.

- Kate albo inna opiekunka, która jest na dyżurze, musi wynajdywać różne zajęcia, żeby Martha miała co robić. Czują się przydatni, na przykład pomoc przy czyszczeniu sreber czy układanie rzeczy na swoim miejscu w kuchni.

W ciągu dnia Martha, niestety, często ogląda telewizję, ale też dużo śpi, jeśli nie może wyjść na dwór.

Kiedy jest ładnie, siedzi z dziaduniem i z nim rozmawia, choć często mówi w kółko o tym samym.

Więc do tego sprowadza się teraz życie moich rodziców, myśli Anna.

Tak wygląda starość.

A Barnaby wpada w złość na samą wzmiankę o domu opieki.

Tam przynajmniej jest trochę rozrywki, wspólne śpiewy, wizyta u fryzjera.

- Mam wrażenie, że Fred ogromnie się postarzał, alenię jest zdziecinniały - mówi Anna.

Słysząc huk grzmotu i po chwili wpada przestraszony Homer.

Lucy łapie psa, któremu stare nogi rozjeżdżają się na posadzce, i próbuje go uspokoić.

- No już, Homer.

Niebój się, to tylko burza.

O tak, połóż się pod stołem.

Biegnie zamknąć przeszkłone drzwi, w które uderzył silny podmuch wiatru.

Kate zabiera pospiesznie Marthę i Freda z oranżerii do salonu.

Dziewczyny zamykają razem drzwi, gdy deszcz zaczyna dzwonić o dach z grubego szkła.

Oszołomione patrzą przez szybę na fioletowożółte niebo, przecinane srebrnymi zygzakami błyskawic.

Anna pochyla się i wyjmuję wtyczki z kontaktów.

Odlat nie widziała tak gwałtownej burzy.

Zazwyczaj nawałnice biorą się z dnia i rozchodzą w nocy.

244

Martha, która nie znosi burzy, siedzi niespokojnie na kanapie, z dala od okna.

Lucy kładzie się obok niej, zwinęta w kłębek.

Fred wymyka się do swego gabinetu i siada w wygodnym skórzanym fotelu.

Czasem żałuje, że rzucił palenie.

Burza oczyści powietrze.

Jest rozpalony i podenerwowany.

Wie, że ma coś załatwić, ale za żadne skarby nie może sobie przypomnieć, co to jest.

Pamięta tylko, że sprawa jest ważna.

Ma wrażenie, że Anna mogłaby być mu pomocna, gdyby tylko przypomniał sobie, o co chodziło.

Chyba miało to jakiś związek z pieniędzmi, ale nie jest pewny.

Na wspomnienie Anny wzdycha głęboko.

Jego obecność oznacza, że będą kłopoty, że w domu wytworzy się nerwowa atmosfera.

Zawsze umiał się z nią porozumieć lepiej niż Martha i Barnaby.

Mała Lucy radzi sobie całkiem nieźle.

Miał nadzieję, że Anna poskromi swój ostry, złośliwy język; gdy osiągnie dojrzałość i odniesie sukces, znajdzie zadowolenie w życiu, może nawet szczęście.

Fred znowu wzdycha.

Martha zawsze uważała, że Anna jest brzemieniem, które musi dźwigać za to, że przeżyła wojnę. Anna, gdy była dzieckiem, nikogo nie wtajemniczała w swoje sprawy, żyła w krainie milczenia i stała się dla świata, któremu żadną miarą nie mogła zaufać.

Martha to rozumiała, próbowała za wszelką cenę zbliżyć się do tego dziecka, dziwnego i pełnego urazów, które każdą próbę porozumienia przyjmowało wrogo.

Pierwsze lata życia utkwily głęboko w umyśle Anny.
Zarówno Martha, jak i Fred byli przekonani, że tam należy upatrywać przyczyn
zakorzenionej nieczułości wobec ludzi, skłonności do okrucieństwa.

Nie można zmusić człowieka, by o czymś mówił, jeśli jest to ponad jego siły.

Martha opowiedziała Fredowi, jak Anna znalazła się na tym świecie.

Rozmawiali o tym raz

245.

i nigdy więcej.

Fred zna fakty z życia Marthy, ale nie potrafi połączyć ich w całość.

Poznał elementy układanki, przypadkowe fragmenty ujawniane w ciemności sypialni podczas pierwszych lat małżeństwa.

Resztą mógł się tylko domyślać.

Musiał uznać, że nigdy nie połączy wszystkiego ze sobą.

Dla Marthy i Anny milczenie jest murem, w którym każda cegła ma znaczenie.

Od Marthy już nieusłyszy opowieści, które będą przekonujące.

W życiu kobiety, którą kochał przez te wszystkie lata, zawsze będą luki - ta myśl jest czasem nie do zniesienia.

Gdy Anna zerka zza drzwi do gabinetu, Fred nagle przypomina sobie o pudełku na strychu.

Czy powinien był spalić rzeczy związane z przeszłością Marthy, jak sobie życzyła?

A może postąpił słusznie, chowając je w bezpiecznym miejscu, żeby ktoś inny złożył w całość te okryte tajemnicą żywoty?

Nie potrafi odpowiedzieć na te pytania.

- Tato?

Mogę wejść?

- Oczywiście.

Spogląda na zadbaną, elegancką kobietę, która w niczym nie przypominała osnej dziewczyny, którą ją znał przed laty po raz pierwszy.

- Jak się miewasz?

- pyta, siadając zabiurkiem i obracając się w jego stronę.

- Starzeję się i tracę pamięć - odpowiada z uśmiechem.

- A Martha?

- Nie najlepiej, jak sama widzisz.

Miewa lepsze i gorsze dni.

Nie dalibyśmy sobie rady bez Barnaby'ego.

- Jesteś zadowolony z opiekunek?

- Większość z nich potrafi zająć się Martha.

Mam szczęście.

- Nie sądzisz, że mama powinna mieć do dyspozycji wykwalifikowany personel przez całą dobę?

246

- Myślisz o domu opieki?

- pyta Fred, patrząc z rezerwą na Annę.

- Myślałem o porządnym domu opieki, doskonale wyposażonym.

Fred znowu uśmiecha się kwaśno.

- A są takie, Anno?

Tyle lat pracowałem jako lekarz rodzinny i rzadko widziałem porządne placówki.

Za to widywałem ludzi, którzy z oddaniem pracowali w marnie wyposażonych domach opieki.

Widywałem ekskluzywną klinikę dla starych ludzi, prowadzoną niczym obozem koncentracyjnym, gdzie zatrudniali konsultantów wątpliwych kwalifikacjach.

Dlaczego chcesz oddać swoją matkę do domostarców?

- Nie chcę.

Pragnę tylko zdjąć ciężar z twoich barków Barnaby'ego.

Nie możemy spodziewać się poprawy sytuacji, więc zależy mi, żeby mama miała jak najlepszą opiekę.

Była ostatnio u specjalisty?

- Brian przyprowadza tu co jakiś czas lekarza geriatrę.

Nie dysponujemy cudownymi eliksirami, Anno, możemy stosować jedynie lekarstwa.

Radzimy sobie w miarę naszych możliwości.

Wierz mi, w tych okolicznościach nieda się zrobić nic więcej.
Nigdy nie rozstawałem się z Marthą i nie zgodzę się, żeby zamieszkała w domu opieki.
Pomoim trupie.

- To bardzo prawdopodobne, tato - wtrąca chłodno Anna.

- Widać potobie zmęczenie.

Fred patrzy na Annę szeroko otwartymi oczami.

Zastanawiasię, dlaczego tu przyjeżdża.

Wydaje mu się, że Anna jest głucha na potrzeby jego i Marthy.

Chce sprawować kontrolę, panować nad każdą sytuacją, mieć pewność, że wszystko jest zaszufadkowane.

Chorobliwy przymus wewnętrzny.

Zawsze taka była.

Przypomina sobie jej sypialnię, jeszcze w dzieciństwie - wyglądała jak sala

247.

operacyjna.

Idealny porządek, wszystko na swoim miejscu, w przeciwnym razie wpadała w histerię.

Tak sobieradziła.

I nadal tak jest.

Czuje pulsowanie w głowie.

Chce, żeby Anna już poszła.

Zaraz będzie musiała wziąć morfinę.

- Przypuszczam - mówi wolno - że przyjechałaś tu między innymi po to, żeby dostać pełnomocnictwo, nieprawdaż?

Anna jest zaskoczona jego przenikliwością.

Jej twarz wyraźnie o tym świadczy.

- Nie jestem jeszcze gotów podjąć takiej decyzji, Anno.

Kiedy będę przekonany, że nadszedł już czas, poproszę prawnika o sporządzenie odpowiedniego dokumentu.

Skoro Barnaby tu mieszka, zajmuje się utrzymaniem domu i regulowaniem rachunków, nie sądzisz, że logiczne byłoby udzielenie pełnomocnictwa właśnie jemu?

- Uważam, że pełnomocnictwo powinno być udzielone nam obojgu, wtedy nie będzie możliwości nadużyć.

Fred zmaga się z bólem.

Przymyka na chwilę oczy i przyciska głowę do oparcia skórzanego fotela.

Odzywa się zdecydowanym tonem, który Anna dobrze pamięta z dzieciństwa.

- Posłuchaj, Anno, gdyby nie Barnaby, prawdopodobnie oboje mieszkalibyśmy już w domu starców, a przynajmniej nachodziliby nas pracownicy opieki społecznej.

Każdego dnia dziękuję Bogu, że mamy Barnaby'ego.

Proszę.

teraz muszę odpocząć.

Na dworze wzrasta ulewa, rzęsisty deszcz dudni o szyby.

Wdali słychać grzmoty.

Anna spoglądana poszarzała twarz ojca, który nagle wydaje jej się poważnie chory.

- Co ci dolega, tato?

- Oprócz starości?

- pyta Fred, zmuszając się do śmiechu.

248

- Fred, powiedz mi, co ci jest.

- Annę ogarnia niemal paniczny strach.

- Mam raka, kochanie.

Guzamózgu.

Nieoperacyjnego.

Jego słowa i czuły ton sprawiają, że oczy Anny wypełniają się łzami.

Fred jest zaskoczony i wzruszony.

Nie mogąc dłużej znieść bólu rozsadzającego czaszkę, mówi szepcem:

- Górna szuflada, Anno.

Wyjmij małą torbę lekarską.

Anna otwiera szufladę i podaje mu walizeczkę.

Drżącymi rękami, gdy pomaga mu ją otworzyć.

W środku jest strzykawka.

- Morfina - wyjaśnia cicho Fred.

- Czasem nie mogę nabrać odpowiedniej dawki.

- O Boże!

Dlaczego sam to robisz?

Powinieneś być pod opieką lekarza.

- Teraz mi pomóż, kochanie.

weź strzykawkę.

wyjmij igłę.

Dziękuję.

Fred bierze strzykawkę i drżącymi rękami robi sobie zastrzyk, po czym z westchnieniem opiera się plecami o fotel.

Anna jest przerażona.

Całkowicie potwierdzasz jej opinię, że rodzice potrzebują fachowej opieki.

Fred otwiera oczy: jego wzrok jest bardziej przytomny, znika ziemistość twarzy.

- Mam już niewiele czasu, Anno.

Nie chcę iść do szpitala i zostawić Marthy.

Antybiotyk przyżyciu dzięki sterydom i chemioterapii.

Barnaby nie wie o morfinie.

Zamierzam mu powiedzieć, gdy Lucy wyjedzie do Londynu.

To moje ostatnie dni z wnuczką, więc nie popsuj tego, Anno.

Przyszłaś w nieodbornym momencie.

Inaczej w ogóle byś się nie dowiedziała.

Bardzo cię proszę, nie popsuj dni, które mi jeszcze pozostały.

Fred jest wyczerpany.

Anna zawsze była bezwzględnie zazdrośna Barnaby'ego, lubiła go denerwować i ranić,

249.

usiłowała podważyć jego plany i osiągnięcia.
Wydaje mi się, że wraz z Marthą zawiadli Annę.

Anna wpatruje się w niego w milczeniu.

Fred odpowiada na jej spojrzenie uśmiechem, chcąc wykrzesać z siebie choć odrobinę pogody ducha.

- Damy sobie radę, zobaczysz.

Widok jej pobladłej twarzy przywołuje obraz chudej, zniszczonej psychicznie dziewczynki, którą Anna wciąż w sobie nosi.

- Kocham cię, Anno - mówi cicho, nie chcąc wprawić jej w zażenowanie.

- Zawsze cię kochałem i będę kochał.

Anna płacze.

Kiwa głową, po czym szybko wstaje i wychodzi z pokoju.

Fred przymyka oczy i oparty plecami na zniszczonym fotelu mówi półgłosem:

- "Łzy moje chyba wyczerpane.

Powinny były spaść - Jak stało się z duchami ich, jeśli są takie - owego dnia, /Gdy przeszły mimo dwudziestki ogarów jeszcze niewyczesanych" 1.

Anna wypada z domu i biegnie pod ociekającymi deszczem drzewami z powrotem do małego domku.

Przez całe życie pogardzała swoją rodziną; nie przypuszczała, że odczuje przemożny smutek, gdy ujrzy, jak ulatuje z jej rodziców życie.

Stając przy furtce, uświadamia sobie, że zawsze bardziej kochała Freda niż matkę.

Kochała go, choć nigdy nie przyszło jej to nawet na myśl.

Edward Thomas, Tears (Łzy).

Przekład Jacka Majewskiego (przyp- tłum.

).

'Rozdział trzydziesty trzeci

Mutti zabrała go do Niemiec na wiec Hitlerjugend, podczas którego przemawiał Fuhrer.

Ten zjazd, pierwszy, w którym uczestniczył, był oszałamiający i podniecający, wywarł na nim niezapomniane wrażenie.

Z fascynacją i jednocześnie odrazą słuchał tego historycznego głosu;

z zażenowaniem patrzył na rozplamione oczy i zarumienione policzki matki.

Ekscytacja, jaka ogarnęła tłumy uczestników, wzbudziła w nim strach, ale Fuhrer porwał go uwodzicielskim, przekonującym przemówieniem, skierowanym jakby wprost do niego.

"... Nie ulegajcie zniewieściałości!

Bądźcie twardzi i zahartowani!

Żyćcie skromnie.

My umrzemy, ale wy - to przyszłość.

(Owacje).

Tę flagę, którą podnieśliśmy z prochu, wręczymy wam, kości naszej krwi.

(Owacje).

Idźcie za nami wszędzie!

Przed nami, wokół nas, za nami są Niemcy!

"1.

Po ich powrocie do Warszawy ojciec przestał dzielić sypialnię z Mutti.

Spokojnie, bez słowa, zapakował swoje szczotki do włosów ze srebrnymi rączkami oraz staromodne pędzle do golenia i przeprowadził się do małego

Cytowane za: Karol Grünberg, Hitler-Jugend, Wydawnictwo "Dom Organizatora", Toruń,

1998 (przyp.

tłum.

).

251.

pokoju w tylnej części domu, od strony ogrodu.

Miejscepo szczotkach zajęłozdjęcie Hitlera w lśniącejsrebrnejramce, które matka zabrała ze swojej garderoby i postawiła na komodzie.

Dopiero po kilku latach, gdy dorósł,uprzytomnił sobiewagę tych dwóchfaktów.

Od tego dnia Mutti zaczęła krzątać się po swoim terytorium, sztywna i wyniosła, przyjmując postawę obronną,znamienną dla niej w czasach, gdy dorastał.

- Jesteśmy razem, mój synu- mawiała, głaszcząc go pogłowie.

- Tylko ty, mój dobry małyNiemiec, i ja.

Kilka lat później, gdyżydowski doktormusiął wycofaćsię z praktyki istracił całyswój majątek, ojciec odizolowałsię odmatki i syna.

Przystałspierać się z żoną, traktowałich oboje z dystansem.

Chłopiec podejrzewał,że wciąż odwiedza swoich żydowskich pacjentów, tak jak dotychczas.

Kochał matkę.

Kochał ją i przyjmował jej opinie, ponieważ mówiła to, co chciał usłyszeć.

Gdy był młodszy, wbrewmatce szukałteż aprobaty u ojca.

Uwielbiał wspólne przejażdżki konno.

Lubił siedzieć w jego gabinecie i przeglądać stare książki medyczne.

W młodości ojciecwielepodróżował.

Studiowałw Anglii i Ameryce.

Pochodził z rodzinylekarzy o liberalnychpoglądach i akademickich tradycjach.

Matka wychowywała się w całkowicie odmiennym środowisku.

Doskonale jeździła konno, ale chyba nie przeczytała ani jednejksiążki.

Nie potrafiła logicznie dyskutować ani sensownie przedstawiać argumentów.

Gdydochodziłodo wymiany zdań, wpadała wżłość, wyrzucała z siebie frazyz partyjnych broszur albo po prostu wychodziła z pokoju.

Ojciec raczej nie krytykował żony.

W obecności synazawsze był wobec niej uprzejmy.

Zanim chłopiec odsunąłsię od niego, gdzieś w głębi duszywiedział, że ojciec jestdobrym człowiekiem, o wiele bardziej inteligentnym niż

252

1

matka.

Ale w tamtych czasach wołał nie przyznawaćtegotwarcie.

Nie znał dziadków ze strony ojca.

Tak jakw rodziniedziewczynki, ojciec był dużo starszy od matki.

Miał prawie czterdzieści lat,gdy poznał Muttiw Berlinie.

Matkapotrafiła oszołomić i oczarować każdego, jeśli tylko była w dobrym humorze, postawiła na swoim albo polubiła daną osobę.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak zauroczony był jego ojciec, poznawszytę dwudziestotrzyletniąwówczas dziewczynę.

Pewnego razu ojciec jechał na pogrzeb swego krewnego do Lwowa i zabrał ze sobą syna.

Pokazał mu dom,gdzie mieszkał w dzieciństwie przez krótki czas- kamienicę z łuszczącą się farbą naframugach okien ipełnymkwiatów ogrodem odfrontu.

Widząc minęsyna, powiedział z rozbawieniem:

- Teraz jest trochę zniszczony, ale dawniej był to domz charakterem.

Nigdy nie zagraliśmy na dłużej miejsca,moi rodzice ciągle się przeprowadzali.

Ojciec przeznaczałpieniądze na wyjazdy zagraniczne.

Uczył się zawoduw innych krajach i wykorzystywał swą wiedzę w ojczyźnie.

Po powrocie z podróży kupowaliśmy nowy dom gdzieindziej.

Ojciec prowadził swego rodzaju objazdową praktykę.

Jechałam, gdziebył potrzebny,i leczył ludzi bezwzględu na ich wiarę czy rasę.

Nauczył mnie cenić człowieka, nie patrząc, kim jest i skąd się wywodzi.

Położył rękę na ramieniu chłopca i dodał:

- Majątek, który odziedziczyli dziadek i ojciec, pochodził z posiadłości w Niemczech.

Obaj korzystali z swego bogactwa, pomagając ludziom, którym gorzej się powodziło.

Kiedy szczęśliwym trafem poznałem twoją matkę, mogłem jej pomóc, a zarazem znalazłem idealne, spokojne miejsce na klinikę dla moich pacjentów.

253.

Na koniec ojciec powiedział:

- Zauważyłem, jaką miałeś minę.

Nie liczy się wielkość domu, mój synu, ale to, czy wykorzystujesz swoje bogactwo w dobry czy zły sposób.

W czasie tej podróży najbardziej zdumiała go stupa popogrzebie.

Wszyscy zebrali się w dużym pokoju i dyskutowali o sytuacji na świecie, a zwłaszcza o losie Polski, pijąc przy tym ogromne ilości wódki.

Wśród gości przeważali Polacy, ale, oczywiście, byli też rdzenni Niemcy, jak ojciec, oraz Żydzi.

Wszyscy siedzieli przy ogromnym, wypolerowanym stole i z zapalem debatowali, wymachując przy tym rękami i dolewając sobie kieliszków.

W im lepszym byli humorze i bardziej mieli w czubie, tym ostrzej wypowiadali się o Hitlerze.

Chłopiec nigdy dotąd niewidział ojca tak radosnego, zachowującego się tak swobodnie.

Potem przyszły kobiety, zabrały go stamtąd i nakarmiły, zanim mężczyźni znaleźli się pod stołem.

W tamtych czasach był zbyt młody, żeby zauważyć, jak samotny jest zapewne jego ojciec, idomyślić się, dlaczego tak zależało mu na prowadzeniu kliniki razem z żydowskim lekarzem.

Dopiero później zdał sobie tę sprawę.

Ojciec i żydowski lekarz studiowali razem w Warszawie, potem specjalizowali się w wirusologii, pracując w różnych szpitalach w Anglii.

Ojciec potrzebował współpracownika, który dorównałby mu intelektem.

Żona lekarza też była wykształcona i odcytana.

O pewnych sprawach nigdy nie rozmawiał z Mutti.

Naprzekąd o uczestnikach pogrzebu w Łwowie.

Także o tym, że ojciec regularnie odwiedza żydowskich sąsiadów.

Nie wspominał o dziewczynce.

To też stanowiło tajemnicę, osobną część jego życia.

254

Po ukończeniu szkoły związała się z grupą chłopców, którzy byli rdzennymi Niemcami.

Wszyscy ekscytowali się zmianami zachodzącymi w Niemczech, narastającą falą faszyzmu.

Matka namawiała go do utrzymywania tych znajomości, ale tak naprawdę nie potrzebował zachęty z jej strony.

Wkrótce Polacy utracą dobre stanowiska, najlepsze domy.

Kiedy zacznie się wojna, ci młodzi, znużeni i podekscytowani, będą gotowi zostać członkami Hitlerjugend.

On sam już zrobił sobie fotografię do celów propagandowych.

Występował w filmach, zachęcających dobrych rdzennych Niemców, by szli za jego przykładem, byli lojalni i pełni patriotyzmu.

Czuł w sobie cudowną siłę.

Był urzeczony niemieckim ideałem męskości, propagowanym na plakatach, wizerunkiem prawdziwego Niemca w hełmie i mundurze z lśniącymi sprzączkami, w oficerkach, stojącego w rozkroku, z rozpostartymi rękami, trzymającego podobne do skrzydeł tarcze z nazistowskimi emblematami.

Opiekuna kobiet i dzieci.

Strażnika drogiej ojczyzny.

Stopniowo, z czasem coraz wyraźniej, uprzytamniał sobie, jaką przyjemność sprawia mu widok ludzi, którzy w jego obecności zachowują się nerwowo.

Upajał się myślą, że jego ojciec, inni lekarze, pielęgniarki, a także służący lękają się, by na nich nie doniósł.

Wybrał się z dziewczynką na konną przejażdżkę przez las.

Na łące usłyszeli warkot niemieckich samolotów - zobaczył całą eskadrę, podobną do stada ptaków wędrownych, nadlatującą z oddalona rekonesans.

Przypomniał sobie słowa Fuhrera: "Idźcie za nami wszędzie!"

Przed nami, wokół nas, za nami są Niemcy!

".

Czuł, jak pierś rozsadzają mu duma i podniecenie.
Odwrócił się oddziwczynkii pogalopował w dół doliny,
255.

tam, skąd dochodził dźwięk samolotów, do swoich niemieckich kolegów.
Bezwiednie, z jakimś dziwnym uniesieniem i wyzwaniem w głosie, zaczął śpiewać Fahnenlied.

Unsere Fahne flattert uns voran.

Unsere Fahne ist die neue Zeit.

Und die Fahne fuhr uns in die Ewigkeit!

Ja, die Fahne ist mehr als der Tod!

Przymyka oczy nawspomnienie poszarzałej twarzy dziewczynki, gdy wrzucają na siodło.

Dygotce, wciąż niemożąc pogodzić się z sobą samym.

Do tamtej chwili nieumiał wykreślić jej zeswojego życia.

Była towarzyszką jego dziecięcych lat.

Była dziewczyną, którą.

Działo się to dwadzieścia siedem dni przed wkroczeniem Niemców do Warszawy.

Pędził nakoniu rześkim porankiem, śpiewając coraz głośniejszy hymn Hitlerjugend, pragnąc zagłuszyć wszystko, co się obudziło w jego sercu chwilę wcześniej, gdy dotykał delikatnej skóry na karku.

Unsere Fahne ist die neue Zeit.

Ja, die Fahne ist mehr als der Tod.

Aż się wzdrygana to wspomnienie.

Tyle zdrad.

Ma wrażenie, jakby w jego żyłach krążyła zatruta krew.

Jego obecne życie i dawnienie łączą się ze sobą.

Nie jest człowiekiem, którym był kiedyś.

Mignął mu przed oczami obraz tego, co mogło się zdarzyć.

Spełnienie pragnienia, do którego nie przyznał się przed sobą.

Urzeczywistnienie dziecięcych nadziei, które ze strachu zdławił, bo były zabronione.

Postępował bezwzględnie i okrutnie, żeby uciec

Przed nami łopocze nasz sztandar.

Nasz sztandar zapowiada nowe czasy.

Nasz sztandar prowadzi nas do wieczności.

O tak, nasz sztandar znaczy dla nas więcej niż śmierć (przyp.
tłum.

).

256

przed słabością.

Mutti tyle razy spuściła mu łanie zato, że przynosi wstyd swojej rasie, aż w końcu uwierzył, że postępuje źle.

Mimo że ojciec dawał mu przykład.

Nie mogą dłużej o tym myśleć.

Tonic nie da.

Muszę tym skończyć.

Ma poczucie przeniesienia w przestrzeni, jakby nagle wrócił z długiej podróży znalazł się w miejscu, gdzie nic nie jest znajome, gdzie nic do niego nie przemawia.

Wygląda przez okno na schludny, równo wytyczony park.

Widzi siedzącą na ławce kobietę, która karmi z ręki wiewiórkę.

Zapada zmierzch, gaśnie słońce.

Myśli kobiecie w jasnej skórzanej kurtce: pochylona, roześmiana twarz, głowa lekko w bok.

Znajome nachylenie głowy.

Znane.

Wstaje, zamyka przeszkłone drzwi i szuka dłonią kontaktu.

Nagle pokój wypełnia się ciepłym światłem, rozpraszającym na chwilę ciemności.

Rozdział trzydziesty czwarty

Nie mogąc zapomnieć wyrazu twarzy Freda, Anna idzie do kuchni zrobić mocną kawę. Czekając, aż się zaparzy, i spogląda przez okno na wysoki buk czerwono-listny przyżywo płocie. Gałęzie jeszcze kołyszą się na wietrze, ale burza przycicha i niebo zaczyna się rozpadzać.

Anna chciałaby już być z powrotem w Londynie.

Tutaj niczego nie da się zrobić, każda propozycja spotka się z przeciwnym.

Włącza telefon komórkowy, mając nadzieję, że zadzwoni Alice.

Anna wystąpiła o rewizję w dość dziwnej sprawie, którą prowadziła i która wkrótce stanie się wiodącą.

Wolałaby zabrać się do pracy, zamiast stać tu w kuchni i patrzeć, jak pada deszcz i chnie burza.

Widzi, jak Lucy pochyla się pod niskimi gałęziami, gdy przechodzi przez furtkę.

Ogarnia ją irytacja.

Na miłość boską, dlaczego nie przytną tych gałęzi, tylko z każdym razem schylają się i strząsają na siebie wiadro deszczówki?

Tędom nigdy nie będzie funkcjonował jak należy.

Z każdym razem gdy tu przyjeżdża, nie dostrzega żadnych zmian.

Ogród jest tak samo zarosnięty, przeciekający wężleży dokładnie w tym samym miejscu.

Okna i drzwi są nieomalowane.

Zawsze widać tu niefrasobliwe niedbalstwo, biedę udającą wielkopańską.

Anna nie może tego znieść.

258

Przez tylną drzwi wchodzi Lucy.

Na jej twarzy też maluje się przygnębienie.

- Dziadunio fatalnie dzisiaj wygląda.

Osuwa się na krzesło, nie patrząc na Annę.

- Napijesz się kawy?

- pyta Anna.

Aromat jest zbyt kuszący, żeby odmówić.

Anna podaje órczek kubek i siada na drugim krześle.

Lucy zwraca na jakąś złośliwą uwagę, ale matka jest przygaszona i dopiero po chwili mówi:

- Fred jest chory, Lucy.

- Ma potworne bóle głowy - wyjaśnia Lucy, podnosząc wzrok.

- Czasem jest zupełnie odleciany.

Umówię go z lekarzem.

- Nie pójdzie do lekarza.

Dobrze wie, co mu jest.

Czasem jest odleciany, jak to mówisz, bo bierze morfinę naśmierzenie bólu.

Fred ma raka, Lucy.

Nie pozwolił mi nic zrobić.

Jest przerażony, że mógłby rozstać się z Marthą.

- O Boże!

Chyba nie umiera?

- Nie wiadomo, ile czasu mu pozostało.

Lucy jest wstrząśnięta, szara na twarzy.

Czy Barnaby wie?

Czy ukrywał to przed nią?

Czuje w piersiach tępy ból.

Anna też jest wyraźnie przybita.

Makijaż wciąż manieskazitelny, ale choć raz jej twarz wyraża jakieś uczucie.

Nagle sięga do torebki i wyjmuję paczkę papierosów.

Lucy nigdy w życiu nie widziała matki z papierosem.

Anna macha paczką bez słowa przeprosin.

- W wyjątkowych sytuacjach - wyjaśnia.

- Rudi nic nie wie.

Lucy zbiera się na płacz.

- Poczęstujesz mnie?

- pyta.

- Pod warunkiem, że nie wpadniesz w nałóg - odpowiada Anna, podsuwając jej paczkę.

Baw się chwilę zapalniczką, po czym zadaje pytanie: - Dlaczego ściągasz

259.

z internetu informacje o roszczeniach ofiar Holocaustu wobec szwajcarskich banków?

Lucy dopiero teraz przypomina sobie, że zostawiła te papiery na stole w salonie.

Nie jest pewna, jak ma zareagować.

Pewno nie nadarzy się lepsza sposobność, żeby porozmawiać z Anną, ale coś ją powstrzymuje, ściska w gardle.

- Dziadunio kiedyś tym wspomniał.

Powiedział mi, że kilka lat temu napisał do swojego prawnika.

Zapewnenie pokoił się stanem finansów.

Przypuszczał, że w czasie wojny ojciec babuni wysłał z Polski pieniądze i złożył je w jakimś banku w Szwajcarii.

Powiedziano dziadkowi, że musi zebrać masę dokumentów - świadectwa urodzenia członków rodziny, akty zgonu rodziców i tak dalej.

Nawet gdyby udało mu się to zgromadzić, szwajcarskie banki tak nie odpowiedziałyby na indywidualne roszczenia.

Tak poinformował go prawnik.

Anna siedzi przez chwilę w milczeniu.

- Fredowi chyba pomieszało się w głowie.

O ile mi wiadomo, bierze też inne lekarstwa oprócz morfiny.

Mam kolegę, który prowadził sprawę dotyczącą żydowskich roszczeń.

Wydaje mi się, że w przypadku Marthy szansę są zerowe.

Po pierwsze trzeba by przedstawić dowody z dokumentów, a po drugie nie była bezpośrednią ofiarą.

Co ci jest, Lucy?

- Muszę wyjść na dwór.

Za długo siedziałam w domu.

Wezmę Homera na spacer.

Lucy wstaje i idzie do drzwi.

- Lucy?

- Słucham?

- Wiesz może, czy Fred wciąż przechowuje nastrych stare dokumenty?

Lucy robi się gorąco.

- Nie wiem - mówi, wzruszając ramionami.

- Jest tam jakiś stary kufer pełen różnych rzeczy.

260

Wychodzi z domu.

Anna zawsze wie, gdy Lucy kłamie albo ma poczucie winy.

Od dawna potrafi to wyczuć.

Zastanawia się, co teraz chce przed nią ukryć.

Idzie do małego domku, przystawia drabinę, wchodzi nastrych i zapala światło.

Wszędzie leżą rzeczy córki.

Na zakurzonej podłodze widać ślady przesuwanych pudeł.

Ścianka działoła zbutwiała.

Anna ma wrażenie, że teraz kufer stoi bliżej klapy.

Idzie dalej, klęka przy kufrze i podnosi wieko.

Mnóstwo starych fotografii.

Zdarzenia zatrzymane w czasie i na zawsze utrwalone.

Anna czuje bolesne pulsowanie w skroniach.

Słyszy zagniewany głos ojca, pamięta, jak przedarł się cienki papier i mały kawałek tekturki wypadł z koperty, gdy w pośpiechu chowała z powrotem dokumenty.

Przytomnieje na dźwięk telefonu, niosący się po całym domku.

Schodzi ze strychu i podnosi słuchawkę.

Dzwoni Rudi.

- Chciałbym cię o coś zapytać, Anno - mówi.

- Chodź tę sprawę, z którą zwróciła się do ciebie prokuratura. Słyszałaś kiedyś o doktorze Kurcie Saurerze?

- Chyba nie.

Dlaczego pytasz?

- Po prostu.

człowiek o tym nazwisku wynajął zielonego mercedesa, którego widziałas przed gmachem sądu.

Ja też widziałem ten samochód koło naszego domu.

Wystąpiłem z prywatną prośbą do naszej ochrony, żeby sprawdzili tego człowieka.

Posłuchaj, Anno, kancelaria prawnicza z Berlina zasięgała informacji o tobie i twojej pracy.

Przypuszczam, że ten człowiek cię śledził.

- Ale jaki miałby powód?

Jesteś tam, Rudi?

Odezwijsię, na litość boską.

Dlaczego uważasz, że to wiąże się z sprawą, którą mam zaopiniować dla prokuratury?

Ludzie ciągle zasięgają informacji u prawników i adwokatów.

261.

- Ponieważ ten Saurer był nazistą.

Annę zalewa fala wspomnień.

Wyblakłe czerwone pudełko, maska przeciwgazowa, stary skórzany płaszcz, połamane krzesło.

Kawałek papieru, nazwisko.

Wspomnienie umyka.

Anna odpędza je od siebie.

Wytrącona z równowagi oddycha głęboko.

- Nikt nie ma powodu mnie śledzić, Rudi.

W tejsprawienajprawdopodobniej w ogóle nie zostanie wszczęte postępowanie.

Dowody są niewystarczające, żeby być pewnym wyroku skazującego.

Minęło tyle czasu.

Wielu świadków nie żyje.

Prokuratura zwróciła się do mnie o opinię tylko dlatego, że większość dokumentów jest w języku niemieckim.

Z reguły nie prowadzę spraw kryminalnych.

Zdarza się, że instytucje proszą mnie o wydanie opinii, bo zajmowałam się kilkomadługotrwałymi sprawami.

Posłuchaj, Rudi, czasem mam do czynienia z maniakami- w tym zawodzie to się zdarza.

Widziałam tego mercedesa i zażartowałam sobie, że ten człowiek mnie śledzi.

Alenawet gdyby ktoś związany ze sprawą zleconami przez prokuraturę chciał sprawdzić, czy uchodzę za dobrego prawnika, nic mi nie grozi.

Gdyby ktoś chciał mnie dopaść, miałby po temu aż nadto okazji.

Milknie, bierze głęboki oddech i wolno wymawiając każde słowo, dodaje:

- Nie martw się o mnie, kochanie.

Jutro się zobaczymy i porozmawiamy.

- Dobrze się czujesz, Anno?

Masz jakiś dziwny głos.

inny niż zwykle.

- Wszystko w porządku, Rudi.

Po prostu jestem zmęczona.

Zastałam tu dość trudną i przygnębiającą sytuację.

Opowiem ci, gdy wrócę do domu.

- Uważaj na siebie, Anno.

Rudi jest zaskoczony kiepskim nastrojem żony.

262

Anna stoi w pustym pokoju, przejęta strachem.

Robi jej się zimno, drżą ręce.

Zdenerwowana i rozkojarzona idzie na górę, przystawia drabinę.

Zmusza się, żeby wejść na strych, i otwiera wieko kufra.

Gorączkowo przerzuca stosy papierów, szukając dużej koperty dokumentów.

pudełka.

Nie może ich znaleźć.

W kufrze, nawiórach drewna, leżą jedynie pozostałości z życia Freda i jego wspomnienia.

Nie ma żadnego ciemnego stwora, który sunie ku niej.

To tylko wytwór mojej wyobraźni.

Jestem zmęczona.

Bardzo zmęczona.

Anna wie, że niebezpieczeństwo nie zagraża jej zewnątrz.

Leży razem z tym przyczajonym stworem w jej wnętrzu.

Jak cień, część jej samej.

Gdybyła dzieckiem, ogarniało ją przerażenie na myśl, że jeśli byt szybko się odwróci, zobaczy tę przerażającą sylwetkę tuż za plecami.

Była przekonana, że czeka przycupnięty i że wszędzie możesz się ukryć.

Ani w ciemności, ani w świetle dnia nie czuła się bezpiecznie.

W jej umyśle pojawiał się ostry zarys twarzy.

Słyszała żalną, ulotną pieśń, nieznaną ton, które potrafiła zanuć.

Wstrząsa nią dreszcz.

Gdy była dzieckiem, radziła sobie, zachowując porządek.

Gdy wszystko było odpowiednio poukładane i na swoim miejscu, stworzenie nie mogło podejść jej tak łatwo.

Jakie jest twoje najwcześniejsze wspomnienie?

Oto moje najwcześniejsze wspomnienie.

Wiejski domek.

Małutkie dziecko w Londynie.

Głębiej majączy coś innego.

Coś, czego niemożna.

Przypomnij sobie: byłaś mała, obudziłaś się zaskoczona, że jesteś tutaj.

Tutaj był dziwnie.

Głosy.

Wszystko bez sensu.

Zwinęłaś się w kłębek, odizolowałaś od innych.

Czekałaś bez słowa, aż nowu przeniosą cię dalej.

w strachu przed murem.

263.

Nie. Nie.

Nie.

Nie.

Anna zatrząskuje wieko kufra.

Może kiedyś były tu dokumenty Marthy, ale teraz ich nie ma.

Gdy opuszcza klapę i odstawia drabinę, wkorytarzujawia się Lucy z Homerem.

Córka patrzy zaskoczona śmiertelnie bladą twarzą matki, postarzała i - serce zaczyna walić jej w piersi - czymś udręczoną.

Takiej jeszczej nie widziała.

Nie odrywają od siebie wzroku i po chwili Anna odzywa się niepewnym głosem:

- Zabierałaś coś ze strychu?

Przesuwałaś coś, Lucy?

- A czego szukasz?

- Rzeczy Marthy, na przykład jej świadectwa urodzenia, starych dokumentów.

Żeby zasięgnąć informacji wypłacenie odszkodowania, będę potrzebowała.

- Anna splata drżące dłonie.

- Wydaje mi się, że dziadunio przechowuje takie rzeczy w sejfie.

Lucy wpatruje się wrozdygotane ręce matki.

Niemawąpliwości, że Anna jest wystraszona.

Co się wydarzyło, gdy ona była na spacerze?

Anna wie o czymś albo przypomniała sobie coś, co budzi w niej strach.

Lucy po raz pierwszy widzi matkę w takim stanie.

Czy powinna coś powiedzieć?

Truchleje na samą myśl.

To nie jest dobry moment na grzebanie w przeszłości.

Właśnie przeszłość budzi w matce takie przerażenie.

Gdy Anna schodzi na dół, Lucy mówi:

- Dziadunio nigdy nie pozwalał nam kręcić się po strychu.

Był niezadowolony, że przechowuję tam swoje rzeczy.

- Napewno nie zabrałaś papierów czy dokumentów z tego kufra?

- Nie.

264

To słowo ledwo przechodzi jej przez gardło.

Wie, że nie powinna była skłamać, ale nie miała wyjścia, widząc, w jakim stanie jest Anna.

Najpierw musi porozmawiać z Barnabym.

O Boże, jak się zachować w tej sytuacji?

- Przykro mi, że w tym moim bałaganie nie możesz niczego znaleźć.

Powiedz, czego szukasz, to spróbuję ci pomóc.

Anna odwraca się na pięcie i wyrzuca do góry ręce, jakby nie chciała dopuścić do siebie słów Lucy.

- Nie wiem, czego szukam!

- krzyczy.

- Nie wiem!

Lucy podrywa się, zaskoczona tym niekontrolowanym wybuchem.

- Co się stało, Anno?

Co ci jest?

- pyta cicho.

- Półgodziny temu wszystko było w porządku.

W Annie coś jakby pękło.

-W porządku?

Wporządku?

Gdy Martha jest zniedołężniała, a Fred umierający?

Nie bądź idiotką, Lucy.

Oboje powinni być w domu opieki.

Nie mogę ciągle przyjeżdżać do.

do tej zapadłej dziury, żeby ich doglądać.

Mam przed sobą dwa trudne procesy.

Cała sytuacja jest absurdalna, zachowujecie się nieodpowiedzialnie.

Wystarczy, że powiem jedno słowo w wydziale opieki społecznej, a uzyskam pełne poparcie.

Wpada w coraz większy gniew i nalewa sobie whisky.

- Boże, morfina aplikowana bez nadzoru i pewno nielegalnie, bezradna staruszka pod opieką dziewczyny z kolczykiem w nosie.

Nieodpowiedzialny pastor, który przemyka oczyrna to, czego nie chce widzieć.

Przyznano by mi całkowitą rację, gdybym zaprowadził tu porządek przed wyjazdem.

Grzebie w torebce, szukając papierosów.

- Anno!

Jak możesz!

-woła Lucy.

- Nie odgrywaj Bogaw życiu Marthy i Freda.

Sama mówiłaś, że dziadunio nie pozwolił ci nic zrobić.

Zaakceptowałaś to.

265.

- Jest umierającym starcem, Lucy, który nie wie, co dobre dla niego czy dla Marthy.

- Jeżeli nie dziadunio, to któż inny może to wiedzieć?

- Lucy rusza w stronę tylnych drzwi.

Musi znaleźć Barnaby'ego.

- Nie mam pojęcia, co cię nagle ugryzło, mamo.

Wracaj do domu, skoro tak bardzo ci się naraziliśmy.

Wracaj do swojej pracy i zostaw nas w spokoju.

Dajemy sobie świetnie radę bez ciebie.

Anna nalewa sobie następną szklaneczkę whisky.

Lucynie ma ochotę przyglądać się, jak matka pije w ten sposób.

Wychodzi do ogrodu.

- Nie wyobrażaj sobie, że twój ukochany Barnaby będzie decydował, co jest dobre dla Marthy i Freda - ciągnie Anna, idąc za córką.

- Oni są również moimi rodzicami.

Możesz mi wierzyć, że zrobię coś w tej sprawie.

- A mianowicie?

Twarz Anny zastyga, pojawia się naniejzimny, irracjonalny wyraz.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji.

Albo skontaktuję się z właściwym oddziałem geriatry, albo - przenosi wzrok na zarośnięty ogród - sprzedam swoją część ziemi.

Freda zostawił mi kawałek, o, tam.

Wiedział, że Barnaby wolnieć dom, więc dla równego podziału dostałam część działki.

Gdy ją sprzedam, będę miała pieniądze na opłacenie całodobowej opieki.

Barnaby wróci do realnego świata, a ja będę pewna, że Martha i Freda są otoczeni należytą troską.

Lucy odwraca się.

Błąda jak ściana zbliża się do matki.

- Jeżeli sprzedasz tę ziemię, Martha straci znaczną część swego ukochanego ogrodu.

Nabywca natchmiast postawi tu jakiś okropny dom, zakłóci prywatność i poczucie bezpieczeństwa, które mają teraz dziadkowie.

Dobrze wiesz, że wolno ci sprzedać tę ziemię tylko w razie śmierci Freda albo gdy ty czy Barnaby będziecie mieć

266

kłopoty finansowe.

I tak to ci się nie uda.

Barnaby nigdy do tego nie dopuści.

- Nie będzie miał wyboru, możesz mi wierzyć.

Sam sporządziłam umowę.

Pieniądze są naprawdę potrzebne.

na opiekę.

Lucy wpada w ściekłość i traci nad sobą panowanie.

- Masz problem, Anno?

Pokłóciłaś się z Rudim?

Coś nie tak w pracy?

To, do cholery, nie wyżywaj się na nas.

Wcale nie musisz przyjeżdżać do tej zapadłej dziury.

Bezciebie łatwiej nam żyć.

- Zamierzam wprowadzić tu pewne zmiany przed jutrzejszym wyjazdem - mówi Anna cicho i spokojnie.

- Muszę zadzwonić do kilku osób.

Lucy stoi jak wryta, oniemiała z przerażenia.

Anna może zrobić coś nieodwracalnego, co rozdzieli Marthę i Freda.

Wygląda na to, że uległa hysterii i już nie potrafi nad sobą zapanować.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz wszystkich urazić.

Dlatego że Barnaby tak dobrze sobie radzi bez twojej pomocy?

Dlatego że twoja władza nie sięga?

Dlatego że Barnaby dobrowolnie z miłości poświęca swój czas Marcie i Fredowi, a ty nie możesz tego znieść?

Jak mogli przyjąć do głowy, że płatne opiekunki będą zajmować się babunią i dziaduniem lepiej niż

Barnaby, który tak bardzo ich kocha?

Chyba oszalałaś!

- Muszę dopilnować, by prawo było przestrzegane - mówi Anna zimnym tonem - a starzy ludzie, tacy jak Marthai Fred, mieli fachową opiekę i korzystali z wszelkiej pomocy, jaką oferuje im współczesna medycyna.

- Nawet wbrew woli dziadunia?

Nawet jeśli ich rozdzielisz i złamiesz im serce?

- Serca nie tak łatwo się łamią, Lucy.

Może Fred mijeszczęza to podziękuje.

267.

Lucy przestaje nad sobą panować.

- Wiesz, kim ty jesteś?

- krzyczy.

-Dziwołagiem ogarniętym żądzą władzy!

Ani się waż zniszczyć im życie!

Anisię waż!

- Ktoś w tej rodzinie musi podejmować trudne decyzje.

Robię tylko to, co uważam za słuszne.

- Nieprawda!

Z sobie wiadomegopowodu chcesz dopiecBarnaby'emu.

Zawsze na niego naskakiwałaś.

Chcesz jemu zrujnować życie.

Jesteś wredną faszystką, Anno.

Masztowe krwi.

W genach.

Żal mi ciebie.

Lucybiegnie z płaczem do furtki, byle dalej od Anny,a jej słowa unoszą się nad wilgotnym od deszczu ogrodem.

Masz to we krwi.

W genach.

Tekturowa walizka z małąrączką istemplem Czerwonego Krzyża.

Przyciskają do siebie.

Jest na dworcukolejowym, siedzi między kobietą i mężczyzną; oboje mają nasobie mundury i rozmawiają w dziwnym języku.

Anna zaczyna cicho płakać.

Siada na zimnych schodkach, obejmuje się ramionami i kołysze w przód iw tył.

Rozdział trzydziesty piąty

Martha nie lubi burzy i nie odpowiadajej atmosferawdomu.

Dzieńsię jakbyzatrzymał, czas stoi w miejscu.

Nie opuszcza jej strach, zbiera sięw ciszy jak grzmot, narasta,aż brzemień smutku będzie do zniesienia, napórнадciągającego mroku - nie do pokonania.

W pierwszychlatach małżeństwa Marthapłakała w cichościoducha.

Głosy i twarze krążyły wokółniej niczymcienie.

Po wojnie w tłumie londyńczyków dostrzegała jakąś twarz i jej serce przepełniało się nadzieją.

Biegła zatym człowiekiem, dotykała jego ramienia,a gdy się odwracał, widziała przed sobą kogoś obcego.

Uczuciestratyprzygniatało ją swoim ciężarem, straszliwym i groźnym.

Uśmiech, z jakim zwracałsiędo świata w tamtych latach, słowa, które wypowiadała, nie odzwierciedlały tego,co naprawdę czuła.

Przekonanie, że ludzie są obłudni, drażyło ją niemal bezlitośnie; pewność, że niemożna poznaćumysłu iserca drugiego człowieka, nawet Freda, skazywała ją na samotność.

Martha tak wiele ukrywała, że nawet bliskość miłościnie zawsze mogła chronić jej jaźń przed bolesnym rozpadem.

Fred potrafił to zrozumieć.

Przez całe ich życie robiłwszystko, aby oszczędzić jejprzykrych spraw, dbało jej

równowagę wewnętrzną, nie próbując nazbyt często dociekać przyczyn dręczącego ją niepokoju, przemożnego smutku, który opadał ją i spowijał mrokiem jej życie.

Teraz Martha niemal całkowicie utraciła świadomościę wszystkiego, ale niepokój dalej ją dręczy, jakby obdarzony własnym życiem.

Po południu, gdy przeszła burza, Barnaby, Fred i Martha siedzą w ogrodzie, w rozmytych promieniach słońca, które uparcie przebija się przez chmury.

Kot Eric wyciągnął się na trawniku; leży w półcieniu pod wiśnią, cienkie gałęzie i drżące liście rzucają plamy na rude futro.

Martha siedzi w bezruchu, jakby na coś czekała.

Fred i Barnaby czytają gazety.

Zza żywopłotu dobiegają nagle ostre, podniesione głosy.

Słowa pełne gniewu i goryczyny osą się w powietrzu.

Martha dygocze; Fred i Barnaby podnoszą nad gazetę wzrok.

Lucy wypada z Homerem z drzew i idzie w ich stronę.

Barnaby kładzie rękę naramieniu ojca i wstaje.

- Pójdę zrobić herbatę, tato.

Gdy Lucy jest już przy nich, Barnaby wyciąga rękę.

Lucy, cała roztrzęsiona, chwytając ją za rękę.

Martha też wstaje, ucieszona widokiem wnuczki.

- Chciałabym znowu się położyć.

- Oczywiście, babuniu.

- Lucy widzi, że Martha jest zafrasowana.

- Przynieść ci termofor?

- pyta z uśmiechem.

- Tak, poproszę.

Martha lubi mieć w łóżku termofor, niezależnie od pory dnia i roku.

- Ja się tym zajmę - wtrąca Barnaby.

- Jadłaś lunch, Lucy?

- Nie chce mi się jeść, ale napiłabym się herbaty.

Jestem taka zmęczona, że chętnie położę się razem z babunią.

270

- Dobrze, kochanie.

Zaprowadź ją do łóżka, aja przyniosę ci herbatę.

Lucy jest bardzo blada.

Odwraca się i spogląda na Fredę, który już się domyślił, że Anna, wbrew jego prośbie, poinformowała o wszystkim córkę.

Fred wyciąga rękę do Lucy, a ona podchodzi do niego, przyklęka i obejmuje go za kolana.

Widząc, że jest roztrzęsiona, Fred w milczeniu gładzi jej splecione ciemne włosy, przetykane gdzieś jasnymi pasemkami.

Po chwili Lucy wstaje i pędzi

do kuchni.

Gdy Martha jest już w łóżku, opatulona kocem, mówi do Lucy:

- Zaciągnij zasłony, nie wpuszczaj tu dnia.

W ogóle mi się nie podoba.

Lucy przysłania okna.

Ten okropny dzień zostaje na zewnątrz, ale cienkie smugi światła przenikają do mrocznego pokoju.

Lucy, nieprzyzwyczajona kłaść się w ciągu dnia, ma wrażenie, że jest w szkolnej izbie chorych.

Kładzie się przy Marcie.

- Jak to przyjemne, kochanie - mówi Martha sennym głosem i czule gładzi wnuczkę, starając się odsunąć od siebie wspomnienie, które osacza ją nieubłaganie.

Warszawskie getto, 1943

- Raus Raus!

Niemcy przychodzą o świcie, gdywzyscy jeszcze śpią.

Waląkolbami karabinów w drzwi.

Ludzie wybiegają z domów, zaspani i zdeorientowani jak przestraszone zwierzęta.

- Buty!

- krzyczy mama.

-Martusiu, włóż zimowe buty.

Jest gorąco, alemama każe jej włożyćkilka warstw ubrań,
a nawierzch jeszcze palto.

Niemcy zganiają ludzi, popychają i pędzą na plac.

Marta

widzi kobiety, które kurczowo trzymają swoje dzieci, tulą do
271.

piersi niemowlęta, taszcza walizki.

Wstrząsa nią dreszcz.

Zdażyła w ostatniej chwili.

Żołnierze otaczają zbity tłum i wydają rozkaz do wymarszu.

Poganiają krzykiem, dżgając kolbami karabinów.

Strzelają do ludzi starych, chorych i niedołężnych, którzy upadają na ziemię.

Marta łapie Hannę za rękę, gdy żołnierze pędzą tłum w stronę wagonów bydłowych, które stoją rzędami na bocznicach.

Ci na przedzie przystają, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Tysiące ludzi napiera od tyłu na Martę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Żołnierze pchają ich dalej, obrzucają wyzwiskami, zaganiają pejcami do wagonów.

Mama szepcze:

- Ktoś popełnił okropny błąd.

Są wpychani do wagonów jak bydło.

Psy, szczute przez żołnierzy, gryzą ich w nogi, zapędzają na rampy.

W tym okropnym zamieszaniu ludzie tracą z oczu najbliższych, gubią walizki i tobołki.

Słychać krzyki kobiet wołających swoje dzieci.

Jakiś starzec jako ostatni zostaje wepchnięty kopniakiem do wagonu, w którym jest Marta, i po chwili drzwi zamykają się z hukiem.

Marta widzi jego przerażoną twarz, oczy pełne łez.

Starzec upuścił swój tobołek i stracił większość dobytku.

Po kilku szarpnięciach pociąg rusza i nabiera szybkości.

Rozlega się straszliwe zawodzenie, narasta i cichnie niczym refren powtarzany bez końca, kilometr za kilometrem.

Zewsząd słychać jęki rozpaczliwej.

Wagon jest tak zapchany, że nikt nie może siedzieć; ludzie na zmianę przykucają i odpoczywają.

W rogach stoi kubeł z wodą.

Na jak długo wystarczy?

- myśli Marta.

Jedno wiadro na taką masę ludzi.

W drugim rogu umieszczono wiadro na odchody.

Szybko się wypełnia i przelewa.

Marta zamyka oczy.

Nie ma miejsca na godność ani wstyd, choć ludzie zasłaniają się nawzajem.

272

Smród jest nie do zniesienia.

Gdy pociąg zwalnia albo staje, paru mężczyzn podejmuje się na zmianę opróżnić kubeł, wylewając zawartość przez wąskie otwory w ścianie.

Tylko wtedy wpada do środka powietrze, więc ludzie kłócą się i przepychają, żeby stanąć jak najbliżej i łapczywie odetchnąć.

Marta nie może złapać tchu.

Zewsząd napierają nanią jęczący ludzie.

Robi jej się niedobrze.

Potwór smród wdzierają do nosa, dusi ją.

Wymiotuje.

Wokoło czuć pot, strach i odchody.

Upokorzenie.

Nie mogę oddychać.

duszę się.

Tato przyciąga ją do siebie, bliżej ściany wagonu.

Marta mazawroty głowy, nogi się pod nią uginają.

Tato pochyla się nad nią i szepcze do ucha:

- Oddychaj, Marto!

Nie powstrzymuj się.

Zaczerpnij głęboko powietrza.

Przyzwyczaisz się do tego zapachu.

O tak, grzeczna dziewczynka.

Oddychaj.

Nic ci nie będzie.

Jesteśmyrazem.

Oddychaj głęboko.

Zawodzenie brzmi jak kadysz, niekończący się, przerażający jęk.

Potem ludzie zasypiają z wyczerpania, wsparci jeden nad drugim.

Grupka osób obok Martystanowi rodzinę; rozmawiają cicho, próbując znaleźć słowa pocieszenia, które ożywią nadzieję.

Gdy pociąg zwalnia, dwaj młodzi chłopcy podsadzają się na zmianę, żeby zerknąć przez wąskie otwory i dostrzec nazwę stacji.

Zostają daleko w tyle znane ludziom miasta.

Miejsca, gdzie się urodzili, mieszkali, wiedli szczęśliwe życie.

Pociąg staje.

Z zewnątrz nic nie słychać.

Tato mówi mamie, że za dnia pociąg może zostać zbombardowany, więc trzeba czekać, aż się ściemni.

Ludzie śpią.

Martasłucha ciszy.

Ciszy w mroku, gdzie każdyśni swój własny koszmarny sen.

Jest tak spragniona, że obrzmiewa jej gardło.

Z bólem przełyka ślinę.

Wyczuwa otepiałą przerażenie matki, śmiertelny spokój ojca, paralizującą strach Hannę.

273.

Ogarniają straszliwe uczucie bezradności.

Mama i tato niktąnej oczach, jakby rozpadali się i kurczyli, wiedząc, że przedniczym już jej nie uchronią.

Czasem pociąg zatrzymuje się namającychstacjach.

Ludziwołają pomoc, błagają, żeby ktoś przyniósł wodę, zabrałmartwych.

Ale stali sięniewidzialni.

Ichprośbytrafiają w próżnię.

Nikt nie przychodzi.

Nikt nie ma odwagi.

Podczas takiego postoju Marta spogląda przez wąskiotwór w ścianie i widzi na peronie kobietę w czerwonym kapeluszu.

Na jegowidok doznaje szoku.

Poza ścianami wagonużycie toczy się dalej,jakby nic strasznegosięnie działo.

Marta chwyta Hannę za rękę.

Drży na całymciele.

Chce się obudzić.

Ocknąć ztego koszmaru.

Dalej idalej w ciemność.

Ludzie umierają: niemowlę tużobok Marty, starzec wepchnięty jako ostatni do wagonu.

Starzy chorzy padają z gorąca i braku wody.

Dworce pojawiają się coraz rzadziej.

W końcu słyhaćzgrzytkół,pociąg zwalnia i wreszcie staje.

Mama próbuje podnieśćwszystkichna duchu.

- Dojechaliśmy.

Wszystko będzie dobrze.

Gdy dotrzemy namiejsce przesiedlenia, zabierzemy się do pracy i razem przetrwamy tę wojnę.

Zobaczycie.

Drzwi się otwierają; oślepia ich światło reflektorów.

Z mgływyskakują okropne postacie z ogolonymi głowami, ubranewpasiastepizamy.

Pejczami wyganiają ich z wagonów.

Z pociągu wylewa się tłum oszołomionych i zdeorientowanych ludzi.

Marta trzyma siękurczowo mamy i Hanny, tuż za nią idzieojciec.

Ludzie kłębią się przerażeni, nie chcą w tym rozgardiaszu odłączyć się od swoich bliskich.

Na peronie stoją esesmani, trzymając na smyczy wielkie psy.

Wykrzykująpolecenia, ale ludzie są zbytwystraszeni, oszołomieni i wyczerpani, żeby je szybkowypełniać.

Esesmani przemierzają tam i z powrotem peron, wskazująpejczami ludzi, selekcionują, wybierają.

Dziela miotający się²⁷⁴

tłum nadwie grupy.

Jedni na lewo, drudzy na prawo.

Tworząkolumny.

Marta przygląda się wskupieniu.

Ludzie przechodzą,przeskakują, przenoszą się- kto wie, czy celowo, czy na oślep- zjednej strony na drugą.

Wygląda to tak, jakby w ułamkusekundy podejmowalidecyzję.

Czym się kierują?

- zastanawiasię Marta.

Ludzie starzy, wycieńczeni, matki z małymi dziećmi są odsyłani na prawo.

- Na lewo - szepcze ktoś zaMartą.

- Musicie znaleźć się polewej stronie.

Ci po prawej idą prosto do.

Mama odwraca się gwałtownie i nieznacznym ruchem ręki daje znak kobiecie, żeby zamilkła.

Młodzi chłopcy dodają sobie kilka lat i wymyślają zawody; są kierowani na lewo.

Kobiety, którym odebrano dzieci, odprowadzają je wzrokiem na prawą stronę, na samotną śmierć.

Zdrowe kobiety błagają, żeby pozwolono im umrzeć razem z dziećmi.

Niektórzy się pozwalają, inni pałkami i szturchańcami kieruje się na lewo, do pracy.

Ja też wybrałabym śmierć.

Mama, Hanna i Marta trzymają się razem, nie dają się rozdzielić.

Szukają wzrokiem taty, który pozostał w tyle.

Marta dostrzega ojca, przygarbionego i postarzałego, odpychanego przez tłum coraz dalej od nich.

Woła do niego, ale tato znikawo zamęci i wrzawie.

Zostaje zabrany razem z grupą mężczyzn, których umiejętności są przydatne.

Nawet się nie pożegnali.

Tato znika na zawsze.

Marta razem z mamą i Hanną sąodesłane na lewo.

Esesmanikażą ludziom zostawić wszystkie pakunki na peronie.

Mówią, że będą mogli zabrać je później.

Ale już nigdy nie zobaczyły rzeczy tak starannie zapakowanych przez mamę.

Trafiają do grupy kobiet, które jeszcze mogą iść własnymi siłami.

Przechodzą przez bramę.

Nad nią widnieje napis: ARBEITMACHTFREI.

275.

Zapędzają je do dużego budynku, w którym mieści się łaźnia.
Każą się przebrać - wełniane ubrania należy położyć osobno - i umyć w lodowatej wodzie.
Przechodzą dezynfekcję, biorą prysznic.
Potem obcinają im włosy.

Ogolili nam głowy.

Zgolili włosy na całym ciele.
Moje długie ciemne włosy spadają kaskadą napodłogę.
Potem włosy Hanny.

I mamy.

Stoją nadzy, zmarznięci, poniżeni.

Strażnicy rzucają im brudne ubrania z juty, które drapią skórę - żadnej bielizny,
pończoch chroniących przed zimnem - i niedopasowane drewniaki.

Nic więcej nie mogą nam zabrać - myśli Marta.

Strażnicy znowu ustawiają ludzi w szeregu, każą podać nazwisko i przydzielają każdemu numer, który zostaje wytatuowany na przedramieniu.

Zabierają nam nazwiska i dają numer wypalony na ciele.

Teraz jesteśmy numerami.

Nie mamy włosów, ubrań, tożsamości.

Jesteśmy bezimienni.

Patrzą na mamę i Hannę, a one patrzą namnie.

Jedynym znakiem rozpoznawczym są nasze przerażone spojrzenia.

- Babuniu!

Obudź się.

To tylko sen.

Babuniu!

Zaraz odsłoń okno.

Zobacz, jaki piękny wieczór.

Lucy wpuszczają do pokoju światło.

Odwraca się i widzi śmiertelny strach w oczach Marthy.

Babcia wygląda jak widmo, dygocze niczym w gorąco.

Lucy okrywa ją po samą brodę puchową kołdrą, siadana brzegu łóżka i mocno obejmuje.

- Babuniu - szepcze raz po raz, tuląc ją i kołyszając.

- Babuniu.

już dobrze.

Nicci nie grozi.

Jesteś w domu.

bezpieczna.

w domu.

Tookropne miejsce powoli się oddala.

Martha patrzy na młodą dziewczynę i z wysiłkiem poznaje Lucy.

- Och, kochanie, tak się cieszę, że tu jesteś.

276

Wyjmuje spod kołdry drobną rękę.

Lucy trzymając ją delikatnie ją odwraca i przykłada usta do małej blizny na lewym przedramieniu.

Łzy płyną jej z oczu.

Gdy podnosi wzrok, widzi przeblysk świadomości w oczach

Marthy.

- Kocham cię, babuniu - szepcze.

- Ja też cię kocham, drogie dziecko - odpowiada Martha.

Rozdział trzydziesty szósty

Pod wieczór przychodzi Anna, żeby pożegnać się zewszystkimi przed wyjazdem do Londynu.

Jest przygaszona, niewygląda najlepiej.

- Proszę cię, nie wyjeżdżaj wtakim nastroju - mówi Barnaby.

- Pogódź się Lucy i zostań na noc.

Pojedziesz jutro rano.

Nie powinnaś ruszać w drogę, gdy jesteś tak zdenerwowana.

Anna unosi rękę, nie dopuszczając do siebie jego słów.

- Uspokój się, Barnaby.

Nie jestem zdenerwowana.

Czuję się świetnie.

Nie mamy sobie z Lucy nic więcej do powiedzenia.

Chcę wracać do Londynu.

Przerywa i przymyka na chwilę oczy, jakby miała dość tej rozmowy.

- Dobrze wiesz, jak bardzo mi zależy na tym, żeby Martha i Fred mieli właściwą opiekę.

Porozmawiamy o tym innym razem - teraz jestem zbyt zmęczona.

Gdy zabraknie Lucy, może się przekonaasz, że sam sobie nie poradzisz.

Barnaby znowu czuje wzburzoną irytację.

Anna nigdy nie da nakłonić się do zmiany czy choćby ponownego rozważenia raz podjętej decyzji.

Nagle odczuwa zdowolenie, że Anna wyjeżdża.

Przy każdym spotkaniu oboje zajmują te same co w dzieciństwie pozycje: jedno atakuje, drugie się broni.

Lucy ma, niestety, rację - obecność Anny

zawsze wprowadza zamęt, a jednocześnie budzi w nim poczucie winy.

Anna bierze elegancką torebkę, szalik, kluczyki do samochodu i nagle mówi:

- Czy masz świadomość, że Fred jest chory?

To on, bardziej niż Martha, potrzebuje teraz pomocy lekarskiej.

- Oczywiście, wiem o tym, Anno - odpowiada spokojnie Barnaby.

- Nie jestem ślepy.

Przyrzekłem Fredowi, że nie będę cię martwić i nie powiem Lucy, jak ciężki jest jego stan.

Brian przychodzi tu co tydzień pod pozorem wizyty towarzyskiej, poza tym jestem w ciągłym kontakcie z lekarzem z przychodni.

W tej chwili Fred jest skłonny zaakceptować tylko taką formę nadzoru nad jego zdrowiem.

Muszę uszanować jego życzenie.

Anna nie odrywa wzroku od Barnaby'ego, trzymając dłoń na klamce drzwi frontowych.

- W takim razie wiesz również, że wstrzykuje sobie duże dawki morfiny, która powoduje halucynacje.

- Widzi zaskoczenie na jego twarzy.

- Nie zazdrościsz ci, Barnaby.

Chętnie ci pomogę zorganizować właściwą opiekę, ale musisz wykazać więcej zrozumienia.

Chyba wyraziłam się jasno, jak powinno to wyglądać.

- Owszem, Anno.

Ja zaś powiedziałem ci, że nie zamierzam więcej rozmawiać na ten temat, inie zmienię zdania.

Anna idzie do oranżerii, żeby pożegnać się z Martha i Fredem.

Wracając, przechodzi koło Barnaby'ego, który wciąż stoi przy drzwiach frontowych.

- Do widzenia, Barnaby.

- W progu odwraca się i dodaje: - Tak na marginesie, postanowiłam sprzedać działkę, którą dostałam od Freda.

W ten sposób uzyskam pieniądze potrzebne na pokrycie kosztów pobytu Marthy lub Freda w jak najlepszym domu opieki.

Gdy Fred poczuje
279.

się jeszcze gorzej, tylko mi za to podziękuj.

- Przez chwilę przyglądasz Barnaby'emu.

- Uważam, że powinieneś porozmawiać z pracownikami opieki społecznej o wyborze odpowiedniego miejsca.

W przeciwnym razie będę musiała powiadomić ich, że moi rodzice są pod opieką niekompetentnych osób, i uświadomić im zagrożenia, jakie mogą z tego wyniknąć.

Zostawia Barnaby'ego przy drzwiach, wsiada do samochodu i już maruszy, gdy niespodziewanie otwierają się drzwi mercedesa.

- Jak śmiesz przyjeżdżać tu i rzucać pogrożki?

Jak śmiesz podejmować decyzje, które zaważą na życiu Marthy i Freda?

Wpadasz, gdy najdzie cię ochota, i uważasz, że masz moralne prawo.

- Przerzywa, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Jeśli za moimi plecami skontaktujesz się z pracownikami opieki społecznej albo będziesz chciał sprzedać działkę pod pretekstem, iż jest to konieczne, ja skontaktuję się z prawnikiem Freda. Ta działka stanowi część różanego ogrodu Marthy.

W zamyśle taty sprzedaż byłaby możliwa tylko po ich śmierci.

Postaram się też pełnomocnictwo do wyłącznego reprezentowania Marthy i Freda.

Mieszkali razem przez całe życie i nie pozwolę, żebyś znęcała się nad nimi, gdy są starzy.

Wsuwa głowę do samochodu.

- Sądzę, że pieniądze są tu najważniejsze, tylko wyrzuty sumienia.

Mam wrażenie, że nie zaznasz spokoju, dopóki nie umieścisz ich w domu opieki.

Niewszystkich można wepchnąć do bezpieczniejszej szufladki.

Życie ludzi starych jest smutne, niechlujne i według ciebie pewnie też bezużyteczne.

Ale przebywanie w bezpiecznej szufladce marównieź przykre strony.

Cóż może dać więcej szczęścia niż życie do końca we dwoje, w otoczeniu najbliższych?

280

Barnaby nie jest w stanie się pohamować.

- Pracujesz bardzo ciężko, nie musisz mieć wyrzutów sumienia.

Jestem tutaj, bo tego pragnę, i nie oczekuję od ciebie wdzięczności.

Ale nie próbuj przeszkadzać mi w działaniu, żeby potem móc powiedzieć swoim znajomym: och, moi rodzice mieszkają w cudownym domu opieki.

Kosztuje krocie - musiałam sprzedać swoją część spadku - ale wart jest tych pieniędzy.

Barnaby trzęsie się ze wzburzenia.

Anna siedzi nieruchomo, wpatrzona w deskę rozdzielczą.

Barnaby po raz pierwszy widzi na jej twarzy oznaki wyczerpania.

Mówi już spokojniejszym tonem:

- Dotychczas nie toczyłem z tobą bójów, Anno, ale będę trzymał się tego, co ci przed chwilą powiedziałem.

Nie chcę, żebyś wyszła na idiotkę, ale pamiętaj, że to jest moja parafia, tu pracuję i mieszkam.

Dzięki moich parafianom znam wielu tutejszych pracowników opieki społecznej i lekarzy.

Prawie rok nie odwiedzałaś Marthy i Freda.

Naprawdę sądzisz, że masz prawo moralizować?

Że wygłaszasz swoje opinie, kierując się pobudkami altruistycznymi?

Barnaby'emu wydaje się - choć nie jest pewien, bo zapada już zmierzch - że Anna jest bliska łez.

- Niczego ci nie wypominam, po prostu stwierdzam fakt - dodaje łagodniejszym tonem.

Anna odwraca się w jego stronę.

Barnaby po raz pierwszy dostrzega na jej wymizerowanej twarzy upływ czasu, a nie piękne rysy.

- Już skończyłeś?

Możesz wreszcie pozwolić mi odjechać?

- Tak, skończyłem.

- Barnaby prostuje się i puszcza drzwi samochodu.
- Przykro mi, że wyjeżdżasz w takim nastroju.
Jesteś bardzo zmęczona.
Wolałbym, żebyś wyjechała jutro rano.

281.

Anna uśmiecha się cierpko i wrzuca pierwszy bieg.

- Jeśli nie chcesz, żeby opieka społeczna poważnie zainteresowała się tym, co się dzieje w twoim domu, radziłabym, żebyś zajął się lekami Freda.

Przez swój sentymentalizm doprowadzisz dotego, że Martha i Fred dożyją swego wieku skrajnej nędzy - to pierwsza sprawa.

A druga to zażywanie morfiny, która nie należy do zalecanych Fredowi lekarstw.

Zamyka drzwi i odjeżdża, nawet nie spojrzawszy na Barnaby'ego.

Anna zawsze musi mieć ostatnie słowo.

Barnaby odwraca się i wpada na ojca.

- Przykro mi, kolego.

Powinienem być ci powiedzieć o morfinie.

Nie masz powodu do obaw.

Brian już się zamnie zabrał.

- Po twarzy Freda przemyka ironiczny uśmiech.

- Mój ukryty zapas się wyczerpał, w dzisiejszych czasach lekarze muszą się tłumaczyć z każdego przepisane leku.

Poklepuje syna po ramieniu.

- Szklaneczka whisky dobrze nam zrobi, nie sądzisz?

Ojciec i syn unoszą szklaneczki.

- Wszystko będzie dobrze, tato.

Dotychczas dawaliśmy sobie całkiem niezłą radę.

- Oczywiście.

Nie mam co do tego wątpliwości.

Ileż to razy w czasach ich dzieciństwa Fredowi udało się sprawić, że ostre, wrogie słowa stawały się bardziej znośne - myśli Barnaby.

- Co jest takiego w Annie, że nigdy się nie wycofa, nie przyzna do błędu?

Anna jedzie w stronę grobli.

Widzi światła, które niczym robaczki świętojańskie zapalają się w narastającym zmroku, i czuje się jeszcze bardziej osamotniona.

Na czarnej wodzie pojawiają się pomarańczowe refleksy; tuż nad powierzchnią krąży z żalnym krzykiem wodne ptactwo.

282

1

Anna skręca z drogą pusty parking przy pubie, podjeżdża do wału nadbrzeżnego i przez szybę samochodu patrzy na morze.

Siedzi nieruchomo.

Coś się wydarzyło.

Traci poczucie rzeczywistości, jakby była w lekkim szoku.

Po raz pierwszy w życiu nie poznaje siebie - dotychczas nigdy nie traciła kontroli.

Wyjmuje z torebki paczkę papierosów, zapala i zaciąga się głęboko.

Musi się od tego odzwyczaić - coraz częściej ukradkiem popala.

Jest śmiertelnie zmęczona, niemal wyczerpana, choć dobrze spała i kilkakrotnie robiła sobie kawę w ciągu dnia.

Poza tym piła alkohol.

Nie powinna jechać tego wieczoru do Londynu.

Zamierza zadzwonić do Rudiego i powiedzieć mu, że zatrzyma się gdzieś na noc i wczesnym rankiem ruszy w dalszą drogę.

To nie w jej zwyczaju - zwykle niechętnie rozmawia o swoich uczuciach, a teraz, gdy ma ochotę z kimś porozmawiać, Rudi jest daleko.

Od strony wody dobiega jakiś hałas.

Dwie kaczki podrywają się kwakaniem i odlatują niezdarnie, dotykając skrzydłami wody.

Annachciałyby być z powrotem w Londynie, nie patrzeć, jak ten dzień dogasa pięknie w ciszy bezruchu.

Ma dotkliwe poczucie straty i jednocześnie przepelniają nieukojoną tęsknotą.

Na ułamek sekundy potrafi utożsamić się z człowiekiem, który wchodzi do nieruchomej wody i zanurza się w ciemność.

Uczucie jest dojmujące, ale po chwili przemija.

Martha i Fred.

Dwoje łagodnych ludzi, którzy dali jej samą miłość.

Nagle, jakby zdnia nadziei niezauważalnie, stają się starcami, chorymi i bezradnymi.

Nie miały czasu, by zauważyć, że ich stan pogarsza się z każdym tygodniem i miesiącem.

Odchodzą od niej bezpowrotnie.

Ich miłość była dla niej naturalna i oczywista, jak muzyka w tle, zawsze obecna.

283.

Teraz jest już za późno, żeby spytać tych dwoje ludzi:

Czy coś się wydarzyło, kiedy przyszedłam na świat?

A może urodziłam się za wcześnie, gdy nie byliście jeszcze na top przygotowani?

Dlaczego nawiedzają mnie te sny?

Wojna dopiero się kończyła.

Czy upłynęło za mało czasu, by Martha pogodziła się utratą rodziny i przyzwyczaiła do nowego kraju.

Czyżajście w ciążę zaraz po zawarciu małżeństwa było dla niej szokiem?

Może dlatego zawsze odnosiły się do siebie z rezerwą?

Może tego powodu rodzice niechętnie opowiadali o jej narodzinach czy pobycie w Londynie przed przeprowadzką do nowego domu?

Pewnego razu, gdy dręczyły ją potworne koszmary, Fred zaniósł ją do swojego gabinetu.

W ciepłym, zadymionym pokoju rozbrzmiewały ciche dźwięki Mahlera.

Siedziała skulona na kolanach Freda, zasłuchana razem z nim, aż ogarnęła ją senność.

Muzyka była niezmiernie smutna.

Wzruszyła ją i uwolniła od jakiegoś napięcia.

Anna czuła, jakby coś się w niej przełamywało i rozwiązywało, nie wiadomo dlaczego.

Rozplakała się i wtuliła w koshulę Freda.

Gdy pochylił głowę, poczuła na twarzy jego włosy.

- Powiedz mi, kochanie, co ci się śni, a spróbuję to odegnać.

Strach przed czymś mrocznym i dławiącym, co z wolna, ale zdecydowanie zbliża się do niej, co budzi ją rozdygotaną w środku nocy i nie pozwala zasnąć.

Strach przed wylaniającą się twarzą tej istoty, kształtem, jaki przybierze.

Strach przed czymś widmowym i nieokreślonym.

- Jeśli ci powiem, złapie mnie.

- Kto, skarbie?

Tu nikogo nie ma, tylko my dwoje.

- Nie, nie.

Szepczą w ciemnościach, kiedy śpię.

Niemówią po angielsku.

284

Zapada milczenie.

- Uwierz swojemu ojcu.

Nikt nie szepcze w ciemnościach.

To ci się tylko śni, masz koszmary.

Zobacz, słuchamy tej pięknej muzyki i robi ci się smutno, ale gdy ją wyłączymy, smutek, który czujesz tutaj - Freddie ręką piersi Anny - znika razem z nią.

Prawda?

Anna kiwa głową.

- Tesny, choć wydają się prawdziwe w ciemnościach, są jak muzyka.

Też znikną, a potem zniknie wspomnienie o nich.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Anna patrzy przed siebie naciemną wodę.

Nie przypominaj sobie, byw dojrzałym wiekiem Barnaby kiedykolwiek wpadł w taki gniew.

W dzieciństwie potrafiłam solidnie dokuczyć, ale on rzadko się odgryzał i odpowiadał takim na atak.

Wtedy wiedziała, że posunęła się za daleko.

Martha i Fred nigdy jej za to nie karcili, tylko się od niej odwracali.

Czuła, że sprawiła im przykrość, i chciała, żeby się rozgniewali, jakby ich gniew miał być oznaką, dowodem ich bezwarunkowej miłości.

Wie, że dzisiaj posunęła się zadaleko.
Niemogła się powstrzymać.
Gdy wypowiedziała pierwsze słowo, kolejne padały jedno za drugim.
Niedość, że pokłóciła się z Lucy, to musiała jeszcze naskoczyć na Barnaby'ego.
Słyszała swoje pogrożki, rzucał je z uporem, choć wcale nie miał zamiaru ich zrealizować.
Dlaczego tak się zachowała?
Zamyka oczy na wspomnienie smutnej twarzy Freda stojącego za Barnabym, gotowego go
ochronić i pocieszyć.
Jak zawsze.
Czy jest bliska załamania nerwowego?
Z przerażeniem myśli o swoim zachowaniu.
Gdyby tak postąpił ktoś inny,
285.

poczułaby do niego wstręt.

Może powinna porozmawiać z Alice.

Prowadzi za wiele poważnych spraw jednocześnie.

Próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wyrwali się z Rudim na długi weekend.

Już nie pamięta.

Zapala kolejnego papierosa, obiecując sobie, że nie kupi następnej paczki.

Zaciąga się głęboko i patrzy na pastrzcin.

Słyszy plusk fal, przypominający kłaśnięcie dziecięcych dłoni.

Fred umiera.

Martha już jej nie poznaje.

Czy tenniępokój, który głęboko w niej tkwi i teraz ją dręczy, ma związek z nimi?

A może tak przejawia się jej poczucie winy?

Odsunęła ich od siebie.

Zajęła się pracą w Londynie.

Jakby bez nich czuła się bezpieczniej.

Tutaj, w tym domu, nieokreślony lęk z jej snów wydajesie przybierać na sile.

Gasi papierosa i uruchamia samochód.

Musi się przespać.

To wszystko ze zmęczenia.

Będzie musiała łykać tabletki nasenne, jeśli ten stan potrwa dłużej, a przynajmniej dopóki nie zakończy prowadzonej teraz sprawy.

Zawracai wyjeżdża z powrotem na drogę.

Zawsze dopisywałom zdrowie, myśli.

Gdy tylko znajde się w Londynie i wróce do pracy, znowu poczuje się świetnie.

Nie będzie miała czasu namyślenia, skończą się kłopoty.

Przyspiesza, jadąc groblą.

Mimo swoich zastrzeżeń, sprawę rodziców musi zostawić chwilowo Barnaby'emu.

Nie może brać więcej na swoje barki.

Musi skupić się na pracy.

Zatrzymuje się w małym hotelu w Truro, i jakolacj natychmiast idzie spać.

Budzi się czwartej rano, wyspana, w dobrym nastroju.

Drogisa puste, więc spokojnie dojeżdża do Londynu.

Podczas podróży uklada sobie plan całego dnia, minuta po minucie.

Odczuwa znajome podniecenie, wiedząc, że znowu nad wszystkim panuje.

Skrę286

cając w ulicę zabudowaną szeregowymi domami i parkując mercedesa, łapie się na tym, że nuci jakąś melodię.

Uśmiecha się na widok Rudiego, który najwyraźniej jej wypatrywał i teraz szybko otwiera drzwi.

Jest w domu.

Wczorajsza Anna poszła szczęśliwie w niepamięć.

Nie tylko ta wczorajsza.

Rozdział trzydziesty siódmy

Berlin

Kwitnącedrzewa, płatki rozsypane jak konfetti - widoczne wszędzie: w ogrodach, parkach, wzdłuż szerokichpodmiejskich ulic - kojarzą mu się z domem w Polsce.

Jabłoń rosnąca w ogrodzie za czasów jego dzieciństwa była pokryta chmurą kwiatów, któreopadały na trawnik, tworząc białoróżowy kobierzec.

Mieszkali dośćdaleko od Warszawy i dlatego rzadkomał okazję bawić się z kolegami. Przyjaciół należałozaprościć - taki był zwyczaj - niewpadaliotak, gdy mieli ochotę. To samo dotyczyło dziewczynki.

Wspinali się często na jabłoń i chowali wrozłożystychgałęziach.

Konie stały spokojnie pod drzewem, skubiąctrawę i zjadając jabłka, które spadły na ziemię.

Wieczorami chłopiec częstochował się przed nianiażnudzony przesiadywał godzinamina drzewie, dopókinie podrósł inie zaczął spotykać się z niemieckimi kolegami.

Całe dzieciństwo upłynęło mu naczekaniu, aż coś się wydarzy i życie stanie się ciekawsze.

Nie miał sposobności nawiązać przyjacielskich kontaktów z kolegami.

Całedni spędzał w towarzystwiematki, ojciec dużo pracował w klinice, któracieszyła się corazwiększym uznaniem.

Gdyby ta rodzinanie wprowadziła siędo sąsied288

niego domu, nie miałby kontaktu z rówieśnikami aż dogimnazjum.

Ojciec uwielbiał tę jabłoń.

Sprawdzał, czy na liściachnie mazarazy, dotykał grubego pnia, jakbywitał sięz przyjacielem.

Tego dnia, gdy ostatni raz rozmawiał z ojcem, nad okolicą przetoczyła sięgwałtowna burza.

Wybrał się konnodo lasu - Tylicz okulał, więcchłopiec osiodłał młodąklacz.

Świst porywistego wiatru tak gozirytował, że wrócił do domu wżłym humorze.

Służbaprzekazała mu wiadomość, że ojciec wzywa go do gabinetu.

Ponieważ Mutti była poza domem, przypuszczał, że ojciec, korzystając z okazji, chce porozmawiać z nim sam na sam, po raz ostatni próbującdowieśćswoich racji.

Gdy wszedł do pokoju, ojciec stał tyłem do niegoi patrzył na ogród, drzewa przyginane wiatrem, deszczzacinający wokna, jabłoń, która lada dzień miała okryć siękwiatami.

Wiosna.

To musiało być wiosną 1940 roku.

Wzrok chłopca padł na ojcowski kark, zbyt luźny kołnierzyk koszuli, jakby ojciec stracił na wadze.

Dostrzegłcienkie siwe włosy zachodzące pod kołnierzyk, wąskie ramiona przygniecione jakimś ciężarem, przygarbione odsmutku i zagubienia.

Wiedział, że ojciec usłyszałjego kroki.

Wiedziałteż, żejest mu trudno odwrócić się spojrzeć synowi wtwarz.

Mimo współczucia dlatego starzejącego się człowieka, który nie nadaża za biegiem wydarzeń, poczuł z nieklamanałą satysfakcją, że ma nad nim przewagę.

- Wzywałeś mnie?

Ojciec odwrócił się z wymuszonym uśmiechem, aletwarz mu stężała, gdy zobaczył syna w mundurze.

Chłopiec włożył gocelowo, zdając sobie sprawę, jakie wrażenie

289.

zrobi na ojcu uniform Hitlerjugend.

Czuła sobie baczną, pełną powagi spójrzanie.

- Usiądź.

Napijesz się czegoś?

- spytała go.

- Tak, proszę.

Chłopiec usiadł okrakiem na krześle przy biurku, przybierając niedbałą pozę, aby zamaskować uczucia, które ojciec zawsze w nim budził.

- Jestem umówiony.

Za pół godziny.

Mam niewiele czasu - oznajmił.

- Tonie potrwa długo - odparł ojciec, podając mu piwo.

- Jutro jadę do Łodzi.

Przed wyjazdem chcę z tobą porozmawiać.

Gdy wrócę, ciebie może już nie być.

- Czekam na polecenie - rzekł, uśmiechając się wyższością.

- A więc nawet ty, ojczu, wykonując zawód, który zwałnia z czynnej służby wojskowej, nie możesz dłużej odżegnawać się od współpracy z wielką Trzecią Rzeszą.

Zauważył nerwowy tik na policzku ojca i tłumioną irytację, wywołaną jego ironicznym grymasem.

- Jadę do Łodzi jako lekarz cywilny.

Choć, oczywiście, masz rację.

Nie da się dłużej uciekać przed tym, co nieuniknione.

- A dlaczego miałbyś uciekać?

- spytał chłopiec, popijając piwo.

- To samopytanie mógłbym zadać tobie.

- Nie rozumiem.

- Też mógłbym spytać: dlaczego?

Dlaczego z taką dumą nosisz właśnie ten mundur?

Czy moje głębokie przekonania i wartości, które usiłowałem ci zaszczepić, w żaden sposób na ciebie nie oddziaływały?

Choć latami wpajano ci perfidnie antysemityzm, zarówno w domu, jak i poza nim, spodziewałem się, że nie zawiedziesz moich nadziei.

Oczekiwałem, że będziesz dość inteligentny, by przeciwstawić się skrajnym uprzedzeniom matki.

Nie masz własnego rożnu?

zumu?

Musisz chłonąć jak gąbka tę nazistowską propagandę?

Niczego nie kwestionując, niczego nie poddając racjonalnej czy moralnej ocenie?

Przyjąłeś nazistowską ideologię z takim zapałem, że budzi to moją odrasę.

Pobladły zgniewu chłopiec już miał unieść się z krzesła, ale ojciec zatrzymał go gestem dłoni.

- To nie twoja wina, że urodziłeś się i wychowywałeś w czasach naznaczonych piętnem

faszystów i kultem Hitlera.

Pytam jednak raz jeszcze: nie potrafisz odróżnić dobra od zła?

Nie wyczuwasz, co jest niemoralne i nikczemne?

Nie mówię o subtelnych uczuciach, bo, jak przypuszczam, jesteś ich pozbawiony, lecz o podstawowych ludzkich odruchach.

Chłopiec patrzył na niego zimnym wzrokiem.

- Uważaj, co mówisz, ojczu.

Jesteś Niemcem i wypowiadając takie słowa, dopuszczasz się zdrady.

- I byłbyś gotów donieść na ojca swoim nazistowskim kompanem z Tomaszowa?

- Nie ma takiej potrzeby.

Niemcysą w stanie wojny, a naszym obowiązkiem jest bronić kraju i jego ideałów.
Dobrze wiesz, ojczy, że w trosce o własne dobro musimy przeciwstawić się niższej rasie, która
sączy jad w nasze społeczeństwo i zewsząd nas zalewa.
Nie można myśleć w kategoriach interesów jednostki, gdy walka toczy się o czystość
przetrwania niemieckiej rasy.

Ojciec opadł ciężko na fotel.

- Gdybyś tylko słyszał moje słowa, mój biedny synu.

Żydzi stanowią zaledwie jeden procent społeczeństwa.

Mieszkamy w Polsce, a nie w Niemczech.

W pokonanej Polsce.

Tak, jesteśmy Niemcami, ale twój dziadek ze strony matki był Polakiem.

To dzięki niemu matka jest zamożna, ma ten dom, nawet jeśli nie chce tego przyznać.

- Uniósł ręce dogóry.

- Nie chodzi mi o to, dlaczego

291.

nosisz mundur - istotnie, jesteśmy Niemcami - ale o to,
dlaczego nosisz akurat ten mundur.

Odstawił szklankę z piwem i spojrzał chłopcuw oczy.

- Chcę, żebyś się poważnie nad tym zastanowił.

Dokonał moralnej oceny swojego stanowiska w tej wojnie, zanim będzie za późno.

Nie służyłeś w armii niemieckiej, która napadła na Polskę.

Przez całe swoje życie mieszkałeś tutaj.

Masz polskich przyjaciół.

Komuchcesz zaimponować, z takim zapalem nosząc faszystowski mundur?

Sobie samemu?

Czy tym niemieckim łobuzem, z którym się zaprzyjaźniłeś?

Ojciec wziął szklankę z piwem i odwrócił się do okna.

- Zważywszy, jak często nosiłeś ten mundur przez cały ten rok, nie można wykluczyć, że w końcu dali ci go prezencie.

Chłopiec poderwał się z krzesła, nie mogąc znieść tych kpin.

Ogarnęła go wściekłość.

Ten niedoświadczony starzec, głupi stary przyk, jeszcze skończy w więzieniu.

Jak widać, nie jest w stanie pojąć, o co oni walczą.

- Dumny jestem z tego munduru!

Dumny jestem, że go noszę!

Jestem Niemcem, więc dlaczego miałbym nieszczęśliwie się naszymi osiągnięciami?

Niemiec pozostanie Niemcem, ojcze, niezależnie od tego, czy mieszka w Berlinie czy Warszawie.

Nie czytasz gazet?

Niewidzisz, co nam zagraża?

Mówiłem ci: jeśli nie będziemy bronić naszej tożsamości, oni nas zaleją.

Naszą krew zatruje krew żydowska.

Zniknie czysta rasa niemiecka.

- Naprawdę sądzisz, że w Niemczech wszyscy są nazistami?

Mam tam wielu przyjaciół i kolegów, tak samo przerażonych jak ja.

Tysiące normalnych, myślących ludzi ma odwagę odrzucić tę ideologię mimo historycznej retoryki jej propagatorów, odwrócić się od tego, co ich zdaniem jest złe.

Naprawdę uważasz, że te osiłki, z którymi

mi się zadajesz, są prawdziwymi Niemcami?

Ani ty, ani twoja matka nie jesteście czystej krwi Niemcami.

W tym domu tylko ja jestem Niemcem czystej krwi i do tego antyfaszystą.

Chłopiec puścił mimo uszu tę ostatnią uwagę.

Chodziłam i z powrotem po gabinecie ojca, wzburzona rozmową.

- Przemysł, bankowość, służba zdrowia.

Oni są wszędzie.

Jestem dumny, że w trosce o dobro nasze i naszych dzieci mogą budować nowy porządek.

Nie chcę, by rządili nami ludzie innej rasy.

Będę dążył do tego, by moi dzieci żyli w bezpiecznym, czystym środowisku.

Przerwał zaskoczony, słysząc śmiech ojca.

Znieruchomiał, jak zdarzało mu się to w dzieciństwie, gdy nie wiedział, czego może się spodziewać.

Śmiech ojca budził niepokój, jego spojrzenie wprawiało w zakłopotanie.

Ojciec obrócił się na krześle i powiedział spokojnym, swobodnym tonem:

- Jak rozumiem, budowanie nowego porządku, tworzenie bezpiecznego, czystego środowiska dla twoich dzieci polega, między innymi, na publicznym poniżaniu Żydów.

Atakże na zabieraniu im całego dobytku, okradaniu ich, burzeniu podstaw ich egzystencji.

Chłopcy tacy jak ty, w eleganckich, nieskazitelnych mundurach, cieszą się, kiedy mogą grabić

Żydów z ubrania, obcinać im brody, kazać tańczyć na ulicach jak zwierzętom cyrkowym i wystawiać

ich na pośmiewisko.

Cóż to za nowy wspaniałyświat!

Jakie to chwalebne być Niemcem!

Dobrym idzielnym Aryjczykiem.

Przedstawicielemczystej rasy, wyidealizowanej przez Hitlera.

Ojciec mówił z gniewem słowa więzły mu w gardle.

Przymknął oczy po chwili odezwał się tak cicho, że chłopiec musiał nachylić się, żeby je usłyszeć.

- Widziałem cięwczoraj naulicy Krakowskiej.

293.

Chłopiec oblał się potem.

- Było was pięciu, wszyscy w mundurach, z których jesteście tacy dumni.

Pięciu młodzieńców - wysokich, z jasnymi włosami rozwianymi na wietrze, jak na filmach propagandowych.

Stałeś obok niskiego, grubego folksdojczy z swastyką na czerwonej opasce.

Pamiętasz, co robiliście?

Chłopiec milczał.

Wolał nie patrzeć na ojca.

Z zaciętą miną spoglądał na jabłoń uginającą się na wietrze, jeszcze nierozwinięte pączki spadające na trawę.

- Przypomnę ci.

- Ojciec z trudem dobywał głos.

- Kazaliście jakiemuś bosemu starcowi podskakiwać jak żaba.

Raz, dwa.

Raz, dwa.

Bez końca.

Aż wyczerpany upadł na ziemię.

Ryczeliście ze śmiechu i zachęcaliście gapiów, żeby wyszydźali tego starca.

Pomyślałem, że chyba mi się przywidziało, że to nie jest mój syn.

Ma w sobie coś okrutnego, ale nie jest niegodziwcem.

Nie jest łobuzem o słabym charakterze.

Mój syn zamierza studiować medycynę, chce być lekarzem.

Chłopiec milczał.

- Modliłem się, żebyś to nie był ty.

Ale wzroknij mi nie mylił.

Nie potrafię opisać wstydu, jakim mnie wtedy ogarał.

Z przerażeniem patrzyłem na mojego ukochanego syna, który zachowuje się tak podle i okrutnie.

Wiem również, że twój wczorajszy postępek nie dorównuje okropnościom, jakich dopuszczają się tacy Niemcy jak ty wobec Żydów w Warszawie.

Gdy wyrzucił z siebie te słowa i zapadła cisza, chłopiec mógł się wreszcie odezwać.

- On zebrał o chleb.

Znalazł się w miejscu, gdzie nie miał prawa być.

Chcieliśmy pośmiać się z tego brudnego starucha, dać mu nauczkę.

- Za to, że jest głodny?

Że jeszcze żyje?

Że jest Żydem?

294

Chłopiec wstał i skierował się w stronę drzwi.

Miał już tego dość.

- Jeszcze nieskończyłem!

- krzyknął ojciec.

- Wracaj tu i patrz mi w oczy!

Odwrócił się niechęcią.

- Zawsze dostrzegałem w tobie przerażającą oziębłość.

Wydawało mi się, że na pewno czas zniknęła, gdy poczułeś się mniej samotny, gdy sprowadzili się tu nasi sąsiedzi i zaprzyjaźniłeś się z ich dzieckiem.

Ojciec zbliżył się do niego.

- Zastanawiałeś się, jak oni sobie radzą?

Doktor Ołowskinie może już pracować ani ze mną, ani z nikim innym.

Jak twoim zdaniem ta dziewczynka i jej piękna matka wniosą życie w getcie, bo niewątpliwie trafią tam prędzej czy później.

Pomyślałeś o nich choć przez chwilę, gdy wychodzą z domuw poszukiwaniu żywności, mając na rękach te przeklęte opaski?

Myślałeś onich?

- Mogą wyjechać.

Mają pieniądze.

To da się załatwić.

- Naprawdę?

To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Chcę wiedzieć, co o nich myślisz, o tej rodzinie, o dziewczynce, którą znałeś tyle lat.

Czysą brudnymi Żydami?

Czy także ich trzeba upokorzyć?

Czy są tacy jak inni?

Czysą wyrzutkami społeczeństwa, zagrożeniem dla innychobywateli?

Czy również ich należy zamknąć w tych waszych miejscach kaźni?

Co oni zabrali Niemcom?

Ten lekarz niósł pomoc każdemu, bogatemu czy biednemu, Niemcowi, Polakowi czy Żydowi.

Odpowiedz mi na te pytania.

Ty, który masz na wszystko odpowiedź, alenie

maszsumienia.

Chłopiec czuł, jak pod szorstkim, grubym mundurempot spływa mu po nogach i rękach.

- Nie rozumiesz.

To jest.

Toprzykra sprawa, ale musimy mieć na względzie wyższe dobro.

295.

Ojciec wstał gwałtownie z fotela i jedną ręką przytrzymał się biurka.
Na jego zastygłej twarzy malowała się pogarda.

- Przykra sprawa?

Zejdź mi z oczu.

Nie chcę cię więcej widzieć.

Nie będę słuchał tych propagandowych sloganów, pod którymi ukrywasz swoje prawdziwe uczucia i przeświadczenie o tym, co jest słuszne.

Ale pamiętaj, żeto, co robisz i kim jesteś, będzie ci ciążyło na sumieniu przez całe życie.

Wszystko, czego jesteśmy teraz świadkami, to zaledwie początek.

Pewnego dnia będziesz musiał spojrzeć sobie w twarz.

Idź już.

Nigdy więcej nie rozmawiał z ojcem.

Wiedział, że ojciec jedzie do Łodzi, żeby zawieźć lekarstwa do getta.

Teraz żałuje, iż mu nie powiedział, że tamtego popołudnia, po tej historii ze starym Żydem, z wymiotował na trawę z obrzydzenia i wstydu.

Trzy tygodnie później, tuż przed osiemnastymi urodzinami, wykorzystał kontakty matki i chodził już w niemieckim mundurze wojskowym.

Dopuścił się gorszych czynów, dużo gorszych, zanim zaczął kwestionować swoje postępowanie.

Dlatego siedzi teraz w wygodnym mieszkaniu w Berlinie, stary i udęczony, jak przepowiedział mu ojciec.

Rozdział trzydziesty ósmy

Lucy siedzi na murze otaczającym teren wokół kościoła, skąd widać sporą część ulicy.

Przymyka oczy i wystawia twarz na ciepłe promienie słońca.

Słyszy mewy, które krążą nad dachem domu, znoszą gałązki na gniazda i wtykają je do komina, ku niezadowoleniu Barnaby'ego.

Nad wybrzeżem przelatuje helikopter, kierując się w stronę linii horyzontu.

Dzwon kościelny wybija godzinę.

Gdy helikopter znika w oddali, słychać głuchy huk fal.

Lucy jest gotowa do wyjazdu.

Jutro wróci tu w wyobraźni, wspomni, jak siedziała na tym przykościelnym murze.

Czeka na Tristana, który ma zabrać ją do Londynu.

Czujena przemian podniecenie i mdłości.

Nie może usiedzieć w miejscu; ciągle przypomina sobie, że czegoś nie zrobiła, i biegnie do domu w poszukiwaniu Barnaby'ego.

Barnaby zrobawieniem przyjmuje jej zachowanie.

Zazwyczaj opanowana Lucy co chwila przegląda się w lustrze i nanowo wiąże włosy w zwyczajny koński ogon - który dla Barnaby'ego wcale nie wygląda tak zwyczajnie - poprawia sterczący do góry kosmyk albo zaczesuje

niesforne pasemko.

Barnaby mruga porozumiewawczo do Kate, która naten weekend też wyjeżdża do Londynu po resztę swoich rzeczy.

W odpowiedzi dziewczyna uśmiecha się szeroko.

297.

- Patrząc na Lucy, czuję się strasznie stara - szepcze, gdy przechodzi koło Barnaby'ego z kawą dla Marthy i Freda.

- Biedna starowinka.

Barnaby poklepuje ją po ramieniu.

Wychodzi z domu na umówiony lunch z biskupem z Truro i w tym momencie czerwony samochód Tristana skręca na podjazd z takim impetem, że spod kół lecą grudki żwiru.

Barnaby uśmiecha się do siebie na wspomnienie dawnych czasów: ten chłopak nigdy nie potrafił spokojnie wjechać przez bramę.

Tristan wyskakuje z samochodu i wita się z Barnabym, ściskając mu serdecznie dłoń.

- Widzę, że wciąż jeździsz tym bajeranckim gratem - mówi Barnaby.

Tristan odpowiada ze śmiechem:

- Zamierzałem zaprosić cię na lunch, ale teraz mam wątpliwości.

Jakież on młody, myśli Barnaby.

Nie powinno się wysyłać ludzi w tym wieku do niespokojnego kraju, gdzie niewiadomo, co ich czeka.

- Przykro mi, Tris, właśnie jadę na lunch z biskupem.

Zobaczymy się później.

Wybacz, muszę pędzić.

Jak zwykle jestem spóźniony.

Nadbiega Lucy i z okrzykiem radości rzuca się Tristanowi w ramiona.

Ten ją porywa i oboje wirują na środku trawnika.

Barnaby wskakuje do samochodu.

Widzi w lusterku wstecznym, że z domu wychodzi Martha.

Tristan wyciąga do niej rękę.

- Dzień dobry, Martho!

Z dnia na dzień jesteś coraz piękniejsza.

- Chrzaniś!

- mówi czule Martha i moka językiem.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

Tristan odwraca się do Freda i ściska mu dłoń.

298

- Ty ją tego nauczyłeś!

- powiada oschle Fred i dodaje ze śmiechem: - Miło cię widzieć, chłopcze.

- Ciebie też.

Wiem, że jest trochę późno, ale chciałbym zaprosić was na lunch.

- Mój drogi.

- zaczyna niepewnie Fred.

- Jak to cudownie, kochanie!

- woła Martha.

Lucy patrzy na Tristana, ogarnięta nagłym pożądaniem, a on puszcza do niej oko.

- Coty na to, Luce?

- Świetny pomysł, ale nie wiem, czy Kate nie przygotowała już czegoś dla dziadków.

Chodź ją poznać.

- Cześć - mówi Kate, machając lekceważąco ręką nad stołem kuchennym.

- To tylko kurczakna zimno.

Przetrwa do wieczora.

Bawcie się dobrze.

Starsipństwo będą mieli frajdę.

- Chodź z nami.

Będziem miło - zaprasza Tristan.

- Dzięki.

Po południu jadę do Londynu.

Wykorzystam ten czas i przygotuję się do drogi.

Gdy wszyscy odjechali czerwonym samochodem, który tak by nie pomieścił Kate, i gdy w nasłonecznionym domu zapadła cisza, dziewczyna siadana chwilę w fotelu Marthy.

Poraz pierwszy jest tu sama.

Ma wrażenie, że znalazła się w odrealnionym świecie, że w ciszy pozostał duch mieszkańców tego domu.

Słucha śpiewu ptaków i szelestu krzewów różanych, które ocierają się o szyby okien.

Patrzy, jak słońce migocze nawarstwione farby odpadającej płatami z framugi drzwi.

Unosi głowę, żeby wychwycić ulotną woń melisy, która rośnie w doniczce w rogu oranżerii.

Spoczywając na oparciu fotela ręką niemal przezroczyście w promieniach słońca.

Ma wrażenie, że czas się zatrzymał.

Czuje się pozbawiona ciała, jakby unosiła się w powietrzu.

W tej pustce jest przejmujący, bolesny smutek, prawie nie do zniesienia.

299.

Nagle przychodzi jej do głowy: siedzę tu z duchami przeszłości, z młodym Fredem i młodą Martha.

Byli wtedy innymi ludźmi, żyli w innym świecie, jeszcze przed moich narodzin.

Nigdy ich nie poznam.

Ma poczucie, że coś straciła.

Wyławia jakiś dźwięk utrwalał zawsze w materii tego domu, jakby stłumiony lament, który dociera do niej i natychmiast znika.

Podrywa się z fotela, zamyka dom na klucz i rusza przez ogród.

Odsuwając się i przechodząc przez furtkę.

Zatrzymuje się, patrząc na mały domek, w którym niedługo zamieszka.

Ogarnia ją dziecięca radość, że po tak długim czasie będzie znowu miała miejsce dla siebie.

Jest tak ładny dzień, że Kate nie ma ochoty wracać do hotelu, a na przejażdżkę samochodem jest za gorąco.

Znowu przechodzi przez furtkę, pochylona, i kieruje się ku plaży.

Słońce muska jej szyję.

Zdejmuje buty i biegnie w stronę morza, które przywołuje ją z oddali szumem fal.

Tristan jedzie do St Ives, a potem stromą drogą do Beach Cafe, ulubionego lokalu jego i Lucy.

Jest tak ciepło, że można siedzieć na dworze.

Martha spogląda z zachwytem na małe stoliki, skąd widać plażę i bawiące się dzieci.

Fred obserwuje żonę i przychodzi mu do głowy myśl: wygląda to tak, jakbyśmy zanurzyli się w wodzie, a Martha już nie stara się zrozumieć, co próbujemy powiedzieć, bezgłośnie poruszając ustami.

Zjada rybę, którą Tristan starannie dla niej wybrał.

- Jest doskonała, kochanie.

Lucy docenia starania Tristana.

Dziadkowie wydają się zadowoleni i odprężeni.

Morze za ich plecami, granatowe jak atrament, lśni w promieniach słońca, łagodne fale zalewają piasek.

Lucy wie, że zabierze do Londynu wspomnienie tego dnia, żałuje tylko, że nie ma z nimi Barnaby'ego.

300

Tristan przygląda się Marcie, wpatrzony w roziskrzony morze i pluskające się na brzeg dzieci.

Wstaje od stolika i wyciąga do niej rękę.

- Chodźmy nad brzeg.

Sprawdzimy, czy woda jest bardzo zimna.

Martha kiwa potakująco głową.

Lubi tego wysokiego chłopca z opadającymi włosami i trochę krzywym uśmiechem.

- Och, kochanie.

Podajemy dłoń, a on pomaga jej wstać.

Fred uśmiecha się do siebie, widząc, jak idą pod rękę po plażę.

- Miły chłopiec.

- Mruga do Lucy, ciesząc się jej szczęściem.

Gdy są przy brzegu, Tristan pochyla się i podwija Marcienogawki spodni, a potem ujmuje jej kostkę, ściąga but i skarpetkę ze stopy, następnie z drugiej.

Zrzuca sandały i razem wchodzi niepewnie do wody.

- Brrr!

- Martha wzdryga się i wciąga głęboko powietrze.

- O rany!

- krzyczy Tristan.

Stoją zwrócenymi twarzami do latarni morskiej, chichocząc jak dzieci, gdy fale zalewają nogawki spodni.

Serce Lucy wzbiera na ten widok miłością.
Gdy Marthai Tristan pochylają się i grzebią w piasku, odwraca się do Freda.
Z jego twarzy można wyczytać tęsknotę i uczucie samotnienia.
Fred zaciska mocno usta, żeby nie drżały.
Nie odrywa wzroku od postaci na brzegu.
Wreszcie dobywa z siebie głos, który brzmi jak westchnienie stłumione szumem morza.
- Jakże mi jej brak.
Tristan trzyma coś na dłoni, a Martha przygląda się, pochylając głowę.
Znaleźli kruchy pancerzyk kraba, upstrzony kropeczkami.
Jest przezroczysty.
U ich stóp, na linii fal, leży wiele takich pancerzyków, jakby ich
301.

właściciele zrzucili płaszcze i poszli się kąpać.

Martha patrzy na nie z uwagą.

- Wyglądają jak czaszkiniemowląt - mówi nagle.

-Co za okropne porównanie.

- Tristan niekryje zdumienia.

Podmuch wiatru zwiewa pancerzyk z jego dłoni.

Delikatna skorupka wpada do morza, przewraca się spodem dogóry jak łupina orzecha i niesiona falą wraca pod ich stopy.

Lucy podbiega do nich.

- Zimna woda?

- pyta.

- Cudowna, kochanie.

Słowa Marthy tłumi wiatr i szum fal.

Tristan patrzy, jak pancerzyk ociera się o jego stopę, rozpada na kawałki i osiada na piasku.

Na chwilę robimusię zimno; ma wrażenie, jakby znalazł się w cieniu skrzydeł wielkiego ptaka.

Odwraca się i macha do Freda, a on odpowiada mu tym samym gestem.

- Ściągaj łachy i wskakuj do wody.

Jeśli się odważysz!

- wołado Lucy, chcąc przywrócić pogodną atmosferę.

-Chyba żartujesz!

Sam się wykapa.

Tristan chwyta ją w pasie i podnosi do góry, jakby chciał wrzucić dowody.

- Babuniu, ratunku!

- krzyczy Lucy.

Zaniepokojona Martha ciągnie Tristana za koszulę.

- Nie rób jej krzywdy, ty niegrzeczny chłopcze.

Puść ją natychmiast.

Tristan wybucha śmiechem.

- Ona nie jest taka bezbronna, Martho.

Stawia Lucy napiasku, zabiera buty całej trójki i wszyscy wracają do Freda.

302

Tej nocy Lucy i Tristan kochają się, a potem, gdy leżą przytuleni w łóżku, Lucy wyjawia Tristanowi sekret Marthy, ukryty w wyblakłym czerwonym pudełku.

Opowiada o napisanych po polsku pamiętnikach dzieciństwa, których nie może odczytać, i o listach po niemiecku, które zrozumiała.

O starych fotografiach i pożółkłych dokumentach, jeszcze nieprzejrzanych.

Tristan jest przejęty, ale nie tak zaskoczony, jak się spodziewała.

- Dziwna sprawa - mówi.

- Mój ojciec wspominał o tym kiedyś.

Opowiadał mi, że Fred jest szalenie opiekuńczy wobec Marthy.

To było dawno temu, zanim zachorowała na Alzheimera.

A on odparł dość ostrym tonem: "To chyba zrozumiałe".

Gdy spytałem, co ma na myśli, powiedział, że bym ruszył głową.

Chodziło mu oto, jak mi się zdawało, że Martha jest Polką i zostawiła całą swoją rodzinę.

Może się domyślił.

Lucy opiera się na łokciu i dotyka ustami ramienia Tristana.

Przymyka oczy, starając się odsunąć myśl o liście Freda do matki.

- Mój ojciec znał kogoś, kto chodził z Fredem do szkoły.

Dowiedział się od niego, że Fred był pewnym siebie, aroganckim chłopcem, jak wielu z jego środowiska.

Inteligentnym, a leniwympilnym uczniem, który wiedział, że itak odziedziczy majątek.

Tristan głaszcze w zamyśleniu śniade ciało Lucy.

- Ten człowiek opowiadał ojcu, że Fred odznaczał się niezwykłą odwagą podczas wojny, otrzymał pochwały.

Wrócił całkowicie odmieniony.

Lucy wstaje z łóżka, podchodzi do ławy podoknem i przynosi Tristanowi listy Freda.

Gdy Tristan przeczyta, dziewczyna spogląda nablady sierpksiężycą, wylaniając się z mroku i odbijając się widmowo w tafli wody.

W całym domu zalegacisza.

Lucy czuje ją w sobie na zewnątrz.

Słyszy, że Tristan przełyka z wysiłkiem.

303.

Raptem czuje na skórze zimne łyzy.

Tristan bierze ją w ramiona i mocno, aż do bólu, tuli do piersi.

Za jej plecami widzi rożek księżycy, który będzie jaśniał nad Kosowem, tak jak jaśniał nad Oświęcimem.

Lucy czuje bicie jego serca i szepcze:

- Nie zmieniaj się, Tris.

Przenigdy.

Bardzo cię kocham.

Uważaj, żeby nic ci się nie stało, żebyś się nie zmienił, dobrze?

Na jego twarzy, zanurzonej we włosach Lucy, maluje się smutny uśmiech.

Lucy jest tak młoda, że chciałby jej powiedzieć: Na pewno się zmienię.

Wszyscy się zmieniają upływem czasu.

Ty też się zmieniłaś, gdy znalazłaś dokumenty Marthy.

Jasie zmieniłem, kiedy przeczytałem list Freda.

Oczywiście, że się zmienię tak jak i ty.

Milczy jednak i kołysze Lucy w ramionach.

Zahipnotyzowany dziwnym księżycem, zastanawia się, co przyniosą najbliższe tygodnie.

Ostatnio często myślał, czy można ocenić wojnę prowadzoną przez inny kraj, czy można podzielać albo w ogóle zrozumieć nienawiść narodu do jakiejś grupy etnicznej.

Być może chodzi tu tylko o zasadę.

Może rzecz sprowadza się do tego, żeby bronić własnych przekonań, postawy, którą uważa się za moralnie słuszną.

Żeby przeciwstawić się złu.

Bo pewnego dnia ockniemy się zrozpaczeni spojrzymy nie na masowy grób, ale na złamane życie ukochanej osoby.

Myśli o Marcie, dziewczynie w wieku Lucy, okrytej łachmanami, która zataczając się, idzie w jego stronę, straciwszy wszelką nadzieję na ludzkie współczucie.

Myśli o młodym, niefrasobliwym Fredzie, który biegnie, by podtrzymać upadającą dziewczynę.

Dotyka ciepłego ciała Lucy i zanurza twarz w jej włosach.

Jeszcze jej nie powiedział, że cofniętému urlop.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Śni mi się Polska przykryta śniegiem.

Nasz dom wciąż stoi przycupnięty pod lasem, z dachu zwisają niebieskawe sople.

Drzewa uginają się pod ciężarem śniegu, który czasem zsuwasz gałęzi i zgłuchym dźwiękiem spada na ziemię.

Ogród tonie w ciszy.

Magicznej.

Pełnej oczekiwania.

Idę po śniegu, nietkniętym ludzką stopą.

Pozostawiam za sobą odciski butów, niczym małe ślady ptasich łap.

Gdy odwracam się i patrzę na nie, czuję, że jestem drobiną w przyprószonym białą ogrodzie.

Stoję zadziwiona światem, niewiele znacząca istota w bezkresnej bieli, niewidzialna pod wielkimi ośnieżonymi jodłami.

Gdy poraz pierwszy widzę ocean - rozkołysany błękit, który wypełnia przestrzeń, migoczący i oślepiający setkami odcieni turkusowego - zapadam się w tej niebieskości.

Zanurzam się w nią bez reszty.

Czuję się tak jak wtedy pośród śniegu.

Samotnie biegnę na plażę po nierównym piasku, pełnym zagłębień i wypukłości wyrzeźbionych przez fale.

Wpadam w ciepłe kałuże, które zostawiło morze.

Nikogo tu nie ma.

Stoję sam przed wielkim oceanem.

Łagodne, kształtne fale zwijają się i rozpryskują z cichym pluskiem u moich stóp.

Pochylam głowę i wzdłuż linii brzegu widzę rząd maleńkich skorupiek upstrzonych kropeczkami, które tworzą filigranowy

305.

wzór.

Pochylam się, podnoszę skorupkę i z przerażeniem przytamniam sobie, że przypomina pustą czaszkę niemowlęcia.

Jest tak lekka, że powiew wiatru porusza ją z dłoni.

Unoszę wzrok i w zielonych falach - nim się żałamią - widzę twarze dzieci z getta.

Widzę szkolne koleżanki, Bertę i Iłę, moich kuzynów, Joszua i Jakuba.

Dostrzegam przelotnie twarze mamy taty, cioci Riny i wujka Horsta.

Uchwycione, obracając się, ich oczy patrzą na mnie spod ścian fal, a potem spadają masą huczącej wody.

Spoglądam na morze i w spienionych grzywach widzę zarysy splątanych rąk i nóg, rzuconych na stos albo uniesionych w górę w geście poddania.

Odwracam się plecami do morza i biegnę szukać schronienia wśród skał.

W górze krążą nad gniazdami

wielkie ptaki morskie.

Gdy woda uderza z hukiem o skały, drżę zalekniona.

Wciąż pamiętam te strzały padające nie wiadomo skąd.

Wciąż słyszę te słabe krzyki podobne do odgłosów wydawanych przez dziwne ptaki latające złośliwie nad skałami.

Wciąż nasłuchuję głuchego odgłosu upadającego na śnieg człowieka, przyprawiającego o mdłości trzasku czaszki, gdy ogolona głowa uderza o zmarzniętą ziemię i pęka jak skorupka jajka.

Nie tylko słyszę dźwięki.

Czuję jęczałem ciałem.

Docierają do moich uszu w ciemności snów.

Polska pod śniegiem przykrywa góry, ciała, zwalonych jedno na drugie i zduszonych, spoczywających w ciszy i bezruchu pod nieskazitelnie białym mętnym.

Na mojej dłoni leży wyłowiony z morza pancerzyk kraba.

Anna przyjdzie tu z Fredem, będzie zbierać te skorupki i muszelki.

Opłucze je starannie, żeby usunąć piasek, kawałki wodorostów i rybi zapach.

Wysuszy je na dużej blaszanej tacy w oranżerii, a potem położy na swojej toalecie.

W jej pokoju i tak zawsze czuć woń morza.

306

Fred prosi Lucy i Tristana, żeby przed wyjazdem rozpalili ognisko.

- Pozbędziemy się tych śmieci ze strychu.

Tristan podsuwa mu myśl, żeby najpierw je przejrzał, może wspólnie z Barnabym, a rzeczy niepotrzebne spalą, gdy przyjadą następnym razem.

Mówi to lekkim tonem, właściwie bez zainteresowania.

Fredowi kamień spada z serca: wszystko jest w porządku, dzieci nie grzebały w papierach schowanych na strychu.

Lucy ma wrażenie, że Fred chciał utwierdzić się w przekonaniu o słuszności dawnej decyzji, nawet jeśli oni nie mieliby się dowiedzieć, dlaczego ją podjął.

W żadnym wypadku nie mogą zniszczyć dokumentów przechowywanych w kufrze.

Część z nich dotyczy życia dziadka.

Lucy wpada na pomysł, co zrobić z pudełkiem Marthy dokumentami wyjętymi z kufra. Owinie je w plastik, włoży do grubej koperty i schowa w bezpiecznym miejscu.

Po śmierci Anny podejmie ostateczną decyzję.

Te dokumenty są ocalałym przez przypadek świadectwem życia, które jest jej zupełnie nieznaną, fragmentem dzieciństwa i młodości jej babci.

Razem z Tristanem chowają w obramowaniu nieużywanego kominka w swojej sypialni.

Jeśli w domku wybuchnie pożar, przepadną.

Z drugiej strony nie może zabrać ich ze sobą, nie zniosłaby takiego ciężaru.

A zatem muszą tu zostać.

Gdyby Tristan nie wyjeżdżał, gdyby nie zostawała sama, może wzięłaby pamiętniki z dzieciństwa babuni i dała je do przetłumaczenia w Londynie.

Samanie wie, co by z nimi zrobiła.

Nie może traktować tych zapisków jak utworu literackiego.

Nie może udawać, że opisane w nich kropnościnnie wydarzyły się naprawdę.

Poznała rzeczywistość, która ciąży jej na sercu.

Może kiedyś, w testamencie, w jakiejś

307.

notatce albo w pamiętnikach, wyjawi, gdzie i dlaczego ukryła te dokumenty.
Tristannie pochwała tej decyzji.

- Moim zdaniem powinnaś zostawić to wszystkowskrytce bankowej albo dać na przechowanie prawnikowi.

-Może później tak zrobię.

Chcę, żeby te papiery zostały tymczasem tutaj.

Muszę oderwać się od tych spraw, Tris.

Może dziadunio powinien był spalić te rzeczy.

W głębi serca wcale tak nie uważa.

Wie, że przemawia przez nią egoizm, niechęć, by zajmować się tymi przykrymi sprawami i borykać z problemami, które mogą z nich wynikać.

To jasne, że dziadek postąpił słusznie.

- Może kiedyś zrozumie, dlaczego milczeli, trzymali to w tajemnicy, choć zapewne nigdy nie zdołał pojąć, jak coś takiego mogło spotkać babunię i miliony podobnych jej ludzi.

Nie mieści mi się to w głowie.

Gdy będę starsza, może pogodzę się z faktami.

Tristan uśmiecha się, jak zawsze wzruszony jej prostolinijnością i szczerością.

Lucy zdaje sobie sprawę, że Anna będzie miała zupełnie inne odczucia.

Długo rozmawiała o tym z Tristanem.

Choć jej stosunki z Anną zawsze układały się nie najlepiej, nie chce, by życie matki legło w gruzach, gdzieś dowie, ile naprawdę ma lat.

Jak przyjmie wiadomość, że jej ojciec był prawdopodobnie nazistą?

Na samą myśl Lucy robi się zimno.

Tristan przytula ją do siebie.

- Nie chcę więcej o tym myśleć, Tris.

Nie chcę, żeby mój dziadek trafił do domu opieki.

Fred niewątpliwie jest moim dziadkiem.

Nie mogę znieść myśli, że to wszystkomoże okazać się prawdą.

- Spokojnie, Lucy.

Doskonale cię rozumiem.

Pomyśl o przyszłości, o czymś bardziej radosnym.

Tak się cieszę, że po powrocie zastanę cię w Londynie.

Zobaczysz, ile

308

będziesz miała frajdy, mieszkając ze starą koleżanką i korzystając z uciech miasta.

- Podczas twojej nieobecności będę ciężko pracować, Tris, żeby czas minął mi szybciej.

Jak wyjedziesz, zaleję się w pestkę razem z Dianą i kilkoma znajomymi.

Już zaplanowałyśmy imprezę w naszym mieszkaniu.

- Ach tak?

Ja walczę za królową, a moja dziewczyna przerobacza się w pijaczkę.

Jestem przybity.

- Nie ma słowa "przerobaczać".

- Na pewno jest, a przynajmniej powinno być.

Miałem powiedzieć "przepotwarza"?

- Raczej przeobraża - mówi ze śmiechem Lucy.

- Wolę słowo "przerobaczać" - upiera się Tristan.

- Jest bardziej obrazowe.

Już widzę, jak będziesz zalewała robaka na tej imprezie.

- Gadasz odrzeczy, Tris.

Nie mogę zrozumieć, jakim cudem przyjęli cię do wojska.

Tristan zawsze umie ją rozbawić.

Może spodoba jej się życie w Londynie, zwłaszcza gdy znowu będą razem.
Tamyśl wprawia ją w lepszy nastrój.

Rozdział czterdziesty

Budzi się zlany potem.

Serce wali mu ze strachu.

Znowuma koszmarne sny i krzyczy z przerażenia.

W ciemnościach przewraca się nabok, jakby ten ruch miał wymazać obrazy zapisane w pamięci.

Gdy tylko zamyka oczy, znów powracają koszmary.

Siedzi na koniu.

Zaczyna świtać, o tej porze napotyka najniższy opór.

Ciężarówki stoją w szeregu; psy są w kagańcach.

Unosi rękę, dając w mroku sygnał.

Kolbami karabinów wyłamują drzwi.

Po chwili rozlegają się straszne krzyki, gdy z domów wyciągają oszołomione dzieci.

Wściekle wykrzykują rozkazy.

Wymierzają matkom, które nie chcą puścić swoich dzieci.

Jego żołnierze walą pejcami nalewo i prawo, żeby zapanować nad ludźmi i nie dopuścić do hysterii.

Mężczyźni i kobiety, niechlujnie ubrani, wypadają z domów na plac, próbując wciągnąć z powrotem dzieci.

Błagalne krzyki, ryki rozpaczliwie rozdzierają powietrze.

Trzeba to zrobić.

Trzeba wykonać zadanie.

Taki otrzymał rozkaz.

Brakuje mu żołnierzy, a trzeba odegnąć kobiety.

Rozkaz był wyraźny: wywieźć wszystkie żydowskie dzieci z getta.

- Dzieciomnic nie grozi!

- krzyczy.

- Musicie respektować obywateli.

Cofnąć się!

Do tyłu!

310

Zawraca konia w miejscu.

Odgania pejczem wrzeszczące kobiety od ciężarówek pełnych dzieci, najeżdża na nie koniem.

Nie może stracić kontroli nad sytuacją i dopuścić do paniki.

Pierwsze ciężarówki, już wypełnione dziećmi, opuszczają warkotem silników plac.

Zawraca konia i staje naprzeciw zawracającemu.

Smród jest nie do zniesienia.

Robi mu się niedobrze z powodu odoru strachu, niemytych ciał, odchodów.

Koń staje dęba, niemal zrzuca go z siodła.

W tej samej chwili dostrzega w drzwiach dziewczynę, która przyciska do piersi dziecko, cofa się w mrok i zamiera w bezruchu, jakby dzięki temu mogła stać się niewidzialna.

Zmusza zdenerwowanego konia, by ten zrobił kilka kroków do przodu, delikatnie, powoli.

Czy ta dziewczyna wydaje się, że zdoła schować przed nim dziecko?

Jest bardzo chuda, twarz przypomina maskę pośmiertną.

Gdy widzi zbliżające się konia, jej oczy rozszerzają się z przerażenia.

Odsuwa dziecko od piersi i powoli unosi ku niemu.

Zdejmuje z główki czepkę, pokazując blond loki.

Trzyma dziecko wysoko.

Błaga jego życie.

Patrzymy w oczy przez sekundę wytrzymuje jego wzrok, on zaś spogląda na nią z rosnącym przerażeniem.

Zna te oczy.

Zna tę twarz.

- Pomóż mi - szepcze dziewczyna.

- Pomóż mi ją uratować.

On odwraca głowę.

W pobliżu nie widać żołnierzy; z placu odjeżdżają ostatnie ciężarówki.

Ustawia konia tak, żeby zasłaniał dziewczynę, i pochyla się jak najniżej.

- Ukryj ją - mówi przez zaciśnięte zęby.

- Wyślij gdzieś.

Nie może tu zostać.

Wszystcy mieszkańcy będą wkrótce przesiedleni.

Dziewczyna nie odrywa wzroku od jego twarzy.

Po chwiliznika.

Dziewczyna, którą kiedyś znał, znika bez śladu.

Chowają się gdzieś w dziurze, kanale ściekowym, na dachu - gdzie oni wszyscy, w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu, chowają się jak śmierdzące szczury.

311.

We śnie spogląda na małą dziewczynkę, a ona nieodrywa od niego wzroku.
Jej niebieskie oczy są szeroko otwarte ze strachu, jakby to on mógł ją ocalić.

Wstaje z łóżka i nalewa sobie szklankę wody.

Jest czwarta rano, śpiewają ptaki.

Uchył odrobinę wieko, a znajdziesz się znowu w piekle.

Jest w piekle, ale zachował życie.

Miał udane, dające zadowolenie życie.

Zdołał odsunąć to wszystko od siebie.

Przedtem.

Potem.

Znał wielu wykładowców w akademii medycznej, którzy byli winni zbrodni wojennych.

Lekarzy, chirurgów, a także nauczycieli i bankierów.

Nie znaczy to bynajmniej, że zdołali zatrzeć za sobą ślady, że nikt nie wiedziało ich przeszłości.

Zachodni alianci potrzebowali takich ludzi, żeby przywrócić w Niemczech administrację państwową, jak najszybciej zaprowadzić względny porządek.

Nie byli to ludzie na tyle nikczemni, by stanąć przed sądem i trafić do więzienia, niemniej ciążyła na nich wina.

Niektórzy z nich, podobnie jak on, ślepo wykonywali rozkazy, dopóki nie zdobyli się na odwagę, by je zakwestionować lub by zdezerterować.

Wstaje i krąży po mieszkaniu.

Nie wszyscy przeszli przemianę wewnętrzną czy uznali swą winę.

W latach sześćdziesiątych zetknął się z pewnym anesteziologiem, który nie zgadzał się przygotowywać do operacji żydowskich pacjentów - nawet jeśli byli to amerykańscy turyści czy brytyjskie damy.

Pracował z pielęgniarką, która nie tknęłaby palcem człowieka o ciemnej skórze.

Znał wielu ludzi takich jak Mutti, która siedziała w swoim zniszczonym mieszkaniu i pomstowała na świat.

Faszyzm był pogrzebany, ale nie znaczyło to, że zniknął.

Gdy wojna się skończyła, był młodym człowiekiem.

Wepchnął wspomnienia w najdalsze zakamarki umysłu,

312

co przyszło mu o wiele łatwiej niż ludziom w średnim wieku, którzy przeżyli już młodość.

Niemcy odczuwały dotkliwy brak lekarzy i chirurgów.

Podczas wojny ciągle miało do czynienia z ludźmi, którzy doznali urazów kończyn, i szybko zdobyli ogromną wiedzę.

Dlatego postanowił kształcić się w tym zawodzie.

Po ukończeniu studiów jego doświadczenie nie było o wiele większe niż na początku nauki.

Gdy Armia Czerwona załamała Berlin, pracował w szpitalu, chronił go biały fartuch.

Rosjanie nie marnowali czasu na wypytanie, kto kim jest.

Gdy tylko widzieli człowieka w mundurze, zabijali go albo wysyłali do łagru.

Ludzie w mundurach SS albo ukrywający się oficerowie SS nie mieli co liczyć na łaskę.

Nalewa sobie brandy i rozsuwa drzwi, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Zajęcie Berlina przez Rosjan było najbardziej przerażającym wydarzeniem tej wojny.

Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie.

Rosyjskie czołgitarowały wszystko na swojej drodze.

Gruzowiska roili się od rosyjskich żołnierzy, którzy wyciągali z ruin ukrywających się ludzi - gwałcili, zabijali, rabowali i niszczyli.

Niemcy przegrali wojnę, a mimo to mieli czelność żyć w dużo lepszych warunkach niż Rosjanie u siebie w kraju.

Postępowania żołnierzy rosyjskich nie dało się przewidzieć.

Niektórzy dokonywali zdumiewających i wruszających czynów humanitarnych.

Oficerowie odstawiali ranne dzieci istarców do szpitala.

Zanosili żywność do burzonych domów, gdzie w ruinach dzieci robiły sobie prowizoryczne domostwa.

Pewnego razu rosyjski oficer kazał mi się udać w miejsce, gdzie spadła bomba i w gruzach leżał przyciśnięty belką chłopiec.

Malec był przytomny, ale pozostało mu niewiele życia.

Rozkładając ręce, pokazał oficerowi, że nic

313.

nie może zrobić - nie miał nawet środków znieczulających.

Rosjanin wrzasnął polecenie.

Natychmiast przyniesiono apteczkę i zebrano żołnierzy, którzy mieli podnieść belkę nóg chłopca.

Zwalił się żołdaci nie zdołali jednak dźwignąć ciężaru.

Musiał amputować zmiażdżoną część nogi.

Chłopiec zmarł, straciwszy na szczęście przytomność.

Na to wspomnienie trzęsą mu się ręce.

Wtedy przeprowadził nieudolnie swoją pierwszą operację, usiłując przypomnieć sobie, co wyczytał w książkach medycznego ojca.

Gdy stał nad tym chłopcem, mając przed oczami surrealistyczny obraz upadającego Berlina, poprzysiągł sobie, że tak rozwinie swoje umiejętności, aby nigdy więcej, jeśli to będzie w jego mocy, nie umarł mu pacjent na stole.

Pewnego dnia poszedł odwiedzić Mutti w jej zniszczonym mieszkaniu.

Znalazła kogoś, kto naprawił jej drzwi wejściowe.

Usunęła gruz i wysprzątała jedyny pokój, który nadawał się do użytku, zabiła deskami okna i wstawiła łóżko.

Przygarbiła się i schudła, wyglądała niechlujnie, nie miała w sobie dawnej siły, aledziałała metodycznie.

Przyżyciu utrzymywała ją myśl, że Brytyjczycy są coraz bliżej.

Z czasem Berlin podzielono na cztery sektory: sowiecki, francuski, amerykański i brytyjski.

Mutti przyjęła z ulgą wiadomość, że mieszka w brytyjskim, i zaczęła zachowywać się niemal z dawną wyniosłością.

Po zakończeniu wojny, choć kraj był pogrążony w chaosie, przed Niemcami otwierały się ogromne możliwości.

Przez Berlin przetaczały się fale migracji: jedni przybywali, a z nimi płynęły pieniądze, inni zaś, głównie młodzi ludzie z dziećmi, opuszczali miasto.

Ukończył studia medyczne wraz z kolegami w różnym wieku i otrzymał dyplom.

Był trzecim pokoleniem lekarzy w rodzinie.

Patrząc na odbudowujący się Berlin, który powstawał z gruzów jak za dotknięciem czarodziejskiej

314

różdżki, starał się zapomnieć.

Podkscytowany życiem miasta tak bardzo jak niegdyś Mutti, starał się nie pamiętać.

Wmawiał sobie, że narodził się po raz drugi, ma nowe, inne życie.

Ślady wojny stopniowo znikwały - w latach sześćdziesiątych Berlin Zachodni był żywym, kwitnącym miastem - podobnie jak złe wspomnienia.

Naprawdę sądziłeś, że ujdzie ci to płazem?

Wymazałeś przeszłość i uspokoiłeś głębokość sumienia?

Raus!

Raus!

Musicie respektować obwieszczenia.

Dzieciom nic nie grozi.

Ty miałeś długie, dostatnie życie.

Ale oni nie mieli żadnej szansy.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Barnaby przechadza się z Homerem po ogrodzie, trzymając w ręce szklaneczkę whisky. Widzi, że niebo nad ogrodem i dalej, nad morzem, nabiera złowieszczej pomarańczowej barwy. Zapowiada to koniec upału i zmianę pogody.

Liście na drzewach przywiedły; przy pierwszej wicherzespadną na ziemię. Rośliny bledną i usychają - jedynieróżowa róża mający w jeżynach i dzielnie trwają barwne kępy nasturcji, których blade łodygi płożą się w pęknięcia na tarasie.

Barnaby nigdy nie przypuszczał, że tak bardzo odczuje brak Lucy. Miał wrażenie, że żył zaczerpniętą od niej energią i młodością, a gdy po jej wyjeździe nastąpiły zimowe chłody, czaszą się niemiłosiernie dłużyć.

Martwił się, że Lucy, choć zawsze potrafiła rozmawiać z nim o wszystkim, wyjechała czymś udręczona i sama będzie się z tym borykać.

Nie miał wątpliwości, że ma to związek z Anną.

Ich kłótnię, pełne gniewu głosy było słycać w całym ogrodzie. Niewyraźne słowa docierały aż na jego koniec, gdzie siedział z Fredem i Martha. Zatrulo to atmosferę na całe popołudnie.

Potem sam pogorszył sytuację, tracąc nad sobą panowanie.

Choć nie posiadał się z gniewu, biał

ła jak kreda twarz Anny wryła mu się w pamięć.

Potem napisał do niej krótki list, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Słyszyci cichą muzykę dobiegającą z małego domku i odzyskuje dobry nastrój.

Dzięki Kate znowu zapanowała tam swojska atmosfera.

Wybrała dość jaskrawe, ale ciepłe kolory i wnętrze nagle nabrało życia, jak po długim, ciężkim śnie.

Sam nie wie, dlaczego obecność tej dziewczyny po drugiej stronie żywopłotu napawa go taką radością.

Z rozbawieniem patrzy, jak przemyka niczym kolorowa papużka między krzewami, znosi muszelki i wyrzucone przez faledrewno, by w rogu ogrodu stworzyć artystyczną kompozycję, która zapewne spodoba się Lucy.

Kate znosi mnóstwo książek z dziedziny ogrodnictwa i zabiera się zaporządkowanie zapuszczonego ogrodu.

Ponieważ nie ma o tym pojęcia, pracuje w skupieniu, starając się niczego nie zepsuć ani nie wykopać roślin, których nie zna.

Martha, zafascynowana dziewczyną i stęskniona za Lucy, często zachodzi do małego domku, gdzie Kate sadza ją w starym ogrodowym fotelu, okrytą kocem, i słucha długich, urywanych opowieści.

Barnaby ma wrażenie, że w ruchach Kate i jej sposobie mówienia jest coraz mniej napięcia.

Zamiast kolorowych hinduskich spódnic zaczęła nosić dzinsy lub szorty, koszulę i sweter.

W jej ubiorze widać oryginalność, wycucie koloru i stylu, które budzą podziw Marthy.

- Cudowny kolor, kochanie!

- woła Martha na jej widok.

- Cudowny.

Zdarza się, że Barnaby lub pani Biddulph znajdują w szafie Marthy kolorowe swetry czy szale. Kate i z poczuciem winy zwracają właścicielce.

Ubawiona Kate niemoże się nadziwić, że Martha tak szybko potrafi zgarnąć pozostawioną gdzieś przypadkiem garderobę.

- Zawsze lubiła mieć dużo ubrań - wyjaśnia Barnaby.
- Tato nigdy niemógł jej nakłonić, żeby coś wyrzuciła.

- Niech te rzeczy zostaną w jej szafie.

Mam mnóstwo ciuchów, ciotkacią przysyła mi nowe, a tutaj nie potrzeba mi tylu ubrań.

Poza tym uwielbiam patrzeć, jak Martha topi się w moich swetrach.

Barnaby zerka na mały domek i nagle uprzytamnia sobie ze zdumieniem, jak bardzo pociąga go ta dziewczyna.

Gdyby się o tym dowiedziała, pewno pękłaby ze śmiechu.

Kate nie może znaleźć sobie miejsca.

Jest cudowny wieczór.

Ludzie przechodzą, taszcząc kosze piknikowe, grille,

puszki piwa, butelki wina.

W kościele odbywa się próbachóru przed nabożeństwem wieczornym.

Zwętrza płynie wspaniała muzyka.

Kate opiera się o furtkę i patrzy napochylone w stronę morza stare dęby na cmentarzu.

Zastanawia się, czy pójść na plażę z butelką wina i posiedzieć tamdo zachodu słońca, aż poczuje bijący od piasku chłód.

Robi jej się smutno na myśl, że w samotności popijałyby wino, zwłaszcza w dniu swoich urodzin.

Słyszypieśń wykonywaną solo, kontraltem.

Dźwięki rozchodzą się w powietrzu, unoszą się i opadają nad nagrobkami,

biegną ku krwistoczerwonemu słońcu.

Piękno muzyki przejmują ją dreszczem.

Barnaby opuszcza kościół i rusza zamaszystym krokiem ścieżką.

Widząc Kate, przechodzi przez ulicę.

Uparł się, żeby Kate miała jeden dzień w tygodniu wolny, więc

tego wieczoru to pani Biddulph pomaga Marcie położyć się do łóżka.

- Chóry anielskie - mówi zadowolona Kate.

Barnaby wybucha śmiechem.

- Ciekawe, jakie też snujesz plany, gdy tak stoisz przy furtce niczym egzotyczny koń wyścigowy.

318

- Podoba mi się ten "egzotyczny".

Żałuję, że nie mam nóg konia wyścigowego.

Zastanawiam się, czy nie wziąć

butelki wina i nieposiedzieć z Homerem na plaży aż do zachodu słońca.

- Czyżby w okolicy nie byłoby bardziej romantycznego partnera niż Homer?

- Obawiam się, że nie.

Barnaby zna tennepokój, jaki ogarnął Kate, nagłą potrzebę, by z kimś porozmawiać serio, pobyć w towarzystwie dojrzałych ludzi.

- A może - mówi niepewnie Kate - miałbyś odrobinę czasu na kieliszek wina?

- Z wielką ochotą.

Urwałem się z próby chóru, ale za

piętnaście minut muszę zastąpić panią Biddulph.

Niemogę pójść na plażę.

Kate otwiera przed nim furtkę.

- Słońce już prawie zaszło.

Wejdz.

W kuchni Barnaby dostrzega kartki urodzinowe, które Kate ustawiła na stole.

- Dziś są twoje urodziny!

Dlaczego nic nie mówiłaś?

Taki wieczór trzeba spędzać na zabawie ze znajomymi.

No tak, jeszcze niezdążyłaś poznać tu nikogo, z kim mogłabyś się zabawić.

Kate wyjmuję z lodówki butelkę wina.

- Przypuszczam, że jest dobre.

Moja ciotka Marjorie, znana z rozrzutności, przysłała mi sześć butelek pocztą kurierską.

Jestem całkiem zadowolona z życia.

Mam trzydzieści lat.

Przestałam już chodzić do klubów czy wysiadywać w pubach.

- Trzydzieści!

- woła Barnabyz udawanym przerażeniem.

- Oczywiście, w tym wieku chodzi się do klubów.

Kate wybucha śmiechem i podaje mu kieliszek wina.

- Najlepsze życzenia, Kate.

- Barnaby unosi kieliszek.

- Dziękuję za wszystko, co dla nas robisz.

- Chodź zobaczyć salon.

Już jest gotowy - mówi Kate, chcąc ukryć skrępowanie.

Barnaby wodzi zdumionym wzrokiem popokoju.

- O rety, kiedy zdążyłaś wykonać taką robotę?

Ostatnie promienie słońca zlewają się miękko z morelowymi ścianami.

W oknach wiszą cienkie muślinowe zasłony w jasnym herbacianym kolorze, które nie zatrzymują światła, a na ścianach intrygujące hinduskie ryciny, pośród nich jasny batik.

Na kominku leżą małe kawałki drewna, wyrzucone przez morze.

Ten pokój pasuje do Kate.

Studencki rozgardiasz, jaki Lucy miała tu przez lata, zniknął bez śladu.

Barnaby stoi w milczeniu, chłonąc atmosferę wnętrza, które emanuje jakimś tęsknym spokojem.

Ze wzruszeniem spogląda na pusty salon i przychodzi mu do głowy, że brakuje tu męża albo

kochanka, może dziecka, zabawek rozrzuconych na wypastowanej podłodze.

- Pięknie - mówi z zadumą.

- Co siedzieje z twoją rodziną, Kate?

Jak przyjęła wiadomość, że chcesz zaszyść się w takiej głuszy?

- Moi rodzice żyją - mówi naglei dolewa mu wina.

- Mam brata, który osiadł we Francji.

Rzadko się widujemy.

Temat został wyczerpany - myśli Barnaby.

- Mam jeszcze córkę Marjorie.

Mieszka w Londynie

- dodaje Kate i na jej twarzy nieoczekiwanie pojawia się uśmiech.

- Szalona osoba, ale bardzo ją lubię.

Redaguję czasopismo podróżnicze.

Zanim tu przyjechałam, pracowałam dla niej.

Kate nagle odczuwa skrępowanie i milknie.

Gdy jest sam z Barnabym, rozmowa staje się bardziej oficjalna, brak w niej lekkości i swobody, z jaką kontaktują

320

się na co dzień, w obecności Freda i Marthy.

Barnaby jest poruszony urodziewczyń, podobają mu się sterczące czarne włosy, lekko kręcone za uszami.

- Przepraszam, Kate, ale muszę już iść i zastąpić tę megierę.

- Jasne.

- Przyszło mi na myśl, że skoczę po rybę i frytki.

Może chciałabyś przyjść do dużego domu i zjeść ze mną kolację?

Nie będzie to ucztą urodzinową, ale.

- Dziękuję za zaproszenie - mówi wzruszona Kate.

- Niemusisz organizować dla mnie przyjęcia.

Chętnie zostanę tutaj.

- Widzi, że po jego twarzy przemyka cień zawodu.

Może nie zaproponował tego jedynie ze zwykłej uprzejmości.

- Chyba że naprawdę masz ochotę narybę z frytkami.

- Ogromną.

Twoje urodziny są doskonałym pretekstem do obżarstwa.

- W takim razie - śmieje się Kate - ja zrobię zakupy, a ty zajmij się megierą.

- Pod warunkiem, że ja stawiam.

Muszę cię tylko ostrzec, że Marthana pewno wyczuje zapach przezseniprzyjdzie do nas.
Sama wiesz, jaką ma słabość do frytek.

- No to co?

W większym gronie będzie przyjemniej- odpowiada Kate i bierze kluczyki do samochodu.

- Dlaczego przyjechałaś do Kornwalii?

- pyta Barnaby, gdy razem z Kate rozpakowuje rybę.

- Zrobiłam to dla kaprysu.

Mam cygańską naturę.

- O ile pamiętam, pracowałaś dczasopisma podróżniczego w Londynie.

-Tak, przez krótki czas.

Sądziłam, że ta praca mi się spodoba, ale okazało się, że jej nie znoszę.

- Lucy wspominała, że masz dyplom z psychologii.

-To prawda.

321.

Barnaby rozkłada na stole talerze.

- Siadajmy, zanim wystygnie.

- Po chwili pyta z uśmiechem: - Nie za bardzo męczę cię pytaniami?

- Skądże.

Niemal przez całe życie pracowałam dla organizacji humanitarnych za granicą - głównie w Afryce, a przez ostatnie dwa lata w Karaczi.

Unosi kieliszek w stronę Barnaby'ego.

- Dziękuję za zaproszenie.

-Cała przyjemność po mojej stronie.

Zapewne miałaś wspaniałe przeżycia.

Dlaczego wróciłaś do Anglii?

- Moja matka umierała.

-Och, Kate, tak mi przykro.

Jak dawno to było?

- pyta, widząc jej minę.

- Pół roku temu.

-Opiekowałaś się nią?

- Staralam się.

- Unosi głowę i spogląda na niego.

-Niewróciłam do Indii, bo.

było to niemożliwe.

Z powodów osobistych - dodaje z uśmiechem.

-A może porozmawiamy teraz o tobie?

- Moje życie nie jest tak ciekawe jak twoje.

-Spróbuję sama to ocenić.

Popijają wino i uśmiechają się do siebie porozumiewawczo.

- Jak to jest z tymi obowiązkami pastorskimi?

Możesz sobie wybrać parafię?

Masz coś do powiedzenia w tej sprawie?

Barnaby parska śmiechem.

- Raczej niewiele.

Pastor może wyrazić sprzeciw albo wyjaśnić powody, dla których wolałby nie obejmować jakiejś parafii, ale w zasadzie wygląda to podobnie jak w wojsku: jeśli propozycja sprzyja dalszej karierze, to się ją przyjmuje.

Jak w każdym zawodzie, i tu jest hierarchia.

Oczywiście, zdarza się, że w niektórych przypadkach taka

322

procedura nie jest stosowana.

Kiedy Fred napisał, że Marcie coś dolega, poprosiłem o parafię w Konwalii.

- A gdzie byłeś przedtem?

-Naurlopie naukowym.

Uczyłem w Nepalu.

- A jeszcze wcześniej?

- pyta zaintrygowana Kate.

- W Irlandii Północnej.

W Belfaście.

Byłem kapelanem.

Kate dostrzega napięcie na twarzy Barnaby'ego i zastanawia się, co też tam się wydarzyło.

- A zatem zrezygnowałaś ze służby w wojsku i wycofałaś się na jakiś czas?

-Można tak powiedzieć.

- Barnaby unosi kieliszek z winem.

-Najlepsze życzenia, Kate.

Uśmiecha się, ale w jego oczach nie widać radości.

Niechce kontynuować tego tematu.

- Oczywiście, nie zaproponowano mi objęcia tej parafii od razu.

Najpierw zostałem wysłany do Camborne, jakieś dwadzieścia mil stąd.

Gdy okazało się, że muszę być bliżej domu, tutejszy pastoraż dostał udaru.

Palec boży, by tak rzec.

- A nie zwyczajny łut szczęścia?

- O nie, Kate.

- Jak długo jesteś tu pastorem?

- Cztery i pół roku.

Słyszą, jak Martha wstaje z łóżka i idzie do łazienki.

Kate milknie i zastanawia się, co Barnaby czuł przez telata, widząc, jak jego matka powoli gaśnie, wypala się niczym żar w kominku.

- Tęsknisz za wojskiem?

Tutejsze życie chyba w niczym nie przypomina tamtego.

- Przez pewien czas tęskniłem.

Brakowało mi kolegów, braterskich więzi.

Jestem człowiekiem, który potrafi podporządkować się regułom instytucji.

Gdy byłem w wojsku, podobały mi się ciągle podróże, przede wszystkim

323.

myśl, że mogę się na coś przydać w takich miejscach jak Bośnia i takim młodym ludziom jak Tristan.

Obraca kieliszek w dłoniach.

- Kiedy Lucy przyjechała tu, żeby zdawać egzaminy na zakończenie szkoły średniej, bardzo się ucieszyłem, że mieszka tuż obok.

Możemy znowu porozmawiać o tobie?

Niespodziewanie w drzwiach staje Martha, ubrana w koszulę nocną i stary fartuch ogrodniczy Freda, narzucony na ramiona.

- Nikt mi nie powiedział, że już jest śniadanie - skarżysz się.

- Kiszki marsza mi grają.

- Nic nie słychać - śmieje się Barnaby.

- Siadaj, mamo.

Właściwie to kolacja.

Ryba z frytkami.

Katedo dopiero teraz powiedziała, że ma urodziny.

- Niegrzeczna dziewczynka - mówi Martha, zerkając na frytki, które Barnaby nakłada jej na talerzyk.

- Mój ojciec chrapie.

- Raczej mój ojciec, jak sądzę.

- Barnaby stawia przednią talerzyk i podaje widelec.

- Nie, mój ojciec.

- Martha macha mu przed nosem widelcem i zwraca się do Kate: - Mój ojciec jest.

no tym.

co operuje.

- Fred był lekarzem rodzinnym, a nie chirurgiem.

Barnaby i Kate uśmiechają się do siebie nad głową Marthy.

- Ależ skąd - mówi zdecydowanie Martha.

- Na pewno operował.

- Odprowadzę cię do żywopłotu, Kate.

Cieszę się, że spędziłaś ze mną swoje urodziny.

To był bardzo miły wieczór.

- Dla mnie też.

Dziękuję, że zaprosiłaś mnie na kolację.

324

Oboje są na lekkim rauszu.

Idą przez ogród, starając się nie wpaść jedno na drugie.

Księżyc jest za chmurami.

Raki morskie ucichły.

Kate ma w pamięci Marthę, która siedzi na kanapie w koszuli nocnej i kapciach, pałaszując frytki.

- Jakże to dziwne, Barnaby.

Nigdy nie żywiłam wobec własnej matki tak silnych uczuć jak teraz wobec Marthy.

Barnaby czuje nagle bolesne ukłuciew piersiach.

Unosi rękę Kate i gładzi ją w swoich dłoniach.

- Cieszę się ze względu na Marthę, choć przykro mi zewzględu na twoją matkę.

- Po chwili zastanowienia dodaje: - Może któregoś dnia o tym porozmawiamy?

- Może - odpowiada z uśmiechem Kate.

- Dobranoc, Barnaby.

Ich twarze są niemal niewidoczne w ciemnościach.

Barnaby pochyla się i całuje Kate w policzek.

- Dobranoc, Kate.

Jeszcze raz najlepsze życzenia.

Niech cię Bóg ma w opiece.

Czeka, aż Kate przejdzie przez furtkę; słyszy szelest gałęzi.

Rusza po wyrosniętej trawie z powrotem do domu.

Ze zdumieniem uświadamia sobie, że ludzie często poruszają ważki temat, gdy się ze sobą żegnają.

Leżąc w łóżku, Kate przymyka oczy i słucha nasilającego się szumu wiatru i krzyku ptaków morskich, który dobiega od strony plaży.

Dźwięk jest równie kojący jak chór gregoriański.

Zazdrości Barnaby'emu tak bliskiego związku z matką.

Przypomina sobie, co robiła tego dnia rok temu.

Richard zafundował jej na urodziny pobyt w Phuket, w Tajlandii.

Czy była wtedy bezgranicznie szczęśliwa, czy tylko takie wrażenie pozostało w jej pamięci?

Czy nawet wtedy czekała z utęsknieniem na jakieś słowo, które świadczyłoby, że Richard chce związać się z nią nastale?

325.

Dziwne, ale teraz nie chciałyby cofnąć czasu, nawet gdyby mogły.

Rok temu nie miała pojęcia o istnieniu tej rodziny.

Teraz mawia, że jej życie pulsuje wolniejszym rytmem, zgodnie z rytmem życia tych ludzi, i pragnie, żeby tak już pozostało.

Wejście w dorosłość nie wymazuje tęsknoty za miłością, doświadczanej w dzieciństwie. Jakaś część jej istoty dalej żyje nadzieją, nieugięciem i wytrwale; wie, że dopiero wtedy pogodzi się z okolicznościami śmierci Dory i samotnością jej ostatnich dni, gdy uwolni się od dziecięcych pragnień, a jednocześnie na zawsze pozostanie dzieckiem.

 Nie noś ze sobą cienia Dory, Kate.

Głos Marjorie, słyszany w ciemnościach, brzmi zdecydowanie.

 Nie robię tego.

Naprawdę.

Jestem szczęśliwa.

Ale natchodzą mnie takie myśli, gdy widzę Marthę i Barnaby'ego.

Mam trzydzieści lat.

Czy urodzę dzieci, które nie będą mogły zasnąć, rozmyślając o mnie?

 Rozdział czterdziesty drugi

Hanna już nie wraca co wieczór do domu, ponieważ wprowadzono godzinę policyjną. Jej rodzice poprosili doktora Otowskiego, żeby nie wysyłał córki do Warszawy - na wsi jest bezpieczniej niż na ulicach dużego miasta.

Ale Hanna tęskni zamiastem.

Słyszy głosy braci i siostr, które wznoszą się opadającą krzywą po deszczach.

Każdego dnia wczesnym rankiem tato wychodził z domu z torbą lekarską, żeby nieść pomoc ludziom mieszkającym na obrzeżach miasta.

Zawsze stara się przynieść Hannie jakieś wiadomości od jej licznej rodziny.

Zanim Niemcy zajęli Warszawę, Hanna co wieczór jeździła do domu z inną żydowską dziewczyną i dwiema Polkami, które pracowały u Saurerów.

Żydowskiej dziewczyny już nie ma, a Polki od dawna nie rozmawiają z Hanną.

Dzień w dzień, gdy mama i Marta żegnają się tatą, drżą zestrachu, czy szczęśliwie wróci do domu.

Podróż do miasta jest niebezpieczna.

W Warszawie jest pełno Niemców, oportunistów i folksdojczów.

Ale Paweł Ołowski jest lekarzem i nigdy nie zaszyje się na wsi, wiedząc, że w mieście jest tylu chorych umierających.

Doktor Ołowski jest przekonany, że także ich zamkną wkrótce za murami getta, lecz nie mówi o tym Marcie ani Esterze.

327.

Ogromnie żałuje, że nie wysłał stąd żony i córki, że nie podjął stanowczej decyzji zamiast liczyć na cud.

Tego dnia wychodzi z domu z ciężkim sercem.

Musi sprawdzić, czy krzącać się po ulicy są prawdziwe.

Doświadczenie nauczyło go, że na ulicy nie należy chodzić ani za szybko, ani za wolno.

Czasem, na przedmieściach Warszawy, zdejmuje z ramienia opaskę.

Mógłby uchodzić za Polaka albo Niemca; niema tak ciemnej karnacji jak Marta i Estera.

Gdyby złapano go bez opaski, groziłoby mu ogromne niebezpieczeństwo, ale on

podaje ryzyko, jeśli musi dotrzeć w jakieś konkretne miejsce.

A więc do tego doszło.

Działam na szkodę mojej rodziny, bo związałem się z Niemcem, który kocha Polskę tak bardzo jak ja.

Straciłem wszystko: pieniądze mojej żony i własne.

Wkrótce stracę dom, a moi najbliżsi mogą zginąć.

To, że Saurer na tym korzysta, nie jest jego winą.

Podobnie jak ja, jest ofiarą okoliczności.

Tragedia sytuacji polega na tym, że żaden z nas nie może ochronić ludzi najbliższych sercu przed niebezpieczeństwem.

Jest chłodny wiosenny poranek.

Mgła wisi nad doliną, tłumidź dźwięki, przykrywa wioskę grubym całunem.

Saurer czeka samochodzie pod drzewami.

Doktor Ołowski bez słowa siada na miejscu dla pasażera, mocno naciągając kapelusz na głowę, żeby zasłonić twarz.

Obaj milczą, bo o czym tu mówić:

zbyt długo się znają.

Mają wykonać pracę, muszą pomóc ludziom - to jest ich cel.

Martaczeka.

Zdarzają się dni, gdy dolinę przykrywa mgła, a słońce jest za słabe, żeby się przeznierzyć.

Wtedy dzień mijają w niesamowitej ciszy, jakby lasy i wzgórza znalazły się pod wodą, tłumiącą wszelkie dźwięki.

Tato powinien być wrócić już dawno temu.

Mama siedzi przy oknie, szyje i zerka przez szybę.

Marta dusi w sobie krzyk, widząc, jak pobłyskuje srebrzysta igła, wbijając się nerwowymi ruchami w materiał.

Nie może wytrzywać

mać w zamknięciu, chce być na dworze, przejechać się na koniu.

Nadeszła wiosna, a ona siedzi jak dzikie zwierzę w klatce.

Hanna ciągle coś upuszcza.

Próbuje bezskutecznie rozpalić ogień w piecu.

Rozpoczyna jakąś drobną pracę, którą jej zlecono, a po chwili zapomina o niej i bierze się za inną.

Marta chodzi za nią, kończy to, co Hanna zaczęła robić, chowa rzeczy do szafek, z utęsknieniem patrzy przez okno.

Mama już nie pozwala jej chodzić przez ogród na skraj lasu z obawy, że spotka kogoś od Saurerów.

Resztki warzyw, które rosły w ogrodzie, ukradziono im w nocy.

Mąka się skończyła, więc niemają chleba.

Tato, jak zwykle, coś przyniesie.

Marta przypuszcza, że dostaje to od wdzięcznych pacjentów - racje żywnościowe dla Żydów są ograniczane tygodniowo.

Czasem, gdy rano otwierają drzwi, znajdują na progu chleb lub warzywa.

Mama śmiecha się nieznacznie i szepcze: "To Heinrich".

"Może" - odpowiada tato, wzruszając ramionami.

- Alboktoś z wioski".

Jest późne popołudnie, zapada zmrok, ale do godziny policyjnej jeszcze dużo czasu.

Marta wreszcie dostrzega przez okno sylwetkę ojca, który idzie drogą wzdłuż żywopłotu okalającego ogród.

Biegnie otworzyć drzwi i widząc po żółkłą twarz, wie, że stało się coś złego.

Ojciec ledwo się trzymając, wraca z pustymi rękami.

Mama pomaga mu usiąść i prosi Hannę, żeby przyniosła coś ciepłego do picia.

Tato opadając na swój fotel przy kominku, nawet się nie wita, nic nie mówi.

Wyciąga ręce do gnia, ale świeże patyki nie dają wiele ciepła, wydzielają tylko ostre, słodkawy zapach.

Podnosi głowę i patrzy na Hannę.

Bierze od niej herbatę nieupiększoną, stawia filiżankę na stole.

Marta widzi, że krew odpływa z twarzy Hanny.

Dziewczyna wygląda jak królik, uchwycony światłem reflektorów.

Stoi w bezruchu, nie mogąc oderwać wzroku od jej twarzy.

329.

Tato ujmując jej dłonie i mówi o tym, co Hanna w głębi serca wie od kilku dni, gdy umilkły głosy jej braci i sióstr.

Wszyscy zniknęli, cała rodzina.

Drzwi kamienicy, gdzie mieszkali, zostały wylamane.

W nędznych pokojach pozostał tylko skromny dobytek, walały się siedziące ubrania.

Paweł Ołowski dał biednej Hannie jedynie to, co konieczne.

Nie wspominał opróżnionej połowy butelki mleka na stole, którą karmiła niemowlę, ani o walizeczce, którą upuściło na schodach małego dziecka, gubiąc swoje skarby.

Długi rząd domów opustoszał, panuje tam głucha cisza.

Niewiadomo, dokąd zabrano mieszkańców, ale Paweł Ołowski podejrzewa, że nie przebywają w wysokich murach getta.

Mocno trzymając Hannę za ręce, okłamują ją, a ona o tym wie.

Mówi, że na pewno zostali wywiezieni do getta, postara się szybko ich odszukać.

Prosi Martę, żeby pościeliła Hannie łóżko w swoim pokoju.

Teraz obie dziewczyny będą spały razem i dotrzymywały sobie towarzystwa.

Mama i Marta biegną spełnić polecenia taty, serce wali im w piersiach ze strachu o Hannę i o siebie.

Tato daje Hannie lekarstwo na uspokojenie.

Kładą ją do łóżka, a Marta siedzi przy niej w ciemnym pokoju.

Z dołu dochodzą ciche, spięte głosy rodziców.

Hanna leży w tej samej pozycji, w jakiej się położyła, twarzą do okna, bez ruchu czy zmrużenia powiek.

Potem zamyka oczy.

Marta zdejmując ubranie i kładzie się w swoim łóżku.

W nocy budzi ją ciche zawodzenie.

Hanna siedzi przy oknie, przemarznięta; z jej piersi wydobywa się dziwny, monotony lament.

Marta wstaje z łóżka i podchodzi do okna, żenowana, bo nie wie, co robić.

Nagle jej gardło ścisną wspomnienia.

Pochyla się i tuli do piersi wychudzoną Hannę, zawstydzona, że kiedyś razem z chłopcem naigrawała się z tej poważnej dziewczyny.

- Wszystko będzie dobrze - szepcze.

- Nie martw się.

Tato znajdzie twoich bliskich, dowie się, dokąd odeszli.

Chodź do łóżka.

Cała trzęsiesz się z zimna.

330

Ale Hanna nie chce się położyć.

Siedzi na taborecie mamy i jednostajnym ruchem kołysze się w przód i w tył.

Marta zabiera dwa koce z łóżka, jednym owija Hannę, drugi narzuca na siebie, potem stawia przy oknie krzesło i siada z rękami w ramieniu

przy Hannie.

Patrz na księżyc, który wylania się co chwila zza chmur.

Hanna przysypia wyczerpana, głowa opada jej na pierś, powieki drżą, jakby w niespokojnym rytmie przesuwają się pod nimi sylwetki jej braci i sióstr, licznej gromadki powiększającej się co roku.

Piętnastoletnia Marta nagle czuje się osobą dorosłą, starszą od Hanny, która potrzebuje jej opieki.

Niezależnie od tego, co się stanie, mama, tato i ona będą trzymać się razem.

Zatroszczą się o Hannę, będą dbać o siebie nawzajem.

Patrzy na chmury przepływające po granatowym niebie i zasypia.

Rozdział czterdziesty trzeci

Jedzie na peryferie Berlina, gdzie odbędzie się pogrzeb jednego z najstarszych jego przyjaciół.

Spotyka tam Hansa, który robi wszystko, żeby wyperswadować mu powrót do Londynu.

Hans jest wytracony z równowagi, widząc, że rozsądny przez trzydzieści lat człowiek zaczyna zachowywać się nieracjonalnie i niebezpiecznie.

Nie chce, żeby ktokolwiek rozgrzebywał przeszłość.

Jego ojciec, który był prawnikiem Mutti, dzięki przeszłości ma zapewniony dobrobyt.

Chow starego przyjaciela, którego darzył szacunkiem.

Obaj jednocześnie wstąpili do Hitlerjugend.

Byli znudzonymi nastolatkami, skłonny do buntu, pełnymi wzdąrci dla innych.

Cały czas żyli na prowincji i wreszcie mogli doznać czegoś podniecającego, rozkoszować się atmosferą braterstwa, poczuć smak władzy.

Może dlatego ich przyjaźń przetrwała: obaj pielęgnowali wspomnienia z czasów młodości, gdy świat był pełen blasku i wszystko wydawało się możliwe.

Wysocy, dobrze zbudowani blondyni - ucieleśnienie idealnego Aryjczyka - obaj byli zakochani w własnym wizerunku, który wzbudzał tyle zachwyty.

Wraz z postępem działań wojennych coraz częściej wykorzystywał nauki Mutti.

Powtarzał w mroku nocy jej słowa i nazistowskie hasła jak zaklęcie, chcąc stłumić inne głosy.

Wspierany przez swego przyjaciela, nauczył się posłusznie wykonywać rozkazy - dokonywać aresztowań, wywozić ludzi z getta, cokolwiek mu polecono - jak najdokładniej i bez żadnego zaangażowania, jakby czyścił stajnię Tylicza i wyrzucał końskie łajno.

Dlaczego wciąż kłamie, oszukuje nawet siebie samego?

Dobrze pamięta, kim wtedy był - wspomnienia palą jak żagnione rany, wychodzą z zakamarków umysłu jak drzazgi, uparcie powracają.

Już nie wie, co jest prawdą, w co naprawdę wierzył, co sobie wmówił.

Wszystko zaczęło się od zabawy w przebieranki i odgrywanie żołnierzy - zabawy, która miała niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Sądził, że przecież zawsze można się wycofać podjąć studia w akademii medycznej: lekarze stale są potrzebni.

Ale da się wciągnąć, ponieść fali narastającej euforii.

Popłynął wraz z innymi, a potem, gdy sytuacja stała się

niesmaczna, stwierdził, jak wielu innych, że nie może się wycofać.

Bywało, że czuł się fizycznie źle.

Czasem zdobywał się na odwagę i kwestionował rozkazy.

Przełożeni zauważali jego słabość i zaczęli wystawiać go na próbę.

Trzask - ściągał żaluzje, zamykał się szczelnie, żeby nie wypuszczać ani jednego promyka światła.

Tylko nie myśleć.

Wykonywał rozkazy bez zastanowienia.

Heil Hitler!

Przestał rozpoznawać swoją twarz w lustrze.

Przestał nie patrzeć.

Teraz, gdy minęło całe życie, stoi nad grobem przyjaciela.

Ten spoczywający w ziemi człowiek nauczył go spania i sztuki upijania się do nieprzytomności, gdy przychodził bestialski rozkaz.

W czasach pokoju spotykali się rzadko: życzenia na Boże Narodzenie, czasem krótki list.

Zgodnie z milczącym porozumieniem nigdy nierozmawiali o wojnie, choć obaj czuli wątpliwość, która wiązała ich z czasem i miejscem minionej młodości, gdy

świat jeszcze się nie rozpadł, gdy jeszcze nie uczestniczyli w realizacji przerażającego, systematycznego planu zniszczenia.

Na pogrzeb, odbywający się w słoneczny letni poranek w Berlinie, przyszły setki osób: koledzy, przyjaciele, Żydzi, Polacy, Niemcy.

Zona zmarłego i jej francuscy krewni.

Przez ostatnie pięćdziesiąt lat jego przyjaciel poświęcił się wyłącznie czynieniu dobra.

Czy odszedł z poczuciem zadowolenia?

Czy znalazł spokój?

Czy uważał, że dokonał zadośćuczynienia?

Nie ma pojęcia, co jest możliwe, a co nie.

Przed nim stoją właśnie dwaj szacowni panowie w okularach, ubrani stosownie: czarne płaszcze i kapelusze.

Pewno już wyłysieli.

Jeden jest dyrektorem banku, drugi nauczycielem.

Ale widzi tylko esesmańskie mundury, które niegdyś nosili.

Tej nocy, jak każdej, stoi na balkonie, spoglądając napograżony w ciemnościach ogród i park.

Obserwuje sunące wolno sznurysamochodowa autostradzie.

W przestrzeni migoczą tysiące jasnych światełek.

Berlin.

Znajome miejsce.

Dom jego matki stał niegdyś po lewej stronie miasta.

Wygrażała pięścią, widząc odlatujące bombowce rosyjskie.

Bojąc się panicznie złodziei i dzikich lokatorów, mieszkała samotnie na zburzonym przedmieściu, niemal zrównanym z ziemią, pośród wciąż tłących się ruin.

Nie zamykając za sobą drzwi, wchodzi do środka, żeby nalać sobie whisky i przysunąć skórzany fotel do okna.

Myślami wraca do uroczystości pogrzebowej.

Żydzi stali obok dawnych nazistów, jedni i drudzy pograżeni w żal upo odejściu tego samego człowieka.

Przyszli pożegnać niemłodzieńca w mundurze, lecz człowieka, który poświęcił resztę życia, swój czas i majątek ludziom dotkniętym ok334

i

v

rucieństwem epoki stworzonej również przez niego.

Odczuwa przejmujący, dogłębny ból, chwytając jakąś nieokreśloną nadzieję.

Tamten żydowski lekarz w Warszawie niewątpliwie umożliwił ojcu prowadzenie praktyki.

Gdyby nie on i jego pieniądze, ojca nie byłoby stać na rozbudowę kliniki.

Mutti nawet nie dostrzegła ironii kryjącej się za jej uprzedzeniami.

Przypomina sobie, jak bardzo upił się w dniu, gdy aresztowano ojca i formalnie oskarżono o zdradę, wywrotową działalność, nielojalność wobec własnego kraju, groziłomu wysłanie na front wschodni.

Ukarano go za odmowę wykonywania rozkazów.

Pod koniec wojny zdał sobie sprawę, do czego tak naprawdę naziści chcieli zmusić ojca, i był wstrząśnięty jego niezwykłą odwagą.

W tym czasie Mutti już pojechała do Niemiec, czyniła przygotowania do przeprowadzki.

Małżeństwo jego rodziców się rozpadło.

Teraz zastanawia się, ile minęło czasu, nim ojciec uprzytomnił sobie, że piękna dziewczyna, którą poślubił, ma serce z kamienia.

On je odziedziczył, wybrał jej chłód, a nie łagodność ojca.

Jego wrodzoną dobroć znał za przejaw słabości.

Czasem zastanawiał się, czy ojciec nie podkochał się ukradkiem w pięknej ciemnowłosej Żydówce, mieszkającej w sąsiednim domu.

Chciałby wiedzieć, gdzie ojciec został pochowany i w jakich okolicznościach zmarł.

Po wojnie często śnił mu się ten opuszczony dom w Warszawie.

Zapewne został doszczętnie splądrowany, ogołocony ze wszystkiego, co dało się wynieść.

Przed wyjazdem z Polski Mutti otworzyła sejf ojca.

Nie znalazła tam nic wartościowego prócz jego pamiętników i notatek do książki, którą pisał.

Właściwie były to raczej dzienniki, a nie pamiętniki: jednoznaczne i kontrowersyjne zapiski

prowadzone przez całą wojnę, tak przez niego znienawidzoną. Jeszcze zanim Niemcy napadły na Polskę, ojciec próbował dostrzec sens w świecie, gdzie wszystko, co kochał i cenił, szybko znikało.

Nie wiedział, dlaczego Mutti zabrała te dzienniki do Niemiec.

Może się bała, że przez związek z ojcem zostanie obciążona winą.

W tym czasie wszyscy przeżywali paranoiczne lęki.

Ucieszył się, że przekazała mu te zapiski, choć mogła je wyrzucić.

W pełnym zamętu powojennych czasach siadywał na podłodze w ponurym berlińskim mieszkaniu i czytał wciąż nowo słowa napisane przez człowieka, którego nigdy nie chciał słuchać.

Ojciec nie zgadzał się z poglądem, że antysemityzm ujawnia się z gwałtowną siłą w

pewnych okresach historii narodu niemieckiego, a kiedy indziej jest niezauważalny.

Jego zdaniem wrogość wobec Żydów jest właściwa Niemcom i stanowi ich główną cechę.

Ujawnia się w bajkach szepcanych zasypiającemu w kołysce dziecku, w pogardliwych uwagach,

które słyszy przez całe dzieciństwo, a potem, w bardziej dobitnej formie, nieustannie styka się z

przejawami tej wrogości w szkole, na uczelni i w większości instytucji.

I tak ukaże tego Niemca automatycznie tworzy się załóżek uprzedzenia, które na zawsze utkwi mu pod skórą.

"Hitler - napisał ojciec - nie wynalazł antysemityzmu, jedynie rozniecił ogień, aż rozgorzał w całym kraju i zaczął obejmować Europę.

Naziści nie musieli robić nic więcej, jak podsycić tłące się zarzewie.

Zamiast wydać prześladowaną bezustannie rasę, postanowili rozwiązać Judenfrage

(kwestię żydowską) raz na zawsze i eksterminować wszystkich Żydów.

Mimo to nie potrafię zrozumieć, dlaczego zwykli ludzie akceptują masową rzeź i dobrowolnie dopuszczają się mordów.

Dlaczego moi znajomi i współpracownicy, ludzie, 336

których lubiłem i szanowałem, z lekkim sercem popierają nazistów, a inni, których wcześniej nie zauważałem, pełnią drąży patrzą na to, co się dzieje, i z narażeniem życia pomagają Żydom, usiłując poinformować świat o ich losie?

".

Do chwili gdy ojciec został wysłany na schód, gdzie pochłonęła go biała śmierć, chciał wierzyć, że dla tysięcy jego rodaków, którzy skazywali całą rasę na zagładę, ich czyn nie był złem, lecz wynikał z wyboru mniejszego zła: ratowania Niemiec przed unicestwieniem.

Lecz jak można było wstrzymać się od sądu w tej sprawie, skoro we wszystkich innych obowiązywał ściśle ustalony porządek?

Skutecznie przeprowadzona, instytucjonalizowana rzeź.

Czy kulturalni niegdyś ludzie naprawdę byli przekonani, że oczyszczają Niemcy z robactwa, a nie istot ludzkich?

Nagle pojawia się w jego głowie pytanie: dlaczego mój ojciec był tym zdumiony?

Wystarczyło prześledzić historię.

Broniąc religii, terytorium czy rasy, ludzie unicestwiali bez najmniejszych wyrzutów sumienia całe plemiona.

Tak też jest dzisiaj na Bałkanach.

Semantyka.

Intelektualna żonglerka.

Ojciec, zmęczony życiem i pozbawiony złudzeń, zajmował się tą pisaniną, bo nie chciał uwierzyć w potęgę zła, nie chciał myśleć, zwłaszcza o swoim synu - nie chodzi tu bowiem jedynie o zbiorową odpowiedzialność.

W ostatecznym rozrachunku każdy człowiek jest odpowiedzialny przed sobą za własne czyny, czyż nie?

Gdy wojna zbliżała się do upokarzającego i przerażającego końca, gdy z bezlitosną jasnością zrozumiał, w co się zaangażował, zaczął podzielać zdanie ojca o Niemcach.

Skąd tacy ludzie jak oni czerpali odwagę do buntu?

W jaki sposób zdobyli się na śmiałość, by dochować wierność swoim przekonaniom i odrzucić idee, na których opierała

337.

się kultura niemiecka w owych czasach, a także wiele innych kultur?

Przeciwstawić się naporowi opinii publicznej i nieugięcie obstawać przy swoich poglądach przez całe życie, nigdy nie ulec lękom i uprzedzeniom, tak nieuchwytnie i perfidnie wpajającym. Nie potrafił tego zrozumieć.

Przekraczało jego wyobraźnię.

Nie miał w sobie takiej odwagi.

Przez całe dzieciństwo mieszkał w sąsiedztwie żydowskiej rodziny i doskonale wiedział - w przeciwieństwie do wielu żołnierzy, którzy przed wojną nigdy nie zetknęli się z Żydami - że nikczemne opowieści matki były czystym wymysłem, przesadami z epoki średniowiecza. Pomyślał o tej jednej osobie, która była dla niego człowiekiem, w pierwszym rzędzie istotą ludzką, a dopiero potem Żydówką.

Pomyślał o tej rodzinie, która pewno zginęła, i z trząskiem zamknął dzienniki ojca, z dreszczem obrzydzenia odcinając się od swego dotychczasowego życia, od człowieka, jakim już nie był. Gdyby tylko mógł cofnąć czas i ocalić tę rodzinę, gdyby tylko dostał drugą szansę.

Miałem tobie lepsze mniemanie.

Spodziewałem się, że nie zawiedziesz moich nadziei.

Czekałem.

ze względu

na twoją przyjaźń.

znajomość rodziny Otowskich, ludzko wielkiej dobroci serca.

Zaciągnął z trząskiem żaluzji zamknął się na świat zewnętrzny.

Został jednym z najlepszych chirurgów w Berlinie.

Nauczył się nie dopuszczać do siebie nikogo zbyt blisko i na zbyt długi czas.

Stracił zdolność kochania.

A czy w ogóle ją miał?

Sam nie wie.

Ćmy uderzają w przeszklone drzwi, lecąc do światła.

Zamyka okna, izoluje się od ciemności.

Sięga pamięcią wstecz i widzi siebie: roześmianego chłopca, który gra z ojcem w piłkę.

Widzi małe dziecko uniesione w górę, by mógł mu się przyjrzeć.

Słyszy 338

głos człowieka, dziś pochowanego, który podługiej pijatyce powiedział: "Mundurysą nam potrzebne po to, by ukryć pod nimi duszę.

Brutalność ośmiela nas do działania.

Posługujemy się karabinami, żeby zamaskować przerażenie.

Ideologia pozwala nam ukryć własną niewiedzę.

Nadejdzie dzień, gdy krzyknijemy: Dość!

Wystarczy!

Ale wtedy będzie już za późno, przyjacielu.

Utoniemy we krwi i nigdy więcej nie będziemy mieć czystych rąk".

Miał słuszość.

Niezdawałem sobie sprawy.

Tylko wykonywałem rozkazy.

Bałamsię.

Słowo daję, nie miałem pojęcia, co się dzieje.

Nic dziwnego, że nikt nie słuchał.

Nikt niczego nie słyszał.

Nigdy to do nich nie dotrze.

Zbyt wielu ludzi wciąż

myśli tak jak Mutti.

I zawsze tak będzie.

Faszyzm żerujena powszednich lękach.

A zatem koło się zamyka.

Może się myli.

Skądmożemieć pewność?

Uchodźcy trafili w tyle różnych miejsc.

Poleganiena odczuciach jest zwodnicze.

Ale to podobieństwo, tak uderzające, nie jest zwodnicze.

Znówpojedzie do Londynu.

Istnieje nikleprawdopodobieństwo, że nie wszyscy zginęli.

Rozdział czterdziesty czwarty

Martha siedzi w fotelu, opatulona kocem, i spogląda na Kate, która pracuje w ogrodzie.

Między sztachetami furtki widzi swój własny ogród.

Liściebuka pobłyskują słońcu, nabierając intensywnej rubinowej barwy.

Trawa nie pachnie już tak jak w środku lata; w powietrzu zduć zbliżającą się powoli jesień.

Widok przez sztachety przypominaję coś.

Martha zamyka oczy i widzi ogród, który dobrze znała, przez którąszła tego ostatniego dnia wolności.

Ale wtedy była wiosna.

Na pewno była wiosna, ponieważ kwitły jabłonie.

Hanna powinna już dawno wrócić.

Zbyt długo jej nie ma.

Marta się denerwuje.

Hanna poszła po chleb, bo umie targować się lepiej niż Marta i mama.

Marta wkłada na rękę opaskę z gwiazdą Dawida i wymykaję z domu.

Poszuka Hanny i pójdzie nawieś.

Zobaczy, jak sięmiewa biedna ciocia lisa, która uciekła z Tomaszowa, gdy wujek Horst razem z innymi mężczyznami i młodymi chłopcami wpadli podczas łapanki i zostali zabrani.

Marta, podobnie jak tato, stara się nie chodzić ani za szybko, ani zawolno.

Nie chce zwracać na siebie uwagi.

Trzyma się bliskowysokiego muru, otaczającego dom doktora Saurera.

340

Widzi wielką jabłoń obsypaną białoróżowymi kwiatami i niemoże uwierzyć, że kiedyś się pod nią bawiła.

Mur kończy się trochę niższym żywopłotem, sięgającym bramy.

Gdy ją mija, słyszy długi, cichy gwizd.

Zamiera w bezruchu.

Zna ten władczy dźwięk.

Po chwili odwraca się wolno.

W jej stronę idzie młody mężczyzna w niemieckim mundurze wojskowym.

Marta nie ma odwagi przejść obok niego, stoi, jakby nogi wrosły jej w ziemię, i patrzy.

Niemiec jest coraz bliżej.

Gdy dochodzi do furtki, zdejmuję czapkę i kpiąc z niej, pochyla się w ukłonie.

- Idziesz się zabawie?

Ktoś ci się zgubił?

Marta musza się, by spojrzeć mu w oczy.

- Chcę.

odwiedzić moją ciotkę.

Szukam Hanny.

- Powinnaś jej lepiej pilnować - śmieje się.

- O ile mi wiadomo, dzisiaj nie urządziliśmy łapanki na małe Żydóweczki.

- Widzi jej minę.

- Musisz mi wybaczyć.

Przecież znasz moje poczucie humoru.

Wejdz.

Hanna poszła do służącej po chleb.

Otwiera bramę i wzdycha.

- Co za piękny poranek.

Chodź popatrzeć na jabłonie.

Marta wie, że Hanna nie weszłaby do tego ogrodu z własnej woli, ten człowiek na pewno kłamie.

Ale może Hanna rzeczywiście tu jest?

Marta niechętnie wchodzi do ogrodu.

Słyszając łomot zamykanej bramy, zatrzymuje się wystraszona.

- Chodź.

Przecież cięnie zjem.

Naciesz oczy widokiem tego drzewa, napawaj się zielenią ogrodu.

Przerywając patrzy na nią tak, jakby wiedział coś, o czym ona nie wie.

- Gdzie jest Hanna?

- pyta Marta.

- Już ci mówiłem.

W domu.

Posłałem ją tam z ogrodnikiem.

Wciąga Martę pod zwieszające się gałęzie jabłoni odwracając twarz do siebie.

Stoi bardzo blisko, jego niebieskie oczy mają jakiś dziwny wyraz.

Zatrzymują jej wzrok.

Przez chwilę znowu

341.

jest małym chłopcem, którego znała w dzieciństwie, który
uczył ją jeździć konno.

Będzie drwił ze mnie, ale nie zrobi mi krzywdy.

Raptem jego spojrzenie nabiera innego wyrazu.

Marta robi

kilka kroków do tyłu, uświadamiając sobie, że pod żadnym
pozorem nie należało wchodzić do tego ogrodu, ale on łapie
ją za rękę.

- Boisz się mnie, moja Żydóweczko?

Na jego górnej wardze widać kropelki potu.

Czuć od niego alkohol.

- Nieboję się - mówi wyzywająco i wytrzymuje jego spojrzenie.

To jest znajomy chłopiec, myśli.

Byliśmy przyjaciółmi.

Spędziliśmy razem całe dzieciństwo.

Nie będę się bała munduru.

Ten chłopiec nie zrobi mi krzywdy.

Wpatruje się w nią, niepewny, co robić.

Dzielną mała Martusia.

Dzielną mała wiedźma.

Przyciąga ją do siebie.

- Niczego się nie boisz, Marto.

Zawsze mnie zastanawiało, że budzę strach w twojej służącej, ale nigdy w tobie.

Teraz Marta odczuwa lęk.

- Proszę.

Muszę znaleźć Hannę, zabrać ją do domu.

Próbuje wyrwać rękę z uścisku, ale chłopiec przypiera ją
do pni drzewa, w ogóle jej nie słucha, patrzy na jej piersi
i zakole szyi.

- Śliczna Żydóweczka - szepcze.

- Moja żydowska dziewczynka.

Przynależysz do tej rodziny - śmieje się - jak nasz piękny konie.

Wodzi ręką po jej szyi i niżej, po piersiach.

Marta wyczuwającego rozdygotanie.

- Proszę.

puść mnie.

Próbuje go odepchnąć, ale on przyciąga ją do siebie i zaczyna całować po szyi.

Marta, przerażona, wbija mu paznokcie w plecy.

Mężczyzna krzyczy, odpychają i uderza w twarz.

342

Marta odwraca się, schyla pod gałęziami, chce uciec.

On jest jednak szybszy, chwytą ją i rzuca na ziemię, po czym siada na niej okrakiem.

Najego twarzy widać złość.

- Możesz się bronić albo ulec.

Wszystko mijedno.

Marta leży nieruchomo.

To jest Niemiec w mundurze.

Pijany

Niemiec.

- Proszę cię, nie rób tego.

Znam cię całe życie - mówi zrezygnowana.

Mężczyzna patrzy się w nią.

Na jego twarzy pojawia się wahanie, gdy spotykają się ich spojrzenia, a lenaty chmiast znika.

- O tak, pragnąłem cię już wtedy, gdy miałaś dwanaście lat.

Przecież zawsze chciałaś, żebym cię dotknął - dobrze otymwiem.

Czułem, jak cała drżysz.

Mutti powiada, że wszystkie Żydówki to małe kurewki.

Marta uderza go w twarz, a on z wściekłością oddaje uderzenie, rozrywając sukienki i rozwiera jej nogi; przyciska ją do brzozy między korzeniami drzewa.

Marta leży pod ogromną kopułą kołyszących się kwiatów, czeka, aż będzie powszystkim, aż ucichnie jego sapanie i stękanie.

Nie patrzy na nią.

Podnosi się, zapina guziki rozporka i odwraca się plecami.

Marta jest zbyt obolała, żeby wstać.

Z cichym jękiem przewraca się na bok i obciąga dół sukienki.

Przygryza wargi, żeby nie krzyczeć.

- Służącą znajdziesz waltanie.

Musicie natychmiast opuścić ten ogród.

Żydom nie wolno tu wchodzić.

Jego głos brzmi sucho, chłodno.

Nagle odwraca się i kłania, po czym odchodzi schylony pod gałęziami.

Małe białe płatki osypują się na nią, przyklejają do ciemnych włosów.

Niespodziewanie pojawia się przyniej Hanna.

Dziewczyny

obejmują się z płaczem.

- Kazał mi wejść do ogrodu.

Powiedział, że da nam chleb.

- Hanna w kółko powtarza te słowa.

- Zobaczył, że idziesz

343.

drogą, i kazał mi czekać w altanie, aż skończy z tobą rozmawiać.

Tam nikogo nie ma.

Dom jest pusty.

Już dobrze, Martusiu.

Już dobrze.

Pomogę ci.

Nic niemówiamamie i tacie.

Toby ich zabiło.

Hanna myjedelikatnie Martę i kładzie ją do łóżka.

Nigdy więcej o tym nierozmawiają.

Tato nie zniósłbyśmy, że przed niczym już niemoże ochronić swojej córki.

Następnego dnia do ich drzwi waląniemieccy żołnierze.

Dają im trzy godziny na opuszczenie domu.

Rzeczy są już oddawna spakowane.

Mama kazała im zaszyć pieniądze i kosztowności pod podpinką lub w rąbkach ubrań.

Zagląda jeszcze do polskich sąsiadów, którzy okazali im serdeczność.

Chce im dać trochę biżuterii i pieniędzy.

Zostawia u nich na przechowanie pudełko z prywatnymi papierami.

Są tam rzeczy bezwartościowe, ale bliskie jej sercu: listy od krewnych, fotografie z albumu włożone do kopert, drobiazgi, które zbyt ciężko jest jej wyrzucać.

Marta dokłada swoje małe pudełko, wypełnione pamiątkami z dzieciństwa, listami i ulubionymi książkami.

Gdy skończy się wojna, przynajmniej tyle pozostanie im zdawnego życia.

Tato pali wszystkie wyciągi z banku i dokumenty służbowe, żeby nie dostały się w niepowołane ręce.

Robi kopie aktów urodzenia i małżeństwa, wkłada je do tekturowej kłódki i umieszcza w pudełku.

Prosi polskich sąsiadów o przechowanie tych rzeczy do ich powrotu.

Sąsiedzi zapewniają, że dokumenty będą czekały w bezpiecznym miejscu.

Trochę popłakują i z zażenowaniem przyjmują podarunki, nie patrząc w oczy rodzicom Marty.

Mama, tato i Marta załadowują na wóz cały dobytek, składający się z najpotrzebniejszych rzeczy, pożyczają konia od sąsiada i wolno podążają w stronę Warszawy.

Przejeżdżają przez Wisłę mostem Poniatowskiego.

Suną wolno Alejami Jerozolimskimi i Marszałkowską, mijają Ogród Saski z kwitnącymi drzewami i Ogród Krasińskich, skąd dolatuje ich zapach wiosny.

Docierają dostrzeżonego, nieprzerwanego muru wokół getta.

Marta niewie, że przez bardzo długi czas nie zobaczy drzewa ani źdźbła trawy, nie poczuje zapachu kwiatów.

Gdybyo tym wiedziała, odetchnęłaby głęboko, przejeżdżając przez rzekę, napawała się zapachem powietrza za murami, by móc tam przebywać i spacerować w wyobraźni, gdy nastaną ciemne, zimne noce.

Zachowałaby w pamięci barwę ostatniego wiosennego kwiatu, jaki widziała, i błękit czystego nieba. Ale Marta o tym nie wie.

Dostrzega tylko, że wzrok przechodniów zatrzymuje się nawozie.

Wzbiera w niej uczucie wstydu i poniżenia, że są wystawieni na widok publiczny, jakby dopuścili się jakiegoś strasznego, niewybaczalnego czynu.

Gdy przejeżdżają przez bramę getta i zostawiają za sobą znany im świat, czas zmienia się bezpowrotnie.

Całej rodzinie zostaje przydzielony jeden mały pokój.

O jakiegokolwiek prywatności i subtelnych uczuciach mogą od razu zapomnieć.

W milczeniu wnoszą swój dobytek do ciemnego, dusznego pokoju.

Ani skrawka zieleni, ani jednego drzewa.

Następnego dnia dowiadują się odżydowskiego sąsiada, który został przesiedlony do getta później niż oni, że gdy tylko opuścili dom, polscy sąsiedzi szybko zabrali porcelanę, bieliznę pościelową i stołową, a potem przyszli Niemcy po wartościowe meble.

Mama się rozpłakała.

Bieliznę dostała po babce; porcelana była bezcenna.

Na ciemnej, rozmięklej ziemi nie widać kiełkujących roślin.

Wkoło są tylko ludzie - oszołomieni wysiedleńcy, głodni i bezdomni, dowożeni podbramę niezliczonymi transportami i wyrzucani na ulicę.

Zwiezieni tu z całej okupowanej Europy, rozbici psychicznie, bez dobytku i środków, bez możliwości prowadzenia handlu wymiennego, często znający jedynie swój język ojczysty, umierają na ulicach z głodu.

345.

Podczas pierwszych sześciu miesięcy w getcie tato traci niemal wszystkie zęby.

Brakuje mu sił, by ratować ludziom życie.

Osierocone dzieci żebrzą z rozpacz na ulicach.

Mama ma zaledwie trzydzieści siedem lat, ale zmuszona poraz pierwszy do pracy fizycznej, siwieje po kilku miesiącach.

- Miała takie piękne stroje - mówi Martha, przyglądając się pochylonej nad grządkami Kate, ubranej w żółtozieloną koszulę i doskonale skrojone białe szorty.

- Niezwykle piękne.

- O kim mówisz?

- Kate podnosi głowę i uśmiecha się do Marthy.

Ale wzrok Marthy kieruje się już w stronę Freda, który osłoniwszy głowę wysłużoną panamą, zmierza kuniej przez trawnik, a zanim wlecze się Homer, stęskniony za Lucy.

- Och, kochanie!

- woła Martha.

- Jak to cudownie!

Rozdział czterdziesty piąty

W tę niedzielę Londyn jest dziwnie przygaszony i nieruchomy.

Pod oknami słychać, jak ludzie się nawołują, zatrząskują drzwiami samochodów.

Rozchodzi się zapach jedzenia - któryś z sąsiadów smaży bekon.

Choć w pokoju obok sypia Diana, Lucy dokwiera samotność.

Tęskni za domem.

Siada na łóżku i sięga po listy Tristana, leżące na szafce nocnej.

Czytała je tyle razy, że papier jest pognieciony i miejscami ponadrywany.

Układa je według dat, zaczynając od pierwszej pocztówki.

29 maja 1999

Kochana Lu!

Piszę w pośpiechu.

Postaram się wysłać tę kartkę z lotniska.

Mam okropnego kaca.

Pułkownik uparł się, że by na uroczystej kolacji przed wyjazdem podano alkohol, a potem kazał nam sporządzić testamenty!

(Ze względów protokolarnych.

Niemaś powodu do obaw).

Nowy mundur jest przyciasny - muszę schudnąć!

Kocham cię, Tris.

Prizren

30 maja 1999

Kochana Lu!

To nie będzie długi list - jestem okropnie zmęczony.

Sądziłem, że dadzą nam się wypaść i wylecimy następnego

347.

dnia, ale nic z tego.

Od razu zapakowano nas do ciężarówek.

Wszystko przez tego cholernego pułkownika!

Mata frajda, gdy człowiek jest na kacu.

Atmosfera namiejsu była zdumiewająca.

Albańczycy zgotowali nam powitanie godne bohaterów zwycięskiej armii.

Niezwykłe przeżycie.

Miejscowość, w której stacjonujemy, wygląda dość ponuro.

Ludzie są zdeorganizowani.

Deszcz pada chybarównie często jak w Kornwalii.

Napiszę porządny list, gdy odzyskam poczucie humoru.

Uważaj na siebie, kochanie.

Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

Ileżto czasu minęło, gdy byliśmy razem w małym domku.

Uściski, Tris

W holu dzwoni telefon.

Diana, która niedawno posprzeczała się ze swoim chłopakiem, biegnie do aparatu.

- Lucy!

- woła zawiedzionym głosem.

- Tristan do ciebie.

Pospiesz się.

Lucy wyskakuje z łóżka.

- Tris?

Tak się cieszę.

- Cześć, Lucy.

- Mówi innym głosem niż zwykle, bardzo zmęczonym, z oddali.

- Nadarzyła się sposobność, żeby zadzwonić, więc zniej skorzystałem.

Mam niewiele czasu.

- Gdzie jesteś, Tris?

Jak się czujesz?

- Dobrze.

Siedzę w land-roverze, w jakiejś zapadłej dziurze.

Tristan mówi beznamiętnym głosem.

Słysząc go, alesercem jest gdzieś indziej.

Lucy nagle uprzytamnia sobie, że chłopak jest w szoku.

Od wyjazdu dzwoni do niej po raz pierwszy.

Nie chciał zabrać ze sobą telefonu komórkowego.

- Co się stało, Tris?

Coś złego?

Jesteś ranny?

Zapada długie milczenie.

348

- Nie jestem ranny, Lu - mówi po chwili.

- Poproś, chciałem usłyszeć twój głos.

Porozmawiaj ze mną chwilę.

Opowiedz mi o swoich zwykłych codziennych zajęciach.

Powiedz, co właśnie robiłaś.

Lucy ma wrażenie, że Tristan płacze.

Zaczyna opowiadać.

Mówi o swoich uczniach, o przygotowaniach przed wyjazdem do Mediolanu.

Opowiada o filmie, który oglądała poprzedniego wieczoru z Dianą, i o lunchu z Anną, który

przebiegł w lodowatej atmosferze.

Gdy Tristan znowu się odzywa, jego głos brzmi normalniej.

- Dzięki, Lu.

Muszę już kończyć.

Bardzo cię kocham.

- Napisz domnie, Tris.

Koniecznien.

Nie jestem dzieckiem, chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

- Postaram się - odpowiada i się rozłącza.

Lucy spogląda przez okno.

Słońce lśni nad dachami domów.

Zanos się na upał.

Co robić w taki dzień?

Wracamy ślami do domu: Kate mieszka w małym domku, pewno leży teraz w jej łóżku albo zajmuje się Marthą i Fredem.

Lucy ogarnia pragnienie, by popędzić na dworzec Paddington i pojechać tam najbliższym pociągiem. Tęskni za Barnabym bardziej, niż przypuszczała.

Trudno pogodzić się tym, że mija upalne lato, a ona siedzi w mieście.

Robi sobie herbatę i wraca do łóżka.

Wciąż brzmi w jej uszach beznamiętny, jednostajny głos Tristana, który przeżył coś tak strasznego, że nawet niemoże o tym mówić.

Znowu wstaje z łóżka, żeby znaleźć telefon komórkowy.

Kładzie się z powrotem i dzwoni do Barnaby'ego.

Słowa wuja działają na nią uspokajająco - zawsze tak było.

- Po prostu bądź do jego dyspozycji, Lucy, zachowując całą pogodę ducha, na jaką cię stać.

Może Tristan nie potrafi jeszcze opowiedzieć ci o tym, czego doświadczył.

Pisz doniego o błahych, przyjemnych sprawach.

Daj mu odczuć, że go rozumiesz.

Ja też do niego napiszę.

Przepraszam cię,

349.

kochanie, ale muszę kończyć - o wpół do dziesiątej mam komunię świętą.
Zadzwoń wieczorem.

Dziesięć dni później Lucy dostaje list.

Kochana Lucy!

Przydzielono mnie do ONZ-owskiego zespołu badającego przestrzeganie praw człowieka.
W tamtą niedzielę, kiedy dzwoniłem, ściągnięto nas do jakiejś wioski.

Jeden z domów był spalony do cna, a w piwnicy znaleźliśmy ciała kobiet i dzieci.

Wszyscy zostali zmasakrowani, zanim spalono ich żywcem.

Widok był straszny, Lucy.

Wyciągnęli w górę ręce, kiedy dopadła ich śmierć.

Młode ciężarne kobiety i dzieci.

W kim może być aż tyle nienawiści?

Co za ludzie kaleczą i zabijają bezbronnych?

Przepraszam, jeśli w tamtą niedzielę cię przestraszyłem.

Przepraszam, jeśli przestraszy cię ten list.

Wiem, że czytasz gazety, poza tym sam mnie prosiłaś, żebym ci opowiedział.

Lucy, to tylko jeden przykład potwornych zbrodni, jakie tu popełniono.

Serbowie prowadzą politykę spalonej ziemi.

Niemal wszystkie tutejsze wioski zniknęły.

Wysiedlono miliony ludzi, którzy stracili wszystko i nie mają dokąd pójść.

Ta straszna zbrodnia, którą odkryliśmy, została popełniona przez Serbów, ale nie mam wątpliwości, że Albańczycy postąpiliby tak samo.

Pewnego dnia uratowaliśmy młodego Serba, nad którym znęcały się albańskie wyrostki.

Chłopiec miał może dwanaście lat.

Tutaj wszyscy palą nienawiścią - nie jest to takie dziwne po tym, co się tu wydarzyło.

Wydaje mi się, że wśród tych ludzi nigdy nie zrodzi się wola współistnienia.

To wszystko ma jakiś plemienny charakter, trudny do pojęcia.

W końcu wrócę i będziemy razem, kochanie.

Śnię o tobie i o robieniu dzieci.

Kocham cię, Tris

350

Lucy czyta ten list dwukrotnie podczas lotu do Mediolanu.

Z lotniska wysłała Tristanowi Zapiski z małej wyspy Billa Brysona i taśmę, na której razem z Dianą opowiadają sobie różne głupstwa.

Spogląda przez okno naznikającą ziemię przypominając sobie własne słowa: "Niezmieniaj się, Tris. Przenigdy".

Tristan już się zmienił.

Uczucie, gdy zbiegał po schodach do piwnicy spalonego domu w obcym kraju, na zawsze pozostanie w jego pamięci.

Rozdział czterdziesty szósty

Tego lata Anna nie może znieść wilgotnego miejskiego powietrza.

Upał wraca każdego dnia, tworząc jakąś nierzeczywistą aurę.

Londyn jest pełen spoconych turystów, którzy wylewają się z autokarów i ciągną nierównym sznurem przez miasto.

Samochody wloką się niemiłosiernie wolno przez zakorkowane ulice, trąbią donośnie.

Nadmiastem wisigęsta mgła spalin.

Anna przywykła do atmosfery, jaka panuje podczas wakacji w Londynie, do korków i tłumu turystów.

Nie może jednak zrozumieć, dlaczego tego lata tak dokuczają jej upały, dlaczego miasto wydaje się takie klaustrofobiczne.

Rudi widzi przyczyny w tym, że nie mieli porządnego urlopu, ale Anna nigdy nie przywiązywała do tego wagi;

tylko od czasu do czasu, gdy może sobie na to pozwolić, bierze kilka dni wolnego.

Rudi podchodzi do sprawy w sposób właściwy Niemcom.

Dla niego urlopie jest luksusem jak dla Anglików, lecz bezwzględną koniecznością, by móc sprawnie funkcjonować.

Rudi przygląda się Annie z rosnącym niepokojem.

Widzi, że żona traci siły i zaczyna chudnąć.

Gdy budzisz się nocy, druga strona łóżka jest częstą pustą.

Wydaje mu się, że patrzy na jakiś egzotyczny kwiat, który powoli więdnie i traci naturalny, zdrowy wygląd.

Anna pracuje z determinacją, całymi dniami, w morderczym tempie.

352

1

Pewnego dnia przegląda spis spraw na wokandzie i słyszy nagle surowy głos woźnego:

- Mam wrażenie, że pani mecenas jest bardzo wyczerpana.

Nie wybiera się pani na urlop?

Gdy woźny idzie po kawę, pomocnik Anny, z którym prowadzi aktualną sprawę, powiada:

- On ma rację.

Po zakończeniu procesu powinnaś trochę odpocząć.

Wróciwszy tego wieczoru do domu, Anna spogląda w lustro.

Nie jest przyzwyczajona do uwagi ze strony obcych ludzi.

Przestała grać w tenisa - odbiło się to na jej wyglądzie, podobnie jak brak apetytu.

Całe dni spędza w budynku sądu; prócz sporadycznych spacerów z Rudim w niedzielne popołudnie, w ogóle nie przebywa na świeżym powietrzu i nie korzysta ze słońca.

Anna wpatruje się w swoje odbicie i myśli z niesmakiem o tym, że jej ciało zacznie się starzeć i wiotczeć.

Zastanawia się, czy po procesie nie wybrać się do ośrodka odnowy biologicznej.

Wchodzi do kuchni, gdzie Rudi przyrządza steki i sałatkę.

Promienny uśmiech, z jakim ją wita, wywołuje w niej poczucie winy.

Większość wieczorów przepracowała ostatnio w swoim pokoju w gmachu sądu albo w domu przy biurku.

Kiedy ostatnio spędziła wieczór w domu i gawędziła z mężem?

Kiedy zapytała, jak minąłmu dzień?

Kiedy myślała o czymś innym niż oprawy?

Prowadziła dwie długie sprawy, jedną po drugiej.

Następna będzie miała, niestety, charakter polityczny.

W opinii sporządzonej na życzenie prokuratury wyraziła wątpliwość, czy uda się postawić przed sądem dawnego nazistę Stefana Taubera: człowiek jest wiekowy i schorowany, minęło dużo czasu, świadkowie są starzy i rozproszyli się po świecie.

- Mam w lodówce butelkę białego wytrawnego wina.
Jest doskonale i już schłodzone- mówi Rudi.
- Rewelacja, jak powiedziałaaby Lucy.
Rudi przeciera i tak już lśniące kieliszki, otwiera butelkę i nalewa wina.
- Widziałyście się ostatnio?
- pyta.
- Dzwoniłam do niej i umówiłyśmy się na szybki lunch przed jej wyjazdem do Mediolanu.
Na twarzy Rudiego maluje się zdziwienie.
- Nie wiedziałem, że już wyjechała.
- Chyba ci wspominałam.
- Nie.
- Unosi kieliszek.
- Twoje zdrowie.
I za zamknięcie sprawy.
- Święte słowa!
Będziesz miał wpaździerniku dużo pracy?
Może byśmy wyjechali na kilka dni?
- Kilka dnito za mało, Anno.
Powinniśmy wyjechać przynajmniej na dwa tygodnie.
- Nie mogę sobie pozwolić na taką długą nieobecność w pracy- odpowiada zaskoczona Anna.
Rudi przestaje mieszać sałatkę i mówi spokojnie:
- Kieruję bankiem, Anno.
Kiedy jestem zmęczony, idziemi kiepsko i cierpią na tym ludzie, z którymi pracuję.
Każdemu należy się odpoczynek, nawet tobie.
- Siada naprzeciwko żony.
- Jeśli musisz tak harować, jak przez całe lato, to zastanów się, czy nie powinnaś podzielić się z kimś obowiązkami.
Jeśli chce się w zadowalający sposób wywiązać z zobowiązań, nie można brać na swe barki zbyt wiele.
- Ależ, Rudi, tak jest przy dużych procesach - odpowiada z irytacją Anna.
- W banku można zlecić komuś część zadań.
Zgadza się, mogę skorzystać z pomocy asystentki, ale nasali sądowej liczy się znajomość rzeczy - zato mi płacą.
To ja ponoszę odpowiedzialność za popełnione błędy.
354
- Przez dwa tygodnie w roku chciałbym widzieć moją żonę poza salą sądową.
Czy mam zbyt wygórowane wymagania?
Rudii Anna patrzy na siebie z przeciwległych końców stołu.
Jeszcze nie zaczęli się sprzeczać, ale ich rozmowa świadczy o różnicy zdań, o przemilczeniu pewnych spraw.
- Mam wrażenie, że od początku lata coś cię gnębi.
Żlesypiasz - mówi Rudi.
- Chodzi o rodziców?
Nigdy o nich nie rozmawiasz.
Zauważyłem, że wróciłaś z Kornwalii poruszona.
Od tego czasu.
zamknęłaś się w sobie.
Chyba o nich nieustannie myślisz.
Anna zrywa się z krzesła.
- A o czym tu mówić?
Oboje są chorzy - każde na swój sposób.

Uważam, że Barnaby nie zapewnia im dostatecznej opieki, a leni nie mogę poradzić, dopóki nie będę stanowiąc konkretnych działań.

Jestem zbyt zapracowana, żeby zmagać się z Barnabym, choć bym tego chciała.

- Dodaje z uśmiechem: - Nic mi nie jest, naprawdę.

To tylko zmęczenie.

Zdążę się wykąpać przed kolacją?

- Oczywiście.

Anna podchodzi do Rudiego i całuje go w policzek.

Rudi przytrzymuje ją przez chwilę.

- Zdobądź się na cierpliwość, kochanie.

Postaram się znaleźć czas, żebyśmy pojechali na wakacje.

Obiecuję- mówi Anna i wychodzi z kuchni.

Rudi dolewa sobie wino.

Żałuje, że Anna nie potrafi wybuchnąć płaczem, zaszlochać.

Oprzeć się o niegopodługim dniu pracy.

Odwrócić się jego stronę, gdy niemoże spać po nocach, i spytać: "Czy mogłabym z tobą porozmawiać?"

". Rudi wie jednak, że Anna nigdy tego nie zrobi.

To do niej niepodobne.

Jej życie ma być uporządkowane i doskonałe, a to rzadko jest możliwe.

Wiele oczekuje od innych i tyle samo od siebie.

355.

Spogląda przez drzwi w stronę pokoju, gdzie na jej mahoniowym biurku stoi - w odpowiednim miejscu - wazon z różami.

Chciałby zanieść jej kieliszek wina, usiąść na brzegu wanny i powiedzieć: "Bardzo cię Kocham, Anno.

Nie zależy mi na ugrzeczonym, kulturalnym małżeństwie.

Wolałbym, żebyś rozmawiała ze mną o tym, co cię spotyka, także o sprawie zleconej przez prokuraturę, nawet jeśli się tym martwisz.

Chcę, żebyśmy gawędzili o znajomych, odpoczywali razem, wyciągnięci na kanapie oglądali jakiś głupawy film.

Ale prowadzimy zbyt aktywne życie.

Braku czasu.

Nigdy nie zachowujesz się niemądrze".

Rudi przypomina sobie pierwsze spotkanie z Anną - wydawała się oszałamiająca, tryskała energią.

Był przekonany, że z tą kobietą chce spędzić resztę życia.

Wciąż tego pragnie; nie się nie zmieniło.

Ale nie może się do niej zbliżyć.

Żyje z nią, kocha ją, jest przekonany, że ona odwzajemnia jego miłość.

Tylko nie może się do niej zbliżyć.

Zdarzały się takie chwile, gdy był blisko niej - tak musiał wydawać.

Ale wkrótce wyrastał między nimi niewidzialny mur, jakby Anna bała się ujawnienia lub okazania słabości, i cofała się.

Rudi wstaje i rozbija tłuczkiem mięso.

Przychodzi mu do głowy myśl, że Anna prawdopodobnie nie umie zaufać drugiemu człowiekowi i otworzyć przed nim serca.

Ale on się nie podda.

Rozdział czterdziesty siódmy

Pewnego wieczoru, podczas spaceru po Regenfs Park widzi idącą z naprzeciwka rodzinę chasydów.

Mają na sobie lisiury i czarne chałaty.

Stanowią niezwykle surrealistyczny widok, zwłaszcza w ten ciepły wieczór.

Ludzie zatrzymują się i patrzą ciekawie.

Po raz pierwszy widzi w Londynie chasydów, więc też odwraca się i bacznie im przygląda.

Brodzaty ojciec ma czarne wysokie buty, czarny chałat, czarny kapelusz, jego syn - zapinane pod kolanami spodnie i mykę.

Córka, może pięcioletnia, w sukience z falbankami, ma ciemne włosy, długie i lśniące.

Pewno są turystami, jakich wielu

w tym mieście.

Odwraca głowę, czując, że robi mu się niedobrze.

Choć park pustoszeje, isłońce chowa się za drzewami, ciężka siada na ławce.

Znowu wraca do ogrodu otaczającego ich dom w Polsce.

Jest letni dzień.

Drobna, śniada dziewczynka w białej sukience stoi na trawniku i patrzy na niego z zaciekawieniem, bez lęku.

Słyszy tylko ciche, nieustające zawodzenie, które wydobywa się z jego wnętrza.

Czuje tylko mrok i smutek.

Grozę wspomnienia.

Gdy przemyka oczy, widzi ten dom pod lasem, może gonił dotknąć, czuje zapach sosnowych igieł, końskiej

skóry, jabłoni obsypanej na wiosnę kwiatami.

Przenikago dreszcz, gdy przypominasz, jak ta dziewczynka przyszła pierwszy raz do ogrodu jego ojca.

i jak przyszła ostatni raz.

Choć po inwazji wojsk niemieckich przestał spotykać się z żydowską dziewczynką, często o niej myślał.

Dzielił ich tylko ogród.

i gęsty żywopłot.

Pewnego dnia widzę jej służącą, która idzie szybkim krokiem mijając otaczający nasz ogród.

Dziewczyna dostrzega mnie i przyspiesza.

Jej strach powoduje, że odzywają się moje najgorsze cechy.

Wołam, żeby się zatrzymała.

- Dokąd idziesz?

Nie może wydać głosu.

Przeżona stoi w miejscu z miną idiotki.

- Chodź tu!

- Macham ręką, pokazując, żeby weszła przez furtkę.

- Zapomniałaś języka w gębie?

- Poszłam do wioski poprosić trochę chleba.

- Dali ci?

- Nie- mówi cicho.

- Wracam do domu.

Widzę, jak odwraca szybko głowę i zerka za siebie na drogę.

Dostrzegam ciemną głowę dziewczyny przemykającej za ogrodzeniem.

- Idź do służby.

Da ci chleb.

No już!

Ruszaj się!

Wystraszona służąca stoi w bezruchu; wie, że zauważyłem jej panienkę.

- Idź - mów cicho- jeśli masz choć trochę rozumu w głowie.

Chcę odnowić znajomość.

Z łękiem mija mnie i biegnie w kierunku domu.

Uśmiecham się.

Cicho gwizdę, tak jak robiłem to dawniej, gdy czekałem wczesnym rankiem pod jej oknem.

Dziewczyna nieruchomieje, odwraca się wolno w moją stronę, dostrzegam mój mundur, patrzy, jak do niej podchodzę.

Piękną całość

południe i czuję, że zbiera mi się namdłoci.

Staję przy bramie i spoglądam na jej liche odzienie, na opaskę na ramieniu.

- Dokąd idziesz?

- Szukam Hanny - odpowiada ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Ta krucha, piękna dziewczyna coś we mnie porusza, wprawia mnie w złość.

- Wejź.

- Otwieram bramę i idę z ręką.

Stoi nieruchomo.

- Wejź.

Wysłałem Hannę do domu, żeby wzięła dla was chleb.

No chodź.

Mamy taki piękny dzień.

Wciąż stoi nieruchomo.

Jej upór zawsze mnie irytował.

Jest bardzo blada, usta mają siny odcień.

- Czekam - mówię cicho.

Moja mała Żydóweczka otrząsa się, jakby z wysiłkiem przywołuje uśmiech, dodając sobie odwagi.

Spoglądam nerwowo na mój mundur.

Pomyśleć, że tadziewczyna wymykała się z domu o świcie, żebyśmy pojeździli konno, zanim wzejdzie słońce.

Pomyśleć, że przechodził ją dreszcz, gdy przypadkiem otarliśmy się o siebie w blasku wstającego dnia.

Przypominam sobie, jak po raz pierwszy zauważyłem, że zmienia się jej ciało, że przestała być dzieckiem i przemieniła się w piękną kobietę.

Nie odrywam od niej wzroku.

Jeszcze niewie, co się stanie z nią i jej rodziną.

Przeszywa mnie nagły, ostry ból.

Jak ona śmieszcować swoje sztuczki i wzbudzać we mnie takie uczucia?

- Chodź - mówię.

- Zobaczysz ogród i przepiękną jabłoń.

Wciągamy ją na trawnik i wpychamy pod rozłożyste gałęzie obsypane kwiatami.

Chcę ją mieć.

Chcą ją mieć, zanim będzie za późno.

Muszę ją mieć.

Mam do tego prawo.

Jest moją małą Żydóweczką.

To, czego nie chce mi dać, biorę sam.

Potem trzeźwieję raptownie.

Opuszczam wzrok i patrzę na nią, na ciemne włosy rozsypane na ziemi i upstrzone maleńkimi płatkami.

Co ja zrobiłem?

Co ja takiego zrobiłem?

Pochyliam się próbując

359.

obciągnąć jej ubranie.

Przewraca się na bok, tyłem do mnie, i podciąga kolana.

Jest jeszcze dzieckiem.

Chcę cofnąć czas.

Chcę wymazać to, co się stało.

Ten widok prześladuje mnie do dziś.

Nieznaczny ruch, gdy odwracała się odemnie jak zranione zwierzę.

Ten obraz wyłania się z obezwładniającej ciemności moich snów i nie pozwalami zasnąć.

Dlatego we wspomnieniach nie wymieniam imion.

Ten, kto je mięso, nie wymienia nazwyspożywanego zwierzęcia.

A co z pamięcią?

Na ile można na niej polegać?

Gdy człowiek powtarza sobie wielokrotnie tę samą historię, w końcu w nią uwierzy.

Musi uwierzyć.

Tylko trochę przekreśli fakty i wypaczyje, żeby mógł z tym żyć.

Następnego dnia odeszła rodzina z sąsiedztwa.

Mieliparę godzin, by załadować dobytek na wóz.

Potem zapędzono ich do getta.

Czy tej dziewczynie śniło się czasem, że galopuje pod niskimi, mokrymi gałęziami, a na jej ciemne włosy spadają krople deszczu?

Mutti, która tego ranka wróciła z Niemiec, poszła z dwiema służącymi do ich domu i zapakowała do ogromnych koszy całą porcelanę, wzięła wszystko, co miało dla niej jakąś wartość.

Zawsze podziwiała tę porcelanę.

Później, tego samego dnia, poszedł do opuszczonego domu.

W pokoju na dole walały się prywatne papiery, fotografie, pamiętniki dziewczyny, zapiski lekarskie. Znalazł pudełko, do którego to wszystko wcześniej zapakowano.

Na wierzchu pudełka widniało nazwisko ich najbliższego polskiego sąsiada.

Zapakował z powrotem ich rzeczy i zdeponował w swoim niemieckim banku.

Pod koniec wojny wysłał pudełko do Czerwonego Krzyża, na wypadek gdyby ktoś z rodziny przeżył.

360

Tego dnia po raz pierwszy ogarnęły go wątpliwości, zachwiał się swoich przekonaniach.

Może jednak miał w sobie coś z ojca.

Myśl, że matka okradła sąsiadów, przyprawiała go omdłości.

Musiał zapomnieć o ciężkim losie rodziny z sąsiedztwa.

Musiał zatrzęsnąć drzwiami, udając, że w ogóle nie istnieli.

A teraz chce wrócić do miejsca, gdzie przeżył dzieciństwo, do domu w Polsce, chce znowu być chłopcem, chcąc zacząć od początku.

Rozdział czterdziesty ósmy

Nie ma końca tej nocy.

Ból wzmaga się, narasta, chwyta go z coraz większą siłą.

Fred wyznacza sobie czas.

Odczekagodzinę, jeszcze jedną, jeszcze jedną, zanim kogoś zawoła.

Wolałby nie budzić Marthy ani nie niepokoić Barnaby'ego, ale dobrze wie, że nie zdoła wstać z łóżka i pójść do gabinetu po morfinę.

Gdy nastaje świt, odczuwa ulgę.

Naczoło występujemu zimny pot.

Wkrótce przyjdzie Barnaby.

Fred nie może opanować drżenia ciała.

Jestu kresu wytrzymałości.

Na dworze zalega zupełna cisza.

Drzewa i krzewy, sięgające gałęziami dużego, nisko osadzonego okna, stoją nieruchomo, jakby czekały nacoś z zapartym tchem - namoją śmierć, myśli Fred z półśmiechem.

Jaśniejące niebo pokrywa się sinoróżowym blaskiem.

Mimo bólu Fred dostrzegająkno poranka, ma wrażenie, że razem z nim budzi się nowy dzień.

Tużobok słyszycichy oddech Marthy.

Z ogrodu dobiega gardłowy śpiewptaka ukrytego wśród zastygłych wbezruchu liści.

Nicwięcej już doniego niedociera.

Niebo staje się coraz bardziej wyraziste, zaczyna wypełniać okno i nabierać czerwonej barwy.

Fredodzyskuje spokój, jakby pokrzepiony wiarą, że wschodząsłońce, które wkrótce spłynie do pokoju i ogrzeje go ciepłymi promieniami, złagodzi jego ból.

Ma nieodparte wrażenie,

362

że mógłby ulecieć w powietrze, opuścić obolałe ciało - tamyś przynosi mu ulgę.

Ale najpierw musi coś zrobić, przypomnieć sobie, co takiego ma do załatwienia.

Barnaby budzi się ze snu i od razu przytomnieje.

Niesłyszany, by ktoś chodził po domu, więc leży dalej w łóżku, obserwując błękitne niebo, pokryte smugami różowych chmur.

Czuje jednak, że coś go niepokoi.

Wstaje, wkłada szlafrok i zagląda do sypialni rodziców.

Martha jeszcze śpi, leży na plecach z lekko rozchylonymi ustami i cicho pochrapuje.

Fred leży na boku, zwrócony w stronę drzwi.

Ma szarą, spiętą twarz.

W jego oczach, na widok syna, pojawia się cień ulgi.

Barnaby uprzytamnia sobie z przerażeniem, że ojciec czekał na niego, udręczony bólem.

- Dlaczego mnie nie zawołałeś?

Jak długo tak leżysz?

- Górna szuflada biurka.

szybko- szepcze Fred.

Barnaby biegnie do gabinetu, wyciąga z szuflady walizeczkę lekarską, wraca do sypialni i drżącymi rękami wyjmuję strzykawkę i igłę.

Fred mówi mu, co ma zrobić, omdlewającym z bólu głosem.

Zastrzyk działa niemal natychmiast.

Fred oddycha z ulgą, opada na poduszki i przymyka oczy.

Barnaby widzi, jak napięcie powoli znikają z twarzy Freda, dostrzega również to, czego nie chciał dostrzec wcześniej:

woskową, żółtawą skórę.

Kadzie dłoń na rękę ojca i czuje, jak zaciskają się długie, starcze palce.

Żal zwiera mu gardło.

- Tato, nigdy więcej tego nie rób.

Nie czekaj, tylko mów- mówi z wysiłkiem.

- Nie przejmuj się tym, że obudzisz Marthę - po chwili znowu zaśnie.

Obiecuj, że mnie zawołasz, bo w przeciwnym razie będę spał z wami.

- Boże broń - mamrocz cicho Fred, otwierając oko.

- Wystarczy, że muszę znosić chrapanie Marthy.

Następnym razem zawołam, obiecuję.

- Napijesz się herbaty?

363.

- Z ochotą.

Fred zapada w ciężki, narkotyczny sen.

Unosi się w powietrze i frunie.

lekki jak piórko.

nieczuje swego ciała.

ani bólu.

Dziwne myśli.

Matka z długimi, rozpuszczonymi włosami, które czesze pokojówka.

Włosy elektryzują się, poruszają jak żywe, tańczą i migoczą kasztanowym blaskiem.

Mały chłopiec, Fred, stoi niezauważony przez nikogo w drzwiach, patrzy zafascynowany na matkę, chciałby dotknąć jej włosów, ale nie śmie przekroczyć progu bez pozwolenia niani.

Matka odwraca się, pochyla i wyciąga doniegoręce.

Jej twarz promienieje radością, gdy chłopiec biegnie i obejmuje ją za szyję, chłonąc jej cudowne zapachy.

Matka wiruje z przytulonym do piersi chłopcem, a jej włosy opadają i przykrywają go grubą zasłoną.

Chciałby tak pozostać na zawsze, schowany pod jej włosami.

Ale jest tu niania, po chwili zjawia się też ojciec - obojętną wdrzwiach.

Niania zabierze goz pokoju, a Ojciec, jak zwykle, zabierze mamę.

- Spóźnimy się, Margaret.

Zaczynaj się ubierać.

- Ojciec spogląda z rozbawieniem na jego matkę.

- Idziemy, Frederick - mówi spokojnie niania.

- Pocałuj mamusię nadobranoc.

Chłopiec odchyła się i spogląda matce w twarz.

Masmutną minę.

- Kocham cię - szepcze uniesieniem matka.

- Kocham cię ponad wszystko.

Wkrótce będę miała dla ciebie czas, obiecuję.

Nie płacz, kochanie.

Ojciec nie powinien tego widzieć.

Stawia go na ziemi i rękawem ociera mu szybko oczy, potem odprowadza go do drzwi.

Ojciec pochyla się i ściska mu dłoń.

364

- Dobranoc, kolego.

- Spoglądaj góry na Fredericka i dodaje cicho: - Duzi chłopcy nie płaczą.

Duzi chłopcy nie płaczą.

Fred nie płakał, gdy rok czy dwa lata później wysłano go do prywatnej szkoły podstawowej.

Nie płakał, gdy najbliższy przyjaciel zmarł w jego ramionach na boisku do rugby w Eton.

Nie płakał, gdy traktor przejechał jego bullteriera na terenie posiadłości.

Zapłakał dopiero na widok zagłodzonych, skostniałych z zimna, wycieńczonych ludzi, których wyprowadzono z Oświęcimia.

Stojąc ze łzami w oczach, jak skamieniały, pojął, że wiele wartości, które wpajał mu ojciec, było wyrazem bigoterii i uprzedzeń klasowych.

Po powrocie z Europy pojechał prosto do Yorkshire, by powiedzieć rodzicom, że zamierza sprowadzić Marthę do Anglii.

Był przekonany, że rodzice, jak on wstrząśnięci i oburzeni potwornościami, których dopuszczano się hitlerowskich obozów koncentracyjnych, będą solidaryzować się z rzeszą uchodźców, pozbawionych domu, rodziny, wszystkiego, co posiadali.

Okazało się, że przejmują się tylko wtedy, gdy siedzą w domku na kanapie, gdy to nie dotyczy ich - ani jego - osobiście.

Z pozoru nie mieli nic przeciwko Marcie, ale byli niezadowoleni, że związał się z "jakąś uciekinierką z Polski".

Fred był pewien, że zdoła przekonać przynajmniej matkę, ale odgrodziła się od niego murem nie do przebycia.

- Jesteś naszym pierwotnym synem, naszym dziedzicem.

Też będziesz miał syna, który odziedziczy po tobie wszystko.

Matka pocałowała go w czubek głowy.

- Rozumiem, że musiałeś nieść tym ludziom pomoc, kochanie.

Jesteśmy dumni, że spełniłeś swój obowiązek.

365.

Ale gdy sprowadzisz ją do Anglii, biedaczce nic już niebędzie grozić.
Będziemusiała ułożyć sobie życie.

Ludzie jejpomogą.

Smutnasprawa, lecz wiadomo, że takich wysiedleńców są tysiące.

Wszystkimi chcesz się zaopiekować?

- Oczywiście, że nie.

Martha nie jest dla mnie jedną z osób wysiedlonych.

Ma dwadzieścia lat, straciła całą rodzinę.

Czy potrafisz sobie wyobrazić, co ona czuje?

Niesprowadzałbym jej do Anglii, gdybym nie zamierzał wziąć za nią odpowiedzialności.

Chcę opiekować się Martha do końca jej życia.

- Niemusisz się z nią żenić, Freddie.

Nie utożsamiaj litości z miłością.

Razem z ojcem postaram się pomóc

- przecież można sporządzić jakąś klauzulę.

- Nie chodzi o pieniądze - odparł zaskoczony Fred.

- Rozmawiamy o kobiecie, którą pokochałem.

- Daj spokój, Freddie, jesteś młody i impulsywny

- rzekł pogodnym tonem ojciec, wchodząc do salonu.

- Całkiem zrozumiałe, w tych okolicznościach.

W twoim wieku głęboko przeżywa się takie okropności.

Posłuchaj, kolego, odczekaj pół roku.

Załatw sprawy w pułku, a potem wracaj do domu.

Nadszedł czas, żebyś przejął zarządzanie posiadłością.

W przyszłym roku Charles wyjeżdża na studia do Oksfordu, więc przydasz mi się w domu.

Fred patrzył na rodziców tak, jakby widział ich po raz pierwszy w życiu - co w pewnym sensie było prawdą.

Dom, internat, wojsko.

Do tego ograniczały się jego doświadczenia.

Gdy wreszcie przejrzał na oczy, stwierdził, że nie jest takim samym człowiekiem, jakim był przed wojną.

Tamten przestał istnieć.

Wrócił do Polski, do jednostki wywiadowczej, do której pierwotnie go przydzielono.

Marthę przeniesiono do innego szpitala.

Dzięki własnym staraniom i pomocy Czerwonego Krzyża zdołała skontaktować się z różnymi organizacjami

podziemnymi i grupami ruchu oporu w Polsce.

Fred wykorzystał swoje kontakty.

I tak rozpoczęły się poszukiwania.

Martha pamiętała dane z dokumentów dziecka: datę urodzenia, imię i nazwisko.

W powojennej Warszawie, zalanej falą uchodźców, panował taki chaos, że trudno było się dowiedzieć, czy dziecko przeżyło.

Martha dochodziła do zdrowia; opuściła szpital, ale nie chciała wyjechać z Polski, dopóki nie zakończy poszukiwań - Fred nawet nie starał się jej przekonać.

Zanim został oddelegowany z powrotem do Anglii, załatwił Marcie mieszkanie dla zaprzyjaźnionych Polaków.

Postanowił jeszcze raz porozmawiać z rodzicami.

Zależało mu na dobrych stosunkach z nimi, kochał rodzinę, całym sercem troszczył się o posiadłość - więc podjął ostatnią próbę, żeby ich przekonać.

- Proszę, wysłuchajcie mnie.

Zamierzam ożenić się z Martha.

Nie powoduje mnałitość ani poczucie odpowiedzialności.

Kocham Marthę.

Gdybyście tylko zechcieli sięz nią spotkać, jestem przekonany, że obdarzylibyście jąuczuciem, dostrzegli jej niezwykłość, siłę i ciepło.

To wykształcona, mądra dziewczyna.

Rozumiem, że jest wamciężko, nie tego oczekiwaliście, ale wojna zmieniła mojenastawienie do świata - na lepsze, jak sądzę.

Rodzice przyglądali mu się w milczeniu.

Matka chwyciła sięz głowę i bez zastanowienia wypowiedziała słowa, które przypieczętowały jej losi zadecydowały o przyszłościich wszystkich.

- Ależona jest Żydówką - wyszeptwała ze zgrozą.

Fred nie potrafił tegozapomnieć.

Miłość do matki umarła w nim na zawsze.

Gdy odwrócił siębez słowai poszedł do drzwi, ojciec powiedział cicho:

367.

- Nie chcę wydziedziczyć cię na korzyść Charlesa.

Jesteś moim pierwotnym synem.

Jeśli zwiążesz się z tą Żydówką, będę zmuszony tak postąpić.

- Mam jeszcze jedną prośbę - odparł Fred, odwracając się do rodziców.

- Gdy Charles odziedziczy posiadłość będzie nią zarządzał, czy zgodzicie się, żebym was odwiedzał, przyjeżdżał do domu z moją żoną?

Matce drżały usta, ale aniona, ani ojciec nie mogli zdobyć się na odpowiedź.

Zapadła głucha nieznośna cisza.

Otrzymałszy odpowiedź, Fred wyszedł z pokoju.

Gdy przechodził korytarzem koło wielkiego lustraw złożonych ramach, usłyszał krzyk matki.

Lustro odbiło jego ostatnie kroki w tym wielkim domu, gdy przytłoczony jej głosem i własnym bólem opuszczał ukochaną rodzinną posiadłość.

- Jeśli się z nią ożenisz, przestaniesz być naszym synem.

Będziesz dla nas martwy na zawsze.

Szedł po kamiennej posadzce, a echo jego kroków odbijało się w zbolałym sercu.

Niech tak będzie.

W tym czasie był już studentem akademii medycznej.

Choć nigdy nie opuścił go smutek i uczucie bezsensownej straty, nie wierzył, że rodzice pozostaną nieprzejednani do końca swoich dni.

Pojechał do Kornwalii, żeby obejrzeć niewielki majątek, który zapisał mu dziadek.

Sprzedał dworek i zbudował dom zwrócony w stronę morza, własne miejsce na ziemi.

Także z powodu Anny nigdy nie próbował naprawić stosunków z rodziną.

Nawet gdyby rodzice zaakceptowali w końcu Marthę, nie potrafili im wyjaśnić obecności tego zamkniętego w sobie, wystraszonego i niedożywnego dziecka, które razem z Marthą przyjechało do Anglii dzięki pomocy Czerwonego Krzyża.

368

Pierwsze lata spędzili w Londynie.

W wielkim mieście mogli się ukryć i zachować anonimowość.

Powoli dochodzili do siebie po przeżyciach wojennych.

Nie rozstawiali się z Anną, sami udzielali jej lekcji w domu.

Jeździli do Kornwalii na wakacje i długie weekendy; mieszkali w małym domku,

aż dokończyli budowę dużego domu, aż

Anna znowu zaczęła mówić.

Fred zastanawiał się czasem, co by było, gdyby został w Yorkshire i zamieszkał niedaleko posiadłości rodziców.

Gdyby co jakiś czas słyszał o nim albo widywali go z żoną i dziećmi, może przestaliby trwać w nieprzejednanym,

bezlitosnym uporze.

Ciągle łudził się nadzieją, że z wiekiem zmienią swe

nastawienie - nie dlatego, by mieli cokolwiek zyskać z jego żoną i dziećmi - rozumieją, że ich własny syn i jego towarzysze bronili walcząc przeciwko nicości, której przejawem była ich ówczesna postawa.

Skoro nie potrafili pojąć, dlaczego tak wielu oddało życie, nie

żałował, że odebrał im tożsamość z tym, co rodzice sobą reprezentowali.

Odczuwał i wstyd, że ich człowieczeństwo nie wytrzymało próby.

Z dołębny smutkiem wracał pamięcią do czasów dzieciństwa, z bólem wspominał relacje z matką i posiadłość,

która była jego domem.

A mimo to niczego nie zmieniłby w swoim życiu.

Jako

zarządca majątku nie osiągnąłby takiej satysfakcji i zadowolenia, jakie dała mu
pracowiejskiego lekarza.

Życie bez Marthy byłoby tylko jego namiastką, czymś nie dopomyślenia.

Wnosiła ze sobą smutek, a i także wielką radość.

Codziennie doświadczał szczęścia.

Martha potrafiła nadać zwyczajności magiczny urok.

Dla niej liczył się
każdy dzień.

Był darem.

Jakież niezwykle szczęście go spotkało.

369.

Anna.

O tym musi powiedzieć Barnaby'emu.

Bardzo ważne, Anna.

Gdzieś w oddali gruchają i Fred zasypia.

Barnaby wypuszcza do ogrodu Homera i nastawia wodę.

Przygotowuje dla Marthy cienkie kromki chleba z masłem.

Gdy ponownie wchodzi do sypialni, Martha już nie śpi i spogląda w niebo.

- Jak to wspaniale, kochanie - powiada, biorąc od niego tacę ze śniadaniem.

Fred śpi, więc Barnaby stawia kubek z herbatą przy łóżku.

- Mamy przepiękny dzień - mówi do Marthy.

Martha patrzy przez okno.

- Dzisiaj zabiorę się za ogród.

- Dobry pomysł.

- Barnaby całują ją w policzki.

- Idę się ubrać.

Do zobaczenia za chwilę.

Bierze słuchawkę i dzwoni do Briana, ich lekarza rodzinnego, który obiecuje:

- Przyjdę do was przed otwarciem gabinetu.

Zdajesz sobie sprawę, Barnaby, że mogę mu podać jedynie środki przeciwbólowe?

- Tak, wiem - odpowiada Barnaby i zaraz dzwoni do swojego wikarego z prośbą, żeby podał parafianom komunię świętą.

Bierze szybko prysznic, potem wypowiada słowoporannej modlitwy, której wcześniej nie zdążył odmówić, i zagląda do ojca.

Martha drzemie, oparta o poduszki, ztwarzając słońcu.

Fred już się obudził i próbuje się uśmiechnąć.

- Wydaje mi się, drogi chłopcze, że jeszcze chwilę poleżę w łóżku.

Barnaby jest wstrząśnięty, widząc, że Fred umiera, że poddaje się w nierównej walce.

Herbata wystygła, na wierzchu zebrała się cienka warstwa mleka.

370

- Dobry pomysł, tato.

Przyniosę ci gazetę.

Martha wstaje z łóżka.

- Co się dzieje?

- pyta zalekniona.

Fred unosi powieki.

- Nic szczególnego, kochanie.

Jestem trochę przeziębiony.

położę jeszcze godzinę.

- Zimno ci?

- Martha spogląda na niego z niepokojem.

- Przynieść ci dodatkowy koc?

Barnaby podaje jej szlafrok.

- Dajmy tacie pospać.

Chodź, nakarmimy ptaki.

Zamyka drzwi sypialni i przynosi bochenek czerstwego chleba.

Gdy Martha stoi w przeszklonych drzwiach i sypie takom okruszki, Barnaby wyjmuje czyste ubranie z szafki.

Oddycha z ulgą, słysząc, jak do domu wchodzi Kate.

Martha jest wciąż na dworze, więc Barnaby szybko przedstawia dziewczynie sytuację.

Kate jest przygnębiona.

- Wykapię Marthę, a potem postaram się zatrzymać jajak najdłużej poza domem.

Będziesz mógł zająć się ojcem.

Tak mi przykro, Barnaby.

Bierze od niego ubranie Marthy.

Martha wychodzi na korytarz i słysząc, że Kate napuszcza wody do wanny, mówi donośnym głosem:

- Nie muszę się kąpać.

- Musisz - rzucagniewnie Barnaby, zamyka drzwi łazienki i opiera się o nie plecami.

W głowie krąży mu paniczna myśl: Nie opuszczaj mnie, tato.

Nie zostawiaj mnie samego z tym wszystkim.

Fred jest przytomny.

Wie, że Barnaby jest w pokoju i siedzi na małym krzeselku Marthy.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Jest zmęczony, dziwnie się czuje.

Słyszy łagodny głos Barnaby'ego.

371.

- Nigdzie się nie wybieram, tato.

Biedna Anna.

- myśli Fred.

-Biednedziecko.

powiniennem być jej powiedzieć.

Martha zawsze miała z nią krzyżpański.

Nigdy nie mogły się porozumieć.

szkoda.

- Barnaby?

-Jestem przy tobie.

- Postępowałem niewłaściwie, Barnaby.

Źle osądzałem niektóre rzeczy.

- Nie przypominam sobie, tato.

-Zawsze byłeś miłym kolegą - mówi z uśmiechem Fred i zasypia.

Zjawia się Brian i idzie prosto do sypialni.

Patrzy na Freda i wzdycha głęboko.

- Teraznie odczuwa bólu.

Za godzinę może dostać następny zastrzyk.

Przyjdę w porze lunchu.

To był od przewidzenia, Barnaby.

Nie przypuszczałem, że będzie się tak długo trzymał bez leczenia.

- Tak, wiem - mówi Barnaby.

Po wyjściu lekarza Barnaby chodzi po domu jak otępiały.

Świadomość, że zbliża się śmierć, nie ułatwia jej akceptacji, gdy już nadejdzie.

W końcu Barnaby wchodzi do sypialni i siada na małym krzeselku, które zajmował Fred, ilekroć czytał Marcie książki.

Wciszy powraca jak echo głos ojca recytującego wiersze Edwarda Thomasa, zapach fajkowego dymu, którym przesiąkła jego marynarka i lekka woń whisky na ustach.

Zapodziałem gdzieś klucz.

Gałazkę wacham Bezmyśli w głowie; nie widzę nic ani nie słyszę;

Lecz jednak jakbym nasłuchiwał, czatując Nato, co w pamięci winno, lecz nie może się obudzić:

Żaden nie pojawia się ogród, żadna ścieżka czy

siwozielony krzak³⁷²

Piołunu sędziwego, a przy nim żadne dziecko, Ani rodzice czy współtowarzysze zabaw;

Tylko aleja - ciemna, bezimienna, bez końca¹.

Podnosi wzroki napotyka spojrzenie ojca.

- Powiniennem być spalić albo powiedzieć, a nie milczeć przez tyle lat.

-Nie przejmuj się, tato.

Jesteś bardzo rozpalony.

Przyniosę zimny okład.

Zaraz wracam.

Fred bredzi w gorączce.

Barnaby ociera Fredowi czołoi rękę.

Potem dzwoni do Briana.

- Daj mu zastrzyk.

Będę cię, gdy tylko skończę przyjmować porannych pacjentów - mówi lekarz.

Sypialnia jest zalana słońcem.

Fred jest sam.

Za drzwiami, gdzieś w korytarzu, słyszy tupot małego

Barnaby'ego, który biega tam i z powrotem, oraz śmiech

Marthy.

- Chodź!

- woła Martha dodziecka.

-Posadzimy róże,kapryfolium i wysokie, okrągłe słoneczniki w ogrodzieBarnaby'ego.

Gdy budzi się czasem w nocy,widzi, że Martha leżyobok niegoi przy świetle latarki czyta książki ogrodnicze.

- Jesteś szczęśliwa?

- szepcze.

-Jesteś szczęśliwa, żyjąc z biednym lekarzem w Kornwalii?

Martha odrywa się odksiążki i spogląda na niegoi wielkimi ciemnymi oczami, zaznaczając palcem miejsce.

- Maki.

- mruczy.

-...

Chyba duże, czerwone maki.

Szczęśliwa?

- Patrzy mu w oczy ze zdumieniem.

-Czymusisz pytać?

Mam ciebie, mam wszystko, absolutnie

Edward Thomas, Old Mań (Staruszek Piołun).

Przekład Jacka Majewskiego(przyp.

tłum.

).

373.

wszystko, co chcę.

- Zwija sięw kłębek i przytula do niego.

-Mam szczęśliwe życie, Fred.

To mi wystarcza.

Ażnadto.

Mam nie tylko życie, mam szczęśliwe życie.

Odczuwa ogromne zadowolenie.

Tak chciał żyć.

Czuśłońce, które pada na łóżko, najego ręce i twarz.

W domu,zaprojektowanymrazem z Marthą tak, żebymogli cieszyć się każdym ciepłym promieniem.

Wdomu, gdzie spędzili całe życie.

Ma cudowne uczucie, że może wzlecieć w powietrzu i opuścić obolałe stareciało.

Znajduje w tym ukojenie i spokój: możesz odprężyć i płynąć na cudownej, łagodnej fali.

Lęk, że zostawia Marthę,znika.

Musi sam umrzeć, tak jak nikt nie może umrzeć za Marthę.

Rozpoczęłażycie bez niego.

Miała je, nim się spotkali.

Gdy on odejdzie, będzie miała swoją śmierć.

Tak już jest.

Razem szli przez życie, ale muszą odejść osobno.

To jasne i oczywiste.

Dalsze czekanie nie ma sensu.

- Już podaję ci morfinę, tato - słyszy zaniepokojony, łagodny głos Barnaby'ego.

Rozkoszuje się wspaniałym, bezbolesnym kołysaniem fal.

Gdzieś w oddali słyszy dzwonek telefonu.

Dziwny dźwięk w tej oszłamiającej błogości i ciszy morza.

Usiłuje wydobyć z pamięci obraz młodej Marthy.

Jej przejętą twarz, gdy patrzy na toczące się masy opalizującej wody, poprzecinanej smugami piany, i wzburzone ujście rzeki podczas przyływu.

Odwraca się ku niemu i po raz pierwszy się śmieje.

Jest równieżaskoczona jak on- zapomniała, że może się śmiać.

Śmiech na przemian cichnie i narasta, a potem ją porywa, gdy pochylona obejmując ramionami wielką, półokrągłą grzywę, którą ciepłe, niebieskie morze rzuciło na biały piasek.

- Tu?

- woła.

-Będziemy tu mieszkać?

Och, Fred, Fred.

374

Jej śmiech, dźwięczny i perlisty, zaraźliwy chichot dziecka, obdarzony własnym życiem, płynie coraz szybciej, jak powracająca fala.

Jedyny w swoim rodzaju, jej własny, zdumiewający i cudowny.

Stoi nad brzegiem z rozpostartymi ramionami, jakby chciała przyjąć nagłą i zapomnianą radość, powitać przyszłość, której nigdy się nie spodziewała.

Fred wyciąga rękę, chcąc ją przytrzymać pod naporem potężnej fali.

Gdy Barnaby wchodzi do sypialni, Fred zaczyna rządzić w agonii.

Dzięki Bogu, że nikogo tu nie ma.

Może trzymać w objęciach wątłego, dzielnego starca, gdy schodzi z tego świata.

Może wyczuć z bólu w pustym domu.

Może dziękować zaprawdę, łaskawą śmierć.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Martha spogląda badawczo na Freda.

Stoi nieruchomo, z niewzruszonym wyrazem twarzy, jak skamieniała.

Barnaby dostrzegaj jednak gasnące światelko w jej oczach.

Martha patrzy na Freda, po chwili powoli wyciąga palec i dotyka jego twarzy.

Dopiero wtedy, czując chłód skóry, wydaje krzyk.

Dźwięk jest gardłowy, tak dziwny i obcy, że Barnaby i stojący w drzwiach Brian wzdrygają się zaskoczeni.

Martha unosi do góry ręce, zaczyna zawodzić.

Jej głos przybiera na sile i wypełnia cichy pokój własnym bytem.

Barnaby nigdy nie słyszał równie przerażającego dźwięku.

Nagle widzi przed sobą niewłasną matkę, lecz jakąś nieznaną Polkę w podeszłym wieku, która zawodzi żałośnie w niezrozumiałym dla niego języku, wydaje przeciągłe wycie, od których włosy stają na głowie.

- Aaa!

Uuu.

mmm.

naa.

aaa.

- lamentuje Martha, kołysząc się na piętach.

Niczym w rytualnym tańcu, pochyla się raz za razem.

Wielokrotnie dotyka ustami czoła Freda.

Jęcząc, przywiera do niego wargami, jakby chciał przywrócić go do życia.

- Moja miłość.

- szepcze - .

moje życie.

ooo.

Kłękając przy łóżku i wypowiada słowa tak cicho, że Barnaby musi się pochylić, by je usłyszeć.

376

- Tylko ty.

Nigdy nie było nikogo innego.

Teraz znajdziesz się na stosie zmarłych.

Nagle milknie, zamiera, nieruchomo jak Fred.

Drobnadłoń leży na spłowiej piźamie, na sercu, które przestało bić.

Barnaby podchodzi i lekko jej dotyka.

- Mamusiu, czas iść.

Martha wpatrujesię w Barnaby'ego.

Ma zaskakująco przytomne spojrzenie, gdy mówi:

- On przyszedł, rozumiesz.

Przyszedł.

Twój ojciec tchnął we mnie życie.

Ciepłe życie.

Sprowadził tu mnie imo jedziecko.

Zrezygnował ze swojego życia, żebyśmy mogła mieć własne.

Taki był twój ojciec.

Nikt nie pozostał, tylko ten Anglik.

A teraz opuścił mnie.

Opuścił mnie, Barnaby.

Wyciąga ręce do syna, pogrążona w bezbrzeżnym smutku.

Barnaby wstrząsa dreszczem, gdy ujmując ją za ręce.

Nagle zaczyna rozumieć to potworne echo, które niesło się korytarzami w czasach jego dzieciństwa.

Powraca wspomnieniami do innego świata, gdzie rozpaczliwy płacz tak bardzo niepasował do ich szczęśliwego domu.

Niewypowiedziana tragedia krążyła po tym domostwie jak rozedrgany cień.

Matka ciągle coś składała i wygładzała, bez końca robiła porządki, ustawiała rzeczy nawłaściwym miejscu.

Fred podchodził do niej i delikatnie przerywał te obsesyjne czynności.

Wyjmował z ręki stare ubranie, o które dbała jako nowy cenny nabytek.

Brał jej drobne, zdeformowane dłonie i unosił do ust, chcąc ją rozweselić, odwrócić jej uwagę.

Nagle wszystko staje się zrozumiałe.

Gniew Marthy, gdy on czy Anna zostawiali jedzenie na talerzu.

Okruszy chleba, z niezrozumiałego powodu ukryte w kieszonkach jej ubrania.

Barnaby drży na całym ciele, gdy tak stoi w dusznym pokoju i kołysze w objęciach Marthę.

377.

Nigdy nie wątpił, że opowiedziana mu historia jej życia jest prawdziwa.

Jeśli czasem nasuwały mu się jakieś wątpliwości, szybko je tłumił.

Dlaczego rodzice mieliby kłamać?

- zadawał sobie wówczas pytanie.

Ileż to razy wyobrażał sobie londyńskie życie Marthy w oczekiwaniu na spotkanie z Fredem. Tę opowieść, z wszelkimi upiększeniami, słyszał w dzieciństwie tak często, że nigdy nie podawał jej w wątpliwość.

Przyjmował ją za pewnik, bezsprzeczną prawdę, jakdziecko przyjmuje bajkę.

Brian wyprowadza ich z sypialni i zamyka drzwi.

W korytarzu stoi Kate, blada jak kreda.

Czeka na Marthę.

Obejmując ramieniem szybko prowadzi do kuchni, gdyż do drzwi wejściowych puka przedsiębiorca pogrzebowy.

Barnaby idzie z nim do sypialni.

Postanowił, że ze względu na Marthę nie zostawi Freda w domu.

Po powrocie Brian podaje mu drinka.

Obaj stoją szklaneczkami w korytarzu i w milczeniu przysłuchują się, jak Kate opowiada coś Marcie.

Mówi długo, spokojnym, cichym głosem, próbując skierować jej myśli na inne tory.

Barnaby nie może wydobyć słowa ani spojrzeć Brianowi w oczy.

Jest przerażony siłą swych doznań.

Chce wyjść z domu, pobiec naplazę albo do kościoła, gdziekolwiek.

Oddycha głęboko, żeby się uspokoić.

Brian kładzie rękę na ramieniu.

Po raz pierwszy widzi Barnaby'ego w takim stanie.

Zawsze się bał, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

- Oświęcim?

- Barnaby zadaje retoryczne pytanie.

- Wiedziałeś o tym?

- Tak.

Wiedziałem.

Jestem jej lekarzem.

Ale nigdy niewolno mi było poruszać tego tematu.

Barnaby wypija drinka jednym haustem i niepewnym ruchem stawia szklaneczkę na stoliku w korytarzu.

Wi378

dać, że jest wszoku.

Brian zamierza ponownie ją napełnić, ale gdy po nią sięga, Barnaby chwyta go za rękę.

- Dlaczego nam nie powiedziano?

Nie mogę zrozumieć.

Jakby był powód tego milczenia?

Nie rozumiem, Brian.

- Tak postanowiła Martha.

Chciała zapomnieć.

Dzięki temu przeżyła.

Czy zdołamy cokolwiek zrozumieć?

Wątpię - to przekracza nasze możliwości.

Barnaby odrywa od niego wzrok.

Przytłacza go myśl, że Martha, która bezpiecznie dotarła do Londynu, i Martha, która została zabrana do obozu koncentracyjnego, to dwie całkowicie różne osoby.

Znacznej części jej życia już nigdy nie pozna.

Ta szansa nie była mu dana, choć rzuciłaby światło na jego dzieciństwo i pozwoliła lepiej zrozumieć matkę.

Barnaby ma wrażenie, że znał tylko okrojoną, wyretuszowaną wersję jej życia.

Nie miał sposobności dać Marcie miłości i opieki, jaką mógłby ją otoczyć, gdyby więcej o niej wiedział.

Jej życie ukształtowała przeszłość, o której nie miał pojęcia.

A teraz czuje, jak wzbiera w nim straszny gniew za to, że został tej wiedzy pozbawiony.

- Brian, czy ty nie rozumiesz?

Życie mojej matki, jej dzieciństwo, moi dziadkowie, rola, jaką odegrał Fred - to wszystko poszło w niepamięć.

Dla Anny i dla mnie kwestia, kim jesteśmy, pozostanie w dużej mierze nieodgadniona.

- Nic się nie zmieniło, drogi Barnaby.

Martha nie chciała, żebyście wiedzieli, co przeszła.

Fred pragnął zapomnieć o wojnie.

Oboje skupili się na przyszłości, a dlanich przyszłością byliście wy: ty i Anna.

Milknij, dostrzegając wyraz twarzy Barnaby'ego.

Anna.

Obaj mężczyźni patrzą na siebie.

Brian obejmuje Barnaby'ego ramieniem.

- Posłuchaj, Barnaby.

Fred dopiero co umarł.

Będziesz pogrążony w żałobie.

Przestań o tym myśleć.

Wrócisz do

379.

tej sprawy, gdy będziesz mógł się z nią uporać.

Dość jużdzisiaj przeżyłeś.

Porozmawiamy o tym innym razem.

Może zostawij jakieś tabletki nasenne?

Barnaby przymyka oczy.

- Dam sobie radę, Brian.

Nie potrzebuję tabletek.

Przepraszam, że cię zatrzymuję.

Pacjenci czekają.

Barnaby chce być sam.

Brian wie, że nie potrafi go pocieszyć, że nie znajdzie słów, które dodałyby mu terazotuchy.

- Przyjdę jutro rano.

Gdybyś mnie potrzebował alboniepokoił się o Marthę, dzwoń śmiało.

Czy Kate tuzostanie i pomoże ci zaopiekować się Marthą?

- Tak, tak.

Dziękuję, Brian.

Damy sobie radę.

Po wyjściu lekarza Barnaby zagląda do kuchni.

Martha nieodrywa wzroku od telewizora, a Kate smaży dla niejpaluszki rybne.

Stoi skonsternowany, nie pojmując, żeMartha potrafi tak niepostrzeżenie przejśćz jednej sytuacji w drugą, wyłączyć się jak komputer.

Zdarzenie, które nastąpiło chwilę wcześniej, znika z jej pamięci i powraca, jak za przyciśnięciem guzika, w najmniej spodziewanym momencie.

- Kate, mogę cię zostawić na kilkanaście minut?

Chciałbym wziąć Homera i wyjść na świeżepowietrze.

- Oczywiście.

- Szybko wracaj, kochanie- mówiMartha.

Na jej twarzy widać niepokój.

Przedsiębiorca pogrzebowy zbiera się do wyjścia.

Barnaby i Homer patrzą, jak Freda wywożą na wózku z sypialni, a potem z domu, i ostrożnie umieszczają w karawanie.

Barnaby wychodzi z pustą ulicę.

Odwraca się, po czym rusza w stronę plaży.

Morze jestwzburzone; zbliżasię przypływ.

Barnaby stoi na brzegu, spoglądając na spienione fale.

380

Mam ci coś dopowiedzenia, kolego.

Postępowałem niewłaściwie.

źle osądzałem niektóre rzeczy.

Och, tato.

Sprowadził tu mnie i moje dziecko.

Sprowadził tu mnie i moje dziecko.

O Boże.

Nic nie było takie, jakie się wydawało.

Chciałby dotknąć ustami szklistej tafli morza, rozłożyć szeroko ramiona i popłynąć z głową zanurzoną w wodzie, nie zastanawiając się nad niczym.

Coraz głębiej i głębiej, bez końca.

Ma wrażenie, że szok, w jakim się znajduje, to jeszcze jedna, choć inna śmierć.

Kate krąży w kuchni, rozmawiając cicho z Marthą.

Nie może zapomnieć wyrazu twarzy Barnaby'ego.

Był taki zamknięty w sobie, gdy Fred umarł.

A teraz wygłodaokropnie, jak szaleniec gotów rzucić się do morza.

Kate przypomina sobie mrozącykrew w żyłach krzykMarthy, który wypełniłcały dom strasliwym żalem inieziemskim, bezbrzeżnym smutkiem.

Dostała gęsiejskórki, czując ogromsamotności i rozpaczy, jaki zawierał sięw tym przejmującym krzyku.

Choć lament Marthy ucichł,smutek wciąż wibrował w przestrzeni, bardziej przytłaczający niż cisza, i wypełniałdom niewysłowioną żalnością.

Gdy Martha je rybę,Kate wkłada dopiekarnika kurczaka.

Przygotowujekolację dla Barnaby'ego, choć przypuszcza, że nie będzie chciał nic jeść.

Potem daje Marciemiseczkę z lodami izachęca ją, żeby obejrzała telewizję.

- Usiądziesz przy mnie, kochanie?

- pyta z niepokojemMartha, chwytając ją za rękę.

- Najpierw zmienię ci pościel.

Wracam zadwie minuty.

Gdybyś czegoś potrzebowała, zawołaj mnie.

Będę w sąsiednim pokoju.

- Uwalnia delikatnie dłoń z uścisku.

- Wracaj szybko, kochanie - mówi zmartwionaMartha.

381.

Kate przechodzi na drugą stronę korytarza i otwiera drzwi do sypialni Freda i Marthy. W środku przypominają zapach, jaki panował w pokoju Dory po jej śmierci. Prześcieradła z łóżka Freda zostały równo złożone przez przedsiębiorcę pogrzebowego. Okno jest szeroko otwarte, ale mimo to czuć zapachciała, powiew śmierci, jakby Fred dopiero przed chwilą opuścił to pomieszczenie.

Martha nie powinna tu spać.

Nie powinna zostać sama noc w pokoju, gdzie niedawno umarł Fred.

Kate wzdryga się na wspomnienie śmierci: nieodwracalność, woskowożółte ciało, stężałe rysy, zastygła twarz wyrażająca okoliczności zgonu, ślad spokoju, gorczy czy zaskoczenia w obliczu śmierci, chwile tuż potem.

Kochany Fred.

Kate zamyka za sobą drzwi i idzie do pokoju gościnnego, który pełni funkcję gabinetu Barnaby'ego.

Jest tonie duży pokój od frontu, z wielkim, pięknym łóżem małżeńskim, fotelem zawalonym skoroszytami i mnóstwem rzeczy, które poniewierają się na podłodze.

Kate zastanawia się, czy nie powinna poczekać i zapytać Barnaby'ego.

Dobiega ją głos Marthy:

- Jestem zmęczona, kochanie.

Podjeżdża decyzję, nawet jeśli Barnaby miałby uznać, że miesza się w nie swoje sprawy.

Kładzie czyste prześcieradła na podwójnym łóżu, napełnia termoocieplawodaję szybko wraca do salonu.

- Łóżko już czeka, Martho.

- Dzięki Bogu.

Taka jestem zmęczona, kochanie.

Z niepokojem patrzy na Kate i ponownie wyciąga dłoń.

Ma zamęt w głowie.

Wie, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafi sobie przypomnieć, co się stało.

Kate siada przy niej na kanapie i ujmuję drobnią dłoń, zdeformowaną artretyzmem.

- Gdzie jest Barnaby?

- pyta nagle Martha.

382

- Wyszedł na spacer z Homerem.

Wróci lada chwila.

- Fred też z nim poszedł?

Robi się ciemno.

Nie powinien wychodzić.

- Przecież wiesz, że Barnaby zna każdy centymetr ścieżki.

Wróci, zanim położysz się do łóżka.

Pomogę ci się rozebrać.

Kate przynosi koszulę nocną i prowadzi Marthę do łazienki, żeby się przebrała.

Niewie, czy Martha zgodzi się spać w innym pokoju niż zwykle.

Podaje jej proszek nasenny i szklankę z wodą.

Zaczyna się martwić, dlaczego Barnaby nie wraca tak długo.

- Mogłabyś mi powiedzieć, skąd się wzięło to piękne łóżko w gabinecie Barnaby'ego?

- pyta.

Pokój gościnny jest ciepły i przytulny.

Czuć w nim pokrzepiający zapach, przypominający o Barnabym.

Przy łóżku pali się już nocna lampka.

- To łóżko stało kiedyś w dworcu - mówi z uśmiechem Martha.

- Było tam jedynym ładnym meblem.

Śliczne, prawda?

- Wspaniale.

Martha kładzie się z westchnieniem i opada na poduszki.

Leży z zamkniętymi oczami, a Kate oddycha z ulgą siada obok niej.

- Tyle lat spałam na tym łóżku z Fredem.

- mówi cicho Martha.

Jej oddech staje się coraz płytszy.

Wygląda, jakby zasnęła.

Za oknem gęstnieje mrok; słychać śpiew ptaków i narastający szum wiatru.

Kate rozmyśla o Barnabym, wspomina śmierć Doryi swoją rozpacz tamtego dnia.

Nie można cofnąć czasu.

Niemożna dostać jeszcze jednej szansy.

Martha otwiera oczy i patrzy na Kate.

- Frednie żyje- mówi.

-Tak, kochanie.

Nie żyje.

383.

Kate przykładła dłoń do jej policzka, jak to robiła Lucy.

Martha znowu zamyka oczy i leży nieruchomo, w milczeniu, cicho płacząc.

Kate gładzi ją po włosach i czuje, że jej też zbiera się na płacz.

Gdy Martha już śpi, Kate idzie sprawdzić kurczak w piekarniku, jeszcze raz zagląda do Marthy, potem wychodzi na dwór i kieruje się do kościoła, widząc, że palis się tam światło.

Jest w niezręcznej sytuacji.

Barnaby tylko ją zatrudnia, prawie jej nie zna - może nie powinna tu przychodzić, gdy on jest pogrążony w żałobie.

Homer siedzi grzecznie w przedsionku, merda ogonem na jej widok.

Kate naciska cicho klamkę i wchodzi do środka.

Barnaby klęczy z pochyloną głową przed ołtarzem, pogrążony w modlitwie.

Na ołtarzu zapalił świece, których blask odbija się w starym kamiennym murze i mosiężnych tablicach.

Kate po raz pierwszy widzi wnętrze tego kościoła, jest zaskoczona jego pięknem.

A wiec tak wygląda małe królestwo Barnaby'ego.

Siada w ławce i czeka.

Zdaje sobie sprawę, że zakłóca jego spokój, ale nie wie, jak postąpić.

Na pewno słyszał, że weszła.

Poprawia minutach Barnaby wstaje z klęczek, chyli głowę przed krzyżem i podchodzi do niej.

- Martwiłam się o ciebie - szepcze szlochająca Kate.

Barnaby milczy przez chwilę, potem na jego twarzy pojawia się przelotny, taktowny uśmiech.

- Rozumiem.

Przepraszam, Kate, pewno chcesz wrócić do siebie.

Już idę do domu.

- Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

Położyłam Marthę w pokoju gościnnym.

Nie chciałam, żeby spała w przypustym łóżku Freda.

- Oczywiście, że tak należało zrobić.

Bardzo ci dziękuję.

Zachowałam się bezmyślnie, wychodząc z domu na tak

384

długo.

Przepraszam, powinienem był zostać i nie obarczać cię tym wszystkim.

- Nic nie szkodzi.

Cieszę się, że mogłam pomóc.

Barnaby gasi po kolei świece srebrnym gasidłem na długiej rączce.

Kate ma wrażenie, że jest wyczerpany, przybity i szołomiony.

Pragnie go pocieszyć, powiedzieć, że nie musi być taki grzeczny i oficjalny.

Chciałaby zobaczyć dawnego Barnaby'ego.

Serce jej się kraje, gdy widzi jego smutek.

- Gotowe.

Barnaby bierze klucze ze stolika w tylnej części kościoła i wychodzi z Kate na zewnątrz.

Homer zrywa się z radością.

Przechodzą przez ulicę i kierują się w stronę oświetlonego domu.

- Martha śpi - mówi Kate.

- Dałam jej tabletkę nasenną.

Kolację zostawiłam ci w piekarniku.

Musisz coś zjeść, Barnaby.

- Jesteś bardzo uczynna.

- Nie przesadzaj.

Barnaby otwiera drzwi i wpuszcza Homera.
Gdy są w korytarzu, Kate mówi pośpiesznie:
- Wspominałam ci, że moja matka umarła kilka miesięcy temu.
Natychmiast wyjechałam z Karaczi i wróciłam do domu.
Miałam nadzieję, że pogodzę się z nią, zanim umrze.
Nie zamieniłyśmy ani słowa.
Do samego końca leżała wpatrzona w drzwi i czekała na mojego brata.
Równie dobrze mogło mnie tam nie być.
Cieszę się, że mam jeszcze jedną szansę, żeby naprawdę się przydać.
- Milknie speszona.
- Przepraszam, nie wiem, dlaczego mówię ci to właśnie teraz.
Po prostu.
tastraszna nieodwracalność śmierci.
Wiem, że masa ludzi w tej wiosce chciałaby ci pomóc, ale ja czuję się jakby częścią waszej rodziny.
Chciałabym przydać się Marcie i tobie.
Nie chodzi o uprzejmość, tylko zwykły egoizm.
Chcę coś zrobić.

Barnaby uśmiecha się, wzruszony jej wyznaniem.

- Gdybym miał wybierać: twoja pomoc czy moich staruszek z parafii, nie wahałbym się ani chwili.

Poza tym jesteś bez wątpienia częścią naszej rodziny.

Zdażyłaś zrobić wiele dobrego dla Marthy, a także dla Freda.

I za to jestem ci bardzo zobowiązany.

Ich spojrzenia spotykają się i Kate widzi w jego oczach szczerą.

- Zerknę tylko do piekarnika i zaraz dam ci spokój.

Idzie do kuchni, a Barnaby zagląda do Marthy i szybko wraca do Kate.

- Martha mocno śpi.

Nie wiem, jak długo działa tabletki.

To dla mnie?

Mam nadzieję, że usiądziesz ze mną przy stole.

Nie noszę już samotności.

Kate przyszykowała tylko jedno nakrycie, więc Barnaby stanowczym ruchem stawia drugi talerz.

- Proszę, zostań.

Będę ci wdzięczny za towarzystwo.

Resztę wieczoru spędzę przy telefonie.

- Przeczesał palcami włosy.

- Muszę się napić.

Co dla ciebie?

Nalewa sobie szklaneczkę whisky, a Kate kieliszek wina.

Jedzą kolację przy stole kuchennym.

Homer czuwał u boku Barnaby'ego, jak zawsze pełen nadziei.

Ćmy, zwabione światłem, uderzają w okno.

Wiatr nasila się, krząta się w ogrodzie podzwania o szyby.

Oboje czują pustkę w tym domu, gdy zabrakło Freda; mają wrażenie, jakby czas się zatrzymał.

Siedzą wsłuchani w ciszę, aż w końcu Barnaby przerywa milczenie.

- Martha i Fred spali razem w tym wielkim łóżku, dopóki mama nie zaczęła mieć kłopotów z głową.

Fred nie mógł zmrzyć oka, ponieważ przewracała się z boku na bok ciągle wstawała.

W końcu postawiliśmy dwa pojedyncze łóżka.

Tato zaniechał spać w innym pokoju.

386

- A gdyby teraz przenieść podwójne łóżko do jej sypialni?

Może by to ją pokrzepiło?

Nie musiałaby patrzeć na

puste łóżko Freda.

Barnaby uśmiecha się i wysuwa w jej stronę talerz ze

szklanką.

- Jesteś kopalnią dobrych pomysłów, Kate.

Dziękuję za wyśmienitą kolację.

Mam wyrzuty sumienia, że się tak objadłem.

- Niepotrzebnie.

- Muszę zadzwonić do Anny, może uda mi się złapać Lucy - mówi Barnaby, spoglądając na zegarek.

Jak nazwano rozlega się ostry dzwonek telefonu.

Kate zbiera talerze i wstawia je do zlewu.

Dolewa odruchowo whisky do szklanki, niesie do salonu i stawia przy telefonie.

Barnaby ściska ją za rękę.

Kate zmywa ostatnie naczynia, gdy oszołomiona i dezorientowana Martha staje w drzwiach kuchni.

Prowadzi staruszkę do łazienki, a potem z powrotem do łóżka.

- Barnaby zaraz skończy rozmawiać przez telefon.

Może posiedzę przy tobie, zanim przyjdzie?

- Dziękuję, kochanie.

Chciałabym niedługo wrócić do siebie.

- Oczywiście.

Tu śpisz tylko dzisiaj.

Gdy Martha jest już w łóżku, Kate kładzie się obok niej i wsuwa pod kołdrę.

Martha otulają ją jak własne dziecko.

Niemal natychmiast zasypiają.

Po godzinnej rozmowie przez telefon Barnaby zagląda do pokoju gościnnego.

Przekonany, że Kate poszła do małego domku, ze zdziwieniem widzi śpiącą przy Marcie postać.

Przynosi koc i delikatnie ją okrywa.

Ledwo dostrzega ich twarze w ciemności, ale wzdusza go i pokrępa obraz młodej dziewczyny i starej kobiety, które śpią obok siebie, głowa przy głowie.

387.

Wyłącza światła, przechodząc przez dom, w którym, jak sięga pamięcią, zawsze był obecny jego ojciec.

Wyczerpany padana łóżko i zasypia.

Nie zdążył wypowiedzieć nawet pierwszych słów modlitwy.

W ciemnościach Martha nasłuchuje oddechu Freda, który zna tak dobrze.

Oddycha wtedy wolniej, zgodnie z jego rytmem.

Słyszając Freda obok siebie, czuje uderzenia własnego serca, pulsowanie krążącej w ciele krwi, które utrzymuje ją przy życiu.

Ale tej nocy niczego nie słyszy.

Otacza ją cisza.

Fred.

Mam naimię Fred.

Zamarznięta ziemia pali mnie w policzek i wżera się w kości.

Całe ciało jest jak z lodu.

Wiem, że jeśli się nie poruszę, zasnę i umrę.

Wokół mnie leżą stopy młodych dziewcząt, martwych, śpiących i bliskich śmierci.

Pocieram kostki, żeby przywrócić w stopach czucie.

Jakoś udaje mi się stanąć na nogi.

Oszolomiona chwieję się, próbuję zrobić kilka kroków.

Nie słyszę,

gdy od tyłu zbliża się esesman.

Nagle dostaję kolbę karabinu w ramię.

- Na ziemię!

Przeszywający ból.

Padam jak kukielka i leżę w bezruchu na zamrożonej ziemi.

Po wewnętrznej stronie ręki nóg czuję piekący ból, który zaczął się już w szpitalu.

Mam wrażenie, że ogień trawi mi kości.

Przez chwilę obserwuję gwiazdy, lśniąca na czystym, czarnym niebie.

Słyszę urywane, historyczne wrzaski strażników, które niosą się echem w ciemnościach.

Wszyscy wiemy, że jeśli będziemy leżeć nieruchomo na zamrożonej ziemi, umrzemy, ale uniesienie głowy choćby o centymetr też oznacza śmierć.

- Na ziemię, suko!

Zastrzelę każde żydowskie bydło, które stanie na nogi.

388

Dlaczego ci mężczyźni zięją taką nienawiścią do dziewcząt, które niemogą im nic zrobić ani się bronić?

- przebiega mi przez myśl i znów upograżam się w niebyscie.

Przytomnieję w chłodnym blasku słońca i wciszy.

Unosząc głowę, z przerażeniem widzę wkoło ludzkie ciała, leżące w bezruchu.

Zostawili mnie.

Z martwymi.

Wciszy słyszę własny słaby krzyk przerażenia.

Wyczołguję się z trudem spod zwłok dziewczyny i zsuwam z nóg ciało innej.

Ja też umieram.

Nade mną krąży cień śmierci.

Spełnia się koszmar z mojego snu, że odejdę w samotności, z dala od ludzi.

Mam nadzieję, że nastąpi to szybko.

Słyszę warkot nadjeżdżających ciężarówek.

Wracają esesmani, żeby dobić dziewczęta, w których jeszcze kołacze się życie.

Otwieram oczy.

Ciężarówka zatrzymuje się w pewnej odległości.

Wyskakują z niej mężczyźni w mundurach innychniż niemieckie.
Rozglądają się, patrzą na stosy martwychdziewcząt, stoją w bezruchu.
Milczą.

Wokół tylkocisza.
Muszę się podnieść.

Przecież żyję.
Nie mogamnie tu zostawić.
Przecież żyję.
Podciągam kolana i ostatnim wysiłkiemdźwigam się zziemi.
Chwieję się i zataczam, aleruszam w ichstronę.
Chcę coś powiedzieć, zawołać - nie mogę wydobyćgłosu.
Nie mogę.

Obcyżołnierze odwracają się jednocześniei kierują na mniewzrok.

Wyglądają tak, jakby przymarzli do ziemi.
Na ich twarzach dostrzegam przerażenie.
Wiem, że jestembrudna i zawszona.
Wysoki żołnierz rzucakarabin i biegnie do mnie.

Wydaje zawodzącyjęk, który niesie się pod niebo iprzypomina krzyk wystraszonego ptaka.

Wyciąga ręce, starasię mniedosięgnąć, jakbym była istotą ludzką.

Unoszę w jegostronęramiona i w tej samej chwili niemal upadam, ale ten człowiekw mundurze
chwyta mnie.

- Trzymamcię - mówi.

- Trzymam.

389.

Podnosi mnie, odwraca się i biegnie drogą.

Słyszę nagle jakieś poruszenie.

Żołnierze rzucają się ku stosom ciał, by szukać żywych.

Staram się nie stracić przytomności.

Czuję bicie serca tego mężczyzny.

- Spokojnie.

Nic ci nie grozi.

Jesteśmy brytyjskimi żołnierzami.

Łajdacy.

Co za łajdacy.

Trzymając mnie na rękach, wbiega do jakiegoś budynku i krzyczy na cały głos:

- Pomocy!

Lekarza!

Jest ich więcej, setki, martwych, umierających, nie wiadomo.

Chryste Panie, tam są młode dziewczęta, kobiety.

Ten brytyjski żołnierz to kapitan Frederick Tremain.

- Fred - przedstawia się, przychodząc do mnie z kwiatami.

- Mam na imię Fred.

Gdy budzę się w szpitalnej sali, czasem widzę, że siedzi obok na krześle, drzemiąc.

- Żyj - szepcze, gdy leżę z zamkniętymi oczami.

- Modłę się, żebyś przeżyła.

Jest młodym mężczyzną o pięknej, smutnej twarzy.

Fred.

Mam na imię Fred.

Rozdział pięćdziesiąty

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, wsiada do volkswagena polo i jedzie do domu tej kobiety.

Chciałby porozmawiać z nią, gdy jest sama, najchętniej w mieszkaniu, ale nie wie, czy jej mąż kiedykolwiek wychodzi do pracy przed nią.

Na ciemnym wciąż niebie widać gdzieś gwiazdy.

Ulica jest pusta.

Gdy wjeżdża na ulicę, przy której stoi dom, widzi, jak żona kobiety schodzi po schodkach i oddala się w stronę garaży.

Mężczyzna wyprowadza tył srebrnego sportowego mercedesa i zatrzymuje się przed domem.

Szybko zawraca i parkuje przy krawężniku między dwoma samochodami, przodem do kierunku, z którego przyjechał.

Widzi w lusterku wstecznym, jak kobieta wychodzi na ulicę z małą torbą podróżną, całuje męża, macha ręką, nakłaniając go, żeby wrócił do oświetlonego domu, i szybko wsiada do auta.

Nie widział jeszcze, by jeździła sama po Londynie.

Sprawia wrażenie zdenerwowanej i zdruzzonej.

Po chwili rusza za mercedesem.

Jedzie wolno, nieobawiając się, że go zgubi - ma nieodparte przecucie, że kobieta jedzie w kierunku zachodnim.

Zachowuje sporą odległość i włącza radio.

Im dalej na zachód, tym ciemniejsze jest niebo.

Czuje siedziwnie, jakby znalazł się poza czasem, w innym świecie.

391.

Mgła i ciemne chmury niemal dotykają wierzchołków drzew.
Okryte liśćmi gałęzie zwieszają się nieruchomo i bezwładnie, jakby tworzyły ponurą scenografię.
Ogarniają go niepokój i złe przeczucia - coś mu mówi, że kres jest już blisko, ale wypadki potoczą się inaczej, niż zakładał.

Mercedes, który dotąd utrzymywał stałą prędkość, zjeżdża na lewą stronę autostrady pod stację obsługi.

Skreca zanim, zachowując bezpieczny dystans.

Kobieta z gracją wysiada z niskiego auta.

Odznacza się swobodną elegancją, porusza w sposób, który wydaje się znajomy.

Zasłonięty daszkiem przeciwsłonecznym, może ją obserwować.

Nigdy dotąd nie był tak blisko niej.

Och, to uczucie straty, bolesnej przejmującej chłodem.

Nie idzie za nią do budynku.

Podeszczu pojawia się rozmyte słońce, a on siedzi w samochodzie, na parkingu, zastanawiając się, nie wiadomo który raz w ostatnich miesiącach, nad sensem swych poczynań.

Znowu ma wrażenie, że przeniósł się w inne miejsce.

Przymyka oczy.

Dzieci biegają i tarzają się po mokrej trawie, bawią się psami, zsuwają po zjeżdżalni, nawołują wzajemnie.

Gdy zamknie oczy, pojawia się obraz tej ciemnowłosej dziewczynki.

Słyszę jej głos tak wyraźnie, jakby to był wczoraj.

Goni mi się wokół dzikiego ogrodu, zostawiając na trawie odciski stóp, budujemy szałas, wspinamy się nad drzewo.

Przypominam sobie nieodpowiedzialną austriacką opiekunkę, która miała nas pilnować, ale ciągle nikała za ogrodnikiem.

Pamiętam, jak piękna matka dziewczynki wychodziła do ogrodu i klaszcząc w dłonie, wzywała córkę do domu, wołała, że jedzenie na stole albo że robi się ciemno.

Pamiętam tę nieśmiałą służącą, która tak bardzo się mnie bała, nie tylko mnie, wszystkiego. Nie bez powodu.

392

Lubił wzbudzać w niej strach.

Wciąż lubi wzbudzać w ludziach strach.

Nie wyszedł z sprawy.

Zdolność pozwalająca przetrwać?

Jeśli chciał, by Mutti go kochała, musiał pilnować się i w żadnym wypadku nie okazywać słabości.

Mutti lubiła tylko silnych ludzi.

Dreszcz wstrząsa nim na myśl, że oto znalazł się w dziwnym miejscu: na ziemi niczyjej, gdzieś między jednym życiem a drugim.

Przypomina sobie, gdy nagle przestał być dzieckiem, musiał dokonywać wyborów.

Wiedział, że ojciec przemycił lekarstwo do getta.

Nie podjął żadnych działań.

Po paru latach wojny dowiedział się, że ojciec usiłował powiadomić o losie Żydów wariantów, ambasadora Szwajcarii, Brytyjczyków.

Nikt nie chciał go słuchać.

Ojciec nie miał pojęcia, że Szwajcarzy prowadzili własną politykę rasistowską i zamykali swe granice przed Żydami.

Ludzie, którzy kontaktowali się z ojcem, podejmowali ogromne ryzyko.

I on, i matka, która zamierzała przenieść się z powrotem do Niemiec, musieli się od niego odciąć.

Ojciec mógł być oskarżony o zdradę i rozstrzelany.

Ale stało się inaczej - złożono mu propozycję, której przyjęcie pozwoliłoby mu zachować życie.

Ojciec odmówił, wołał umrzeć w jakimś szpitalu polowym lub w syberyjskiej głuszy, umrzeć z

zimna, w samotności.

Taki koniec czeka ludzi odważnych.

Taki los spotyka ludzi, którzy nie potrafią być bezwzględni.

Zdrada była przyczyną śmierci ojca.

Uśmiecha się ponuro.

On i matka przeżyli.

Mutti.

Bezwzględna kobieta o niewzruszonych zasadach, które kiedyś tak podziwiał.

Chłodna wobec wszystkich prócz niego.

Faszystka do końca życia.

Uważał, że jeśli w ogóle kogoś kochała, to tylko jego - męża zdradziła.

Przeszłość poszła w zapomnienie.

Tamten świat zniknął.

A moje udane, pełne ambicji życie?

Powiodło mi się.

393.

Odniosłem sukces.

Przeszłość leżała głęboko pogrzebaną do chwili, gdy jedno przypadkowe i przelotne spojrzenie na twarz tej kobiety przywołało duchy, które obudziły zmarłych.

Patrzy, jak kobieta idzie z powrotem do samochodu.

Jest w wieku jego kochanki i równie atrakcyjna.

Ciekawe postrzeżenie, z freudowskiego punktu widzenia.

Wszystkie jego kobiety były blondynkami.

Wszystkie wychowały się w mieście - nie wiedziałyby, jak podejść do konia.

Spuszcza wzrok i widzi, że drżą muręcena kierownicy.

Czy szukał właśnie takich kobiet, by niebudzić wspomnień?

A może Mutti wpoila mu przekonanie, że ciemnowłose kobiety to Żydówki, a zatem masię do nich niezbliżać?

Przez wiele lat jeździł konno po lasach wokół Berlina, aż uznał, że jest na to za stary.

Ze złości odganiał cień, który galopował przy nim i majaczył wśród listowia; ponaglał konia do szybszego biegu, żeby zagłuszyć echo perlistego śmiechu.

Pozwala kobiecie odjechać, a sam idzie kupić kawę i kanapkę, nawet znośne w smaku.

Dwadzieścia minut później dogania srebrnego mercedesa w Bristolu, przejeżdża przez most wiszący i kieruje się dalej na zachód, gdzie zachmurzone nad oceanem niebo ma siną barwę.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Lucy opiera się plecami o fotel i przymyka oczy.

Samolot wznosi się i leci w stronę wybrzeża.

Lucy pragnie, by czas się skurczył, lot dobiegł końca, by wreszcie znalazła się w domu.

Powinna była tam być.

Razem z Barnabym.

Łzy ściskają jej gardło.

Próbuje zająć myśl czymkolwiek, żeby nie wybuchnąć nieutulonym płaczem.

Otwiera oczy i spogląda przez okno.

Pod skrzydłami samolotu snują się smugi chmur.

Pod nimi widać szachownicę domów i pól, nitki dróg, wstążki autostrad.

Ludzie przemieszczają się miniaturowymi samochodami.

Wszyscy dokądś zmierzają.

Dziadunio - jego stara tweedowa marynarka, ze skórzanymi łatami na łokciach, wciąż pachnie tytoniem z fajki, choć przed laty przestał palić.

Dziadunio - siedzi w zapadającym się fotelu; trzyma ją na kolanach i czyta jej książkę.

Lucy czuje kojący zapach, miękkie sztruksowe podnie, uspokajającą obecność nawet wtedy, gdy nie ma go w pokoju.

Nic jej nie grozi.

Przy nim zawsze czuła się bezpiecznie - nawet gdy się zestarzał.

Co będzie z babunią?

Martha i Fred nigdy się nie rozstawali.

Nie pamięta dnia, żeby nie widziała ich razem w tym domu.

Bierze tacę od stewardesy i znowu odwraca się do okna - nie chce rozmawiać z siedzącą obok pasażerką.

395.

słyszeć głuchego szumu silników, myśleć, że musi siedzieć zamknięta w kabinie, gdzie czas płynie tak wolno.

Brak miu ciebie, Tris.

Nawet nie mogę cię zawiadomić.

Gdybym wysłała kartkę z lotniska, i tak doszłoby dopiero po moim powrocie do Mediolanu.

Lucy wsuwa rękę do kieszonki w plecaku i wyjmuję ostatni list od Tristana, do którego dołączył zdjęcie pięciu mężczyzn w mundurach: "kapral Taylor, Dave, ja, sierżant Eliot, Gary".

Uśmiechając się do obiektywu, ale na ich twarzach widać zmęczenie.

A jeszcze niedawno tryskali młodzieńcami pogodą ducha: podczas tańców na letnim balu pułku, podczas meczu rugby, na defiladzie promocyjnej w Akademii Wojskowej w Sandhurst.

Lucy zabrała ze sobą wszystkie listy Tristana.

Czyta je wielokrotnie i za każdym razem znajduje w nich coś nowego.

Zdarza się, że Tristana ma sposobności wysłać listu i wtedy przychodzi dwa w jednej kopercie.

To ja z kolegami przed naszą kwaterą.

Jak ci się podoba kasyno oficerskie?

Żeby przyozdobić ten betonowy bunkier, zawiesiliśmy nad wejściem kolorowy dywanik w ludowe wzory (zarekwirowany).

Zapraszam do środka.

Patrz zdjęcie 2.

Na tych trzech łóżkach połowych śpią Dave, Gary i ja.

Znowu dywaniki na betonowej podłodze.

Zauważ swoje zdjęcie na półce nad łóżkiem.

(Na marginesie, dziewczyna narozkładówce z "Playboya" to pomysł Gary'ego).

A teraz wyteż wzrok.

Widzisz te czerwone oczka, okrągłe jak guziczki, na betonowej półce, nad łóżkami?

Schowane w cieniu, ale bardzo zaintrygowane?

Mam przyjemność przedstawić Szczura Raymonda.

Kilka dni temu Dave obudził się w nocy z okropnym krzykiem.

Raymond wlażł mu nagłowę, żeby sięgnąć po herbatniki.

Zro396

było się straszne zamieszanie; miotaliśmy się na wszystkie strony, szukając latarek.

(Wiem, że nie możemy się równać z piechotą morską!

). Raymond okazał się natrętnym draniem.

Odwiedza nas conoć, więc go oswoiliśmy i dokońca naszego pobytu będzie pełnił zaszczytną funkcję maskotki pułku - oraz termoforu, gdy nocami gwałtownie spada temperatura w tym lochu.

Trzeba ci wiedzieć, że odnosimy się do Raymonda z większą sympatią niż do wielu przedstawicieli tutejszych władz.

On przynajmniej wie, że jest szczurem.

Zanim wyruszę na kilkudniowy patrol, zdążę ci opowiedzieć jeszcze jedną zabawną historię.

Wczoraj postanowiłem zrobić pranie.

Wyszedłem z mokrymi gatkami nadwór, żeby je gdzieś powiesić.

Kapral Taylor parzył właśnie herbatę na świeżym powietrzu, kilka metrów od ogrodzenia z drutu kolczastego.

Powiesiłem nadrucie bieliznę zauważyłem obok siebie kurę, która dziobała w ziemi.

Przez chwilę patrzyłem na nią, wspominając swoją krowkę z dzieciństwa (nazywała się Friendly i rzeczywiście była przyjacielska).

Podszedłem do kaprala Taylora i gdy brałem od niego kubek z herbatą, rozległ się potężny wybuch.

W miejscu, gdzie stałem jeszcze przed sekundą, fruwały w powietrzu strzępy kury i strzępy moich gatek.

Wszyscy zamarli w osłupieniu.

Od tej pory mówią do mnie kapitan Gatefc Szczęściarz.

Lucy przygląda się z bliska zdjęciu Tristana: uśmiech się, ale oczy ma mroczne i przygaszone.

Wzdryga się namyśl, że mogła jednego dnia stracić Tristana i dziadka.

Spoglądana zegarek.

Rudi załatwił jej bilet lotniczy do domu z przesiadką na lotnisku Gatwick na samolot do

Friend (ang.

) - przyjaciel; friendly(ang.

)- przyjazny, przyjacielski (pizyp.

Bum.

).

397.

Newquay.

Lucy myśli z wdzięcznością o Rudim, który oszczędził jej długiej podróży pociągiem.

Samolot zatacza łuk i podchodzi do lądowania.

Lucy chowa list Tristana do kieszonki w plecaku.

Barnaby wyjedzie po nią do Newquay.

Na szczęście to on ją odbierze, a nie Anna.

Popogrziebie napisze do Tristana długi list o wszystkim mu opowie.

Popołudniowe słońce świeci nad Anglią, rozlewa się blaskiem po tafli morza.

Za trzy godziny Lucy będzie w domu.

Dwa pojedyncze łóżka stoją znowu w pokoju gościnnym.

Anna zastanawia się, czy na tym, które teraz zajmuje, umarł Fred.

W domu zalega cisza.

Słychać jedynie tykanie zegara wkorytarzu i ciężki oddech Homera, dochodzący z kuchni.

Anna czuje, że coś odeszło, że zniknął pierwszy fragment dzieciństwa.

Gdy umrze Martha, nigdy więcej nie wróci do tego domu.

Annę może płakać, a ciężar, który ciśnie jej piersi, nie jest tylko oznaką żalu po śmierci Freda.

Nosi w sobie jakiś lęk, nieuchwytny strach, narastający od tygodni.

Nie potrafi się go pozbyć.

Ten lęk towarzyszy jej jak niewidzialny prześladowca.

Albo widzialny.

Wstaje z łóżka, robi sobie kawę rozpuszczalną i stawia filiżankę na szafce nocnej.

Chciałaby zadzwonić do Rudiego i spytać, czy udało mu się odwołać spotkanie w Brukseli i czy przyleci na pogrzeb - ale jest jeszcze zbyt wcześnie.

Homer merda ogonem, łudząc się nadzieją, że będzie mógł dotrzymać jej towarzystwa.

Anna nie aprobejuje jednak obecności psów w sypialni i zamyka przed nim drzwi.

Żeby tylko przetrwać ten dzień - myśli Anna, rozcierając zziębnięte stopy.

Pochowam ojca, a potem wyjadę.

Barnaby zaplanował wszystko z wojskową skrupulatnością.

398

Nie jest zadowolona, że pozostało jej tak niewiele do zrobienia.

Tadziwna dziewczyna mieszkająca w małym domku, pani Biddulph, połowa mieszkańek wioski - wszystkie sprzątały i pucowały dom, znosiły kwiaty.

Członkinie Women's Institute przygotowały mnóstwo krostek z mięsem i kanapek, przyniosły wielkie termosy na kawę i herbatę.

Na kredensie stoją trunki i lśniące kieliszki.

Pożegnanie "pana doktora" ma odpowiednią oprawę.

Anna uśmiecha się do siebie.

Goście zaczną kurtuazyjnie od filiżanki herbaty, ale trzeba wypić kieliszek na pogrzebie - nawet te wstydliwie staruszki pozwalają sobie na odrobinę trunku w towarzystwie pastora.

Anna kładzie się z powrotem do łóżka i usiłuje zasnąć.

Przez rozsunięte zasłony sącz się słońce.

Między drzewami widać dach małego domku, w którym na zaproszenie Kate zatrzymała się Lucy, gdy zmęczona i zapłakana przyjechała poprzedniego dnia późnym wieczorem.

Anna zamyka oczy i zapada w dziwny stan na pograniczu snu i półsnu.

Nagle pojawiają się twarze, tak jak w dzieciństwie.

Tylko oblicza, bez ciał; usta poruszają się, układają do bezgłośnego krzyku.

Twarze przypominają maski: są gumowate i niewyraźne, rozciągają się i kurczą.

Przeżalone oczy wychodzą z orbit.

Spod każdej maski wyłania się szara, przerażona twarz, potem następna.

Tłoczą się, niemal rozsadzając jej głowę.

Anna otwiera gwałtownie oczy, jest zrana potem, serce wali jej w piersi.
Pojawia się inny obraz, wyraźny jak najawie: ręce, mnóstwo rąk, które nad głowami stłoczonych ludzi,
setek ludzi, przekazują sobie małą Annę, jak paczkę.

Women's Institute - organizacja zrzeszająca kobiety, które w wolnym czasie zajmują się
działalnością kulturalną i społeczną (przy-
tym.

).

Siada roztrzęsiona na łóżku.

To Fred zawsze przychodzili brał ją w ramiona, chroniąc przed koszmarami, które pojawiały się nie wiadomo skąd.

Martha była bezradna, zbytprzyciębiona krzykiem Anny.

Fred mówił delikatnieMarcie, żeby wróciła do łóżka, i starannie zamykał drzwi, chroniąc Annę przed okropnym dla niej widokiem rozdygotanej, pełnej niepokoju matki.

To Fred czytał jej książki, opowiadał historyjki, rozśmieszał ją przeganiał demony.

Na niego mogła zawszeliczyć, nawet gdy swym ciętym językiem obrażała pozostałych domowników.

Nigdy nie wątpiła w miłość Freda,takżewtedy, gdy ganił ją za okropnezachowanie wobecBarnaby'ego.

Kiedy była mała, czasem wydawało się jej, że wnocysłyszypłacz Marthy, ale następnego ranka, widząc ją nieodmiennie pogodną i uśmiechniętą, uważała, że to byłytylko sen.

Przed narodzinami Barnaby'ego Martha byłaćięzko chora.

W tymczasie Fred zapytał Annę, czy niechciałabychodźć, jakjej koleżanki, do szkoły z internatem.

Nudziła sięniemiłosiernie, siedzącw domu z Martha, więczgodziła się z radością.

W towarzystwie rówieśnikówpoczuła się wreszcie swobodnie i odzyskała pogodęducha.

Była wściekła, gdy urodził się Barnaby.

Jakim prawempojawił się na tym świecie?

Był słodkim, kochanym, dobrym chłopcem - tak dobrym, że azzbierało się człowiekowi namdłości.

Nieznosiła go od chwili poczęcia, dobrzewiedząc, że wraz z jego narodzinami zmienię się jej miejsce wżyciu Marthy i Freda.

Fred bezwstydnie uwielbiał Barnaby'ego.

Martha nieposiadała się zradości.

- Mój cudzie - szeptała przy łóżeczku, kiedy nikogo niebyłw pobliżu.

- Mój maleńkicudzie.

400

Anna była bystra i inteligentna, szybko więc zauważyła, że Martha odnosi się do syna tak, jak nigdy nie umiałaodnosić się do córki.

Inaczej go dotykała, inaczej z nimrozmawiała, inaczejgo kochała.

Nawet jej głos nabierałinnebarwy.

Do niej zawszewracała się z czułością, alew słowach skierowanych do syna pobrzmiwał wręcztonślodyczy.

Mała Anna straciła serce do Marthy i zaczęłaobojętnie traktować Barnaby'ego, który był radością matki, obiektem jej tkliwych słów i niezmięnej miłości.

I tak- myśli teraz Anna zcierpką szczerością - naszeserca stwardniały jak zastygły cement i osiągnęliśmywiek dojrzały.

Zazdrość staje się drugą naturą, nieufność-mechanicznym odruchem, niechęć - nawykiem.

Anna znowu wstaje złóżka, wkłada szlafrok i wychodzina korytarz.

Mimo wczesnej pory Barnaby jest już na nogach.

Kroicienko chleb na śniadanie dla Marthy i czeka,aż zagotuje się woda w czajniku.

- Kubek porządnejkawy?

- pyta z uśmiechem.

- Ja zaparzę - odpowiada Anna,kiwając głową.

Zdejmuje z półki ekspresi stara się powiedzieć cośwłaściwego.

- Wszystkozapięte na ostatni guzik.

Dobra robota.

- Pogrzeby to dla mnie nie nowość - mówi z przekąsem Barnaby.

Na twarzy Anny pojawia się niepewny uśmiech.

- Czy śmierć taty była szybka?

Nie cierpiał?

- Rano dostał zastrzyk z morfiny i po prostu odszedł.

Naprawdę tak było.

Chciał.

- Barnaby milknie.

Wyraz jego twarzy się zmienia, jakby coś sobie nagle przypomniał.

- Co?

- pyta zatrwożona Anna.

-Co takiego?

Barnaby pochyla się i zalewa zmieloną kawę wrzątkiem.

- Nic, Anno, tylko.

- Barnaby stara się szybko zebrać myśli.

-Fred chciał coś powiedzieć przed śmiercią.

401.

Dwa razy próbował.

Było to dla niego ważne, ale umarł, zanim zdołał wydobyć z siebie jakieś słowa.

Zawsze będę się zastanawiał, co chciał mi powiedzieć.

To wszystko.

Wpatruje się bacznie w jej twarz.

W uszach rozbrzmiewa mu głos Marthy: Sprowadził tu mnie moje dziecko.

Patrzy na Annę tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Dlaczego mi się tak przyglądasz, Barnaby?

- Anna czuje suchość w gardle, truchleje ze strachu.

- Co powiedział Fred?

Musi się chyba domyślać, co chciał powiedzieć.

- Nie.

- Nie wierzę.

Jesteś jak Lucy.

Zawsze wiem, kiedy kłamiecie.

Czy to miało związek ze mną?

- Czuję, jak łomocze jej serce.

- Wciąż był na mnie zły za to, że wspomniałam o oddaniu mamy do domu opieki?

- Skądże.

Przecież wiesz, że Fred nie nosił w sercu urazy.

Barnaby nie wie, co robić.

Już chce coś powiedzieć, ale rezygnuje.

Anna przyjechała pochować ojca.

Nie czas podejmować ten temat.

Porozmawiają po pogrzebie.

Chcą ją wy badać, napomyka zgodnie z prawdą:

- Wydajemy się, że chodziło mu o coś, co ma związek z przeszłością Marthy, jej życiem w Polsce.

Coś, co jego zdaniem powinniśmy wiedzieć.

Żałuję, że nie powiedziałam tego wcześniej, bo od Marthy nie dowiemy się już niczego.

Anna nalewa kawę do dwóch kubków i mówi ostrym tonem:

- Gdyby Martha chciała nam coś powiedzieć, dawno by to zrobiła.

Zawsze szczyliła się tym, że jest Angielką.

Fred może i nie pochwalał jej milczenia na temat wszystkiego, co dotyczyło Polski, ale to była jej decyzja.

- Wyjmuje mleko z lodówki.

- Przeszłość odeszła i nie ma po co do niej wracać.

Martha uważała, że narodziła się na nowo, gdy spotkała tatę.

Czy, ulichu, mamy prawo jej zarzucać,

402

że nie opowiedziała nam o swoim dzieciństwie czy o naszych polskich dziadkach, których pewnie zamordowano albo przesiedlono gdzieś daleko?

Mama nigdy się nie dowiedziała, jaki los ich spotkał.

Nic dziwnego, że nie chciała o tym mówić.

- Anna bierze kubek z kawą.

Nagle brak jej tchu.

- Nie bądź sentymentalny, Barnaby.

Zajmij się swoim życiem.

Nie możesz żyć życiem rodziców.

Nikt nie powinien tak robić.

Odwraca się od Barnaby'ego, a on, urażony jej słowami, nie zważając na to, że ma przed

sobą jej plecy, mówi cicho:

- Na nasze życie składa się wszystko, czego doświadczyli nasi rodzice i dziadkowie.

Przekazali nam swoje geny.

Sprawili, że jesteśmy tacy, a nie inni.

- Bzdury!

Sobie zawdzięczamy to, jacy jesteśmy.

- Wiesz, że to nieprawda!

- woła gniewnie Barnaby.

- Ani ty, ani ja nic nie wiemy o rodzinie Marthy prawie nic o rodzinie Freda.

A przecież był jednym z najłagodniejszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich znałem.

Wszyscy go kochali.

Był dobrym człowiekiem.

Cosprawilo, że był dobrym człowiekiem?

Kochał swoich rodziców, a oni odwrócili się od niego i nie utrzymywaliśmy kontaktów przez całe życie.

Wypytywałaś kiedyś Freda o jego rodziców, choć wiedziałaś, że go ranisz.

Czym różni się twoja ciekawość tamtych czasów od mojej obecnie?

A może pociągało cię to, że Fred wywodził się z angielskiej arystokracji?

Anna odwraca się, zaskoczona szczerością i zapalczywością Barnaby'ego.

Stoją przy końcach stołu i nie odrywają od siebie wzroku.

- Przecież.

Jesteś prawnikiem - ciągnie Barnaby, nie mogąc się pohamować.

- Czyż prawo nie gwarantuje każdemu możliwość poznania swoich korzeni, swoich rodziców, swojego dziedzictwa, określenia swojej tożsamości?

403.

Zapewne spotkałaś mnóstwo ludzi, których dręczyło pragnienie, by dowiedzieć się, w uczciwy czy nieuczciwy sposób, jak znaleźli się na tym świecie.

Nie znając naszej przeszłości, nie jesteśmy ani zakorzenieni w teraźniejszości, ani nie możemy tworzyć przyszłości.

Barnaby milknie, zaskoczony własnymi słowami.

Dlaczego poruszył właśnie te sprawy, choć powinien był porozmawiać o czymś zupełnie innym? Oczekuję, że Anna wyskoczy zaraz z jakąś złośliwością na temat prawienia kazań.

Anna odstawia wolno kubek z kawą, zaciska ręce na krawędzi stołu, pochylając się ku Barnaby'emu.

- Pleciesz bzdury - mówi sędziowskim tonem, ale Barnaby wychwytuje w jej głosie cień jakichś innych uczuć, widzi zbiegające palce.

- Powinieneś skupić swoje wysiłki na tym, by zbudować sobie przyszłość z kimś żywym, a nie grzebać w przeszłości, która już odeszła.

- Wzdychaj ciężej, nieco łagodniej: - Fred odszedł, Barnaby.

Martha też przeniesie się niedługo na ten świat.

Jakie będzie wtedy twoje życie?

Puste.

Skoncentrowane jedynie na Kościele.

Jeśli dowiesz się, jacy byli dziadkowie obu stron, będziesz szczęśliwszy, bardziej usatysfakcjonowany?

Czy dzięki tej wiedzy staniesz się innym człowiekiem, bardziej zadowolonym z życia?

Sami je tworzymy - dobre czy złe - niezależnie od naszych przodków.

Barnaby grzeje dłonie, obejmując kubek z kawą.

Ma ochotę położyć się z powrotem do łóżka.

Chyba każda rozmowa z Anną przeradza się w sprzeczkę.

- Nie mam pojęcia, co Fred chciał powiedzieć - mówi Anna, dolewając sobie kawy.

- Może chodziło mu o pieniądze, leki Marthy, testament czy Bóg wie co.

Nasi rodzice pogrzebali przeszłość.

Uszanuj to, na litość boską.

Z szacunku dla nich.

Przeszłość odeszła.

Ważna jest przyszłość.

404

Ziewa i dodaje lekkim tonem:

- Za wcześnie na taką rozmowę.

Masz tu najwyraźniej zbyt dużo czasu na rozmyślanie.

Idę zadzwonić do Rudiego.

Miał się zorientować, czy zdoła przelożyć wyjazd do Brukseli i przyjechać na pogrzeb.

Mam nadzieję, że mu

się uda.

Anna wraca do swojego pokoju.

Barnaby idzie do oranżerii i obserwuje ptaki.

Przeszłość odeszła.

Anna nieustannie to powtarza, ale przeszłość nigdy nie odchodzi.

Barnaby wraca do kuchni i bierze tacę ze śniadaniem dla Marthy.

Choć w głosie Anny wyczuł nutę desperacji, jakby chciała koniecznie dowieść, że ma rację, jest skłonny w głębi duszy przyznać jej słuszność: trzeba skupić się na obecnym życiu i patrzeć w przyszłość.

Może lepiej dać sobie z tym spokój.

Pochować Freda i zachować milczenie.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Czuje, jakby w jej wnętrzu drżał maleńki listek, muskało jąleciutkie piórko.

Hannależy obok niej nieruchomo, pograżona we śnie.

Marta opiera się pokusie, by ją obudzić.

Znowu to samo.

Kładzierękę na brzuchu: delikatne drzenie pod skórą przypomina trzepot skrzydeł motyla w zamkniętych dłoniach.

Serce podchodzi jej do gardła, omdlewają ręce i nogi, cała się trzęsie.

Hannana pewno wyczuje jej rozdygotanie i obudzi się ze snu.

Ale Hanna śpi dalej.

Zawsze zmęczona, pada jak kłoda gdzieś i natychmiast zasypia.

Marta zawsze miała z tym kłopoty.

Nocą ozywają kłębiące się w jej głowie myśli.

W dusznym pokoju, przesyconym zapachami tylu osób, Marta widzi w ciemności zarys łóżka rodziców.

Ojciec lekkopochrapuje.

Mama leży nieruchomo, podobnie jak ona, i pewno też nie może zasnąć.

Rumieniec wstydu zalewa jej policzki.

Głos wewnętrznym mówi jej: To twoja wina.

Inny głos dopowiada: Trzeba było zachować czujność.

Wiedziałaś, że on jest niebezpieczny.

Tato przestrzegał, żeby strzymała się od niego z daleka.

Zamyka oczy, nie chcąc widzieć tego ciemnego, dusznego pomieszczenia.

Myślami wraca do domu, tam zasnęła, obudzi się we własnym łóżku.

Będzie wspominała.

Minęło zaledwie kilka miesięcy, a nie lat.

406

Leżąc w swym domu w łóżku, może poglądać w

niebopokryte złociste paświata, osnutecieniutkimi chmurkami.

Wysłuchujesz w poranną ciszę, szum wiatru kołyszącego wielką jodłą, której gałęzie, podobne do wyciągniętych rąk, wznoszą się kuniębu przybierającemu jaskrawy kolor.

W falującej zieloności igieł, delikatnych jak puch, przetykanych małymi szyszkami, rozbrzmiewa śpiew ptaków witających świt.

Serce Marty wypełnia się radością w oczekiwaniu na nowy dzień.

Gdy wschodzi słońce, gruby szary pień zmienia barwę, przybiera ciepły beżowy odcień.

Ta jodła jest najpiękniejszym drzewem na świecie.

Marta wstaje wyobraźni z łóżka, narzuca na ramiona szlafrok, schodzi cicho na dół, otwiera przeszkłone drzwi do ogrodu.

Stawia stopy na wilgotnej trawie.

Lśniące od rosy źdźbła są tak cudownie zimne, że na ich wspomnienie przechodzi ją dreszcz rozkoszy.

Wszyscy są jeszcze w łóżkach.

Cichy, pograżony we śnie ogród należy tylko do niej.

Idzie po trawniku, skręca raz w lewo, raz w prawo, przygląda się lśniącym kropelkom rosy, pod którymi ugina się każde źdźbło, kręgom srebrzystych, migoczących pajęczyn między jabłoniemi.

Odwraca się i widzi ślady drobnych stóp, które przygniotły i połamały źdźbła trawy.

Niebo przybiera delikatną barwę, róż przechodzi w błękit.

Nastaje nowy dzień i serce Marty przepelnia się uniesieniem, czystą radością życia.

Zimno bijące od ziemi staje się nie do wytrzymania.

Marta biegnie do domu, owijając się mocno szlafrokiem.

Uśmiecha się do siebie namyśl, że jest jedyną osobą na świecie, która właśnie widziała, jak wstaje dzień.

Na dywanie pozostają odciski mokrych stóp, tworzą linię krętą jak dróżka, po której pełzł ślimak.

Zdarza się, że tato wcześniej wstaje, żeby odwiedzić pacjenta.

Chwyta ją, sadzają krzesła i rozciera rękami lodowate stopy, przywracając

407.

krażenie w palcach.

Łagodnie ją karci, choć wie, że na nic to się nie zda.

Marta czuje mrowienie w stopach, biegnie po schodach na górę, wskakuje do łóżka i natychmiast zasypia.

Pod jej powiekami przesuwają się we śnieobrazy ogrodu, możliwości, które niesie nowy dzień.

Potem, gdy usłyszy wołanie Hanny albo mamy, nie zwraca na nie uwagi, o ile nie musi iść doszkoły.

Marta nie pamięta deszczowych, pochmurnych czy burzowych dni.

Tutaj, w końcu, we wspólnym pokoju, wspominają jedynie złocisty wschód słońca nad ogrodem, ciepłe promienie muskające skórę.

Ogarnia ją poczucie straty i lęku.

Łzy płyną jej strumieniem po policzkach wprost na twarz śpiącej Hanny.

Marta nie może ich powstrzymać, jakby żyły własnym życiem.

Hanna budzi się odruchowo obejmując Martę ramieniem.

Za oknem nie widać rozłożystej jodły, nie słychać śpiewu ptaków.

Są tylko domy, stłoczone jeden obok drugiego, pełne wystraszonych i zagłodzonych ludzi.

- Cii.

- szepcze Hanna - cii.

Marta ujmując jej dłoń i przykrywa drżący puls, zwiastując początek życia.

Hanna wzdycha.

Obejmuje mocno Martę przyciskając do piersi.

Dwie wychudzone dziewczyny tulą się do siebie, jakby wróciły do bezpiecznego łona matki.

- Wszystko będzie dobrze.

Nie bój się, Marto.

Będę się tobą opiekować.

Teraz musimy powiedzieć twoim rodzicom.

To nie twoja wina.

Zajmę się tobą.

Na pewno.

Hanna też zalewa się łzami, płacze nad sobą i utraconą rodziną.

Martę znowu ogarnia strach, jaki przeżyła tamtego popołudnia.

Zdradę przyjaciela.

Kres wszelkiej nadziei.

Czuje zapach nabrzmiałych pąków jabłoni, widzi grad różowych płatków, które osypują się na nią i na chłopca.

408

Martha budzi się w innym łóżku, w innym kraju, w innym życiu.

A mimo to obraża drzewa, ogrody, domy, mamy i taty szałaki żywe, takie prawdziwe.

Wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć życia, które dawno odeszło.

Uchylają się drzwi, słyszy tuż obok łagodny głos.

Znatego mężczyznę.

Zaraz sobie przypomni, kto to jest i gdzie się znajduje.

Barnaby wchodzi do sypialni Marthy, niesie tacę z kawą i cienkimi kromkami chleba.

Widząc jej zapłakaną twarz, odstawia tacę i podchodzi do łóżka.

- Nie płacz, mamusiu.

Fred tego nie znoś.

Byliście ze sobą tacy szczęśliwi.

Nie smuć się.

Gdy Martha odwraca się do niego, Barnaby domyśla się, że coś innego doprowadziło ją do płaczu i już uleciało jej pamięci.

Martha z wysiłkiem zbiera myśli, stara się skupić uwagę na chwili obecnej.

Barnaby'emu serce się kraje, gdy widzi te codzienne zmagania ze zwodniczą pamięcią i splątanymi

myślami.

Pomaga Marcie usiąść i kładzietacę najejkolanach.

- Dziękuję, kochanie.

- Martha bacznie mu się przygląda.

- Fred wyszedł naspacer z Homerem?

- Nie, mammo.

Fred umarł kilka dni temu.

Miał bezbolesną śmierć- dodaje szybko na pocieszenie.

- To dobrze, prawda?

Martha rozkrusza machinalnie szczupłymi, wykrzywionymi palcami kawałek chleba.

Drżą jej usta, spojrzenie jest mroczne i dalekie.

- Ogród znowu opustoszał - szepcze.

- Nikogo tamnie ma.

Gdy wypowiada te słowa, dochodzi ich szelest winorośli ocierającej się o okno i świergot sikorek buszujących w gałęziach.

- Popatrz, mamusiu - mówi Barnaby.

- W ogrodzie jest pełno ptaków.

409.

Martha lekko się uśmiecha, słysząc trzepot skrzydeł wśród liści.

- Co roku przylatują pod koniec lata i oskubują gałęzie ostatnich pączków. Odwraca głowę do syna i wyciąga do niego rękę.

- Fred zawszemówił, że nie umrze pierwszy, że nie zostawi mnie samej.

- Na jej twarzy pojawia się uśmiech.

- Jakby mógł o tym zdecydować.

- Delikatnie gładzi dłoń

Barnaby'ego.

- Twój ojciec był wyjątkowym człowiekiem.

- Wiem.

Martha opiera się o poduszkę i przymyka oczy.

Barnaby wsuwa jej rękę pod kołdrę.

- Pośpij jeszcze trochę, mamusiu.

Za jakiś czas przyjdzie Kate albo Lucy pomoże ci ubrać się w tę śliczną zieloną sukienkę, którą Fred tak lubił.

Pochowamy tatę, wspominając go z miłością.

Będziemy świętować szczęśliwe życie.

Czyż nietak należy pożegnać?

Gdy Barnaby zabiera tacę, Martha przewraca się na boki obserwując taki.

- Właśnie tak go pożegnamy - mówi jasno i wyraźnie.

- Bez.

jak on to mawiał, kochanie?

- pytasennym głosem.

- Bez mazania się.

- Barnaby pochyla się i całuje ją w czoło.

- Bez mazania się - powtarza Martha z uśmiechem, słysząc głos Freda.

- Bardzo cię kocham, mamusiu.

- Ja cię też.

Wykapany ojciec.

Barnaby uśmiecha się i zamyka drzwi sypialni.

Lucy i Kate pomagają Marcie włożyć zieloną jak jabłko sukienkę.

Fred nie znosił widoku Marthy w czerni iniepozwał jej nosić czarnych ubrań.

Dobiega ich gwar rozmów i trzask drzwiod samochodów.

Koło domu płynie

strumień ludzi, zmierzających do kościoła wcześniej, żeby zająć miejsce w ławkach.

Dziadunio nigdy by się niespodziewał, że przyjdzie cała wioska - myśli Lucy.

Wie od Kate, że śmierć Freda była szybka i bezbolesna.

Dlaczego ludzie zawsze to mówią?

- przebiega jej przez głowę.

Skąd mogą to wiedzieć?

Jest wystraszona, bo pierwszy raz uczestniczy w pogrzebie.

Żałuję, że nie zadzwoniłam do domu w zeszły weekend.

Chciałam zadzwonić, ale jakoś nie wyszło.

Lucy zostawia Kate z Martha i idzie poszukać Barnaby'ego.

Zastaje go razem z Anną przy otwartych drzwiach wejściowych.

- Karawan przejedzie wolno przez wioskę.

W ten sposób ci, którzy nie mogą pójść do kościoła, będą mieli sposobność pożegnać Freda.

Stanie przed kościołem dwadzieścia po drugiej - informuje Barnaby Annę.

- Wejdziemy za trumną do środka.

Philip, nowy wikary, rozpocznie ceremonię i zaintonuje pierwszy hymn.

Potem ja poprowadzę uroczystość.

Barnaby oddycha z ulgą na widok Lucy.

- Martha będzie niedługo gotowa?

- pyta.

Widząc jej bladą twarz, przygarnia Lucy i tuli mocno.

- Dziadunio powiedziała: "Bez mazania się, koledzy"- mówi Lucy przygnębiona.

-Możesz się mazać do woli.

Nie będziesz jedyna - pociesza ją Barnaby.

Annaszybko wychodzi na zewnątrz i zapala papierosa.

Chryste Panie, jakże nieznośne są te sentymentalne rozmowy Barnaby'ego z Lucy.

Słuchając ich, uświadamia sobie, jak bardzo irytuje ją takie zachowanie.

Lucy ciągle zarzucała jej snobizm, ale prawdą jest, że Anna czuje odrazę do ludzi z klasy średniej, którzy z satysfakcją posługują się potocznym językiem, jakby zawarli ze sobą

411.

jakieś tajne porozumienie.

Czy zawsze tak było, czy dopiero po ślubie z Rudim?

To uczucie, że odrzuca inni jednocześnie jest odrzucana, zna z dzieciństwa, wówczas pobudliwość i odmienność Marthy budziły jej zażenowanie i irytację.

Przydałby się tu Rudi ze swojátypowo niemiecką powściągliwością, która tak bardzo jej odpowiada, ale Rudinie zdołał przełożyć spotkania i poleciał do Brukseli.

Będzie musiała przetrwać ten dzień, zdana wyłącznie na siebie.

Wyjedzie stąd zaraz po pogrzebie.

Może nawet zdąży dojechać do Londynu, zanim wyląduje nocny samolot Rudiego.

Martha wychodzi z sypialni razem z Kate.

W zielonejsukienice wygląda elegancko, ale jej spojrzenie jest pozbawione wyrazu.

- Wspaniale się prezentujesz, babuniu - mówi Lucy, uśmiechając się do Kate.

Dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego pojawiają się na podjeździe.

Barnaby czeka na nich w otwartych drzwiach gdy dają mu znak, woła:

- Wszyscy gotowi?

Anna podchodzi do Marthy i głośno zwraca się do niej zdecydowanym tonem:

- Mamo, idziemy na pogrzebaty.

Pamiętasz?

Martha wpatruje się w nią, nie wiedząc, kim jest ta kobieta, ale myśli sobie, że zawsze się tu rządziła.

- Oczywiście, że pamiętam - kłamie.

Barnaby bierze Marthę pod ramię.

Ruszają w stronę bramy i wychodzą na ulicę.

Przed kościołem stoi karawan, a w nim trumna przykryta kwiatami.

Barnaby, Brian i dwóch członków komitetu parafialnego biorą trumnę na ramiona.

Gdy kierują się w stronę kościoła, Martha patrzy niepokojącym wzrokiem na trumnę.

Lucy podaje jej rękę.

412

Martha idzie trochę chwiejnie, stawiając drobne kroczki i szurając nogami.

Jej białe włosy rozwiewa wiatr.

Jedną ręką trzyma się Lucy, drugą rękę odchyła w bok, jakby chciała utrzymać równowagę albo znaleźć oparcie, gdyby się potknęła.

Przekręca lekko głowę w stronę morza i widzi niewyraźną postać w cieniu pod dębem.

Ten człowiek przypomina jej kogoś.

Kogoś, kto lubił chować się za drzewami.

Kogoś, kto lubił zabawy budzące strach.

Stoję w cieniu grubego, starego dębu z powyginanymi gałęziami i liśćmi zszarzałymi na brzegach, pochylonego pod naporem morskich wiatrów.

Za moimi plecami rozciąga się czarna tafla przypiływu.

Nagle wychodzą przez bramę, idą przez ulicę i stają przy karawanie.

Anna Gerstein, młoda dziewczyna, zapewne jej córka, pastor i drobna staruszka o białych włosach, która rozwiewa wiatr.

Dziwnie się porusza, kurczowo trzymając rękę dziewczyny, drugą rękę odchylając w bok dla zachowania równowagi.

Przechodzi blisko mnie i lekko się odwraca, jakby wyczuła moją obecność.

Dostrzegam wystające kości policzkowe, widzę.

o Boże, widzę prawą rękę z powykreczanymi palcami.

To jest.

Nie, to niemożliwe.

Marta Ołowska?

Wykluczone.

Niezdolałaby przeżyć.

Wielki Boże, to niemożliwe.

Fred zostaje wniesiony do kościoła.

Leży otoczony barwnymi wieńcami, zajmującymi dużą część posadzki.

Martha, oszołomiona kwiatami, tłumem ludzi, trumną, przypomina sobie nagle, że Frednie żyje.

Jest przerażona: Fred umarł.

Leży w tej trumnie.

Fred umarł.

Nieoczekiwanie siada w ławce podczas pierwszego hymnu.

Lucy siada razem z nią.

413.

- Wszystko odeszło - szepcze Martha do siebie.

Gdy kończysz hymn, mówi jasno i wyraźnie do Lucy:

- Już skończone.

Nie zostanę.

Lucy wpada w popłoch.

- Ależ, babuniu, musisz zostać.

- Fred i ja.

- ciągnie Martha, pochylając się do Lucy- zawsze byliśmy razem.

Nie zostanę tu.

Czyon będźwiedział?

- pyta z niepokojem.

Lucy wreszcie pojmuje, co Martha ma na myśli, i cichomówi jej do ucha:

- Oczywiście, że będźwiedział, babuniu.

Będzie czekał na ciebie tam nagórze, spoglądając na zegarek.

Martha uśmiecha się, podniesiona na duchu, i zaczyna słuchać mowy Barnaby'ego.

Czuję mdłości, zbiera mi się na wymioty.

Wypadam z cmentarza i biegnę trawiastym stokiem w stronę morza.

Oblewa mnie zimny pot, po plecach przebiega lodowaty dreszcz.

Trzęsę się przerażenia, przytłoczony wspomnieniami.

Ona napewno umarła.

To niemożliwe, by przeżyła.

Niewidzę starszej pani.

Nie widzę śmiejącego się dziecka na koniu, dziewczynki, która niczego się nie bała.

Widzę tylko dziewczynę, która straciła wszelką nadzieję tamtego dnia, gdy widziałem ją po raz ostatni.

Moje wspomnienie się urywa.

Musi się urwać.

W porządku.

Nie będę sobie przypominał, nie będę wracał pamięcią do tego strasznego miejsca.

Znowu chwytają mnie torsje.

Wyczerpany, opieram się pień drzewa.

Przyjaciele Freda wygłaszają mowy pożegnalne.

Opowiadają znane historie o jego roztargnieniu.

Pewnego razu do gabinetu przyszła pacjentka na badanie.

Poprosił, żeby rozebrała się za parawanem, i w tym czasie dostał

414

wezwanie do nagłego wypadku.

Zupełnie o niej zapomniał, a gdy wieczorem wrócił do gabinetu, ona wciąż tam była, śpiąc w najlepsze na leżance.

Gdy nadchodzi późne popołudnie, a szarzałe niebo zlewa się z bladym oceanem,

Fred zostaje pochowany.

Ziemia przykrywa trumnę.

Martha zastygłatwarzą bierzegarsć ziemi, która przesypuje jej siemiędzy palcami.

Wie, że grzebie Freda.

Barnaby stoi obok niej.

Naprzeciwko Marthy, po drugiej stronie grobu, stoi Anna i to ona dostrzega na twarzy matki grymas bólu po stracie Freda.

Anna traci oddech, przejęta jej rozpaczą.

Chwilę później twarz się uspokaja.

Obojętnie.

Lucy wolno przechodzi z Martha przez ulicę.

Przy bramie Martha nagle odwraca się i spogląda w stronę morza.
Nikogo tam nie ma.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Wchodzi do pustego kościoła i zamyka skrzypiące drzwi przedsionka.

Zmęczony torsjami, oddychając ciężko, czuje przyspieszone bicie serca i zimny pot na skórze, obrzydliwej jak skóra węża.

Kościół jest mały, prymitywny w wystroju.

Wchodzi wolno do środka, żeby przyzwyczaić oczy do mroku.

Spogląda na mosiężne tabliczki czci zmarłych, witrażowe okna, dwa ołtarze, z których ten mniejszy jest poświęcony Marii Pannie.

Wielka Biblia leży otwarta na tekście Ewangelii według świętego Jana.

Świecą zgaszone, ale w powietrzu wciąż unosi się lekki zapach wosku.

Wśród pozostawionych kwiatów przeważają wielkie białe lilie o silnej woni, często kojarzone ze śmiercią.

Chłonie poszczególne elementy wnętrza, jakby chciał wtąpić się w tę scenerię z drewna i kamienia.

Wraca do tylnej, ciemnej części kościoła, isiąda w ławce, poruszony pustką i ciszą, które robią większe wrażenie niż kościół wypełniony ludźmi.

Wciąż czuje mdłości.

Wzbierają w żołądku i podchodzą do gardła, aż musi przełknąć gromadzącą się w ustach żołąć.

Czuje, że jeśli znowu chwycą go torsje, straci przytomność.

To skutek szoków.

Tak się dzieje, gdy człowiek podąża za czymś, w co do końca nie wierzy, a co jest jego obsesją.

416

Przymyka oczy, odsuwając od siebie powracające wspomnienia, obrazy, które pojawiają się pod powiekami.

Tłumi obraz dziewczynki i

Marta.

Marta żyje.

To imię dźwięczy mu w głowie, przywiera do podniebienia.

Nie może wymazać pamięci ich ostatniego spotkania.

Przenosi się w jeszcze ciemniejszy zakątek kościoła, gdzie zarys jego postaci zlewa się z powierzchnią kamienia.

Traci poczucie samego siebie, własnej fizyczności, wnikając w wilgotny granit i napotyka ciemność swego wnętrza.

Oddycha ciszą wieczną jak śmierć.

Dotyka wytartego, gładkiego drewna.

Czuje zapach kwiatów i wosku świec.

Widzi jasne refleksy na mosiężnych tablicach.

Promienie światła wpadającego przez okno drżą i migoczą nakręcyfiksiem wtopionym w mrok.

Nie ma odwagi oderwać wzroku od tego migającego światła w obawie, że pograży się w pustce.

Widzi ulice getta i skulone dzieci, umierające w samotności.

Ściągnięte, przerażone twarze.

Ciężarówka i pejczy.

Dziewczynę w zaciemionych drzwiach.

Czuje odór strachu.

Własnego strachu.

Wagony bydłecy wytaczają się z bocznicą długim sznurem i odjeżdżają w lodowatą noc.

Widzi strach w ciemnych oczach i drżeniu dłoni, które chwytają gorączkowo tobołki.

Ponownie przeżywa swój lęk, który zamknął go w pancerzu okrucieństwa, zdławił wszelkie emocje.

Pił.

Wypełniał rozkazy.

Pił.

Ma wrażenie, że kościółpojękuje.
Otaczająca ciemnośćzastyga w bólu.
Potrafi przywołać postać młodzieńca, jakim był kiedyś, lecz nigdy niepozna prawdy o sobie.
Czyzawsze brzydziłem siębrutalnością?
Czy to zestrachu dopuszczałem się okrucieństwa?
A może, jak szkolny zabijaka, upajałem się władzą?
Już w dzieciństwie odczuwał

417.

swoją odrębność, dystansował się wobec rzeczywistości.

Zawsze odznaczał się skłonnością do okrucieństwa; tenrys charakteru tkwił w jego psychice niczym obce ciało.

Mrok gęstnieje.

W kościele robi się zimno.

Cienie gromadzą się jak pajęczyny, wyciągają się ku jegotwarzy.

Zdradził ojca.

Zdradził rodzinę sąsiadów.

Zdradził samego siebie.

Kim właściwie jest?

Latami powtarzał śpiewkę o udanym życiu, aż w końcu nauczył się tej melodii na pamięć.

Aż uwierzył.

Aż stała się faktem.

Już nie wie, co jest prawdą tej pieśni osobiesamym.

Jeśli człowiek postępuje okrutnie i potrafi płakać, czy jego okrucieństwo jest mniej brutalne niż wówczas, gdy popełnia je z obojętnością albo radością?

Jeśli człowiek przez całe życie nastawia złamane kości, alen nie potrafi zdobyć się na

współczucie wobec pacjentów, czy jego praca ma w sobie tyle dobra co praca lekarza troszczącego się o chorych?

Pacjenci są jak nowonarodzeni, ich wdzięczność jest szczerą.

Jakie to ma w końcu znaczenie, gdy udana operacja jest traktowana jako wyraz współczucia i zrozumienia dla drugiego człowieka?

Radość pacjentów, którzy odzyskali zdrowie, nie zmienia się zależnie od tego, co czuje wobec nich lekarz.

Nie zna odpowiedzi na te pytania.

Zna tylko ból, który teraz go dręczy.

To potworne znużenie, które wypełnia jego roztrzęsioną duszę, trzepoczącą się jak ćma, gdy znalazł się w cieniu życia i nie może dociec, kim się stał i dlaczego.

Tyle razy tworzył nową wersję swojego życia, przeplatał wątki, poprawiał fakty, aby całość wyglądała, jak należy.

Nie miał czasu namyślenia.

Tylko praca, kobiety i sen.

Trzeba pogrzebać wspomnienie chłopca, z którego wyrósł mężczyzna w czarnym mundurze.

Żołnierz, który trzyma karabin i patrzy na przerażone, uciekające postacie

cię utrwalone na niewyraźnej czarno-białej fotografii w książce historycznej.

To należało do tamtego życia.

Teraz jest inne.

Anna zostawia za sobą gwar, wymianę wspomnień z pogrzebów, brzęk kieliszków, radosne spojrzenia ludzi, którzy ujrzeli znajomych dawno niewidzianych lub uznanych za zmarłych.

Idzie szybko krokiem przez ogród.

Silny wiatr od morza uderza ją w plecy, gdy przechodzi przez furtkę prowadzącą do małego domku.

Anna wie, że nie ma tam nikogo, ponieważ Kate pomaga Lucy przygotowywać posiłek.

Czuje się niepokojenie, trochę jak złodziej.

Dom należy do niej, ale nie ma prawa w nim przebywać, ponieważ został wynajęty.

Też byłaby oburzona, gdyby ktoś naruszył jej prywatność.

Słyszała, jak Lucy opowiada Kate, że gdy była mała, Fred robił jej różne rzeczy z drewna: małe pudełka, laleczki, którym Martha szyla ubranka.

Stojąc w salonie pełnym gości, Anna przypomniała sobie nagle, że Fred zrobił dla Lucy schowek w ławie pod oknem sypialni.

Idzie prosto na górę do pokoju Lucy.

Działa instynktownie, przekonana, że Lucy coś przed nią ukrywa.

Naciskanie widoczną dźwignię, podnosi wieki grzebie w stosie pluszowych zabawek,
niewinnych pamiątek z dzieciństwa Lucy.

Jest zawiedziona, nie znajdując niczego, co by ją zainteresowało.

Przerywa poszukiwania, ogarnięta wątpliwościami - coraz częściej się zdarza - czy postępuje
słusznie.

Właściwie wie, czego szuka, ale czuje nieprzepartą potrzebę, by przetrząsnąć domek.

Słabym, lecz natarczywym mechem powracają do niej słowa, które Lucy wyrzuciła z siebie w
gniewie: Jesteś wredną faszystką.

Masz to we krwi.

W genach.

419.

Anna opuszcza wieko ławy i nasłuchuje.

Cisza.

Nikt nienadchodzi.

Słyszc tylko jedynie świst wiatru.

Nie chce, żeby Kate zastała ją tutaj.

Dlaczego po prostu spytała jej, czy może poszukać czegoś na strychu?

Anna wchodzi na półpiętro i przystawia drabinę.

Może zawodzi ją pamięć - małemu dziecku, które zostało przyłapane na łamaniu zakazu i miało poczucie winy, mogło się wydawać, że odkryło coś okropnego.

Włącza światło na strychu i podciąga się na krawędziotworu.

Suniena czworakach po zakurzonej podłodze, dociera do ścianki działowej i klęka przykufrze Freda.

Tak jak poprzednim razem - wyblakłe rachunki i listy.

Mnóstwo listów.

Niektóre z nich, pisaneręką Freda, widzi pierwszy raz.

Zwróconenadawcy.

Co za okrucieństwo.

Jakże rozgoryczeni musieli być jego rodzice.

Czy ktoś zaprzyjaźniony z rodziną Freda przeczytał jego śmierci w gazetach i widząc znajome nazwisko, zamyślił się chwilę?

Ogarnięgo żal, że coś zostało zaprzepaszczone i stracone?

Stare świadectwa szkolne, pamiątniki, pożółkłe fotografie z zawiniętymi rogami.

Rzeczy Freda.

Czy stanowiły część życia, z którym nie potrafił całkowicie się rozstać?

Pamiątki, których nie chciał spalić ani zniszczyć, ponieważ ten początek, to dzieciństwo, to życie były kiedyś dla niego wszystkim.

Wiódł bez troski, dostatni żywot, zanim w ogóle dowiedział się o istnieniu Marthy.

W tamtych początkowych latach - znajomej krzepiącej materii dzieciństwa - zawierało się życie, które utracił na zawsze.

Cos utraconego na zawsze.

Klęcząc na zakurzonej podłodze, Anna ma poczucie przeniesienia w przestrzeni, ogarnia ją dotkliwa melancholia, jakby słyszała pogłos nakońcu ciemnego długiego tunelu.

Ledwie uchwytne.

Ale

420

realny, tkwiący w jej świadomości jak kawałek materiału, który zahaczył o drut kolczasty.

Cóż to za wiersz czytał kiedyś jej ojciec Marcie?

"Jak kołająca się po głowie myśl.

".

Gdy Anna klęczy w mroku, nagle odżywa w jej pamięci wspomnienie czerwonego pudełka.

Było tutaj.

Napewno.

Wysypywały się z niego dokumenty, brązowe koperty.

Serce wali jej jak młotem.

Wyjęła kartkę papieru, zobaczyła na niej swoje imię.

Czuje ostry, przyprowadzający o mdłości ból i wydaje krzyk, a jednocześnie z ciemności wyłania się dziwny, spustoszony krajobraz tłumem ludzi, którzy ciągną kolumnami bez końca.

Wspomnienie umyka szybciej, niż gasi je strach, i znikabez śladu.

Pudełko zostało zabrane.

Lucy je zabrała.

Ale dlaczego?

Anna wyłącza światło, schodzi po drabinie i odstawia ją na miejsce.

Otrzepuje się z kurzu, po czym idzie z powrotem do sypialni Lucy.

Rozgląda się popokoju.

Już w dzieciństwie Lucy doskonale potrafiła chować różnierzeczy przed Anną, a Anna równie doskonale potrafiła je

znajdować.

Zwraca uwagę na kominek, którego obramowanie wystaje odrobinę z jednej strony.

Ostrożnie wyciąga luźny kawałek i w środku znajduje paczkę zawiniętą w plastik.

Roztrzęsiona przykłęka na podłodze, ale niemoże zdobyć się na to, żeby dotknąć tajemniczego zawiniątka.

Słyszy własny oddech, ciężki i przyspieszony.

Powoli wsuwarękę w otwór, wyciąga paczkę i wstawia kawałek obramowania na swoje miejsce.

Wstaje, spogląda przez okno i widzi światło kościoła, kamienne mury wygładzone żółtym blaskiem.

Ten domek i ten widok z okna.

Czy to jest jej najwcześniejsze wspomnienie?

421.

W narastających ciemnościach kościół przypomina latarnię morską.

Anna czuje, że coś ją tam ciągnie.

Chceusiać w ciemnymkościele, jak robił to Fred, jak teraz robito Barnaby.

W lodowatychrękach trzyma paczkę.

Przenika ją strach.

Wychodzi z domku, dokładnie zamyka drzwi i idzieprzez ulicę do kościoła.

Rozdziałpięćdziesiąty czwarty

Kiedy wojna przybrałaniepomyślny obrót, zostałem oddelegowanyz mojego pułku do wojskowego instytutu badawczego, gdzie pracowałem w laboratorium, a jednocześnie kontynuowałem studia medyczne.

Ludzi z wykształceniem medycznymkierowano do szpitali i jednostek medycznych.

Liczebność armii tak spadła, że zaczęto werbować dzieci.

W zakładzie, gdzie pracowałem, panowała nerwowa atmosfera, wywołana poczuciem, że czas się kończy.

Ponieważ byłem studentem, miałem ograniczony dostęp do prowadzonychbadań.

Robiłem zestawienia danych statystycznych, związanych z eksperymentami medycznymi.

Nie informowano mnie, na czym one polegały ani po co je przeprowadzano.

Wiedziałem tylko, że mają zasadnicze znaczenie dla pomyślności żołnierzy w służbie czynnej.

Kierownik zakładu, profesorMuller, Hauptsturmfuhrer, pilnował, żebyśmy widzieli tylkoto, co mamy przed oczami.

Reszta była tajna.

Gdy sięokazało, że nie można powstrzymać naporu Rosjan, wysłano mnie razem ze SturmbannfuhreremBruherem doOświęcimia.

Armia Czerwonaaczynała nasokrażać.

Obozymiały być zlikwidowane.

Mengele i jegowspółpracownicy domagali się, bywszystkie badania zostały ukończone, a raportywywiezione z obozu.

Wiedziałem, dlaczego wysyłamnie do

423.

szpitala.

Podjezwano, że szerzy się tam tyfus, wybuchła też epidemia dyzenterii.

Oświęcim.

Informacje, które do mnie docierały, były prawdziwe, ale wolałem nie dawać im wiary.

W tym potwornym miejscu założono szpital, gdzie przeprowadzano doświadczenia na "ochotnikach".

Stamtąd przychodziły dane statystyczne, które analizowałem w instytucie.

Nie wiedziałem, jakie były założenia tych eksperymentów.

Skąd miałbym wiedzieć?

Tylko szalenie mógłby sobie wyobrazić podobne okropności.

W obozie panowała atmosfera skrywanej paniki - w piecach niszczone dowody.

Sturmbannführer Bruher, w obawie, by nie zaraził się tyfusem, nie przekroczył progu szpitala, lecz wysłał mnie, żebym zgodnie z rozkazem zabrał dokumenty dotyczące badań.

W szpitalu były osobne oddziały dla kobiet i mężczyzn.

W sali, do której mnie wprowadzono, zobaczyłem tylko młode kobiety z dziećmi.

Same bliźnięta.

Bliskie śmierci, leżały w białych koszulach szpitalnych w mrocznym laboratorium, na wózkach, na pryzkach.

W ich oczach malowało się przerażenie, wyczekiwanie.

Dotychczas uważałem, że wykonuję zwyczajną pracę laboratoryjną - sprawdzam i porównuję dane.

Wtedy, w tej sali, zobaczyłem rezultaty doświadczeń na ludziach.

Na tym polegał mój udział - nie ratowałem ojczyzny, ale brałem udział w nikczemnych badaniach, w fanatycznym ludobójstwie, do którego dopuszczano się w obozie.

Oświęcim.

Miejsce ohydnej karni i niewyobrażalnych męczarni.

Słyszałem pogłoski, widywałem, jak w instytucie przenoszono dokumentację.

Ale wolałem nie widzieć i nie słyszeć, ponieważ nie chciałem uwierzyć.

Zadawałem sobie pytanie:

nawet jeśli to prawda, cóż mogę zrobić?

Lekarz dyżurny, z pochodzenia Polak, przyglądał się bacznie mojej twarzy.

424

- Przynieś karty pacjentów - rzuciłem mu ostro, - Tutaj zbadam te kobiety i zobaczę, czy są zarażone.

Masz się nie pokazywać.

Nie chcę, żeby choroba się rozprzestrzeniła.

Patrzyłem na kobiety leżące w tej straszliwej izbie tortur.

Umierały, ałen na tyfus i na dyzenterię.

Jakaś dziewczyna wydała ostatnie tchnienie, gdy przewróciłem ją na bok, gdy tylko jej dotknąłem.

Pacjentkom szpitala nie golono głów, ponieważ dokonywano pomiarów włosów i kości, a potem sporządzano raporty zgodnie z wymogami praktyki lekarskiej.

To właśnie po włosach poznałem Martę.

Leżała twarzą dościany, z podkurczonymi kolanami, bez ruchu.

Oprzytomniałem w Oświęcimiu.

Ocknąłem się w piekło i zawyłem w duszy na myśl o ojcu, który przez całe życie ratował ludzi.

Było tak, jakby przewidział, że oprzytomnięję w potwornych okolicznościach, że zostanę ukarany za szerzenie zła?

o którym będę musiał na zawsze zatrzeć wszelkie wspomnienie albo zwariuję.

Czułem, że ojciec jest przy mnie, tuż obok, i mówi szeptem:

Byłeś nieczuły na śmierć tysięcy ludzi.

Śmierć tej jednej osoby będzie cię dręczyć w nieskończoność.

Ująłem ją za nadgarstek, wyczułem słaby puls- Odwróciłam głowę w moją stronę i spojrzałam wzrokiem pełnym przerażenia, pozbawionym nadziei.

Sine wargi się rozchyliły, wyrażając coś wiele bardziej przejmującego niż ból.

Choć w salibym przerażliwie zimno, zlałem się potem.

Poczułem zawroty głowy i chwyciłem się pryczy.

- Wszystko będzie dobrze - usłyszałem swój głos jakby z oddali.

- Nie ruszaj się.

Dość już tego.

Zabiorę cię stąd.

Zapadnięte oczy były puste.

Nie wiedziałem, czy mnie poznała.

Wyszedłem roztrzęsiony z sali.

Polski lekarz śleczął nad raportami lekarskimi, które miałem zabrać do Niemiec.

Pod moim spojrzeniem dygotały mu dłonie.

On też był więźniem.

Też chciał przeżyć.

425.

Powiedziałem mu, że doświadczenia zostają wstrzymane doodwołania.
Zmarłych należałoby wynieść, a potem dokładnie zdezynfekować oddział.
Lewą ręką wymacałem w kieszeni banknoty, prawą uniosłem w geście hitlerowskiego
pozdrowienia, starając się ocenić, jak bardzo ten lekarz się mnie boi, na ile będzie posłuszny
człowiekowi w mundurze.

Wiedział, że nie mam uprawnień ani odpowiedniej rangi, żeby wydawać takie polecenia.
Czy uda mi się odwrócić jego uwagę albo przekupić go, powołując się na zwierzchników
groźniejszych ode mnie?

Przed szpitalem leżały stosy trupów, ciała jedno na drugim, zeszywniałe na mrozie.
Nikt nie zdołałby sprawdzić tożsamości zmarłych.
Tylko na to mogłem liczyć.

W ogólnym chaosie, jaki wywołali esesmani, pragnący ratować własną skórę uciec
przed nadejściem Armii Czerwonej, miałem nadzieję, że zdołam zabrać ją ze szpitala i zanieść
dobloku, by umarła z dala od tych rzeźników.

Nie mogłem zostawić jej w szpitalu.
Nie mogłem pozwolić, by umarła w tym straszliwym miejscu.

Pragnie, by pochłonęła go cisza kościoła.
Pragnie, by strumień wspomnień odpłynął i zniknął pod ziemią.
Abyż nowo mógł wieść pracowite, udane, szacowne życie.

Czy tylko wtedy, w Oświęcimiu, uświadomił sobie, że jest zbrodniarzem wojennym?
Milczenie.

Brak odpowiedzi.
Jest za późno, by teraz nawiedzały go szept.

Jest starym człowiekiem.
Od czasu wojny ratował ludzi przez całe życie.
Był utalentowanym, zręcznym chirurgiem.
Starł się odpłacić.

Nieprawda.
Był niezłym, ambitnym lekarzem, który ratował wielu chorych, ale rzadko miał dobre słowo
dla pacjentów, chyba że byli młodzi i urodziwi.

Był doskonałym
diagnostą, nie bał się podejmować ryzykownych decyzji, lubił odgrywać Boga.
Czy w drugiej połowie życia ratował więcej ludzi, niż pomógł zabić w pierwszej?

Naprawdę?
Stoi roztrzęsiony w małym angielskim kościele.
Choć pięćdziesiąt lat temu zapomniał, co to płacz, teraz płacze.

Płacze na myśl o drobnej starej kobiecie, która szła zatrumną, dziwnie przechylona nabok,
niezgrabnie trzymając ręce o zdeformowanych na zawsze palcach.
Kobiecie, której kości są pełne arszeniku na skutek czegoś, w czym uczestniczyłem.

We wspomnieniach widzę młodą dziewczynę, dorodną i zdrową.
Niewinną.

Śmieje się podekscytowana, siedząc na lśniącem grzbiecie Tylicza, który staje dęba na trawniku
przed domem.

Nawet Mutti patrzy z niemym podziwem.

Płacze, bo mam w pamięci piękną Esterę Ołowską, gdy przykłada rękę do ust w strachu, że
jej córka spadnie z pięknej kolumny, i widzę pracowitego, szlachetnego doktora Ołowskiego, który
znał moją duszę i wiedział, co się

wydarzy.

Oplakuję zatarte wspomnienia i wymazany ze świadomości obraz małej dziewczynki o
rozszerzonych ze strachu oczach, którą matka uniosła w górę, błagając, żeby ją ocalił, zanim
sama zostanie wywieziona z getta do Oświęcimia.

Mimo tego, co zrobiłem, Marta Ołowska przetrwała.

Zaznała życia.

Miała dzieci.

Nie ma odwagi dać wiary temu, co widział na własne oczy.

Z wyczerpania kręci mu się w głowie.

Rozpływa się w materii kościoła.

Niczym drobina pyłu daje się unieść fali czasu i łączy się wiecznym duchem tego miejsca.

427.

Siedzi skulony, podobny do strzępka wygasłej pamięci, i czeka.

Na zadośćuczynienie?

Naatak serca?

Na przyływ energii, by tylko wrócić do domu?

Anna popychaciężkie drzwi kościoła.

Zawsze skrzypiały, jak sięga pamięcią.

Nim zamkną się z trzaskiem, słyszy głos ludzi na ulicy, odgłos zamykanych drzwi samochodowych, wołanie Barnaby'ego, który żegna gości.

Zatrzymuje się na chwilę, żeby oczy przyzwyczaiły się do mroku.

Potem idzie nawą, trzymając w ręku paczkę, i siada w ławce.

To królestwo Barnaby'ego.

Mosiężne tabliczki ku czcipoległych na wojnie.

Refleks światła na złotym krzyżu, świeczniki stojące na ołtarzach, rozwinięte flagi, zatęchławoń, klęczniki obite różnokolorowym sukniem, twarde drewniane ławki, głucha cisza po zamknięciu się drzwi.

Nagle uświadamiasobie, że jesteś, gdzie siedzisz, nie ma bocznych oparc, których mogłaby się przytrzymać.

Przestrzeń, gdzie się znajduje, przyprawia o zawrót głowy.

W jej pamięci tworzy się wąska szczelina prowadząca do otchłan reminiscencji, gdzie czai się poczucie straty, której nie potrafi sprecyzować, mrozący strach, którego nie potrafi nazwać.

Strach, który zawsze jej towarzyszył.

Fred umiał zapanować nad tym strachem, odpędzić demony równie łatwo, jak gasił swoją fajkę.

Ale Fred już odszedł i nikt nie zdoła powstrzymać demonów.

Gdy była mała, Fred opowiadał jej, jak to dawno temu, na cyplu, pod kościołem, znajdowała się mała, prymitywna kaplica z kamienia, zwrócona w stronę morza.

Morze zaczęło się przybliżać, aż w końcu zalało rozproszone chatki i maleńki kościółek.

Legenda głosi - mawiał Fred - że w głębinach wioska żyje dalej i przy sprzyjającym wietrze można usłyszeć głosy nawołujących się mieszkańców.

428

Z czasem ludzie zmienili kierunek prądów morskich, stworzyli wydmy, a na nich wysiali trawę. Czas, który kiedyś się tu zatrzymał, wciąż jest wyczuwalny - myśli Anna.

Czy dlatego Barnaby znajduje w tym miejscu spokój?

Czuję ciężkie pudełko na kolanach, miękki plastik.

Cichy, mroczny kościół spowija ją jak ciężka wełniana peleryna.

Anna mawrazenie, że nie może drgnąć, że nigdy się nie podniesie.

Nagle przytamtamnia sobie, że nie jest sama.

Czuje jakiś ruch, cichy szelest w tylnej części kościoła, oddech za plecami.

Włosy jeżą jej się na głowie.

Z bijącym sercem odwraca się i jej wzrok pada na wysokiego, szczupłego mężczyznę w podeszłym wieku, który wyłania się z ciemności, jakby przywołany czarami.

Anna zamiera ze strachu, gotuje się do ucieczki, widząc, że mężczyzna zagradza jej drogę do drzwi.

W ciemności majaczy niewyraźna twarz.

Podnosi się ręka w uspokajającym geście.

- Proszę się nie bać.

Nie chciałem pani przestraszyć.

Mężczyzna mówi z niemieckim akcentem.

Anna wpatruje się w gęstą ciemność za jego plecami i bezwiednie pyta po niemiecku:

- Kim pan jest?

Mężczyzna stoi nieruchomo, nie odzywa się.

Spoglądają na siebie w milczeniu.

- O tej porze kościół jest zazwyczaj zamknięty - mówi po chwili Anna.

- To przepiękny kościół.

Anna przechodzi koło ławek, żeby ominąć nieznanego, i kieruje się do wyjścia.

Mężczyzna idzie za nią i widząc jej niepewność, gdy dotyka ciężkiej mosiężnej klamki, dodaje:

- Lubię posiedzieć w kościele.

Nachodzą mnie myśli o tym, co kiedyś było dobre.

Zastanawiam się nad życiem ludzi, o których istnieniu nie miałem pojęcia.

429.

Anna otwiera drzwi i mruży oczy oślepią światłem.
Odwraca się i widzi opaloną twarz, szpakowate włosy, niemal białe, rzednące na skroniach.
Spotyka spojrzenie intensywnie niebieskich oczu, które patrzą na nią z niezwykłym przejęciem.
Anna stoi w bezruchu, trzymając rękę na solidnej zasuwie.

Widzi swoje oczy.

Wpatruje się w odbicie własnej twarzy.

Otwiera usta, jakby chciała zawołać w innym języku, wysokim donośnym gardłowym głosem, wykrzyknąć słowa, których nie może wypowiedzieć po angielsku, słowa, których nie zna, przerażające, obce, groźnie brzmiące w jej uszach.

Ma wrażenie, jakby krzyczała w niej Martha, jakby tkwił w niej jeszcze ktoś inny.

- Dobranoc - mówi mężczyzna i szybko odwraca od niej wzrok.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem.

Odchodzi szybkim krokiem w ciemność zalegającą morze, porysowaną wąskimi smugami białych fal.

Intensywny błękit oczu dostrzeżonych przelotnie w zatłoczonej sali sądowej.

Oddalająca się postać.

Cień na londyńskiej ulicy wczesnym rankiem.

Anna zamyka drzwi kościoła.

Nie może ich zaryglować, bo klucz ma Barnaby.

Gdy wychodzi na ulicę, nieznajomego już nie widać.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Ziemia jest zamrznięta.

W blokach stoją wielopiętrowe prycze, podobne do klatek, na których leżymy skurczone, jedna obok drugiej.

Od tygodni nie przeprowadzają selekcji.

Są tuzetki kobiet, przytulonych do siebie, żeby się choć trochę ogrzać; wyglądają jak zwierzęta spędzone do stodoły.

Przez lato przylgnął do nas zapach błota naniesionego z pół.

Ponieważ nie możemy pozbyć się brudu, oblepia nogi i wypełnia nozdrza, przyprowadzając o mdłości.

Teraz ziemia jest zamrznięta i mamy odmrożone stopy.

Dziewczyna, która dzisiaj kopała koło mnie ziemię, pochyliła się, żeby pomacać stopę, i duży palec został jej w dłoni.

Nic nie poczuła.

Obok niej leży mama.

Czuję sterczące kości i przytulam się do niej.

Mama jest taka słaba, taka chuda.

Dłużej nie wytrwa, pracując na dworze.

Muszę coś zrobić, żeby przeniesiono ją do pracy gdzieś pod dachem.

Ale jak?

Niemam nic na wymianę.

Mama nie będzie chciała się ze mną rozłączyć.

Uważa, że powinniśmy być razem.

Wydajemy się, że gdyby mnie tu nie było, mama nie miałaby siły żyć, a tak troszczy się, żebyśmy przeżyła.

Nie może znieść myśli o tym, co stało się z Hanną.

- Mamo?

- mówisz szeptem.

Mama śpi.

Za nią, na miejscu biednej Hanny, leży ktoś inny.

Dwadni temu jakaś kobieta podeszła do kapo i poprosiła, żeby nam dali jakieś buty.

Mamy wytarte ubrania, nie chronią

431.

w ogóle przed zimnem.

Większość z nas nie może nosić drewniaków, bo spadają ze zmarzniętych nóg.

Umiera tak wiele kobiet, że rozdano nam coś rodzaju trepów, żebyśmy mogły dalej pracować.

Często myślę o ubraniach i butach, które mama zapakowała.

Teraz by się przydały.

Rzadkopodnoszę wzrok, gdy ktoś umiera napolu, w umywalni, na apelu.

Rano postaram się, żeby mama dostała pracę w pralni albo w szwalni.

Muszę załatwić jej pracę wewnątrz budynku, nawet jeśli miałyby sortować ubrania tych, którzy poszli do komór gazowych.

Musi stępić umysł, przestać myśleć.

Ważne jest tylko to, żeby było jej ciepło, żeby przetrwała.

Chcę, żeby mama żyła.

Nie może umrzeć zimna, nagle upaść na skopaną ziemię.

Dziś rano spędzono nas na apelu wcześniej niż zazwyczaj.

Esesmani są zdenerwowani, spięci - pewno będzie selekcja.

Krążą różnego głośki, ale nikt nic nie wie na pewno.

Mijają godziny, a my stoimy, trzęsąc się z zimna.

Gdy ktoś pada martwy, strażnicy wywlekają ciało z szeregu i rzucają narosnącym zamarzniętym trupów.

Nic się nie dzieje.

Jest bardzo zimno.

Przeliczają nas bez końca, ustawiają w szeregi, rozdzielają znowu każdą utworzyli szeregi.

- Co się dzieje?

- pytam szeptem Węgierkę z naszego bloku.

- Podobno ma przyjść lekarz.

Doktor Mengele.

Zabrać "ochotników" do szpitala.

Dalej prowadzą selekcję.

Usiłuję zrozumieć, co decyduje o wyborze.

Robią to inaczej niż zazwyczaj.

Wybierają młode, zdrowe kobiety.

Po co?

Choć wiem, że wszystko jest lepsze od pracy pod gołym niebem, ogarnia mnie strach.

Mamy nie wybiorą, a przecież musimy trzymać się razem, musimy dostać pracę wewnątrz budynku.

- Podobno "ochotnicy" dostaną czyste, ciepłe ubranie i porządne jedzenie - szepcze stojąca obok mnie kobieta.

432

- Będą pracować pod dachem?

- Chyba w szpitalu.

Widzę, że do osobnej grupy są przydzielane młode kobiety, siostry i bliźniaczki.

Przychodzi doktor Mengele, staje obok esesmanów.

Niektóre bliźniaczki, gdy dochodzą na początek szeregu, są odrzucane.

Inne trafiają do osobnej grupy.

Jedna pod drugiej zbliżam się do czoła szeregu.

Wzrok doktora Mengele pada na mnie.

Wyciągnięty palec oznacza, że mam dołączyć do wydzielonej grupy.

Rozglądam się za mamą, aleniemogę jej

dostrzec.

Nagle, gdzieś z tyłu, dobiega mnie jej krzyk.

Mama biegnie do esesmanów, prosi, błaga.

Chcę, żeby wybrali ją zamiast mnie.

Rzucasie na ziemie łapie za obcasy wysokich butówstrażnika.

- Weźcie mnie, nie moje dziecko.

Stoje skamieniała, przerażona.

Strach chwytamnie za gardło.

Strażnicy brutalnieodciągają mamę, uderzają na oślep jakprzykrzoną muchę, wałkolbami karabinów,a ona krzyczy, błagając o moje życie.

Wtedy ostatni raz ją widziałam.

Nie wolno nawet musnąćobcasy esesmańskich butów.

Błagania na nic się nie zdadzą.

W Oświęcimiu wolno zwracać na siebie uwagi.

Mama wiedziaławięcejode mnie.

Mengele wybierał bliźniaczki, młodei zdrowe kobiety, by przeprowadzać na nich eksperymentyw szpitalu.

Gdybym wiedziała,co mnie czeka, rzuciłabym się tak jakHanna na drut kolczasty pod napięciem.

Kate ustawia wypożyczonefilizanki i spodeczki jednena drugich,gdy nagle słyszy krzyk mrozący krew w żyłach.

Wybiega z kuchni i wpada do sypialni.

Marcie znowu śniłysię koszmary.

433.

- Martho, obudź się.

To tylkosen.

- Kate potrząsa niałekko, przerażona jej wyglądem.

-Otwórz oczy, obudź się.

Zobacz,włączyłam światło.

Popatrz na mnie.

To ja,Kate.

Jesteś u siebie w domu, we własnym łóżku.

Nic cinie grozi.

To ja, Kate.

Obudź się.

Marthapowoli przytomnieje, a potem mruga i wpatrujesię w Kate.

Ma martwy wzrok; wyraz jej twarzywywołujestrach.

- Martho, uspokójsię.

Ależ przemarzłaś.

- Kate pochyla się zatroskana i dotyka jej ramienia.

-Przyniosę ci jeszcze jeden ciepły termofor.

Nie płacz,to był tylko zły sen.

Martha wyciąga drobną dłoń i chwytaKate za ramię.

- Nie zostawiaj mnie,kochanie.

Bądźprzy mnie.

Niegaś światła.

- Nie zostawię cię.

Poczekaj sekundę.

Delikatnie uwalnia się z uścisku i idzie uruchomićgrzejnik elektryczny.

Włącza telewizor,ściszałgłos, poczym siada obok Marthy, trzymając ją za rękę.

Marthapowoli się uspokaja, ale wciąż ma lodowate dłonie.

- Gdzie jest.

Może wiesz?

- pyta szeptem.

- Barnaby poszedłzamknąć kościół.

Lucy zabrała Homera na wieczorny spacer.

Nie wiem, gdzie jest Anna- może w małym domku albo z Lucy.

Wszyscy niedługowrócą, żeby powiedzieć ci dobranoc.

Martha patrzy w milczeniu namigający obrazami ekran ippo chwili odwraca się do Kate.

- A Fred?

Czy my.

Było dużo ludzi.

A może misięśniło?

- Nie śniło ci się.

Dziśpo południu był pogrzeb Freda.

Przyszło tyle ludzi,że nie mieścili się w kościele.

Wszyscybardzo go kochali,prawda?

- O tak, wszyscy kochali Freda - mówi Marthaz uśmiechem.

- Opowiedz mi, jak było.

434

Kate siedzina łóżkui opowiada staruszcze o paniachz Women's Institute io przyjaciółkach z wioski, któreuczestniczyły w przyjęciu po pogrzebie.

Opisuje morzekwiatów, setki wiązanek -część z nich Barnaby odesłałdo domu starców i szpitala.

Mówi, żepo nabożeństwie mnóstwo ludzi przyszło dodomu i w końcu zabrakło jedzenia, a pani Trelawney, która obsługiwaławielki termos, była poruszona, że gościewypili tyle wina i w

rezultacie drugi termos z herbatą okazał się zupełnie niepotrzebny.

Martha parska śmiechem.

- Pani Trelawney jest ortodoksyjną metodystką.

Musisz to opowiedzieć Fredowi, gdy wróci do domu.

Kiedyś odwiedziła nas w jakiejś sprawie i gdy Fred zaproponował jej dżin z tonikiem, uznała, że popadł w alkoholizm.

- Tak długo mieszkałaś w tej wiosce, że mogłabyś godzinami opowiadać podobne historie.

Mogłabym się założyć - śmieje się Kate.

- O tak, kochanie, ale czasami nie dopisuje mi pamięć.

- Po chwili dodaje: -Wiele ludzi, których kiedyś znałam, już nie żyje.

-Przymyka oczy.

- Jestem zmęczona, skarbie.

Kate siedzi przy Marcie, dopóki jej oddech nie zmienia rytmu.

Gdy słyszy, że Barnaby wchodzi do domu, wstaje i gasi telewizor.

Zostawia zapaloną lampkę, poczym wychodzi Barnaby'emu naprzeciw.

- Martha miała złysen.

Już się uspokoiła.

- Wyglądasz na zmęczoną.

Idź do łóżka.

- Nic mi nie jest.

Dobranoc, Barnaby.

Gdy rusza w stronę drzwi, Barnaby łapie ją za rękę, pochyla się i całuje w policzek.

- Byłaś wspaniała, Kate.

Dziękuję za wszystko.

Dziękuję, że byłaś z nami.

435.

- Ja też się cieszę.

Niema za codziękować.

Patrzymy w oczy, a po chwili pochyla głowę i mocno goobejmuje.

Stoją nieruchomo w ciemnym korytarzu, spleceni ramionami na koniec tego długiego, smutnego dnia.

- Dobranoc, Kate - mówi Barnaby, całując ją w czoło.

Kate idzie przezogród do oświetlonego domku.

Zzadrzew dochodzi japołukiwanie sowy- jeszcze nigdy niesłyszała tutaj tych ptaków.

Na pogrzebie matki było zaledwie siedem osób, a potem nie świętowano udanego życia.

Duży dom jestpogrążony we śnie.

Wiatr się uspokoił, drzewa stoją nieruchomo.

Przezogród przebiega lis, a kotEric czai się w krzakach ipodekscytowany macha ogonem.

Szybko płynące chmury przysłaniająco chwilaksiężyc.

Szum morza dociera ażtutaj.

Światło pali się tylko w dwóch oknach.

Jedno w dużymdomu, gdzie Annasiedzi na pojedynczym łóżku z otwartym pudełkiem.

Wkołoleżą listy i dzienniki Marthy.

Pożółkłe fotografie wypadają z kopert.

W drżących dłoniachtrzymają napisane po niemiecku listy Marthy.

Segregujedokumenty: oddzielnie niemieckie, które rozumie, oddzielnie polskie, które trzebaoddać do przetłumaczenia.

Z brązowej koperty wyjmuje prymitywną żółtagwiazdę, mały pusty woreczek i naddarty dowód tożsamości.

Okulary.

Dokumenty z Czerwonego Krzyża, opatrzonedziwnymi nagłówkami: "Żegota"1, "Centos"2, "WydziałOpieki Zarządu Miejskiego Warszawy".

Jeszcze jeden dowód tożsamości na inne nazwisko.

Mały przewodnik poPolsce.

"Żegota" - kryptonim Konspiracyjnej Rady Pomocy Żydom, 1942-1945 (przyp. Gum.).

"Centos"- Centrala Towarzystw Opieki nadSierotami, 1939-1942, organizacja prowadząca placówki edukacyjne i opiekuńcze dla żydowskich dzieci (przyp. ttum.

).

436

Annie robi się zimno.

Wsusza się pod kołdrę i kładziera na dziennikach Freda, na woreczku, do którego kiedyś zbierano kruszki.

Nie płacze.

Drugie światło, mająca przez żywoplot, pali się w małymdomku, gdzie Lucy leży na bokui przy nocnejlampce czyta listy Tristana z Kosowa.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Z wierzchołka Trencom1 widzi obie strony wybrzeża.

Po prawej stronie, szerokim łukiem, obramowanym grzywami fal, ciągnie się beżowa piaszczysta plaża.

W oddalonym sielatarnia morska, wyraźnie widoczna i jakby stojąca bliżej, niż pamięta.

Po lewej stronie wylania się zewzburzonego atramentowego morza St Michael's Mount2, niczym skała wulkaniczna, wyrosła w czarodziejski sposób, nie z tego świata.

Wspina się na płaskie głazy iwciska między kamieniami okalające występ, gdzie może usiąść niewidoczna i wyciągnąć nogi.

Sadowi się wygodnie na zaokrąglonych, nagranych słońcem skałach.

Podpiera się rozwartymi dłońmi i czuje pod palcami ciepły kamień.

To miejsce ma dziki, prymitywny urok:

spiętrzenie skał jest geologicznym cudem, zawiera w sobie tajemnicę wieków i osobliwe piękno, które bierze się z ich wysokości i potęgi.

Daleko w dole wije się długa biała wstążka - to stado owiec zmierzając przez pole do bramy, gdzie gospodarz wy Trencom Hill - wysokie, strome wzgórze w Kornwalii, z warownią na szczycie (przyp.

tłum.

).

St Michael's Mount - kopuła granitowa wyspa u wybrzeży Kornwalii, z dawnym opactwem benedyktyńskim na szczycie (przyp.

tłum.

).

438

kładą paszę.

Dach traktora przesuwają się koło żywopłotu, a zapach z budynków gospodarstwa unosi się wysoko, docierając do jej "orlego gniazda".

Rozpostarte na kamieniach dłonie wyczuwają warstwy naloży napowierzchni skał.

Czubki palców dotykają koronkowych brzegów suchych porostów, bezbarwnych mchów, ziarenek piasku, pyłków, źdźbeł trawy, drobinek kryształów lśniących w zachodzącym słońcu.

Czuje to wszystko tuż pod skórą, te szare i niebieskawe cząsteczki tworzące skałę, na której siedzi, na której stali siedzieli inni ludzie; czuje zmieniającą się fakturę i kolor kamienia spoczywającego tu od tysięcy lat.

Niebo zapala się ogniem, który najej oczach ogarnia coraz większą powierzchnię i sprawia, że tło jaskrawych barw u schyłku dnia sylwetki w dole wydają się czarno-białe.

Za chwilę w budynkach gospodarstwa, w rzędziemalych wiejskich domkach przycupniętych na bocznych wzgórzach, pojawią się światła, rozpalając jejsamotność, gdy tak siedzi tu o zmierzchu.

Martha.

Martha zawsze zostawiała zapaloną lampkę w ciemnym domu.

O właśnie, zapala się pierwsze światło w małym ciemnym domku, gdy opuszcza go blask słońca.

Tu, na górze, czuć pierwsze ukłucie zimna wraz z wzmagającym się wiatrem i zachodzącym słońcem.

Spogląda na oświetlone okna.

Tego samego doznają mieszkańcy dużych miast, gdy wciąż jest popołudnie, ale już zapalają się światła w sklepach, a oni nie dotarli jeszcze do bezpiecznego domu.

Czuje ostrze prymitywnego strachu, potrzebę powrotu do bezpiecznej jaskini.

Zatarasować wejście głazem.

Tak, żeby nikt się nie dostał do środka.

Otrząsa się z zamyślenia.

Dlaczego zastanawia się akurat nad tym?

Rozproszone owce znowu ustawiają się w długi szereg, przypominający cienką, postrzępioną wstążkę, i idą przez pole do zagrody.

Zastanawiasię nad tym pewnie dlatego, że tak czuła się Martha przez całe życie.

Zagłądała w obce oświetlone okna.

Wiedziała, że jakkolwiek szybko by uciekała przed nadchodzącym zmrokiem, i tak niedotrze do domu.

Otwierała drzwi wejściowe, wołała "Już wróciłam", ale w jej sercu pulsowało wspomnienie innych drzwi, innych oświetlonych pokoi, gdzie inni ludzie witali ją w języku znajomym i pokrzepiającym jak śmiech.

Wspomnienie miejsca, którego już nie ma, którego nigdy nie znajdzie.

Martha, która nagle zaczynała coś mówić z wielkim podnieceniem, zamasyścię gestykulowała, nazbyt mocno przytulała cię dopiersi.

Miała wewnętrzną potrzebę zadośćuczynienia.

Porządkowała i sprzątała.

Gromadziła ubrania, ciągle je wygładzała.

Nuciła kotu kołysanki.

Nagle, bez powodu, wybuchała bezgłośnym płaczem.

Byłaś zażenowana.

Uśmiechałaś się szyderczo.

Wychodziłaś z pokoju.

Szłaś odrabiać lekcje.

Usprawiedliwiałaś ją przed koleżankami, z afektacją unosząc brwi.

"Ona jest Polką.

rozumiecie - mówiłaś od niechcenia.

- Moja matka jest Polką".

Brzmiało to tak, jakby cierpiała na jakąś dziwną chorobę.

Nie potrafiłaś się do niej zbliżyć.

Nigdy nie czułaś z nią więzi.

Słońce prawie zaszło.

Powinna zejść ze szczytu, zanim zapadnie zmrok.

Nikt jej tu nie słyszy.

I dobrze.

Wszystcy są tam na dole, siedzą w oświetlonych domach i jedzą pod wieczorek, popijają herbatę.

Nie wiedziała, że można tak płakać, czuć taki żal.

Odwraca się i wstaje niezdarnie.

Z tyłu widać ostatni błysk szkarłatnej smugi na niebie; daleko w dole, u podnóża

stromej zboczka, leży świat, który kołysze się, przyprawiając o zawrót głowy.

- Dlaczego?

- krzyczy.

- Dlaczego minie powiedziałaś?

Dlaczego?

Nic nie wiedziałam!

Skąd mogłam wiedzieć?

Powinnaś była mi powiedzieć.

Miałam do tego prawo.

Miałam prawo wiedzieć, kim jest mi kim ty byłaś.

Jej głos niesie się echem, drży nadzacierającym się pejzażem, krąży z prądem powietrza, nurkuje w zagłębieniach jak cienie ptasich skrzydeł - i w końcu zamiera.

Wiedza, kim jest, przepadła nazawsze.

Zaginęła bezpowrotnie na polach i w kamieniach, w żywopłotach i głązach, drzewach i niebiosach.

Zapadła się pod wilgotną ziemię.

Odeszła- ślad pozostał jedynie w snach, których nie może zrozumieć, i wspomnieniach, nieuchwytnych jak pajęcza nić.

Schodzi niepewnym krokiem ze szczytu, nie przejmując się swoim wyglądem ani spojrzeniami ludzi tam nadole.

Po raz ostatni odwraca się i widzi piętrowe warstwy, tworzące skałę, która wyrasta z ziemi i rysuje się na tle pomarańczowej kuli, zsuwającej się za widnokrąg.

- Przepraszam, Martho -szepcze.

- Wybacz mi.

Niewiedziałam.

Gdy jest już blisko drogi, dostrzega znajomy samochód, a przy nim zaniepokojonego Barnaby'ego.

Z zdumieniem stwierdza, że Barnaby zaczyna coraz bardziej przypominać Freda, i ta myśl podnosi ją na duchu.

Tego dnia, o brzasku, gdy skończyła czytać dokumenty, poszła do jego pokoju i wręczyła mu pudełko Marthy.

- To jest przeszłość, której szukałeś, Barnaby.

A potem, otepiała, zniknęła w ciemnościach poranka i nie wróciła do domu przez cały dzień.

Barnaby otwiera jej drzwi od strony pasażera.

- Wyglądasz, jakbyś przemarzła do szpiku kości.

Wsiadaj do samochodu.

441.

Siada za kierownicą i odwraca się do niej.

- Martwiliśmy się o ciebie, Anno.

Lucy szaleje z niepokojem.

Potem przypomniało mi się, że lubiłaś tu przychodzić, gdy byłaś dzieckiem.

Anna spogląda na Barnaby'ego.

I on jest blady.

- Nie chcę o niczym rozmawiać.

Barnaby słyszy, że żałuje swojej głosu.

- Nie musimy.

Teraz powinnaś coś zjeść i położyć się spać.

Wracajmy do domu.

Och, Anno.

- Wcale nie płaczę - mówi Anna z rozdrażnieniem.

- Tylko.

mówisz zupełnie jak Fred.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Następnego dnia Lucy budzi się wcześniej.

Martwi się Anną, o Tristana, o wszystko.

Słońce jest już nad horyzontem i oświetla nagrobki.

Lucy wstaje, podchodzi do okna, patrzy na znajome cienie, drzewa, spokojną tafnię wody w oddali.

Wkłada dzinsy i sweter, po czym wychodzi cicho z domku.

Przecina ulicę i kieruje się na cmentarz okolony kornwalijskim żywopłotem.

Rusza ścieżką nad morze, sięgając wzrokiem ponad wysokimi trawami, gdzie po kamienistej części plaży, zalewanej przyływami, biegają z cichym świergotem ptaki morskie.

Dłońmi obejmując brzuch: jest w ciąży.

Anna zapewne będzie uważała, że umyślnie zaszła w ciążę, ale prawdą jest taka, że Lucy sama nie posiada się ze zdumienia.

Rozmyśla o listach od Tristana.

Pogodny, beztrudny żołnierz, który trzy miesiące wcześniej polecił do Kosowa, przemienił się w mężczyznę świadomego skutków tego, że jedno plemię chce zmieść z powierzchni ziemi inne.

Kochana Lu!

Patrząc na ten barbarzyński kraj, często myślę o Marcie.

Trudno jest koncentrować się na zwykłych sprawach, gdy dzień w dzień widzimy skutki niewyobrażalnego zła

443.

i nienawiści.

Jak ludzie, tacy jak twoja babcia, zdołali przetrwać?

Jak mogli żyć dalej i wieść szczęśliwe życie?

Ciągle się nad tym zastanawiam.

Serbowie spalili większość kościołów katolickich.

Francuski żołnierz mówił mi, że po zajęciu huty Serbowie wykorzystywali budynek jako garnizon i policyjną izbę dziesięć, a piec - jako krematorium, w którym podobno spalono setki ciał.

Nie wiem, czy to prawda, ale wszędzie są masowe groby.

Wczoraj natrafiliśmy na starą Serbkę, która ukrywała się w własnym domu, bo grupa Albańczyków chciała spalić ją żywcem.

Byli oburzeni, gdy ich aresztowaliśmy.

Nie mogli zrozumieć, dlaczego nie pozwoliliśmy im "pozbyć się jakiejś Serbki".

Wiesz, Lu, co mnie przybija?

Nasza obecność nictu niezmienni.

Niczego nie zdołamy naprawić.

W końcu Albańczycy przestaną okazywać nam wdzięczność i zaczną nas nienawidzić, ponieważ nie pozwalamy im traktować Serbów tak, jak Serbowie traktowali ich.

Muszę ci wyznać, że moja wiara się chwieje.

Napisałem list do Barnaby'ego - czy doszedł?

Wiesz, o czym myślę, gdy to wszystko zaczyna mnie męczyć?

Myślę o Marcie, kiedy stała obok mnie w płytkiej wodzie i śmiała się radośnie.

Czyż duch, który tkwi w ludziach, nie jest zdumiewający?

Potrafi zmierzyć się z sytuacjami przerastającymi naszą wyobraźnię - i przetrwać.

Myślę też o tobie, moja egzotyczna pół-Włoszko, i błagam cię, żebyś nie zakochała się w jakimś latynoskim podrywaczem.

Lucy ogarnia smutek na myśl, że Tristan stracił niewinność, że zaczyna wątpić w ludzką dobroć, że patrzy na takie okropności.

Alena rasta w niej - że poczucie pewności

ności, jakby życie, które w sobie nosi, pozwoliło jej dostrzec cykliczność istnienia: Martha i Fred opuszczają ten świat, ale coś z Marthy i, przynajmniej jej jazdą, coś Freda niezaprzeczalnie trwa dalej w istocie, która sięw niej poczęła.

Gdy okrąży kościół, na widnokręgu ukazuje się słońce.

Obecność Tristana coś zmienia, jak obecność każdego z nich.

Tristan musi w to wierzyć.

Musimy wierzyć w dobro, Tris.

Musimy wierzyć, że nasza obecność coś zmienia, w przeciwnym razie nie mamy po co żyć.

W ciszy jasnego poranka idzie pod drzewami kumorzem.

Nagle słyszy trzask złamanej gałązki, odgłos kroków zaplecami.

Odwraca się z przerażeniem widzi, jak od ciemnej ściany drzew odrywa się cienka i zmierza w jej stronę.

Homer wydaje ostrzegawczy, gardłowy pomruk.

Lucy nie wie, co robić.

Stoi oślepią słońcem wznoszącym się nad przystanią, widzi niewyraźne rysy zbliżającego się do niej mężczyzny, który wyciąga ręce i woła coś po niemiecku.

- Proszę stąd odejść!

- krzyczy Lucy.

- Kim pan jest?

Niech się pan nie zbliża.

Obejmuje obronny mruchem brzuch.

Za plecami nieznajomego jest furka.

Mogłaby puścić się biegiem i przeskoczyć wysoki mur, gdyby nie.

dziecko.

 Mężczyzna jest już przy niej.

Lucy wciąż nie widzi jej twarzy, ale słyszy zdyszany głos wyraźnym obcym akcentem.

 - Proszę się nie bać.

 Nie mam złych zamiarów.

 Chciałbym tylko porozmawiać.

 Bardzo przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

 Lucy odwraca się od słońca.

 Gdy nikają ciemne plamki pod powiekami, widzi przed sobą wysokiego starszego dystyngowanego pana.

 Jest bardzo poruszony, ma dziwny

 445.

wzrok.

Lucy przebiega po plecach dreszcz.

Słyszy gardłowe pomruki Homera i ma ochotę uciec jak najdalej od tego człowieka.

- Czego pan chce?

Kim pan jest?

Mężczyzna wciąż patrzy na nią dziwnie, w skupieniu, jakby pragnął na zawsze zapamiętać jej twarz.

- Chciałbym, jeśli to możliwe, porozmawiać z pani matką i babką.

- Kim pan jest?

- pyta ponownie.

Ten człowiek sprawia wrażenie chorego.

Mężczyzna otwiera usta, jakby chciał odpowiedzieć na jej pytanie, ale nie może wydobyć z siebie głosu.

Kołyszesię lekko na piętach.

- Pan zna moją babcię?

- mówi Lucy, starając się opanować lęk.

- Tak.

Kiedyś ją znałem.

- I Annę, moją matkę?

- Spotkałem ją wczoraj w kościele.

- Czego pan od nas chce?

Dlaczego pan się nie przedstawi?

Mężczyzna milczy.

Nagle pojawia się Anna.

Biegnie ścieżką i woła do Lucy.

Mężczyzna odwraca się do niej.

Stoją nieruchomo naprzeciwko siebie.

Lucy jeszcze nigdy nie widziała matki tak bladej i wystraszonej.

Anna nie odrywa wzroku od twarzy mężczyzny.

Lucy podchodzi do niej i czuje, jak roztrzęsiona matka łapie ją za rękę.

- Proszę się przedstawić, powiedzcie, czego pan od nas chce.

Wiem, że pan mnie śledził - mówi Anna.

- Nazywam się Kurt Saurer.

Lucy oddycha gwałtownie.

Saurer.

Ścisną matkę za rękę.

- Przypuszczam, że jestem twoim ojcem, Anno.

446

- Ojciec Anny nie żyje!

- woła Lucy.

- Wczoraj go pochowaliśmy.

Twarz Anny robi się kredowobiałą, wygląda jak maska.

Anna napotyka spojrzenie mężczyzny i przywiera do niego wzrokiem.

Mówi martwym głosem:

- Zapewne tak jest w istocie.

Twoje nazwisko widniała na tym świadectwie urodzenia.

Mężczyzna chwycił się, zataczając się na ziemię u ich stóp w chwili, gdy ścieżką zbliża się

Barnaby.

Mężczyzna siedzi przy stole w oranżerii, kurczowo trzymając w dłoniach kubek gorącej, osłodzonej herbaty, którą zaparzył Barnaby.

Anna, Barnaby i Lucy patrzą na niego w milczeniu.

- Bardzo mi przykro.

Jeszcze nigdy nie zemdlałem.

Mężczyzna spogląda na dłonie, w których trzyma kubek, po czym podnosi wzrok na Annę.

- Po raz pierwszy zobaczyłem cię po wykładzie, który wygłosiłaś na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie.

Potem zamieszczono twoje zdjęcie w gazecie.

Stawia kubek na stole i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje portfel, a z niego małą fotografię.

Podaje ją Annie, mówiąc:

- To moja matka.

Anna pochyla się, bierze zdjęcie i uświadamia sobie, że mogłaby to być jej fotografia.

- W ogóle nie myślałem o wojnie - mówi mężczyzna.

- W ogóle nie myślałem o przeszłości, dopóki cię nie zobaczyłem.

Starłem się zatrzeć pamięci to, co.

Musiałem się dowiedzieć, czy to możliwe, że jesteś moją córką.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że moja matka żyje?

- Pytaciego Anna.

- Że jest w tym domu?

Mężczyzna przytakuje.

447.

- Nie przyszło mi do głowy, że ona żyje.

Zobaczyłem ją przedwczoraj, podczas pogrzebu waszego ojca.

To był dla mnie ogromny wstrząs.

- Drżam usta.

- Sądziłem, że ktoś cię zaadoptował, że jacyś krewni sprowadzili cię do Anglii.

Barnaby podnosi się z krzesła i staje za plecami Anny.

- Anna i ja prawie nic nie wiemy o przeszłości naszej matki.

Nigdy tymnie mówiła.

Cierpina chorobę Alzheimera.

Anna uważała, że Fred jest jej ojcem - do przedwczoraj, gdy znalazła pudełko z papierami Marthy.

Mówiła o wstrząsie.

- Bardzo mi przykro.

Zdaję sobie sprawę, że moja obecność tutaj jest dla was ciężkim przeżyciem.

- Istotnie.

Ciężkim, ale koniecznym, jak sądzę - oznajmia Anna, po czym zwraca się do Barnaby'ego: - Boję się, że Martha wkrótce się obudzi.

Nie wiem, co robić w tej sytuacji.

- Babunia mocno śpi, mamo.

Niedawno do niej zaglądałam - wtrąca Lucy i zwraca się do mężczyzny: - Pan był nazistą, prawda?

- Tak.

To, kim byłem, co robiłem, jest faktem i nie da się tego zmienić.

Niezamierzam niczemu zaprzeczać ani się usprawiedliwiać.

Mogę jedynie powiedzieć, że wielu z nas w pewnym okresie życia uległo atmosferze tamtych czasów.

- Spogląda na Annę.

- Od końca wojny byłem lekarzem, podobnie jak wasz ojciec, ojciec Marthy i mój ojciec.

- Opowiedz mi o mojej matce - mówi Anna.

- Jak to się stało, że jesteś moim ojcem?

Z dokumentów wynika, że moja matka, mając szesnaście lat, została wywieziona do getta w Warszawie, a gdy miała osiemnaście lat - do Oświęcimia.

Jak to możliwe, że jesteś moim ojcem?

Dlaczego twoje nazwisko widnieje na tym dziwnym świadectwie urodzenia?

Nie mogę tego zrozumieć.

448

Kurt nerwowo przeczesuje palcami włosy.

Jako powiedzieć?

Jak przedstawić tę historię w formie, która będzie wiarygodna i wiarygodna dla Anny i jej rodziny, tych wrogonastawionych ludzi, którzy spoglądają na niego baczny wzrokiem?

Zakładał, że ta rozmowa będzie toczyć się tylko między nim a Anną.

Dlaczego nie zostawia ich samych?

- Mieszkałem z rodzicami na wsi, niedaleko Warszawy, w domu, który sąsiadował z domem doktora Ołowskiego, jego żony Estery i Marty.

Gdy byliśmy dziećmi, mój ojciec i ojciec Marty założyli wspólnie klinikę.

Studiowali razem na uniwersytecie i przyjaźnili się ze sobą.

Mój ojciec był Niemcem, matka półkwi Polką.

W dzieciństwie bawiliśmy się z Martą, byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

Oboje uwielbialiśmy konie.

Nauczyłem ją jeździć konno.

Milknie, popija małymi łykami herbatę i patrzy, jak Anna zapala papierosa, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

- Gdy byliśmy starsi, rzadziej się widywaliśmy.

Nadeszła wojna.

Polska była pod okupacją.

Musiałem wstąpić do wojska.

Otowsy znaleźli się w ciężkim położeniu, jak wszyscy Żydzi.

Milczenie Anny, Barnaby'ego i Lucy zbija go z tropu.

Nie chce ciągnąć tej opowieści.

Podnosi wzrok.

- Mów dalej - nalega Anna.

W jej głosie pobrzmiewa zimny ton.

Twarz wygląda jak maska, pod którą kryje się lęk przed prawdą.

Lucy przesuwając niepostrzeżenie i opiera lekko o matkę, jakby chciała ją ochronić.

- Zanim cała rodzina została zabrana do getta, spotkałem się z Martą ostatni raz.

Rozmawialiśmy w ogrodzie przynależnym do domu, gdzie dawniej razem się bawiliśmy.

Nie powinienem był tak się zachować - Marta była młodą dziewczyną - ale od dziecka się przyjaźniliśmy.

Tak została spoczęta, Anno, choć tego nie wiedziałem.

449.

Drży, ściągnięta twarz jest biała jak ściana, niespokojne oczy błyszczą.
Spogląda na Annę wyczekująco.

Anna odpowiada muwrogim spojrzeniem.
Chce zawołać: Nie sędzę, że tak zostałam poczęta.
Szesnastoletniażydowskadziewczyna z nazistą?
Z własnej woli?
Chybabyłoinaczej.

Nie mówi tego głośno, tylko pyta:
- Czy wtedy widziałeś ją ostatni raz?

Kurt odpowiada z wahaniem:
- Widziałem ją jeszcze raz, w getcie.

Była.

- Milknie, ale wszyscy czekają, co powie.

- Była z małym dzieckiem.

Stała w drzwiach i uniosła je do góry.

Zdjęła dziewczynce czepek, odsłaniając jasne włosy.

Tego dnia zabierano dzieci.

Powiedziałem jej, żeby ukryła małą, postarała się wysłać ją z getta.

- Stara się bezskutecznie opanować drżenie dłoni, zaciskając je na kubku z herbatą.

- Nie wiem, jak tego dokonała, ale dołąć uratować, Anno, prawdopodobnie poprosiła o pomoc polskie podziemie.

Istniały wtedy organizacje, które pomagały przemycać dzieci z getta, czasem dawały im niemieckie nazwiska, przekazywały je niemieckim lub polskim rodzinom.

Przykro mi, ale nic więcej nie wiem.

Dotyka twarzy.

Ma smukłą dłoń, pozbawioną małego palca.

- Wykształciłem w sobie zdolność zapominania.

Nie miałem pewności, czy dziewczynka, którą mi pokazała, była jej dzieckiem.

Przykro mi, Anno, ale nie wracałem myślami do tego zdarzenia.

Zacząłem o tym myśleć, gdy zobaczyłem cię na uniwersytecie, gdy przyjrzałem się twojemu zdjęciu w gazecie.

Wtedy powróciły koszmarne sny, okropne wspomnienia.

Musiałem cię odnaleźć.

Musiałem się dowiedzieć.

Anna popada w zamyślenie.

Dokąd mnie zabrano?

Kto się mną opiekował?

W jaki sposób przeżyłam?

Nigdy się tego nie dowiem.

Nigdy.

450

Wpatrując się w tego Niemca, swojego biologicznego ojca, przez ułamek sekundy widzi sama siebie w zimnym błękitcie jego oczu.

W nieznanym człowieku.

W tym, czego on nie mówi, czego nie może powiedzieć, czego nie wie.

Gorycz rozczarowania, że nie pozna całej prawdy o tym, kim jest i co ją spotkało, oraz wstrząsające przeżycia paru ostatnich godzin powodują, że Anna znajduje się nagłena ziemi niczyjej.

Coś się w niej załamuje.

- Twoje koszmarne sny!

- mówisz teplem.

-Przynajmniej wiesz, skąd się biorą i dlaczego cię dręczą.

Ja nigdy się tego niedowiem o swoich.

Nigdy!

Trudno patrzeć na jej cierpienie.

- Tak mi przykro.

Ogromnie mi przykro.

Barnaby, który wciąż stoi za Anną, obejmuje ją opiekuńczo.

Ogarnia go gniew.

Nie może znieść, że ten mężczyzna opowiada o Marcie, niszczy psychicznie Annę.

Nikt nie ma prawa uspokajać swojego sumienia kosztem drugiego człowieka.

Lucy jest wściekła.

- Nie powinien być pan tu przyjeżdżać - mówi.

- Trzeba było zostawić nas w spokoju.

Co pan przez to osiągnął?

Tylko wywrócił pan do góry nogami życie mojej matki.

Przy drzwiach słyszała szmer i na progu stała Martha.

Nie rozumie, co się dzieje, ale wyczuwa jakiś dziwny nastrój.

Lucy szybko się odwraca i próbuje zaprowadzić ją powrotem do kuchni.

- Może filiżankę herbaty, babuniu?

-Dziękuję, kochanie.

- Martha wpatruje się w Kurta.

- Miło mi pana poznać.

Nazywam się Martha Tremain.

Kurt wstaje i kłania się.

- Mnie również.

- Chciałby spojrzeć w twarz Marty, ale nie pozwala mu na to strach.

-Nie będę przeszkadzał w porze śniadania.

451.

- Czy my się znamy?

- Martha nie odrywa od niego oczu.

Kurt podnosi wzrok i patrzy na jej wciąż piękną twarz.

- Kiedyś się znaliśmy.

Bardzo dawno temu.

Martha milczy.

Z zakamarków jej pamięci wyłania się jakieś wspomnienie.

- Pan jest Niemcem?

- Tak.

- Jak się pan nazywa?

Mężczyznanie odpowiada.

- Ten pan musi już iść, babuniu.

Chodź, zaparzymy herbatę.

Martha nie zwraca uwagi na Lucy i podchodzi bliżej.

Kurt nie wie, jak się zachować.

Nerwowo wyciąga przed siebie ręce, po czym łapie się za kraj marynarki.

Martha dostrzega intensywnie niebieskie oczy i brak małego palca u dłoni.

Widzi wysokiego, przystojnego mężczyznę.

W przebiegu świadomości sięgającej innego życia mówi:

- Kurt Saurer.

Tylicz odgryzł ci palec.

- Odległe wspomnienie - uśmiecha się Kurt.

- To była twoja wina.

- Masz rację, Marto.

Patrzyj w oczy, które nie są tak przenikliwe jak niegdyś, ale wciąż jest w nich ta dawna isierka, a może wyraz rozbawienia.

- Nie będę przeszkadzać.

Rodzina na ciebie czeka.

- Odprowadzę cię do drzwi.

- Dziękuję.

Martha otula się swetrem, spod którego wystaje koszula nocna, i wyprowadza Kurta z pokoju, ignorując zdumioną rodzinę i zdecydowanym gestem nakazując Lucy zejść z drogi.

Gdy dochodzą do drzwi, Kurt mówi:

452

- Jestem szczęśliwy, że mogłem cię znowu zobaczyć.

- Po chwili dodaje: - Niewiedziałem, że żyjesz.

Nie przypuszczałem, że przetrwałaś.

Martha spogląda na niego ze zdziwieniem.

- Przecież to ty mnie uratowałeś.

Zabrałeś stamtąd.

Mama i Hanna zginęły, ale ja ocalałam dzięki tobie.

Mogłam chodzić.

Wysłałam przez bramę.

długo szłam.

Fredmnie znalazł.

Przeżyłam.

- Gdybym tylko wiedział.

Bardzo żałuję, że nie wiedziałem.

Do widzenia, Marto.

- Do widzenia.

Otwiera drzwi i wychodzi.

Nie może spojrzeć za siebie.

Gdy dochodzi do bramy, słyszy, że ktoś za nim biegnie.

To Lucy.

- Proszę, żeby pan naswięcej nie odwiedzał.

Nie chcę, żeby moja matka znowu przeżyła taki wstrząs.

To dla niej zbyt trudne.

Kurt sięga do kieszeni, wyjmując wizytówkę i wręcza Lucy.

- Jeśli pani lub pani matka chciałaby zasięgnąć jakichkolwiek informacji, tu jest mój adres.

Nie szukam u was wybaczenia ani zrozumienia.

Nigdy ich nie znajdę.

To, że byłem nazistą, nie napawa mnie dumą.

Ale jestem natym świecie i od zakończenia wojny prowadzę inne życie.

Proszę wziąć tę wizytówkę.

Może przyjdzie czas, gdy Annabędzie chciała wiedzieć.

Albo pani.

Patrzy jej w twarz, widzi rękę obejmującą brzuch.

- Jestem twoim dziadkiem, Lucy.

Lucy bije się z myślami, po chwili drżącą rękę bierze niechętnie wizytówkę.

Patrzy, jak mężczyzna odwraca się odchodzi.

Słabowity starszy pan.

O oczach Anny.

Nie miał prawa się tu zjawiać.

Żadnego prawa.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Barnaby wychodzi z domu, zostawiając w nim drzemiącą przed telewizorem Lucy, która chce być blisko Anny Marthy.

Drogę do małego domku oświetla mu księżyc.

Jest chłodno.

Trzyma się trochę niepewnie na nogach, jak po długim piływaniu.

Kate otwiera drzwi, obrzucagowzrokiem i natychmiast idzie nalać mu duży kieliszek czerwonego wina.

Nie zastanawiając się, Barnaby bierze ją w ramiona i w milczeniu przytula do piersi.

Kate wyraźnie czuje jego smutek, bez słowa obejmuje go w pasie.

Po chwili Barnaby uwalnia ją z objęci z uśmiechem bierze kieliszek wina.

- Prawdę mówiąc, Kate, nie wiem, jak dałbym sobie radę bez ciebie, zwłaszcza przez ostatnie dwie doby.

Dzień upłynął w jakimś powolnym tempie, w dziwnej, nierealnej atmosferze.

Anna wzięła tabletki i poszła spać.

Lucy kręciła się po domu, zajmując się Martha i ciągle zaglądając do sypialni Anny.

Barnaby podał wiernym komunię świętą, odwiedził chorych w szpitalu, lecz przez cały dzień był rozkojarzony.

Razem z Lucy próbował porozmawiać z Anną, ale zamknęła się w sobie, nie reagowała nic, co się wokół niej działo.

Lucy zrobiła obiad, który zjadła tylko Martha.

Barnaby, zaniepokojony stanem Anny, w końcu zadzwonił do Briana.

nił do Briana.

Lekarz przyszedł pod pretekstem wizyty towarzyskiej.

Anna nie włączała się do rozmowy, odpowiadała monosylabami.

Na wszelki wypadek zostawił Barnaby'emu tabletki uspokajające, choć nie przypuszczał, by Anna chciała je wziąć.

- Jest w szoku - uznał.

- Po prostu na pewien czas zamknęła się w sobie.

Teraz ją zostaw, Barnaby, niech się wyspi.

Gdy Lucy zmywała naczynia po kolacji, powiedziała do Barnaby'ego:

- Wolałabym, żeby wpadła w rozgoryczenie albo w gniew.

Nie mogę na to patrzeć.

Dziadkowie mieli rację.

Nie powinna była się dowiedzieć.

To moja wina, Barnaby.

Powinnam była spalić te papiery.

Posłać tego Niemca do diabła.

- Nie, Lucy, nie masz racji - mówi cicho Anna, wchodząc w tym momencie do kuchni.

- Musiałam się dowiedzieć.

Musiałam zrozumieć, dlaczego przez całe życie miałam te koszmarne sny.

Dojdę do siebie.

Teraz się położę razem z Martha.

- Rozmawiałaś z Rudim?

- pyta delikatnie Barnaby.

- Utknął w Brukseli - odpowiada Anna zmęczonym głosem, odwracając się w drzwiach.

- Nie chcę rozmawiać tym przez telefon.

- Naturalnie, ale Rudim potrafiłby cię wysłuchać i zrozumieć.

- Na pewno.

Porozmawiam z nim, gdy wróci do domu - dodaje z uśmiechem.

- Dobranoc, Barnaby.

Teraz Barnaby mówi do Kate:

- Właśnie widziałem, jak załamała się osoba, którą znałem całe życie.

To był okropny widok, Kate.

Okropny.

Kate bierze butelkę wina i prowadzi Barnaby'ego do salonu.

- Jest lato, ale było mi tutaj tak zimno, że rozpałam w kominku.

455.

Barnaby siada w zdeformowanym fotelu, który od niepamiętnych czasów stał w tym pokoju, i spogląda na Kate.

- Przepraszam, Kate.

Nie powinienem był tu przychodzić, tylko cię denerwuję, alepo prostu potrzebowaliśmy twojego towarzystwa.

- Opróżnia kieliszek.

- Nie denerwujesz mnie - zapewnia, dolewając mu wina.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

Barnaby nie odrywa od niej wzroku.

W oczach tej dziewczyny, w jej słowach jest coś takiego, że serce bijemużywiej, co nie zdarzało się od bardzo dawna.

Kate odpowiada na spojrzenie Barnaby'ego, odstawia kieliszek i podchodzi do niego.

Pochyla się i całuje go.

Barnaby przykładą dłoń do jej policzka, przyciąga ją odpowiada długim pocałunkiem.

Czuje, jak pod jego dużymi dłońmi płonie jego twarz.

Chce poderwać się z fotela i przytulić ją do siebie.

Kate odsuwa się i mówi:

- Chodźmy do łóżka, Barnaby.

Bierze go za rękę, zachęcając, żeby podniósł się z fotela.

Barnaby niepotrafi ukryć zaskoczenia.

- Och, Kate, to miło, że chcesz mnie pocieszyć, ale nie przyszedłem tu, żeby.

Po prostu chciałem z tobą pobyć.

- Przepraszam, Barnaby.

- Kate klęka przy nim i unosigłowę.

- Pewnonigdy nie przyszło ci to do głowy, ale od dawna fantazjujęo tym, że zaciągam cię do łóżka. Myślałam.

Barnaby patrzy na nią zdumiony: dziewczyna wygląda tak młodo, jest zarumieniona i zażenowana.

Po chwili wybucha śmiechem.

- Dobry Boże!

Naprawdę, Kate?

Muszę się przyznać, że jednak przyszło mi to do głowy.

Zdażyłaś pewnie zauważyć, jak bardzo mi się podobaasz, ale jestem dla ciebie zastary, droga Kate.

Kate posyła mu swój szeroki uśmiech, potem ujmuje jego dłoń.

456

- Uważam, że jest czas na rozmowę i czas, kiedy lepiej nie mówić.

Powinniśmy pójśćpo prostu do łóżka, położyć się koło siebie w ciemności, żebyśmy mogła wziąć cię w ramiona.

Zakładając, oczywiście, że nie wzbudzamw tobie głębokiej odrazy.

- Chyba zdołam ją przezwyciężyć.

To oczywiście - odpowiada ze śmiechem Barnaby.

- Jesteś urocza, Kate.

Marzę, żeby pójśćz tobą do łóżka, ale.

- Idziemy - mówi Kate, biorąc jego kieliszek.

- Zobaczymy, kto jest za stary.

Mam jeszcze jedną butelkę wina.

Możemy ją wjechać.

Barnaby patrzy, jak Kate rozbiera się w zapadającym zmierzchu: robi to tak, jak potrafią tylko młodzi - bezskrupowania.

Ma zgrabne, opalone ciało.

Jest atrakcyjnaseksualnie, ale nie tak, by żyjący w niemal całkowitym celibacie pastor poczuł się

niepewnie.

Gdy znika w łazience, Barnaby szybko się rozbiera i wsuwa pod kołdrę.

Nachodzi go wspomnienie innego zmierzchu, w innym czasie, gdy kochał się z kobietą, która nie należała do niego.

Gdy złamał ślubowanie i sprawił zawód tylu ludziom.

Chmury jaśniejsze od nocy przepływają za prostokątnym oknem; od strony morza dobiegają piski ptaków, równie przygnębiające jak wspomnienie tej beznadziejnej, nieczyszczonej miłości, której tłem była przemoc.

Słyszyciż Kate, czuje jej słodki zapach i bierze ją w objęcia, gdy tylko znajduje się w łóżku.

- Och, Kate - mówi.

- Chodzą mi po głowie myśli, jak nie przystają pastrowi.

Kate śmieje się i kładzie na nim.

Barnaby tuli jej młodzieńca, oszołomiony, przepelniony radością i pożądaniem.

457.

W nocy budzi się obok śpiącej dziewczyny i znowu powraca bolesne wspomnienie tamtej miłości. Wie, że musi wiać się w garść, mężczyzna w średnim wieku nie może ujawnić swojej porażki, wystawić się na pośmiewisko, narazić na przykrości.

Kate budzi się i pyta:

- Co się dzieje, Barnaby?

- Trudno mi o tym mówić - odpowiada, przygarniającą do siebie - bo robię to po raz pierwszy.

Gdy byłem w Irlandii Północnej, wszyscy sądzili, że odchodzę wojska, ponieważ moja narzeczona, irlandzka pielęgniarka, zginęła w ataku bombowym.

A prawda była taka, że Isabeli ja, dwoje zagubionych ludzi, których zbliżył los, już się rozstaliśmy. Małżeństwo było wykluczone, nawet gdyby nie zginęła.

Przymyka oczy i rozkoszuje się ciepłem jej ciała.

Czuje, że narasta w nim pożądanie, i chce opowiedzieć jej całą historię, jakby dopiero wtedy mógł podążać dalej, znowu się z nią kochać, oczyścić się z winy, którą od tamtego czasu nosi w sobie.

- Byłem szaleńczo zakochany w żonie przyjaciela, oficera z tego samego pułku.

Miałem obsesję na jej punkcie.

Kate przewracając się na bok.

- A ona kochała ciebie?

- pyta.

- Tak.

Zdradziłem przyjaciela, Kate.

Dużo wcześniej, niż rozpoczął się nasz romans.

Na samym początku, gdy powinienem był się usunąć.

Zostali odesłani do kraju.

Ich związek przetrwał, ale wcześniej próbowała popełnić samobójstwo.

- Z miłości do ciebie?

- Tak.

- Czy nie byłoby lepiej dla nich obojga, gdyby się rozwiedli?

458

- Byli ortodoksyjnymi katolikami.

Musiała to wszystko straszliwie przeżywać, skoro przyszła jej do głowy myśl o samobójstwie.

Lubiła swego męża, a on ją uwielbiał.

Chciała postąpić, jak należy.

- Nawet jeśli byliby nieszczęśliwi przez resztę życia?

- Rzecz w tym, że wcale nie byli nieszczęśliwi.

Teraz mają dwoje dzieci.

Małżeństwo przetrwało.

Są szczęśliwi.

Dopiero po wielu latach zdobyła się na to, by powiedzieć im o tym w liście.

- Więc dlaczego wciąż masz wyrzuty sumienia?

- Ponieważ przysporzyłem im wiele cierpienia, nie mając odwagi usunąć się, gdy należało, zwłaszcza że zajmowałem odpowiedzialne stanowisko.

Na twarzy Barnaby'ego, zanurzonej we włosach Kate, pojawia się niespodziewanie uśmiech.

- Dlaczego, u licha, mówię ci to wszystko, zamiast kochać się z tobą?

Kate unosi głowę.

- Ponieważ miałeś potrzebę zwierzyć się i uwolnić od wspomnień.

Teraz zamkniesz ten okres raz na zawsze i przestaniesz ciągle go rozpamiętywać.

- Jak na niekonwencjonalną młodą osobę, jesteś nad wyraz mądra.

- A ty wcale nie jesteś takim świętoszkiem, jak mi się wydawało.

Lucy leży na kanapie - obok niej wyciągnął się Homer - i pisze list do Tristana.

Kochany Tris!

Uśmiam się tęsknoty z tobą.

To wszystko, co tam siedzieje, jest takie straszne.
Jesteś smutny, zmarznięty, przemęczony, a ja nic nie mogę zrobić, żeby cię pocieszyć.
459.

Chciałabym zadzwonić, wysłać e-maila, nawet nie wiem, jak długo idą do ciebie listy.

Musisz uważać na siebie, Tris.

Bardzo cię proszę, nienarażaj się, nie udawaj bohatera.

Czytałam orozruchachwywołanych przez Albańczyków.

Jeśli spotka cię coś złego, nie przeżyję tego.

U nas jest nie najlepiej.

Dziadunioumarł.

Przyleciałam z Mediolanu napogrzeb i jestem w Kornwalii, razem z Barnabym.

Mama też jest z nami.

Wyobraź sobie, że znalazła listy i dokumenty, które schowaliśmy w mojej sypialni, a potem - nie uwierzysz - pojawił się Kurt Saurer, ten Niemiec, jej ojciec.

Jakoś zdołał ją odszukać.

Może zależało mu na tym, żeby go uznała jako ojca, albo chciał pozbyć się upiórów z przeszłości - sama nie wiem - nieczuły drań.

Wyobrazasz sobie, jaki to był wstrząs dla mamy.

Czuję się okropnie, widząc, jak w pewnym sensie stała się słabsza.

Czasem mi się wydawało, że jej nienawidzę, ale to nieprawda.

Zawsze była silna, niewzruszona.

A teraz, gdy jest rozbita, upadam na duchu, czuję się jak małe dziecko.

Pamiętasz, Tris, nasz ostatni wieczór przed wyjazdem z małego domku?

Przypomnij sobie!

Jestem w ciąży (trzeci miesiąc).

Mam nadzieję, że to miłe zaskoczenie.

Mówię ci o tym teraz, w liście, żebyś miał się czego trzymać w trudnych chwilach, żebyś wiedział, że twoja obecność coś zmienia, że masz wrócić do mnie zdrowy i cały.

Opowiem ci wszystkim ze szczegółami później.

Kocham cię i bardzo za tobą tęsknię.

Lucy

Lucy kładzie pióro i papier na podłodze, przewraca się na bok i obejmuje ramieniem psa, mówiąc:

- Nie chrap, pchlarzu.

460

Przez ogromne okna oranżerii widać sierp księżyca.

Oświetlona srebrzystym blaskiem wiśnia rzuca cień na zarosnięty trawnik, na drzewa i wysoki żywopłot, za którym ciągnie się niewidoczna z domu ulica.

Zza cmentarza dobiega grzmot fal morskich; słychać znajome, natarczywe krzyki kulików.

Lucy przypomina sobie nagle smutną, pełną godności twarz starego Niemca.

Jestem twoim dziadkiem, Lucy.

Skoro Marthanie potrafiła wydobyć gniew z swej skołowanej duszy, czy ona ma do niego jakiegokolwiek prawo?

Te dźwięki, tendom, ta kanapa, na której tak często kładła się w dzieciństwie, trzymając głowę na kolanach Marthy - to wszystko daje jej poczucie bezpieczeństwa.

Dzięki Marcie.

Dzięki Fredowi.

Dzięki temu, że byli z sobą szczęśliwi, stworzyli w tym domu atmosferę wiecznego lata.

Choć czasem wyczuwało się niepokojące cienie niezrozumiałego echa, które niesły się po domu jak mgła nad taflą morza, dziadkowie dali jej bezkresne dzieciństwo pełne miłości.

Lucy jest zmęczona, z trudem zbiera myśli.

Gdyby tylko potrafiła nakłonić Annę, by skupiła się na tym, co jest tutaj, na tym domu, gdzie spędziła dziecięce lata, domu, który Martha jej stworzyła.

Może wtedy uwolni się od wiecznego uchwytnych wspomnień, odzyska poczucie własnej

tożsamości.

Możewtedy zrozumie, że liczy się tylko ten dom, miejsce, gdzie rozpoczęło się jej prawdziwe życie.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

To Anna.

Martha budzi się w ciemności i wie, że Anna jest przy niej.

- Co ci jest, kochanie?

- pyta.

- Dlaczego płaczesz?

Anna nie może jednak odpowiedzieć, a Martha nie może znieść jej bólu.

Bierze Annę za rękę przykładając dłoń do jej policzka, próbuje przykryć ją kołdrą, widząc, jak drży na całym ciele, jak jest jej zimno.

- Śpij, Anno - szepcze.

- Mama jest tutaj.

Przy tobie.

Mama jest tutaj.

A dziecko jest zagłodzone.

Nie ma mleka, brak jej pokarmu w piersiach.

Tato pochyla się nad nią w ciemnym pokoju.

- Marto - mówi cicho.

- Przyniosłem mleko.

Mazmarznącą twarz; na dworze panuje przejmujące zimno.

Jest wymizerowany.

Tak bardzo się postarzał.

- Skąd?

- szepcze Marta.

- Jak je zdobyłeś?

- Dajmi dziecko.

Bierze dziecko od Marty i bardzo wolno je karmi.

- Wystarczy najeden raz - mówi i całuje Annę w czubek głowy.

- Jest taka maleńka - niepokoi się Marta.

- Myślisz, że przeżyje?

- Nie rezygnuje tak łatwo - uśmiecha się tato i podaje jej Annę.

- Jest drobna, ale popatrz, jak mocno zaciska rączkę wokół palca.

462

Marta przytula dziewczynkę do piersi, żeby było jej ciepło.

Gdy unosi głowę, napotyka wzrok taty.

- Dziecko urodziło dziecko - mówi tato drżącym głosem, co oznacza, że bardzo ją kocha.

Gdy Anna jest trochę starsza, Marta robi jej naszyjnik z aksamitu, do którego wkłada okruszki chleba.

Zbiera je poślinionym palcem.

Są taktwarde, że dziecko musi je ssać przez materiał.

Dzieci z gettarobią podkopy pod murem.

Nocą przeczołgują się na drugą stronę, żeby kraść.

Bywa, że zostają przyłapani lub zastrzelone.

Ale to ich nie zniechęca - są zagłodzone.

Po dwóch latach tato jest chudy jak szkielet.

Niewielkie ilości pożywienia, które uda mu się znaleźć, oddaje Marcie, Hanniei mamie.

Nie mogą go nakłonić, żeby się odżywił lepiej.

Z braku jedzenia wypadły mu wszystkie zęby.

Czasem dostają paczkę.

Tato mówi, że to od doktora Saurera.

Anna.

Tamten poranek, gdy rozległy się przeraźliwe krzyki - już nie noc, ale jeszcze nie dzień, cicha pora,

ludzie pogrążeńiw półśnie.

Tato biegnie dookna.

- Marto, szybko - mówi.

- Chodźze mną.

Zabierajądzieci.

Robią łapankę, żeby wywieźć dzieci.

Zbiegają razemdo piwnicy, jak reszta sąsiadów.

Ludzie przepychają się, krzyczą w panice, przewracają jeden drugiego,ciągną zarekę dzieci, popychają je przed sobą.

Rozdzielają się w tym ścisku; tateporywa fala ludzi.

- Na górę!

- krzyczy,wskazując schody.

-Na dach, Marto.

Ale Marta nie może się ruszyć.

Boi się ogarniętego panikałumu.

Mocno przyciska do piersi dziecko, które kurczowo obejmuje ją za szyję.

Marta czujezapach włosów dziewczynki, wciąż niemowlęcąwoń skóry.

Cofasię w cień przy drzwiach i obejmując córkę,siada w kucki, dopóki nie przycichną wrzaski, strzały, krzykiludzi bitych pejcjami.

463.

Słyszy warkot odjeżdżających ciężarówek, a potem przeraźliwy jęk, który niesie się po pustej ulicy. Naglewszystko ucicha.

Marta podnosi się, czuje przyciśniętą doramieniabuzię dziecka.

Otwiera drzwi kryjąc się w cieniu, widzi, jak kierowcy dodajągazu i wywożą dzieci, które nie wydają głosu, stoją w milczeniu,apatyczne, spoglądają za siebie, trzymając się barierek.

Jest takipunkt poza granicą strachu -jak później przekona się Marta- gdyciało i umysł już nanie niereagują.

A może to przejaw nadziei?

Czysta i niewinna wiara w lepszą przyszłość, nim pozna sięzło?

Nagle,nie wiadomoskąd, pojawia się Niemiec na koniu, wyjeżdża zza rogu.

Dostrzega Martę, która stoi wdrzwiach, zeszywniałaze strachu.

Zawraca konia w jej stronę.

Dzieckozaczyna cicho kwilić.

Jest coraz bliżej, kopyta stukają głośno na opustoszałej ulicy.

Podjeżdża jeszcze bliżej.

Marta wpatruje się w niego, widzijego twarz.

Gdy słyszy rzenie konia, nabiera pewności.

Odrywa małeńkie rączki zaciśniętekurczowo na jej szyi.

Zdejmuje czepekz główki i odwraca dziecko, Annę.

Podnosijądo góry, pokazując Niemcowi.

Ten spogląda na nią, wpatrujesię w jej twarz, potem w twarz dziecka.

Widać, że jest poruszony.

Smaga konia pejczem i staje w poprzek ulicy, zasłaniającMartę i dziecko przedzołnierzami w ciężarówkach.

Martę bolą ręce, ledwoutrzymuje dziecko w górze, jasneloki rozwiewa wiatr.

Patrzy w oczy Niemca.

Błaga całą swąistotą o życie małeństwa.

Ta chwila zdaje się niemieć końca.

Jeździecpochyla się nadTyliczem i zagląda im w twarze.

- Ukryj ją - szepcze.

- Wyślij gdzieś.

Nie możetu zostać.

Wszyscy mieszkańcy będą wkrótce przesiedleni.

I znika.

W porannym powietrzu niesie się tylko stuk końskichkopyt.

Marta wchodzi z powrotem dodomu.

Znajduje ją tato,bierze Annę z jej rąk i bardzo mocno tuli do piersi.

464

Martha pojękuje cicho przez sen, przewraca się zbokunabok.

Co jej się śni?

- myśli Anna.

-Co sobie przypomina?

Starzy ludzie wracają do przeszłości, lepiej pamiętająwłasne dzieciństwo niż to, co robili wczoraj.

Anna leżypodkołdrą, jest jej coraz cieplej.

Nie pamięta, kiedyostatni raz byłatak blisko Marthy.

Czuje lekki zapachlawendyi talku dla niemowląt, którego używają opiekunki.

W domujest cicho.

Barnaby iLucy poszli już pewnospać.

Przez duże okna widać sierpk księżyca, któregoblask rozjaśnia pokój.

Cienkie gałęziedelikatnie uderzają o szyby.

Pokój Marthy.

Pokój, gdzie mieszkała z Fredem niemal przez cały czas, gdy byli małżeństwem.

Anna chciałaby odzyskać dzieciństwo.

Przeżyć je nanowo, inaczej.

Przymyka oczy, odsuwając wspomnienia przykrości, które sprawiała rodzinie.

Kukułcze jajo podrzucone do gniazda.

Ma poczucie przeniesienia w przestrzeni, nie może się od niego uwolnić.

Trzeba czasu - myśli - który pomoże z tym się uporać.

Nie jestem tą samą osobą co dawniej.

Jestem starsza.

Znowu zaczyna dygotać, gdzieś głęboko w kościach, jakby jej ciało nie mogło sobie poradzić ze wstrząsem, jakiego doznała.

Nigdy dotąd tak się nie czuła - i to ją przeraża.

Nie wie, czym to się skończy.

Wsuwa się pod kołdrę i wtedy drzwi się uchylają, powstaje wąska szpara, przez którą wpada światło.

Wchodzi Lucy w zwykłej, workowatej piżamie, z kubkiem herbaty i termoforem w dłoniach.

Wygląda jak dziecko, co najwyżej jedenastoletnie.

Stawia herbatę na stoliku nocnym i wsuwa Annie termoform pod kołdrę.

- Jak się czujesz?

- pyta szeptem.

- Dobrze - odpowiada mechanicznie Anna.

465.

Lucy siada na brzegu łóżka.

- Nie sądzę.

Masz chyba wrażenie, że tkwisz w koszmarnym śnie i chcesz się wreszcie obudzić, wrócić do rzeczywistości.

Anna podnosi się lekko na łóżku i popija herbatę.

- Dziękuję, Lucy.

Idź spać.

Zrobiło się późno.

Lucy ma łzy w oczach.

Podnosi się z łóżka i stoi zakłopotana.

- Mamo, jesteś najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znam.

Taka sama jak dziadunio.

Nigdy się nie skarżysz.

Pochyliła się, szybko całuje matkę i idzie do drzwi.

- Lucy - woła cicho Anna.

- Słucham?

- Dziękuję.

Gdy drzwi są już zamknięte, Anna przyciąga do siebie termofor i stara się oddychać równo z Marthą.

Jest tak jak jej ojciec.

Cudownie to usłyszeć.

Marcie znowu coś się śni.

Co pewien czas przewraca się na bok i dotyka Anny, czując wierzchem dłoni ciepło jej ciała.

Martha śni o dawno zapomnianych wydarzeniach, które zachowała siłą woli w zakamarkach umysłu.

Śni o tym, jak żyła ze swoją córką, zamknięta w zawilgoconym pokoju razem z rodzicami i

Hanną.

Z dzieckiem, które przetrwało wbrew wszystkiemu, które mogli utrzymać przy życiu, bo nadawali się do pracy.

Dopóki był z nich pożytek, mogli uniknąć wywózki.

Troską o dziecko była ich ostatnim wspólnym doświadczeniem.

Ciepło ciała małej Anny utrzymywało Martę przy życiu.

Gdy skręcał jej się żołądek z głodu i była tak słaba, że trzęsła się pod nią noga, szeptała córce pokrzepiające opowieści.

Mówiła o ogrodzie wokół domu, gdzie trawnik ciągnął się pod sam las.

O kurczakach i kocie, którą kiedyś mieli.

Okoniach tak

466

wyszczotkowanych, że aż lśniły.

Opowiadała o tym, jak uczyła się jeździć konno, choć teraz nie śmiała nawet wyobrazić sobie, że znowu usiądzie w siodle.

Myślami wracała do czasów, gdy galopowała przez lasy, przez pola, wiatr rozwiewał jej włosy, radość rozsadzała serce i biła z twarzy.

Jeździec, który zawsze jeździł z nią - ich konie pędziły w łeb - stał się cieniem wywołującym bolesne wspomnienia.

Jak dziecko zamazuje twarz osoby, która ją zdradziła, tak Marta uczyniła z niego cień.

Ale on nieznikał, nie dawał się wymazać.

Próbowała zatrzeć wspomnienie o nim, pielęgnując uczucie radości i wolności, jakie dawały jej przejażdżki i pełne swobody życie, nieobwarowane zakazami, których musiały przestrzegać jedynaczki w zamożnych żydowskich rodzinach.

Chłopiec miał trudny, nieokiełznany temperament, pokazał jej, że można żyć inaczej, doświadczać czegoś nowego.

Darzył ją sympatią, ponieważ nie bała się stawić mu czoła, odznaczała się żywą inteligencją i była pojętna.

Marta wiedziała, że rodzice, choć nie są ortodoksyjnymi Żydami, znajdą jej odpowiedniego żydowskiego chłopca namęża.

Gdyby nie tato, mama już dawno ograniczyłaby jej swobodę.

Pamięć o tych latach należało przechowywać jak wielki skarb.

Mały chłopiec, który bywał okrutny, wyrósł na młodzieńca dumnie kroczącego w budzącym postrach mundurze, a potem na mężczyznę, który pokochał władzę opartą na strachu.

Poniemieckim najeźdźcą stał się zimnym, wyrachowanym i niebezpiecznym człowiekiem.

Dlaczego więc nie mogła wymazać go ze wspomnień?

Dlaczego nie dawała się sunąć w cień?

Dlaczego utkwiał jej w pamięci wyraz jego twarzy tamtego dnia, tuż po tym, jak zgwałcił ją pod jabłonią?

Natychmiast oprzytomniał, uświadamiając sobie zprzerażeniem, co zrobił.

Próbował ją podnieść drżącymi rękami i oprzeć o pień drzewa,

zapiąć guziki sukienki.

Wpatrywał się w nią blady jak ściana.

Chciał przygładzić jej włosy, ale cofnęła się i z bólem przewróciła na bok, na płatki kwiatów jabłoni.

Dlaczego zapamiętała jego twarz i zachowanie?

Czy to miałyby go usprawiedliwić?

Z nikim nie potrafiła podzielić się tymi myślami.

Martha jęczy przez sen, przewraca się z boku na bok.

Ponieważ musiała zaleczyć tę ranę w swojej duszy, ponieważ miała Annę, ponieważ.

- Mamo, coś ci się śni - szepcze Anna, delikatnie dotykając jej ramienia.

Martha otwiera oczy, ale myślami jest bardzo daleko.

Nie poznaje Anny.

Znowu zasypia.

- Musimy wysłać stąd moje dziecko - mówi dotaty.

- Onituwróć.

Będziemy przesiedleni.

Hanna i mama porzucają swoje zajęcia.

Wszyscy wiedzą, co oznaczają słowa Marty.

- Ten Niemiec nakoniu.

Powiedział, że bym ją ukryła, wysłała stąd.

Poznałam Tylicza, tato.

Ojciec milczy.

W pokoju zalega cisza.

Po chwili tato bierze palto i zmierza do drzwi.

- Idę zwołać zebranie.

Jakub musi skontaktować się z podziemiem.

Trzeba wysłać stąd resztę dzieci.

Możliwie jak najwięcej.

Znajdują się w ciemnej piwnicy.

Dziewczynce chce się krzyżeć.

Przylega do matki, z przerażeniem patrząc na potężnego, brodatego mężczyznę, który ma zanieść ją na dół, gdzie widać mulistą czerń i skąd wydobywa się smród przyprawiający mdłości.

468

Już ją mocno przywiązali do jego pleców, żeby się nie zsunęła.

- Anno, posłuchaj, nie wolno ci płakać.

Masz być cicho jak myszka.

Słyszysz, co mówi mama?

Ani słowa.

Niewolno ci płakać ani się odzywać.

Dziewczynka, przywiązana pasami do szerokich pleców mężczyzny, zaczyna się krzywić, przylega do czarnych włosów na karku, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

Wlepia wzrok w Martę, błagając ją, by nie wysyłała jej z tym człowiekiem na dół, gdzie jest tak ciemno.

Marta przykładła policzek do buzi dziecka.

Nie śmie płakać.

- Nic ci się nie stanie.

Będiesz bezpieczna, Anno.

Niedługo do ciebie przyjdę.

A teraz idź z Jakubem.

Mama niedługo

przyjdzie.

Serce mi pęka, gdy widzę, jak znikasz z Jakubem w studziencę prowadzącej do kanału pełnego nieczystości.

Posuwasz się centymetr po centymetrze w labiryncie podziemnych tuneli.

Jakub czołga się na brzuchu coraz dalej i dalej.

Mężczyźni przenoszą milczące, przerażone dzieci śmierdzącymi kanałami ściekowymi, aż wszystkie znajdują się po drugiej stronie muru.

W milczeniu odwracam się od cuchnącego otworu, w którym zniknęłaś.

Obejmuję się z Hanną i płacemy, że straciłyśmy siebie, że nie będziemy dotykać twojego ciepłego ciała.

Ale to jest jedyna droga ucieczki, Anno.

Jedyny sposób, żebyś przeżyła.

Dokąd cię zabrano?

Gdzie znalazłaś bezpieczne schronienie?

Nie dowiem się tego nigdy.

Nigdy nie będę wiedziała, co przeżyłaś przez te lata.

Marta przewraca się na bok, twarzą do Anny, i wyciąga rękę, chcąc jej dotknąć.

Stara się zatrzymać ten wyrazistysen.

Czy tato cię znalazł?

Nie, nie.

Za radą doktora Saurera umieścił jego nazwisko na tym niepozornym świadectwie

469.

- mówi.

-Mamy tylko pięć minut.

Jesteście spóźnieni.

Wyciągają przez otwór jedno dziecko po drugim.

Kobietachwyta je i biegniedo ciężarówki, która stoi z włączonym silnikiem.

Pospiesznie wpychadzieci do środka, jak popadnie.

Anna widzi, że za nią pojawiają się następne dzieci.

Nagle słychaćprzenikliwy gwizd.

Dziecko, które wyciągnięto do połowy,zostaje wepchnięte do środka.

Dwaj mężczyźniopuszczająz hukiem klapę i biegną do ciężarówki, która już ruszyłaz miejsca.

Gdy ciężarówka przyspiesza, Anna czuje zapach potu i strachu.

Widzi zapłakaną twarz małego chłopca,który zawisłpołową ciała nad włączonymi zostął wepchnięty do środka- chcejsię płakać.

Mama niedługo przyjdzie.

Mamaniedługo przyjdzie.

Nie dostrzegawokół siebie niczego znajomego.

Zagubionai wystraszona, kołysze się, by ukoić ból.

Zawsze byłokoło niejktos, kto jąprzytulił.

Tyle osób śpiewało jej cichodo snu.

Wszystko zniknęło.

Nikt nie będzie trzymał jej tak mocnow objęciach.

471.

Znajduje się w pomieszczeniu, gdzie unosi się aromatyczny zapach, a ludzie śpiewają w obcym języku i odmawiają dziwnych modlitw.

Słychać głośny warkot samolotów lecących po ciemnym niebie.

Obok niej na twardej, zimnej ziemi leżą martwe zakonnice i dzieci.

Pałają się domy, płomienie strzelają w niebo.

Kłębi się gęsty dym, który dusi w gardle.

Jeden dom, drugi, trzeci - ciągle trzeba się przeprowadzać.

Tyle rodzin, tyle strachu.

Ciągle nakazy i kary.

Może mówić tylko po niemiecku.

Nigdzie nie czujesz się bezpiecznie.

Mama nie przychodzi.

Mama nie przychodzi i Anna porzuca nadzieję.

Zapomina.

A jeśli gdzieś poczujesz się bezpiecznie czy zazna radości, jeśli już otworzy przed kimś serce, to musisz przemieścić się natychmiast w inne miejsce albo ci ludzie nagle znikają i słychać tylko marszowy rytm podkutych butów.

Pewnego razu, gdy przyszedł żołnierz, w pośpiechu schowano ją z małym chłopcem do szafki.

Minęły dwa dni, zanim ktoś ich znalazł.

Obrazy w pamięci, zamazane dawno temu i przypieczętowane milczeniem, rozplywają się.

Anna budzi się z zesznu, zrozpaczona.

Martha patrzy na nią przytomnym wzrokiem.

- Już nie wiem, kim jestem - szepcze Anna.

- Jesteś Anną, kochanie.

- Tak, mamo, jestem Anną - uśmiecha się uspokajająco do Marthy.

- Wróciłaś do domu?

- Na pewien czas.

- To wspaniale, kochanie.

- Mamo, czy pamiętasz, gdzie przebywałam podczas wojny, gdy byłam bardzo mała?

Martha patrzy na nią ze zdziwieniem.

472

- Byłaś ze mną, tu w domu.

- Nie, mamo.

W Polsce.

Podczas wojny.

Zanim tu przyjechałyśmy.

Pamiętasz coś?

Pamiętasz, dokąd mnie wysłano?

Martha jest dezorientowana.

- Mieszka mi się w głowie, kochanie.

- Poklepuje Annę po dłoni.

- Teraz jesteś w domu.

Tylko to się liczy, prawda?

Anna ujmuje jej dłoń.

- Oczywiście, tylko to się liczy.

Może napijemy się herbaty?

- Byłoby cudownie, kochanie.

Wróci sztu i razem ją wypijemy?

- Oczywiście.

Jest wpół do siódmej.

Anna wychodzi cicho na korytarz.

Lucyleży na kanapie, pogrążona we śnie, a obok niej Homer, który łypie na Annę, jakby sprawdzał, czy ośmieli się go skarcić.

Drzwi dopokoju Barnaby'ego są otwarte, łóżko jest nietknięte.

Anna uśmiecha się, zaskoczona: Barnaby zajął się własnym życiem.

Przynosi herbatę i cienkie kromki chleba posmarowane masłem.

Stawia tacę przed Martą i kładzie się do łóżka.

- On cię uratował - niespodziewanie mówi Martha.

- Kto?

- pyta zaskoczona Anna.

- Kurt Saurer.

Ostrzegł nas.

Zdążyliśmy wysłać cię getta, nim zabrano nas do Oświęcimia.

Zginęłabyś, Anno.

Umarłabyś, gdybym zatrzymał cię przy sobie.

Anną wstrząsa dreszcz.

Nie może wydobyć z siebie głosu.

Gdybyś tylko powiedziała mi to wcześniej.

Martha znowu próbuje skupić się na tym, co chce powiedzieć.

- Był nazistą, ale przedtem się przyjaźniliśmy.

Dorastaliśmy razem.

Kurt wyciągnął mnie z tego szpitala.

Wydostał mnie stamtąd.

Miał szczęście, że go nie rozstrzelali.

- Jaki to się stało, mam?

473.

Martha patrzy na Annę.

Jej wzrok jest pozbawiony emocji, ale słowa brzmią jasno i wyraźnie.

- Zapieniądze.

Przekupił.

lekarza, który orzekł, że nie żyję.

Zabrał mnie z powrotem do bloku.

Zagroził.

powiedział, że Rosjanie są blisko.

- Wyciąga drobne, zdeformowane ręce, jakby prosiła Annę, by ta starała się zrozumieć.

- Przeżyłam.

Kurt Saurer dał mi życie.

Uratował mnie, Anno.

Ocalić życie jednemu człowiekowi to jak ocalić życie wielu ludziom.

Wydostał mnie stamtąd.

Wyciągnął mnie z piekła.

Martha całuje dygocze, jest wstrząśnięta, w jej oczach widać niesłabnące przerażenie.

Anna odstawia tacę z herbatą, po czym przysuwa się do matki i mocno tulij ją do piersi.

- Dostyc, mamo, więcej o tym niemyśl.

To już minęło.

Obiecuję, że nie będę cię o nic więcej pytać.

Martha i Anna obejmują się kołyszą delikatnie.

- Rozumiem - szepcze Anna, gładząc białe włosy matki.

- Musiałaś zapomnieć.

To było konieczne.

Och, Martho, stałaś się Angielką, a ja nic nie rozumiałam.

Wybacz mi.

Dobry Boże, wybacz mi.

Słońce wpada przez wielkie okna, zalewasamym blaskiem sypialnię Marthy isięga łóżka.

Anna odsuwa się i pyta:

- Napijesz się herbaty, zanim wystygnie?

- Dziękuję, kochanie - odpowiada Martha i opiera się o poduszki.

Popijają herbatę, patrząc na ogród.

- Co mówił Fred, gdy nie chciał nam czegoś powiedzieć, nie mógł dowieść swojej racji albo chciał zmienić temat?

- pyta pochwili Anna.

- Coś o motylach?

Martha śmieje się, grozi palcem, jak to robił Fred wobec dzieci, gdy udawał, że się złości, tłumiąc w sobie śmiech.

474

- O motylach.

Tak, coś o motylach.

Fred mawiał tak, gdy uważał, że jedno z was, ty lub Barnaby, plecie koszałki-opałki albo coś wyolbrzymia.

Martha odwraca się twarzą do słońca i przymyka oczy.

- "Motyle słyszą swoje skrzydła".

O to ci chodziło, kochanie?

Anna uśmiecha się, gdy Martha naśladuje głos Freda.

Słońce świeci w okna, które należałoby umyć, zalewa ogród, gdzie kończą się letnie kwiaty, ogród, który Martha stworzyła z niczego.

- Brzmiało to chyba tak: "Motyle słyszą szum swoich skrzydeł" - mówi Anna, jak zwykle pedantycznie.

Rozdział sześćdziesiąty

Kate i Barnaby leżą na dawnym łóżku Lucy w małym domku i patrzą, jak morze iskrzy się srebrzyście w porannym słońcu.

Kate odwraca się do Barnaby'ego i uśmiecha szeroko.

- W najsmielszych snach nie przypuszczałam, że pójdę do łóżka z pastorem.

- Czy mam to potraktować jako wyraz niezadowolenia?

- Ależ skąd - mówi cicho Kate.

- Gdzieżby.

Nie mogę pojąć, jak udało ci się nie wpaść w sidła jednej z wieloparafianek stanu wolnego.

- Niestety, zainteresowanie moją osobą wykazują tylko korpulentne wdowy, które próbują mnie skusić pasztecikami własnej roboty.

Kate parska śmiechem.

Leży na boku, podparta na łokciu.

- Myślę o Annie.

Da sobieradę, jak sądzisz?

Może powinieneś być tam z nimi?

- Powiniennem - wzdycha Barnaby.

- Wczoraj wieczorem, gdy Anna poszła już spać, dzwonił do mnie Rudi.

Właśnie wrócił do Londynu.

Dzisiaj tu przyjedzie.

Mówił mi, że Kurt Saurer śledził Annę w Londynie.

Rudi przeprowadził własne dochodzenie.

Przypuszczał, że Saurer jest w jakiś sposób powiązany ze sprawą przeciwko zbrodniarzowi wojennemu, którą zleciła Annie prokuratura.

476

- Co sądzisz o Saurerze?

- Nieważne, co o nim sądzę.

Moimi rodzicami wciąż są Martha i Fred.

Ale Anna.

- I Lucy.

- W przypadku Lucy jej dziadkiem był Fred.

Koniec

i kropka.

Kate zgrabnym, zamasztywym ruchem narzuca kimonona gołeciało.

Barnaby patrzy na nią z podziwem, a potem wstaje z łóżka i wkłada ubranie.

- Jesteś urocza.

Szczęściarz ze mnie.

Podobasz mi się dłuższymi włosami.

- Kiedy wróciłam z Indii, miałam włosy do pasa - mówi Kate, dotykając głowy.

- Ściąłam je, kiedy byłam z przyjaciółmi w Glastonbury.

Coś mi odbiło - przekłułam sobie nos kolczykiem i wytatuowałam małego motyla.

- Zauważyłem - śmieje się Barnaby.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Kolczyk w nosie był pomyłką - od razu tego żałowałam, ale miałam niezły ubaw, obserwując reakcje ludzi.

Tatuaż lubię.

Na starość będzie mi przypominać czas, gdy byłam młoda.

A włosy?

Cóż, kobiety czasem je obcinają ze smutku albo zgniewu.

Odprawiają coś w rodzaju pokuty, bo są nieszczęśliwe.

Chcą się zmienić, być kimś innym.

- Kate uśmiecha się do Barnaby'ego.

-Niemożesz się w tym połapać?

Barnaby podchodzi do niej i bierze w palce pasemko jej włosów.

- Nie mogę.

Jestem zwykłym, prostym pastorem.

Kobiety są dla mnie zagadką.

- Prostym?

Akurat!

Jesteś niezwykle seksownym pastorem.

Barnaby'ego przenika dreszcz, gdy słyszy ton jej głosu.

477.

- Gdy Anna była mała - mówi, przyciągając ją do siebie- śniły jej się okropne koszmary.
Tylko Fred potrafił ją uspokoić.
To było bardzo przygnębiające.

Barnaby milknie.

Przypomina sobie również krzyki Marthy, podobne do ptasich pisków, dalekie echo tego, o czym niedawno się dowiedział.

To dlatego Fred wysłał ich do szkoły z internatem - chciał ochronić dzieci i ochronić Marthę.
Pobyt poza domem wprowadzanie wielki, ale wyraźny dystans w relacjach między rodzicami a dziećmi.

Kadzierekę na ciepłym karku Kate.

Zalewa go falamiłości, ścisza mu gardło.

Musi przełknąć, żeby złapać oddech.

- Teraz ludzie mogą porozmawiać z psychoterapeutą, szukać u niego pomocy.

Ale powojnie musieli radzić sobie sami, wspierać się nawzajem.

Kate odchyła głowę i patrzy na jego zasmuconą twarz.

- Jestem przekonany, że Annę ciągle dręczyły wspomnienia, przebłyski z przeszłości - ciągnie Barnaby.

- Była takim drażliwym dzieckiem, miała cięty język.

Żałuję, że o niczym wtedy nie wiedziałem.

Barnaby zawiesza głos, zmagając się ze sobą, chcąc być lojalnym.

- Kiedy zmarł Fred, ogarnął mnie straszny gniew, nie mogłem pogodzić się z tym, że nikt mi nie powiedział, co naprawdę spotkało Marthę.

Wciąż to czuję.

dotkliwy żal, że ani Anna, ani ja nie znaleźmy od początku prawdy.

Patrzy w okno, przez które zagląda słońce.

Kate nie spuszcza z niego wzroku, wie, że musi znaleźć teraz właściwe słowa.

Ujmuje go za ramię, odwraca twarzą do siebie czuje, jak wzbiera w niej znajome uczucie gniewu.

- Moja matka przez całe życie dźwigała brzemię winy, ciągnęła je zasobą jak wór kartofli.

O rany, ile myśmy się nasłuchali z ojcem.

Mój brat był dla niej święty, przelała

478

na niego całą miłość po śmierci swoich braci i ukochanego ojca, którzy zginęli albo zostali uwięzieni podczas wojny.

- Bierzę głęboki oddech, a Barnaby słucha jej uważnie.

- Wszyscy wiedzieli, co przeżyła, co wycierpiała jej rodzina, ile osób zginęło.

Nie pozwalala nam o tym zapomnieć.

Ani na chwilę.

Miała poczucie winy, że wyjechała z swoją babcią z Holandii do Anglii na początku lat trzydziestych, zanim zaczęło się robić źle, i została przy niej przez całe życie.

Wyszła za męża goja, a potem dręczyła go, że nie jest Żydem.

Ani ona nie była szczęśliwa, ani my, Barnaby.

Choć mogła cieszyć się życiem, gdyby tylko chciała.

Miała dobrego, kochającego męża, dość pieniędzy, uroczy dom, dwoje zdrowych inteligentnych dzieci.

Ale ona nie potrafiła kochać nikogo prócz swojego brata, tylko on dawał jej radość.

Twoja matka jest inna.

Martha do dziś przyjmuje wszystko z zachwytem i radością.

Wciąż potrafi dać szczęście i miłość.

Trudno sobie nawet wyobrazić, co przeżyła.

Czy ktokolwiek potrafi zrozumieć okrucieństwo, które kompletnie nie mieści się w głowie?

Milczenie pomagało Marcie żyć.

Przestań zajmować się przeszłością.

Martha stworzyła ci życie, które masz teraz, i to jest ważne.

Kate milknie, bliska łez.

- Przepraszam, nie powinnam.

Nie mam prawa.

Za

dużo mówię.

Barnaby spogląda na swój kościół, stojący pośród skrzywionych dębów, niezmienny, wieczny, trwały pomnik wiary.

Ma nagle ochotę się wkościele, zwrócić się do znajomego Boga, którego czci w codziennej, swojskiej liturgii, dającej ukojenie i otuchę jak ciche średniowieczne chorały.

Odczuwa lęk przed siłswoich uczuć do tej kobiety.

- Mam nadzieję, że chwile z tobą nie są snem - mówię mało sobie, patrząc na cmentarz i tafłę morza.

479.

- To nie jest sen, Barnaby, to się dzieje naprawdę.

Kate staje obok niego przy oknie.

- Ale ja jestem jak cyganka.

To dopiero początek.

Trudno mi powiedzieć.

Kate boi się, że znów zostanie zraniona, że znów popełni błąd.

Barnaby odwraca się i z uśmiechem kładzie palec na jej ustach.

- Oczywiście.

Jesteś młoda, masz przed sobą całe życie.

To zrozumiałe.

Pochyla się i całuje ją.

- Czas, który z tobą spędzam, jest dla mnie bardzo cenny.

- Dla mnie też - zapewnia Kate, przytulając policzek do jego twarzy.

- Idź już, kochany Barnaby.

Zobacz, co się dzieje w domu.

Schodzą na dół.

Kate otwiera drzwi, z którymi wstał już nowy dzień, i patrząc na oddalającą się po wilgotnej trawie postać, mówi cicho do siebie:

- Ty i ja, dziwne, ale prawdziwe.

Dochodząc do furki, Barnaby odwraca się i widzi drobną, egzotyczną kobietę w kimono, która stoi na schodkach, roześmiana.

Nieprawdopodobne, ale jakiegoś podniecającego.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Gdy Rudi dojeżdża pomrukującym mercedesem do Londynu, włącza Bacha.

Odczasu do czasu wyciąga rękę i dotyka Anny, jakby chciał dodać siły sobie, która była chora i dochodzi do siebie.

Anna jest wzruszona.

Charakter ich związku odrobinkę się zmienił, jakby jej bezbronność uczyniła z niej inną kobietę niż ta, którą poślubił.

Rudi cieszy się, że po raz pierwszy może okazać swe uczucia.

Anna rozmyśla o zadziwiającej sile Lucy, która została w Kornwalii jeszcze jeden dzień, a potem wraca pociągiem do Londynu.

Przemyka oczy i słucha muzyki.

Jest zadowolona, że wiejskie krajobrazy zostają w tyle, że wraca z Rudi do domu, do tego, co wciąż jest dobre, znajome, rutynowe.

Porozmawia z nim o Kurcie Saurerze, ale jeszcze nie teraz.

Rudi zrozumie wszystko i urazy z przeszłości i będzie wiedział, że tylko czas może je uleczyć.

Teraz wystarczy jej, że siedzi w ciepłym samochodzie z ukochanym mężczyzną, a on obdarzają ją miłością, której siłą Anna zaczyna doceniać dopiero teraz.

Opiera się wygodnie w fotel tak zmęczona, że szumi jej w uszach.

Pogodziła się z tym, że przeżycia z przeszłości nazawsze wypadły z jej pamięci, pozostały jedynie niewyraźne, ulotne obrazy.

Informacje, które uzyskała z książek

481.

albo usłyszała od ludzi, mieszają się z jej snami, które nadal będą ją nawiedzać, a ona i tak nie zdoła ich pojąć.

Ma wrażenie, że coś, co czaiło się w mroku przez całe jej życie i prześladowało ją tegolata, nagle się ujawniło.

Życie nie będzie już takie jak dawniej.

Ale przecież jedzie teraz wsamochodzie z Rudim.

Przeżyła.

Nie nastąpił koniec świata.

Myśli o Lucy, o dziecku, które ma się narodzić.

Odczuwa szacunek wobec córki, jakby pierwszy raz dostrzegł niejdoroślą kobietę.

Myśli o chłopcu Lucy, który jest świadkiem nienawiści etnicznej, tak głębokiej, że pochłania wszystko.

W kraju, gdzie zacierają się granice.

Gdzie trudno odróżnić dobrych ludzi od złych.

Gdzie po latach propagandy i podsycania uprzedzeń nawarstwiło się tyle nienawiści, że złodotyka każdego.

Przypomina sobie słowa Rudiego, że Niemcy z jego pokolenia rzadko pytają, co ich ojcowie robili podczas wojny.

Przypomina sobie, jakto pewnego razu syn Rudiego zbyt mocno zatrzęsł drzwi taksówki, na co kierowca z gniewem mruknął: "Cholerni Niemcy".

Chłopiec był wstrząśnięty, a ona wstydziła się za tego człowieka.

Przykład ksenofobii wywołanej drobnym zdarzeniem.

Nieraz się okazywało, że jej koledzy to w głębi duszy rasiści.

Ludzie zawsze potrafią człowieka zaskoczyć.

Uświadamia sobie cierpko, że zawsze odczuwała pokrewieństwo z Niemcami.

Lubiła ich język i towarzystwo.

Gdy jest z Rudim, ma wrażenie, jakby wróciła do domu po długiej podróży.

Wszystko jest tak, jak powinno być, na swoim miejscu.

Nie potrafi wyobrazić sobie życia bez Rudiego.

Niezdawała sobie sprawy z siły swych uczuć.

Nigdy mu o tym nie mówiła.

Anna uśmiecha się i otwiera oczy.

- Co cię tak rozbawiło?

- pyta zdziwiony Rudi.

482

- Myślałam o Barnabym.

Barnaby i Kate - kto by przypuszczał?

Nigdy bym nie sądziła, że będzie z nich para.

- Od razu wyczułem między nimi wibracje - śmieje się Rudi.

- Naprawdę?

Coś takiego!

- Anna nie posiada się ze zdumienia.

- Myślisz, że się dogadają?

- pyta Rudi.

- Jest między

nimi duża różnica wieku.

- Trudno powiedzieć, ale mam wrażenie, że może im się udać - odpowiada Anna po chwili zastanowienia.

- Coś mi mówi, że Kate odejdzie od niego, ale wróci.

- Parska śmiechem.

- Kto by pomyślał, że Barnabyzakocha się w kobiecie niewiele starszej od Lucy.

Anna nie może powstrzymać się od śmiechu, który nagle zmienia się w płacz, przynoszący jej ogromną ulgę.

Rudizatrzymuje samochód na parkingu i bierze Annę za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Zobaczysz.

- Mam nadzieję, Rudi.

Rudi odwraca się i z teczki leżącej na tylnym siedzeniu wyjmuje jakieś papiery.

- Zamierzałem ci to pokazać po przyjeździe do domu.

Sądzę, że zainteresuje cię ta sprawa.

Porozumiałem się z moim przyjacielem, który napisał książkę o czasach wojny, a konkretnie o bohaterstwie kobiet, które działały w polskich organizacjach podziemnych.

Ich zasługi przez długie lata były niedoceniane, dopóki nie dorosły ocalone przez nie dzieci i nie opowiedziały historii ze swego życia.

Kładzie pliki kartek na kolanach Anny.

- Istniała wtedy organizacja o nazwie "Żegota", Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom.

Jej członkowie przemycili tysiące dzieci z getta i ukryli w domach zwykłych ludzi.

Jedną z tych bohaterskich kobiet nazywała się Irena 483.

Sendlerowa, pracowała w Wydziale Opieki Zarządu Miejskiego Warszawy.

Wykorzystywała swoją pozycję, żeby nieść pomoc finansową, przemycać żywność, pomagać Żydom. Stworzyła organizację zaufanych ludzi, którzy wydawali setki fałszywych dokumentów z podrobionymi podpisami.

Z oczywistych względów Żydom nie przysługiwała żadna pomoc socjalna.

Anna wpatruje się w leżące przed nią kartki.

- Koperta, w której znajdowało się moje świadectwo urodzenia, miała na wierzchu taki nadruk.

- Wiem.

Barnaby mi mówił.

Rudi kładzie rękę na karku Anny i lekko ją pociera.

- Nie miałem czasu dowiedzieć się więcej.

Tak pewnie dostałaś się z getta.

Z tych dokumentów wynika, że przeprowadzano dzieci podziemnymi kanałami, a potem znajdowano im rodziny, umieszczano w sierocińcach i klasztorach.

Anna wspiera głowę na jego rękę i znowu przymyka oczy.

- Zdaję sobie sprawę - mówi Rudi - że nigdy się nie dowiemy, co naprawdę cię spotkało, ale to jest jakiś trop.

Jestem przekonany, że te same organizacje pomogły Fredowi i Marcie odszukać cię zaraz po zakończeniu wojny.

Widząc, że Anna siedzi nieruchomo i milczy, Rudi zastanawia się, czy postąpił słusznie.

Po chwili Anna otwiera oczy i spokojnie składa papiery.

- Długo starałam się przekonać Barnaby'ego, żeby patrzył przed siebie, a nie wstecz.

Pouczałam go, jak ważna jest przyszłość.

- Na jej twarzy pojawia się słaby uśmiech.

- I miałam rację.

Dziękuję, że się tego wszystkiego dowiedziałeś, Rudi.

To ważne, bo w jakiś sposób mnie określa.

Gdy będę gotowa, spróbuję dowiedzieć się więcej.

Odwraca się i napotyka jego wzrok.

484

- Jestem cztery lata starsza, niż sądziłeś.

Nie jestem tą samą kobietą co przedtem, Rudi.

Jestem kimś innym.

- Jesteś tą samą kobietą, którą byłaś zawsze: piękną odnoszącą sukcesy zawodowe - odpowiada z uśmiechem Rudi.

- Kocham cię z całego serca i jestem z tobą szczęśliwy.

Jesteś Anną, moją żoną.

A teraz zawiozę cię do domu.

Anna unosi jego dłoń i przywiera do niej ustami.

Tęgi, pełen miłości, jest tak do niej niepodobny, że Rudi mocno zaciska powieki, by powstrzymać łzy.

Kate wchodzi do sypialni z kubkiem gorącej czekolady dla Marthy i podejrzliwie zerka na jej koszulę nocną.

- Ile par rajstop masz na sobie?

Wyglądasz jak kolubryna.

- Jak kolombina?

- mówi Martha, patrząc po sobie.

Napotyka wzrok Kate i obie parskają śmiechem.

- Wyglądam jak kolombina, Hanno.

Kate odstawia kubek, żeby nie rozlać czekolady.

- Zrzuć coś z siebie, bo wyzioniesz ducha.

Kate ściąga pięć par rajstop z cienkich nóg Marthy, a potem zdejmuje z niej kolejne warstwy odzieży. Niemoże się nadziwić, że Martha potrafi tyle na siebie włożyć.

Przy zdejmowaniu kolejnych ubrań zaśmiewają się coraz bardziej, w końcu padają na łóżko zasłane najdziwniejszymi częściami garderoby.

Barnaby, który zdążył już odprowadzić Lucy na nocny pociąg, staje w drzwiach i słucha ich zaraźliwego śmiechu.

Martha siedzi w łóżku i popija czekoladę, opatulona kocami, zarumieniona i zadowolona.

- Co to ma być?

Nocne obżarstwo?

- pyta Barnaby, dostrzegając na ich twarzach zmieszanie.

Wydaje się, że cała zawartość szafy Marthy wylądowała na podłodze.

- Zjadłam kolację w łóżku - mówi radośnie Martha.

485.

Kate puszcza oko do Marthy, uśmiecha się do Barnaby'ego i odprowadza go do drzwi.

- Cotu się dzieje?

Wystarczy zostawić was na pięć minut, a zaczynacie się objadać.

Przed wyjazdem nadworze Lucy dała Marcie kolację i położyła ją do łóżka.

- Wiem, ale Martha wstawiała ze cztery razy.

Gdy tylko ją położyłam, zaraz była nanogach.

Mówiła, że jest głodna, więc zrobiłam jej jajecznicę.

- Niedługo pęknie - śmieje się Barnaby.

- Przepraszam, Kate.

- Nie waż się przeproszać - mówi ostro Kate i wraca do Marthy.

- Miałyśmy świetną zabawę.

- Dużo śmiechu, kochanie - zapewnia sennym głosem Martha.

- Dobranoc, Martho, śpij dobrze.

Kate gasi światło w sypialni.

- Ty też, kochanie.

Do jutra.

- Do jutra.

Kate ściska Barnaby'ego za ramię, a jego twarz promienieje.

Martha dostrzega ten gest i mówi:

- Uwielbiam Hannę.

Jest taka śliczna.

- Święte słowa.

Dobranoc, mamo.

Niech cię Bóg błogosławi.

- Ciebie też, drogi Barnaby.

Zasypia natychmiast niczym dziecko.

Jego samolot jest opóźniony o godzinę.

Siedzi w terminalu i obserwuje przechodzących ludzi.

Nagle ogarnia gorądość, że ma to już za sobą.

Może wrócić do domu.

Czy postąpił właściwie, przyjeżdżając tu?

Sam nie wie.

Wieszat coś innego: Marta przeżyła.

486

W szwajcarskim banku jest konto, na które jego ojciec wpłacił pieniądze otrzymane od doktora Ołowskiego.

Wreszcie je zwróci; teraz są własnością Marty.

Po śmierci Mutti zdeponował w banku porcelanę Ołowskich - niemógł patrzeć na tę zastawę.

Mutti nic nie wiedziała o pieniądzach.

Zapewne nie przyjedzie więcej do Anglii.

W głębi serca

żałuje, że podjął taką decyzję.

Wolałby nie mieć pewności.

Wciąż sprawia mu ból widok córki, która ma jego oczy, kształt usti nachylenie głowy, postawę jego matki.

Dreńczo wyraz pogardyna twarzy wnuczki.

Gdy tylko przymykam oczy, pojawia się obraz dziewczynki uniesionej do góry, a ja patrzę na nią z wysokościskońskiego grzbietu.

Nęka mnie poczucie straty i żal, że szła przez życie beze mnie.

Anna odkłada słuchawkę telefonu, ale natychmiast ją podnosi i dzwoni po taksówkę.

- Muszę coś załatwić, Rudi.

Niedługo wrócę - woła.

Rudi wchodzi dopokoju.

Na jego twarzy maluje się zaniepokojenie.

- Co zamierzasz?

Może z tobą pojedę?

Stało się coś?

- Nie, Rudi, wszystko w porządku.

Sama muszę załatwić tę sprawę.

Opowiem ci później.

Spotkajmy się na lunchu.

Tam gdzie zwykle?

- Całuje go w policzek.

-Nie

martw się.

Muszę coś zrobić.

Zbiega po schodach i wsiada do taksówki, zerkając na zegarek.

Stara się odprężyć.

Nie ma w zwyczaju działać pod wpływem impulsu.

Zazwyczaj rozważa szansę.

Jeśli się spóźni, to tak widocznie miało być.

Jeśli zdąży, znajdzie właściwe słowa.

Taksówka zajeżdża pod terminal.

Anna wbiega do budynku i spogląda na ekran z godzinami odlotów.

Czy już 487.

wezvano go do odprawy?

Idzie w stronę stanowiska odprawy pasażerów odlatujących do Berlina, ale nigdzie gonie widać. Nagle to on ją dostrzega i wstaje wolno z krzesła jak lunatyk.

Anna stoi kilka kroków od niego, zdyszana.

- Może Marcie coś się pomieszało w głowie, choć nie przypuszczam.

Powiedziała, że uratowałeś mi życie, a potem jej.

Powiedziała, że tobie zawdzięcza ocalenie.

Niewiem, czy może to odkupić twoje winy z czasów wojny.

Ty jeden to wiesz.

Powiedziała mi.

powiedziała, że przyjaźniliście się w dzieciństwie.

Gdy to mówiła, miałam wrażenie.

sama nie wiem.

że nie czuje do ciebie nienawiści, mimo tego, co zrobiłeś.

Niewiele rozumiałam.

Cały się trzęsę.

Chciałbym powiedzieć tej kobiecie to, czego nie ośmieliłem się wyznać nikomu.

Pokochołem Martę od pierwszego wejrzenia.

Małe ciemnowłose dziecko, które nikogo się nie bało.

Tak jak ja, gotowe na każdą przygodę, żeby tylko wyrwać się nawolność.

A ja bałem się tego uczucia, przybierającego na sile miłości.

Mutti domyśliła się, co czuję, i stłumiła to.

Przy Marcie mogłem być sobą.

Nie musiałem niczego udowadniać.

Każde z nas miało własne życie, ale przez pewien czas, w dzieciństwie, była mi bratnią duszą.

Spoglądana córkę.

To niczego nie usprawiedliwia, a jedynie pogłębia jego zdradę.

Czuje na sobie jej wzrok, widzi oczy takie same jak jego.

- Może potępiłeś się przez te wszystkie lata - mówi Anna.

- Może we wspomnieniach się oczerniałeś.

Martha powiedziała, że ocalić życie jednemu człowiekowi to jak ocalić życie wielu ludziom.

Niezależnie od tego, jak postępowałeś, dałeś mojej matce szczęśliwe, pełne zadowolenia życie.

Wyciąga do niego rękę.

488

- Do widzenia.

Lucy dała mi twoją wizytówkę.

- Milkni na chwilę.

- Za wcześnie mówić, co czuję, co będzie czuła Lucy, ale może później będziemy chciały cię o coś zapytać.

- Może później - mówi, ściskając jej dłoń i szybko puszczając.

- Dziękuję, że przyszedłeś.

To dla mnie wiele znaczy.

- Do widzenia.

Anna patrzy mu w oczy, zatrzymuje wzrok na jego twarzy, jakby chciała ją zapamiętać.

Odwraca się i odchodzi.

Prosta jak struna.

Wysoka jasnowłosa kobieta o długich, szczupłych nogach, stąpająca tak, że oglądają się za nią ludzie.

To jest Anna.

Moja córka.

Okazała wielką odwagę, przychodząc tutaj.

Przez głośniki rozlega się wezwanie do odprawy.

Wracado domu.

Czy we wspomnieniach usprawiedliwiłam swoje postępowanie, to, kimsię stałam, aby móc ze sobą żyć?

Aby wyjaśnić rodzinie, której nigdy nie miałem, jak to się stało, że nie przestała istnieć?

Rozdział sześćdziesiąty dmgi

Londyn, 1946

Siedzi w czarnej taksówce.

Wciąż czuje się niepewnienna wolności.

Przy niej siedzi ten wysoki, życzliwy angielski żołnierz, który nigdy nie był dla niej obcym człowiekiem.

Wkoło zbombardowane domy, szkielety budynków.

Ludzie chodzą, dokąd tylko chcą.

Nikt ich niezatrzymuje.

Mężczyźni i kobiety w mundurach, nie wyglądają groźnie, dodają otuchy.

Taksówka przejeżdża wzdłuż parku, o tam, z tyłu.

Wielkie platany.

Gałęzie, pokryte szerokimi zielonymi liśćmi, zwieszają się do samej ziemi.

Obudzone do życia rośliny są obsypane kwiatami.

Ludzie siedzą pod drzewami, awszędzie biegają dzieci.

Małe dzieci?

Tak, widać też małe dzieci.

Martanie może oderwać od nich wzroku.

Panowie podrzucają temaleństwa w górę.

Łapią je i trzymają mocno w objęciach: dzieci są bezpieczne.

Nigdzie nie widać żółtej gwiazdy.

Nigdzie.

Marta drży na całym ciele, poznając nowy świat, który może wzbudzić nadzieję.

Odwraca się do mężczyzny, który ją tu sprowadził, a on odpowiada uśmiechem.

W jego oczach zawiera się wszystko, co widział i czegoś doświadczyła Marta.

490

Mężczyzna spogląda na młodą dziewczynkę, która siedzi sztywno obok niej; jest zamknięta w sobie, unika wszelkiego kontaktu.

Jej niebieskie oczy patrzą chłodno przed siebie; twarz jest niewzruszona, nie zdradza żadnych uczuć.

Dziewczynka nie wypowiedziała jeszcze ani jednego słowa.

Mężczyzna mówi do niej łagodnie po angielsku.

Niespodziewa się, że go zrozumie czy mu odpowie.

Jego słowa, jak lekkie ciepłe fale, głaszczą dziewczynkę.

Marta patrzy mu w oczy, a on odpowiada jej spokojnym spojrzeniem.

Marta ma pewność, że on nie odejdzie, nie porzuci ich w tym dziwnym nowym kraju.

Pozostanie z nimi zawsze.

Konwalia, 1999

Martha budzi się wczesnym rankiem, w ciszy, którą mać nieprzerwany śpiew samotnego kosa.

Po nocnym deszczu wanienska dla ptaków jest pełna wody.

Martha ma wrażenie, że czuje zapach lawendy.

Za chwilę Fred przyniesie herbatę na małej tacy z laki.

W jej ulubionej filiżance z porcelany, cieniutkie jak płatki maków, które zasadziła pod żywopłotem.

Zanim pójdzie przyjmować przedpołudniowych pacjentów w gabinecie, usiądzie przy niej na łóżku i, jak każdego ranka, spyta: "Co zamierzasz dzisiaj robić, kochanie?"

".

A ona będzie mogła się doczekać, kiedy wyjdzie do ogrodu.

Już sobie wyobraża, jak stąpa po trawie mokrej od rosy, przygląda się każdej roślinie, każdemu nowemu

pączkowi.

W porze lunchu będzie siedziała w ogrodzie i pisała listy do Anny, która studiuje na uniwersytecie, i do Barnaby'ego, który jest w szkole z internatem. Trochę się zdrzemnie w ciepłym słońcu, a potem, gdy ujrzy między

drzewami, że morze sięga dalej, że zaczyna się odpływ- zobaczy, jak na fotografii w kolorze sepii, lśniąca i srebrzysta jakrtećwodę - pójdzie z Puckiemna plażę.

Z wysokich, pachnących sianem traw na wydmachwzbijają się w niebo skowronki.
Łodzie rybackie przypłynąż warkotem silników do przystani, niesione we mgle prądem wieczornego przypływu.

Ponad szumem morzai uderzeniami fałszychać będzie głosy rybaków.

Dźwiękitak znajome jak własny oddech.

Gdy wróci ze spaceru, zastaniew domu Freda,któryprzyjął już popołudniowych pacjentów i czeka naniąż uśmiechem, jak co dzień.

Fred będziew domu.

Marthauśmiecha się, przymyka oczy iwzdycha.

- Szczęśliwe życie -szepcze.

- Takie szczęśliwe życie.

Kate razem z pielęgniarką ubiera Marthę do trumny.

Robią to w milczeniu, sprawnie i szybko.

Dla Kate jest tozłożenie hołduMarcie.

Ostatni rytuał i akt miłości.

Myją drobne ciałaścierczkami zmoczonymi wodą lawendową.

Wyjmują z szuflady jej ulubioną bawełnianąkoszulę nocną.

Wybierająnajlepszapościel i ścielą łóżko.

Czeszą przerzedzone białe włosy i składają chude ramiona i drobne dłonie, nim zeszywnieją.

WołająBarnaby'ego, który siedzinieruchomo na korytarzu, wsłuchanyw tykanie stojącego zegara i biciedzwonów kościelnych.

Barnaby wchodzi do pokoju.

TwarzMarthy wciąż jest piękna.

Wspaniałe kości policzkowe,teraz pozbawionewyrazu, przypominają zatarty rysunek.

Martha zgasła, jej duch uleciał.

Już nie emanuje tym, czym była i czym zawsze pozostanie dla Barnaby'ego.

Drobna Polka, która stałasię jego matką.

Gdy pielęgniarka wychodzi z pokoju, Barnaby obejmuje instynktownie Kate i przyciąga do siebie.

Czuje ciepło

492

jej ręki, pachnące kwiatamiwłosy.

Wpatrujesię w twarzMarthy, ale w oczach staje mu postać Anny, która idziez Rudim przez zacienny park.

Postać Lucy, która siedziwmediolańskiejkawiarni z ogródkiem, gdzie roślinywiją się po murze za jej plecami.

Obejmuje brzuch i czuje

powstające w niej życie.

Taka jest przyszłość.

Tyle w sobie niesie.

Z oddali, od ujścia rzeki, dolatują piskliwe trelekulików
jak melodia nieuchwytniej pieśni.

Potem zapada cisza.

Podziękowania

Na moją wdzięczność zasługują:

Hannah Collins za poświęcony mi czas i okazaną pomoc w kwestiach prawnych.

Mój syn Toby za relacje z pierwszej ręki o wydarzeniach na Bałkanach.

Jane Gregory, Lianne Radice, Broo Doherty i Susan Watt.

Tim za bezwarunkową miłość, wsparcie i cierpliwość.

Tak książka powstała również dla uczczenia jego matki Pam, z którą spędziłam wiele niezapomnianych chwil w jej przepelnionym słońcem domu.

Czuję się bardzo zobowiązana wobec Milly, która zainspirowała mnie do napisania tej książki, i wobec jej męża Johna, z którym wiecie teraz nowe, szczęśliwe życie.

